

MIŁOŚĆ
TAK ZAKAZANA,
ŻE WSTRZAŚNIE
ZIEMIĄ I NIEBEM

Nočný Cień

K E R I L A K E



KERI LAKE

Nočný
Cień

NIGHTSHADE TÓM 1

PRZEŁOŻYŁ
Piotr Kucharski





*Rubież, które dzielą życie od śmierci,
są co najmniej mroczne i nieokreślone.
Któż może powiedzieć, gdzie pierwsze się kończy,
a drugie zaczyna?*

– Edgar Allan Poe

tłum. Stanisław Wyrzykowski

Playlista

Piosenki, które stanowiły inspirację dla scen

The Fragile ✦ Nine Inch Nails

This Place Is Death ✦ Deftones

Angel By The Wings ✦ Sia

Darkness to Light ✦ CLANN

Angel ✦ Massive Attack

Starry Eyes ✦ Cigarettes After Sex

Past Lives ✦ BORNS

The Sky Is Empty ✦ Orchid Mantis

Far From Home (The Raven) ✦ Sam Tinnesz

Her & The Sea ✦ CLANN

I Bleed For You ✦ Peter Gundry

My Love ✦ Sia

Les Mémoires Blessées ✦ Dark Sanctuary

Immortal Lover ✦ Andrew Bayer, AlisonMay

Unfucktheworld ✦ Fenne Lily

Do You Believe ✦ Deftones

Rev 22–20 ✦ Puscifer

Artificial Paradise ✦ Vlad Holiday

Blue Madonna ✦ BORNS

The Last of Her Kind ✦ Peter Gundry

I Hold You ✦ CLANN

Devil Like Me ✦ Rainbow Kitten Surprise

The Hidden Realm ✦ Nox Arcana

After Night ✦ MXMS

Diamond Eyes ✦ Deftones

A Hair on the Head of John The Baptist ✦ Saltillo

The Stolen Child ✦ CLANN

On The Winds of Sleep ✦ Rich Shapero, Elsiene

La rencontre fatale ✦ Dark Sanctuary

The Perfect Drug ✦ Nine Inch Nails

Ashes ✦ City of the Fallen

You Are The Reason ✦ Johnny Goth

A Drowning ✦ How To Destroy Angels

Transcend ✦ Peter Gundry

Fjörgyn ✦ Osi And The Jupiter

The Wretched ✦ Nine Inch Nails

Grey ✦ Two Feet

DRODZY CZYTELNICY,

dla dobra opowieści, która powstała w mojej głowie, pozwoliłam sobie na pewną swobodę w takich kwestiach jak tytuły szlacheckie i inne elementy historyczne. Celowo nie podałam konkretnych ram czasowych dla części rozdziałów, ale możecie sami oszacować, kiedy dzieje się akcja, a wtedy znajdziecie pewne niezgodności z rzeczywistymi wydarzeniami. Dla dobra mojej historii nieco nagięłam zasady.

Pamiętajcie, że ta powieść zawiera mocny język, wyraziste sceny seksu oraz przemoc. Drażliwe tematy: samobójstwo, nadużywanie narkotyków, przemoc seksualna.

Jeśli jest to pierwsza moja powieść, po jaką sięgacie, dziękuję wam, że postanowiliście zaryzykować z tą historią. Mam nadzieję, że się wam spodoba.



Keri

Słowniczek

alatum – upadłe anioły o skrzydłach obciętych klingą z przeklętej stali

amreloc aehter'nu – wieczna miłość

av'adeih et paej – „idź w pokoju” po pri'scuciańsku

bullio – choroba cechująca się deformacjami kości i straszliwymi uszkodzeniami ciała

ca'ligo an a tua – zaklęcie nefilimów pozwalające odpędzać demony

caelicolański – język nefilimów

cambiony – pół ludzie, pół demony, potrafią podróżować pomiędzy płaszczyznami, są nieśmiertelni, ale można ich śmiertelnie zranić, mogą urodzić się jako cambiony lub w nie przemienić

dalgoth – jedyny gatunek demonów, który potrafi oprzeć się *vitaeilem* i pobierać ją od innych

Dojra – ludzie przemienieni w nieśmiertelnych niewolników na Piekielnych Ziemiach, noszą obręcze niewolnicze i odpowiadają przed demonicznym władcą, mogą podróżować pomiędzy płaszczyznami i odbierać śmiertelnikom dusze

dominus vigilans – władca patrzy

es'ra – echa dawnego życia, które objawiają się w niedoskonały sposób

Ex Nihilo – niebyt, z którego zostało stworzone wszystko, płaszczyzna pozbawiona życia

intortui – zdeformowane istoty zarażone bullio, które potrafią przewidywać wydarzenia z przyszłości

makowa krew – potężny eliksir wywołujący halucynacje

matka pentasha – wysoka rangą duchowna Pentacrux

moneta empirejska – waluta spotykana w Niebie oraz w Piekło

nefilimowie – pół ludzie, pół anioły, potrafią podróżować pomiędzy płaszczyznami, są nieśmiertelni, ale można ich śmiertelnie zranić, mogą urodzić się jako nefilimowie lub w nie przemienić (co zdarza się bardzo rzadko)

niebiańska stal – stal wykuta przez anioły, która może wysłać każdą istotę do Ex Nihilo

noc'tu umbraj – noc + cień = Nocny Cień

ojciec pentrosh – wysoki rangą duchowny Pentacrux

Omni – potężny sigil, który potrafi przywracać moc i regenerować odcięte skrzydła, może też dać komuś nowe moce

Pentacrux – bojowa sekta Pentasanctori

Pentasanctori – Święta Piątka składająca się ze Świętego Ojca, Matki Dziewicy, Mesjasza oraz dwóch wojowników

pentasha – duchowna kobieta

pentrosh – duchowny mężczyzna

Piekielne Ziemie – w zasadzie Piekło, do którego wysyła się tych, którzy nie potrafią się wykupić. Rządzą nim wysokie rangą demony, one oraz cambiony mogą tamtędy z łatwością podróżować; zatrzymanie wspomnień stanowi formę zadawania cierpienia.

Praeceptia – pradawne miasto; uważa się, że istniało przed stuleciami, a następnie w tajemniczy sposób zniknęło

pri'scuciański – język istniejący przed enochiańskim, prawdziwa pradawna mowa aniołów

rur'axze – silna i czasami bolesna do zaspokojenia potrzeba demona, często wymaga udziału tej konkretnej kobiety

Sigiliuz de'tei – pri'scuciańska księga zawierająca większość zakazanej magii

Strażnicy – pół demony, pół anioły, potężne istoty często pracujące skrycie nad infiltracją krainy demonów

Sybille – prorokinie lub wyrocznie dysponujące mocą przewidywania przyszłości

tu'nazhja – ptak, którego pieśń jest tak piękna, że przywabia do niego ofiarę, co kończy się jej śmiercią

Upadli – anioły, które wygnano z niebios

Vale – bariera pomiędzy krainą śmiertelników a Nocnym Cieniem

Venatorzy – łowczy wyznaczeni w wiosce

vinculum – umysłowa więź pomiędzy zwierzęciem a aniołami/demonami

vitaeilem – krew aniołów

Władcy – wysocy rangą aniołowie, którzy władają Nocnym Cieniem, pobierają podatki i wykonują

kary

Prolog

Pamiętałam spadanie. Pustkę i wydawane na próżno krzyki. Klatkę piersiową zapadającą się, gdy powietrze wystrzeliwało mi z płuc z siłą zbyt wielką, żeby dało się nad tym zapanować. Wściekle podmuchy wiatru przemykające obok mnie, podczas gdy chmury w górze ciemniały i wymykały się z mojego chwytu niczym mgła.

W dół, w dół, w dół. Nie jak pióro, lecz jak ciężki gład rozcinający powietrze.

Później pojawiły się szepty:

„Słońce przemieni się w mrok, a księżyc w krew.

Zaś niebiosami targną wstrząsy.

Ale nie lękaj się”.

Po pozbawionym wdzięku upadku odrodziłam się w smrodliwych głębiach mroku.

Lustina

Przed wiekami

Klasztor Świętej Piątki, Praeceptia

– **Chodź ze mną, dziecko.**

Lustina ujęła dłoń mężczyzny odzianego w długą sutannę i poczuła dotyk chłodnej, pomarszczonej skóry. Matka powtarzała jej, żeby nigdy nie ufała tym, którzy noszą krzyże i mają surowe twarze, ale gdy zabrali również ją, dziewczyna nie miała większego wyboru.

Przez lata mieszkały we dwie na obrzeżu wioski, z dala od tych, którzy je stamtąd wygnali, traktując je jako plamę na ich dobrej społeczności. Musiały same zadbać o siebie w lesie podczas najsroźszych zim, dzięki czemu nauczyły się, jak wytrwać w trudnych warunkach, stały się twardsze od wieśniaków pracujących całe lato na polach. Lustina, będąca już na skraju kobiecości, pomiędzy dzieciństwem a dorosłością, niewątpliwie umiała by się o siebie zatroszczyć, ale najbardziej martwił ją los matki. Zatem gdy ludzie w sutannach zapewnili, że zabiorą ją do niej, nie wahała się i poszła z nimi.

W całej Praeceptii znano ich jako Pentacrux, zagorzałą religijną grupę przetrząsającą wioski w poszukiwaniu grzeszników. Znacznie mniej tolerancyjną niż chrześcijańscy misjonarze, którzy czasami tędy przechodzili. Wierzyli w świętą Pentasantorii, boską Piątkę składającą się z Ojca, Matki Dziewicy, Mesjasza i dwóch wojowników po bokach. W przeciwieństwie do większości chrześcijan odrzucali istnienie aniołów, uważając, że to oni sami są bojownikami wybranymi przez Świętego Ojca i wszystko, co ponadnaturalne w ich świecie, zawiera w sobie zło. Ich słowo było równoważne ze słowem samego króla i nikt nie śmiał kwestionować ich wiary, inaczej czekałoby go rozciąganie i ukrzyżowanie w akcie uważanym przez duchownych za święte oczyszczenie. Pentacrux byli sektą zbrojną, podobno polującą na zło świata i niszczącą je.

Tak się złożyło, że matka Lustiny została uznana właśnie za takie zło.

Ten, którego nazywano biskupem Venable, sprawiający wrażenie najważniejszego z mężczyzn w długich sutannach, zachowujący się i ubrany w sposób bardziej formalny niż pozostali, prowadził ją pełnym przeciągów korytarzem oświetlonym pochodniami. Jego długa złota laska stuknęła o kamienie brukowe, akcentując każdy krok w nieznaną. Zimne powietrze łaskotało skórę dziewczyny, ale to strach przed niewiadomym wzbudzał dreszcz na jej grzbiecie, gdy starszy mężczyzna wiódł ją ku światłu widniejącemu na końcu pogrążonego w półmroku tunelu. Gniewne okrzyki i wrzaski pobudzały jej obawy. Jej gardło zrobiło się suche i równie szorstkie jak konopna sukienka ocierająca się jej o kostki przy każdym nerwowym kroku.

Światło. Na nim się skupiła. W świetle nigdy nie działało się nic złego. Zawsze należało wystrzegać się mroku, jak powtarzała jej matka. To tam zło było zazwyczaj najaktywniejsze. Zatem nie miała czego się bać.

Gdy przeszła pod łukiem, słońce uderzyło ją tak oślepiającym blaskiem, że musiała osłonić przed nim oczy.

Mężczyźni, kobiety i dzieci zebrali się wokół platformy ustawionej na środku polany na dziedzińcu

klasztoru. Pałący słoneczny żar lał się jej na kark, gdy Lustina wspinała się na palce, żeby wyrzeć ponad zgromadzonymi. Rozstąpili się przed biskupem, który, ciągnąc ją za sobą, zmierzał w stronę platformy.

Niektórzy w tłumie mieli na sobie jedwabie, inni zaś wcale nie różnili się od niej – odziani w znoszone łańchmany ledwo okrywające ich wychudzone sylwetki. Matki przyciskały do siebie dzieci, gdy ich mijała. Ktoś na nią splunął. Ktoś inny odezwał się wrogim tonem w języku, którego nie rozumiała. Nieważne, czy byli biedni czy bogaci, wszystkich zdawała się łączyć nienawiść do młodej Lustiny.

Biskup Venable zatrzymał się przed platformą i puścił dłoń dziewczyny.

– Przeprowadzić oskarżoną!

Na te słowa Lustina obróciła się i ujrzała mężczyzn w sutannach, z twarzami osłoniętymi kapturami, którzy prowadzili w kierunku platformy jej matkę skutą kajdanami tak grubymi, że pod jej skórą uwidaczniały się ścięgna. Dziewczyna wydała z siebie zduszony okrzyk na widok kolczastego urządzenia sięgającego od szyi matki do jej podbródka i zmuszającego ją do odchylania głowy w tył.

Odgłosy wydawane przez tłum stały się głośniejsze i bardziej wrogie niż dotąd. W powietrzu czuć było smród piwa, słodką woń skóry bogaczy zlanej perfumami i ciężki odór przemocy.

– Czarownica – rzucił cicho ktoś.

– Heretyczka! – wyskandowali inni.

Łańcuchy zabrzczały o żelazną platformę, gdy matkę Lustiny prowadzono do umieszczonego na niej słupa, u podstawy którego złożono gałęzie na podpałkę i większe kawałki drewna opałowego. Tego samego drewna, które ona i matka porąbały przed zimą, skradzionego przez biskupa i jego ludzi, gdy przetrząsali ich dom.

Biskup unióśł dłoń i tłum się uspokoił. Każdy nerw ciała Lustiny drżał ze strachu. Szukała wzroku matki, przechylając się w bok w nadziei, że ta ją zauważy, jednak ustrojstwo na gardle nie pozwalało jej na to.

– Ta niezamężna kobieta została tu przyprowadzona pod zarzutem herezji i uprawiania czarnej magii! – oznajmił biskup ze złowieszczym entuzjazmem, unosząc laskę w powietrze, co wzbudziło kolejne gniewne okrzyki ze strony zebranych. – Posługuje się diabelską mową, a zatem zostanie odesłana z powrotem do swojego prawdziwego, piekielnego domu, gdzie jej miejsce. Rzeka wiecznych płomieni powita ją z otwartymi ramionami, a my poczujemy, jak światło Świętego Ojca świeci na nas jaśniej, gdy już oczyścimy naszą uświęconą społeczność z takiej skazy. Karą za herezję i czarnoksięstwo jest śmierć!

Łzy wezbrały Lustinie w oczach, gdy zrozumiała powód tego zgromadzenia. Gdy pojęła, dlaczego została tu przyprowadzona. Nie chodziło o to, żeby zobaczyć się z matką, lecz żeby ujrzała jej egzekucję. Zachwiała się w kierunku platformy, lecz przytrzymał ją jeden ze stojących przy niej mężczyzn w sutannach. Wbił paznokcie w jej ciało i nieważne jak się szarpała i szamotała, żeby się uwolnić, jej wysiłki były bezowocne.

Jeden z ludzi na platformie pociągnął matkę bliżej słupa i ten gwałtowny ruch sprawił, że rozwidlone szpikulce wbiły się w skórę pod jej brodą. Kobieta wydała z siebie okrzyk, na który odpowiedziały głośniejsze, nieprzyjemne wrzaski tłumu.

Ktoś podłożył ogień pod rozpałkę i do Lustiny ze wstrząsającą realnością dobiegł trzask płomieni.

– W wigilię piątego krwawego księżyca ciemność ogarnie ziemię i wszyscy spłoniecie w ogniu! – Jej matka wydała z siebie okrzyk, od którego skręcały się wnętrzności, a Lustina wyciągnęła ku niej dłoń, jakby miała moc, żeby ją ocalić. – Jeśli mojej córce stanie się jakakolwiek krzywda, poczujecie... – Kolejny wrzask przerwał jej słowa. – Poczujecie... piekielny ogień!

– Matko! – Drżąc, dziewczyna patrzyła ze zgrozą, jak ogniste języki liżą spódnicę matki, jak wspinają się po jej ciele do kasztanowych loków, które Lustina zawsze uwielbiała zaplatać w warkocze.

– Lustina! Lustina! – Niezdolna opuścić głowy, matka krzyczała ku niebiosom. – Zobaczmy się znowu, moje słodkie dziecko! Zobaczmy się w następnym życiu!

– Matko! – Łzy lały się dziewczynie po policzkach, gdy jedyną osobę, jaką kiedykolwiek kochała i o jaką się troszczyła, pochłaniał ogień.

Biskup Venable stanął przy niej.

– Ona kłamie – rzekł spokojnym głosem. – Nie istnieje nic takiego jak reinkarnacja. Twoją matkę czeka wieczna kara, ale ty... To akt prawdziwej prawości, że On, nie zważając na jej grzechy, może zaoferować ci miłosierdzie kościoła. – Złapał Lustinę chłodną dłonią za kark i przesunął jej kciukiem po gardle. – Zapamiętaj sobie ten dzień, dziecko. Zapamiętaj go dobrze.

Płomienie otoczyły jej matkę niczym żarłoczne wilki opadające zdobycz i wkrótce jej wrzaski ucichły, zostały jedynie trzaski palącego się ciała.

Kobieta odziana w inny rodzaj długiej sutanny podała biskupowi Venable długi metalowy pręt. Na jego końcu znajdował się ten sam niezwykle symbol, który wyhaftowano na ubiorze mężczyzny. Krzyż o podstawie rozszczerzonej na dwoje. Biskup wystąpił na przód i wsunął końcówkę pręta w największe płomienie wciąż tańczące na zwęglonym ciele matki.

Kilka minut później metal rozjarzył się złowróżbną pomarańczową barwą.

Stary mężczyzna wziął szmatę od jednego ze swoich pomocników stojącego najbliżej niego, owinał nią nierozgrzany koniec i wyciągnął gorący metal z ognia, po czym podszedł z nim z powrotem do Lustiny.

Każdy mięsień jej ciała drżał pod wpływem strachu, lecz ludzie w sutannach ściskali ją mocno, nie zostawiając żadnej szansy na ucieczkę. Jedno gwałtowne szarpnięcie oderwało rękaw jej sukienki wraz z częścią stanika. Nieustępliwa dłoń wyprostowała jej rękę, inna zaś ścisnęła jej gardło, podduszając ją.

– Lustino... – Biskup wypowiedział jej imię tak, jakby poczuł coś nieprzyjemnego na języku. – Choć jest prawdą, że możesz być skazana na ten sam los co twoja matka, niech Święty Ojciec okaże ci miłosierdzie.

Rozpalony do białości ból wgryzł się w jej ciało niczym tysiąc igieł. Jej ramię ogarnęło nieznośne cierpienie, podczas gdy metal skwierczał i palił jej ciało. Wydała z siebie wrzask, który odbił się echem wokół niej, zagłuszając wiwaty tłumu.

Ich Bóg rzeczywiście okazał się miłosierny.

Bowiem gdy dziewczyna zapadała się w czarną otchłań, wreszcie ogarnęła ją cisza.

Farryn

Teraźniejszość

– **Farryn Ravenshaw?** – Na dźwięk mojego imienia obróciłam się i dostrzegłam rudego gościa, mierzącego może z metr osiemdziesiąt, którego wiek można było zgadywać tylko po zmarszczkach wokół oczu, stojącego w drzwiach mojego biura.

No dobrze, byłego biura. Przyszłam spakować część swoich rzeczy przed przerwą, jaką robiłam sobie w pracy asystentki naukowej i wykładowczyni. Kilka miesięcy temu moja ciocia Nelly, z którą mieszkałam przez ostatnich dziesięć lat, zmarła i zostawiła mnie z cholernie wieloma kwestiami do pozamykania. Dla dobra własnego zdrowia psychicznego zdecydowałam się zrobić sobie trochę wolnego, by zająć się jej sprawami. Na szczęście towarzyszył im też pokaźny spadek.

– Tak, to ja.

Zamiast przejść do wytłumaczenia powodu swojego niezapowiedzianego najścia, nieznajomy zamknął za sobą drzwi, odcinając nas od sekretarki i trojga pozostałych asystentów pracujących w instytucie. Gdy ruszył ku mnie, przez moje mięśnie przelała się fala niespokojnej czujności, prężąc je. Podniósł pudełko z moimi rzeczami, które ustawiłam na krześle naprzeciwko siebie, a ja cofnęłam się o krok, obserwując, jak stawia karton na podłodze, po czym siada.

Brwi bolały mnie już od ciągłego unoszenia w wyrazie dezorientacji, gdy patrzyłam, jak rozgląda się niedbale po pomieszczeniu, nie zwracając sobie głowy odpowiedzią na palące niezadane pytanie: kim, u diabła, jest.

Wychylił się i zajrzał do drugiego pudełka stojącego na biurku.

– Wybiera się pani dokądś?

– Przepraszam... kim pan...

– Jestem detektyw Hines – przerwał mi i błysnął odznaką. Równie dobrze mogła ona pochodzić ze sklepu z zabawkami. Nie byłam ekspertką, żeby odróżnić prawdziwą od fałszywki. – Policja Chicago, wydział zabójstw. Czy mogłaby mi pani poświęcić chwilę?

Miałam wybór? Facet zagnieździł się już w mojej przestrzeni. I nieważne, że najgorszą rzeczą, jaką robiłam w życiu, było kilkakrotne przejechanie na czerwonym świetle. Gdy detektyw z wydziału zabójstw prosi o chwilę, tak się składa, że wzbudza to pewną panikę.

Zastanawiając się, czego może ode mnie chcieć, zmarszczyłam czoło.

– O co chodzi?

– Rozumiem, że wykłada pani ikonologię z podstawami naukowymi w symbologii?

– Zgadza się.

– Miałem nadzieję, że mogłaby mi pani pomóc coś zidentyfikować.

Wyciągnął spod pachy skoroszyt, który położył na biurku, zmuszając mnie do odsunięcia pakowanego kartonu. Uchylił go zaledwie odrobinę, wyciągnął fotografię i przesunął ją po zasypianym papierami blacie w moją stronę.

– Czy rozpoznaje pani to oznaczenie?

Przekrzywiłam głowę, wpatrując się w symbol wyglądający, jakby został z laserową precyzją wryty w gładkim rzeźnym otoczaku. W zasadzie był to krzyż, ale z podstawą rozszczepioną na dwoje. Gdy mu się przyglądałam, w głowie błysnęło mi nieproszone wspomnienie.

Kartki z tym samym symbolem poprzyklejane do zaplamionych ścian i zwisające na nitkach z sufitu. Wiatr poruszający dyndającymi stronicami, zataczający nimi ciasne kręgi. Śnieżne podmuchy laskoczące mnie w kark, gdy stałam przy otwartym oknie.

Mrugnęłam, żeby pozbyć się tej wizji, a potem odchrząknęłam.

– Niech pan posłucha, jeśli pan chce, mogę skierować pana do kogoś w instytucie...

– Nie interesują mnie mdłe wyjaśnienia profesorów, panno Ravenshaw. Szukam odpowiedzi kogoś, kto potrafi myśleć niestandardowo. – Klarowny sposób wyrażania się podkreślał jego nieustępliwość.

Nagle swędzenie na ręku sprawiło, że odruchowo podrapałam się po rękawie.

Hines chyba to zauważył, bo na chwilę skierował tam wzrok.

– Przyszedłem tutaj, ponieważ natknąłem się na artykuł napisany przed laty przez pani ojca, opisujący religijny kult znany jako Pentacrux. Czy coś to pani mówi?

Mówiło. Przed laty, zanim popadł w zespól majaczeniowy, mój ojciec, szanowany profesor studiów nad chrześcijaństwem w starożytności na uniwersytecie Yale, mówił o istnieniu zbrojnej grupy religijnej, która według niego osiągnęła szczyt potęgi przed stuleciami. Zgodnie z jego teorią była to jedna z wczesnych sekt. Niestety niewiele było wiadomo o tej grupie, która najwyraźniej zanikła, ale w swoich pracach opisywał nietypowy krzyż stanowiący ich swoiste godło. Doskonale znałam jego kształt. Podrapałam się mocniej. Poczulałam, jak skóra piecze mnie od wbijających się w nią paznokci.

– Panie detektywie, muszę pana poinformować, że odkąd skończyłam piętnaście lat, nie widziałam się z ojcem ani nie rozmawiałam z nim.

– Ale rozpoznaje pani ten symbol, zgadza się?

Kolejny szybki rzut oka pobudził zamęt, jaki policjant już zasiał w mojej głowie. Wyciągnął na wierzch wspomnienia, do których od jakiegoś czasu starałam się nie wracać.

– Mgliście. Niestety mój ojciec cierpiał na majaczenie, zatem nie jestem pewna, czy wyciągnie pan wiele z jego prac.

– Tak, czytałem o tym. Wygląda na to, że popadł w swoistą psychozę.

Było to tak naprawdę niedopowiedzenie, zważywszy, że próbował mnie utopić. Ale sprawa nie została nigdzie zgłoszona, zatem Hines nie miał szans się o niej dowiedzieć. Mimo to, starając się okiełznać emocje widniejące na mojej twarzy, przesunęłam językiem po wewnętrznej stronie zębów.

– Obawiam się, że nie mogę panu pomóc. W zasadzie to wkrótce robię sobie przerwę od pracy.

– Ach, przykro mi to słyszeć. – Znów uchylił skoroszyt i wysunął dwie kolejne fotografie.

Gdy tylko uświadomiłam sobie, na co patrzę, zasłoniłam gwałtownie dłonią usta, żeby stłumić cichy okrzyk.

Wyraźnie było to zdjęcie z miejsca zbrodni, zważywszy bliskość i kąt ujęcia. Ukazywało bladą blondynkę, której zerwano całą lewą połowę twarzy, zostawiając lśniące mięso i wybałuszone orzechowe oko. Na drugiej połowie oblicza, tuż nad wargą, widniał zupełnie nietknięty pieprzyk. Na drugiej fotografii widać było dłonie z palcami usuniętymi do knykci, z których wystawały jedynie małe wypustki kości.

Oddychając z wysiłkiem przez nos, oderwałam wzrok od krwawych obrazów i wbiłam go w ścianę w miejscu, gdzie kiedyś wisiał plakat Keanu Reevesa jako Jezusa.

Przydałby mi się w tej chwili humor, który uspokoiłby wzburzony żołądek.

– Alicia Maxson. Prostytutka z Englewood, znaleziona w zamkniętym pokoju w motelu Shining Star. Żadnych wyraźnych oznak wtargnięcia. Zasuwka i łańcuch zabezpieczone od środka. Jedne drzwi i okno od strony, z której kamera wychwyciłaby ruch. Stara zagadka z zamkniętym pokojem.

Serce łomotało mi o żebra, oddychałam nieco nierówno. Nie męczyłam się otwieraniem ust do odpowiedzi z obawy, że mógłby się w nich pojawić zjedzony wcześniej lancz.

Na szczęście policjant wsunął fotografie z powrotem do skoroszytu, a ja przełknęłam żółć, która podeszła mi do gardła.

– Przepraszam za makabryczny charakter tych zdjęć. Chciałem tylko pokazać, że nie pytam jako miłośnik prac pani ojca, lecz z nadziei, że pomoże mi pani określić, z czym mam tu do czynienia.

Byłoby miło, gdyby mnie wcześniej ostrzegł. Tak się złożyło, że niedawno odzyskałam dostęp do starych notatek ojca – tych, które ciocia Nelly uznała za stosowne ukryć przede mną po jego zniknięciu.

Formalnie rzecz biorąc, uważano go za zmarłego.

– Jedyne, co mogę zrobić... to może przetrząsnąć jakieś stare pudła i sprawdzić, czy nie znajdę jakichś zapisków na ten temat.

– Byłbym wdzięczny. Również za przekazanie ewentualnych kontaktów, jakie mógł mieć pani ojciec.

Niestety większość jego kontaktów porzuciła go dawno temu, uważając, że zgubił piątą klepkę, zatem szanse na to były niewielkie.

Mimo to skinęłam głową.

– Oczywiście.

Sięgnął do kieszeni idealnie wyprasowanego garnituru i wyciągnął wizytówkę, którą następnie przesunął do mnie po blacie.

– Proszę. Niech pani nie waha się skontaktować ze mną, jeśli cokolwiek pani znajdzie.

Podniosłam kartonik, uśmiechnęłam się ściągniętymi ustami i znów przytaknęłam.

– Jasne.

Gdy wsunął dłoń do skoroszytu, zamachałam dłońmi i pokręciłam gwałtownie głową.

– Nie, nie! Nie potrzebuję tego!

Ze zmarszczonymi brwiami wyciągnął na biurko fotografię rzeźbionego kamienia, a ja odetchnęłam z ulgą.

– Przyda się pani wizerunek symbolu.

– Oczywiście. Dziękuję, detektywie.

– Miłego dnia, panno Ravenshaw.

Gdy wyszedł z biura, opadłam z powrotem na krzesło i cisnęłam wizytówkę na stertę papierów, które później zamierzałam wrzucić do niszcarki. Swędzenie na ręku kazało mi podciągnąć rękaw nad ukryte tam znamię. To, które było tak uderzająco podobne do symbolu wyrytego na kamieniu na leżącym przede mną zdjęciu. Podobieństwo niewątpliwie było uderzające, ale sama nigdy nie przyznałabym, że na mojej skórze widnieje cokolwiek więcej niż tylko dziwne przebarwienie. Ojciec natomiast wierzył, że nie tylko przepowiedziało ono przedwczesną śmierć matki, ale też uczyniło ze mnie swoistą zwiastunkę. Posłanniczkę aniołów, cokolwiek to oznaczało.

Na szczęście nie wspomniał o tym w swoim artykule.

Minęły lata, odkąd poświęciłam znamieniu choćby nikłą myśl. Jeszcze dłużej, odkąd zastanawiałam się nad ponownym otwarciem ran, które już dawno się zasklepiły. Problem w tym, że nie zaleczyły się dobrze. Już wtedy wołała do mnie tajemnica wiążąca się z ojcem, raz za razem rozrywająca szwy.

Jak na masochistkę przystało, po tej wizycie poczułam się zaintrygowana.

Farryn

– **Skąd wiemy, że świat nie jest piekłem, ojcze?** – Czując, jak pocą mi się dłonie, uklękłam przed kratką w konfesjonale, a ból poniósł się po moich kościach od nieugiętego drewna.

– Wciąż cieszymy się łaską boskiej obecności. – Chrapliwy głos księdza wypełnił niewielką, ciasną przestrzeń pachnącą środkami czystości i starością.

Znałam ojca Bane’a od jakichś dziesięciu lat dzięki temu, że ciocia Nelle ciągała mnie do kościoła w każdą niedzielę, odkąd skończyłam piętnaście lat. Nigdy tak naprawdę nie odnajdywałam tam pociechy, a konfesjonał wzbudzał we mnie wręcz klaustrofobiczne uczucia. Może po prostu robiłam to z lojalności wobec ciotki.

– Cieszymy się nią? – spytałam. – Po tym, co widziałam... trudno mi w to uwierzyć.

– Mogę cię zapewnić, że istnieją miejsca, w których cierpienie jest znacznie większe.

– Być może. Miałam straszliwe sny, ojcze – wyszeptalam.

– Opowiedz mi o nich.

– Idę przez ciemne pole. Pod krwistoczerwonym księżycem. Wszędzie dookoła leżą porzucane ciała. Spalone. Okaleczone. Z krwią rozchłapaną na ciemnych skrzydłach. Ale mnie nie dzieje się krzywda.

– Ciemnych skrzydłach, powiadasz?

– Tak. Anielskich.

– Ba! – rzucił lekceważąco. – To tylko sny, dziecko.

– Martwi mnie to, co czuję, gdy... śnię.

– A jak się wtedy czujesz?

Zastanowiłam się nad tym pytaniem, przypominając sobie ostatni sen, który zdawał się bardziej przeczuciem.

– Niepewna. Nie jestem nawet przekonana, czy do końca wierzę w istnienie aniołów.

– Ach. – W jego głosie dało się usłyszeć nutę zaintrygowania. – Cóż, nie można cię winić za takie rzeczy. Otaczające nas pokusy skłaniają nas do grzechu i zaślepiają na diabelskie działania.

W ciszy, jaka zapadła, uniosłam rękaw koszuli znad znamienia na ręku.

– Ojcze, czy słyszałeś o grupie, która określa się jako Pentacrux? – Gdy podniosłam wzrok i zerknęłam na kratkę, dostrzegłam szybki ruch jego dłoni.

Znak krzyża.

– Przykro mi. Nie słyszałem.

– Podobno byli grupą z dawnych czasów.

– Mówiłem, że nie słyszałem!

Jego ton był tak ostry, że postanowiłam nie naciskać. Najwyraźniej jednak coś o nich wiedział.

– Przepraszam, że tak zareagowałem. – Tym razem miał już znacznie spokojniejszy głos. – Nie pierwszy raz jestem o nich pytany.

– Ktoś inny o nich wypytywał?

– Tak, kilka tygodni temu. – Nachylił się do kratki i obniżył głos: – Pewnie nie powinienem tego mówić, ale pytał też o ciebie.

Zmarszczyłam brwi i na chwilę odwróciłam wzrok.

– Czy był to może detektyw Hines?

– Zgadza się.

– A mogę spytać, czego chciał?

– Och, tak naprawdę zadawał dość proste pytania. Od jak dawna przychodzisz do kościoła. Nic szczególnie osobistego.

Poczułam, jak ogarnia mnie fala chłodu.

– Nie mówił mu ojciec, gdzie mieszkam?

– Nie, nie. Oczywiście, że nie. To była nieszkodliwa rozmowa.

Miałam nadzieję, że nie podzielił się szczegółami z moich nielicznych wyznań, choć moje przewinienia były stosunkowo łagodne. I podobno księża mieli obowiązek zachować tajemnicę spowiedzi.

Choć nie potrafiłam się pozbyć uczucia dyskomfortu w związku z tym, że detektyw o mnie wypytywał, w tym momencie nie mogłam nic z tym zrobić. Facet ustalił już, gdzie pracuję. Zapewne nie będzie miał większych problemów z odkryciem, gdzie mieszkam. Zdecydowana wypchnąć z głowy wszelkie myśli o Hinesie włamującym się do mojego domu nocą jak jakiś szalony stalker, dostroiłam umysł do czegoś innego.

– Ojczy, czy to możliwe, żeby w oczach Boga jakaś osoba służyła większemu celowi?

– Och, tak – odparł, a ja zmarszczyłam czoło na tę nieoczekiwaną odpowiedź. – Wszyscy urodziliśmy się po to, żeby osiągać wspaniałe rzeczy. Święty Ojciec spodziewa się, że niektórym z nas to się nie uda, podczas gdy inni wzniosą się na olśniewające wyżyny jego miłosierdzia i uznania. Jest tyle do zrobienia. Ale gdy jego oczy nakarmią się chwałą naszych trudów, będzie to pełne wywyższenie!

Jego entuzjazm znów wywołał dreszcz niepokoju na moich plecach, gdy klęczałam w milczeniu, pochłaniając jego rozemocjonowane słowa, lekko nimi wstrząśnięta.

– Czy ty też śnisz o różnych rzeczach?

– Tak! – wysyczał i nachylił się do kratki. W półmroku konfesjonału dostrzegałam jedynie dwa mleczone białka oczu skierowanych na mnie. Aż do tej chwili ani razu nie czułam się zagrożona czy skrepowana jego niepełnosprawnością. – Tylko wtedy naprawdę widzę.

– Jak do tego doszło? Do twojej ślepoty, ojczy?

– Przez pasożyty w dzieciństwie.

– To straszne.

– Ale miłosierdzie Świętego Ojca pozwoliło mi stać się tym, kim jestem obecnie. Nigdy nie wolno nam kwestionować jego działań. Jego motywacji. Bo to one prowadzą nas do tego, co boskie.

Klęczałam dalej, zerkając na ulotkę przymocowaną do ścianki w konfesjonale – zignorowaną przeze mnie, gdy tam weszłam. Zapraszała na czuwanie za jednego z młodych chórzystów, który najwyraźniej kilka tygodni wcześniej popełnił samobójstwo.

– Ten chłopiec, który odebrał sobie życie. Ojczy, czy uważasz, że jego dusza jest przeklęta?

– To Bóg powierzył nam zarząd nad duszą, zatem to nie naszą rolą jest, żeby beztrudnie pozbywać się takich darów.

– Czy wierzysz w Czyściec, ojczy?

– Oczywiście. Ale nie daj się zwieść opowieściom o życiu pozagrobowym. Tak czy inaczej, wszyscy spłonimy za nasze grzechy. *Dominus vigilans*.

– *Dominus vigilans*. Co to oznacza? – Poznałam łacinę w wystarczającym stopniu, by znać dosłowne tłumaczenie, ale nie rozumiałam kontekstu tej sentencji w naszej rozmowie.

– „Obserwuj siebie, bo jesteś obserwowany”.



Odchyliłam się na wyścielanym fotelu przy staroświeckim biurku cioci Nelle i wbiłam wzrok w symbol widoczny na zdjęciu zostawionym przez Hinesa.

Obok mnie na podłodze stały pudełka ze starymi dziennikami ojca, których ciotka nie zdecydowała się wypakować, jedynie zamknęła je na klucz w szafie w swoim gabinecie. Może nie chciała ukazywać mi stopnia jego obłądzenia. Dopiero gdy w testamencie zostawiła mi jako jedynej dziedziczce swój stary, piętrowy, wiktoriański dom, otrzymałam dostęp do kluczy oraz do niemałego spadku.

Pieniądze pozwoliły mi zachować płynność finansową. A notatki? Na nowo rozpały we mnie dążenie, by szukać wyjaśnienia, co tak naprawdę działo się z ojcem przez te wszystkie lata, kiedy nie mieliśmy ze sobą kontaktu.

Wyciągnęłam medalion spod koszulki i przesunęłam kciukiem po znajdującej się w środku małej fotografii. Każdego dnia nosiłam przy sobie ten niewielki skrawek mojej przeszłości.

Mojego ojca nazywali szaleńcem. Mieszkaliśmy wśród małej rybackiej społeczności na wschodnim wybrzeżu, gdzie uczył w Yale o chrześcijaństwie w starożytności i o chrześcijańskiej literaturze apokaliptycznej. Większość dzieciństwa spędziłam na kampusie, czasami tkwiąc w jego gabinecie i czytając książki. Moja matka, nauczycielka licealna, uczyła mnie w domu aż do czwartej klasy, kiedy to zginęła w strasliwym wypadku samochodowym. Błyskawica uderzyła w pobliskie drzewo, a gdy matka zboczyła, żeby je ominąć, uderzyła w barierkę i wypadła przez krawędź urwiska. Kiedy ekipy poszukiwawcze przeczesaly wodę i okolicę, znalazły ślady opon i porzucane elementy wozu, jednak nigdy nie odzyskano ani samego samochodu, ani mojej matki.

Ojciec przeszedł wtedy przez kilka etapów żałoby, z których najbardziej rzucała się w oczy jego obsesja na punkcie życia pozagrobowego. Wierzył, że tamtej nocy coś wykradło matkę i że nie był to wypadek, wbrew temu, co stwierdzili prowadzący dochodzenie. By dowieść prawdziwości swojej teorii, rzucił się w wir pracy i odciął od otaczającego go świata.

Szukał mojej matki w tym, co niewyjaśnione.

Według niego wciąż znajdowała się pomiędzy nami. Albo w innej krainie.

W miejscu nazywanym Nocnym Cieniem.

Jego zaślepienie tym, co zgodnie z jego słowami było prawdziwym światem, wkrótce stało się bełkotem szaleńca. Który pewnego popołudnia wczesną wiosną, gdy tylko wróciłam ze szkoły, zawołał mnie do łazienki na piętrze i próbował mnie utopić. Twierdził, że upadł i uderzył się w głowę, gdy chciał wziąć kąpiel, a kiedy podbiegłam, żeby pomóc mu wstać, zaatakował mnie z powodów, których nigdy nie zrozumiałam. Wrzucił mnie do wanny i trzymał pod wodą, bredząc, że jestem pomiotem piekła przysłanym, żeby zamordować jego żonę. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, co stało się później, bo straciłam przytomność. Gdy się ocknęłam, zorientowałam się, że leżę w szpitalnym łóżku, a obok siedzi zupełnie mi nieznana kobieta, która twierdzi, że z nią zamieszkać.

Ojciec sam nalegał na to, żebym trafiła do Chicago, gdzie dorastał, i wprowadziła się do ciotki Nelle – jego siostry, z którą nie utrzymywał kontaktu. Jakiś czas później podobno sam również się tam przeniósł i choć nie wolno mi było kontaktować się z nim w jakikolwiek sposób, wciąż nie opuszczał moich myśli dzięki prezentom, które od czasu do czasu mi podrzucał. Małym bibelotom i symbolom, które miały znaczenie wyłącznie dla mnie, takim jak wykonany ze sznurka znak nieskończoności, pozostawiony na poręczy ganku ciotki. „Kocham cię nieskończenie”. Gdy byłam dzieckiem, zawsze mi to powtarzał.

Pewnego śnieżnego zimowego wieczoru ciocia Nelle nagle otrzymała wiadomość, że ojciec skoczył ze swojego bloku w centrum. Podobnie jak w przypadku tragicznego wypadku matki, ciała nie odnaleziono. Jedyнным dowodem domniemanego samobójstwa była kamera dachowa ukazująca jego dziwne zachowanie – jakby rozmawiał z kimś niewidocznym, a parę sekund później obiektyw wychwycił go, gdy przeskakiwał przez krawędź.

Według policji nie zdołałby przeżyć upadku z sześciu kondygnacji. Sprawa pozostała zatem nierozwiązaną tajemnicą.

Obwinałam się. Za lata, kiedy się na nim odgrywałam, odciągałam go od pracy. Powodowana smutkiem i żalobą, ostatecznie podążyłam w jego ślady i kształciłam się w przedmiotach, które, jak miałam nadzieję, pozwolą mi go lepiej zrozumieć.

Przetrząsnęłam zawartość najbliższego pudełka, ale w paru przekartkowanych książkach nie znalazłam ani jednej wzmianki czy uwagi o Pentacrux. Zamiast tego wyjęłam tom, którego pieczęć niedawno złamałam, i położyłam go na biurku.

Kroniki Nocnego Cienia.

Nocny Cień. Dziwny świat, który stał się jego obsesją, kraina leżąca daleko poza naszą, często porównywana przez niego z Czyścem.

Moim zdaniem po prostu bajeczka.

Data zapisana na stronie tytułowej głosiła: „21 grudnia 2016”. Tuż pod nią widniał odręczny rysunek półksiężycy w kręgu, a u podnóża półksiężycy znajdował się drugi, mniejszy krąg. Symbol Nocnego Cienia. Podobnie jak emblemat Pentacrux, on również obklejał ściany gabinetu ojca. Przesunęłam po nim palcem i przewróciłam stronicę.

„Najlepsze pri'scuciańskie tłumaczenie, jakie zdołałem odcyfrować, zawierało słowa »cień« i »księżyc«, które później odnalazłem w rzymskim tekście jako »*noc'tu umbraj*«, czyli Nocny Cień”.

Kolejne notatki opisywały pri'scuciański jako pradawny język poprzedzający enochiański. Gdy obróciłam stronę, ujrzałam diagram przedstawiający coś, co wyglądało jak gwiazdy wpisane w kręgi i kwadraty z dziwnymi symbolami, czasami nachodzące na siebie jak w diagramie Venna, opisane jako alfabet. Przyglądałam mu się przez chwilę, przesuwając palcem po setkach małych symboli zapisanych w obrębie i poza obrębem figur, a później przerzuciłam stronicę, by zapoznać się z dalszą częścią notatek.

„Z tego, co się zorientowałem, Nocny Cień jest miejscem nieco przypominającym nasz świat, ale znacznie pradawniejszym. To płaszczyzna równoległa opisywana w dawnych tekstach jako Czyściec. Uważano, że kroczą tam swobodnie Upadli, którzy mogą przechodzić do naszego świata i z powrotem. Ludzkie dusze również zajmują tę krainę, choć nieznaną jest natura metody, jaką się tam pojawiają, ani powód. Jak rozumiem, nie mogą swobodnie przychodzić i odchodzić. Zważywszy na tę informację i to, co jest wiadome, pokusiłbym się o stwierdzenie, że owe dusze należą do tych przywiązanych do piekielnej krainy lub do tych, których łatwo zdeprawować i którzy zostawili po sobie niedokończone sprawy. Są to stracone dusze.

To właśnie tutaj, jestem tego pewien, znajdę dowody dotyczące mojej ukochanej Evelyn”.

Dziennik zawierał zapiski na temat koncepcji ludzkiej duszy i wspominał artykuły omawiające tę hipotezę. Ze stosunkową spójnością ojciec wyszczególniał, w jaki sposób umysł i mózg funkcjonują niezależnie od duszy, i przywoływał Sokratesa, który sugerował, że dusza istnieje po śmierci ciała. Objasniał również swoje teorie dotyczące aniołów i tego, co nazywał ich esencją, a co według niego było czymś w rodzaju odcisku palca niebiańskich istot.

Kiedyś w środku zimy zaciągnął mnie na stację metra, żeby zebrać wszystkie kawałki gumy do żucia, które zaschły na poręczach. Twierdził, że guma zdołała zachować w sobie „odciski” aniołów. Zanim wróciliśmy do domu, byłam już zmarznięta i zażenowana po tym, jak musiałam obserwować ojca biegnącego z ożywieniem od jednej poręczy do następnej, zbierającego dowody i śmiejącego się jak szaleniec.

Desperacko pragnęłam mu wierzyć, ale nie potrafiłam. Miałam po prostu wrażenie, że przez całe moje życie wszystko przedstawiał tak nedorzecznie. To jakby uwierzyć w bajkę. Dla mnie stanowiło to fikcję. Każdy element.

„Wszystko ma znaczenie – mawiał zawsze. – Po prostu musisz wypatrywać znaków”.

Przerzuciłam strony, by znaleźć więcej uwag o aniołach. O tych, które opisywał jako przeciwieństwo aniołów niebiańskich. O Upadłych. Wiedziałam o nich, odkąd byłam mała. Ojciec często ostrzegał mnie o ich niemoralnej i oszukańczej naturze. To oni byli strachami, których się bałam, gdy dorastałam. Jedyne odrobinę gorszymi od tych, których tytułował Mrocznymi lub Strażnikami. Według niego pradawni nazywali ich posłańcami. Zwiastunami śmierci i zagłady. Niektórzy rodzili się po to, żeby chronić ludzkość, ale inni powstawali, żeby nas niszczyć, i z powodu ich kapryśnej natury ojciec nigdy nie kategoryzował ich w pełni jako „tych dobrych”.

„Te istoty wydają się swoistymi wartownikami, poniekąd różniącymi się od swoich białoskrzydłych towarzyszy. Rozważałem znaczenie ich czarnych skrzydeł i doszedłem jedynie do wniosku, że służą temu, by mogły się odróżnić spośród innych skrzydlatych demonów”.

Następnie natknęłam się na szczegółowy szkic człowieka. Kucał na kamiennych ruinach kościoła, w których kiedyś się bawiłam, i miał nieobecny wzrok, jakby coś odległego przykuło jego uwagę. W jego profilu dało się dostrzec ostrą linię zuchwy. Idealną pochyłość rzymskiego nosa. Dojrzałe i mądre oczy.

Wszystkie znane mi szczegóły.

Przez większość dzieciństwa dręczyły mnie wizje nieznanego zawsze trzymającego się na skraju mojego pola widzenia. Niemal na jego granicy. Zawsze obserwował mnie przy zabawie i bardzo długo uważałam, że mieszka w pobliżu. Może w jednym z nielicznych sąsiednich domów albo w starym motelu kawałek dalej przy ulicy. Każdego dnia, gdy zapuszczałam się do kościoła, widziałam, jak stoi niedaleko ode mnie. Ani razu do mnie nie podszedł. Obserwował mnie przez chwilę, po czym zniknął.

Ciągnęło się to latami i widywałam go wszędzie. Na targowisku, gdy człapałam za ojcem. Po drugiej stronie ulicy ze szkolnego podwórka.

Wiecznie na mnie patrzył.

Czasami wskazywałam go innym, ale ci, których wypytywałam, zawsze twierdzili, że nikogo tam nie ma, przez co szybko zyskałam reputację szalonej. Dopiero gdy zamieszkałam z ciotką Nelle, te wizje zniknęły, a spowodowany tym niewyjaśniony smutek połączony z wyjazdem z domu wprowadził mnie w stan depresji. Zostałam sama. Opuuszczona zarówno przez ojca, jak i przez swojego wymyślonego przyjaciela.

Przynajmniej dotąd powtarzałam sobie, że jest wymyślony, ale gdy teraz wpatrywałam się w naszkicowany rysunek, zastanawiałam się, czy ojciec też cały czas go widywał.

Jeśli nie liczyć pospiesznych pociągnięć ukazujących wspaniałe czarne skrzydła wyrastające mu z pleców i rozciągające się na całą szerokość strony, wyglądał na dokładnie tę samą postać, która w dzieciństwie była w zasadzie moim stalkerem.

Absolutnie olśniewającym stworzeniem o najbardziej roziskrzonych niebieskich oczach, jakie kiedykolwiek widziałam.

Czy był aniołem, który mnie strzegł, jak zawsze twierdził ojciec?

Odrzuciłam tę myśl i przeglądałam dalej zapiski, poszukując kolejnych skrawków wiedzy na temat Nocnego Cienia. Im więcej czytałam, tym bardziej nie mogłam się powstrzymać przed dalszym czytaniem. Ogarnęła mnie dręcząca ciekawość wciągająca mnie coraz dalej w otchłań tego dziwnego, opisywanego przez ojca świata. Miejsca, które przyzywało mnie z powodów, jakich nie potrafiłam zrozumieć.

Podczas lektury ustaliłam jedną rzecz na temat ojca: nawet jeśli wpadł w obłąd i poddał się obsesji, kochał moją matkę gorącym uczuciem. Tak mocnym, że nie umiał znieść myśli, iż opuściła go na dobre. W pewnym stopniu byłam taka jak on. Nieprzerwanie ściagałam prawdę.

Lustina

Przeszłość

Skóra piekła Lustinę w miejscu, gdzie stara kobieta szorowała ją szorstko. Proces oczyszczania zajął dwa dni w lecznicy i wymagał nieustannego obmywania wodą podgrzewaną w dużym kotle, czasami zbyt gorącą. Szczotki drapały jej skórę, a tkanina nowej sukienki przy każdym ruchu ocierała się o rany. W tym czasie dawano jej wyłącznie rosół i wodę, by w ten sposób pozbyć się z jej organizmu wszelkich złych mikstur, jakimi mogła poić ją matka.

Jej długie włosy, kiedyś sięgające za pośladki, zostały ścięte krótko, niemal przy czaszce, tak że wyglądała teraz jak chłopiec. Ubrania, które uszyła jej matka, zostały spalone i zastąpione prostą białą sukienką z szorstkiego płótna, drażniącą jej skórę, oraz równie niewygodnym metalowym pasem.

Podążyła przez tętniący życiem, zielony dziedziniec klasztoru za kobietą, która najwyraźniej przewodziła tutejszemu kobiecemu klerowi znanemu jako pentashe. Jej miano, Matka Pentasha, dawało jej wyższą pozycję niż paru innym napotkanym przez Lustinę kobietom, jakie poznała po imieniu. Mężczyźni duchowni, określani jako pentroshe, odpowiadali przed Ojcem Pentroszem i spali w zupełnie oddzielnych kwaterach.

Wszyscy byli posłuszni biskupowi Venable.

Lustina podniosła wzrok na wspaniałą wysoką dzwonnice. Dźwięk wiszącego w niej dzwonu słyszała często ze swojej położonej w głębi lasu chaty. Gdy przypominała sobie pogłoski o dzwonnikach, których ugodził piorun, dreszcz przebiegł jej po plecach.

– Matko Pentasho, czy ktokolwiek zmarł na dzwonnicy podczas burzy z błyskawicami?

– Tak – odpowiedziała starsza kobieta, nie zwracając sobie głowy spoglądaniem na nią.

Dziewczyna przełknęła gulę w gardle, a gdy znów popatrzyła na wieżę, ta nie wydała jej się już tak wspaniała. Kiedy znalazły się w środku, wspięły się po kamiennych schodach do drzwi. Matka Pentasha otworzyła je, ukazując mały pokój z oknem wychodzącym na las. Znajdujące się w środku łóżko składało się z prostej ramy z siennikiem przykrytym wełnianą tkaniną. U jego stóp położono koc. Poza tym widziała tylko krzesło w rogu. Pomimo chłodu utrzymującego się w powietrzu samotna przestrzeń wydała się przyjemniejsza niż cienki pled służący za marne posłanie na kamiennej posadzce lecznicy, gdzie Lustina spała, odkąd się tu zjawiała.

– Nie będziesz ani jadać, ani spać wraz z pozostałymi – oznajmiła Matka Pentasha głosem ociekającym wyraźną pogardą. – Będziesz wstawać na dźwięk dzwonu, żeby wygłaszać Świętą Modlitwę Pańską. Później będziesz jeść i wykonywać swoje obowiązki aż do popołudniowego dzwonu, kiedy to znów wygłosisz modły. Kolejny raz zjesz i wrócisz do pracy wykonywanej aż do ostatniego dzwonu, kiedy to zmówisz wieczorną modlitwę, zjesz kolację i wrócisz do łóżka.

W domu matka również przydzielala jej obowiązki, zatem dziewczynie nigdy nie była obca praca rąk. Przyzwyczaiała się jednak do tego, że gdy skończyła, mogła swobodnie błąkać się po lesie.

– Rozumiem, Matko Pentasho. Jeśli skończę obowiązki wcześniej, czy wolno mi będzie chodzić po lesie?

Brwi kobiety ściągnęły się mocno.

– Jeśli skończysz wcześniej, otrzymasz kolejne obowiązki. Nigdy nie wejdiesz do lasu bez stosownej eskorty. Taka młoda dziewczyna jak ty nie jest przygotowana na kryjące się tam niebezpieczeństwa.

Lustinie zamarło serce. Spędziła niezliczone godziny na wędrowaniu wśród drzew i strumyków, na zbieraniu kwiatów i niezwykłych kamieni. Las nigdy nie wydawał jej się niebezpieczny.

– Tak, Matko Pentasho – odparła.

W drzwiach pojawiły się dwie inne pentashe w sutannach nieco mniej formalnych niż ta Matki. Jedna z nich, z ognistorudymi włosami wystającymi spod podwinki zakrywającej jej głowę, uśmiechnęła się do Lustiny. Był to pierwszy uśmiech, jaki dziewczyna widziała od chwili przybycia.

– Pentashe Maria i Aurelia zapoznają cię z twoimi obowiązkami – wyjaśniła starsza kobieta, przechodząc obok niej. – Nie wolno ci zbliżać się do kwater sypialnych pentroszhy ani do katedralnej krypty. Jeśli się temu nie podporządkujesz, spotka cię surowa kara. Czy wyraziłam się jasno?

Dziewczyna gwałtownie skinęła głową.

– Tak, Matko Pentasho.

Nie mówiąc już nic więcej, kobieta przepchnęła się obok Marii i Aurelii, a gdy zniknęła z pola widzenia, rudowłosa pentasha wystąpiła naprzód.

– Jestem Aurelia. Miło cię poznać.

Druga pentasha również podeszła, choć z większym wahaniem.

– Czy to prawda? – spytała. – Jesteś pomiotem czarownicy?

Uśmiech Lustiny zniknął, zgaszony bólem, który przekłuł jej serce na myśl o matce.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Aurelia szturchnęła towarzyszkę łokciem.

– Co to za niegrzeczne pytanie! – syknęła.

– Przepraszam. – Maria zarumieniła się i spuściła głowę. – Po prostu nie chcę, żeby spotkała mnie krzywda. Tak się składa, że bardzo miłuję swój żywot.

– Nauczano mnie miłować wszelkie życie. Zarówno zwierzęta, jak i ludzi.

Maria popatrzyła na nią podejrzliwie.

– Ale chyba nie rozmawiasz ze zwierzętami, prawda?

– Na Niebiosa, Mario, musisz pytać o takie rzeczy? – Aurelia prychnęła i pokręciła głową. – Proszę, ignoruj ją. Nasłuchiwała się zbyt wielu opowieści.

– To nie są opowieści, Aurelio. – Maria bawiła się krucyfiksem zwisającym z jej metalowego pasa. – Matka mówiła mi, że czarownice potrafią rozmawiać z leśnymi stworzeniami. W ten sposób przekonują je, żeby wykonywały ich polecenia.

Lustina nie zwracała uwagi na ich sprzeczkę, zauważyła natomiast, że Maria ma taki sam pas jak ona, a wcześniej sądziła, że tylko ją tak ukarano.

– Pas. Też go nosisz?

Maria zerknęła w dół i przytaknęła.

– Och, tylko podczas pokuty. Ucieszy mnie, gdy nie będę musiała już znosić tych piekielnych kolców.

– Pokuty?

– Tak. Kilka razy w roku poddajemy się pokucie.

– Rekoncyliacji za grzechy – poprawiła Aurelia.

– Ty pewnie będziesz musiała nosić swój nieco dłużej.

Po tym komentarzu Aurelia znów szturchnęła Marię.

– Poważnie, nie masz żadnych manier, Mario! Powinam nałożyć ci kaganiec.

Lustina zachichotała. Gdy patrzyła na tamte dwie, czuła, jak ciężar spoczywający na jej sercu staje się nieco lżejszy. Spuściła wzrok i ujrzała, że kolce przy pasku Marii są gęstsze niż u Marii.

Zorientowawszy się najwyraźniej, że jest obserwowana, Aurelia przesunęła palcami po pasie zwisającym jej tuż pod brzuchem, na którym w końcu oparła dłoń.

– Ja również muszę wiele odpokutować.

– Po prostu czuję ulgę na myśl, że nie jestem jedyną grzesznicą w tym miejscu.

– Wszyscy jesteśmy grzesznikami, Lustino. – Uśmiech Aurelii był ciepły i szczery. – Dopóki tylko prosimy o wybaczenie, nie ma to znaczenia w oczach Świętego Ojca.

Na tę myśl w piersi Lustiny rozkwitła iskierka nadziei.

– Mogę uzyskać wybaczenie?

– Tak – odparła miła pentasha. – Nie jesteś wyłączona z jego bezwarunkowej miłości.

Farryn

Deszcz smaga mnie po twarzy i przemacza za dużą zieloną praktyczną kurtkę, którą mam na sobie, sprawiając, że rześkie powietrze późnego października kąsa mrozem.

Widmowobiałą posąg świętego Feliksa z Praeepsii strzeże wejścia do Katedry Sióstr Felicjanek, gdy mijam barokowe żelazne ogrodzenie. W chwili, gdy staję w narteksie kościoła, uderza mnie słodka kwiatowa woń, a gdy się obracam, widzę wazon z różami oparty o pobliski wspornik. Kwiaty są białe, mają zgięte łodygi, ich płatki zwiotczały, ich końcówki stały się czarne jak atrament.

Zdejmuję przemoczony deszczem kaptur i rozglądam się dookoła.

Szerokie kolumny o idealnie zaokrąglonych łukach stoją po obu stronach rozległej nawy, a pod ścianami znajdują się konfesjonały. Na pięknych witrażach widnieją postacie świętych i apostołów. Ozdobne drewniane ławki lśnią po obu stronach, ustawione w kierunku ołtarza.

Znikąd słyszę „brzęk, brzęk, brzęk”.

Moje stopy ruszają w stronę tego dźwięku, poza moją kontrolą, mijają ołtarz i kierują się do klatki schodowej. Przygaszone światła rzucają przyćmiony blask, gdy schodzę do niższej piwnicy starej świątyni.

Brzęk, brzęk, brzęk!

Hałas niesie się echem w korytarzu i choć kusi mnie, żeby zawołać, nie chcę ściągnąć do siebie tego, kto wydaje ten odgłos. Zamiast tego stąпам ostrożnie i cicho. Dźwięki doprowadzają mnie do ceglanej ściany, gdzie krypta wydaje się kończyć, i zastygam w miejscu.

Na ceglach namalowano jakąś czarną substancją duży okrąg, w który wpisano figury.

Natychmiast go rozpoznaję.

Symbol oznaczający Nocny Cień.

Na tle cegieł i obrazu pojawiają się słowa, jakby pisało je coś niewidzialnego, a ja zastygam, przyglądając się materializującej się wiadomości.

„Odszukaj Van Croixa w Nocnym Cieniu”.

Ze stropu coś spada z trzepotem na podłogę. Wyciągam rękę, żeby to podnieść. Czarne pióro, którego czubek pokrywa ta sama czarna substancja, jaką wykonano napis na ścianie.

Brzęk, brzęk, brzęk!

Cegły wypadają z miejsc w murze, spadają z trzaskiem na betonową podłogę, a ja odskakuję bez tchu w tył, osłaniając twarz przed kłębami pyłu.

Gdy odsuwam dłoń od twarzy, widzę dwa ciała wiszące za szyje na linach przeplecionych przez kotwy w ścianie. Czarno-białe stroje mówią mi, że to zakonnice. Gruby krucyfiks zawiązany na dłoni jednej z nich uderza o rurę na ścianie z tyłu.

Brzęk, brzęk, brzęk!



Łapiąc ostro powietrze, otwieram oczy na ciemny strop akurat w samą porę, by dostrzec przemykający po nim cień. Wbijając tam wzrok, zapieram się gwałtownie nogami i uderzam plecami o zagłówek za sobą.

– *Ca'ligo an a tua.* – Te słowa wylatują mi z ust, zanim uświadamiam sobie, że je wypowiedziałam.

Cień zsuwa się po ścianie, śledzony światłami, które muszą dobiegać od reflektorów samochodu mijającego dom. Wrywając z siebie płytkie, drżące oddechy, rozglądam się po otoczeniu.

Trzęsącą się dłonią przesuwam po skroni.

– To tylko sen. To był tylko sen.

Boże, wydawał się taki realny, i w jakiś sposób paskudny odór zgniłego mięsa uwiązał mi w nosie. Czując mdłości, przełykam żółć, która podeszła mi do gardła, i pochylam się w bok, żeby włączyć lampkę na stoliku nocnym.

Głupie zdanie, które wypowiedziałam, było czymś, co zawsze mówiła ciotka Nelle, gdy budziła się z koszmarów, w wymyślonym przez siebie samą języku, który według niej stanowił sposób na odpędzenie złych duchów. To dziwne, że w ogóle je zapamiętałam.

Gdy zsuwam stopy na podłogę, coś łaskocze mnie w piętę; z wrzaskiem podrywam nogi z powrotem. Wyglądam przez krawędź łóżka i widzę, że coś spod niego wystaje.

Zduszam okrzyk, chwytam przedmiot i podnoszę go do światła. Każdy promień jego chorągiewki mieści w sobie srebrzystą metaliczną linię lśniącą w blasku żarówki. Widzę, że w wydrążonej stosinie stanowiącej oś widnieją wyjątkowe, zawile spirale.

Dotąd tylko jeden raz trzymałam pióro.

Zimne macki strachu pełzną mi po plecach.



– Tato, zobacz, co znalazłam! – Niosę długie czarne pióro przez labirynt książek zalegających w gabinecie ojca i wyciągam je w jego stronę. – Tato, spójrz!

– Chwila – mówi z twarzą pochyloną nad mikroskopem.

Z uśmiechem chowam pióro za plecami i czekam cierpliwie, aż podniesie wzrok. Mam wrażenie, że trwa to wieczność.

Wreszcie unosi twarz znad okularu i robi jakieś notatki w książce leżącej obok niego na biurku. Tak wiele książek. Tak wiele naszkicowanych obrazków rzeczy, które widzi pod tym mikroskopem. Gdy w końcu się do mnie obraca, ledwo jestem w stanie powstrzymać podekscytowanie.

– Co takiego chcesz mi pokazać, moje rozentuzjzmowane elfie maleństwo? – Kończy pytanie chichotem i przekręca fotel, żeby móc patrzeć prosto na mnie. Z brązowymi oczyma osadzonymi pod krzaczastymi siwymi brwiami i niesfornymi równie siwymi włosami, które zawsze zbiera w kucyk, wygląda bardziej na mojego dziadka, ale nie przejmuję się tym. To najcieplejsze i najtroskliwsze oczy na całym świecie. I choć tata często jest zajęty pracą, to gdy ze mną rozmawia, zawsze się do mnie obraca. I słucha. Naprawdę mnie słucha.

– To niespodzianka. Jesteś gotów, żeby ją zobaczyć?

– Umieram z niecierpliwości. – Uśmiech rozkwita mu szeroko wokół krzywych zębów, o których mama mawiała, że są jego najbardziej wyjątkową cechą. – To co zamierzasz mi pokazać?

Z barkami drżącymi z podniecenia wyciągam pióro zza pleców i kieruję w jego stronę.

– Tadam! Ptasia pióro!

Uśmiech na jego twarzy rzadnie do poważniejszego wyrazu, a te siwe krzaczaste brwi ściągają się, gdy wysupluje czarne pióro z moich palców.

– Skąd to masz?

– Z kościoła. – W lesie stoją szczątki starej świątyni, która splonęła. Tata mówił, że miała dwieście lat! To właśnie tam czasami zabieram swoje lalki, żeby się bawić. Rozmawiam tam również z matką, choć wiem,

że nie słyszy mnie aż z nieba. Ale tata mówi, że ona jest tu, na ziemi, i zapewnia, że kiedyś mnie do niej zabierze.

– Nigdy więcej nie wolno ci już chodzić samotnie do tego kościoła. Czy mnie rozumiesz?

– Ale tato, przecież tam się bawię. I czasami rozmawiam z mamą.

– Posłuchaj mnie, Farryn. Tam jest bardzo niebezpiecznie. Czy wiesz, co to jest?

– Ptasie pióro.

– Nie, dziecko. Należy do mrocznych aniołów. Pamiętasz, co ci o nich opowiadałem?

Oczywiście, że pamiętałam. Po jego opowieściach do dziś mam koszmary. Przytakuję ze spuszczoną głową.

– Ale mówiłeś, że te dobre też mają czarne skrzydła.

– Te dobre nie przejmują się takimi małymi dziewczynkami jak ty ani nie jesteś im do niczego potrzebna. Koniec z wałęsaniem się. Masz trzymać się blisko tego domu i informować mnie, jeśli zobaczysz coś dziwnego.

– Co dziwnego?

– Obserwujące cię oczy. Oczy jak płomienie.

– Nigdy dotąd nie widziałam takich oczu.

– I niech Bóg i anioły sprawią, by to się nie zmieniło.

Minęło ponad dziesięć lat, odkąd ostatni raz widziałam granatowo-czarne pióro, które skojarzyło mi się ze skrzydłem kruka. Oparłam się w fotelu, który zajęłam w domu ciotki, i obracałam pióro w palcach, obserwując, jak przy każdym obrocie srebrzyste końcówki tworzą metaliczną smugę.

Zerwałam się z fotela, czując, jak coś miękkiego muska mi kostki. Wibrujące miauczenie kazało mi spojrzeć w dół, gdzie Camael, olśniewająca kocica rasy sfinks, którą odziedziczyłam po ciotce Nelle, owinęła mi się wokół nóg. Przycisnęłam dłoń do piersi i odetchnęłam drżąc.

– Jezu.

Mruknęła, przeszła pod moją dłoń i wskoczyła mi na kolana.

– Zastanawiałam się, kiedy wreszcie zaszczycisz mnie swoją obecnością – powiedziałam, gładząc jej ciepłą, aksamitną skórę. Przekręciła się na grzbiet, rozciągnęła na moich założonych nogach i zadarła szyję do porządnego drapania, aż się podporządkowałam. Jako ukochana pupilka ciotki przywykła do rozpieszczania i nie zawahała się przed przydzieleniem mi roli zastępczej opiekunki po tym, jak Nelle zmarła. – Ona cię rozpuściła. Wiesz to, prawda? Koty nie powinny mieć takiej kontroli nad istotami ludzkimi.

Jak można się było spodziewać, leniwa kocica zareagowała jedynie przeciągłym mrugnięciem, niewątpliwie skupiając się na drapaniu, a nie na moich słowach.

Usługując jej, wolną ręką przesuwalam szklę powiększającym po powierzchni pióra, przyglądając się małym zawijasom ukrytym w srebrnych pasmach. Przy bliższej analizie dostrzegłam jeszcze mniejsze symbole. Całe setki.

Marszcząc czoło, pochylałam się nad Camael i przyjrzałam się szczególnie gęstemu zgrupowaniu umieszczonemu w stosinie. Tak szybko chciałam się podnieść, że zrzuciłam kocicę z kolan.

– Przepraszam, kochanie. – Pieściłam ją jeszcze przez chwilę, zanim odeszła dostojnym krokiem, bez wątplenia wkurzona na mnie, po czym zaczęłam przetrząsać karton w poszukiwaniu notatnika, który widziałam przed kilkoma tygodniami.

Po przejrzaniu kilku innych znalazłam wreszcie ten, o który mi chodziło, i zaczęłam przewracać kolejne strony ze szkicami. Symbole wszelkich kształtów i rozmiarów, a obok nich nazwy i opisy. Przez lupę dostrzegłam jeden konkretny symbol i teraz wypatrywałam go w notatniku.

„Libidine” nazwał go ojciec, po czym zdefiniował jako symbol pożądania. Wyjaśnił również, że obecność konkretnych znaków w sekwencji oznacza każdy z siedmiu grzechów głównych. Iracundia dla gniewu, Invidia dla zazdrości, Avaritia dla chciwości i tak dalej.

Wróciłam na fotel, żeby przejrzeć dalsze symbole. Dziesiątki symboli. Może setki. Wszystkie z nich nazwane i skategoryzowane, co musiało zająć niezliczone godziny.

– No dobra, co próbujesz mi powiedzieć, tato? Że to wszystko jest prawdziwe?

Przesuwałam szkłem powiększającym pomiędzy piórem a notatnikiem i z powrotem. Nie mogło być jedynie zbiegiem okoliczności, że pióro pozostawione w mojej sypialni miało na sobie znaki odpowiadające odręcznym notatkom ojca.

Pokręciłam głową, wciąż nie chcąc uwierzyć w to, co próbował przekazać mi wszechświat. W niemożliwość, która wylądowała mi na kolanach.

Że wszystko, co mówił mi ojciec, jest prawdą.

Anioły istniały.

I Nocny Cień zapewne również.

Jericho

Terażniejszość

Przenikliwy wiatr smagał mi twarz, gdy przeciskałem się przez tłum w drodze na rynek. Naciągnąłem niżej kaptur skórzanego płaszcza, starając się przysłonić bliznę przecinającą mi wargę – moją najbardziej charakterystyczną cechą oprócz opaski na oku. Jedno i drugie zawdzięczałem uprzejmości Upadłych.

Przechodnie wpatrywali się we mnie, gdy ich mijałem. Niektórzy niewątpliwie wiedzieli, kim jestem, podczas gdy inni jedynie się domyślali. Obchodzili mnie szerokim łukiem, kilkoro zeszło nawet z chodnika na ulicę, żeby się ze mną nie zetknąć.

Śmierć – tak mnie nazywali. Żniwiarz z Nocnego Cienia.

Jak na ironię ci biedni gnoje już byli martwi.

Po prostu jeszcze o tym nie wiedzieli.

Popielisty poranek tworzył ponure tło dla konturów pradawnych budynków z tej dzielnicy, których spiczaste gotyckie dachy wbijały się w niebo niczym wypuszczane w oddali strzały. Ta miejscowość była zaledwie jedną z wielu w Nocnym Cieniu, mrowiącą się od zagubionych dusz, które niedawno przeszły ze śmiertelnej czy też ziemskiej krainy. Za tym cienkim skrawkiem światła w atmosferze, zdradzane przez łagodny blask wilczych jagód, z których kolorem kojarzyło się to miejsce, leżało cieniście uniwersum. Bezkresne morze mroku. Niebyt.

Ex Nihilo.

Jeszcze chłodniejsze i bardziej rozpaczliwe miejsce banicji, jeśli to w ogóle było możliwe. Składało się na czerń, która ukrywała naszą fortecę przed jej siostrzanym światem na ziemi.

Mroczny nieśmiertelny bliźniak, do którego liczne dusze trafiały po śmierci.

Minałem starszą kobietę, która otworzyła szerzej oczy na mój widok i przeżegnała się, mamrocząc coś po hiszpańsku. Część mnie miała ochotę się roześmiać. Nocny Cień nie był miejscem dla pobożnych. Ładowali tu jedynie niewierzący, ci, którzy kwestionowali istnienie Niebios, których dusze łatwo mogły zostać zbrukane przez mroczne i podejrzane postacie, wyłapujące ich z ulic tak łatwo, jakby zrywały owoce z winorośli. Miejsce bezprawia, gdzie rządzili Upadli władcy, a ludzie stanowili jedynie tanią siłę roboczą. Byli splamionymi duszami kupowanymi i sprzedawanymi jak towary. Nic jej nie groziło z mojej strony. Prawdziwe zagrożenie dla niej chowało się pod przykrywką zwykłych osób. Upadli rzadko ujawniali swoją prawdziwą naturę, nawet jeśli mogli swobodnie poruszać się po Nocnym Cieniu, nie przyciągając baczących spojrzeń niebiańskich aniołów, które niemal nigdy nie przechodziły z płaszczyzny śmiertelników. Przypuszczałem, że tutejsze dusze po prostu nie były warte wysiłku, jakiego wymagałoby ich ratowanie.

Na końcu długiego szeregu handlarzy oferujących swoje towary znalazłem to, po co zapuściłem się w zimno i tłum: kowala. Przyspieszyłem kroku i podszedłem do mężczyzny równie wysokiego i krzepkiego jak ja, który zmrugał oczy na mój widok.

– Van Croix. – Mówił cicho, najwyraźniej nie chcąc zwracać na siebie niepożądaną uwagę.

Gdy przytaknąłem, wskazał ruchem głowy, żebym udał się za nim. Obszedł swoje stoisko i stanął przy niezaprężonym wozie zaparkowanym z tyłu.

– Zaczekaj tu – powiedział, po czym wślizgnął się do wozu, zostawiając mnie na zewnątrz.

Czekając, wsunąłem dłoń do kieszeni i wyciągnąłem srebrną monetę, którą zacząłem przekładać pomiędzy palcami.

Poczułem lekkie pociągnięcie za płaszcz i obróciłem się gwałtownie. Ujrzałem młodego chłopca, zapewne nie starszego niż dwanaście lat, który na widok mojej twarzy wybałuszył oczy. Cofnął się o krok, przepraszając, a wtedy zauważyłem, że jego poprzecierane ubranie skrywa wychudzoną sylwetkę. Głodował.

Przestałem kręcić monetą i wyciągnąłem ją w jego stronę. Dzięki niej mógłby kupić sobie kilka posiłków i zdobyć dach nad głową na noc.

Małec zerknął na pieniążek i znów popatrzył na mnie, kręcąc głową.

– Nie mogę.

– Umierasz z głodu.

– Ale pójdzie na układ ze Śmiercią byłoby gorsze – wypalił drżącym, niepewnym głosem, wciąż przesuwając spojrzeniem od monety do mnie.

– Jesteś taki uparty? – Wciąż podawałem mu pieniądze i pstrykałem palcami, zachęcając, żeby go wziął.

Z brwiami uniesionymi w wyrazie paniki wyciągnął do mnie trzęsącą się dłoń, zupełnie jakby chciał wziąć monetę, ale zatrzymał się w połowie gestu, obrócił i czmychnął w przeciwną stronę.

Marszcząc czoło, uniosłem twarz ku niebu.

– I jak niby miałbym się odkupić, jeśli towarzyszy mi godna pogardy reputacja Śmierci?

Pokręciłem głową i znów skierowałem uwagę na kupca, który wyłonił się z wozu, trzymając brązową skórzaną pochwę. Gdy z przyjemnym świstem ostrej stali wyciągnął kryjącą się w środku broń, światło błysnęło na jej wspaniałej klindze.

Niebiańska stal. Niemal niemożliwa do zdobycia w miejscu takim jak Nocny Cień, chyba że ktoś dysponował odpowiednimi koneksjami.

I był gotów zapłacić odpowiednią cenę.

Wystarczyło draśnięcie, żeby posłać kogoś w czarną otchłań Ex Nihilo. A ja nie potrzebowałem więcej niż draśnięcia.

– Czy o to ci chodziło? – zapytał kupiec, poruszając bronią przede mną.

Wysuplałem rękojęść z jego palców, zauważając idealne wyważenie i to, jak świetnie leżała mi w dłoni.

– Tak. Nada się. – Sięgnąłem pod płaszcz po całkiem solidną zapłatę w gotówce, wciąż podziwiając miecz, jaki dla mnie stworzył. Gdy podałem mu pieniądze, mężczyzna jedynie uniosł dłonie.

– Jak już omówiliśmy, chcę tylko, żebyś oszczędził mi swojego gniewu. Mnie i mojej kobiecie.

Chętnie wyświadczyłbym mu tę przysługę, gdyby za ich obawami kryła się choć odrobina prawdy. Po tym, jak kilkakrotnie zniknąłem i zostałem okaleczony, jakoś doszło do tego, że pogorszyłem swoją reputację, co jeszcze bardziej podsyciło pogłoski, że pełnię funkcję Kosiarza czy też Śmierci. Nawet w życiu pozagrobowym plotki z jakiegoś powodu szerzyły się niczym pożar.

– Nie jestem dla ciebie zagrożeniem. – Uniosłem oferowaną sakiewkę wyżej.

Przyglądał się jej podobnie jak wcześniej chłopiec monecie, niemal jakby śnił. Tyle pieniędzy pozwoliłoby mu wykupić wiele swobód od władców – upadłych aniołów – którzy zbierali podatki oraz przysługi od mieszkańców i karali ich, gdy ci nie mogli się wypłacić.

Mężczyzna uparcie pokręcił głową.

– Twoje miłosierdzie mi wystarczy.

Głupiec. Tak, w Nocnym Cieniu nawet dusze mogły umrzeć i wtedy tkwiły w tej krainie bez żadnej nadziei na zbawienie albo uwolnienie.

Jednak niewola u Upadłych mogłaby być czymś gorszym.

– Jak chcesz – rzekłem, przypinając pochwę pod płaszczem, żeby ją ukryć.

– Niech Bóg cię błogosławi – powiedział mężczyzna z ulgą.

Parsknąłem na te słowa.

– W Nocnym Cieniu nie ma Boga.



Przyklęknąłem na głazie obok Cassiela, jednego z dwóch upadłych aniołów, których darzyłem choćby odrobiną zaufania i mogłem nazywać znajomymi. Wraz ze swym bratem Remielem, w skrócie Remym, odwrócili się przed laty od swoich władców, gdy Upadli mnie uwięzili. Zdołałem uciec dzięki ich pomocy i od tamtej pory służyli mi jako swoista ochrona, pilnująca Urwiska Czarnej Wody i otaczających je ziem, gdzie zamieszkiwałem.

Ścieżka, którą obserwowaliśmy, biegła wzdłuż gęstego lasu prowadzącego do Góry Czarnej Wody. W dole dwóch mężczyzn przyglądało się okaleczonym szczątkom, które tam pozostawiono. Ludzkim szczątkom.

– Obwinia cię – powiedział Cassiel. – Nie bądź zaskoczony, jeśli przyjdą z pochodniami i zażądamy twojej głowy. Kosiarcz z Nocnego Cienia znowu zaatakował!

Uśmiechnąłem się na te słowa, patrząc, jak jeden z mężczyzn unosi z ziemi zakrwawioną koszulę na końcu kija.

– Jestem bardzo ciekaw, czego to jest sprawką. – Nie żebym jakoś szczególnie przejmował się tym, co myślą o mnie mieszkańcy, bo zdecydowanie wołałem, żeby mnie unikali. Po prostu wiele z ostatnich ataków miało miejsce dość blisko terenów katedralnych.

– Rozejrzę się w lesie i sprawdzę, czy uda mi się coś znaleźć.

– Remy może ci towarzyszyć.

– Wolałbym nie – jęknął Cassiel. – Ostatnie, na co mam ochotę, to wysłuchiwać opowieści o jego dokonaniach.

– Obawiasz się, że mogą dorównać twoim?

– Informuję cię, że od pewnego czasu trzymam tylko z dziwkami. Cnotliwe kobiety są nudne.

Zachichotałem.

– Zupełnie jakbyś kiedyś miał do czynienia z jakąś cnotliwą kobietą.

– Parę znałem. Zawsze ciągnęło mnie do zakonnic.

– Jak to działa? – Zerknąłem w bok i zobaczyłem, że wargi Cassiela rozciągają się w złośliwym uśmiechu pod oczyma o barwie żaru, które odróżniały go od srebrnookich niebiańskich aniołów. Pasowały do koloru piekielnych płomieni, w które przetransformowały jego skrzydła, gdy stał się Upadłym.

– W zasadzie to całkiem nieźle. – Skinął w stronę okaleczonego ciała poniżej. – Jak według ciebie to wygląda? – spytał, szybko zmieniając temat. – Absolutna śmierć.

– Moim zdaniem oznacza spokój.

Pokręcił głową, wciąż nie odwracając wzroku.

– Nie dla mnie. Nie po tym, jak zdradziłem swoich braci. – Śmierć dla Upadłych nigdy nie była prawdziwą śmiercią. Ich dusze po prostu trafiały z powrotem do Piekielnych Ziem, do nadzorującego je demona. Chyba że, rzecz jasna, ugodziła je niebiańska stal. W takim przypadku wracały do Niebytu. – Jeśli niebiosy uznają mnie za niegodnego odkupienia, wtedy odnajdę ucieczkę w Ex Nihilo.

– Byłbyś gotów wybrać wieczny mrok i ciszę?

– Tak. Gdybym kiedykolwiek wylądował po niewłaściwej stronie twojej klingi, prosiłbym cię tylko o jedną przysługę, przyjacielu. O miłosierdzie.

– Masz moje słowo.

Farryn

Przez trzy kolejne godziny czytałam dziennik ojca, pochłonięta zapamiętanymi z dzieciństwa opisami miejsca, które z łatwością mogłoby pochodzić z mrocznej baśni. Miejsca pełnego dziwnych leśnych stworzeń, z których część naszkicował, nieprzypominających nic, co kiedykolwiek widziałam. Miejsca, w którym cienie pełzały niezależnie od rzucających je obiektów, a wiatr niósł szepty, gdy nikogo nie było w okolicy.

Zupełnie jak w jakiejś pochrzanionej Krainie Czarów.

Czytając jego szczegółowe opisy, zastanawiałam się nad dwiema rzeczami: czy naprawdę tam był i na ile trzeźwy miał umysł, gdy to wszystko spisywał?

Kiedy zamykałam okładkę, coś wypadło ze środka na blat biurka. Strzępek papieru, sprawiający wrażenie, jakby został wyrwany z wnętrza. Została na nim jedynie niewielka część tekstu, a gdy na nowo przejrzałam dziennik, zorientowałam się, że wydarto z niego część stron aż do samego grzbietu.

„Obawiam się, że popełniłem poważny błąd. Że odkryłem coś, co nie miało zostać znalezione. Boże, wybacz mi moją ignorancję”.

Resztę strony wyszarpnęto i mogłam jedynie zastanawiać się nad znaczeniem jego słów. Przeszłam dalej.

„Podczas moich badań i dociekań uświadomiono mi istnienie kogoś, kto mógłby mi pomóc w podróży przez tę płaszczyznę. Posługuje się imieniem Xhiphias. Jest mężczyzną o wielkiej wiedzy i spostrzeżeniach, na jakie nie natknąłem się nigdy u innej istoty ludzkiej. Ze względu na życie mojej Farryn muszę przejść do Nocnego Cienia i odnaleźć Van Croixa przed kolejnym krwawym księżycem. Jestem pewien, że Xhiphias może mi pomóc to osiągnąć.

Jest jedynie kwestią czasu, zanim Pentacrux ją odnajdzie”.

Gdy to czytałam, zmroziło mi krew. Przypomniałam sobie wiadomość ze snu.

„Odszukaj Van Croixa w Nocnym Cieniu”.

Parne wrażenie mdłości kazało mi oddychać przez nos. Słyszałam opowieści o ludziach komunikujących się ze zmarłymi za pośrednictwem snów, ale nie mogłabym powiedzieć, że naprawdę uważam to za możliwe. Mimo to siedziałam, kręcąc głową, przekonana, że musiałam o tym czytać, zanim przyśnił mi się ten sen.

Poza tym nie miałam nawet pewności, czy on rzeczywiście zmarł.

No i kim, do cholery, był ten cały Van Croix oraz co miał z tym wszystkim wspólnego? Jakie było znaczenie krwawego księżyca? Do czego dogrzebał się mój ojciec?

Pytania zderzały się w mojej głowie i odbijały od siebie, wywołując paskudny ból. Pomasażowałam skroń, próbując odnaleźć sens w zagadkowych krótkich wiadomościach, aż doszłam do wniosku, że być może po prostu wpatrywałam się w nie zbyt długo. Podniosłam dziennik z biurka i znowu przeczytałam ostatnie zdanie, by się upewnić, że rozumiem je prawidłowo, gdy uderzyła mnie pewna myśl.

A co, jeśli mój ojciec gdzieś żyje? Co, jeśli Xhiphias był ostatnim, który go widział albo z nim rozmawiał?

Na odwrocie wyrwanej strony znalazłam adres w Chicago. Niewątpliwie nie można było powiedzieć,

żeby leżał w najlepszej dzielnicy, ale było to około dwudziestu minut od mojego domu. Szybkie wyszukiwanie w Google Maps pokazało mi, że to adres firmowy. Należący do apteki, w której, jak miałam nadzieję, będą też inni klienci. Światła ostrzegawcze praktycznie migały mi przed oczyma, ale cała sprawa wzbudziła moją ciekawość.

Odezwał się dzwonek. Obróciłam gwałtownie głowę w kierunku przedsionka leżącego za drzwiami gabinetu. Czy w ogóle kiedyś słyszałam ten odgłos? Ostatnią odwiedzającą mnie osobą była pani z sąsiedztwa mówiąca mi, że jej pies obsikał krzaczki różane cioci Nelle.

Marszcząc czoło, wstałam zza biurka i podreptałam w kierunku drzwi wejściowych. Przez wizjer dostrzegłam patrzącego na mnie detektywa Hinesa.

Co, do...

Po chwili wahania, w której rozważałam, czy prawo wymaga ode mnie reakcji na jego wizytę, zwolniłam wszystkie trzy zamki i nieznacznie uchyliłam drzwi.

Jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

– Panno Ravenshaw, przepraszam, że niepokoję panią o tak późnej porze. Chciałem po prostu omówić z panią kilka spraw.

Jezu, musiała już być północ.

– Jak pan... Skąd pan wie, gdzie mieszkam? – W duchu rzucałam mu wyzwanie, by powiedział, że specjalnie mnie szukał, ponieważ kiedyś podjęłam mozolne wysiłki, żeby usunąć informacje o sobie z internetu. Albo, co gorsza, że ojciec Bane mimo wszystko przekazał mu mój adres.

Detektyw ściągnął wargi, założył ręce na piersi i prychnął.

– Niech pani posłucha, będę z panią szczery. – Nachylił się bliżej i obniżył głos: – Nie co dzień odnajduję kogoś i zapraszam do tego, by wraz ze mną przejrzeć akta.

– Wciąż nie odpowiedział pan na pytanie. Skąd pan wie, gdzie mieszkam? – Nawet jeśli użył jakiejś superdogłębnej policyjnej bazy danych, by mnie wyśledzić, chciałam, żeby się do tego przyznał.

– Jechałem za panią.

– Cóż... to cholernie dziwne.

– Czyli... będziemy prowadzić tę rozmowę przez drzwi? Nie zajmę pani wiele czasu. Obiecuję.

Nagle nie byłam już taka pewna, czy chcę mówić z nim o swoich odkryciach.

– Ja również będę z panem szczerą. Zapraszam pana do środka jako zawodowca przybyłego tu, by rozmawiać o symbolice kultu religijnego. – To raczej nie wypadło zbyt dobrze.

– A po co innego miałbym tu przyjść? – W tym momencie zauważyłam, że trzyma pod pachą skoroszyt, a po swoim ostatnim śnie i po zobaczeniu zdjęcia zamordowanej kobiety, które mi pokazał, nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć, co jeszcze zawiera teczkę.

Z wahaniem obejrzałam się przez ramię w kierunku otwartych drzwi do gabinetu, gdzie na blacie biurka, zupełnie na widoku, leżało pióro.

– Czy mogę pana przeprosić na chwilę? – zapytałam i zamknęłam przed nim drzwi.

Przebiegłam przez przedsionek i zatrzasnęłam wejście do biura, po czym wróciłam pospiesznie; gdy znów mu otworzyłam, policjant popatrzył na mnie spod uniesionej brwi.

– Mieszka pani sama? – Wszedł do środka i się rozejrzał. Z jakiegoś powodu wykręciło mi żołądek.

Nigdy nie zapraszałam nikogo do swojej przestrzeni osobistej. Sam fakt, że widziałam, jak mężczyzna stoi w przedsionku cioci Nelle, wydawał mi się naruszeniem miru domowego.

– Dlaczego pan pyta?

– Bez powodu.

Bawiąc się nerwowo palcami, poprowadziłam go do kuchni. Być może wiodłam psychopatę do jedyne go pomieszczenia w domu, w którym znajdowały się noże, a jednak szłam na przedzie jak cholerny przewodnik turystyczny w Rzeźnikowie Zdroju. Poczułam się tak, jakby po skórze pełzło mi coś oleistego. Obejrzałam się przez ramię, upewniając, czy trzyma się w odpowiedniej odległości ode mnie.

– Proszę usiąść przy stole, detektywie. Napije się pan czegoś?

– Nie, nie zostanę długo. – Opadł nieco zbyt ciężko na jedno z krzeseł, a ja się skrzywiłam, gdy delikatne drewno zaskrzypiało. Przez krepującą chwilę wpatrywał się we mnie. – Nie mogę oderwać wzroku od pani oczu. Są takie... niezwykle.

Ojciec mawiał mi, że cała niebiańska galaktyka mieszka w moich oczach, co było równie niepokojące

jak teoria, że w żołądku z połkniętej pestki wyrasta drzewo wiśniowe.

– Nigdy wcześniej nie widziałem nic podobnego. – Wskazał własne oczy, ciemnobrązowe, jak zdążyłam zauważyć. – Tyle różnych kolorów.

– Chyba rzeczywiście są nieco niezwykle.

Po tym, jak znowu wgapił się we mnie, miałam ochotę wypełznąć ze swojej skóry. Na szczęście policjant odchrząknął i spuścił wzrok.

– Niedawno zostałem wtajemniczony w informację, że... uczęszczamy do tego samego kościoła.

– Tak naprawdę nie uczęszczam do niego.

– Racja. Niemniej co kilka tygodni chodzi pani do spowiedzi. I została pani wychowana w dość silnym katolickim duchu, zgadza się?

– Proszę mi wybaczyć, detektywie, ale jaki jest cel tych wszystkich pytań o moje sprawy osobiste?

– Ojciec Bane jedynie o tym wspomniał, to wszystko. – Rozejrzał się po kuchni w sposób każący mi uznać, że czegoś szuka. Poczułam, że żal, iż go wpuściłam, pali mnie w trzewiach niczym zgaga. Położył skoroszyt na stole i westchnął. – Wczoraj wczesnym rankiem otrzymałem telefon z Katedry Sióstr Felicjanek.

Gdy otworzył teczkę, przyspieszył mi puls. Pierwsze zdjęcie, jakie mi pokazał, przedstawiało przerośnięty krucyfiks z Jezusem, który odwrócono do góry nogami, znajdujący się przed czymś, co wyglądało na kościelny ołtarz. Nie potrafiłam się nie zastanawiać, w jaki sposób, u diabła, ktoś zdołał go przekreślić. Wydawał się wielki na tle ściany.

– To ich katedra, w której przebywało kilka zakonnic przybyłych na wieczystą adorację.

– Czcieli diabła? Zawiedziony parafianin? To wydaje się dość oczywiste.

Detektyw wydał z siebie niewesoły odgłos i wysunął ze skoroszytu następną fotografię. Widniała na niej kobieta z lekką nadwagą, przed siedemdziesiątką, jeśli oceniać po siwiźnie we włosach i paru zmarszczkach na skórze, kłęcząca, naga i zgarbiona. Jej ciało opierało się o pręt przebijający jej czaszkę. Ujęcie z mniejszej odległości ukazywało palce splecione jak do modlitwy, owinięte metalowym paskiem nabitym najwyraźniej kolcami, ponieważ po przedramionach spływała jej krew. Spomiędzy palców zwiślał różaniec.

Ale co było w tym najgorsze? Usunięto jej kręgosłup – usunięto – zostawiając krwawy wąż okaleczonego ciała na środku jej pleców. Na jego miejscu znajdowały się grube sploty drutu kolczastego przytwierdzone do czaszki i kości krzyżowej kobiety, służące za makabryczny, sztuczny substytut.

– To ich matka przełożona. Tamtejsza główna zakonnica. – Dźwięk głosu Hinesa tonął w szumie krwi w moich uszach. – Jedna z sióstr z dormitorium, czy gdzie one tam śpią, mówiła, że zaalarmował ją jakiś dźwięk dochodzący z dołu, z kaplicy. Podobno brzmiało to jak walenie w rurę – paplał dalej, ale ja słyszałam go z każdą chwilą ciszej.

Z trudem przełknęłam ślinę, ale to nie pomogło odetkać moich uszu i jedynie patrzyłam na niego, zastygła jak kamień. Zahipnotyzowana wyłożonym przede mną właśnie koszmarem. Nigdy w życiu nie widziałam niczego bardziej przerażającego.

– A jej kręgosłup? Pewnie go nie znaleźliście?

– Nie – odparł. – Wygląda na to, że sprawca wziął go na pamiątkę. Podobno określała niewierzących mianem tchórzy pozbawionych kręgosłupa.

Mozolne oddychanie przez nos stanowiło kiepską próbę ukrycia, że tak naprawdę ledwo jestem w stanie zaczerpnąć tchu.

– Niewierzących?

– Zakładamy, że chodziło jej o mordercę Alicii Maxson. – Pierwsza sprawa, o jakiej mi mówił, z prostytutką z motelowego pokoju. – Dowiedzieliśmy się, że dawniej Alicia uczyła się w zakonie. Przynajmniej przez krótki czas. Odeszła. Niedługo potem wylądowała na ulicy. Pomimo jej... decyzji życiowych wygląda na to, że była lubiana przez zakonnice. Szczególnie przez matkę przełożoną.

– Hmm. Z kręgosłupa musiało wyjść niezłe trofeum... – Głos załamał mi się pod koniec tych słów, gdy poczułam, jak kwasy żołądkowe podchodzą mi do gardła.

Boże, tylko nie zwymiotuj.

Na wszelki wypadek zakryłam usta grzbietem dłoni.

– Nie posiadam wykształcenia medycznego, ale to nie ma sensu. – Hines pokręcił głową, zupełnie jakby w ogóle nie zauważał moich prób utrzymania kolacji w żołądku. – Kręgosłup wyrwano. Wyrwano. Nie

ma śladów nacięcia. Albo piłowania kości. A przecież jest przymocowany do żeber, czaszki i cholera wie do czego jeszcze. Sprawca musiałby użyć przeklętej pilarki, żeby to zrobić. Poza tym ktoś na pewno usłyszałby odgłosy piłowania.

– Nikt niczego nie słyszał?

– Część zakonnic donosiła, że około jedenastej usłyszały krzyki. Poza tym nic.

– Zatem co każe panu sądzić, że wyrwano jej kręgosłup?

– Pęknięcia na żebrach. Rozszczypiły się tak, jakby zostały gwałtownie oderwane. Lekarz medycyny sądowej musi to oczywiście potwierdzić, ale takie jest nasze pierwsze odczucie.

Uniosłam oczy do sufitu, zmuszając się do oddychania przez nos i do tego, by, do jasnej kurwy, nie spoglądać znowu na ten kolczasty twór.

Niestety Hines spytał:

– Ma pani jakieś przemyślenia na ten temat? Tego metalowego przedmiotu w jej dłoniach? Kolców? Sposobu, w jaki wbiły się w jej ciało?

Byłam jedynie w stanie z mozołem przełknąć ślinę, żeby cofnąć treść żołądkową, która pragnęła rozprysnąć się po podłodze.

– Panno Ravenshaw? – Na dźwięk głosu detektywa zdusiłam to wszystko i znowu na niego popatrzyłam. – Dobrze się pani czuje? Zbladła pani trochę.

– Dobrze. Hmm... Kolce stanowią oczywiście odniesienie do Jezusa i korony cierniowej, ale... – Znow przełknęłam ślinę, czując zgagę. Zdziwię się, jeśli po tym wszystkim w przełyku nie zostaną mi wypalone dziury. – Łańcuch w jej dłoniach wygląda na jakiś rodzaj cilicium.

– Co to takiego?

– Pas z łańcucha ze szpikulcami służącymi do podrażniania skóry. To sposób zadośćuczynienia za grzechy.

– Interesujące. – Hines pokręcił głową i prychnął. – W każdym razie znak, który chciałem pani pokazać, został znaleziony w krypcie.

Gdy wysunął ze skoroszytu jeszcze jedno zdjęcie, ogarnęła mnie chłodna fala szoku.

Ceglana ściana. Taka sama, jak w moim śnie. Symbol Nocnego Cienia zapisany czernią, dokładnie tak, jak go widziałam.

Zamarłam z rozchylonymi ustami. Czułam się jak sparaliżowana. Ledwo ośmielałam się odetchnąć z obawy, że będzie temu towarzyszył jęk.

– Kilka tygodni temu zgłoszono tu zaginięcie dwóch innych zakonnic.

Zmusiłam wargi do zaciśnięcia się i przełknęłam ślinę, żeby zwilżyć zaschnięte gardło.

– Czy... Czy pan... myśli, że one również mogły... zostać zamordowane?

Ku mojemu przerażeniu wyjął z teczki następną fotografię.

Ceglana ściana została rozbita i ukazały się dwie zakonnice zawieszona za szyje.

Drżącą dłonią zakryłam usta i zmusiłam się, by nie wrzeszczeć. Zakręciło mi się w głowie; chwyciłam się skraju stołu, żeby się uspokoić. Szum krwi w uszach zagłuszał dźwięk głosu Hinesa.

– Dobrze się pani czuje, panno Ravenshaw?

– Co to takiego? – Nie potrafiłam oderwać wzroku od zdjęcia. Stanowiło idealną replikę mojego koszmaru.

– Dobrze się pani czuje?

Ignorując jego pytanie, odchrząknęłam.

– Ta katedra... Czy może stoi przed nią posąg? – Przestałam wpatrywać się w powieszona zakonnice, żeby wrócić myślami do treści snu. – Przedstawiający Feliksa z... Praecośtam.

– Tak na szybko nie przypominam sobie żadnego posągu. Dlaczego pani o to pyta?

– Jestem... po prostu ciekawa. Sprawdzam swoją wiedzę na temat świętych. – Roześmiałam się nerwowo.

– Wygląda pani, jakby zobaczyła ducha.

– Obawiam się... muszę... Nie czuję się dobrze. Gdybyśmy mogli może... spotkać się później?

Stukanie jego palca w blat przykuło moją uwagę, ponieważ stało się głośniejsze, wyraźne w wiszącej w powietrzu ciszy niczym odór zgnilizny.

– Co pani ukrywa, panno Ravenshaw? – Jego pytanie wystrzeliło pocisk lęku w moją pierś, która

ekspłodowała niepokojem.

– Niczego nie ukrywam.

– Uważa mnie pani za głupca? Sądzi pani, że nie widzę, gdy ktoś okłamuje mnie prosto w twarz? Coś pani znalazła. Proszę mi to dać. – Wrogość błysnęła na jego twarzy. Zerwał się na nogi i stanął nade mną, a wtedy moje światła ostrzegawcze rozjarzyły się jeszcze mocniej. – Wiem, że pani to ma.

Pióro?

– Gdzie. To. Jest?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Dość tych gier. – Skoczył na mnie, a ja potoczyłam się w tył wraz z krzesłem.

Uderzyłam kością ogonową o podłogę, a moja głowa z donośnym traskiem zderzyła się ze ścianą. Poczułam zalewającą mnie falę adrenaliny. Reakcja „walcz albo uciekaj” szybko przybrała formę dylematu „pchnąć czy walnąć”.

Przez niespokojne łomotanie mojego serca przebił się odgłos warczącej Camael. Oderwałam na chwilę skupione spojrzenie od Hinesa, by dostrzec, że kotka stoi za nim. Obnażone kły i wygięty grzbiet pokazywały jej agresywną stronę, jakiej niemal nigdy dotąd nie widziałam. Zawsze przy gościach była raczej zdystansowana i niezbyt zainteresowana.

Detektyw cofnął się ode mnie i od Camael. Wpatrując się w kocicę, przesuwiał się w stronę przedsionka.

Wystraszył się?

Owszem, potrafiła brzmieć naprawdę złowrogo, gdy tego chciała, i wyglądała jak pomiot piekieł, ale na pewno nie tłumaczyło to dygotu, jaki nagle ogarnął ciało policjanta.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że ma pani kota – powiedział.

Nie musiałam się domagać, żeby wyszedł, bo bez słowa zniknął w przedsionku. Serce łomotało mi w piersi, gdy nasłuchiwałam jego oddalających się kroków i stuknięcia drzwi. Odetchnęłam drżąco. A potem podbiegłam szybko do drzwi i przekręciłam wszystkie trzy zamki, zaciskając zęby z frustracji wywołanej niezapowiedzianą wizytą i moimi rozdygotanymi nerwami.

Gdy obróciłam się z powrotem, Camael siedziała, oblizując sobie przednią łapę, zupełnie jakby nie wydarzyło się nic niezwykłego.

– Zakładam, że go nie lubisz. – Wzięłam ją na ręce i przytuliłam jak dziecko; moje ciało wciąż drżało po wcześniejszym wyrzucie adrenaliny. – No to sprawa przesądzona. Na pewno nie zamierzam mówić mu o Xhiphasie.



Hałas wybudził mnie ze snu. Otworzyłam oczy w panującej w pokoju ciemności.

Brzęk, brzęk, brzęk.

Zupełnie jakby ktoś tkwił w ścianie i walił młotkiem w metalowe rury, a odgłos niósł się echem po sypialni.

Brzęk, brzęk, brzęk.

Wciąż miałam znużone oczy po wielu godzinach czytania dziennika ojca. Zamrugałam i dostrzegłam Camael siedzącą u stóp mojego łóżka, odwróconą do mnie tyłem i wpatrującą się w ścianę.

Brzęk, brzęk, brzęk.

Wróciłam myślami do wcześniejszych wydarzeń. Do snu. Do zakonnicy w ścianie.

Camael zasyczała i warknęła przeciągle, przerażająco, jak istota z filmu grozy.

Włosy na karku stanęły mi dęba. Usiadłam na łóżku.

– Camael. – Dźwięk mojego głosu nie odciągnął jej od tego, na czym tak się skupiała. – Choć tu, ty szalona kocico. – Lekkość mojego tonu przykrywała wrażenia niepokoju, jaki czułam w głębi, ale ona i tak się nie poruszyła. Wciąż syczała i powarkiwała.

– *Ca'ligo an a tua* – wyszeptałam. Choć było to głupie, wypowiedzenie tych słów przyniosło mi odrobinę otuchy.

Dopiero gdy pstryknęłam lampkę obok siebie, Camael wreszcie się obróciła, a jej wcześniejszy warkot

przeszedł w ciche miauczenie.

Przemknęła ku mnie po łóżku i położyła się na jednej z poduszek.

Odgłos uderzeń zanikł.

Zmarszczyłam czoło i jeszcze raz rzuciłam spojrzenie w kierunku ściany, a potem wyłączyłam światło.

Ani razu nie oderwałam wzroku od stóp łóżka.

Lustina

Przeszłość

Monotonny stukot końskich kopyt towarzyszył długiej i jednostajnej jeździe pod górę, gdy Lustina siedziała w powozie przy biskupie Venable. Wczesnoporanne światło wznosiło się ponad czubkami drzew, przydając niebu uroczego różowego zabarwienia. Sylwetki krytych strzechą dachów i przestwór doliny zapewniały oszałamiającą odmianę od wiszącej w powietrzu ciszy. Biskup nie odezwał się do niej nawet słowem od opuszczenia przez nich klasztoru. Odkąd zamieszkała tam przed dwoma laty, aż do tej chwili ani razu nie poproszono jej, żeby towarzyszyła mu w podróży, choć cel wyprawy wciąż stanowił dla niej tajemnicę.

– Wasza ekscelencjo, słyszałam, że góra to bardzo niebezpieczne miejsce. Czy mogę spytać, dlaczego podążamy akurat tą trasą?

– Prowadzi do posiadłości Van Croixa. Hrabiego Praeceptii.

– A dlaczego do niego jedziemy?

– To on nas wezwał. Pani Praeceptia jest poważnie chora, podobnie jak jej syn, baron Van Croix. Musimy wesprzeć ich obecnością Świętego Ojca, żeby mogli wyzdrowieć i wydobrzeć.

– I matka, i syn są chorzy? Czy to jakaś zaraza?

Biskup Venable stęknął i poprawił się na ławce.

– Nie, głupie dziecko. To żadna zaraza.

– Ten syn... jest bardzo młody?

– Nieco starszy od ciebie. Wrócił teraz do domu z Cavendale z uwagi na stan matki.

– Cavendale?

– Z uniwersytetu. Oczywiście o nim nie słyszałaś.

Oczywiście. Matka nauczyła ją czytać oraz pisać i choć Lustina często marzyła o tym, by pewnego dnia rozpocząć studia, wiedziała, że nigdy się to nie ziści. Tam, skąd pochodziła, dziewczęta zrodzone w służebności rzadko, jeśli w ogóle, awansowały społecznie. I niemal nigdy nie uczyły się czytać lub pisać, które to umiejętności ją wyróżniały. Zapewne czekało ją pielęgnowanie katedralnych ogrodów, dopóki nie wyjdzie za mąż, jeśli w ogóle tak się stanie z uwagi na noszone przez nią piętno.

Albo dopóki nie umrze.

Natomiast chłopak zapewne cieszył się przywilejem edukacji, odkąd ukończył szkołę katedralną. Lustina zgadywała, że jest podrostkiem nieliczącym najprawdopodobniej więcej niż szesnaście, może siedemnaście lat, jako że sama osiągnęła już piętnasty rok życia.

– Co go dręczy?

– Jego choroba ma inną naturę. Wymaga ona, by nieustannie poddawano go egzorcyzmom, inaczej stanie się ucieleśnieniem zła.

– Jak moja matka.

– Tak. Właśnie tak.

– Czy on również by spłonął?

– Musiałby. Nie można pozwolić, żeby zło się jątrzyło, bowiem wyrosłoby na bestię najgorszego

rodzaju. Taką, która zniszczyłaby nas wszystkich, gdyby się nią nie zajęto.

Choć trudno jej było patrzeć na płonąca matkę, Lustina zapewne nie zniosłaby widoku dziecka poddanego takiemu samemu losowi.

– Jako że jesteś nieświadoma naszych zwyczajów – ciągnął biskup – będziesz zwracać się do starszego Van Croixa jako do „lorda Praeceptii”.

– Tak, wasza ekscelencjo. – Tytuły szlachty wraz z towarzyszącymi im regułami i manierami wciąż wprawiały Lustinę w konsternację. Nie chciało jej się dyskutować o tym, dlaczego terytorium ma większy prestiż niż nazwisko rodowe.

Powóz wspinał się wąską drogą wijącą się wokół czarnej góry. W oddali morze rozciągało się aż po krawędź świata i dziewczyna z trudem dostrzegała ptaki unoszące się ponad jego powierzchnią.

Jakże swobodnie wydawały się w swoich pełnych wdzięku ślizgach, które kazały jej żałować, że sama nie ma skrzydeł. Matka zawsze nazywała ją swoim „małym kruczątkiem” od celtyckich opowieści z jej ojczystej Irlandii, mówiących o Morrigan, bogini wojny, która przed bitwą przybierała postać ptaka. Jak twierdziły te podania, Morrigan potrafiła przewidzieć wynik wojny – i matka mówiła Lustinie, że ona również pewnego dnia posiadzie ten dar. Tak samo jak bogini, stanie się wysłanniczką, która kiedyś ujawni prawdziwe zło czynione przez człowieka. Lustina przysięgła sobie, że nigdy nie zdradzi tego proroctwa biskupowi Venable ze strachu, że również zostanie uznana za czarownicę. Oczywiście wcale tak naprawdę nie wierzyła, że jest jej przeznaczony taki los. Po prostu lubiła myśleć, że miałyby w świecie ważniejszy cel.

Nawet jeśli ten świat widział w niej wyłącznie przekłete wynaturzenie.

Jej oczy miały w sobie cętki zieleni, złota i czerwieni, zawsze określane przez matkę jako gwiazdny pył, równie magiczny i mistyczny co lśniąca klejnoty wiszące na nocnym niebie. Długie czarne włosy dawniej sięgały za pośladki.

Ci spoza klasztoru nazywali ją diabelskim pomiotem, podczas gdy biskup Venable myślał o niej jako o nieuniknionej konsekwencji przeklętej duszy.

Z początku przedstawiciele kościoła ścięli jej włosy niemal przy samej skórze, uważając, że gnieździ się w nich robactwo, ale nie była to prawda. Wraz z matką zawsze myły się w rzece i pachniały słodkim jaśminem. Woniał tak odmiennie od szorstkiego, popielnego mydła, którego musiała używać w klasztorze. Od tamtego czasu włosy odrosły jej na tyle, by można je było splatać w warkocz, na co zwykle pozwalała pentashom, ponieważ często komentowały, że czują się wtedy, jakby tkwały jedwab.

Gdy powóz zatrzymał się przed ciężką żelazną bramą wprawioną w kamienny mur sprawiający wrażenie fortecy, dziewczyna wytarła spocone dłonie w fartuch sukienki. Ujrzała mężczyznę w czarnej, skórzanej, żołnierskiej brygantynie bez rękawów i bez koszuli pod spodem, dzięki czemu widać było krzepkie ręce poznaczone bliznami aż do ochraniaczy na nadgarstkach. Wyglądał na starszego niż ona, ale młodego jak na żołnierza, zapewne nie miał więcej niż osiemnaście lat. Na skórze wyszyto symbol Pentacrux – zbrojnych sił kościoła.

Czując, jak na policzki wpelza jej ciepły rumieniec, Lustina odwróciła wzrok. Rzadko widywała tak wiele odsłoniętego ciała. Jej kontakt z mężczyznami i chłopcami ograniczał się do nielicznych podróży gotowych brać od jej matki zioła i eliksiry w zamian za narzędzia lub wełniane tkaniny. Zaś pentoshe w klasztorze nosili sutanny sięgające im do kostek, nawet w cieplejsze miesiące.

Oparła się plecami o ściankę powozu i tylko od czasu do czasu rzucała okiem przez okno.

Dokonano prezentacji, po czym, gdy dwóch innych żołnierzy, również odzianych w pancerne kamizele bez odpowiednich koszul, otworzyło bramę, pojazd ruszył.

– Czy tak się zaczerwieniłaś na widok nagiego ciała, dziewczyno? – Biskup Venable wpatrywał się w nią poważnym wzrokiem w sposób, który często wzbudzał w niej wrażenie, że jest poddawana osądowi, nawet jeśli nie to było jego zamiarem.

Ogarnęło ją zażenowanie. Spuściła oczy i pokręciła głową.

– Nie, wasza ekscelencjo.

– Z winy twojej matki przy młodych chłopcach i mężczyznach toczy cię wewnętrzny popęd. Bestia, która niewątpliwie się w tobie panoszy. Naucz się trzymać ją pod kontrolą, inaczej już nigdy nie będziesz mogła towarzyszyć mi w tych wizytach.

– Obiecuję.

Powóz zatrzymał się przed wspaniałą rezydencją, nie mniej imponującą niż zamki, które wyobrażała

sobie przy lekturze książek, ze spiczastymi wieżyczkami i łukowatymi oknami, bujnymi ogrodami i ciekawskimi winoroślami wspinającymi się po ścianach. Wyglądała zupełnie jak z baśni.

Inny mężczyzna podszedł do ich pojazdu i otworzył drzwiczki, po czym czekał przy nich, aż biskup wysiądzie. Lustina wyszła jako następna, zaskoczona, gdy nieznajomy wyciągnął dłoń, by pomóc jej zejść, równie chętnie, jak wcześniej przy duchownym.

– Dziękuję – powiedziała z nieśmiałym uśmiechem i szybko ruszyła za swoim przyzwotkiem.

Przy drzwiach przywitali ich kolejni służący, jak zauważyła po ich jednokolorowych, mniej imponujących strojach, fartuchach i czepkach. I tak te ubrania były wspanialsze niż prosta biała sukienka, jaką kazano jej nosić w klasztorze. Niepewna, jak się zachowywać, Lustina dygała, kiwała głową i uśmiechała się, co wywołało parę chichotów towarzyszących im, gdy wkraczała wraz z biskupem Venable do pomieszczenia leżącego za przedsionkiem, ozdobionego bogatymi gobelinami i wspaniałymi dziełami sztuki. Obecne tam osoby miały na sobie elegantsze i bardziej skomplikowane stroje przystrojone jedwabiem i klejnotami, z powodu których dziewczyna poczuła zazdrość.

Jeden z lepiej wystrojonych mężczyzn, którego tylko nieznacznie postarzały siwiejące włosy i kilka zmarszczek, wystąpił naprzód i skłonił się z szacunkiem.

– Biskupie Venable, jakże to miłe z twojej strony, że przybyłeś.

– Zawsze jestem do twojej dyspozycji, lordzie Praeceptio.

Unosząc z zaciekawieniem brew, mężczyzna obrócił się w stronę Lustiny chowającej się tuż za duchownym.

– A kim jest twoja towarzyszka podróży?

– To Lustina. Będzie mi pomagała podczas ceremonii w miarę swoich ograniczonych możliwości.

Piękna kobieta o złocistych włosach i zmęczonych niebieskich oczach podeszła bliżej, opuszczając młodzieńca, którym według Lustiny był zapewne młody lord Van Croix, choć zupełnie nie był do niej podobny. Oceniała go najwyżej na siedemnaście lat, a jego brązowe oczy i rude włosy wydawały się zupełnie nie pasować ani do fizycznych cech lorda, ani damy.

– Lustina. Zrodzona ze światła – rzekła dama.

Jedynie matka dziewczyny interpretowała w taki sposób jej imię.

– Tak. – Lustina wyszła zza biskupa i podeszła do kobiety. – Zgadza się.

– Ostrożnie, moja damo. – Stanowczo dłoń na jej barku zatrzymała ją w miejscu. – Nie znamy granic jej stanu.

– Jej stanu? – Pani Praeceptia przekrzywiła głowę i przyjrzała się Lustinie od stóp do głów. – Jak na mój gust wygląda zdrowo. Czy mogę spytać, co ją dręczy?

– Jest nieprawym dzieckiem czarownicy – szybko odparł biskup, sprawiając, że dziewczyna zarumieniła się z poniżenia.

Dobrotliwe spojrzenie kobiety spochmurniało, gdy przyglądała się duchownemu.

– Przypuszczam, że takiej, której pozbyłeś się pospiesznie i bez wahania.

– Oczywiście. To mój obowiązek.

Zadarłszy wysoko podbródek, dama Praeceptia mruknęła coś pod nosem i wzruszyła ramionami w sposób, który według Lustiny wyrażał lekkie oburzenie. Jej wzrok znów złagodniał, gdy spoczął na dziewczynie.

– Uważam, że jesteś całkiem urocza. Szkoda jednak słyszeć coś takiego o twojej matce. Kiedyś ją poznałam.

– Naprawdę?

– Tak, wiele lat temu. Przynosiła mi zioła, gdy byłam brzemienna. – Położyła dłonie na brzuchu, a Lustina przeniosła uwagę na rudowłosego chłopaka stojącego z tyłu. – Pomogły mi uspokoić żołądek po długim okresie choroby.

– Równie dobrze te zioła mogły przyczynić się do obecnego stanu twojego i młodego lorda. – Biskup Venable zdjął dłoń z ramienia Lustiny, jakby przeklęte rośliny nosiła wszyte w materiał sukienki.

Dama Praeceptia zmarszczyła brwi.

– Nie przypuszczam, żeby to była prawda, wasza ekscelencjo. Wówczas okazały się przydatne.

– Diabeł posługuje się przydatnymi metodami. To właśnie dlatego okazuje się prawdziwym zagrożeniem dla naszych cnót.

Lord Praeceptia odchrząknął.

– Może moglibyśmy rozpocząć rytuał, jako że dama przez większość poranka cierpiała z powodu wyczerpania?

– Oczywiście. Lustino, idź przynieść trochę wody z rzeki.

– Z rzeki, wasza ekscelencjo?

– Nie wyklócaj się, dziewczyno. Przez las płynie rzeka. A teraz rób, co mówię.

– Drystanie – Dama Praeceptia zwróciła się do stojącego obok niej młodzieńca, którego dziewczyna uważała za młodego lorda Van Croixa. – Może mógłbyś pokazać jej drogę do rzeki. I dopilnuj, żeby mój syn wrócił. – Gdy mówiła do chłopaka, w jej tonie pojawiła się delikatna nuta wrogości.

– Tak, moja damo. – Młodzik skinął głową i pospiesznie ruszył za Lustiną.

Powiódł ją najpierw korytarzem, a później przez trzewia domu. Minęli portret przedstawiający zdaniem Lustiny damę Praeceptię z dzieckiem w powijkach, przeszli przez kuchnię mającą zapewne rozmiary całej wiejskiej chaty, którą dawniej dzieliła z matką, gdzie krzątała się służba. Wreszcie znaleźli się na zapleczu rezydencji, na rozległym podwórzu, za którym zaczynał się las.

Chłopak imieniem Drystan zatrzymał się przy szopie i wyciągnął ze środka drewniane wiadro.

– Dziękuję – odparła, odbierając je od niego.

– Zaczekaj. Powinienem nieść je za ciebie. – Wyciągnął rękę, by wziąć je z powrotem, ale Lustina zmarszczyła czoło.

– Uważasz, że jestem niezdolna, by nieść wiadro?

– Oczywiście, że nie. Po prostu tak robi dżentelmen.

Na te słowa uśmiechnęła się nieśmiało i pozwoliła mu zabrać naczynie, po czym ruszyła za nim w kierunku lasu.

– Twój dom jest piękny. Jak zamek.

Obejrzał się szybko przez ramię i skinął głową.

– To dobry dom. Mieszkasz w klasztorze?

– Tak. Oczywiście nie śpię tam, gdzie pentashe. Mam pokój w dzwonnicy.

– W dzwonnicy? Czy to nie jest niebezpieczne?

– Pewnie jest – rzekła, odczuwając dumę z faktu, że tak pomyślał. – Choć dotąd miałam to szczęście, że pogoda zwykle okazywała się dobra.

– W jaki sposób służysz kościołowi?

– Głównie w ogrodach. Całkiem nieźle idzie mi z ziołami i warzywami. Moja matka... – Zawahała się, gdy o niej wspomniała, jako że poprzednim razem ją za to upomniano. – Zostałam nauczona, jak o nie dbać.

– Wydaje się, że taka wiedza jest użyteczna.

Ten komentarz wywołał kolejny uśmiech na jej twarzy.

– Znasz się na roślinach i ziołach?

– Nie. Ale trochę wiem o zakładaniu sideł.

– Lubisz polować?

– Tak. Czasami towarzyszę lordowi Praeceptii podczas jego wypraw. – Dziwne, że określał swojego ojca tak formalnie. – Moimi ulubieńcami są dziki. To takie ekscytujące i niebezpieczne stworzenia. Niedźwiedzie też.

– Moja matka i ja trzymałyśmy się głównie królików. – Przeklęty język. Znowu nie utrzymała go za zębami.

– Twoja matka polowała? – Kącik ust uniesiony w wyrazie wstrętu przekazał Lustinie, że nie patrzano tutaj przychylnie na takie pomysły.

– Tylko gdy kończyły nam się zapasy. W lesie zimy bywają szczególnie surowe. Czasem polegałyśmy na Fergusie.

– Fergusie?

– Naszym kocie. No dobrze, nie do końca naszym. Jest dziki.

Chłopak się skrzywił.

– Koty to okropne istoty. Najgorszy rodzaj zła. Nie mogę ich znieść.

Lustina nie potrafiła powstrzymać chichotu po tak niedorzecznej uwadze.

– Polujesz na dziki i niedźwiedzie, ale boisz się kotów?

– Nie boję się – odwarknął. – Mówiłem, że są złe. To praktycznie szkodniki.
– Przepraszam, jeśli cię uraziłam.
– Przyjmuję przeprosiny. – Przez dłuższą chwilę panowała pomiędzy nimi cisza, aż wreszcie chłopak zapytał: – W twojej wiosce nie ma venatora?

Venatorzy byli łowcami, z którymi wraz z matką parę razy handlowały.

– Tak, ale nieczęsto mogliśmy liczyć na możliwość skorzystania z ich zdobyczy. Głównie byliśmy... zdane na siebie.

– Jakie to musiało być okropne. Święty Ojciec okazał wam wielkie miłosierdzie, pozwalając tobie i twojej matce pozostać w klasztorze.

– Sama pozostałam w klasztorze. Bez matki.

– Racja. Wspominałaś o tym. Przykro mi – powiedział i jego współczucie zbiło Lustinę z tropu.

Minęli skraj lasu, skąd przez trzask gałęzi pod stopami usłyszała już szmer płynącej wody. Chłopiec klęknął na brzegu i pozwolił, by prąd napełniał wiadro.

– Ja to zrobię. Nabranie wody było moim zadaniem. – Sięgnęła po naczynie, ale delikatnie odsunął jej dłoń.

– Nonsens. Ja je napełnię.

– Nie. Nalegam. – Znów wyciągnęła rękę, a on cofnął się tak gwałtownie, że wiadro spadło mu do wody i nurt porwał je na przeciwny brzeg.

– Och, nie! – Lustina zachichotała, zasłaniając dłonią usta.

Chłopak wstał, również się śmiejąc.

– Cudownie. Chyba będziemy musieli zmoczyć buty, żeby je odzyskać.

– Przepraszam. To moja wina.

Jego uśmiech przemienił się w konsternację, gdy dostrzegł coś za jej plecami. Wyraz jego twarzy, tak mroczny i wystraszony, kazał jej się obejrzeć – i wtedy zauważyła innego chłopca, na jej oko mniej więcej w tym samym wieku co jej towarzysz, stojącego bardzo blisko nich.

Włosy czarne niczym atrament, jak u niej, tworzyły ramę dla lodowatoniebieskich oczu wzbudzających chłód w głębi jej piersi. Przerażający a jednocześnie przystojny młodzieniec wpatrywał się w ich dwójkę tak, jakby był ciemną chmurą w oddali.

– Mój lordzie – odezwał się z tyłu Drystan, a zaskoczona Lustina zerknęła na niego, po czym znów skupiła się na ciemnowłosym. – Właśnie nabierałem wody wraz z dziewczyną.

Lordzie.

Czyli to jest młody baron, uznała Lustina. Przez cały czas przypuszczała, że baronem jest Drystan.

– Bez wiadra. Jakże mądrze. – Chłopiec mówił złowieszczym głosem, niosącym się w powietrzu niczym kłęb dymu.

– Straciliśmy je przypadkiem.

Podszedł bliżej, a gdy jego spojrzenie wylądowało na Lustinie, poczuła, jak serce łomocze jej o żebra. Na szczęście lord znów skupił się na Drystanie.

– Widzę, że znalazłeś sobie odpowiednią towarzyszkę na wyprawę do lasu.

Drystan pochylił głowę i ściągnął brwi, jakby ta uwaga go rozzłościła.

– Przyjechała wraz z biskupem Venable. Pomaga mu przy twojej matce.

– Pomaga mu – wycedził, jakby te słowa były jadem spływającym mu z języka. – Zatem jest równie bezużyteczna.

– Błagam, żebyś nie wypowiadał się o biskupie w taki sposób, mój lordzie. Jest dobrym człowiekiem, a takie słowa niosą ze sobą konsekwencje.

– Tak, zapewne tak jest. – Rozbawienie jedynie na chwilę ubarwiło oblicze barona, zanim jego chłodne oczy znów spoczęły na Lustinie.

W panice przypomniała sobie o manierach, które wciąż były dla niej dość obce, i wystąpiła o krok, żeby dygnąć.

– Baronie Van Croix, to dla mnie przyjemność móc cię poznać.

Obok niej Drystan odchrząknął, ale ten dźwięk nie odciągnął jej uwagi od młodzieńca, który patrzył na nią tak, jakby była błotem na jego butach; jego wargi podciągnęły się w wyrazie odrazy.

– Lordzie Van Croix – poprawił, przyglądając się jej sukience. – Wygląda na to, że prawe i święte

wychowanie nie zapewniło ci stosownej etykiety. I stroju. – Przesunął po niej oceniającym spojrzeniem, a Lustina skuliła się pod jego ciężarem. – Kuchenne szmaty okazałyby się lepszą tkaniną. – Powęszył w powietrzu i skrzywił się. – Oraz pachniałyby lepiej.

Fala upokorzenia sprawiła, że dziewczyna miała ochotę wpełznąć do nory i już nigdy z niej nie wyjść. W duchu skarciła się za swoją ignorancję.

– Mój lordzie, ona nie zamierzała cię urazić.

– Czy wy dwoje posługujecie się jednym umysłem?

– Ona nie jest nikim więcej niż tylko sługą.

– Nie potrzebuję twoich spostrzeżeń. Wiem dobrze, kim ona jest.

– Przepraszam za moją ignorancję, mój lordzie. – Wciąż nie patrząc mu w oczy, Lustina przerwała ich sprzeczkę. – Nie przywykłam jeszcze do zasad panujących wśród szlachty. Wcześniej wiodłam znacznie prostsze życie.

– W istocie.

Ogarnięta frustracją, spiorunowała wzrokiem wyjątkowo nieuprzejmego chłopaka.

– Jesteś niegrzeczny dla wszystkich kobiet czy tylko dla tych, które znajdują się pod tobą?

Miny, jaka pojawiła się na jego twarzy, Lustina mogłaby się spodziewać, gdyby go spoliczkowała.

W tym momencie poczuła, jak macki wyrzutów sumienia palą ją w kark.

– Jeszcze raz przepraszam, mój lordzie.

– Pilnuj języka, dziewczyno. U nas taki brak szacunku może stanowić powód do jego wyrwania. A jeśli chodzi o kobiety, które znajdują się pode mną, to mogę cię zapewnić, że uważają mnie za całkiem czarującego.

Ciepło, jakie dziewczyna poczuła, gdy wpływało jej na policzki, niewątpliwie niosło ze sobą rumieniec. Nawet po tak długim pobycie w klasztorze potrafiła rozpoznać seksualną aluzję.

– Czy to takie czarujące, żeby mówić o swoich podbojach przy dziewczynie? – Jeśli Lustina nie odczytała błędnie jego tonu, w głosie Drystana krył się cień zazdrości.

– Przynajmniej mam o czym mówić. Tobie musi być niełatwo przy tych wszystkich stajennych i małych zwierzętach.

Z zaciśniętymi zębami Drystan ruszył w stronę barona.

– Nie jestem sodomitą. Takie coś jest grzechem! Podłym i odrażającym grzechem.

Oblicze ciemnowłosego rozpromieniło się w wyrazie mrocznego rozbawienia.

– Jedyne w oczach twojego ukochanego kościoła, ale nie obawiaj się. Nikomu nie pisnę o tym ani słowa.

– Kłamstwo. Te twoje słowa to kłamstwa!

– Jeśli to kłamstwa, jak twierdzisz, to dlaczego się rumienisz, kuzynie?

– Dość! Biskup miał rację. Masz rozdwojony język! Twoja matka powinna była pozbyć się ciebie jak bękarta!

Złośliwość zapłonęła w oczach młodego barona. Obnażył zęby niczym wściekły pies, zacisnął pięści i rzucił się naprzód, jakby chciał zaatakować, ale nagle się zatrzymał. Zamiast tego uniósł klejnot, który miał przypięty do kieszeni, po czym zaczął nim wywijać przed Drystanem i Lustiną.

Drystan chwycił gwałtownie powietrze i padł na kolana.

– Wybacz mi, mój lordzie. Wybacz mi moje bluźnierstwa.

W chwili, gdy te słowa zostały wypowiedziane, drobinki pyłu wypadły z zaciśniętej dłoni barona trzymającej klejnot.

Lustina wybałuszyła oczy. Nigdy dotąd nie widziała, by ktoś gołą dłonią zmiażdżył w taki sposób szlachetny kamień.

– Tohyll z przyjemnością wymierzy ci karę.

Drystan podniósł się z pochyloną głową i zwieszonymi ramionami.

– Mój lordzie, twoja matka prosiła mnie, żebym cię sprowadził. Chyba nie powinienesz kazać jej czekać.

Ciemnowłosey chłopak przyjrzał mu się z ironicznym uśmiechem i odszedł w stronę, z której przybył. Gdy już zniknął im z pola widzenia, dziewczyna obróciła się do Drystana.

– Kim jest Tohyll?

– To on wymierzy mi karę za zniszczony klejnot rodowy.

– Ale to nie ty go zniszczyłeś. Tylko on.

– Tak, wiem.

– Jesteś jego chłopcem do bicia? – Przemknęła wzrokiem na pustą już ścieżkę, na której jeszcze przed chwilą znajdował się młody baron. Słyszała o chłopcach do bicia, znała ich rolę, ale wydawało się jej, że zawsze przydzielano ich niesfornym młodym szlachcicom, przede wszystkim dzieciom. Nie podrostkom, których we wszystkich aspektach uważano za całkowicie dorosłych. – Potrzebuje kogoś takiego w swoim wieku?

– Jego ojciec obawia się go i ma zbyt dobrą opinię o naszej marnej przyjaźni.

– Czyli kary należne jemu spadają na ciebie, bo lord Praeepsia boi się jego odwetu?

– Tak. Źle czynię, mówiąc o tym na głos, ale uważam, że skoro masz towarzyszyć biskupowi, muszę cię ostrzec. – Drystan podszedł bliżej, szybko zerknął tam, gdzie zniknął baron, a potem zniżył głos. – Trzymaj się jak najdalej od niego. Jest zdolny do rzeczy, do których nie byłiby zdolni żadni dobrzy i bogobojni ludzie.

– Czyli ty również się go obawiasz?

– Wszyscy powinni się go obawiać. Głęboko w nim tkwi zło. Przypuszczam, że mogłoby stać się bardzo niebezpieczne, gdyby nie wysiłki biskupa Venable.

Zło. Już wiele razy słyszała, jak wypowiedano to słowo. Nie potrafiła stwierdzić, czy wie, czym jest prawdziwe zło. I zorientowała się, że wszystko, co wiązało się z biskupem, wydawało się tym bardziej wątpliwe.

– Na czym konkretnie polegają wysiłki biskupa?

– Trudno powiedzieć. Nigdy nie widziałem osobiście rytuałów. Wiem tylko, że po nich baron wygląda na znacznie bardziej przygaszonego. Zawsze tak się działo, już kiedy był młody.

– Zatem dopilnuję, żeby trzymać się z dala od niego.

– Dobrze. Pójdę po wiadro, żebyś mogła wrócić.

– Zostaniesz ukarany po powrocie?

– Tak. – Drystan westchnął, siadając na brzegu i zdejmując but. – Klejnot rodowy, który zniszczył, należał do prastryja lorda Praeepsii.

Lustina

Po napełnieniu wiadra wodą, czego domagał się biskup, Lustina wraz z Drystanem wróciła do rezydencji, gdzie młody baron stał przy potężnym mężczyźnie. Założyła, że jest to wspomniany Tothyll. Zwinięty bicz wiszący u pasa tego człowieka sprawił, że dreszcz przebiegł jej po plecach. Gdy Drystan odstawił wiadro z wodą, żeby się do nich zbliżyć, żołądek podszedł jej do gardła.

– Zaczekajcie! – zawołała za nimi.

Młody baron obrócił się, a w jego oczach zapłonęło gniewne zaciekawienie.

– To nie on zmiądzzył klejnot rodowy. Zrobił to młody lord Van Croix. Widziałam.

– Lustino, proszę. Wróć do biskupa – nalegał Drystan.

– Nie. To nie w porządku. Nie powinieneś być karany za coś takiego! – Wymierzyła palec w młodego lorda. – To ty go zniszczyłeś! I ty powinieneś otrzymać baty!

– Na twoim miejscu bardziej bym uważał, dziewczyno. – W głosie barona kryła się złowieszcza groźba.

– Nie. Nie zamierzam stać bezczynnie. Ty jesteś winien.

– Co tu się dzieje?

Na dźwięk głosu biskupa Lustina poczuła, jak przepływa przez nią nerwowe napięcie, zdusiła je jednak i odchrząknęła.

– Wasza ekscelencjo, na moich oczach baron zniszczył klejnot rodowy. Zrobił to celowo.

Brwi biskupa opadły do wyrazu czystego zirytowania.

– Nie do ciebie należy wysuwanie takich oskarżeń, dziewczyno. A teraz bierz wodę i chodź za mną.

– Ale błagam waszą ekscelencję, żeby interweniował! Drystan nie popełnił zuchwałego czynu, za który jest oskarżany. Jest uprzejmy i nie zasługuje na to.

Venable zmrużył podejrzliwie oczy.

– A co ty takiego wiesz o uprzejmości tego chłopca? Niech będzie wiadomym, że z pewnym niepokojem pozwalałem ci iść z nim do lasu. Mogłabyś skusić go jak Lilith.

Uderzona obelgą i dezorientowana, Lustina zmarszczyła czoło.

– Zrobiłam tylko to, o co mnie wasza ekscelencja prosił.

– Poważnie uważasz, że wierzę twojemu kłamliwemu językowi, dziewczyno? Sądysz, że wierzę w twoje słowa o młodym baronie?

– Mówię prawdę.

– Nie rozpoznalabyś prawdy, nawet gdyby lała się z nieba jak deszcz. A teraz już chodź. Później zajmujemy się twoją karą.



Lustina ścisnęła materiał sukni, czekając przy powozie na biskupa Venable, który stał niedaleko i rozmawiał z ojcem barona, lordem Praeceptią. Spojrzenia, które posyłał jej od czasu wcześniejszego zdarzenia, wyraźnie mówiły, że czeka ją kara. Jeśli istniało coś, czego biskup nie cierpiał najbardziej, był to wstyd, a ona niewątpliwie zawstydzila go swoją bezczelnością. Przebiegała myślą liczne kary, które otrzymała z jego rąk za mniejsze przewinienia, i pocieszała się nadzieją, że cokolwiek zaplanował, zrobi to szybko.

Ruch, który dostrzegła kątem oka, skierował jej uwagę na młodego barona, który opierał się o drugą stronę powozu i obserwował ją z założonymi rękoma. Poczuli się nagle zmarznięta i odsłonięta pod spojrzeniem jego lodowatoniebieskich oczu, które przesuwają się po niej z pogardą.

– Jakże pokornie czekasz na swojego pana – rzucił drwiąco.

– Nie jestem zainteresowana rozmową z tobą, mój lordzie.

– Ani ja z tobą. Po prostu uważam to za zabawne.

Przestała się na nim skupiać i jęknęła w duchu.

– Może mógłbyś poszukać sobie jakiegoś innego obiektu zainteresowań, który okazałby się znacznie bardziej zajmujący.

– Obawiam się, że wszelkie inne obiekty zbladłyby w porównaniu z tobą.

Gdy szybko obejrzała się przez ramię, zorientowała się, że wcale nie przestał jej się przyglądać.

– Czy zawsze musisz patrzeć w taki sposób?

– Wywołuję w tobie nerwowość?

– Jeśli mogę mówić szczerze, to wywołujesz we mnie frustrację.

Kącik jego ust drgnął, jakby chłopak zamierzał się uśmiechnąć.

– Ach, niczego innego nie oczekiwałem.

– Czy celem twojej wizyty, zanim odjadę, jest jeszcze bardziej dręczyć mnie swoimi szyderstwami?

– Tak.

– Wybacz mi te słowa, ale jesteś... – Lustina niemal dosłownie ugryzła się w język, żeby nie wypowiedzieć tego, co naprawdę przychodziło jej na myśl. „Okropny. Wstrętny. Niegrzeczny”.

– Jaki?

– Postanowiłam utrzymać język za zębami.

– Ależ nie krępuj się. Pozwól, proszę, że ci pomogę. „Jesteś podły. Ohydny. Obmierzły. Zło wcielone”.

Trafiłem?

Przerazająco blisko. W zasadzie Lustina chętnie dodałaby wszystkie te określenia do własnej listy.

– Podejrzewam, że mieszkając w klasztorze, nauczyłaś się wielu rzeczy. Mogę ci jednak powiedzieć z pełnym przekonaniem, że nie wszystko jest tym, na co wygląda.

– Czy mówisz, że wyśniłam sobie to, co zdarzyło się w lesie?

Gdy skinął w kierunku czegoś, podążyła za jego wzrokiem ku wielkiemu dębowi w oddali.

– Co tam widzisz? – zapytał.

– Drzewo?

– Jakie? Opisz je tak, jak je postrzegasz.

Choć nie miała ochoty go zabawiać, ciekawość pchnęła ją do tego.

– Majestatyczne. Piękne. Krzepkie.

– Takie jest, prawda? Można by stwierdzić, że to idealny okaz drzewa. Czy się z tym zgodzisz?

– Tak. Jest całkiem idealne. Do czego zmierzasz?

– Do tego, że pod powierzchnią leżą korzenie, ziemia i robaki, gdzie wszystko gnije, aby karmić to, co uważasz za tak piękne. Żeby coś żyło, coś innego musi gnić.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, przesuwając wzrok od niego do dębu.

– Czy mam zatem zakładać, że ty jesteś zgnilizną, a Drystan drzewem? Z mojego punktu widzenia sytuacja wydaje się odwrotna.

– Nie proszę, żebyś cokolwiek zakładała. Tylko żebyś rozważyła baczniejsze przyjrzenie się temu, co niewidoczne. Jak już mówiłem, nie wszystko jest tym, na co wygląda. – Odepchnął się od powozu i podszedł do niej. – Miłego dnia, Lustino – rzucił, mijając ją.



Droga powrotna do klasztoru wydawała się znacznie krótsza niż poranna jazda w przeciwną stronę. Przez cały czas biskup Venable nie wypowiedział ani słowa, nawet gdy kilkakrotnie Lustina próbowała nawiązać z nim rozmowę. Każde jej pytanie spotykało się z surową miną i niewzruszonym milczeniem. Obawiała się, że tym razem posunęła się za daleko.

Gdy powóz minął wreszcie kamienne mury klasztoru, żołądek podszedł jej do gardła. Wysiadła za biskupem z pojazdu i wkroczyli do budynku lecznicy. Schodzili po kamiennych schodach, które oświetlał pochodnią zabraną z uchwytu na ścianie, a gdy w końcu dotarli na najniższy poziom, w żołądku kotłowało się już jej jak w garze pełnym czystej grozy.

– Wasza ekscelencjo, nie chciałam wcześniej okazać braku szacunku.

Nie dając w żaden sposób poznać po sobie, że ją usłyszał, biskup zatrzymał się przed pomieszczeniem, które wielokrotnie wykorzystywano jako tymczasową kostnicę. Kiedyś musiała pomóc jednej z zakonnicy pracujących w lecznicy, która na wózku sprowadzała ciało po gładkiej ceglanej rampie bez stopni położonej po przeciwnej stronie budynku. Od tamtej pory wciąż pamiętała o tym niepokojącym doświadczeniu.

Venable otworzył drzwi, ukazując zimną i pustą komnatę.

– Dziś będziesz spała tutaj.

Przerażenie ścisnęło jej trzewia.

– Co?

– Może to cię nauczy, by nigdy więcej mi się nie sprzeciwiać.

– Wasza ekscelencjo, proszę. To się już nie powtórzy. Daję ci moje słowo. Proszę, nie każ mi spać tu samej w ciemności.

– Właż. Już.

– Proszę. Błagam, wasza ekscelencjo!

– Do środka! Natychmiast!

Silne pchnięcie od tyłu wtrąciło ją do pomieszczenia, w którym upadła na twardą kamienną podłogę, objijając sobie kolana. Szybko zerwała się na nogi, ale zanim zdążyła dopaść drzwi, te się zatrzasnęły, zamykając ją w małej, zupełnie ciemnej przestrzeni.

W panice uderzyła dłonią o zimną powierzchnię i wrzasnęła.

– Proszę! Wypuść mnie stąd! Proszę!

Odpowiedział jej wyłącznie odgłos zasuwanego się zamka.

– Proszę! Wasza ekscelencjo! Nie mogę zostać tu po ciemku! Proszę!

Dźwięk oddalających się kroków prześlizgnął się jej po kręgosłupie. Lustina obróciła się w mroku, zupełnie nic nie widząc. Serce dudniło jej w piersi. Zamknęła oczy, lecz wizje wkradały się w jej wyobraźnię. Wizje złych istot, które szarpały jej umysł.

– Mamo... – zaskomliła, osuwając się na drzwi. – Proszę.

Złe, okropne rzeczy działy się w ciemności. Zacisnęła mocno powieki, wypędzając wizje z głowy.

„Nie boję się. Nie boję się. Nie boję się”.

W zapadłej ciszy pomyślała o Drystanie. O biednym chłopaku, który musiał znosić baty. Na pewno jego rany były gorsze niż jej. Na pewno cierpiał bardziej niż ona. Lustina otworzyła oczy w mroku, który nie różnił się niczym od tego, co miała pod powiekami, gdy pozostawały zamknięte. Ujrzała Drystana trzymającego się słupa; bat uderzał z trzaskiem o jego blade, białe ciało.

– Jeśli istnieje Bóg, niech okaże mu litość – wyszeptwała. Troska o chłopaka odciągała jej myśli od koszmarów wciąż ubiegających się o jej uwagę.

Musiało minąć kilka godzin, bo przemarzła od chłodu. Gdy drzwi wreszcie się otworzyły, Lustina nie widziała niemal nic poza oślepiającym światłem.

Wstała i zorientowała się, że biskup Venable przygląda się jej.

– Czy to cię czegoś nauczyło, dziewczyno?

– Tak, wasza ekscelencjo – odparła, unosząc podbródek. – Nauczyłam się, że nie boję się już ciemności.

Poruszył zuchwą, a w jego oczach zapłonęło coś, co uznała za rozczarowanie.

– Masz w sobie zło. Zupełnie jak twoja matka. Zapamiętaj moje słowa, wyegzorcyzmuję je z ciebie albo spotka cię ten sam los.

Ignorując jego groźbę, zadarła brodę jeszcze wyżej.

– Spodziewam się, że zostanę tu, w klasztorze, gdy będziesz następnym razem jechał do lorda Praeceptii.

– Niesłusznie się spodziewasz. Choć z chęcią poddałbym cię podobnej karze z rąk Tothylla, jaką otrzymał Drystan, wygląda na to, że twoja obecność uspokajała damę Praeceptię. Poprosiła, żebyś znowu mi

towarzyszyła. Co tydzień. Oczekuję, że następnym razem będziesz się właściwie zachowywać, inaczej twoje kary będą stawały się coraz dotkliwsze.

Lady Praeceptia o nią poprosiła? Czym zrobiła jakiegokolwiek wrażenie na tej kobiecie, żeby zasłużyć sobie na taki zaszczyt?

Lustina oderwała wzrok od biskupa i pochyliła głowę.

– Tak, wasza ekscelencjo.

– Powiedz mi coś, dziecko. Czy pamiętasz zapach płonącego ciała? – Ciężkie rozbawienie w jego głosie rozdrażnił ją i ucieszyła się, że w tym momencie na niego nie patrzy.

– Wraca do mnie codziennie – wycedziła, czując w ustach gorzki, miedziany smak krwi, którą utoczyła z przygryzanego języka.

– To dobrze. Bardzo bym nie chciał, żebyś go zapomniała.

Farryn

Wspaniale.

Coś, co uważałam za aptekę, okazało się porzuconym budynkiem tkwiącym w podejrzanym zaułku przy East Garfield Park, obok fabryki pakującej mięso.

No jasne.

Apteka się zamknęła, jak głosiła informacja przyklejona na drzwiach.

Odwróć się.

Odejdź.

W końcu nikt zdrowy na umyśle nie kontynuowałby takiego planu. Przecież ten facet równie dobrze mógł być seryjnym zabójcą. Łatwo mogłabym zrezygnować z całego pomysłu i nikomu, kogo znałam, nawet nie przysłoby do głowy, że w ogóle rozważałam coś tak głupiego.

Gdyby nie dokuczliwe wrażenie, że żałowałabym, gdybym teraz odeszła.

Niewyjaśniony i nieustępliwy głos mówił mi, że nic w moim życiu nie miałyby już sensu i że rezygnacja oznaczałaby, iż wszystko się zmieni.

Wcale nie na lepsze.

Mimo to odwróciłam się i ruszyłam w przeciwnym kierunku, w stronę swojego samochodu, poddając się logicznej połowie mózgu. Tamto wrażenie prześlizgnęło mi się po kręgosłupie niczym paznokcie po tablicy, aż się wzdrygnęłam.

Nie pomagało, że poranny deszcz zostawił po sobie lekką mgiełkę i z wejścia do zaułka, gdzie stałam, niemal nie dawało się dostrzec jego dalszej części. Gdzieś tam mógł się kryć wściekły pies, a ja nie będę o tym wiedziała. Choć był środek dnia, nieprzyjemny półmrok zwiastującego już zimę nieba sprawiał, że wszystko stawało się ciemniejsze. Po raz dziesiąty przesunęłam dłonią po wybrzuszeniu w wojskowych spodniach, gdzie wcisnęłam scyzoryk, i odetchnęłam z rezygnacją. Nie zadałabym tym nożem zbyt wielu obrażeń, ale przynajmniej byłam uzbrojona w cokolwiek.

Kilka lat wcześniej wynajęłam prywatnego detektywa, żeby wysledzić ojca. Facet w niczym mi nie pomógł, a ja wyszłam z tego uboższa o kilkaset dolarów. Teraz jednak nie mogłam odpuścić. Cała ta sprawa nieustannie tkwiła na obrzeżach mojego umysłu, wciąż mnie dręczyła. Podgryzała mnie. Nawet śmierć matki, choć tak dziwna i bezsensowna, nie wzbudziła we mnie podobnej obsesji, by poznać prawdę. Odnalazłam kilku jego kolegów, profesorów z którymi pracował na Yale, ale od lat nie mieli od niego żadnych wieści.

Ten cały Xhiphias, kimkolwiek albo czymkolwiek był, wydawał mi się jedynym solidnym tropem.

Wkroczyłam we mgłę i ruszyłam w kierunku wejścia znajdującego się w połowie zaułka.

Coś otarło mi się o kostkę; wrzask rozbrzmiał mi w piersi, gdy spuściłam wzrok i dostrzegłam przemykającą obok czarną sylwetkę. Odgłos miauczenia, który do mnie dobiegł, sprawił, że odetchnęłam drżąc, lecz z ulgą. Kolejne postacie wyłoniły się z oparów, krocząc powoli, z wdziękiem przynależnym wyłącznie kotom. Były ich dziesiątki, we wszelkich kształtach i barwach, krążyły we mgle tak, jakby było to czymś zupełnie normalnym. Jakby koci gang przyszedł sprawdzić, kto do niego zawitał. Żadne ze zwierząt nie wydawało się jednak agresywne, jedynie muskały mi nogi, pomrukując.

Nigdy wcześniej nie widziałam tylu kotów zgromadzonych w jednej uliczce.

Wtem do moich uszu dobiegł trzask, niczym stuknięcie drzwi. Wystraszona skoczyłam za rząd śmietników, po czym przycisnęłam się do wilgotnej ceglanej ściany. Wyciągnęłam scyzoryk i rozejrzałam się wśród oparów, przy ziemi tak gęstych, że gdy zerkałam w dół, ledwo widziałam własne buty. Sposób, w jaki poruszała się mgła, otulając się wokół mnie, kojarzył mi się z wślizgującymi się na mnie węzami, a lekka woń siarki kazała mi się zastanawiać, czy w ogóle powinnam oddychać.

Głosy ściągnęły moją uwagę na ceglany budynek obok mnie, na jego dach, na którego skraju stały dwie

osoby: starszy, ciemnoskóry mężczyzna z długimi dreadami, a obok niego drugi tak blady, że niemal jaśniał. Z mojego miejsca nie słyszałam, co mówią, ale trzymali się tak blisko zdradzieckiej krawędzi, że wykrecało mi wnętrzności.

Jeden oddech później ciemnoskóry pchnął bladego.

Wydarł się ze mnie wrzask, gdy obserwowałam, jak mężczyzna najpierw macha rękoma, a potem spada na ziemię – jak oceniałam – z piątego piętra. Przerażający odgłos strachu, jaki się z niego wyrwał, zawiązał mi trzewia na supeł.

– Nie! – Bezskutecznie wyciągnęłam ręce, jakbym mogła zatrzymać jego upadek.

Mgła wirowała, gdy leciał, a ja zacisnęłam mocno powieki, szykując mięśnie na ohydny dźwięk uderzenia.

– O Boże, o Boże, o Boże...

Otworzyłam oczy.

Mgła wisiała nieporuszona.

W powietrzu unosiła się dziwna cisza. Ostry siarkowy odór wdarł mi się do nosa, intensywniejszy niż wcześniej.

Popychana pulsującym strachem i szokiem, podeszłam ostrożnie do miejsca, gdzie, jak podejrzewałam, rozprysnął się na ziemi mózg mężczyzny, modląc się, bym jednak nie odkryła żadnych makabrycznych szczątków. Wstrzymując oddech, przeszukałam najgęstsze opary, ale nic nie znalazłam.

Nie było po nim żadnego śladu. Ani skrawka kości, ani kropli krwi, przynajmniej z tego, co się orientowałam.

Gdy uniosłam wzrok, dostrzegłam ciemnoskórego mężczyznę, który wciąż spoglądał z góry. Wpatrywał się we mnie.

Dręczona niedowierzaniem, znów się rozejrzałam. Przecież widziałam, jak tamten spadał. Naprawdę widziałam, a jednak nie miałam na to ani skrawka dowodu.

Ogarnęło mnie nieprzyjemne, niepokojące uczucie. Nie miałam halucynacji. Wciąż słyszałam w głowie echo jego krzyku.

Przeniosłam uwagę z powrotem na dach, wypatrując mężczyzny, który go zepchnął – i nagle jego również już nie ujrzałam.

Nie, nie, nie.

Ten poprzedni spadł.

Widziałam.

A jednak nie zostało po nim żadne fizyczne ciało.

Zupełnie jak z moim ojcem.

W zaułku rozbrzmiało ciężkie stuknięcie. Popatrzyłam w kierunku szerokich metalowych drzwi po drugiej stronie uliczki, które rozchyliły się z ohydny skrzypieniem. Stał w nich ciemnoskóry mężczyzna o niezwykłych, płomiennych oczach. Na jego widok zalała mnie fala grozy.

Tkwiłam tam jak sparaliżowana, nie mogąc poruszyć nogami. Zacisnęłam palce na małej rękojeści scyzoryka, zastanawiając się, w co powinnam wbić go najpierw, żeby unieszkodliwić tamtego człowieka, gdyby zaatakował. Zapewne w te oczy. Dłonie zadrżały mi jeszcze mocniej na tę myśl. Czy w ogóle byłam zdolna do czegoś takiego?

Miał na sobie ciemne spodnie, ciężkie buty, czarny żakiet z mankietami i biały fular z krwistoczerwoną spinką, przez co wyglądał, jakby wyrwano go z epoki regencji. Wpatrywał się we mnie, zadarłszy wyniośle nos.

– Czego chcesz?

Słowa te, tak proste, wzbudziły we mnie dezorientację; stałam tam jak idiotka, milcząca i nieruchoma. Wciąż starałam się zrozumieć, co, u diabła, się tu wydarzyło.

– Ja... – zdołałam wykrztusić po chwili. – Szukam... Xhiphiasa? Czy... pan go zna?

– To zależy, kto pyta. – Każde słowo zostało wygłoszone z idealną dykcją i z aurą szlachectwa.

Przez lata bez zastanowienia przedstawiałam się kolegom ze studiów i z pracy, a jednak teraz się zawałałam. Nawet jeśli miał coś wspólnego z tymi morderstwami, szansa, że przyznałby się do tego, była marna lub wręcz zerowa. Zostawały mi zatem dwie możliwości: zaufać, że mój obłąkany ojciec nie zawiązałby się z przypuszczalnym seryjnym mordercą, albo wycofać się z zaułka.

Wybrałam głupotę. Bo znów zmusiło mnie do tego tamto dręczące uczucie w głowie.

– Jestem... Farryn. – Ledwo potrafiłam sobie przypomnieć własne imię, tak kręciło mi się w głowie. –

Tamten mężczyzna... który skoczył... widziałam... uderzył w...

– I? – Znudzenie w jego głosie ponagliło mnie do przejścia do rzeczy.

– Co się z nim stało?

– Co się z nim stało? – Śmiejąc się cicho, obciągnął mankiety, wygładzając je. – Po co tu jesteś, dziewczyno?

– Muszę wiedzieć, czy on żyje.

Brwi się uniosły, głowa przekrzywiła.

– Czy to właśnie dlatego stoisz teraz w tym zaułku?

– Nie. – Przełknęłam gulę w gardle i znów rozejrzałam się wokół siebie. – To pan, prawda? Pan jest Xhiphasem.

Choć nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć, kącik jego ust uniosł się w półuśmiechu.

– Znał pan mojego ojca – dodałam.

– Znam mnóstwo ojców.

– Augustus Ravenshaw.

Znów zachichotał.

– Cóż, kto mógłby zapomnieć takie nazwisko.

– Zatem pamięta go pan.

– Oczywiście. Augustus Ravenshaw. Ekspert z zakresu chrześcijaństwa w starożytności i entuzjasta rzeczy nie z tego świata.

– Zgadza się. Tak. To on. – Kiwałam głową, wpatrując mu się prosto w oczy i zbierając się na odwagę przed powiedzeniem tego, co na pewno zabrzmi jak szaleństwo. – Zatem wie pan, że nie do końca wierzę, iż tamten mężczyzna zginął przed chwilą w wyniku upadku.

Powątpiewające oczy barwy płomieni patrzyły na mnie, skłaniając mnie do rozwinięcia tematu.

– Jak sądzisz, co się z nim stało?

– Nie mam pewności. Właśnie dlatego tu jestem. Chcę wiedzieć... to, co pan.

Dołeczki pojawiły mu się w policzkach, gdy ponownie się uśmiechnął. Rozglądał się, jakby słowa tańczyły bez celu w powietrzu wokół niego.

– Wiedzieć to, co ja – wyszeptał. – A co wiem?

– O Nocnym Cieniu. Wie pan o Nocnym Cieniu.

– A ty wiesz?

– Wiem to, czego nauczył mnie ojciec.

– Zatem wystarczająco wiele. – Cofnął się z powrotem do środka i spróbował zamknąć za sobą drzwi, ale ja, przewyciężywszy wcześniejsze obawy, naparłam na nie i wcisnęłam się w zwężającą się szczelinę.

– Nie. To nie jest wystarczająco wiele. Muszę dowiedzieć się więcej.

Westchnął i znów uchylił drzwi szerzej.

– Posłuchaj mojej rady, dziewczyno. Nie chcesz się dowiedzieć. Nie mogę ci pomóc.

– Nie. Muszę wiedzieć.

Machnął dłonią w moim kierunku w sposób, który wydał się niemal protekcyjny.

– Wróć do domu.

– Proszę.

Zmarszczył brwi i zacisnął wargi. Przyglądał mi się przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Jesteś jak dziecko proszące o coś, czego nie rozumie.

– To jest miejsce. A pan wie, jak się tam dostać. Mówił pan o tym mojemu ojcu.

Przez chwilę w ciszy wpatrywał się we mnie zmrużonymi oczyma.

– Część ciebie nie do końca w to wierzy.

Miał rację. Część mnie nigdy nie wierzyła do końca ojcu, na pewno nie tak, jak chciałabym mu wierzyć. Zważywszy jego wiedzę i wykształcenie, jego znajomość historii i sposób, w jaki podchodził metodycznie do swoich obsesji, wszystko analizując i dokumentując, bardzo łatwo byłoby zaakceptować jego teorie. Zawsze istniało jednak dręczące uczucie urazy, bariera każąca mi czuć, że jestem po jej drugiej stronie i wpatruję się w szaleńca.

- Tamten człowiek, który spadł z budynku. Muszę wiedzieć, czy on żyje.
- Ty mi to powiedz.
- Skąd mam wiedzieć?
- Stoisz właśnie w kałuży jego szczątków, czyż nie?

Nawet nie musiałam spoglądać na utrzymującą się mgłę, żeby odpowiedzieć.

- Nic tu nie ma.
- Jesteś pewna?
- Tak. Jestem tego pewna.
- Zatem co jeszcze musisz wiedzieć?

Z torby przewieszanej przez ramię wyciągnęłam długie czarne pióro, które umieściłam w plastikowej koszulce. Wyjęłam je z osłonki i wyciągnęłam w jego stronę; patrzyłam, jak otwiera szerzej oczy, w których pojawiła się iskra zaintrygowania.

– Niczego nie pragnę bardziej, niż wrócić do swojego idealnie nudnego życia, ale nie mogę. Pewnych rzeczy nie da się cofnąć. I teraz chcę wiedzieć więcej. Chcę wiedzieć wszystko. Mój ojciec wspominał mężczyznę nazwiskiem Van Croix. Zna go pan?

Iskra zaciekawienia sprzed chwili zniknęła, zastąpiona czymś pochmurniejszym.

- Jericho Van Croix?
- Nie znam imienia. Być może.

Sięgnął po pióro, obrócił je, po czym przesunął palcem po chorągiewce.

- Skąd to wzięłaś?

Mogłabym skłamać i powiedzieć mu, że znalazłam na ziemi, że w jakiś sposób wylądowało przypadkowo na mojej drodze, ale skupienie w jego wzroku mówiło mi, że nie uwierzyłby w to.

- Należy do pana?
- Chciałbym. Ale nie.

– Zostało położone w mojej sypialni. Po bardzo nieprzyjemnym śnie, który ostrzegł mnie, żebym odszukała Van Croixa w Nocnym Cieniu. – Z wahaniem podciągnęłam rękawy kurtki i koszuli powyżej łokcia. – Widział pan kiedyś ten symbol?

Gdy patrzył, w jego oczach zalśniło coś pomiędzy zaintrygowaniem a zaniepokojeniem.

- Co to jest? – Musiałam zsunąć rękawy z powrotem, żeby na nowo ściągnąć na siebie jego uwagę.

Cofnął łopatki, jakby odzyskiwał nad sobą panowanie, i na powrót przybrał wyniosłą postawę.

- Obawiam się, że nie mogę ci z tym pomóc.
- Zatem niech mi pan pomoże zrozumieć Nocny Cień.
- Powinnaś wiedzieć, że nie przekazuję takich informacji za darmo.

Zmarszczyłam podejrzliwie brwi i spuściłam wzrok.

- Czego pan chce?

- A co masz?

- Ja nie... nie prześlę się z panem, jeśli o to panu chodzi.

- Nie. Szukam czegoś znacznie bardziej interesującego niż seks.

– Na przykład? Mojej duszy? – Parsknęłam po tych słowach, ale gdy nie uśmiechnął się nawet nieznacznie, ściągnęłam brwi jeszcze mocniej. Właśnie wtedy dostrzegłam subtelny błysk w jego oczach, zupełnie jakby w płomieniach zamigotał rozpalony bursztyn. W piersi rozkwitł mi strach. – Kim pan tak naprawdę jest?

Przesunął dłonią po swojej gładko ogolonej twarzy.

- Może jednak udzielę odpowiedzi na twoje pytania.
- Dopiero co mówił pan, że potrzebuje... jakiejś zapłaty.
- Ten jeden raz z niej zrezygnuję.

Nic, co padało z ust tego mężczyzny, nawet w najmniejszym stopniu mnie nie uspokajało. Nie usłyszałam choćby najdrobniejszej wskazówki, że mogłabym mu zaufać. Powinnam odejść, ale to oznaczałoby, że nie dostałabym odpowiedzi. Do końca życia nie przestałabym się zastanawiać. Wiecznie wątpiłabym w ojca i kwestionowałam jego poczytalność.

Chciałam wiedzieć więcej. Potrzebowałam wiedzieć więcej.

- W porządku. Wejdz – rzekł, machając piórem, by mnie ponaglić.

Odsunął się na bok, jedynie przelotnie zerknął na mój nóż, i pozwolił mi wejść, nie prosząc, żebym go schowała. Zupełnie jakby nie poczuł się ani trochę zagrożony. Zaciskając palce na scyzoryku, minęłam mężczyznę i rozejrzałam się po słabo oświetlonym wnętrzu. Wyszczerbione i zwietrzałe cegły zewnętrznej fasady ustąpiły jasnozielonym pnączom wspinającym się na sufit i ściany. Mały, urządzony w stali nierdzewnej aneks kuchenny widniał za umieszczoną na kółkach wyspą z tego samego materiału, na której stała misa z owocami dająca błysk koloru. Śnieżnobiałe zasłony zwisały z popękanych okien, które zauważyłam z zewnątrz, a ich rąbki poruszały się w chłodnym październikowym wietrze, od którego powinno tu być lodowato, gdyby nie potężny płomień na środku pomieszczenia, gdzie w stalowym zagłębieniu mieściło się palenisko. W pozbawionej ścianek działowych przestrzeni stały doniczki z roślinami rozmaitych gatunków i rozmiarów. Na podłodze rozrzucono poduszki okryte ekstrawaganckimi tkaninami i wzorami. Xhiphias wskazał, żebym na nich usiadła.

Po szybkim zerknięciu, czy w materiale nie kryją się jakieś dziwne substancje, usiadłam na okazałej poduszce, on zaś zajął miejsce po drugiej stronie paleniska i zatknął sobie czarne pióro za ucho.

Z kieszeni żakietu wyciągnął małe złote pudełko pokryte zawilym liściastym wzorem i pięknymi, opalizującymi, perłowymi akcentami. Otworzył wieczko i nałożył na dłoń odrobinę zawartości, którą następnie wciągnął do nosa. Brązowawa barwa zasugerowała mi, że to tabaka, choć nie mogłam mieć pewności. Następnie zgrabnymi ruchami sięgnął do tacy obok siebie po wspianiały, czarny imbryk malowany w srebrne czaszki w koronach i nalał z niego płynu do filiżanki. Gdy zatrzymał rękę nad drugą filiżanką i zerknął w moją stronę, pokręciłam odmownie głową.

– Niech pan posłucha. Miał pan rację, mówiąc, że nie do końca w to wszystko wierzę. – Czułam się niezręcznie i bawiłam się palcami, a w głowie wirowały mi niezliczone pytania, które miałam ochotę zadać. – Zamierzam jednak postarać się zachować otwartość umysłu. Chcę zrozumieć ojca i jego motywacje, a to chyba jedyny sposób, żebym mogła odrzucić sceptycyzm. Proszę mi zatem powiedzieć. Czym jest Nocny Cień?

Odchyliwszy mały palec, upił herbaty z większą godnością niż członek rodziny królewskiej, po czym odstawił filiżankę na tacę i wyciągnął przed siebie dłoń.

– Musisz wiedzieć, że wszechświat tworzy równowagę, pozwalając, by ciemność istniała u boku światła. – Ustawił drugą dłoń tak, że zetknęły się płaskimi wnętrzami. – Dwie równe części, zgadza się?

– Tak, oczywiście.

– Nocny Cień jest ciemnością dla światła tego świata. Poniekąd jego cieniem. Miejscem zamieszkiwanym przez mrocznych.

– Mroczni. Mówi pan o upadłych aniołach, prawda?

Wyjął pióro zza ucha i uśmiechnął się, przesuwając sobie jego chorągiewką po twarzy.

– A co tak niewinna istota jak ty o nich wie?

– Mój ojciec uważał, że jeden z nich obserwował mnie, gdy byłam dzieckiem. – Po przejrzeniu jego dzienników i ujrzeniu rysunku mężczyzny, którego mgliście przypominałam sobie z dzieciństwa, przekonałam samą siebie, że domniemany stalker nie był jedynie wytworem mojej wyobraźni.

– Upadli nie obserwują małych dziewczynek. – Machnął piórem w moją stronę. – Wykradają je i robią im bardzo złe rzeczy. Niewysłowione rzeczy.

– Ojciec obserwował mnie bacznie i bardzo mnie chronił. Być może nie zaistniała okazja, żeby mnie wykraść.

Mężczyzna przyjrzał się swoim paznokciom; były długie, dłuższe od moich, i pomalowane na lśniąca czerń.

– Twój ojciec nie byłby w stanie obserwować cię dość długo, dziecko. Gdy wpadniesz w oko Upadłemu, żaden człowiek na świecie nie zdoła cię ocalić.

– Zatem ten... ktoś, kogo najwyraźniej widywał mój ojciec, był według pana kimś innym?

Xhiphias wzruszył ramionami i wyprostował plecy.

– Żyjesz, zatem tak.

– Ojciec wspominał też o innych. Nazywał ich Strażnikami. Posłańcami.

Mężczyzna przestał skubać paznokcie i niedbale rozparł się z uśmiechem na poduszce.

– Ach, tak. Wartownicy.

– Kim oni są?

– Słyszałaś o aniołach i demonach?

- Trochę. Ojciec dość wnikliwie badał ten temat.
- Czy wiesz, co powstaje z połączenia anioła i człowieka?

Co dziwne, wiedziałam.

- Nefilim.
- Bardzo dobrze. A z człowieka i demona?
- Cambion, zgadza się?

Skinął głową, uniósłszy z zaskoczeniem brwi.

– Jestem pod wrażeniem, panno Ravenshaw. A zatem Strażnik pojawia się, gdy demon zakocha się w aniele.

Być może sprawiło to jedynie ciepło bijące z paleniska, ale poczułam dreszcz na plecach.

- Coś takiego jest w ogóle możliwe?
- Rzadko. Ale owszem, jest możliwe.

Zaskoczyło mnie, jak płynnie mówił, z jaką pewnością opisywał te istoty, zupełnie jakby były rzeczywiste niczym migoczący pomiędzy nami ogień.

- A co z powstającym wtedy Strażnikiem? Jest dobry? Zły?

– Ma skłonności do jednego i drugiego. Całe jego życie stanowi w zasadzie sprawdzian. Szereg testów sprawdzających, po której stronie stronie. Dobra? Czy zła?

- Czyli ten... wartownik, którego podobno widywał mój ojciec. Czy sądzi pan, że mógł mnie chronić?

– Nie mam pojęcia. I jeśli mogę dodać, twój ojciec widywałby go tylko dlatego, że tamten chciałby być widywany. – Mężczyzna znowu pokiwał piórem w moją stronę, marszcząc koronkę mankietu. – Przypuszczam, że miał powód, żeby tam przebywać.

- A z jakich powodów prowadzą obserwację?

Przekrzywił głowę i uśmiechnął się ironicznie.

- Istnieje tylko jeden powód, dla którego Strażnicy prowadzą obserwację.

- Upadli?

– Tak. Niebiosa wymagają od nich, żeby polowali na Upadłych. Natomiast to ich osobiste demony określają, czy robią to, czy też nie.

To sugerowałoby, że w pewnym momencie upadły anioł się mną zainteresował. A przynajmniej, że trzymał się blisko miejsc, w których lubiłam się bawić, bo wyglądało na to, że zawsze byłam obserwowana.

– A gdyby tak było, gdyby rzeczywiście mnie pilnował... czy też po prostu obserwował, czy mogłoby to się dziać z powodu Upadłego?

- Być może. Trudno zgadywać, czym mógł się kierować.

- Ale czy to z jego powodu upadły anioł mógłby nie zabrać mnie w dzieciństwie?

– Byłby jedynym powodem, dla którego upadły anioł nie zdołałby cię zabrać. Upadli obawiają się takich jak oni, ponieważ ci dysponują mocami zarówno Nieba, jak i Piekła.

Podciągnęłam kolana i otoczyłam je rękoma, próbując wchłonąć wszystkie nowe informacje, którymi zostałam nakarmiona, a jednocześnie przeszukiwałam myśli pod kątem naglących pytań. Kto wie, kiedy znowu będę miała okazję do tak otwartej rozmowy z kimkolwiek, żebym przy okazji nie brzmiała jak ktoś, kto potrzebuje leczenia na oddziale zamkniętym.

- Czy ci Strażnicy istnieją równie długo jak inne anioły?

– Od tysiącleci. – Xhiphias przytrzymał pióro nad ogniem, a ja ze zdumieniem patrzyłam, jak srebrne pasma rozjarzają się do pomarańcza, choć pióro nie stanęło w płomieniach. – Miejscem narodzin Strażników była Praeepsia.

– Praeepsia! Tak brzmiała ta nazwa! – Pomińmy, że świrowałam właśnie po wspomnieniu nazwy miejsca z mojego ostrzegawczego koszmaru.

Jego twarz rozjaśniła się w zaskoczeniu w tej samej chwili, gdy pomarańczowe drobinki żaru wzniosły się z podsyconych przez niego płomieni i roziskrzyły niczym kamienie szlachetne – topazy i cytryny.

- Słyszałaś o niej?

– Dopiero niedawno. Wygląda na to, że właśnie teraz wiele rzeczy wychodzi na jaw. Nie wiem, czy to zbieg okoliczności, czy może tracę zmysły.

– Nic nie jest zbiegiem okoliczności, Farryn. Wszystko ma znaczenie. – Znowu te słowa. Te same słowa, które wypowiadał do mnie ojciec, które stały się mantrą mojego życia. – Jestem zdziwiony, że w ogóle

wiesz o jej istnieniu.

– Dlaczego tak pan mówi? Czy to nie jest rzeczywiste miejsce?

– To zależy, kogo pytać. Niektórzy twierdzą, że nigdy nie istniała. A inni wierzą, że została wypalona do gołej ziemi przez Strażnika. – Westchnął i odłożył pióro, a wtedy coś, co wyglądało na czaszkę otoczoną płomieniami, zafalowało i wzniosło się wraz z żarem.

Zamrugalam i znów popatrzyłam na ogień, ale nie dostrzegłam nic poza urzekającym płomieniem.

Dziwne.

– Czyli... ten Strażnik poddał się złu.

– Być może. Tak naprawdę nie znamy okoliczności, ponieważ miało to miejsce przed stuleciami.

– Jeśli w Nocnym Cieniu Upadli mogą swobodnie się poruszać, to dlaczego mój ojciec nalegał, by się tam udać?

– Ponieważ to również miejsce, do którego zagubieni trafiają po śmierci.

– Zagubieni?

– Ci, którzy nie wierzą ani w Niebo, ani w Piekło.

– Ale mój ojciec wierzył w jedno i drugie.

– Tak. Lecz twoja matka nie. – Porozumiewawcze spojrzenie, jakim mnie obrzucił, sprawiało wrażenie, jakby przenikał mnie promieniami rentgenowskimi. To prawda, moja matka nie została wychowana zgodnie z zasadami wiary. Z uwagi na ojca chodziła wraz z nim do kościoła, ale nigdy tak naprawdę nie wierzyła.

– Ci ludzie w Nocnym Cieniu. Skąd się tam biorą?

– Niektórzy postanawiają, że chcą się tam znaleźć. Inni nie mają na to żadnego wpływu.

Wraz z każdą jego odpowiedzią w mojej głowie wykwitało dziesięć nowych pytań.

– A jak jest w przypadku tych, którzy sami się na to decydują?

– Żywi mogą tam przejść jedynie na dwa sposoby. Albo zostają wykradzeni przez Umarłych, albo zjawiają się u mnie.

– A jak pan tam przechodzi?

– Mógłbym ci powiedzieć, ale później musiałbym cię zabić. – Zachichotał i znów sięgnął po herbatę, która pewnie już wystygła. Jego komentarz mnie wzburzył.

– Czy sądzi pan, że mój ojciec tam jest? W Nocnym Cieniu?

– Trudno powiedzieć. – Nieprzyjemny zgrzyt przyciągnął mój wzrok do brzegu filiżanki, wzdłuż którego sunął paznokciem.

– Pokaże mi pan, jak się tam dostać?

Odsunął tacę na bok i wstał.

– Obawiam się, że w tym momencie moja życzliwość się wyczerpała, a ty musisz odejść.

– Ale mojemu ojcu pan pokazał.

– Tak. I nie spodziewam się, by miał wrócić. – Machnął dłonią, wskazując mi, żebym wstała, ale odmówiłam. Potrzebowałam więcej odpowiedzi.

– Czyli to prawda! On tam jest! Umrze? Upadli go zabijają? – dopytywałam niecierpliwie.

– Upadli niewątpliwie stanowią zagrożenie dla biednych, niezbrukanych dusz, które decydują się udać do Nocnego Cienia. Ale najbardziej prawdopodobny powód jest taki, że z czasem zapomni o swoim życiu w tej krainie.

– Zapomni? O wszystkim?

– O wszystkim. O tobie. Twojej matce. Swojej motywacji. Tak działa Nocny Cień.

– Najwyraźniej już tam pan był. I wrócił. Jak?

– Wchodzę i wychodzę, gdy jest to konieczne. – Uśmiezek rozciągnął jego wargi w tej samej chwili, gdy moją uwagę przykuł błysk w jego oku. Nagle zauważyłam, jak jego tęczy o barwie żaru stają się czarne jak obsydian, zanim znów wróciły do pierwotnej barwy.

Wydałam z siebie cichy okrzyk i rzuciłam się w tył, przeturkując przez poduszkę. Szybko usiadłam z powrotem.

– Czym jesteś?

– Spokojnie. Gdybym chciał cię zabić, na pewno nie odpowiadałbym na wszystkie te pytania.

– Nie jesteś... jesteś... czym? Czym jesteś?

– Cambionem.

– Urodziłeś się jako półdemon?
– Nie wszystkie cambiony się rodzą. Niektóre są tworzone. – Mrugnął do mnie. – Wynik kiepskich decyzji.

Zacisnęłam mocno powieki i pokręciłam głową.

– Nie. Nie, ja nie... nie wierzę... – Zerwałam się na nogi i wyciągnęłam nóż w jego stronę. – Pamiętam, miałam zachować otwarty umysł, ale... skłamałam.

Jego mroczny śmiech wydawał się rozbrzmiewać wszędzie wokół mnie; obejrzałam się przez ramię, czując, że coś jest za mną. Gdy obróciłam się z powrotem do niego, znajdował się bliżej niż wcześniej. Znacznie bliżej.

– Ja tylko... chcę wyjść. W jednym kawałku, dobrze?

– Farryn, nie obawiam się ciebie, a ty nie powinnaś obawiać się mnie. Każdego dnia kroczysz wśród takich jak ja, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Umysł podsunął mi obrazy zatłoczonych chicagowskich ulic i wszystkich tych licznych ludzi, których często mijałam na kampusie.

– Mówiłem już, uspokój się. Zazwyczaj jesteśmy nieco wybredniejsi, niż uważasz. – Przewrócił oczyma, a potem obrócił się do aneksu kuchennego i wyłowił małą kiść winogron spośród owoców leżących w misie na wysepce.

– Zatem nie chcesz mnie zabić.

– Nie. Nie jestem tym zainteresowany.

– Cieszę się. Naprawdę. Ale, tak z czystej ciekawości: dlaczego nie?

– Bo twoja dusza jest... pogmatwana. Nie umiem tego tak naprawdę wyjaśnić, po prostu wiem. Nie mam zamiaru cię zabijać.

Odchrząknęłam i opuściłam nóż.

– No dobra, zatem... może... wróćmy do rozmowy. – Pomimo jego zapewnień nie potrafiłam rozluźnić mięśni, które wciąż lekko drżały, gotowe do ataku. – Muszę mu pomóc. Ojcu. Jeśli tam jest. Muszę pomóc mu sobie przypomnieć.

– Nocny Cię jest większy, niż sobie wyobrażasz. Nigdy go nie odnajdziesz.

– Poszedł tam szukać mężczyzny nazwiskiem Van Croix. Wydawało mi się, że go skojarzyłeś.

– A kto nie słyszał o Van Croixie.

– Kim on jest? Co jest w nim takiego wyjątkowego?

– Mieszka w Nocnym Cieniu. Jest czymś w rodzaju pariasa. – Wsunął sobie winogrono do ust i zamknął oczy, jakby chciał się skupić na jego smaku. – Trzyma się w towarzystwie Upadłych i krążą pogłoski, że handluje z nimi duszami w zamian za przysługi. W miejscowych wzbudza grozę. – Zachichotał i odchylił głowę w tył, zębami zrywając kolejne grono z szypułki. – Boją się, że jest Śmiercią, dasz wiarę? Te nieszczęsne duszyczki nawet nie mają pojęcia, że już nie żyją.

To doprowadziło mnie do kolejnego pytania.

– Czy on jest człowiekiem?

– Nie mam pojęcia. Mało kto cokolwiek o nim wie. Zazwyczaj się izoluje, jest odludkiem. Mieszka w katedrze na Urwisku Czarnej Wody.

– Czy mój ojciec mówił ci może, dlaczego chce go odnaleźć?

– Nie.

Zacisnęłam mocno powieki i odetchnęłam ostro.

– Muszę się tam udać. Do Nocnego Cienia.

– Nie wiesz, o co prosisz. Wróć do domu. Wróć do życia, które ma sens. Zapomnij o tym wszystkim.

– Moje życie nigdy wcześniej nie miało sensu.

– A później już nic nie będzie go miało. Moja odpowiedź brzmi: nie. – Podeszedł do miejsca, gdzie przy ogniu leżało wciąż pióro, podniósł je i podał mi. – Skończyliśmy. Wróć do domu, Farryn Ravenshaw. Zajmij się tym, co cię uszczęśliwia. Zostaw tę sprawę w spokoju.

Lustina

Lustina zebrała ostatnie zmoczone szmaty leżące na podłodze w pokoju damy Praeceptii i wcisnęła je do wiklinowego kosza. Oczywiście nie wpuszczano jej tu podczas ceremonii, by nie mogła zobaczyć, do czego ich używano. Takie rzeczy uważano za święte i biskup Venable nie zezwoliłby na jej obecność. Zamiast tego nasłuchiwała z drugiej strony drzwi, gdzie polecono jej siedzieć i czekać, lecz słyszała jedynie ściszone odgłosy modlitwy i pociąganie nosem przez damę Praeceptię, którą najwyraźniej doprowadzano do płaczu.

– Czy on cię dobrze traktuje? – Dama odezwała się do niej osłabionym głosem z łóżka, gdzie leżała z półprzymkniętymi oczyma i skórą pokrytą świeżym, błyszczącym potem. – Biskup?

– Tak dobrze, jak można by się tego spodziewać, moja damo.

– Przypuszczałam, że tak powiesz. – Ton kobiety złągodziło lekkie rozbawienie. – Nigdy nie mówisz o nim źle, prawda?

– Nie mogłabym.

Twarz damy rozciągnęła się w znużonym uśmiechu. Choć była słaba i chora, wciąż wydawała się niezmiernie piękna.

– Dostrzegam, że jesteś miłą dziewczyną. Mam... intuicję co do ludzi. Tak samo myślałam o twojej matce.

Lustina zerknęła na drzwi, które pozostawały zamknięte. Biskup Venable rozmawiał za nimi cicho z lordem Praeceptią.

– Lubiłaś moją matkę, damo?

– Odczuwałam straszliwy ból, gdy do mnie przysła. A później cierpienia zupełnie się zakończyły. Jej zdolności lecznicze były niezwykle.

– Zgadza się. – Dziewczyna uśmiechnęła się i zebrała na odwagę, by podejść bliżej łóżka. – Kiedyś, gdy byłam mała, dostałam straszliwej gorączki. Dręczyły mnie okropne koszmary i całe ciało bolało mnie aż do kości. Siedziała przy mnie całą noc. Za każdym razem, gdy się budziłam, była obok, żeby podać mi coś do picia albo przetrzeć czoło wilgotną szmatką. – Wciąż się uśmiechając, przywoływała z czułością wspomnienia. Nawet dziś czuła dotyk kojących dłoni matki na skórze. – Rankiem obudziło mnie słońce i świergot ptaków, a gorączka osłabła. Matka zawsze w ten sposób mnie leczyła.

– Nie zasłużyła na tak okrutny los.

Uśmiech zgasł i dziewczyna spuściła wzrok.

– Biskup Venable mówił, że nosiła w sobie zło.

– Silne kobiety zawsze noszą brzemień niebezpieczne dla dumy słabszego mężczyzny.

Choć młoda, Lustina była na tyle mądra, żeby zrozumieć dość zagadkowe słowa; skinęła głową.

– Mam nadzieję, że wkrótce wydobrejesz, damo.

– Ja straciłam nadzieję dawno temu. Teraz tęsknię już tylko za spokojem.

– Zatem jeśli właśnie tego najbardziej pragniesz, obyś go odnalazła.

– Kiedyś. Na razie muszę walczyć dla dobra mojego syna.

– On również jest chory?

– Och, nie. Jest zdrowszy niż większość osób. – Kobieta westchnęła i chrapliwy, wilgotny kaszel sprawił, że targnęło nią w przód. – Nigdy nie dostał choćby gorączki. Martwię się tylko, co go czeka. Jest pełen gniewu. Nie mogę go winić, ale... Obawiam się, w co może przerodzić się ten gniew.

– Jest zagniewany z powodu twojego stanu, moja damo?

– Przypuszczam, że po części tak.

– Czy mogę spytać... co ci dolega? – Biskup wprawdzie podał jej niejasne wyjaśnienie, ale Lustina chciała usłyszeć to od kobiety.

– Mój czas tutaj niemal dobiegł już końca. – Dama skupiła wzrok na nogach łożka. Przez chwilę milczała. – Gdy odejdę, mój syn zostanie na łasce swojego ojca. I jakie nieszczęścia z tego wynikną. – Musiała majaczyć, skoro mówiła takie rzeczy, zwłaszcza przy nieznajomej.

– Nie ufasz jego ojcu, damo?

– Nie. Być może nie. Mam jedynie nadzieję, że zaszczepiłam w Jerichu wystarczająco wiele miłości i dobroci. – Mrugnęła, wyrывая się ze stuporu, po czym przesunęła zażawione spojrzenie na Lustinę. – Czy mogłabyś być teraz tak miła i poprosić kogoś ze służących, żeby wezwali mojego syna?

– Oczywiście.

Gdy Lustina opuściła sypialnię, biskup Venable nie stał już w korytarzu ze starszym Van Croixem. W ich miejsce na podłodze pod ścianą siedział młody baron, tulący głowę w dłoniach.

– Mój lordzie, twoja matka prosiła o ciebie.

– Nie powinnaś być wpuszczana do jej pokoju. Jest bardzo chora.

– Utrzymuję dystans. I poproszono mnie jedynie o zbieranie szmat.

– Zatrzymaj je. Może uszyjesz sobie z nich następną sukienkę. – Nieprzyjemny chichot poniósł się echem po korytarzu, sprawiając, że w oczach Lustiny niemal wezbrały łzy. – Nie masz poczucia humoru, dziewczyno.

– A ty nie masz wycucia. Ani trochę.

– Uważaj. – Jego głos zabrzmiał jak warkot.

– Zdumiewa mnie, że ktoś tak okrutny może pochodzić od kogoś tak uprzejmego.

– Nie znasz mnie i na pewno nie znasz mojej matki. – Wciąż trzymając pochyloną głowę, podciągnął kolana i roztarł dłonie. – Wciąż uważasz, że postąpiłem źle. Wtedy w lesie, gdy byłaś tu ostatnio.

– Tak.

– No właśnie. Twój świat dzieli się na to, co dobre i złe. Białe i czarne. Nie ma w nim miejsca na szarość.

– Takie przypuszczenia dowodzą, że ty również mnie nie znasz, mój lordzie.

– Nie muszę cię znać. Nie chcę cię znać.

Gdy zacisnęła pięść, co dziewczyna uznała za gniewną reakcję wywołaną wspomnieniem ich pierwszego spotkania w lesie, skinęła głową.

– Zatem utrzymam dystans również w stosunku do ciebie. A teraz, jeśli pozwolisz, zabiorę jedynie szmaty i dam znać twojej matce, że za chwilę przyjdiesz.

– Co mówiła o twojej matce?

Lustina wzdrygnęła się, zastanawiając, jak dużą część rozmowy podsłuchał.

– Tylko to, że ją znała.

– Kiedy?

– Chyba wtedy, gdy była brzemienna z tobą, tak przypuszczam. Moja matka przynosiła jej zioła, by mogła poczuć się lepiej.

– A gdzie teraz jest twoja matka?

Brew drgnęła jej z bólu, który wciąż przebijał jej serce.

– Nie żyje, mój lordzie.

– Jak umarła?

– Została... spalona. Za uprawianie czarnej magii.

– A czy uważasz, że zasługiwała na śmierć?

– Obawiam się, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, mój lordzie.

– Dlaczego? Boisz się, że usłyszysz cię twoje sumienie?

– Bo... bo już mnie karano, gdy mówiłam o niej.

Przesunął zębami po wargach.

– Kto cię karał?

– Biskup Venable.

– Nie ma go tutaj teraz. Powiedz mi zatem, Lustino. Czy wierzysz, że twoja matka zasługiwała na

spalenie żywcem?

Obejrzała się szybko przez ramię, by się upewnić, że nie widzi biskupa, a potem odchrząknęła.

– Nie.

– A w co wierzysz?

Lustina nie potrafiła już powstrzymać łez. Pokręciła głową, niezdolna się odezwać z powodu wszystkich emocji, które podeszły jej do gardła.

– Powiedz mi. Chcę to od ciebie usłyszeć.

– Proszę, mój lordzie. Nie chcę okazać ci braku szacunku.

– Powiedz mi, w co wierzysz. Powiedz mi natychmiast. Żądam tego. – Gdy się podniósł, przypomniała sobie, jak jest wysoki; cień, jaki rzucał na ścianę, nadawał mu złowieszczą aurę.

Łzy potoczyły się po jej policzkach i znowu pokręciła głową.

– Nie mogę.

– Uważasz, że została niesłusznie oskarżona. Że zginęła na darmo. Że zamordował ją człowiek, który uważa się za świętego i sprawiedliwego. Coś w tym rodzaju?

Polaty się kolejne łzy, a Lustina odchyliła głowę w tył w nieudanej próbie zapanowania nad złością i frustracją, które w niej płonęły.

– Proszę cię, żebyś nie mówił w moim imieniu, mój lordzie.

– Tak wygląda prawda. Twoja prawda. Której nie chcesz przyznać. Dlaczego? – Ruszył ku niej powolnym krokiem. Coraz bliższa jego obecność sprawiała, że przez grzbiet przeszedł dziewczynie dreszcz.

– On uważał... że była zła.

– A była, Lustino? – Młodzieniec założył dłonie za plecami i przechadzał się przed nią jak dzikie zwierzę. Które w każdej chwili może zaatakować. – Czy kiedykolwiek widziałas złą stronę swojej matki?

Ani razu. Matka nigdy nie podniosła na nią ręki. Nigdy jej nie porzuciła. Nigdy nie mówiła o nikim źle, odkąd tylko Lustina sięgała pamięcią.

– Powiedz mi, w co wierzysz.

– Ja... wierzę...

– Powiedz to.

– Wierzę... że była niewinna.

– Tak. I powiedz mi, co myślisz o biskupie Venable.

Chciała tego. O Boże, jakże chciała wyrzucić z siebie niegodziwe słowa dotkliwie palące ją w gardle. Zamiast tego jednak pokręciła głową.

– Powiedz mi – wyszeptał. – Powiedz mi to, czego nie chcesz wysłować na głos. Co myślisz sobie każdej nocy, zanim zapadniesz w sen. Powiedz mi, co mówisz w snach, gdy nikt nie może cię usłyszeć.

– Nienawidzę go – odezwała się cicho i niepewnie, spodziewając się, że tamten stary, nikkzemny człowiek zaraz wyskoczy z cieni, żeby ją ukarać.

– Jeszcze raz. Głośniej.

– Nienawidzę go!

– Głośniej, Lustino. – Gorący oddech barona uderzył ja w szyję i dziewczyna zadrżała od napięcia, jakie od niego promieniowało. – Tym razem pomyśl o swojej matce. Pomyśl o tym, jak woła do ciebie w bólu.

Wściekłość kotłowała się w niej i wrzała. Cały gniew, cierpienie, obawy podeszły jej do gardła, domagały się głosu.

– Powiedz to.

– Nienawidzę go! Nienawidzę go! Chcę zobaczyć, jak płonie! – W chwili, gdy te słowa wylały się z jej warg, zakryła usta obiema dłońmi.

Baron okrążył ją, a drżący mroczny uśmiech unosił mu kąciki ust. Lustina odwróciła wzrok. Co ona powiedziała! Niebiosa z pewnością przeklną ją za mówienie tak okropnych rzeczy na głos. I to o świętym człowieku.

Baron nachylił się do niej i jego wargi nieznacznie musnęły jej ucho, gdy wyszeptał:

– Nie obawiaj się, Lustino. Twój sekret jest u mnie bezpieczny.

Jericho

Dysząc ciężko, leżałem w łóżku pokryty cienką warstewką potu, czując, że wszystkie mięśnie mam oklapłe i wyczerpane. Tym razem ta kobieta naprawdę mnie załatwiła, zamieniła mnie w kipiący kocioł nagromadzonego ciśnienia, i choć szczyt ekstazy wydawał się pozostawać nieznośnie poza moim zasięgiem, wynik tego wszystkiego okazał się zupełnie niepodobny do jakichkolwiek pamiętanych przeze mnie doświadczeń.

Gdyby tylko istniała poza moimi snami.

Za każdym razem, gdy budziłem się po jej pieścotach, nie potrafiłem przypomnieć sobie wiele więcej oprócz atramentowoczarnych loków i wielobarwnych oczu wyglądających niczym gwiazdny pył. Wszystkie pozostałe cechy jej wyglądu gasły wraz ze snem, pozostając dla mnie zupełną tajemnicą.

Śniłem w taki sposób mniej więcej raz na miesiąc – i żyłem dla tej fantazji.

Nigdy dużo nie sypiałem, przedkładałem długie nocne godziny ponad dzień, ale z jej powodu warto było to zmienić. Po wszystkim zawsze pragnąłem znacznie więcej niż pustki pokoju i krwi wciąż napływającej do mojej pachwiny. Kimkolwiek była ta dziewczyna, zorientowałem się, że w ostatnich miesiącach mój pociąg do innych kobiet słabł, w miarę jak moja obsesja narastała z każdym spotkaniem.

Pukanie do drzwi nieprzyjemnie wyrwało mnie z rozmyślań. Stęknąłem, gdy stadko kobiet czekających przed moją sypialnią zaczęło z jękiem błagać o możliwość wejścia. Niewątpliwie wyczuły we mnie pożądanie i pierwotne instynkty popchnęły je do zaspokojenia go. Instynkty, którym jeszcze niedawno chętnie bym się poddał. Teraz jednak zupełnie mnie nie obchodziły.

Niestety będą tak jęczeć pod moimi drzwiami całą noc.

– Zostawcie mnie! – warknąłem, kotłując się w swoim wielkim łóżku.

– Prosimy, panie, wpuść nas. – Jeden z głosów niósł ze sobą desperację, która jednak zupełnie na mnie nie działała.

Kilka miesięcy wcześniej wziąłbym je wszystkie do łóżka i pierdolił do upadłego. Seks był demonom równie potrzebny, jak ludziom woda, i szczególnie mi się podobało, że moje pragnienia zostały powiązane z wyobrażoną kobietą z moich snów. Oszukiwałem się jednak, twierdząc, że zdołam odnaleźć satysfakcję z kimkolwiek innym niż ona. Kobiety zawsze stanowiły źródło fizycznej nagrody i odprężenia. Nic więcej.

Ale ona, o przepięknie nakrapianych oczach i chropawym głosie, była czymś zupełnie innym. Bliźniaczym płomieniem. Spokojną i nieruchomą igłą kompasu na wzburzonym morzu. Niestety wyzwałała we mnie moją *rur'axze* i nieznośną potrzebę, żeby ją pierdolić, właśnie ją, co oznaczało, że zbyt szybko nie wrócę do snu.

Mrucząc pod nosem, zwlokłem się z łóżka, nie próbując nawet ukrywać bolesnej erekcji, która z biegiem nocy będzie tylko bardziej uciążliwa. Zgarnąłem szlafrok leżący na aksamitnym szezlongu przy wysokim otwartym oknie. Nawet chłodny wietrzyk wpadający z zewnątrz nie zdołał zgasić ognia, który wciąż we mnie płonął. Mój apetyt wydawał się niepokromiony, ale nie zamierzałem mu folgować.

Gwałtownie otworzyłem drzwi i ujrzałem przed swoją sypialnią wszystkie te młode kobiety ze służby i personelu kuchennego, stojące w rozkosznie przejrzystych koszulach nocnych ukazujących pobudzone brodawki. Miałem przed sobą marzenie każdego mężczyzny wyłożone niczym bufet.

Tyle że nie byłem głodny. Nie ich.

– Wróćcie do swoich pokoi – powiedziałem znacznie spokojniej niż wcześniej.

– Panie, jesteś w potrzebie. Pozwól nam ją zaspokoić. Prosimy. – Brunetka Evie była moją ulubienicą w nocnych igraszkach, zawsze chętnie brała się za niektóre mroczniejsze rozkosze, które mnie nękały. Jeśli

akurat jej pragnąłem, potrafiła pieprzyć się całą noc.

Nie pragnąłem.

– Poproszę was ostatni raz, żebyście wróciły do swoich pokoi. Inaczej okaże się, że każda z was będzie spała bez dachu nad głową.

Z brwiami ściągniętymi w wyrazie krzywdy brunetka popatrzyła na mnie tak, jakbym uderzył ją w twarz.

– Odprawiasz nas?

To nie jej brak urody stanowił powód, dla którego rezygnowałem z jej wdzięków. W tej kwestii dziewczyna była oszałamiająca. Piękno nie poruszało mnie jednak. Nie podsycalo ognia, który już płonął w moich trzewiach. Żyłem wystarczająco długo, by wiedzieć, że uroda przemija. Gaśnie niczym płaczące wędzące po zimowym przymrozku. Pragnąłem znacznie więcej niż piękna i przelotnych swawoli. Pragnąłem jej – jasnoskórej dziewczyny o ciemnych włosach i wielobarwnych oczach. Zagadkowej duszy nawiedzającej moje sny.

Tracąc cierpliwość, zignorowałem pytanie Evie i przeszedłem przez mały tłumek. Ich samicze wonie jedynie pobudzały pożądanie rozcinające mnie niczym gorąca klinga.

Dłoń wyciągnęła się do mojej dłoni, a gdy się obróciłem w kierunku chwytającej mnie brunetki, zaraz puściła, być może widząc groźbę w moich oczach.

– Wybacz mi, panie, ale od dość długiego czasu nie brałaś żadnej z nas. Tęsknimy za twoim dotykiem.

– Zatem znajdźcie sobie jakieś inne sposoby. Nie pozbawiłem was swobody szukania kogoś innego.

Gdy odwróciłem się z powrotem, znów do mnie przypadła.

– Nie chcę nikogo innego. Chcę ciebie.

Skierowałem ku niej twarz. Z każdą chwilą moja cierpliwość się kurczyła.

– Ten układ nigdy nie był wiążący ani stały. Wyraziłem to od początku bardzo wyraźnie.

Przytaknęła ze spuszczoną głową.

– Owszem. Nigdy nie żywiłam żadnych fałszywych złudzeń. Po prostu... przepraszam. Dość mocno cię polubiłam.

– Sugeruję, żebyś skierowała swoje względy w jakąś inną stronę, ponieważ na mnie nie działają. A teraz muszę już iść. – Po tych słowach ruszyłem dalej w kierunku mojego gabinetu, z ciałem wciąż napiętym i wrzącym od nienasyconego głodu.

Gdy znalazłem się w środku, zamknąłem za sobą drzwi i pocierając dłonią twarz, poszedłem prosto po trunek. Na Hadesa w zimie, nie mogłem pozwolić sobie na brak koncentracji. Nie teraz.

Mój umysł dręczyły niedokończone sprawy i dawne wendetty, zaś wymyślona kobieta snująca mi się w głowie mąciła mi myśli niczym trujący opar. Chwyciłem mały kieliszek na nóżce i łyżkę do absyntu, którą oparłem o krawędź. Ułożyłem na łyżce kostkę cukru, nalałem na nią absynt i podpaliłem. Gdy przestał wrzeć, zamieszałem podejrzany trunek łyżką, nie trując się dolewaniem lodowatej wody, która przede wszystkim rozredziłaby alkohol.

Stary skórzany fotel zaskrzypiał, gdy rozparłem się w nim i zacząłem saczyć zawartość kieliszka. Ciepły trunek uspokajał rozpasany płomień, który wciąż gorzał w moim wnętrzu.

Moja obsesja na punkcie tajemniczej kobiety urosła do niepokojącego rozmiaru, ale było w niej coś, czego nie potrafiłem do końca określić. Znałem jej ciało niczym obraz, nad którym śleczalbym codziennie. Każdą krągłość. Każdy cal jej skóry. Nawet teraz mogłem ujrzeć, powąchać i dotknąć jej tak wyraźnie, jakby leżała na moim biurku. Mimo to jej tożsamość pozostawała rozmyta. Jakby straciła ostrość. Nieważne, jak bardzo powtarzałem sobie we śnie, żeby się skupić i zapamiętać, za każdym razem ztracałem się w rozkoszach, zbyt zajęty, by wyryc w myślach jej rysy, które mi się wymykały.

Gdybym kiedykolwiek się na nią natknął, miałaby szczęście, gdyby zdołała opuścić moje łóżko.

Ciche stukanie do drzwi sprawiło, że jęknąłem w duchu.

– Czego?! – warknąłem, na nowo zirytowany.

– Przepraszam, że cię niepokoję, panie Van Croix.

Na głos ochmistrzyni Anyi z ulgą zapadłem się z powrotem w fotelu.

– Wejdz.

Na starszą kobietę na szczęście nie wpłyną aż tak bardzo feromony pompowane przez moje ciało, dzięki czemu mogłem ją uważać za znacznie milej widzianą gošcinie.

- Nie będę ci długo przeszkadzać, panie. Po prostu zauważyłam światło.
- Nic się nie stało. O co chodzi?
- Hmm, cóż, o psy. Ja nie... nie zdołałam odnaleźć ich opiekuna. Znowu. To już trzeci, który zaginał.
- Zapewne kazałaś obsłudze przeszukać teren.
- Tak. Garic znalazł jedynie kość w pysku Fenrira. Wszyscy modlimy się teraz, żeby pochodziła z jakiegoś zwierzęcia. – Załamała ręce i westchnęła. – Trochę wymknęły się spod kontroli.
- A jaki jest cel twojego raportu?
- Ja... Cóż, czuję się zagubiona. Wygląda na to, że skończyły się nam możliwości.
- Zatem znajdź więźnia czekającego na karę śmierci.
- Wybacz mi, panie, ale nie możesz... nie możesz tak po prostu przydzielić więźnia z oczekiwaniem, że psy ostatecznie... go skonsumują. Choć bardzo podoba mi się wizja jednego przestępcy mniej w tym miejscu, nie przypuszczam, żeby rozsądne było zrównywanie ludzkiego mięsa z psią karmą, inaczej będziemy zmuszeni serwować im więźniów co drugi dzień.
- Wierzę w zasadę domniemania niewinności – rzuciłem lekceważąco, nie przejmując się zgonem paru beużytecznych gwałcicieli.
- Z tego, co wiem, tym bestiom daleko jest do niewinności. Chodzi o to... Cóż, potrzebują dyscypliny i silnej ręki.
- Przejdź do rzeczy, Anyu.
- Uważam, że przydałoby im się parę wskazówek od ciebie. Rozumiem względy, jakimi je darzysz. Naprawdę. Ale może mógłbyś...
- Co takiego?
- Nieważne, panie. Znajdę więźnia. Może się nam poszczęści i nie uznają go za kolację.
- Dobrze. Informuj mnie o rozwoju sytuacji.
- Panie... czy wszystko w porządku? Wydajesz się tego wieczora jakby spięty.
- Nic mi nie jest.
- Oczywiście. Wybacz mi wścibstwo. Jestem przekonana, że masz obecnie mnóstwo spraw na głowie.
- Owszem.
- Tak. – Skinęła głową i obróciła się do drzwi, lecz ku mojemu ogromnemu rozczarowaniu zatrzymała się i odwróciła z powrotem. – Ale, hmm... Nie potrafiłam nie zauważyć... Odprawiłaś wszystkie te kobiety. Znowu.
- Owszem.
- Po prostu moje instynkty opiekuńcze każą mi się zastanawiać, czy dobrze się czujesz. Jęknąwszy w duchu, zapadłem się głębiej w fotel i upiłem łyk drinka.
- Mówiłem ci już, nic mi nie jest.
- W porządku. Ja, hmm... Zauważyłam także, że sypiasz sporo dłużej niż zazwyczaj.
- Jeśli twoje pytania służą jakiemuś celowi, sugeruję, żebyś szybko do niego przeszła.
- Przez większość nocy wydajesz się rozdrażniony. I młodsze służące... również to wyczuwają. To jakaś inna kobieta pochłania twoje myśli, prawda?
- Po prostu nie interesują mnie już nocne schadzki z pokojówkami i pomywaczkami. Wciąż zaciskając palce, Anya spuściła wzrok i pokręciła głową.
- A ja na pewno nie sugeruję, żebyś kontynuował takie schadzki. Wiem, że kobiece sztuczki mogą doprowadzić mężczyznę do szaleństwa. W tej kwestii jesteśmy istotami dewiacyjnymi. Ale wyrzeczenie oznacza podążanie tą samą podłą ścieżką co obsesja. Drogą, która nieodmiennie prowadzi do... gwałtowniejszych przyjemności. – Sposób, w jaki jej wargi wykrzywiły się w lekkim uśmiechu, kazał mi zmarszczyć brwi. – Niemniej jutro odwiedzę wieś, jak prosiłeś, i sprawdzę, czy uda mi się znaleźć kandydata do zajęcia się psami.
- Dobrze. Najlepiej takiego, który sobie z nimi radzi.
- Oczywiście. Choć w ich przypadku to raczej nie robi większej różnicy.

Lustina

Lustina przyklękła obok powykęczonego pnia powalonego przez niedawną burzę. Przed nią na ziemi leżało czarne pisklą – wroniátko lub kruczątko, jak zgadywała – ze skrzydłem zgiętym pod kątem sugerującym, że jest złamane. Gniewne oczy po obu stronach nazbyt szerokiego dziobu nie wydawały jej się na tyle groźne, by zostawiła stworzenie na śmierć, zatem, podłóżywszy pod niego ostrożnie dłonie, podniosła je, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Dopiero wtedy dostrzegła niezwykłą białą smugę na piórze, która skojarzyła jej się z błyskawicą. Uznała, że ta aberracja przydaje maleństwu absolutnego uroku.

– Tak postanowił Święty Ojciec – powiedział z tyłu Drystan. – Lepiej go tu zostaw.

Odwrócona do niego plecami, Lustina przewróciła oczyma.

– A czy Święty Ojciec nie zaplanował również, żebym natknęła się na niego tego popołudnia?

– Jesteś wyjątkowo bitna, gdy ktoś kwestionuje twoje zamiary, prawda?

Powolnym, delikatnym głaskaniem Lustina próbowała uspokoić szybki oddech ptaszka, który kilka razy zamierzył się na nią dziobem.

– Tylko wtedy, gdy towarzyszy temu atmosfera rozkazu. Fakty są takie, że niezależnie od tego, co Święty Ojciec postanowił dla tego ptaka, nie planuję go tu zostawić na śmierć. I poruszę z Nim tę kwestię dzisiejszego wieczora podczas modlitwy. Bez twojego komentarza.

– Czasami nie wiem, jak cię rozumieć, Lustino. Jak ktoś może być tak grubiańsko porywczy, a jednocześnie tak delikatny? To naprawdę dziwne połączenie.

– Które w pełni mi pasuje. – Zachichotała z ulgą, gdy ptaszek w końcu zrezygnował z ataków na jej kciuk.

– Co to jest?

Dźwięk głosu sprawił, że poczuła dreszcz na grzbiecie. Obróciła się i ujrzała młodego barona stojącego zaledwie kilka kroków od nich. Podobnie jak żołnierze, których często napotykała przy bramie, miał ochraniacze na nadgarstkach i brygantynową kamizelkę z czarnej skóry, ukazującą mięśnie wyjątkowo pokaźne jak na chłopaka w jego wieku. Takie, jakie widywała jedynie u kowali i mężczyzn całymi dniami harujących w polu. Baron przyciągał jej myśli mocniej, niż miała ochotę przyznać.

– Co tam masz? – zapytał.

– Nic. – Lustina wsunęła ptaka do kieszeni fartucha i obróciła się od okropnego młodzieńca.

– Kłamiesz. – Baron wyciągnął do niej dłoń. – Podaj to, co ukryłaś w kieszeni.

– Nie.

– Lustino, oddaj – ponaglił ją stojący z boku Drystan. – Ptak nie jest wart konsekwencji.

Ze zmarszczonymi brwiami pokręciła głową.

– Jest w pełni wart konsekwencji i odmawiam.

– Nie będę się powtarzać. Oddaj go. Już.

– W jakim celu? Jakie okrucieństwo sprawisz temu ptaszkowi dla własnej uciechy?

– To, co zrobię, nie jest twoją sprawą. Albo oddasz go teraz, albo zabiorę ci go siłą.

– Lustino... proszę – słowa wydostawały się z Drystana przez zaciśnięte zęby. – Nie mam ochoty cierpieć skutków także twojego nieposłuszeństwa.

– Sama ścierpię baty, jeśli będzie trzeba. Nie oddam ci tego ptaszka. Możesz sobie być młodym lordem tej posiadłości, ale nie jesteś lordem ptaków. A już na pewno nie moim.

– Kto miałby ochotę władać tak krnąbrnym i despotycznym stworzeniem jak ty? – Baron podsunął się

bliżej. – Daj mi go.

– Powiedz mi po co.

– Zrób, co on mówi, Lustino – wtrącił się znowu Drystan. – Nie wiesz, jakie konsekwencje to może wywołać.

– Być może nie wiem. Ale wiem, co czeka tego biednego ptaszka, jeśli go posłucham.

W lodowatych oczach barona zawirowały jednocześnie władczość i mroczne rozbawienie, co jedynie potwierdziło jej obawy.

– Daj mi ptaka i na tym sprawa się skończy.

– Szybciej pozwolę, żebyś wyrwał mi tę biedną istotę z rąk.

– Szydzenie ze mnie nie jest rozsądne, dziewczyno.

– Podobnie jak grożenie mi, lordzie.

– Dość tego. – Rzucił się naprzód, sięgając po jej rękę, ale Lustina ją wyszarpnęła, jednocześnie przewracając się w tył.

Jej plecy w rozbłysku bólu zetknęły się z ziemią. Skrzywiła się, gdy wrażenie wbijających się w nią igieł promieniowało aż do jej zatok. Młody baron przypadł do niej, ale zatrzymał się na jej uniesionych rękach; wydawał się przyglądać kieszeni jej fartucha, gdzie spoczywał ptaszek.

W chwili, gdy po niego sięgnął, Lustina zagrzebała palce w jego włosy i pociągnęła za tę niewielką ich ilość, którą zdołała schwycić.

Baron uderzył jej nadgarstkiem o ziemię przy jej głowie, co sprawiło, że szybko wyplątała palce z jego czupryny. Uważając, żeby nie zrobić krzywdy rannemu ptaszekowi tkwiącemu w jej kieszeni, poderwała kolano, żeby uderzyć młodzieńca w pachwinę. Uśmiechnęła się, gdy trafiła w jego najwrażliwszą część.

Van Croix wydał z siebie warknięcie i naparł udami na jej uda, a w jego niebieskich oczach zapłonęła furia, przez którą serce dziewczyny zaczęło uderzać silniej.

– Lustino! – zawołał Drystan z tyłu. – Oddaj mu już tego ptaka! Na niebiosa, nie jest tego wart!

– Nie mów mi, co mam robić! – Drapnęła barona paznokciami, gdy ten sięgnął do złej kieszeni. – Nie będę słuchać dwóch żalonych chłopców. Wam obu przydałyby się porządne baty! – Uniosła głowę, żeby ugryźć przeciwnika w ucho, lecz uchylił się, gdy jej zęby musnęły jego małżowinę.

– Widzę, że w klasztorze wykonano świetną robotę i nauczono cię zachowywać się jak dzikie zwierzę – wycedził baron.

– A twoja wyszukana uniwersytecka edukacja nauczyła cię zapasów z damami na ziemi?

– Dam ci znać, gdy tylko ujrzę jakąś damę.

Rozgorzała w niej nowa fala gniewu; aż dziwne, że biedny ptaszek nie został zmiażdżony, tak wymachiwała rękoma i wierzgała nogami.

Van Croix dał spokój z przeszukiwaniem jej kieszeni, ujął tym razem oba jej nadgarstki i wcisnął je w mokrą ziemię. Błoto chlupnęło pod jej skórą i poczuła, jak suknia przemaka jej podczas dalszej szamotaniny.

– Daj mi ptaka!

– Nigdy!

– Jesteś jedynie kłótliwym bachorem, którego powinno się przerzucić przez kolano i ukarać. Dopiero wtedy nauczyłaś się trzymać te bezczelne usta zamknięte.

– Nigdy nie zamilknę przed rozpuszczonym dzieciuchem!

– Zatem ja sam cię uciszę.

To mówiąc, przycisnął mocno wargi do jej warg. I choć każda rozsądna cząstka jej ciała miała ochotę go odepchnąć, coś znacznie potężniejszego pchało ją naprzód. Nie opierała się. Owszem, chciała go odrzucić i poczuć, jak jej pięści uderzają w jego kości, jednak smak jego ust okazał się pochłaniać ją znacznie bardziej. Żaden chłopak jej dotąd nie całował. A gdy w końcu się od niej odsunął, zakręciło jej się w głowie.

Otworzyła oczy i ujrzała przed sobą intensywny zimowy błękit, niczym lodową burzę. Chłód, który ją ogarnął, zastygł pod żarem jego spojrzenia, a otaczający ją świat przycichł, jak wtedy, gdy kładła się w rzece z uszami tuż pod powierzchnią wody i wpatrywała w jasne niebo.

– Gardzę tobą – wyszeptwała, lecz te słowa były kłamstwem.

– A ja tobą – zripostował młody baron, nie podnosząc się znad jej leżącego ciała. Nie poruszył się, nie oderwał od niej wzroku. Spojrzał na jej wargi i oblizał swoje, jakby na nowo wyobrażał sobie pocałunek.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, wyrwał się z rzuconego przez siebie uroku i sięgnął do kieszeni

z ptaszkiem. Lustina czuła, jak maleństwo się szarpie, gdy je wyciągał. Podniosła rękę, zęby go powstrzymać, jednak w jego oczach zalśniło ostrzeżenie mówiące jej, że jeśli znów podejmie walkę, z pewnością tego pożałuje.

– Obiecuj mi, że go nie skrzywdzisz. – Gdy nie odpowiedział od razu, ścisnęła mu mocniej nadgarstek, ignorując jego warknięcie. – Obiecuj mi, lordzie.

– Nie składam obietnic. A już na pewno nie nadgorliwym dziewczynom, tak pragnącym widowni.

– Być może. Ale nieważne czy jestem nadgorliwa, jak mówisz, czy nie, proszę cię uprzejmie, żebyś okazał temu ptaszкови litość.

– Nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań, zatem domagam się, żebyś zapomniała o tym ptaku. Nie powinien cię już obchodzić.

– Nie mogę o nim zapomnieć, jeśli moją naturą jest troszczyć się o istoty, które są złamane. – Za ptakiem, za żywymi istotami kryło się większe znaczenie. Baron ją zaciekawił, myślała o nim od poprzedniej wizyty przed tygodniem. Przez wiele nocy dumiała o słowach, jakie wypowiedział przy ich ostatnim spotkaniu, tych o biskupie Venable i jej matce. Przez ten czas uświadomiła sobie, że młody baron nie pragnie jej dręczyć, jak początkowo sądziła. Nie zamierza ranić jej serca, a jedynie przepchnąć prawdę przez uparte wargi, które tak dawno temu się zacisnęły.

Nie potrzeba było mocy czytania w myślach, żeby się zorientować, że baron czuje wrogość w stosunku do biskupa, co, jak przypuszczała Lustina, mogło być związane z jego matką. Pragnęła się dowiedzieć, jakie prawdy kryją się za tymi zagadkowymi oczyma.

Widoczna w nich zaciekłość wydała się złagodnieć jedynie na chwilę, zanim wróciły do nich twardość i nieustępliwość.

– Jeśli tak lubujesz się w tym, co zepsute, może powinnaś zwrócić uwagę na samą siebie – wycedził, po czym objął rannego ptaszka dłonią i podniósł się na nogi.

Drystan stanął przed nim i spuścił wzrok.

– Mój lordzie, jeśli zechcesz, mogę wziąć ptaka...

– Nie. – Baron się wycofywał, nie odrywając wzroku od Lustiny. – I jeśli jeszcze raz mi się sprzeciwisz, dziewczyno, spotkają cię konsekwencje.



Lustina leżała na swoim posłaniu z palcami przyciśniętymi do warg, wpatrując się w popękany strop swojego małego, prostego pokoju. Nie miała ochoty jeść ani pić z obawy, że straci ten smak, utrzymujący się tam niczym ciepły trunek, którym matka smarowała jej usta w chorobie. Czuła mrowienie i pieczenie za każdym razem, gdy wyobrażała sobie, jak chłopak napiera na nią, jak oddycha przez nos, z mięśniami napiętymi z furii. Oczywiście wolałaby, żeby jej pierwszy pocałunek był słodki i nastąpił w zupełnie innych okolicznościach, ale to, co wówczas czuła, wcale nie okazało się mniej intensywne czy namiętne – przy założeniu, że w ogóle wiedziała cokolwiek na temat namiętności.

Ale nie była zupełnie nieświadoma w takich kwestiach.

Matka często raczyła ją opowieściami o książętach zakochujących się w księżniczkach i wojownikach miłujących panny. Zawsze podkreślała znaczenie żarliwych uczuć ponad wszystko inne, mówiła, jak mogą prowadzić do różnicy pomiędzy chłodnym i nijakim pocałunkiem oraz takim, który pozostawia po sobie rozpalony żar. Jej własna historia o tym, jak została zagarnięta ze swojego domu i zabrana do obcych ziem Praeepsii, rozpoczęła się od romantycznej wiadomości, a skończyła porzuceniem wraz z dzieckiem. Nawet jeśli z powodu krótkotrwałego romansu musiała później znieść liczne znoje, matka Lustiny nigdy nie wypowiadała się źle o jej ojcu. Zawsze wspominała go z czułością sugerującą, że wciąż bardzo go kocha.

Zawsze też bardzo otwarcie odpowiadała na wszelkie pytania Lustiny dotyczące pokładania się z mężczyzną i tajemnic kobiecego ciała.

Może i brakowało jej doświadczenia, ale dziewczyna na pewno rozumiała mechanizmy stojące za urokiem fizycznym.

Co wydawało się głupie w przypadku barona, bo z pewnością jej nie pociągał. Nie zachowywał się tak, jak niektórzy chłopcy, jak Drystan ze swoimi dżentelmeńskimi manierami i ciepłymi, empatycznymi oczyma.

Którymi nierzadko spoglądał na nią jak na coś więcej niż tylko biedną i żalną manifestację jej płci.

Nie, baron traktował ją zdecydowanie inaczej. Nie hamował swoich słów, by chronić jej uczucia, a już na pewno nie łagodniał przy niej tylko dlatego, że była kobietą. Jeśli już, to podchodził do niej bardziej jak do równej.

Równej sobie.

Każda dobra i rozsądna dama brzydziłaby się czymś podobnym w mężczyźnie.

A jednak jej to nie brzydziło. Nie gardziła sposobem, w jaki do niej mówił, ani tym, jak się przy niej zachowywał. Jak na nią spoglądał ani jak ją prowokował. A już na pewno nie gardziła tym, jak ją wcześniej pocałował.

Jeśli miała być ze sobą całkowicie szczerą, tak naprawdę wcale nie nienawidziła barona.

Farryn

Leżę na łóżku z miękkich piór, a woń wody różanej wciąż utrzymuje się na mojej skórze po kąpieli. Chłód jest nieznośny, rzucam się i kotłuję, desperacko pragnąc zasnąć. Silne, pokryte odciskami dłonie gładzą moje biodro, ciągnąc mnie w tył. Zaborczo. W powietrzu unosi się ciężki zapach rozkosznie męskiego piżma, a gorące wargi atakują mój kark. Jego ciepło opada na mnie niczym przytulny ogień. Jest mi znajomy, choć nie wiem dlaczego.

Zwinne palce pieszczą moje ciało, jakby robił to już wcześniej milion razy. Nie pada pomiędzy nami ani jedno słowo. Łaskotanie na barkach przyciąga moją uwagę tam, gdzie jego miękkie czarne skrzydła otulają mnie niczym kokon, odcinając światło.

Mój mroczny anioł.

Otworzyłam oczy i ujrzałam pogrążony w cieniu pokój. Każdy nerw w moim ciele był gotów na dotyk. Znałam już ten sen, miewałam go, odkąd skończyłam czternaście lat. Okazał się łagodny w porównaniu z tym, co przeżywałam jako nastolatka. Tamte jednoznaczne, seksualne fantazje przedstawiały dojrzałego mężczyznę o zasłoniętej twarzy, dotykającego mnie w taki sposób, do jakiego zapewne nie byłby zdolny żaden chłopak w moim wieku. Być może to dlatego rzadko z kimkolwiek się umawiałam. Zawsze miałabym wrażenie, że szukam czegoś, co nie jest możliwe. Że odczuwam pożądanie, którego nie da się zaspokoić.

Był to mężczyzna, którego pamiętałam z dzieciństwa, ten sam, który mnie obserwował i podążał za mną, dokądkolwiek bym się nie udała.

Kiedyś uważałam go za wymyślonego, ale po rozmowie z Xhiphasem zaczęłam się zastanawiać, czy może nie był kimś zupełnie innym.

Twarz ze szkicu mojego ojca ożyła mi w głowie, a myśli zabrały mnie z powrotem do ostatnich sekund snu, kiedy to wargi anioła spoczywały na moich wargach. Minęły lata, odkąd czułam w sobie taką potrzebę. Zawsze pochłaniały mnie studia i praca, ale nie mogły się równać z tym, co teraz mną szarpało. Z przyzwyczajenia stłumiłam jęki poduszką, zsunęłam majtki do połowy uda i wsunęłam w siebie dwa palce, wyobrażając sobie, że wciąż tkwię pomiędzy jego skrzydłami. Potrzebowałam jedynie kilku krótkich posuwistych ruchów, zanim gorąco ogarnęło mi twarz, a całe ciało eksplodowało chłodnym mrowieniem. Miękką bawełną pochwyliła moje okrzyki, aż orgazm wygasł i mięśnie zwiotczały mi z wyczerpania. Zabrakło mi powietrza, więc obróciłam głowę w bok i oblizałam spierzchnięte wargi. Wytarłam resztki swojego podniecenia w koszulkę i podciągnęłam majtki. Dzielać dom z ciocią Nelle, musiałam nauczyć się szczytować cicho, i mój mózg wciąż nie potrafił do końca ogarnąć, że teraz mieszkam sama.

Sięgnęłam do szafki nocnej po szklankę wody, którą postawiłam tam wcześniej, i wysączyłam zawartość. Zegar na ścianie pokazywał, że jest niewiele po północy. Nie było dla mnie niczym niezwykłym budzenie się o takiej porze, ale zwykle nie byłam wtedy podniecona i zaniepokojona. W zasadzie od miesięcy nie miałam ochoty się dotykać, a gdy już to robiłam, wynik okazywał się zwykle mniej satysfakcjonujący, niż się spodziewałam. Może dręczyły mnie nerwy.

W ciszy, która zapadła, rozmyślałam o swoim wcześniejszym spotkaniu z Xhiphasem. O tym, że polecił mi wrócić do domu. Do czego właściwie?

Do niemal pustego domu wypełnionego książkami, których nigdy do końca nie rozumiałam?

Do mojej wspaniałej kariery zawodowej?

Potrzebowałam czegoś innego. Czegoś, co wyrwie mnie z obłądu wywołanego tym, że w myślach

nieustannie jestem sama.

W mojej piersi zalegała niewyobrażalna pustka, pożądająca czegoś. Czegokolwiek.

Nic w moim świecie nie wydawało się mieć sensu aż do chwili, gdy ujrzałam ojca tuż przed jego śmiercią. Wielki czarny znak zapytania wiecznie wisiał mi nad głową i zapewne pewnego dnia doprowadzi mnie do szaleństwa, tak samo jak jego. Chciałam wiedzieć, dlaczego usychał z tęsknoty po matce. Co go w tak silnym stopniu przekonało, że pewnego dnia znów ją ujrzy?

Przesunęłam dłonią po włosach, podciągnęłam nogi i obróciłam się do okna, gdzie coś nagle przykuło moją uwagę. Zmarszczyłam czoło i przepelzłam po łóżku, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od dziwnego kształtu. Gdy podeszłam do szyby, ujrzałam, że szkło skuł mróz, w którym narysowano symbol.

Nietypowy krzyż. Znak Pentacrux.

Macki strachu popęzły mi po karku. Gdy przesunęłam palcem po symbolu, rozmazał się, a ja odskoczyłam, tłumiąc okrzyk, odkrywszy, że nakreślono go od wewnątrz. Czując, jak serce podchodzi mi do gardła, obróciłam się do pustej sypialni. W szaleńczym pośpiechu zgarnęłam szczyrąk leżący na stoliku nocnym, wstrzymałam oddech, odrzuciłam pościel, a później zajrzałam pod łóżko. Nie znalazłam tam żadnego intruza, przetrząsnęłam garderobę, łazienkę i inne pomieszczenia na piętrze. Nie trafiłam na żadne inne ślady włamania. Później rozejrzałam się po parterze – drzwi pozostały zamknięte, a wszystko wydawało się znajdować na swoim miejscu.

Mimo to niepokojące odkrycie, że ktoś w pewnym momencie przebywał w moim domu, sprawiło, iż wrażenie bezbronności pełzało mi węzowym ruchem pod skórą. Nie czułam się już bezpieczna. Nie mogłam zadzwonić do Hinesa. On wcale nie wydawał się mniej odrażający.

„Odszukaj Van Croixa w Nocnym Cieniu” – przekonywał głos w mojej głowie.

To było szalone. Lekkomyślne. Zapewne nigdy nie rozważałam niczego głupszego.

Ale równie głupio było pozostawać w domu, do którego trafił potencjalny seryjny morderca.



Znów stanęłam u wlotu zaułka. Zostawiłam Camael u starszej pani z sąsiedztwa, zawsze traktującej ją jak dziecko, którego najwyraźniej nigdy nie miała. Zupełnie jakby kocica potrzebowała jeszcze większej uwagi niż ta, której już teraz się domagała, ale przynajmniej wiedziałam, że jest w troskliwych rękach.

Utwierdziwszy się w decyzji, ruszyłam przez mgłę w stronę żeliwnych drzwi. Również podobnie jak ostatnim razem, kilkanaście kotów przechadzało się po uliczce, ocierając o moje kostki.

Gdy zastukałam lekko w metalową powierzchnię, drzwi uchyliły się nieznacznie. Zajrzałam do środka, modląc się, żeby nic na mnie nie wyskoczyło. Rozległa przestrzeń wydawała się pusta, oświetlało ją jedynie kilka świec ustawionych na podłodze.

– Xhiphias?

Weszłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi, po czym ostrożnie przedostałam się na środek pomieszczenia. Wokół panował tak zupełny bezruch i cisza, z wyjątkiem okazjonalnych cichych trzasków knotów, że wszystkie mięśnie mi się napięły, gotowe do reakcji.

– Xhiphias?

Moją uwagę zwróciły uchylone drzwi naprzeciwko. Rzuciłam jeszcze raz spojrzeniem dookoła i podeszłam do nich. Ujrzałam klatkę schodową prowadzącą w górę i niknącą w ciemności. Zaczęłam się wspinać. Wyżej, wyżej, zapewne z pięć kondygnacji, zanim w końcu dotarłam do kolejnych drzwi, po pchnięciu których znalazłam się na dachu budynku. Gęsta mgła tańczyła wokół mnie, gdy stapałam po sporych kamieniach.

Zauważyłam Xhiphiasa stojącego na krawędzi ze stopą opartą o gzyms.

– Muszę przyznać, nie sądziłem, że wrócisz tak szybko – powiedział, po czym pyknął trzymane między wargami cygaro.

– Muszę zobaczyć to na własne oczy. Pokaż mi.

– Gdy tam pójdziesz, już nigdy nie będziesz taka sama. Nie da się tego cofnąć.

– Coś mnie ściga. Już nie czuję się bezpieczna.

– A ja mogę cię zapewnić, że nie będziesz bezpieczniejsza tam. – Wpatrzył się w panoramę Chicago,

z Willis Tower wyróżniającą się w oddali. – Powiedz mi, dziewczyno: dlaczego to jest dla ciebie takie ważne?

– Chyba pewne rzeczy trzeba ujrzeć, żeby w pełni uwierzyć.

Prychnął, odłożył cygaro na gzyms i obrócił się do małego stolika na jednej nóżce, gdzie stał imbryk, którego nie zauważyłam wcześniej, ten sam co poprzednim razem, a także filiżanka od kompletu. Nalał naparu do naczynia i podał mi je.

Wraz z parą dobiegł do mnie mocny, gorzki zapach. Czarne zawijasy tańczyły na powierzchni ciemnej cieczy, kusząc mnie do wzięcia łyka.

– Co to jest?

– Żeby zobaczyć, musisz otworzyć umysł.

– To jakiś narkotyk?

– To wrota.

– A jeśli nie wypiję?

– Nie mam ani czasu, ani cierpliwości, żebyś mnie wypytywała. Jeśli nie jesteś zainteresowana, po prostu odejdz. Nic i nikt cię nie zatrzyma.

– Nie bardzo wychodzi ci wzbudzanie poczucia bezpieczeństwa.

– Jestem najmniejszym z twoich zmartwień. Gdy już znajdziesz się w Nocnym Cieniu, nic nie zapewni ci ochrony.

Niech będzie przekłete gwałtowne łomotanie serca, przypominające mi o mojej głupocie.

– Jak to działa? Ta herbata?

– Poczujesz się śpiąca, ale przytomna. Martwa, ale żywa. Przechodzenie pomiędzy płaszczyznami może być dość traumatycznym doświadczeniem, jeśli nie zostanie przytłumione. Herbata pochodzi z pradawnej rośliny.

– Wilczej jagody?

– Tak. Tej samej, z którą kojarzy się Nocny Cień. Ten konkretny gatunek rośnie wyłącznie tam.

– Niektóre tutejsze rośliny tego rodzaju są trujące.

– I z tą nie jest inaczej.

– Umrę, gdy to wypiję?

– Tak i nie. To, co umiera tutaj, żyje tam. Pomyśl o tym jako o swoistym przeniesieniu. Wciąż będziesz miała swoją duszę i umysł. Pozostaną nietknięte. Wręcz w idealnym stanie.

– A co, jeśli zechcę wrócić?

– Powrót jest bardziej skomplikowany, lecz możliwy. W skrócie: musisz wyzwolić w Nocnym Cieniu swoją duszę, która nieodmiennie skieruje się do domu. Jeśli tylko ty sama zechcesz wrócić.

– A... moje ciało?

– Przejdzie z tobą. Jedynie żywi mogą przenosić się w naczyniu.

Naczyniu. To określenie brzmiało tak chłodno.

– To miejsce... Zgodnie z twoimi opisami brzmi jak Piekło.

– Kwestia perspektywy. To, co ty widzisz jako Niebo, komuś innemu może wydawać się Piekłem. Możliwa jest również odwrotna sytuacja.

– W takim razie jak mam wyzwolić swoją duszę, gdy już będę w Nocnym Cieniu?

– Zerwij i zjedz jeden kwiat wilczej jagody. Wrota dla ciebie otworzą się tam, gdzie skała spotyka się z morzem.

„Gdzie skała spotyka się z morzem”.

– Mówisz o urwisku.

– Tak. Najwyższym urwisku i najczarniejszym morzu.

Myśl o czymś takim sprawiła, że poczułam dreszcz na grzbiecie, bo wyobraziłam sobie, że najczarniejsza część morza jest również najgłębszą.

– Skąd będę wiedziała, gdzie je znaleźć?

– To nieuniknione, że je znajdziesz. Pytanie brzmi: czy wrócisz, gdy je ujrzysz?

– Oczywiście, że zamierzam wrócić. Dlaczego miałabym tego nie chcieć?

– Nocny Cień potrafi sprawiać, że się zapomina. Nie możesz być dwiema oddzielnymi osobami, więc twoje wspomnienia tego życia zaczynają zanikać. Moja porada: pamiętaj, kim jesteś. Trzymaj się tego.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić czegoś podobnego. Że zapomniałabym, kim jestem.

– Powiedz mi szczerze: to nie jest jakiś pokreślony sposób, żeby mnie odurzyć i okraść, prawda? Bo wolałabym oddać swoje cenne rzeczy już teraz, niż przechodzić przez galimatias z traceniem przytomności lub umieraniem.

– Może powinnaś wrócić, gdy wątpliwości nie będą ci już mącić myśli. Nie zajmuję się kradzieżą, panno Ravenshaw. Gdyby tak było, nie traciłbym tyle czasu, odpowiadając na twoje pytania.

– Przepraszam. Po prostu... chcę odpowiedzi. Prawdy. Ale ryzyko...

– Jest warto wyłącznie tyle, ile twoja ciekawość. Nikt nie zmusza cię do decyzji.

Przez tak wiele lat miałam obsesję na punkcie odnalezienia prawdy. Ile jeszcze kolejnych może minąć bez działania z mojej strony? W którym momencie przestałabym uganiać się za czymś, czego nigdy nie znalazłabym w tym świecie?

– Czy to boli? Przechodzenie?

– Herbata pomaga. Z początku możesz poczuć się nieswojo. Zdarzają się halucynacje.

– I muszę spożyć kwiat, żeby wrócić. A co, jeśli nie zdołam go znaleźć?

– Zostaniesz tam.

– Co to znaczy „zostaniesz tam”? Do końca życia?

– Tak. Na wieczność. Po jakimś czasie wspomnienia twojego wcześniejszego życia zaczną gasnąć, aż nie zostanie nic poza snem lub baśnią.

– Co jest takiego wyjątkowego w tym kwiecie? – spytałam, znów wpatrując się w ciemny płyn.

– Znajdź go. Zjedz. To twój bilet powrotny.

– Czyli wypiję to i już.

– No, jeszcze jest spadanie.

– Spadanie...

– Do Nocnego Cienia można dostać się tylko w jeden sposób. W dół.

Groza zaległa mi na dnie żołądka, gdy ośmieliłam się wyrzeć przez krawędź.

– Masz na myśli zeskok z tego budynku...

– Właśnie.

– W dół.

Te słowa rozbrzmiewały mi w głowie. Ojciec skoczył na śmierć. A przynajmniej tak wszyscy sądzili. Kawał życia spędziłam na zastanawianiu się, co mu się stało.

Instynkt podpowiadał mi, żeby odejść, i zwykle nigdy go nie ignorowałam. A co, jeśli pod koniec zupełnie oszalał? Przecież próbował odebrać mi życie. Kto przy zdrowych zmysłach uwierzyłby, że można spaść do innego świata?

Tylko że gdyby to nie było możliwe, wówczas na pewno tamten mężczyzna, którego widziałam upadającego z budynku dzień wcześniej, roztrzaskałby się na betonie. Ja sama na pewno nie byłam obłąkana. Chyba że jednak byłam, ale w takim razie przecież nie kwestionowałabym całego pomysłu, prawda? Szaleni ludzie nie podważają raczej swoich działań?

Alternatywą było to, że jakiś świr z obsesją na punkcie Pentacrux wyrwie mi kręgosłup. Mdłości zabułgotały mi w brzuchu, gdy sunęłam wzrokiem w dół, wzdłuż ściany budynku. Oprócz strachu przed utonięciem moim jedynym prawdziwym koszmarem był lęk wysokości.

– Nie ma innego sposobu? Przejście przez ścianę, zjazd windą czy coś?

– Istnieje tylko jeden sposób. Gdy już się tam znajdziesz, będziesz mogła chodzić swobodnie, ale na twoim miejscu zachowałabym ostrożność. Tamtejszym cieniem nie można ufać. – Wyprostował barki i wskazał na mnie palcem, a jego oczy przybrały szczerzy wyraz. – Obowiązuje tylko jedna zasada i musisz postępować zgodnie z nią. Nie próbuj zabierać nikogo z powrotem ze sobą.

– Dlaczego?

– W Nocnym Cieniu ląduje się z kilku powodów. Niektórzy są ciekawscy, jak ty. Inni pragną uciec z tego świata do innego. A niektórzy trafiają tam nie z własnej woli.

– Są martwi?

– Tak. W ich przypadku nie ma fizycznego ciała, do którego mogliby wrócić, zatem na wieczność pozostają uwięzieni w gnijących zwłokach bez możliwości ucieczki.

– Są świadomi? I tkwią w trupie?

– Tak. Ale nie mogą się porozumiewać. Nie mogą uciec. To najstraszniejsza wyobrażalna egzystencja.

Sama myśl o czymś takim wydawała się okropna.

– Obiecuję. Nie sprowadzę nikogo ze sobą.

Wyciągnął przed siebie dłoń i zamachał palcami.

– Poproszę twoją broń.

Gdy zmarszczyłam brwi, uśmiechnął się.

– Żadna broń z tego świata nie może ci pomóc w tamtym. Tylko zraniłaby cię podczas spadania.

– Jak zdołam się ochronić?

– Nie zdołasz. Podejmujesz takie ryzyko w zamian za wiedzę. Uważałbym też z biżuterią. Zwłaszcza jeśli ma dla ciebie znaczenie.

Oddałam z wahaniem scyzoryk, po czym odruchowo przesunęłam palcem po medalionie tkwiącym pod koszulką.

– Nie mogę... Nigdy tego nie zdejmę.

– Twoja decyzja.

Odetchnęłam drżąc, wpatrując się w powierzchnię herbaty, która wciąż wirowała, wciąż kusiła mnie, żebym wzięła łyk. Zamknęłam oczy, przyłożyłam filiżankę do warg i wciągnęłam ciepły, zapraszający, cynamonowy zapach, który przypomniawszy mi herbatę, jaką parzył mi ojciec, gdy nie mogłam spać. Cynamon. Zawsze będzie mi o nim przypominał.

Pierwszy łyk płynu wylądował mi na języku w rozbłysku delikatnego smaku. Kojącego się z Bożym Narodzeniem, gdy matka wciąż żyła i piekłyśmy ciasteczka, piłyśmy herbatę, a świat wydawał się znajdować na prawidłowym torze. Ciecz była tak przepyszna, że nie zdawałam sobie sprawy, iż wysączyłam ją do końca, dopóki nie siorbnęłam resztki.

– Mmm.

– Jak się czujesz?

– W po... rządku. – Świat zdawał się wirować na skraju mojego pola widzenia, dźwięki były jak przytłumione, pozbawiały mnie równowagi. – Tak właściwie... czy to powinno... mój słuch... dziwnie.

– Tak. Czy czujesz się senna?

– Tak. Czuję się... ciężka. – Straszliwy ból rozkwitł mi w zuchwie i rozlał się do ucha. Zmrużyłam oczy i dotknęłam palcem miejsca, z którego rozchodziły się te doznania. – Ach.

– Ból zelżeje. Chcę, żebyś stanęła tu, na gzymsie. – Xhiphias wskazał coś, co wyglądało na pierwszy stopień schodów. Zupełnie ich sobie nie przypominałam.

– Jesteś pewien?

– A ty jesteś pewna, że wciąż chcesz spać?

– Tak?

– Zatem ja jestem pewien, że musisz tu wejść.

– Okej. – Zgodnie z jego poleceniem wkroczyłam na platformę.

– Co widzisz, gdy patrzysz w dół?

Mgła pode mną zawirowała i ustąpiła miejsca falom uderzającym o skałę. Zachłysnęłam się, czując, jak paraliżuje mi mięśnie. Zamrużałam dwukrotnie, żeby usunąć widziany obraz sprzed oczu. Silne mdłości ścisnęły mi trzewia, gdy patrzyłam, jak woda kołysze się i faluje.

– W dole widzę wodę.

– Boisz się jej?

– Bardzo.

– Dlaczego?

Krótki przebłysk zalewającej mnie toni sprawił, że zacisnęłam powieki i pokręciłam głową.

– Nie. Nie, proszę.

– Otwórz oczy.

– Nie mogę.

– Musisz.

Zgodnie z poleceniem uniosłam powieki i dostrzegłam postać leżącą bezładnie na skałach poniżej. Z rękoma i nogami wygiętymi pod nienaturalnym kątem.

– Tata? – W chwili, gdy do niego szepnęłam, zauważyłam lekki ruch głowy i wyraz bólu oraz troski w jego oczach, kiedy wykrwawiał się z niewidocznych ran. – On żyje!

– Zatem idź do niego.

– Jak?

– Skocz.

Niepokojąca nieufność utrzymywała się na skraju mojej świadomości, powtarzając mi, że bym nie robiła tego, co mówi. Ciężar napierał jednak na mnie, nogi wydawały mi się jak z ołowiu, ręce były bezładne jak dwie hantle zwisające mi z barków. Zachwiałam się. A może to świat wokół mnie się zachwiał, nie potrafiłam tego stwierdzić. Jednocześnie zawibrował we mnie niespokojny, pełen grozy rytm. Mogłam go ocalić.

Mogłam go ocalić!

– Nie jest jeszcze za późno na zmianę zdania, panno Ravenshaw – wyszeptał głos.

Pokręciłam głową, koncentrując się na błagalnym spojrzeniu ojca.

– Jestem gotowa.

– Na pewno?

Przytaknęłam.

Pchnięcie w plecy posłało mnie naprzód. Poczułam wokół siebie pęd wiatru, a łaskoczące uczucie podeszło mi z żołądka do gardła. Otworzyłam usta, żeby wrzasnąć, ale zdołałam wydobyć z siebie jedynie nieartykułowany skrzek. Skały zanikły, zastąpione ziemią, która mknęła ku mnie z przerażającą determinacją.

Krzyknęłam i wyciągnęłam przed siebie ręce, żeby złagodzić upadek. Zacisnęłam powieki przed uderzeniem, które z pewnością roztrzaska mi kości. Otoczył mnie jakby chłodny koc, wiatr przyspieszył. Zimno kąsało mi skórę, czułam na ciele gorąco-mroźne smagnięcia. Odważyłam się otworzyć oczy i zorientowałam się, że wciąż spadam.

W dół.

W dół.

W dół.

Przez mrok nocnego nieba, przez chmury, które rozstępowały się, gdy się przez nie prześlizgiwałam. Niebo ustąpiło czubkom drzew. Las zbliżał się ku mnie.

– O Boże! – Nie byłam w stanie manewrować lotem, żeby unikać grubych gałęzi, które wyciągały do mnie ostre palce, drapiące mnie po nogach i rękach. Pękały, gdy przedzierałam się przez korony drzew. Masywny konar uderzył mnie w udo i krzyknęłam.

Wciąż w dół.

Grzmotnęłam potężnie w ziemię lewym bokiem, od czego straciłam dech. Liście i gleba wzniosły się niczym eksplozja konfetti, które następnie spadło wokół mnie. Przez chwilę nie mogłam oddychać i tylko łapczywie próbowałam chwycić powietrze. Zdołałam zaczerpnąć go odrobinę, ale płuca zacisnęły mi się od impetu zderzenia.

Przetoczyłam się na plecy i wbiłam wzrok w przerwę w koronach drzew, przez którą świecił na mnie księżyc. Z mojej piersi znikła niewidoczna obręcz i odetchnęłam ze świstem. Lodowate, nocne powietrze paliło moje i tak już obolałe gardło, a gdy desperacko starałam się napełnić płuca, z moich ust unosiły się kłęby pary. Wdech. Wydech.

Oddychałam.

Oddychałam.

Dreszcze wstrząsały moim ciałem, mięśnie były sztywne i słabe od bezlitosnej temperatury. Tak zimno. Pole widzenia zawężyło mi się do zupełnej ciemności.

Lustina

Lustina pociągnęła za uparty chwast, który zakorzenił się porządnie w ziemi obok okazałego krzaczka pomidorów. Liściasta główna część oderwała się od korzenia, a dziewczyna z cichym okrzykiem zaskoczenia poleciała w tył na posładki. Dopiero wtedy dostrzegła barona i lorda Praeepsię wchodzących do katedry.

Dotąd zaledwie kilka razy widziała, jak zjawiają się osobiście na niedzielną mszę, a biskup nie wydawał się niezadowolony z ich nieobecności, inaczej niż w przypadku innych.

Baron wpatrywał się w nią, wkraczając za ojcem do kościoła, a ją znów zamrowiły wargi.

Położyła na nich palec, odwróciła się i uśmiechnęła, wracając do obowiązków.

Nigdy nie wolno jej było wchodzić do świątyni podczas mszy, ponieważ biskup Venable jej tego zabronił. Nawet gdyby miała zostać ochrzczona, na co liczyła, żeby uniknąć takiego samego losu jak matka, wciąż by jej nie zezwolił. Było dla niej odwieczną tajemnicą, dlaczego wciąż okazywał jej miłosierdzie, skoro wyraźnie dawało się dostrzec, jak bardzo jej nie lubi.

Przez następną godzinę Lustina ciężko pracowała, ciesząc się chłodnym powietrzem i porannym słońcem, które do południa niewątpliwie wyczerpie ją swoją ognistą intensywnością.

Podniosła się, a wtedy coś złapało ją za rękę i pociągnęło. Gdy się obejrzała, zorientowała się, że baron wyprowadza ją z ogrodu. Pył podrywający się wokół jego nieskazitelnych skórzanych butów sprawiał, że ilość czasu potrzebnego do wypolerowania ich przed wizytą w kościele wydawała się tragicznym marnotrawstwem. Wyrwała mu dłoń, zduszając podniecenie wywołane nowym spotkaniem z nim.

– Co to ma znaczyć?

– Chodź ze mną. – Kolejny mocny chwyt pociągnął ją naprzód. Tym razem nie miała szans na ucieczkę, tak zacisnął dłoń na jej rękę.

Przeprowadził ją przez łukowate kamienne drzwi katedralnej krypty do miejsca jednocześnie zakazanego i budzącego strach, a później po kamiennych schodach, gdzie wzdłuż korytarza widniały drzwi do komnat, do których nie wolno jej było wchodzić. Baron wciągnął ją do ciemnej niszy niedaleko przed tymi pomieszczeniami i obrócił. Chłód przesaczył się przez cienką tkaninę jej sukienki, gdy Van Croix przycisnął ją do kamiennej ściany.

Zima drgnęła w jej sercu, kiedy wpatrywała się w te lodowatoniebieskie oczy, które wydawały się skupione na jej wargach.

– Powiedz mi, Lustino, czy myślałaś o tym, jak ostatnim razem cię całowałem?

Zmuszając w myślach ciało, żeby opanowało targające nim drżenie, skinęła głową.

– Kiedy o tym myślałaś?

– Przed snem.

– I podobało ci się?

– Bardzo, mój lordzie.

Ostrożnym gestem uniósł jej włosy i pozwolił, żeby spłynęły mu przez palce, wyraźnie tym zauroczony.

– Czy ktoś cię wcześniej całował?

– A czy to twoja sprawa?

Palce wplotły się w końce jej włosów. Przesunął wzrok z powrotem na jej oczy i pociągnął zaledwie na tyle, by musiała lekko cofnąć głowę.

– Odpowiedz na pytanie.

Nie chciała. Woląca sprzeciwić się mu i zbadać granice jego cierpliwości, ale byłoby to jedynie stratą czasu, a jako że msza miała się wkrótce skończyć, nie było sensu marnować go na takie gierki.

– Nie. Ty jesteś pierwszy.

Wargi drgnęły mu, jakby ta odpowiedź go zadowoliła, a gdy puścił jej włosy, znów pochyliła głowę do przodu.

– Przyniosłem ci podarunek, ale zanim ci go dam, zamierzam pocałować cię znowu.

– Jaki podarunek?

– Taki, jaki doceniłyby tylko takie głupiutki i bujające w obłokach dziewczyny jak ty.

– Jeśli chcesz zasłużyć na pocałunek, mój lordzie, nazywanie mnie głupiutką i bujającą w obłokach nie jest rozsądne. – Lustina przycisnęła dłonie do jego piersi i pchnęła lekko, ale przyciągnął ją do siebie z powrotem, a jego większe, dominujące ciało nie pozwalało jej na ucieczkę. Zaciśnął palce na jej ciele i złapał jej wąską talię tak zaborczo, że zastanawiała się, czy zostawi tam siniaki.

– Wiedz, że mogę wziąć, co tylko zechcę, a ty nie będziesz mogła nic zrobić ani powiedzieć. Jeśli zechcę cię pocałować, muszę jedynie przycisnąć moje wargi do twoich i czuć, jak im się poddajesz.

– Zatem dlaczego jeszcze tego nie zrobiłeś?

Zamiast odpowiedzieć, przesunął po niej wzrokiem, zupełnie jakby mógł przejrzeć ją na wskroś aż do spowitej cieniem desperacji, z jaką tęskniła za pocałunkiem równie silnie, jak za powietrzem w płucach. Nagle, jakby ogarnął go zbląkany prąd odpływowy, puścił ją i odszedł, a gdy zniknął za rogiem, w jej piersi rozkwitł ból rozczarowania.

Choć czuła, że podobne doznania są złe, rozczarowanie nie gasło, gdy słyszała jego oddalające się kroki. W jaki sposób ten nieuprzejmy i samolubny chłopak zdołał tak silnie przykuć jej ciekawość? To, że myślała o nim z zacieklą fascynacją, choć tak potraktował ją podczas ich kilku dotychczasowych rozmów, sprawiało wrażenie choroby umysłu.

Wrócił niecałą minutę później, niosąc małą złotą klatkę. W jej środku na drewnianej żerdzi siedział czarny ptak.

Marszcząc brwi, Lustina przyjrzała mu się bliżej w przyćmionym świetle panującym w krypcie i zauważyła białą smugę na czarnych piórach oraz skrzydło wyglądające na nieuszkodzone.

Nieprawdopodobne.

Sprawdziła znów te szczegóły, tym razem dokładniej, przekonana, że nie jest to ten sam ptaszek, którego niedawno znalazła w lesie. Kręcąc z niedowierzaniem głową, przypomniła sobie poważną naturę jego okaleczenia i to, jak bezradna czuła się przy biednym maleństwie.

– Jak to możliwe? Wyleczenie skrzydła powinno zająć dłużej niż tylko tydzień. Nie byłam przekonana, czy w ogóle zdoła wydobrzeć.

– Według kogo?

– Cóż, w oparciu o to, co widziałam wcześniej.

– Nie każde stworzenie na tym świecie postępuje zgodnie z wzorcem tego, co powinno się zdarzyć. Niektóre rodzą się po to, żeby wymykać się takim ograniczeniom. – Choć w jego głosie słychać było nutę aroganckiego znużenia, Lustina doceniała wyzwanie rzucone jej myślom. Możliwości kryjące się w tym, co mówił, promieniowały ku niej poczuciem wolności, świata pozbawionego zasad.

Uśmiechnęła się, spoglądając na ptaszka, który wydawał się zupełnie zadowolony na swojej żerdzi.

– Nie potrafię w to uwierzyć. Zupełnie jakby jego skrzydło nigdy się nie złamało. – Uśmiechnęła się szerzej i przyłożyła palec do klatki, pragnąc poczuć wyleczone kości, by ugasić sceptycyzm, który nie opuszczał jej, odkąd baron wyrwał jej ptaka z rąk. Nie umiała wyobrazić sobie ewentualności, że gdyby zatrzymała maleństwo, być może by zmarło. – Przepraszam cię, mój lordzie, za to, że w ciebie wątpiłam.

– Twoje przeprosiny są bezużyteczne – odparł, stawiając klatkę na kamienną podłogę obok nich. – Chcę tego, o co prosiłem.

– Pocałunku. – Nie było to pytanie, a Lustina poczuła trzepotanie w żołądku na myśl o tym, że znowu miałyby jej dotknąć jego wargi. – Czy mogę spytać dlaczego? Na pewno istnieją inne dziewczęta, nieskalane grzechem, z którymi chętnie byś się całował. – Fakt, że wysłowiła swoją niepewność, poruszył w jej trzewiach niesłabnące wrażenie bezbronności.

Mięśnie jego szczęki drgnęły groźbą okrutnych słów.

– Owszem, istnieją. Tak się nawet składa, że w kościele siedziałem blisko jednej, która niczego nie pragnęłaby bardziej, niż zostać przyciśnięta do tej chłodnej ściany, pod którą właśnie stoisz.

Lustina próbowała ją sobie wyobrazić. Na pewno dobra, zdrowa dziewczyna, której pozwalano uczestniczyć we mszy, nie zechciałaby znaleźć się sam na sam z nim w ciemnej krypcie.

– Kim ona jest?

– Metresą mojego ojca. Dobrych dwadzieścia lat starszą ode mnie. Piękna kobieta.

Odrażające słowa owinęły się wokół jej nerwów niczym jadowite żmije. Jaki nędznik byłby zdolny do romansu, gdy jego żona cierpiała z powodu choroby i niepewności? Co gorsza, jego syn również chętnie skorzystałby ze względów tej kobiety.

– Może zatem powinnam ci ją przyprowadzić. – Lustina przełknęła zazdrość, która uwięzła jej w gardle. Nie winiła tamtej. Być może była samotna albo społeczeństwo odrzuciło ją tak jak jej matkę. Największy wstręt wzbudzali w niej mężczyźni, którzy wykorzystywali takie okazje.

Przesunął językiem po zębach i uśmiechnął się.

– Może powinnaś. Pocałowałbym ją przy tobie i zmusił cię, żebyś patrzyła.

– A ja odwzajemniłabym się, każąc ci patrzeć, jak Drystan całuje...

Palce schwyły jej podbródek, a bezwzględna wściekłość kipiąca w jego oczach kazała jej się zastanowić, jak daleko młodzieniec posunie się w gniewie.

– Nie kuś mojej złej natury takimi groźbami.

Szarpnęła głową, żeby wyrwać się z jego uścisku.

– A ja proszę, żebyś ty nie kusił mojej. – Gdy się odsuwała, gwałtowne szarpnięcie za rękę przyciągnęło ją z powrotem. – Nie zamierzam stać tu i słuchać, jak mówisz o całowaniu starszych kobiet na moich oczach.

– Dlaczego? Czy coś takiego by ci przeszkadzało, Lustino?

Wyobrażała sobie jego splecione z nią wargami i te dyszące dźwięki towarzyszące niedoborowi powietrza. Błądzące dłonie i narastające pożądanie. Czuła mdłości, myśląc, że byłaby zmuszona obserwować, jak zaspokaja swój apetyt z inną.

– Oczywiście, że nie – skłamała. – To święte miejsce, nieprzeznaczone do plugawych rozrywek.

Rozbawienie w jego oczach spochmurniało, jakby niebo zasnuło się przed burzą.

– W tym kościele nie ma nic świętego. Otwórz oczy. Czy taką niemożliwością jest dla ciebie uwierzyć w deprawację, jakie mają miejsce w tej krypcie?

Słyszała o sekretnych nocnych zgromadzeniach duchownych, ale uważała, że są to po prostu religijne rytuały.

– Jakie deprawacje?

Nie odpowiedział, ale wydawał się zastanawiać nad jej pytaniem. W jego spojrzeniu widniała zaduma, jednak pozostawało niewzruszone i zupełnie nieprzeniknione. Nagle znów się wyostrzyło i Lustina poczuła się pod nim jak owad pochwycony w pajęczą sieć. Co takiego kryło się w uwadze, jaką ją obdarzał, że podsycala jej fascynację?

Wrócił do zabawiania się jej włosami i spuścił wzrok do jej warg.

– Jesteś tu, bo chcę pocałować właśnie ciebie. Nie tamtą kobietę.

Zadarła wyżej podbródek.

– Sam to mówiłeś. Jesteś władny brać bez pytania. Jeśli pragniesz mnie pocałować, to nie zdołam cię powstrzymać. Czy to nie jest prawda, mój lordzie?

– Dźwięk twojego przyzwolenia nie powinien sprawiać mi takiej radości, jaką sprawia. – Schwycił dłonią jej żuchwę, a Lustina z wysiłkiem odetchnęła przez nos, gdy odchylił jej głowę pod ścianę. – Nienawidzę twoich oczu jak gwiazdny pył i warg jak jagodowe wino, które nigdy się nie zamykają. – Cedził słowa przez zęby, jakby w złości. – I nienawidzę tego, jak figlujesz w lesie z Drystanem. Nie wolno ci już tego robić, czy rozumiesz?

– Przecież nie mogę chodzić po lesie sama. – Tyle że przez całe dotychczasowe życie dorastała w lesie i potrafiła poruszać się po nim samotnie, zatem obecną konieczność towarzystwa uważała za niedorzeczną.

– Możesz. I będziesz. – Nachylił się do jej ucha i musnął wargami małżowinę. – Spotkam się tam z tobą. Głęboko w lesie, na brzegu rzeki.

Dotyk lekki jak piórko wzbudził w niej pragnienie czegoś więcej.

– W jakim celu?

– Żeby znaleźć się z tobą sam na sam. Bez wścibskiego wzroku mojego kuzyna. – Jego słowa sprawiły, że po plecach przebiegł jej dreszcz.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, co byłby skłonny z nią robić, gdyby nie ryzyko, że ktoś go na tym przyłapie.

– To brzmi znacznie bardziej niebezpiecznie niż wizja zwierząt, jakie mogłabym spotkać.

– Coś mówi mi, że tak naprawdę się nie boisz – wyszeptał, po czym odsunął się od jej ucha, żeby znów mogła widzieć jego twarz. – Prawda?

– Nie. Nie boję się.

– Jesteś chyba jedyną spotkaną przeze mnie dziewczyną, która się nie boi. Większość albo postrzega mnie jako niebezpieczne i nieobliczalne działo, gotowe wystrzelić w każdej chwili, albo zabaweczkę, której pożądamy. Ale nie ty, Lustino. Nie wiem, jak mnie postrzegasz, i właśnie to mnie najbardziej w tobie intryguje. – Przesunął palcem od jej skroni do warg, na których zatrzymał spojrzenie.

Dopiero wtedy Lustina przypomniała sobie, co czuje w jego obecności. Chłodny strumień płynącej przez nią adrenaliny. Nieustający trzepot jedwabistych skrzydełek w brzuchu. Kojarzyło jej się to z chwilą, kiedy szukała ziół w lesie i natknęła się w krzakach na żmiję rogatą.

Nie był to strach jako taki, raczej konieczność kierowania się instynktem i dreszczyk wywołany tym, że żyje.

– Oczywiście nie będziesz wiedział, w jaki sposób cię postrzegam, jeśli nie zapytasz.

– Wolę nie wiedzieć. – Znów nachylił się ku niej, a potem przesunął nosem i wargami po jej szyi, wciągając powietrze, jakby rozkoszował się jej wonią przed pierwszym ugryzieniem.

– Dlaczego inni wierzą, że jesteś zły?

Zamiast odpowiedzieć, pozostawił delikatny pocałunek na jej szyi, sprawiając, że poczuła rozpraszające mrowienie na plecach.

– Nie powinno się pragnąć tego, co pobudza czyjeś szaleństwo.

Dłonie ujęły jej nadgarstki niczym kajdany, ciągnąc jej knykcie po kamieniach ściany, aż przytrzymał je po obu stronach jej głowy. Gdy przesunął się do jej warg, splądrował je z chciwością krwiożerczego pirata. Tak samo jak za pierwszym razem, gdy ją całował, zakreśliło jej się w głowie, mieszanka strachu i podniecenia pulsowała w jej żyłach niczym makowa krew. Wsunął głębiej język, musnął nim jej język i w jego piersi zagrzmiął warkot, a chwyt na jej nadgarstkach stał się jeszcze silniejszy niż wcześniej.

– Pewnego dnia wezmę cię, Lustino – powiedział tuż przy jej wargach i znów ją pocałował. Drżące dłonie tuliły jej głowę, jakby była krucha niczym szkło. Całując ją coraz intensywniej, zanurzył palce w jej włosach. – Zapamiętaj moje słowa. Wezmę cię tak zachłannie, że nie zostanie ci już nic do oddania. A wtedy znowu cię wezmę. – Odetchnął gwałtownie przez zaciśnięte zęby. – I znowu.

– Co wzbudza w tobie taką złość, mój lordzie? – Próbowała wyrównać oddech, czując uderzenia swego serca. – Dlaczego bierzesz? Dlaczego nie poprosisz?

– Ze strachu, że pozwoliłabyś.

– A wtedy uznałbyś mnie za głupią.

– I to niewybaczalnie. – Wciąż trzymając palce wplecione w jej włosy, chwycił zębami jej dolną wargę i całował ją tak mocno i długo, że napała na jego ręce, żeby móc odetchnąć. – Gdy następnym razem pomyślisz o tym pocałunku, niech stanie się to wtedy, gdy będziesz się obmywała. Chcę, żebyś dotykała tej części ciebie, w której będziesz czuła ból, i żebyś wyobrażała sobie moje palce i wargi na swojej skórze.

Na dźwięk zbliżających się kroków przyspieszył jej puls. Choć odwróciła od niego wzrok, na krawędzi pola widzenia wciąż dostrzegała jego niezrażone spojrzenie.

– Muszę iść – rzekł cicho.

– Co się dzieje?

Jeśli Lustina się nie pomyliła, w jego oczach zawirował smutek.

– Nie wychodź stąd, dopóki strażnicy się nie wycofają, rozumiesz? To ważne, żeby cię nie zobaczyli.

– Dlaczego? Powiedz mi, proszę.

Przesunął kciukiem po jej wargach.

– Zatrzymują się tylko przez chwilę, żeby nasłuchiwać, a potem odchodzą. Wtedy będziesz mogła wyjść.

– Nasłuchiwać czego?

Ze ściągniętymi brwiami wpatrywał się w jej wargi, nadal ignorując jej pytania.

– Jakże błogo byłoby zamiast tego zostać tutaj z tobą. Obiecuj mi, że uwolnisz tego ptaka z klatki.

Choć wyraźnie mówił o rannym jeszcze niedawno stworzeniu, w jego słowach kryło się coś, co ją poruszało, i zastanawiała się, czy mogły mieścić w sobie głębsze znaczenie.

– Obiecuję.

Chwilę później puścił ją i wyszedł z wnęki w kierunku zbliżających się kroków.

– Ach, zastanawiałem się, dokąd poszedłeś, mój lordzie.

Głos biskupa Venable sprawił, że przeszedł ją dreszcz. Lustina trzymała się wciąż przy ścianie, nie ważąc się nawet odetchnąć. Brzęk kluczy i skrzypnięcie drzwi pobudziły jednak jej ciekawość, więc przykucnęła nisko i wyjrzała za róg.

Czworo drzwi od niej biskup stał wraz z dwoma rozpoznawanymi przez nią duchownymi, lordem Praeceptsią, Drystanem i dwoma strażnikami. Venable położył baronowi dłoń na ramieniu i wprowadził go do jednej z zakazanych komnat. Pentroshe i starszy Van Croix weszli za nimi. Drystan obrócił się, żeby uśmiechnąć do jednego ze zbrojnych, po czym również wkroczył do komnaty.

Drzwi się zamknęły.

Mijały minuty. Lustina obserwowała strażników rozmawiających cicho ze sobą i co jakiś czas wydających z siebie chichot.

A później rozległy się krzyki.

Dźwięki czystego bólu przebijały się przez cichy pomruk głosów. Słyszając je, czuła dreszcz na plecach; wstrzymywała oddech, czekając, aż się skończą.

Nie kończyły się.

Nie ustawały, aż stały się bardziej chrapliwe. Lustinie wezbrały w oczach łzy, ponieważ przypomniały jej się podobne odgłosy, które słyszała, patrząc, jak jej matka płonie żywcem. Straszliwe wrzaski o tonie możliwym tylko wtedy, gdy komuś zadawano bezlitośnie ból.

Strażnicy znów zachichotali. Jeden przycisnął ucho do drzwi – i właśnie wtedy uświadomiła sobie, że krzyczy baron.

Farryn

Przez szczelinę w drzewach dostrzegałam czarne ptaki krążące pod ciemnym niebem i widoczne tylko dzięki lśniącej księżycowej wstęgach, które do mnie sięgały. Kojarzyły mi się z sępami wypatrującymi ofiary. Do moich uszu docierały szepty. Tak wiele szeptów jednocześnie, że nakładały się na siebie w mojej głowie.

„W lesie”.

„Jest sama”.

„Gdy księżyc dotknie trawy”.

„Szybko. Widzi nas”.

Wciąż zamroczona, próbując odzyskać dech, przekręciłam się na brzuch i znieruchomiałam na chwilę, żeby ocenić swój stan. Poruszyłam kostkami i nadgarstkami, sprawdzając, czy nie złamałam żadnych kości, a gdy wciągnęłam głęboko powietrze, nie wywołało to we mnie bólu. W jakiś sposób zdołałam spaść z nieba w taki sposób, że skończyło się to zaledwie kilkoma zadrażnieniami i siniakami tam, gdzie gruba gałąź uderzyła mnie w udo i rękę. Wyraźnie czułam pulsowanie guza rosnącego na czole, co mówiło mi, że oberwałam też lekko w głowę.

Dopiero gdy podniosłam się do pozycji siedzącej, uświadomiłam sobie, gdzie spadłam. W głębi lasu, otoczona krzakami i drzewami, we mgle tak gęstej, że nie dostrzegałam wiele poza widmowobiałymi pniami. Podmuch lodowatego zimowego powietrza pozbawił mnie tchu i wzdrygnęłam się, gdy wrażenie wbijających się we mnie igiełek przeniknęło mnie do szpiku kości.

Tak zimno.

Otoczająca mnie ciemność nocy sprawiła, że przeszedł mnie dreszcz. Wstałam i zatoczyłam się, próbując odzyskać równowagę. Efekty wypitej herbaty wciąż rezonowały lekkimi zawrotami głowy, które utrudniały mi utrzymanie się na nogach. Na szczęście wydawały się zanikać, jako że nie czułam już wcześniejszych mdłości czy silnej senności. Na krótką chwilę wszystko uspokoiło się do złowróznej ciszy, gdy moje zmysły wyłaniały się z leniwej drzemki.

Wyciągnęłam telefon komórkowy z kieszeni i zobaczyłam, że ekran jest zupełnie czarny. Ani jednej kreski zasięgu. Owszem, nie spodziewałam się, że w Czyścicu jest chociaż jeden nadajnik, nawet jeśli część mnie wciąż nie wierzyła, że przeszłam do innego świata. Wprawdzie otoczenie wydawało mi się zupełnie nieznanym, jednak wciąż wyglądało jak świat, który znałam. Widziałam drzewa, ptaki, niebo z gwiazdami, jak w każdym innym lesie.

Dopiero obce odgłosy, rozmaite ćwierkania, brzęczenia i skrzeczenia, a także nieznośny chłód kazały mi się zastanowić nad sytuacją. Silny, przenikliwy chłód, bardziej kojarzący się z dreszczem strachu niż z czymś umiarkowanym.

W obłoczku pary bijącej mi z ust wcisnęłam telefon z powrotem do kieszeni i szybko rozejrzałam się po mrocznym lesie w poszukiwaniu drogi wyjścia z labiryntu drzew.

Gdzieś z oddali dobiegł trzask gałęzi i zastygłam w miejscu, wpatrując się w widmową mgłę tańczącą pomiędzy pniami.

Włoski na karku stanęły mi dęba.

Gdzieś w ciemności rozbrzmiał warkot, którego brzmienie pobudziło każde moje zakończenie nerwowe. Czarny cień przechadzał się powoli między nieruchomymi kolumnami białych brzóz. Warczenie nie cichło, zdawało się niczym skrzywienie starego fotela na biegunach, cierpliwe w swojej rozwlekłości. Powolnymi, ostrożnymi krokami odsunęłam się ze środka polanki. Na skraju drzew dostrzegałam dwoje świecących czerwonych oczu.

Dudnienie strachu uderzyło mnie z niepowstrzymaną furją.

Zatem to tutaj umrę.

W moim umyśle nie było wątpliwości. Z pewnością bestia chodząca po lesie doprowadziła swoje umiejętności do perfekcji, a ja byłam jedynie smakowitym kąskiem świeżego mięsa na jej terenie łowieckim.

Mimo wszystko nie zamierzałam ustąpić bez walki.

Obróciłam się na pięcie i szaleńczo, w desperacji rzuciłam się między drzewa. Zimne powietrze paliło mi płuca, zaś ciemne niebo ponad mną nie pozwalało, by wiele światła padało na ścieżkę przede mną. Uderzyłam barkiem w niemal niewidoczny pień, tracąc na chwilę równowagę, ale parłam dalej przez krzaki, które chwytaly mnie za kostki, i pod gałęziami wiszącymi na tyle nisko, żeby wplątywać mi się we włosy. Wrzask drapał mnie w gardle, ale nie pozwoliłam sobie na najmniejszy dźwięk.

Ciągnął się za mną stukot ciężkich stóp. Słyszałam chrapliwe dyszenie. Nagle znalazło się bliżej. Zmniejszało odległość.

Ścigało mnie.

Ogień smagał moje mięśnie, nogi niemal załamywały się pode mną ze zmęczenia. Zmusiłam się do przyspieszenia, ignorując palące płuca, sprawiające wrażenie, jakby w każdej chwili mogły eksplodować.

Nie ważyłam się obejrzeć przez ramię ze strachu, jak bardzo bestia skróciła dystans.

Ostry, przenikliwy ból ogarnął moje kostki.

Chrapliwy krzyk wydobył mi się z ust.

Gałęzie krzaków owinęły mi się wokół kostek i upadłam twarzą na kolczasty kłęb.

Coś czarnego przemknęło obok mnie i groza ścisnęła mi żołądek. Z tyłu dobiegł straszliwy skrzek. Zbyt wiele widoków i dźwięków dochodziło do mnie ze wszystkich stron. Nie wiedziałam, co stanowi największe niebezpieczeństwo.

Wyrwawszy się z roślinnych więzów, znów skłoniłam nogi do zwiększonego wysiłku i wpadłam na drogę gruntową, prosto przed czarnego konia, który stanął nade mną dęba. Zaskoczona, zatoczyłam się w tył i upadłam na pośladki, co sprawiło, że w plecach eksplodował mi ból.

Mogłam jedynie osłonić twarz, zanim masywne kopyta opadły na żwir po obu stronach mnie.

Rzuciłam się w tył, żeby uniknąć zmiżdżenia, lecz wtedy dostrzegłam, że zwierzę ciągnie powóz. Ujrzałam zdziwioną minę spoglądającej na mnie z ławki starszej kobiety o siwiejących włosach wciśniętych pod wielokolorową chustę.

– Co tu robisz, dziecko? Prawie cię stratował!

Wciąż drżąc, rozejrzałam się wokół siebie, szukając czerwonych oczu.

– C-coś... mnie ściga. – Wydostał się ze mnie jedynie chrapliwy szept. Zupełnie nie przypominał mojego głosu, jakbym miała policzki wypchane kamykami. – Zwierzę.

– Hmm. Zwierzę, powiadasz.

Zimna kropla uderzyła mnie w ramię. Zadarłam głowę i zorientowałam się, że zaczęło mżyć.

– Cóż, nie mogę pozwolić, żebyś tak tu została na zimnie i deszczu. Gdzie masz dom?

Dom.

Znowu zerknęłam na ciemne niebo i strzępki wspomnień przemknęły mi przez głowę. Upadek. Ciężkość. Taka straszna ciężkość.

– Ja nie... nie pamiętam.

– Czyli nie jesteś stąd?

– Nie, ja... Chyba się zgubiłam.

– Och, biedactwo. Chodź. Przynajmniej zejdz z tego deszczu. – Nieznajoma pstryknęła palcami i wyciągnęła do mnie rękę, a ja ją ujęłam i wspięłam się na powóz, gdzie daszek chronił mnie przed opadem. Gdy już wsiadłam, kobieta podniosła z ławki obok siebie złożony koc. W chwili, gdy otuliła nim moje ramiona, poczułam, jak ciepło wlewa mi się w kości. Zamknęłam oczy i oddychałam przez nos, żeby uspokoić wciąż targające mną dreszcze.

– Jak masz na imię, kochanie? – Szarpnęła ostro lejcami, nakazując rumakowi ruszyć. Zastukał kopytami na drodze, gdy zaczęłyśmy oddalać się od lasu.

Moje imię. Jak miałam na imię? Na pewno to pamiętałam.

Tak, oczywiście, że pamiętałam.

– Farryn. Farryn Ravenshaw.

– Farryn? Co za piękne imię. Ja jestem Anya. – Zadarła nos i znieruchomiała, poruszając nozdrzami,

jakby coś wyczuwała. Nachyliła się do mnie, wciąż wachając, przez co na nowo przeszły mnie ciarki. – Ojejku, niezwykle pachniesz. Nie potrafię tego umiejscowić. – Powęszyła raz jeszcze i zmarszczyła brwi. – Woń sięga tak jakby w głąb gardła.

– To źle? – Żuchwę wciąż miałam tak zmarzniętą i zeszywniałą, że ledwo wydobywałam z siebie słowa.

– Nie, nie. Po prostu... niezwykle. Dziwnie pokrzepiająco. Oczywiście zawsze lubiłam też woń skunksów.

Dzwoniąc zębami, odetchnęłam drżaco.

– Gdzie... ja... właściwie jestem?

– To historyczne Stygijskie Wodospady. Właśnie opuściliśmy Las Mglistej Kotliny.

Wszystko to brzmiało jak wzięte prosto z baśni. I mogłabym przysiąc, że kiedyś ją czytałam.

– Jesteśmy jedną ze starszych miejscowości w okolicy – dodała kobieta.

– Miejscowości? Macie tu osady? – Zawsze uważałam Czyściec, czy czymkolwiek było to miejsce, za jałowe pustkowie pełne wałęsających się dusz.

I na pewno nie tak mroźne.

Mój ojciec zawsze lubił barokowe obrazy ukazujące nagich ludzi ogarniętych płomieniami i wyciągających ręce ku aniołom. Jedna szczególnie przerażająca scena przedstawiała ciała maszerujące prostym szeregiem i niekończącą się górę bez szczytu.

– Małe, ale owszem, mamy – odparła.

Choć bardzo starałam się ogarnąć umysłem strukturę tego świata i zasadę przechodzenia pomiędzy płaszczyznami, nie potrafiłam. Nie miało dla mnie sensu to, że coś istnieje tam, gdzie już wcześniej było coś innego.

– Co sprowadza cię do Stygijskich Wodospadów?

– Szukam kogoś. – Wyciągnęłam medalion zza koszulki i otworzyłam go, żeby pokazać umieszczone w środku zdjęcie. – Mojego ojca. Są jakieś szanse, że go widziałas?

Anya przekręciła korbę obok siebie, co sprawiło, że w górze rozbłysło światło; gdy obróciłam się na siedzeniu, ujrzałam zamocowaną na powozie lampę.

Szybko zerknęła na medalion i pokręciła głową.

– Obawiam się, że go nie widziałam. – Spojrzała na mnie, ale zaraz się odwróciła, jakby nie chciała wpatrywać się we mnie zbyt długo.

Sama się obróciłam – i wtedy dostrzegłam swoją rękę, a na niej wielki siniak i małe zadrapania, przez które wyglądałam, jakbym przegrała z kimś walkę. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, jak musi wyglądać moja twarz po tamtym upadku, skoro tak mnie bolała.

Dotknęłam czoła i natrafiłam palcami na spory guz na linii włosów. Zważywszy, co wyczułam, zastanawiałam się, czy koń nie był bardziej przestraszony niż ja, gdy wyskoczyłam mu na drogę.

– Dziękuję ci. Za to, że mnie wzięłaś.

– Och, to żaden kłopot. Mówiłaś, że jakieś zwierzę ścigało cię przez las. Czy udało ci się może je dostrzec?

– Nie. Było bardzo ciemno. – Gdy się rozejrzałam, ujrzałam czarne kontury drzew, których gałęzie sięgające ku niebu kojarzyły mi się z zakrzywionymi szponami. Ścieżka, którą jechałyśmy, biegła wzdłuż małego skupiska budowli w bawarskim stylu ustawionych nad rzeczką. Drewniane mostki i brukowane uliczki oświetlone gazowymi lampami migwały mi, gdy je mijałyśmy. Było mrocznie i dziwnie.

– Ach. Szkoda. Ostatnio otrzymujemy sporo doniesień. Miałaś szczęście, że zdołałaś uciec, jeśli było to jedno ze stworzeń, o których czytałam. To paskudne bestie.

– Coś biega swobodnie po lasach?

– Po lasach. W miasteczku. Zakradały się nawet do domów i wykradały ludzi z łóżek we śnie! I straszne jest też to, co robią. Zwierzęta są przynajmniej szczerze i bezpośrednie, gdy zabijają. – Poprawiła się na koźle i odchrząknęła. – Na pewno nie brakuje nam sadystycznych istot w Stygijskich Wodospadach, ale nic nie jest tak... barbarzyńskie!

Gdy spoglądałam na Anyę, nie potrafiłam stwierdzić, czy jest ona człowiekiem, czy czymś innym. Wyglądała ludzko. Brzmiała ludzko. Niemniej Xhiphias opowiadał mi, że tacy jak on chodzą po Chicago, z łatwością wtapiając się w tłum.

– Było też coś jeszcze. Ze skrzydłami. Czarnymi.

– Ta kotlina aż roi się od dziwacznych bestii i ptaków, panienko. Lepiej, żebyś nigdzie nie chodziła sama. – Kobieta skierowała uwagę w górę, jakby przeszukiwała niebo, po czym znów rozsiadła się swobodnie. – A skoro mowa o bestiach, to gdy dojedziemy do posiadłości Van Croix, proszę, żebyś trzymała się blisko mnie.

Dreszcz jeszcze zimniejszy niż powietrze przebiegł mi po plecach na wspomnienie jego nazwiska.

– Chwila. Czy właśnie powiedziałaś: posiadłości Van Croix? – Niemożliwe, żeby chodziło o tego samego Van Croixa. Jaka była szansa, że pierwsza osoba, na jaką się natknę, będzie zmierzać do tego samego miejsca, w którym planowałam rozpocząć poszukiwania?

Wydawało się to nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności.

– Tak. Pan Van Croix jest moim pracodawcą. Pomijając fakt, że trzyma na swoim terenie trzy bardzo potężne psy, by go strzegły, podchodzi również w dość szczególny sposób do gości. Nie spodoba mu się, że sprowadzam kogoś zbłąkanego. Jest spokojnym człowiekiem, ale jego maniery bywają dość szorstkie. Nie chcę, żebyś się bała, ale odstraszył już całkiem sporo intruzów.

Zważywszy, czego już się o nim dowiedziałam, musiało chodzić o tego samego faceta.

– Brzmi poważnie. Czy to prawda, że cieszysz się pewną reputacją?

– Och, cóż, wydawało mi się, że nie jesteś z tych okolic! Wygląda na to, że pogłoski sprawnie się roznoszą.

– Plotki krążą.

Nawet pomiędzy płaszczyznami.

– Choć to fakt, że jest dość dziwny i zdystansowany, z pewnością nie zasługuje na przydomek Śmierci.

Doprawdy.

– Dziwny w jaki sposób?

Ściągnęła brwi i westchnęła.

– On... czasami rozmawia z ptakami. Z krukami. I aż do niedawna nie zwykł wiele sypiać. Często zamyka się na wiele godzin w dzwonnicy.

– Ale poza tym jest normalny?

– Cóż, co masz na myśli? Właśnie opisałam szereg bardzo nienormalnych zachowań.

Choć, jak sama powiedziała, wszystko to było dziwne, nie brzmiało tak nieziemsko, jak spodziewałam się po tym miejscu, przez co wahałam się zadać pytanie, które paliło mnie w myślach.

– Czy widuje się tu może wiele skrzydlatych stworzeń? Może... podobnych do ludzi?

Anya wpatrywała się we mnie przez moment, po czym jej i tak już pomarszczona twarz ściągnęła się jeszcze bardziej. Po kolejnej chwili wybuchnęła śmiechem. Histerycznym śmiechem, zupełnie jakby takie stworzenia wydawały się absurdalne w miejscu, w którym, jak słyszałam, poruszają się swobodnie.

Chyba że nie poruszają się tak swobodnie, jak mi mówiono.

Chyba że ona była równie mało świadoma ich obecności jak ja.

– Wygląda na to, że przydałby ci się odpoczynek, panienko. Musisz być dość zmęczona, skoro pytasz o skrzydlatych ludzi.

– Tak. – Uśmiechnęłam się nieśmiało. – Chyba masz rację. Jestem wdzięczna, że przygarnęłaś mnie na noc.

– Oczywiście, moja droga. Nie pozwolę ci wałęsać się samotnie. W posiadłości znajduje się zbyt wiele niezamieszkanego pokój, żeby taka młoda dziewczyna jak ty spała w lesie.

– To bardzo miłe z twojej strony.

– Już niedaleko. – Skinęła głową, a ja przesunęłam wzrok ku złowieszczo wyglądającej górze przed nami, w większości skrytej w gęstych oparach mgły. Na szczycie jej zdradziecko stromego urwiska tkwiła wymyślna budowla kojarząca mi się z kościołem.

– Katedra Czarnej Wody – potwierdziła moja przypuszczenia staruszka. – Piękna, prawda?

Rzeczywiście była piękna. Kryło się w niej coś, co trącało czułą strunę w głębi mojego serca.

– To takie dziwne. Wydaje mi się znajoma.

– Należy do Van Croixów od stuleci. Wiele lat temu błyskawica uderzyła w jej dzwonicę, a wtedy...

– Spłonęła. Całkowicie. – Słowa te pojawiły się w moich ustach jakby automatycznie.

– Tak. Zgadza się. Wygląda na to, że trochę słyszałaś o naszej historii. Nie tylko o plotkach.

Ale tak naprawdę nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, co skłoniło mnie do tego wtrącenia, oprócz faktu, że dorastałam, bawiąc się w ruinach starego kościoła, który według słów ojca spłonął całkowicie. Taki historyczny relikwiarz na pewno nie miał nic wspólnego z tym światem.

– W jej miejsce pan Van Croix wznosił nową wieżę dzwonową – paplała dalej Anya. – Oczywiście wnętrze katedry ma charakter bardziej mieszkalny, a tam, gdzie kiedyś leżały kwatery mnichów, teraz znajdują się pokoje.

– Jest piękna.

Koń ciągnął powóz po ścieżce biegnącej po górskim zboczach wychodzących na wodę tak ciemną i nieruchomą, że przez wiszącą w powietrzu mgłę wyglądała jak czarne szkło. Zdawała się przerażającym tłem dla katedry. Nagle słowa Czarna Woda nabrały dla mnie sensu.

„Gdzie skała spotyka się z morzem”.

Xhiphias mówił mi, że na pewno znajdzie to miejsce.

Księżyc wisiał na niebie wysoko niczym rozpalona kula, większy niż kiedykolwiek widziałam w swoim świecie, i odbijał się w wodzie poniżej jak w mrocznym zwierciadle. Na zachodzie dostrzegałam przez mgłę odległe światła małego miasteczka albo wsi.

Nie potrafiłam powiedzieć, czego spodziewałam się po Nocnym Cieniu – może jałowej krainy cierpienia i rzezi, ale na pewno nie urokliwej starej katedry.

– Wydaje się tu tak spokojnie.

– Nie daj się zwieść. Gdy przychodzi burza, te wody ogarnia furia.

Powóz wspinał się coraz wyżej po zboczach, aż w końcu obudziły się moje fobie i nie mogłam już dłużej wyglądać w dół. Zamiast tego skupiałam wzrok przed nami i oddychałam ciężko przez nos.

– Wszystko w porządku? Wydajesz się zdenerwowana. – Anya uśmiechnęła się do mnie.

– Nic mi nie jest. Po prostu jestem nieco zmęczona.

– Zaraz się tobą zaopiekujemy.

Zatrzymała powóz przed potężnym czarnym ogrodzeniem z kutego żelaza osadzonym w sklepionym kamiennym tunelu. Z jego szczytu wystawały metalowe szpikulce, a po obu stronach, wysoko na betonowych kolumnach, przycupnęły gargulce. Brama bez prośnienia otworzyła się ze zgrzytem, jakby z własnej woli. Marszcząc czoło, przyjrzałam się jej, gdy ją mijaliśmy, szukając jakiegoś mechanizmu albo dźwigni, które wyjaśniłyby jej ruch, ale nic podobnego nie zauważyłam. Gdy już przejechaliśmy, wychyliłam się i zajrzałam do tyłu, by obserwować, jak przejście się zamyka, również samo z siebie.

Nastąpiło kolejne szarpnięcie za lejce i koń powlókł się długą krętą ścieżką do stojącej w oddali katedry. Wzdłuż wyłożonej kamieniami drogi stały tylko nieliczne latarnie gazowe, za to srebrzyste smugi księżycowego blasku padały na żywopłoty wyglądające tak, jakby celowo umieszczono je wokół kamiennych łuków obrośniętych winoroślą. Wysoka dzwonnica sprawiła, że pochyliłam się na ławce, żeby dostrzec przeblask wielkiej tarczy zegarowej zawieszanej poniżej żelaznego dzwonu u jej szczytu. Na lewo, w przerwie w długim żywopłocie, z drąga zwisała lampa, wskazując wejście do labiryntu. Wokół podwórza dało się widzieć omszałe posągi wojowniczych aniołów, ukryte w brązowiejących, nękanych przez chłód ogrodach i otoczonych dostojnym splendorem rozkładu.

Nieważne, czy pogłoski o Van Croixie były prawdziwe, temu miejscu towarzyszyła atmosfera śmierci. Czułam ją w szpiku kości, a jednak jej tragicznie ponure piękno dotykało tej części mnie, której nie doświadczyłam od czasów szaleńczego biegania po ruinach kościoła. Śpiewała żałobny tren do mojego serca, które z wiekiem stało się jakby bardziej przygnębione.

Przypominało mi to dom.

– Czyli on mieszka w katedrze? – spytałam, spijając urzekającą posępność budynku.

– Tak. Jak już wspomniałam, choć pozostało wiele kaplic, sporo pomieszczeń przerobiono na kwatery mieszkalne.

Anya zatrzymała się na półokrągłym podjeździe, skąd lepiej widziałam kamienną fasadę z dwiema wieżyczkami i spiczastymi iglicami. Ponieważ budynek porastały grube pnącza, ledwo można było dostrzec wzniesłe przypory po obu stronach żebrowanego sklepienia. Z bliska rozeta i kamienne posągi postaci, które uważałam za archanioły, wydawały się niezwykle szczegółowe.

Mroczna okazałość.

W dalszej części podwórza coś się poruszyło i przez chwilę sądziłam, że pędzi ku mnie stworzenie

z lasu.

Prawda okazała się może nawet gorsza – trzy wielkie czarne psy przypadły do powozu z determinacją, która ścisnęła mi trzewia.

– No i proszę... – Anya wysiadła z pojazdu, gdy cała trójka otoczyła go, warcząc i obnażając kły, które, jak sobie wyobrażałam, bez większego wysiłku rozerwałyby mnie na strzępy. – Ona jest ze mną! Idźcie sobie! Wracać do psiarni! Sio!

Psy nie robiły sobie jednak wiele z jej połajanek, a największy ze stada rzucił się na powóz, ujadając.

Odkoczyłam, niemal spadając z drugiej strony. Co dziwne, koń wydawał się zupełnie nie bać bestii, nawet nie wzdygnął się w odpowiedzi na całe to paskudne szczekanie. Zupełnie jakby wiedział, że psom chodzi o mnie.

– Dość tego! Cerber, nie będę się powtarzać!

Pies jeszcze raz kłapnął w moim kierunku zębami, zanim Anya trzepnęła go w grzbiet.

– Wracaj do psiarni albo zawołam twojego pana i wtedy pożałujesz! Fenrir! Nero! Zmykać natychmiast!

Dopiero gdy zza kołnierza wyciągnęła coś wyglądającego jak gwizdek i przyłożyła go do ust, bestie znieruchomiały czujnie. Żaden dźwięk nie dotarł do moich uszu, zatem musiał to być niezwykle psi gwizdek, bo te, które dotąd widywałam, po dmuchnięciu wydawały skrzekliwe, syczące odgłosy. Kobieta nadęła policzki i znów zagwizdała.

Zwierzęta podwinęły ogony i odwróciły się, choć ten najbliżej mnie jeszcze raz warknął.

– Głupie kundle. Nawet nie zdają sobie sprawy, że ich pana nie ma w domu. Dzisiejszego wieczora wyszedł, co oznacza, że musimy ci szybko przygotować pokój, zanim wróci.

– Nakarmi mną psy, jeśli mnie znajdzie? – Choć z mojej strony był to po prostu dowcip, Anya jedynie odchrząknęła w odpowiedzi i ściągnęła torbę z przedniej ławki, co sprawiło, że znów ścisnęło mi żołądek. Przypomniałam sobie, że to miejsce nie jest moim domem. Spotykane tu osoby mogły być czymkolwiek i lepiej, żebym zachowała ostrożność. – Jesteś pewna, że to nie problem, bym tu została?

– Nie, nie. Jeśli tylko nie będziesz rzucać się w oczy, nie masz się czym martwić. Możesz odejść rankiem i nikt się nie zorientuje.

– Z tego, co mi mówiłaś, zrozumiałam, że pan Van Croix jest...

Kobieta uniosła brwi.

– Zły? Nie jest święty i na pewno nie mieści się w kategoriach czerni i bieli. Ale nie jest też najgorszym, co możesz tu znaleźć.

Całe to miejsce sprawiało wrażenie placu zabaw dla przestępców, co zapewne miało sens, skoro mogła tu swobodnie rządzić banda upadłych aniołów. Aczkolwiek nie wyglądało na to, żeby były skrzydlatymi istotami, o czym mnie przekonywano.

Rozejrzawszy się jeszcze raz za psami, zeskoczyłam z powozu, zaś Anya przeszła na tył i otworzyła drzwiczki. Słyszając stęknienie i widząc jej szamoczące się ręce, podbiegłam, żeby pomóc. Na podłodze powozu leżał niechlujny mężczyzna związany jak wieprz, o ciele pokrytym siniakami i plackami zaskorupiałego brudu. Złapała go za włosy i wyprowadziła na zewnątrz z siłą, o jaką nigdy nie podejrzewałabym kobiety w jej wieku.

– O co tu chodzi? Co mu robisz?

– To przestępca, złodziej i morderca. Oraz świeże mięso dla psów.

– Chyba... chyba nie rzucisz im go na pożarcie, prawda?

– Na Niebiosa, nie. To tylko przerośnięta. Jest ich nowym opiekunem. Jeśli uznają, że szczególnie podoba im się jego opieka, cóż, to zupełnie inna kwestia, ale nie zamierzam celowo poćwiartować go i zaserwować im na półmisku. Mam nieco więcej skrupułów.

Mężczyzna jęczał i wił się na ziemi, jakby próbował uciec.

– No już, ciszej tam, inaczej każę Cerberowi zaciągnąć cię do psiarni. W miasteczku planowali spalić cię żywcem, młodzieńcze. Jako przykład dla ogółu. Zastanów się nad tym przez chwilę. To, co zrobiłeś tej biednej dziewczynie, jest niewybaczalne.

Znieruchomiał i zmarszczył brwi.

– Właśnie tak. A pan Van Croix w zasadzie ocalił ci życie. Zatem jeśli nie chcesz wrócić do brudnej klatki, w której cię znalazłam, sugeruję, żebyś się zachowywał. Wyrażam się jasno?

Przemknął wzrokiem do mnie, a potem znów spojrzął na nią.

Jeden szybki kopniak w pachwinę sprawił, że skulił się, wyjąc z bólu. Anya zawisła nad nim w przerażającym pokazie dominacji, a mnie macka niepokoju wgrzyła się pod skórę.

– Jeśli choćby tkniesz palcem którąś z kobiet z tej posiadłości, dopilnuję, żeby ten palec był jedyną rzeczą, jaka z ciebie zostanie.

Kimkolwiek ona była – człowiekiem czy też nie – najwyraźniej napędziła mu niezłego stracha.

Mnie również.

– A teraz biegnij do psiarni. Garlic tam jest i może cię od razu wprowadzić w co trzeba. Psy już cię wyczuły, więc nie zalecam ci ucieczki. Skończyłoby się to pościgiem, który nie wypadłby na twoją korzyść. Zaufaj mi. Wiem to. – Wyciągnęła nóż z jednej z kieszeni w sukience i nachyliła się, na co mężczyzna wzdrygnął się i wierzgnął nogami, żeby się od niej odsunąć. Chwyliła go za nadgarstki i z łatwością przecięła więzy, po czym ostrożnie wsunęła ostrze pomiędzy jego policzek a knebel i jego również rozcięła. – Leć już. Życzeń dobrej nocy.

Zupełnie jakby to ona stanowiła większe niebezpieczeństwo, popędził w kierunku narożnika katedry, gdzie wcześniej zniknęły psy, nawet nie oglądając się za siebie.

– Miasteczko zamierzało go spalić? – Odprowadzałam go wzrokiem, próbując wyobrazić sobie coś podobnego. Wyimaginowany smród płonącego ciała sprawił, że zmarszczyłam nos.

– Och, tak. Jest podłym stworzeniem. Nie ma to teraz znaczenia, ale nosi imię Jesper. Lepiej trzymaj się z dala od niego, dopóki tu będziesz. Są mordercy i są mężczyźni tacy jak on.

– Zatem dlaczego go oszczędzić?

– Pan ma swoje powody, których, co muszę przyznać, czasami nie pojmuję. – Gdy tamten zniknął już z pola widzenia, Anya obróciła się do mnie z wargami rozciągniętymi w uśmiechu. – A teraz znajdziemy ci jakieś miejsce.

Wprowadziła mnie do katedry przez majestatyczne rzeźbione, łukowate, drewniane wrota. Ogarnął mnie niespodziewany całun swojskości, gdy wkroczyłam do eleganckiego przedsionka z marmurową podłogą i migoczącymi lampami zawieszonymi na ścianach. Poczulałam ciepłe, pokrzepiające wrażenie, kontrastujące z nieprzyjemnym chłodem świątyni.

Naturalnej wielkości kandelabr przedstawiający kobietę w stroju bogini nadawał pomieszczeniu łagodny blask, dzięki czemu wyglądało bardziej jak miejsce zamieszkania niż jak kościół. W powietrzu wisiała woń starego drewna i licznych stuleci, a ja poczułam się, jakbym cofnęła się w czasie, trafiła do innej epoki. Nostalgia połaskotała mnie w kark. Podciągnęłam wyżej pożyczony koc, zachwycając się wnętrzem.

Misterny żyrandol zwiisał z wysokiego, sklepionego stropu, pełen migoczących lamp i setek kryształków odbijających ich światło. Gobeliny i obrazy zawieszane na posępnych ścianach wyłożonych ciemnym drewnem przedstawiały niebiańskie sceny. Anioły i demony toczyły ze sobą krwawe walki, a pomiędzy nimi umieszczono portrety wyglądające, jakby pochodziły z innych czasów, ukazujące mężczyzn w zbrojach oraz kobiety w wydekoltowanych sukniach i z ufryzowanymi włosami opadającymi bujnymi lokami wokół twarzy. Widziałam też klatki schodowe prowadzące w prawo i w lewo oraz balkony górujące nad melancholijnym przedsionkiem domu, w którym goście nie byli już mile widziani.

– Kim oni byli? Van Croixowie? – Gdy zadawałam to pytanie, nie potrafiłam powstrzymać się przed błędzeniem wzrokiem po otaczających mnie detalach.

Wcześniej uważałam ich za członków rodziny panującej, zważywszy na luksusy, jakie widziałam wokół siebie, a jednak pomimo całego tego piękna wyczuwałam pulsacje ponurego i gasnącego żaru dynastii. Samotność upadłego rodu.

– Niektórzy mówią, że pochodzą ze szlacheckiej krwi sprzed stuleci. Niewiele o nich wiadomo. Został już tylko pan Jericho, który wydaje się szczególnie cenić sobie samotność.

– Zatem nie ma żadnej pani Van Croix?

– Nawet jeśli kiedykolwiek była, nie jestem tego świadoma. Ja zawsze widywałam go jedynie we własnym towarzystwie.

Zaczekałam, aż Anya zrzuci w przedsionku torbę i zdejmie chustę.

– Czyli pies... nazwałaś go Cerber. Jak strażnik zaświatów?

– Znasz go?

– Czytałam o nim. Tak.

– Cóż, ten Cerber na pewno nie jest trzygłowym psem, ale lubi szczekać tak, jakby miał trzy pyski.

– Zatem jest przypadkiem psa, który dużo szczeka, ale mało gryzie?
– Oj nie. Od jego ugryzienia popękałyby ci kości. Jest dwukrotnie silniejsze niż u lwa.
– Och. – W takim razie jak w ogóle ktokolwiek mógł opuścić to miejsce bez gwizdka? Włączyła się ostrożna część mojego mózgu, ta, która zawsze kwestionowała ludzkie motywy, i nie potrafiłam przestać się zastanawiać, czy psy nie służyły właśnie temu celowi.

Żeby nikogo stąd nie wypuszczać. Anya chwyciła jedną ze świec i poprowadziła mnie po schodach. Gdy znalazłam się bliżej, mogłam baczniej przyglądać się mijanym portretom.

– Czy na którymś z nich widnieje pan tego domu?

– To jego przodkowie. Pan Van Croix nigdy nie przepadał za portretami. Wiele z nich zostało zniszczonych w pożarze. Ostały się jedynie te, które przechowywano w skarbcu. – Wskazała podobiznę przy schodach. Przedstawiała piękną kobietę o złocistych włosach i promiennej skórze, stojącą obok przystojnego mężczyzny odzianego w wojskową zbroję. Coś podobnego mogłam widzieć w dzieciństwie w książkach historycznych.

– Krewni pana Van Croixa. Na szczęście te obrazy umieszczono podczas pożaru w krypcie. Obawiam się, że inaczej nie zostałyby żadne dowody istnienia Van Croixów.

– Kurczę. Czyli jego rodzina ma długie dzieje, prawda?

– Liczące całe wieki.

Wspinałyśmy się dalej, aż dotarłyśmy do długiego ciemnego korytarza. Zatrzymałyśmy się przed grubymi drewnianymi drzwiami o ciężkich okuciach z czarnego metalu.

– Tu będziesz spała – oznajmiła kobieta, otwierając wrota do ośmiokątnej komnaty.

Znajdujące się we wnętrzu łóżko z baldachimem i pościelą z czarnego gnieczonego aksamitu oraz okazałe gobeliny kojarzyły mi się z miejscem, w którym mógłby spać ktoś z rodziny panującej. Z boku, przy oknach sięgających do sufitu i z najdłuższymi zasłonami, jakie kiedykolwiek widziałam, stało krzesło, również obite aksamitem. Pod przeciwległą ścianą umieszczono staroświecką szafę i toaletkę.

– Dopilnuję, żeby przyniesiono ci lód na twoją ranę. Czy będziesz potrzebowała, żeby zbadał cię lekarz?

Ponownie dotknęłam czoła i pokręciłam głową.

– To tylko mały guz.

– W porządku. Jeśli jesteś głodna, każę też, żeby przyniesiono ci coś do zjedzenia. Ktoś zostawi je przed drzwiami. Jeśli chcesz się umyć, tam jest miednica i świeże ręczniki.

– Dziękuję. Mówiłaś, że Van Croixa obecnie tu nie ma?

– Nie. Wyszedł na wieczór. Mam nadzieję, że zanim wróci, będziesz już głęboko spać.

– Czy istnieje szansa, żebym mogła z nim porozmawiać?

Uśmiech zniknął z twarzy kobiety, zastąpiony ściągniętymi rysami.

– Masz ochotę z nim porozmawiać? Czy mogę spytać o charakter takiego spotkania?

– Mam wrażenie, że kiedyś mógł widzieć się z moim ojcem.

– Trudno mi to sobie wyobrazić. – Anya parsknęła, złożwszy dłonie. – Rzadko z kimkolwiek rozmawia. Nie rozdaje szczerze swojego czasu.

– Mimo to, gdybym mogła zadać mu kilka pytań, pomogłoby mi to uspokoić myśli.

– Sprawdzę, co da się zrobić.

– Tej nocy? – Miałam nadzieję, że nie wyjdę na zbyt niecierpliwą i spiętą, ale im szybciej zdołam się z nim zobaczyć, z tym mniejszym niepokojem będę podchodziła do tego spotkania.

– Na pewno nie tej nocy. Zorganizuję coś na jutro.

Skryłam swoje rozczarowanie pod lekkim uśmiechem, po czym skinęłam głową.

– W porządku. Dziękuję ci, Anyu. Za to, że tak łaskawie mnie przygarnęłaś.

– Oczywiście, moja droga. I ufam, że nie będę musiała tego żałować.

Lustina

Lustina kroczyła ostrożnie przez krzaki, instynktownie rozglądając się po otaczającym ją lesie. Matka nauczyła ją, jak podkraść się do zwierzyny, nie wydając szmeru głośniejszego niż przy dotknięciu zwiędłej paproci, ale gdy podchodziła do siedzącego do niej tyłem barona, to ona z jakiegoś powodu czuła się tropiona.

– Widzę, że zrobiłaś to, o co prosiłem – rzekł, nie obracając się do niej, wciąż przycupnięty na brzegu rzeczki.

– Spodziewałaś się czegoś innego? – Zrezygnowała ze stąpania na paluszkach i wkroczyła na polanę zza krzaka, za którym się chowała.

– Niewiele o tobie wiem, Lustino, ale mogę powiedzieć z całą pewnością, że nie jesteś kimś, kto szczególnie lubi robić to, co mu się mówi.

Na ten komentarz zachichotała, podniosła leżącą gałązkę i stanęła na brzegu obok niego.

– Twoje spostrzeżenia są wnikliwe, mój lordzie. – Rysując patyczkiem zawijasy na wodzie, zastanawiała się nad pytaniami, które dręczyły ją przez tydzień, jaki minął od ich spotkania w katedrze. Chciała dowiedzieć się od niego tak wielu rzeczy, ale obawiała się je poruszyć bez wzbudzania jego agresji. – Wypuściłam tamtego ptaszka, jak kazałeś mi obiecać ostatnio.

– I poleciał?

– Całkiem zwinnie. Widok ten wzbudził wielką radość w moim sercu. Dziękuję ci, że zająłeś się jego obrażeniami.

– Ciesz się mnie świadomość, że jesteś szczęśliwa.

Odwróciła od niego głowę, ukrywając uśmiech na myśl, że go ucieszyła.

– Czy za twoimi słowami kryło się coś więcej, mój lordzie? Gdy prosiłeś mnie, żebym go uwolniła... czy mówiłeś wtedy o ptaszku? – Gulę, która urosła jej nagle w gardle, strasznie trudno było przełknąć. – Czy o sobie?

– Uznałem za oczywiste, że chodzi o ptaka.

Ciepło zażenowania rozgrzało jej policzki. Pokręciła głową.

– Oczywiście. Byłam po prostu ciekawa...

– Nie bądź ciekawa. Ciekawość może być niebezpieczna.

Wciąż skupiona na kręgach, które kreśliła na lustrze wody, uśmiechnęła się.

– Ale również rodzi pytania, mój lordzie. Takie, które wciąż są dla mnie tajemnicą. Na przykład, dlaczego Drystan znajdował się tamtego dnia w krypcie?

Obserwowała jego profil, widziała, jak jego warga unosi się gniewnie, zupełnie jakby samo brzmienie jego imienia uznał za obraźliwe.

– Uczestniczył we mszy wraz ze swoją matką.

– Wybacz mi, ale nie widziałam, żeby jakaś kobieta towarzyszyła mu do komnaty, do której cię zabrano.

– Jeśli twoje zapytania czemuś służą, to sugeruję, żebyś ujawniła ten powód – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nie mam czasu na gierki ani zagadki.

Te słowa dały jej do myślenia. Czy rzeczywiście to, o co pytała, służyło czemuś więcej niż tylko zaspokojeniu jej ciekawości? Przecież wiedza nie zmieni rezultatu, nie zmieni przyszłości. Mężczyźni, których wtedy widziała, byli najpotężniejszymi osobami w całej Praeepsii. Mimo to zapytała:

- Co ci robili w tamtym pomieszczeniu? Słyszałam twoje krzyki.
- A skąd możesz mieć pewność, że należały one do mnie?
- Bo znam twój głos równie dobrze jak własny. Słyszę go nawet wtedy, gdy cię nie widzę.
- Powiedz mi. – Żar w jego słowach palił jej skórę. – Słyszysz go w snach?
- Czasami.
- I co w nich do ciebie mówię?
- Różne rzeczy. – Które wywołałyby jej rumieniec, gdyby mu je zdradziła.

Podniósł się i podszedł do niej. W oczach jaśniało mu coś mrocznego i złośliwego.

- Chcę usłyszeć je z twoich ust.

Na tę prośbę chłodny strumień zakłopotania skręcił jej trzewia.

- Wolałabym ich nie mówić, mój lordzie.
- Powiedz albo spotkają cię konsekwencje.

Zadarła wysoko podbródek i wbiła w niego wzrok, niespeszona, opanowana.

- Chcę poznać konsekwencje.

– Dlaczego?

- Żebym mogła zdecydować, co jest gorsze: cierpieć je czy opowiedzieć ci o moich snach.

– Konsekwencje z pewnością będą gorsze. – Podszedł bliżej, zmuszając ją do cofnięcia się. – Choć bardziej, niż słuchać o twoich niezwykłych snach, wolałabym wiedzieć, czy gdy o mnie myślałaś, dotykałaś się tak, jak prosiłem.

Lustina poczuła na policzkach płomień zażenowania, a jednak robiła to, o co prosił. Gdy myśla się w chłodnym prądzie rzeki, zamknęła oczy i pod powierzchnią wody pozwoliła swoim palcom wałęsać się po tamtych zakazanych miejscach. Wyobrażała sobie jego arogancki uśmiezek oraz śmiałe słowa szeptane do jej ucha i choć nie do końca wiedziała, z czym jeszcze wiązały się skurcze jej mięśni i szybkie krótkie oddechy wydostające jej się z ust, cieszyła ją te doznania.

Matka zawsze jej powtarzała, że takie przyjemności są w pełni normalne dla ciekawej życia młodej dziewczyny, jednak pentashe często określały je jako niepotrzebny grzech służący jedynie dogadaniu sobie.

Lustina przełknęła z trudem ślinę, przytakując w odpowiedzi na jego pytanie.

Kącik jego ust uniósł się w lekkim uśmiechu, zupełnie jakby go to ucieszyło, a ją na ten widok ogarnęło nowe wrażenie. Wcześniejsze zażenowanie powoli przemieniało się w coś obcego. Coś, czego dotąd nie doświadczyła, i choć nie potrafiła do końca określić, co to jest, puls jej przyspieszył, a pomiędzy udami zrobiło jej się ciepło.

Wiedziała jedynie, że lubi oglądać uśmiech na twarzy barona.

- A czy dotarłaś do oszałamiającej ekstazy? Gdy uda drżą ci z bezkresnej ulgi?

Czy dotarła? Nie miała pewności. Znalazła się jedynie w punkcie, w którym jej ciało ogarnęło ostre napięcie, a później zrobiła się słaba i zmęczona.

- Skąd miałabym to wiedzieć, mój lordzie?

Mroczny chichot, który jej odpowiedział, wzmógł jedynie jej zakłopotanie.

– Wiedziabymyś. – Znowu podszedł bliżej, spychając ją w kierunku pobliskiego drzewa. – Twój zapach... – Zacisnął powieki i zęby, jakby czuł się nim urażony. – Tak czysty. – Gdy znowu otworzył oczy, zniknął z nich jaskrawy błękit. Ich czarne tęczęwki wyglądały, jakby wlała się w nie przerażająca ciemność.

Zduszając okrzyk, Lustina odskoczyła w tył, wpadając plecami na pień drzewa.

– Twoje oczy... one... Co się z nimi stało? – Matka powiedziała jej kiedyś w chwili majaczenia i poważnej choroby, że oczy mogą w ten sposób szernieć.

Odwrócił od niej wzrok i odsunął się.

– Chodź ze mną. – Mówił cicho, a gdy znowu na nią spojrzął, znajomy błękit wrócił. Jego oczy wydawały się takie normalne. Dziewczyna zastanawiała się, czy przed chwilą tylko wyobrażała sobie czern. – Chcę ci coś pokazać.

Może i zawahałaby się przed wejściem wraz z nim głębiej w las, dokąd chciał ją zabrać, ale do tej pory jego niespodzianki okazywały się przyjemne, jak w przypadku ptaszka. Gdy szła za nim, przytrzymywana jego dłonią, w głowie galopowały jej myśli, co mógłby zechcieć jej pokazać. Co mogło być takie ważne, że musiała przyjść do lasu sama, bez Drystana.

Kroczyli ścieżką nietkniętą ludzką stopą, a baron od czasu do czasu oglądał się na nią przez ramię. Nie

uśmiechał się, nie marszczył brwi, nijak nie dawał jej poznać, czy to, ku czemu zmierza, jest dobre czy złe. To, że ktoś mógł być tak zupełnie nieodgadniony, pozostawało równie tajemnicze jak cienie czające się w jego oczach.

Przed nimi stał w oddali wóz, przy którym rozpalono ogień. Pomimo jaśniejącego żaru obozowisko wyglądało na opuszczone, a baron mocniej ścisnął jej dłoń. Zaraz za wozem Lustina dostrzegła jednak jakąś postać. Długie, poplątane loki siwych włosów spadały na wąskie, zgarbione plecy kogoś, kto wyglądał na starszą kobietę. Potwierdziło się to, gdy obróciła się ku nim. Jej twarz rozpoznała się i nieznajoma przykuśtykała bliżej. Była włóczęgą, o czym świadczyła postrzępiona wełniana chusta i liczne bransolety na nadgarstku.

– Witajcie – powiedziała chrapliwym, skrzeczącym głosem.

Mięśnie barona się spięły, a jego palce niemal zmiażdżyły Lustinie dłoń, gdy kobieta podchodziła.

– Nie bliżej – ostrzegł, spoglądając gniewnie na nieznajomą.

Chyba nie wierzył w plotki o wędrowcach, przez tak wiele osób z wioski uważanych za zakałą społeczeństwa. Marszcząc czoło na jego brak manier, Lustina wyrwała dłoń i wystąpiła do przodu, uśmiechając się uprzejmie do staruszki.

– Bądź pozdrowiona.

– Szukam rzeki i obawiam się, że zgubiłam poczucie kierunku.

– Och, zatem masz szczęście. Rzeka płynie tuż za tamtą polaną, widzisz? – Lustina pokazała lukę między drzewami.

– Za nią, powiadasz?

– Tak. Postępuj w tamtym kierunku ze słońcem w twarz, a znajdziesz rzekę. Obiecuję.

Kobieta sięgnęła po jej dłoń, a Lustina kątem oka zauważyła, że baron rzucił się ku niej.

– Ale z ciebie miłe, słodkie dziecko. Nie zdołam wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna za twoją pomoc. – Chwyciła jej dłonie swoimi pomarszczonymi palcami, a dziewczyna wzdrygnęła się, gdy okazały się zbyt zimne w dotyku. W nienaturalny sposób. Gdy staruszka sięgnęła do kieszeni sukienki, baron mocniej ścisnął bark Lustiny; jego palce niemal wgrzyły się w jej kości. – Proszę. Mam tu przepyszny smakołyk w ramach podziękowania. – Wyjęła jabłko z kieszeni i podała je Lustinie. – Musisz ugryźć kęs. Jest niebiańskie.

Kiedy dziewczyna wyciągnęła rękę, żeby przyjąć owoc, usłyszała świst stali opuszczającej pochwę. Zaraz potem baron oparł klingę o podbródek nieznajomej.

– Ty pierwsza – wycedził, przesuwając Lustinę za siebie.

Czując płonącą w niej frustrację, przyglądała się biednej staruszce, na której twarzy malowały się szok i przerażenie. Niewiele osób traktowało Lustinę z taką uprzejmością, dlatego uznała jego zachowanie za obraźliwe.

– Co to ma znaczyć, mój lordzie? – spytała.

Nie zadając sobie trudu, by odpowiedzieć, uniósł klingę wyżej i wcisnął jej ostrą krawędź w szyję kobiety.

– Mój lordzie!

Okropny skrzek poniósł się po lesie, a Lustina obróciła się w stronę jego źródła. Staruszka wpatrywała się w nią oczyma czarnymi jak węgiel, od których dziewczynę przeszedł zimny dreszcz. Mówiła w języku, którego Lustina nie rozumiała, a gdy zasyczała, dało się dostrzec kły i rozwidlony język wysuwający się z jej ust.

Dziewczyna odskoczyła w tył, wydając z siebie cichy okrzyk. Czowała, jak trzęsą jej się spięte mięśnie. Kobieta znów zaskrzeczała, a gdy rzuciła się naprzód, Lustina wstrzymała oddech.

Jedno potężne pchnięcie ostrza z ohydny, wilgotny odgłos przebiło staruszce gardło. Natężenie skrzeku wzrosło, a zaraz potem kobieta stanęła w płomieniach.

Zakrywając usta dygoczącymi dłońmi, Lustina patrzyła, jak ciało włóczęgi zamienia się w popiół w topornie wypaczonym odpowiedniku tego, co znała jako pochłanianie człowieka przez ogień.

Zdecydowanie zbyt szybko.

Krzusząc się płytkimi oddechami, Lustina cofała się, wciąż wpatrzona w kupkę pylistej sadzy leżącą tam, gdzie niedawno stała kobieta.

– Lustino – odezwał się baron, podchodząc do niej.

– Nie dotykaj mnie. N-n-nie dotykaj mnie! – Każdy mięsień jej drżał, ogarnęła ją groza. Obróciła się w przeciwną stronę, żeby uciec, ale jego ramię otoczyło ją mocno w talii i uniosło w powietrze. – Puść mnie. Puść mnie!

– Pewnych rzeczy nie rozumiesz.

– Chcę iść! Puść mnie! – Szarpała się i wierzgała, ale on jedynie zacieśnił chwyt i przyciągnął ją bliżej siebie.

– Posłuchaj mnie, Lustino. Nie zabiłem kobiety, którą wydaje ci się, że widziałas.

– Zabiłeś! Patrzyłam na to! – Całe jej szamotanie zdawało się na nic, gdy jego ręka ścisnęła ją niczym imadło.

– Nie pochodziła z tego świata. Widziałas, jak płomienie pochłaniają jej ciało. Nie spaliła się tak jak ludzie.

Pozbawiona tchu i wyczerpana walką, Lustina znieruchomiła, rozważając jego słowa, w których prawdziwość już wierzyła. Przecież na własne oczy widziała, jak jej matka umierała na stosie. Wtedy zdawało się, że jej wrzaski nigdy nie ucichną. I choć spłonęła, nie zamieniła się zupełnie w popiół. Na pewno nie tak szybko, jak ta staruszka.

Jabłko wciąż leżało na ziemi. Baron puścił Lustinę, podszedł do niego i rozciął je na pół. Tam, gdzie powinien znajdować się jasny miąższ, widniało czarne wnętrze. Sączyła się z niego dziwna substancja, od której widoku przewracało jej się w brzuchu. Jej uwagę przykuł ruch i gdy podeszła bliżej, dostrzegła małe, przypominające robaka stworzenie o czarnych łuskach wyłaniające się ze zgniłego owocu. Widząc ją, zaszczało, podobnie jak wcześniej kobieta, obnażając kły i wężowy język. Kiedy wysunęło się z jabłka i pomknęło ku niej, Lustina odskoczyła.

Opadło na nie ostrze i znów wybuchły płomienie, zamieniając dziwną istotę w popiół.

Szok sprawił, że dziewczyna zaniemówiła. Na myśl, że mogłaby ugryźć to jabłko i nieświadomie je spożyć, poczuła dreszcz na plecach.

– Skąd wiedziałeś? – spytała w końcu drżąc.

– Jest wiele rzeczy, które chciałbym ci powiedzieć, ale obawiam się, że takie wyznania by cię przeraziły. Wiedz, że to uczynię. Z czasem. – Baron wyciągnął do niej rękę, a Lustina zawahała się, niepewna, czy może mu zaufać. – Nie skrzywdzę cię.

Przełknęła kulę w gardle i podała mu dłoń, po czym wznowili wędrówkę przez las.

Wyłonili się pomiędzy drzew w podmuchach wiatru, który podrywał luźne pasma jej splecionych w warkocz włosów. Lustina spoglądała ponad urwiskiem znajdującym się niedaleko przed nimi. Gdy baron podprowadzał ją do stromej krawędzi, poniżej falowało czarne morze. Poczuła w swoim wnętrzu chłód, a jej drżące ręce pokryły się potem.

Taka reakcja zwróciła najwyraźniej uwagę barona, który zatrzymał się, zanim dotarli do samego skraju.

– Boisz się.

– Ja... nie mogę... Obawiam się wysokości.

– Śmiem się zgodzić.

– S-s-słucham, mój lordzie? – Zęby tak dzwoniły jej ze strachu, który ogarnął jej ciało, że ledwo mogła formować słowa.

– Nie obawiasz się wysokości. Tylko spadania. Ześlizgnięcia się z urwiska, gdy wiatr wieje ci w twarz. Gdy w dole nie ma nic, co mogłoby cię złapać. Na bezlitosnych skałach poniżej czeka cię jedynie ból.

– Jeśli chciałeś w ten sposób mnie uspokoić, to zapewniam, że ci się nie powiodło.

– Gdybym miał cię złapać, czy wtedy byś skoczyła?

– Wybacz, że to mówię, ale wasza lordowska mość niewiele mogłaby zdziałać, gdybym już spadła.

Uniósł brew i pociągnął ją za sobą.

– Zatem będziemy uważać, żebyś się nie poślizgnęła.

Wyrwała rękę i z desperacją odskoczyła od krawędzi.

– Co tam jest takiego ważnego, że nie mogę tego zobaczyć stąd?

– Nie da się tego wyjaśnić słowami. Chodź. Chcę ci pokazać.

Czując, jak serce dudni jej w piersi, Lustina zmusiła umysł, żeby odrzucił wizję barona spychającego ją w przepaść. Choć potrafił być okrutny, na pewno nie mordował niewinnych osób. Oczywiście nikt nie uznałby go za sprawcę takiej zbrodni, skoro dziewczyna głupio powędrowała do lasu bez eskorty.

– Możesz mi zaufać – rzekł, jakby czytał jej w myślach.

Z wahaniem sięgnęła po jego wyciągniętą dłoń, a on ją ujął, tym razem ostrożniej. Żółc podeszła jej do gardła, gdy ostrożnie, powoli podchodziła ku niemu, przesuając stopy po skale, ponieważ nie ważyła się oderwać butów od powierzchni. Oddychając ciężko przez nos, znalazła się na samej krawędzi i wbiła wzrok przed siebie. Silna ręka otoczyła ją w pasie, a wargi znalazły się tuż przy jej uchu.

– Spójrz w dół – wyszeptał baron.

Lustina zacisnęła mocno powieki, wstrzymała oddech i pokręciła głową.

– Nie mogę.

– Boisz się tego bardziej niż wszystkiego innego?

– Być może. Niemal dorównuje to mojej innej obawie.

– Czyli?

– Nie jestem pewna, czy chcę ci ją zdradzać, zważywszy, że już teraz radujesz się tą drugą.

– Chcę wiedzieć, czego jeszcze się boisz, Lustino. Chcę znać twoje słabe strony. Powody sprawiające, że trzymasz się tego, co postrzegasz jako bezpieczne.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że wbiła palce w ramię barona, że przyparła do niego całym ciałem, drżąc niczym delikatny liść na cienkiej gałązce.

– Ja... ja boję się błyskawic. Grzmotów i huków.

– Dlaczego?

– Byłam... dzieckiem. Przyszła straszliwa burza. Piorun uderzył w pobliskie drzewo. Przewróciło się, ledwo mnie chybiając.

– A czy to drzewo powinno cię chybić?

– Nie. Zostało trafione tak... że powinno upaść prosto na mnie.

– Mimo to obawiasz się błyskawic?

– Oczywiście. Co to w ogóle za pytanie?

Ciepły oddech połaskotał ją w szyję, gdy baron nachylił się ku niej i wyszeptał:

– Ja natomiast sądziłbym, że to błyskawice powinny obawiać się takiej potęgi jak ty.

Przez chwilę rozważała jego słowa, po czym obróciła się, by na niego spojrzeć. Tylko matka mówiła jej takie rzeczy – wzbudzała w niej wrażenie, że jest silniejsza niż w rzeczywistości.

– Odważ się spojrzeć w dół – polecił.

Przełknęła z trudem ślinę, odetchnęła głęboko i obróciła się, choć jedynie na tyle, by dostrzec miejsce, gdzie palce jej stóp stykały się z krawędzią wysokiego urwiska; upadek z niego niewątpliwie byłby bolesny. Jakimż strasliwym cierpieniem byłoby wylądować na bezlitosnych skałach poniżej. Zdusiła cichy okrzyk i ścisnęła barona mocniej, aż rozboleły ją palce. Wyobrażała sobie, że gdzieś w dole, schowane pod mgłą, która przesunęła się, żeby je ukryć, leżą głazy i woda. Gęsty biały opar zasłaniał jej widok, wspinając się po ścianie przepaści, tańcząc u jej stóp.

– Nic nie widzę. Tylko mgłę.

– Wciąż się boisz?

– No tak, oczywiście. Wiem, że morze i skały tam są, nawet jeśli ich nie widzę.

– A co, gdybym ci powiedział, że mogłabyś chodzić po tej mgle jak po stałym gruncie, na którym teraz stoisz?

Wstęga paniki owinęła się wokół niej, gdy wchłaniała te słowa. To, co proponował, było śmiertelnym grzechem. Śmierć zadana z własnej ręki. Przypomniała sobie, jak wcześniej jego oczy stały się czarne. Aż do tej pory Lustina nie zastanawiała się nad stanem jego umysłu i nagle pożałowała, że pozwoliła mu się tu przyprowadzić.

– To, co mówisz, oznacza śmierć.

– Możliwe. A może mówię o wolności. Nie pragnęłabyś latać tak jak ptaki?

– Gdyby Święty Ojciec chciał, żebyśmy latali, dałby nam skrzydła, mój lordzie.

Chichot w jej uchu upewnił Lustinę, że rzeczywiście popełniła błąd, towarzysząc mu w wyprawie nad urwisko.

– Czy tak bardzo obawiasz się również śmierci?

– Z własnej ręki, owszem. Zakonnice mówiły, że coś takiego to grzech. Że przez to trafia się w ogień piekielny.

– To słowa tych samych ludzi, którzy twierdzili, że twoja matka jest grzesznicą, zanim spalili ją żywcem?

– Tak, ale... to jest...

– Szaleństwo. Tak. Powiedz mi, że nigdy nie marzyłeś o tym, żeby stać się lekka jak ptak. Móc się udać, dokąd tylko zechcesz.

Skłamałaby, gdyby odparła, że o tym nie marzyła.

– Czego ode mnie chcesz, mój lordzie?

– Chcę, żebyś wyszła naprzeciw swoim obawom.

– Prosisz mnie, żebym zakończyła swoje życie?

– Nie. Proszę cię, żebyś je zaczęła.

– Nie mogę tego zrobić. Ja nie... Jestem zadowolona z tego, co mam.

– Naprawdę? Czy wiesz satysfakcjonującą egzystencję, oporządzając ogrody pod nadzorem ostrożnych spojrzeń, traktowana tak, jakbyś rozsiewała zarazę?

Tak było? Czy popadła w takie samozadowolenie, że nie dostrzegała już własnego nieszczęścia? Tego, jak cała osada wyrzekła się jej, odrzuciła niczym obgryzione kości? Tego, że pomimo obecności barona otrzymałaby bezmierną karę za to, że uciekła z nim do lasu?

– A co mnie czeka? Ból? Śmierć? W czym to jest lepsze?

– W nic nie wierzysz. Do tego stopnia, że nie umiesz sobie nawet wyobrazić, iż mógłbym cię złapać.

– A mógłbyś? Zatem o to tutaj chodzi? O moje zaufanie?

– Czy mi ufasz, Lustino? A może ufasz tylko Bogu, który mówi ci, że dobrzy i niewinni ludzie muszą spłonąć za swoje grzechy?

Jej oddech stał się płytszy, gdy zastanawiała się nad tym pytaniem. Oczywiście, że nie wierzyła we wszystko, co kazano jej uważać za grzech. Kłóciło się to z jej naturą. Z naukami jej matki mówiącymi o uprzejmości i miłosierdziu.

– Obiecuj mi, że mnie złapiesz.

– Zawsze – odszepnął.

Zacisnęła oczy i pokręciła głową na myśl, że miałyby wykonać krok nad przepaścią.

– Jestem głupia. Zupełnie i całkowicie głupia.

– I tego boisz się najbardziej.

Zaczerpnąwszy głęboko tchu, dziewczyna przygotowała nerwy i puściła bark barona. Wciąż nie otwierała oczu i czuła, jak mrowią ją palce u stóp.

To szaleństwo!

Pomyślała o swojej matce – czy rozczarowałyby ją swoją głupotą, tym, że mu zaufała? Jak w ogóle by ją złapał? Jak mógłby to zrobić?

W tej samej chwili sięgnęła za siebie, by ująć jego rękę, i wykonała krok naprzód. Gdy nie natrafiła na nic z tyłu, krzyknęła cicho i straciła równowagę.

Ogarnęła ją groza, gdy spadała z prędkością zbyt wielką, by nad nią zapanować. Mgła rozstąpiła się, ukazując skały i ciemną wzburzoną wodę, które widziała wyraźniej niż przed chwilą. Lustina otworzyła usta, żeby wydać z nich krzyk, i zacisnęła mocno powieki. Modliła się, żeby śmierć nastąpiła szybko i bezboleśnie.

Gdy otworzyła oczy, żeby pogodzić się z nieuchronnym zderzeniem, spojrzała z niedowierzaniem na rozciągający się przed sobą horyzont.

Jej stopy stały pewnie na skraju skały, tak samo jak wcześniej.

Spuściła wzrok na wodę i śmierć pozostające w bardziej krzepiącej odległości, niż jej się wydawało jeszcze przed chwilą. Odetchnęła drżąc, po czym odsunęła się od urwiska, wpadając na niewzruszoną ścianę za sobą.

Obróciła się i ujrzała barona ściskającego mocno jej dłoń.

– Ja... przysięgłabym, że... spadłam w tę przepaść. A jednak to musiał być... sen?

– Czyżby? Nie czułaś pędu wiatru wokół siebie? Tchu wrywającego ci się z płuc? Chłodnej dłoni śmierci zaciskającej się wokół twoich obaw?

– Czułam to wszystko. – Marszcząc brwi, przypomniała sobie tamte sekundy, zanim zamknęła oczy, zupełnie jakby zemdląca. Z pewnością spadała. Jak jednak baron zdołał ją złapać, skoro pędziła już ku skałom poniżej?

– O czym myślisz? – zapytał.
– Nie wiem, w co wierzyć. – Myśli przychodziły gwałtownie i irracjonalnie, szydziły z niej swym nieprawdopodobieństwem.
– Co najbardziej niepokoi cię w tym wszystkim?
– Że to było prawdziwe.
– Dlaczego?
– Bo powinnam była zginąć.
– Jak tamtego dnia w lesie, gdy chybiło cię drzewo?
– Tak.
– Powiedz mi, dlaczego nie chcesz mówić nikomu o tamtym dniu, Lustino?
Zjeżyła się na to pytanie, na możliwość, że mógłby mieć jakiegokolwiek pojęcie o jej niewysłowionych myślach.
– Nie wiem, o czym mówisz, mój lordzie.
– Wiesz. Ta myśl dręczy cię każdego dnia od tamtej chwili. Świetnie zdajesz sobie sprawę, dlaczego drzewo cię nie zmiażdżyło. A teraz powiedz mi, w co wierzysz.
– Wtedy uznasz mnie za głupią.
– Jakie ma znaczenie, co sobie myślę, skoro powinnaś być martwa. Mów.
– Myślę... – Wezbrała w niej panika na myśl, że miałyby przyznać się do czegoś takiego. Na towarzyszącą temu butę. – Wierzę, że... Że nie miałam jeszcze umrzeć.
– Dlaczego?
– Ponieważ służę jakiemuś celowi.
– Wszyscy służymy jakiemuś celowi. Nawet biskup Venable. Dlaczego miano by ci pozwolić wymknąć się śmierci?
– Nie wiem. Nie powinnam była zostać tak wyjątkowo potraktowana.
Wyciągnął dłoń, by ująć jej twarz i przesunąć kciukiem po policzku, z którego stał łzę.
– Właśnie tu się mylisz.
– Złapałeś mnie – rzekła, wracając do chwili obecnej. – Jak? To niemożliwe.
– Jest tak, jak już ci wcześniej mówiłem. Niektóre istoty rodzą się po to, żeby wymykać się ograniczeniom tego, co możliwe.
Nachylił się i przycisnął wargi do jej warg.



Lustina z uśmiechem na ustach brnęła samotnie przez las w kierunku posiadłości Van Croixów. Gdyby zobaczono ją z baronem, zapewne ściągnęłoby to na nią większe kłopoty, niż by chciała, znacznie poważniejsze niż kara za samo wałęsanie się bez eskorty.

Gdy wreszcie dotarła na teren rezydencji, zaczął ją Drystan, z przygarbionymi ramionami i dłońmi zaciśniętymi w pięści u boków.

– Gdzie byłaś? Wszyscy cię szukali!
– Biskup Venable poprosił, żebym nie kręciła się w pobliżu podczas ceremonii leczniczej dla damy Praeceptii.
– Chyba nie chodziło mu o to, żebyś uciekła i sama chodziła po lesie.
– Dorastałam w lesie. Bez trudu potrafię odnaleźć w nim drogę.
– To nieprzyzwoite, żeby młoda dama robiła coś podobnego sama. A może nie byłaś sama? – Sposób, w jaki zmrużył oczy, powiedział dziewczynie, że ją przejrzał.
– Co to miało znaczyć?
– Wygląda na to, że dobry baron również gdzieś zginął.
Zmusiła się, by nie pokazać nic po sobie na to aż nazbyt trafne spostrzeżenie. Nawet cień podejrzeń okazałby się dla niej zgubny w skutkach.
– Jeśli rzucasz oskarżenie, że wybraliśmy się na jakąś schadzkę, to muszę cię poprosić, żebyś uważał, co mówisz.

– Dlaczego?
– Ponieważ kieruję się zasadami i nigdy nie wzięłabym udziału w czymś tak lubieżnym.
– Jesteś córką czarownicy i dziwki. Nie jest dla mnie wcale takie niewyobrażalne, że byłabyś do tego zdolna.

Bez zastanowienia Lustina zamachnęła się i uderzyła Drystana w twarz tak mocno, że odrzuciło mu głowę na bok. W miejscu, gdzie trafiła, pojawiła się czerwona plama, ale nie zamierzała za to przepraszać. Nie po tak ostrych i okrutnych słowach na temat jej matki.

Jego warga zadarła się w wyrazie złości i rzucił się na nią, unosząc dłoń, jakby chciał odwzajemnić cios. Opanował się jednak.

– Pożałujesz tego – warknął.

Potem chwycił jej nadgarstek i pociągnął ją przez tylne drzwi, najpierw do kuchni, a później do kunsztownie udekorowanego pokoju, gdzie biskup Venable stał wraz z lordem Praeceptsią i dwoma innymi mężczyznami, których nie rozpoznawała.

– Znalazłem ją, wasza ekscelencjo. Wałęsała się po lesie z młodym lordem Van Croixem.

Oczy płonące wrogością wwierciły się w Lustinę, która stała niczym więźniarka, unieruchomiona w nieustępliwym chwycie Drystana.

– Czy to prawda?

Jedynie z uwagi na etykietę i dla okazania przyzwoitości biskup zadał sobie trud, by ją spytać, zamiast od razu oskarżyć. Nie obchodziła go prawda, dlatego Lustina nie wahała się z odpowiedzią:

– Tak.

Ostatecznie i tak ją ukarze, nieważne, co by odrzekła.

– Zaczekaj na mnie w powozie – wycodził przez zaciśnięte zęby.

– Ja ją tam odprowadzę. – Drystan pociągnął ją, zupełnie jakby był do tego upoważniony, a gdy szarpnęła ręką, zacisnął chwyt. Jego palce wbijające się jej w skórę, po których na pewno zostaną siniaki, mówiły Lustinie, że jest wściekły.

– Dlaczego... to robisz?! – Zapierała się piętami na obsypanej żwirem ziemi i wrywała w bezskutecznym oporze, gdy ciągnął ją za sobą. Kiedy nie odpowiedział, zagryzła zęby we frustracji. – Jesteś w zмовie z biskupem! Widziałam cię w zeszłym tygodniu podczas mszy. Wszedłeś do komnaty w krypcie.

Wreszcie się zatrzymał i obrócił do niej. Coś błysnęło mu w oczach, jak u węża, co sprawiło, że cofnęła się o krok.

– Masz jakiegokolwiek pojęcie, jaka jesteś głupia? Rozumiesz, kim naprawdę jest baron? – Wpatrywała się w niego, zastanawiając nad tymi pytaniami. – Jest pomiotem samego diabła.

Śmiech wezbrał jej w gardle i zanim zdążyła się powstrzymać, wyrwał się z niej cichym chichotem.

Zakryła dłonią usta, by go uciszyć.

Drystan ściągnął brwi.

– Mówię poważnie! To nie jest sprawa do śmiechu, Lustino! On jest złem wcielonym!

Pochyliła się do przodu, zaśmiewając się mocniej. Nie potrafiła zdusić rozbawienia.

– Śmieć się. A gdy przeklnie twoją duszę, by spędziła wieczność w piekielnej krainie, być może pożałujesz, że mnie nie posłuchałaś.

Wyrwał się z niej nieładny pisk, śmiech tak intensywny, że aż się popłakała.

– Nie masz... pojęcia... na jakiego szaleńca... brzmisz! – Dalej rechotała, aż twarz zaczęła ją piec, a gardło drapać.

– Jest zdolny do rzeczy, jakich nie potrafi żaden człowiek. Powiedz mi, że ich nie widziałas, a skłamięs. Jest niebezpiecznym wynaturzeniem i należy go zniszczyć.

– Może to ty jesteś wynaturzeniem, skoro mówisz o niszczeniu innej istoty ludzkiej.

– On nie jest człowiekiem.

– Ty też nie. Jaki człowiek byłby tak przekonany o swojej nieomyślności, żeby sądzić innego? To nieludzkie. Potworne! Bardziej niż ten pomiot, o którym mówisz. Torturujesz go. Sama słyszałam. Wraz z biskupem torturujecie go w tamtej komnacie. Jeśli wasz Bóg jest tak litościwy i prawy, jak mówicie, to wy powinniście zostać ukarani!

Jego dłoń wbiła jej się w gardło z siłą, która wyrwała jej z płuc resztki powietrza.

– Broń go, jeśli musisz, Lustino. Ale przy tobie nigdy nie znajdzie szczęścia.



Lustina leżała na brzuchu. Rany na jej plecach, gdzie została wybatożona, paliły tak, jakby smagały je płomienie. Gdy pentasha Maria musnęła szczególnie głębokie cięcie, dziewczyna zamknęła oczy, modląc się, by ból zelżał. Łzy pociekły jej po skroni, a kiedy pentasha opatrywała jej rany, zastanawiała się, jak okrutnym zrządzeniem losu okazał się tamten dzień w lesie, gdy pierwszy raz ujrzała barona, gdy pierwszy raz poczuła, jak niebezpieczne macki tego, co nieznane, otulają się wokół jej ciekawości.

Biskup określiłby takie spotkanie jako sprawdzian jej cnoty w obliczu kuszenia.

Dla Lustiny stanowiło ono przebudzenie. Odsłonięcie prawdy, która zbyt długo leżała pogrzebana w jej sercu. Uświadomienie sobie, że nieważne, jak cnotliwa starała się być, kościół nigdy nie uzna jej za godną odkupienia. Bo jeśli barona można było karać za to, że istnieje, to jaką nadzieję mogła żywić córka potępionej czarownicy?

Stuknęły drzwi. Następnie rozległy się ciężkie kroki akcentowane uderzeniami laski, niewątpliwie wydawanymi przez pastorał biskupa Venable, które powiedziały jej, kto wszedł. Groza zaległa jej w głębi żołądka.

– Zostaw nas – rzekł do pentashy Marii.

– Wasza ekscelencjo, ona wciąż ma rany do opatrzenia...

– Nie zamierzam się powtarzać.

Chłodna szmatka, która dawała Lustinie odrobinę ukojenia, została odjęta od jej skóry; cięcia zapiekły w skardze.

Drzwi znów stuknęły, sygnalizując wyjście pentashy. Lustina znalazła się sam na sam z biskupem.

– Czy rozumiesz, dlaczego cię ukarałem, dziewczyno?

Nie odpowiedziała. Gniew i smutek zanadto ją przytłaczały.

Poczuła piorunujące uderzenie bólu i w tym samym momencie uświadomiła sobie, że Venable wcisnął palec w jedną z jej ran.

– Odpowiedz mi!

– Tak!

Wyjął palec, ale ból się utrzymywał, kłuł ją w żebra za każdym razem, gdy odważyła się zaczerpnąć tchu.

– Czy szczerze rościłeś sobie, że syn hrabiego zechce mieć cokolwiek wspólnego z taką grzeszną ladacznicą jak ty?

– Moje intencje wobec barona były niewinne i czyste.

– Oczywiście. – Biskup stanął przed nią. – Nie wolno ci już towarzyszyć mi przy tych wizytach.

– Ale dama Praeceptia...

– Dama Praeceptia umiera. Podobnie jak jej zainteresowanie tobą. – Gdy musnął palcem jej policzek, szarpnęła głową, żeby uwolnić się od niechcianego dotyku. – Pozostaniesz równie niekochana jak twoja matka.

Farryn

Ochlapałam wodą twarz i zgarnęłam czysty ręcznik z kupki obok miednicy, żeby się wytrzeć. Materiał pachniał świeżym bzem, wonią, która przeniosła mnie do dzieciństwa i pięknego krzaka bzu przed naszym domem. Przez ręcznik wymacałam wypukłość guza i się skrzywiłam. Anya przysłała mi trochę lodu, żeby zmniejszyć opuchliznę, ale wciąż wystawało na tyle, żeby boleć.

Gdy odjęłam tkaninę od twarzy, coś za oknem przykuło moją uwagę. W oddali na tle księżycy wznosił się w powietrzu kształt wyglądający jak wielki czarnoskrzydły ptak. Mrużąc oczy, by lepiej widzieć, podkrađłam się bliżej okna, akurat gdy stworzenie sunęło w powietrzu w stronę katedry. Im bliżej się znajdowało, tym wyraźniej dostrzegałam szczegóły.

Nie był to ptak, tylko ludzkie ciało z czarnymi skrzydłami.

Krzyknęłam cicho, odstępując od okna.

– O Boże!

Stworzenia o ciemnych skrzydłach.

Słyszając za sobą skrzyknięcie drzwi, obróciłam się z wrzaskiem.

Do pokoju weszła młoda dziewczyna, może rok czy dwa młodsza ode mnie, z ogniście rudymi włosami. Biały fartuszek zawiązany w pasie szarej prostej sukienki z kapturem powiedział mi, że jest służącą. W dłoniach trzymała elegancką srebrną tacę zastawioną czymś, od czego w całym pokoju zapachniało smakowicie.

– Przyniosłam trochę jedzenia, w razie gdybyś była głodna.

„Głodna” nie było odpowiednim określeniem. Bardziej pasowałoby „wygłodniała”. Może stanowiło to efekt wypitej przeze mnie herbatki, ale uświadomiłam sobie, że od dawna nic nie jadłam.

– Umieram z głodu. Dziękuję ci. Jestem Farryn.

Opuściła głowę i tylko zerkała w moją stronę kątem oka, wyraźnie starając się nie patrzeć na mnie bezpośrednio, gdy rozstawiała naczynia na pobliskim stoliku.

– Aurelia.

– Zaczekaj, pozwól, że ci pomogę. – Ruszyłam ku niej, a ona odskoczyła, potrącając miseczkę czegoś wyglądającego jak krem budyniowy; naczynie rozbiło się z brzękiem o podłogę, rozchlapując zawartość.

– Och, bardzo przepraszam. – Chwyciła jedną z serwetek, które przyniosła wraz z posiłkiem, i przykucnęła, żeby posprzątać.

Gdy sięgnęłam po pękniętą miseczkę, służąca zerwała się na nogi i przesunęła o krok bliżej drzwi, opierając obie dłonie na niewielkiej wypukłości brzucha.

Była w ciąży.

Zmarszczywszy czoło, wpatrywałam się w nią, zauważając drżenie warg i strach w jej oczach.

Przeze mnie?

– To zgrubienie na twoim czole... jest zaraźliwe? – spytała.

Machinalnie dotknęłam dłonią linii włosów, przypominając sobie o oczywistym źródle jej niepokoju.

– Nie. Uderzyłam się, to wszystko.

– Inne dziewczęta nie chciały przynieść tu jedzenia. Wszystkie uważają, że masz bullio. Zatem to ja zostałam wybrana. Nie przeszkadza mi to, po prostu nie chcę, żeby mojemu dziecku stała się krzywda.

– Zapewniam cię, że to nieszkodliwe.

– Próbowałam dobrze jadać i ćwiczyć, ile tylko mogłam. Nie mogę sobie pozwolić, żeby zachorować. I nie chcę, żeby dziecko wyglądało... To znaczy, po prostu chcę zachować ostrożność, dopóki tu jestem. Powiadają, że bullio może zabić dziecko, gdy się rodzi.

– Bullio?

– To okropna przypadłość. Towarzyszą jej straszliwe rany i bolesne deformacje.
– Och, wiem, że guz wygląda kiepsko, ale nie jest niczym więcej. To po prostu guz. Czy... zamierzasz opuścić to miejsce? – zapytałam, starając się ocenić, czy była jedną z tych wspomnianych przez Xhiphiasa osób, które nie mogły odejść. W skrócie: człowiekiem.

– Och, tak. Stygijskie Wodospady to najdziwniejsze miejsce, w jakim byłam. Oczywiście to opinia kogoś, kto mieszkał dawniej w klasztorze. – Zmierzyła mnie od góry do dołu powątpiewającym spojrzeniem. – Dlaczego tu jesteś?

– Zgubiłam się w lesie. Anya mnie znalazła.

– Uciekłaś od swojego Porywacza?

Porywacza?

– Nie. Szukam kogoś. Kogoś, kogo spodziewałam się tu zastać.

– Kogo?

– Mojego ojca. – Wyciągnęłam medalion zza kołnierza i otworzyłam go, zauważając, że w jej oczach pojawiło się zaintrygowanie. – Widziałas go?

– Nie. Twój ojciec jest tutaj? Zatem może nam pomóc. Może zaprowadzić nas z powrotem do domu!

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że nie wiedziała, iż znalazła się w zupełnie innym świecie.

– Jak tu przybyłaś? Do Stygijskich Wodospadów?

– Nie wiem do końca. Rozwieszałam pranie na dziedzińcu wraz z Marią. Moją przyjaciółką. – Uśmiech, który błysnął na jej twarzy, szybko zgasł. – Ktoś chwycił mnie od tyłu. Poczułam okropny ból z tyłu głowy. – Uniosła dłoń do potylicy, zupełnie jakby źródło cierpienia nie ustąpiło. – Gdy się obudziłam, byłam tutaj. – Smutek zawirował w jej oczach. – Wydawało mi się, że śnię. Że to niekończący się sen. Ale nigdy się nie obudziłam. Nigdy nie wróciłam do domu.

– A dziecko?

– Mężczyzna, który mnie uprowadził... Cóż, jestem pewna, że to jego.

Nigdy dotąd nikt mnie nie porwał, ale coś w jej słowach wydawało mi się nie tak. Może w grę wchodził syndrom sztokholmski, ale dziewczyna powinna być chyba bardziej niestabilna umysłowo. Wstrząśnięta.

– Van Croixa?

– Nie. Pan Van Croix nieszczególnie za mną przepada. Tak naprawdę to nigdy nawet z nim nie rozmawiałam.

– Jak uciekłaś tamtemu mężczyźnie? Temu, który cię porwał?

– Jeśli mam być szczerą, to nie wiem. Obudziłam się w lesie i błąkałam po nim, aż dotarłam do bramy posiadłości Van Croixa. Od tamtej chwili tu przebywam. Nie sądzę, żeby pan Van Croix zbytnio cenił sobie moją obecność.

– Brzmi na osobliwego.

– Inne dziewczęta wydają się bardzo go lubić. Jest przystojny, jak na starszego mężczyznę. A skoro o tym mowa, czy wiesz, gdzie przebywa twój ojciec? Istnieje jakiś sposób, żeby się z nim skontaktować? Pan Van Croix niewątpliwie okazał sporą łaskę, że pozwolił mi tu zostać i pracować. Dziewczyny o mojej pozycji raczej nie radzą sobie tutaj zbyt dobrze. Muszę jednak wrócić do domu, do matki. Podejrzewam, że zamartwia się o mnie.

– Mówiłaś, że straciłaś przytomność i obudziłaś się tutaj? Spadłaś?

Być może z budynku?

– Spadłam? – powtórzyła z wyraźną dezorientacją na twarzy. – Poczułam się naprawdę źle. Bardzo. Byłam pewna, że umrę, tak bardzo bolał mnie brzuch. I nie mogłam oddychać. Powietrze... – Odwróciła wzrok, zmarszczyła czoło i dotknęła gardła. – Jakbym nie mogła zaczerpnąć tchu.

Jak na kogoś, kto rzekomo zapomniał szczegóły swojego życia, o czym przestrzegał Xhiphias, dziewczyna wydawała się zaskakująco dobrze pamiętać, co jej się stało. Tym bardziej ciekawiło mnie, jak się tu znalazła.

– Nie... nie wiesz, co to za miejsce?

Jej brwi uniosły się w wyrazie zdumienia.

– Katedra?

Zdecydowanie nie wiedziała, a ja nie miałam serca przekazać jej prawdy. Co właściwie działo się z urodzonymi tutaj dziećmi? Umierały? Otrzymywały szansę, żeby wrócić?

– Czy ktoś cię tu skrzywdził?

– Och, nie. Zupełnie nie. – Uśmiechając się, znów dotknęła gardła. – To miejsce jest chyba w porządku, ale chcę już do domu. Od tak dawna nie spałam dobrze. I mam wrażenie, że cały czas coś słyszę. Ty też to w końcu usłyszysz. Chyba że twój ojciec zdoła nas stąd wydostać.

– Nie wiem, gdzie jest mój ojciec. Mam nadzieję go znaleźć.

– Nie możesz odejść. Nie pozwolą ci. – Skinęła w kierunku okna i przeszła przez pokój, a ja ruszyłam za nią. – Te psy strzegą podwórza. Na zewnątrz wolno nam wychodzić tylko w określone miejsca, a jeśli zabrnjemy dalej, psy nas znajdą.

– Jesteś tu uwięziona?

– Cóż, tak właściwie to nie mówią, że nas więżą. Twierdzą, że w każdej chwili możemy odejść. Ale powtarzają też, że za tymi bramami jest coś niebezpiecznego. Że czekają na nas groźne istoty. – Z uśmiechem wyrażającym nadzieję ponownie dotknęła brzucha. – Ale ja, ty i mała Miriam znajdziemy drogę wyjścia. Musimy po prostu okazać cierpliwość. Wydostaniemy się. Wrócimy do domu. Tylko bądź cierpliwa.

Po drugiej stronie trawnika grządka kwiatów jaśniała tak mocno w kontraście z nocnym niebem, że w jakiś sposób przyćmiewały księżyc.

– Co to jest? – spytałam, zaintrygowana ich blaskiem.

– Inni powiadają, że gdy umiera tu biedna dusza, w jej miejsce wyrasta kwiat. Czy to nie dziwne? Tyle tu mają przesądów.

Zastanawiałam się, czy są to te kwiaty, które Xhiphias polecił mi zebrać. Jeśli tak, to na pewno nie będzie dla mnie wielkim wysiłkiem zdobyć bilet do domu.

– Jest ich tak wiele.

– Słyszałam, że kwitną wiecznie.

– Wiecznie? Co się dzieje, jeśli zerwać jeden z nich?

– Nie wiem. Nikt ich nie zrywa. Wszyscy tu uważają, że byłoby to zgubne. – Wciąż wyglądając przez okno, prychnęła. – I widzisz, o czym mówię? Przesądów w bród.

– Ale są piękne.

– Muszę już iść. Jeśli nie wrócę szybko, pewnie puszcza za mną ogary. Miło było spotkać kogoś... normalnego. Jeśli dowiesz się czegoś o swoim ojcu, proszę, powiedz mi, dobrze?

– Dobrze.

– Zatem miłego wieczoru. – Uśmiechnęła się i wymknęła z pokoju, po czym zamknęła za sobą drzwi.

Baron

Przeszłość

Wyjątkowo duży czarny ptak przeleciał nad około dwudziestką gości, którzy zasiedli wokół dwóch długich stołów jadalnych, by celebrować wigilię Wszystkich Świętych. Przysiadł na ramieniu barona, który piorunował Drystana wzrokiem. Młody lord dowiedział się, że podły chłopiec do bicia poinformował biskupa Venable o jego leśnej schadzce z Lustiną, i krew zagotowała mu się na myśl o tym, jak dziewczyna mogła zostać za to ukarana.

– Proszę, odeślij tego ptaka z sali jadalnej, chłopcze. To nie miejsce dla dzikich zwierząt. – Policzek lorda Praeceptii drgał w tiku, gdy ten mówił przez zaciśnięte zęby, co jedynie podsycalo rozbawienie barona.

– Gdyby to było prawdą, ojcze, to przypuszczam, że powinniśmy wyrzucić połowę naszych gości na zewnątrz. – Oczywiście nikt nie mógł go dosłyszeć przez bełkoczące głosy wypełniające pomieszczenie, ale twarz ojca mimo to poczerwieniała z wściekłości.

– Nie zawstydzaj mnie. – Starszy z mężczyzn mówił cicho, tonem, który każdemu innemu mógłby wydawać się groźny, zważywszy jego pozycję. – Dopilnuję, żebyś...

– Żebym co?

Ojciec rozparł się w fotelu z tym irytującym szyderczym uśmieszkiem, który baron tak często miał ochotę zedrzeć mu z twarzy.

– Słyszałem, że tego popołudnia znalazłeś się w nieco wstydlivej sytuacji z tamtą młodą kościelną kurewką. Wygląda na to, że spotkała ją dość bolesna kara.

Baron zacisnął palce na poręczach fotela, a ptak na jego ramieniu zatrzepotał skrzydłami, jakby wyczuł w nim napięcie. Pomimo przepełniającej go wściekłości młodzieniec przybrał bardziej rozluźnioną pozycję i uśmiechnął się.

– Czy to nie stąd wziął się mój kuzyn, ojcze? Z tego, że ganiałeś swoją skurwioną siostrę po lesie?

Lord Praeceptia grzmotnął pięścią w stół, a jego twarz stała się równie czerwona jak wino w jego kielichu.

– Każę cię obwiesić i ukrzyżować za takie bluźnierstwa, chłopcze!

Tylko że to nie było żadne bluźnierstwo. Baron widział wielokrotnie na własne oczy, jak ojciec urządzał sobie miłosne schadzki ze swoją siostrą.

Goście skierowali na niego uwagę, dziwili się i poszeptywali między sobą.

– Uważaj. – Baron spojrział w stronę stropu, zupełnie jakby coś tam było. Nachylił się i obniżył głos, choć tylko po to, żeby nie wzbudzić paniki swoimi słowami. – Nigdy nie wiadomo, kiedy znikąd może spotkać kogoś nieszczęście.

– Jesteś wynaturzeniem! – wyszeptał głośno ojciec. – Absolutną hańbą!

– A ty jesteś słaby. Słaby i żalorny. Nic dziwnego, że nigdy nie zdołałeś naprawdę zdobyć miłości mojej matki.

Ciało mężczyzny zatrzęsło się ze złości.

– Tohyll! Natychmiast sprowadzić mi Tohylla!

– Jeśli chcesz mi dać nauczkę, ojcze, być może pozwolisz, żebym sam wymierzył karę Drystanowi.

Tłum ucichł i wszystkie oczy skierowały się na nich, co, jak baron wiedział, jedynie rozjątrzy jeszcze bardziej poczucie upokorzenia i złość ojca.

Lord Praeceptia wpatrywał się w syna zmrużonymi oczyma, wyraźnie zgrzytając zębami, o czym

świadczyła przesuwająca się żuchwa.

– Tak, być może powinieneś osobiście wymierzyć karę i odebrać nauczkę, jak sam mówisz.

Baron wiedział aż nazbyt dobrze, że wszelki ból, jaki zada Drystanowi, powróci do niego po dziesięciokroć podczas ich następnego spotkania w kościelnej krypcie. Niemniej będzie warto. Będzie warto upokorzyć kuzyna i zmusić go do uległości przed tłumem gapiów. Za Lustinę.

Dwóch strażników zgarnęło Drystana siedzącego naprzeciwko barona i przeprowadziło na środek sali. Wśród zachowujących ciszę zebranych zbrojni napaarli na ramiona chłopaka, zmuszając go, by uklęknął. Mroczne, pogardliwe spojrzenie Drystana skupiało się na jego ciemności, co jedynie zachwycało barona. Gdy jeden ze strażników próbował zdjąć mu koszulę, Drystan odtrącił jego dłoń i sam rozpiął guziki.

Baron obserwował to z wielkim rozbawieniem i satysfakcją. Wstał powoli z fotela, przez co ptak poderwał się do lotu, po czym przeszedł na środek. Krążył wokół kuzyna, założywszy dłonie za plecami, i wpatrywał się w żalosego donosiciela.

Drystan zacisnął zęby i ściągnął wargi w wąską linię. Niewątpliwie wyobrażał sobie, jaki ból później zada mu w zamian, ale barona to nie obchodziło. Zamierzał wymierzyć stosowną karę za cierpienie Lustiny.

Jericho

Kłęcząc na parapecie opuszczonego budynku, rozglądałem się po zaułku oświetlonym jedynie migoczącymi latarniami gazowymi z głównej ulicy. Czarny kruk przysiadł mi na ramieniu, pupil, którego czule nazywałem Upek, co było skrótem od upierdliwy dupek. Naprawdę miał na imię Sznyt z powodu blizny znaczącej miejsce po strzale, która kiedyś go przebiła. W Nocnym Cieniu ptaki służyły jako szpiedzy przekazujący informacje swoim panom, a Sznyt był wielce lojalny, jako że łączyła nas vinculum – rodzaj więzi pozwalającej mi porozumiewać się mentalnie z ptakiem.

Rzadko się zdarzało, żebym opuszczał katedrę i zapuszczał się do pobliskiego miasteczka, ale tak się złożyło, że szemrany kapuś, z którym miałem się spotkać, nie ufał mi na tyle, żeby zgodzić się na spotkanie w bardziej odosobnionym miejscu. Gdy czekałem na swojego informatora, moją uwagę zajęło coś, przed czym ostrzegł mnie Sznyt – mężczyzna w średnim wieku, z tego, co widziałem, liczący około metra osiemdziesięciu wzrostu, który uderzał kamieniem w czaszkę chłopca. Rozpoznałem niebieskie sznurówki buta leżącego obok na ziemi – należał do młodzika z targowiska. Miecz, który odebrałem tamtego dnia, trzymałem na rękach, wpatrując się w makabryczną scenę rozgrywającą się w cieniach przy zaszczurzonych śmietnikach na mokrym bruku ulicy. Zdjęte spodnie chłopca i krew pomiędzy jego bladymi udami sugerowały, że przed zabójstwem został brutalnie zgwałcony, co stanowiło nieszczęśliwie częsty przypadek w Nocnym Cieniu.

Padł ostatni cios i mężczyzna przysiadł na piętach, oddychając głęboko.

Przybyłem zbyt późno, żeby interweniować w kwestii młodzika, ale noc była jeszcze młoda, a ból w żołądku mówił mi, że wciąż mam przed sobą mnóstwo możliwości.

Zeskoczyłem ze swojej grzędy, chwytając powietrze w skrzydła, i wylądowałem bez choćby szmeru na kamiennej nawierzchni. Cichymi krokami podszedłem do mężczyzny od tyłu. Drapieżna natura mojego rodzaju niemal aż nadto ułatwiała takie spotkania i zanim zabójca zdążył się do mnie obrócić, ruchem szybkim jak błyskawica podniosłem go z ziemi i jedną ręką przycisnęłam do ceglanej ściany, nawet nie ruszając mieczem wciąż tkwiącym w mojej drugiej dłoni.

Mężczyzna poderwał palce do gardła, a jego ognistobursztynowe oczy wybałuszyły się w strachu.

Cambion.

Zawsze cuchnęli najgorszymi rodzajami grzechu.

– Z... z... zaczekaj. P-p-roszę. – Niewiele rzeczy na tym świecie mogło przerazić kogoś półkrwi, ale ktoś, komu od dawna przypisywano reputację Śmierci, niezmiennie wzbudzał pewną panikę. I zważywszy na wibracje mojego głodu, drżącego lekko niczym pajęczna sieć, półkrwiak zdecydowanie obawiał się swojego końca. – To był wypadek.

– W moich oczach wyglądało to na paskudnie celowe działanie.

– Nie chciałem go zabić.

Większość osób w Nocnym Cieniu dałaby spokój i wykorzystała okazję, żeby pożywić się dwiema duszami. W końcu gdy w tym miejscu umierał człowiek, jego dusza pozostawała tu uwięziona.

Tak się składało, że byłem mniej impulsywny niż większość.

Zamknąłem oczy i zacząłem czytać w przeszłości mężczyzny jak w podniszczonej książce o pozaginanych rogach.

Dorastał w dzieciństwie w gospodarstwie. Matka i ojczym bili go, starając się zmienić go w uległego młodzieńca. Oczywiście bezskutecznie. Katolicka szkoła. Tortury i gwałty ze strony personelu. Uwięzienie. Kolejne gwałty.

Zanim został uznany za dorosłego, zdążył już zostać wykorzystany przez niezliczonych mężczyzn i sam z kolei polował na młodych chłopców, takich jak ten, który wykrwawiał się właśnie z tyłu.

– Jakże to szlachetne zabić tak młode dziecko – powiedziałem, otwierając oko.

Mężczyźnie drgała warga, a w jego wnętrzu kipiała wściekłość.

– Być może ujrzałeś w nim siebie? – sztychłem. – Ofiarę, którą byłeś. Bezradną i pozbawioną nadziei.

Proszącą o litość.

Łzy załśniły w jego oczach; gdyby nienawiść mogła być tkwiącą w nim bombą, pozostawałoby zaledwie kwestią sekund, zanim by eksplodował. Oczywiście, zważywszy okoliczności, nie odważył się wypowiedzieć choć słowa.

– Skończ już z tym. Jeśli zamierzasz mnie pochłonąć, zrób to.

Z głową przekrzywioną na bok przyglądałem się rezygnacji w jego oczach. Jakże pragnąłem się pożywić. Posmakować na języku gorzką determinację.

– Zamierzam dać ci coś, czego nie otrzymałeś od dawna, panie Crane.

Cambion zmarszczył brwi, wpatrując się we mnie w osłupieniu.

– Co?

– Drugą szansę. W zamian skupisz swoje wysiłki na czymś znacznie bardziej wartościowym niż bezsilni młodzi chłopcy.

– Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz. W zamian za twoją łaskę.

– Nie jestem w stanie zapewnić ci łaski. Ale mogę cię doścignąć i sprawić, że każdy żalony moment twojego dotychczasowego życia będzie ci się wydawał jak raj.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Wrócisz do ziemskiej krainy i odnajdziesz ludzi, którzy cię skrzywdzili. Następnie zaoferujesz im tę samą bezlitosną litość, jaką dałeś tak wielu dzieciom. Od tego dnia będziesz polował na mężczyzn takich jak oni. Usuwał im języki, żeby nie mogli wyrazić skruchy. Wycinał źródło ich mocy i patrzył, jak się wykrwawiają. – Puściłem jego gardło i pogłaskałem go po włosach, przez co zasłużyłem sobie na krzywe spojrzenie cambiona. – Tak wielu, ilu zdołasz. Będziesz flectistą z Hameln, wiodącym ich do makabrycznego końca. – Bezmyślny głód w moim wnętrzu szarpał się, pragnąc się nasycić, ale wiedziałem, że potęga sugestii zrodzi znacznie więcej owoców.

– A jeśli mi się nie uda?

Zacisnąłem palce na jego włosach i pociągnąłem.

Zduszony okrzyk wydarł mu się z ust.

– Jeśli ci się nie uda... – nachyliłem miecz do gardła cambiona – to ja poufam się twoimi wrzaskami.

A gdy skończę, pošlę cię szybko do Ex Nihilo.

Półkrwiak wybałuszył oczy.

– Do bezkresnej pustki... – zaskomlił.

– Te dzieci nic ci nie dają. Nie pozwól, by kierowały tobą błahe i bezużyteczne żądze. Zabijanie ludzi, którzy cię skrzywdzili, przywróci ci moc.

– Obiecuję, że cię nie zawiodę, panie.

– Nie jestem twoim panem. Ale jeśli zawiedziesz, będę twoim katem.

– Znajdę ich. Wszystkich. I sprawię, że będą cierpieć. Dla ciebie.

– I nie tkniesz już żadnego chłopca. Nasycisz swoje pragnienie mordy tymi, którzy bardziej na to zasługują.

– Masz moje słowo.

– Twoje słowo jest bezwartościowe, chyba że zostanie wytrawione krwią. – Oстрым czubkiem broni wryłem swój osobisty sigil w ciele cambiona. Smolista, czarna krew wysączyła się z rany i zastygła wokół znaku. Jeśli go przywołam, cambion nie zdoła nic na to poradzić i będzie musiał wrócić do mnie, co najwyraźniej przerażało półkrwiaka, gdy ze strachem w oczach wpatrywał się w ranę. – Będę się do ciebie odzywał, panie Crane.

Jedno mocne pchnięcie posłało cambiona w tył, aż potknął się o własne stopy. Zerwał się biegiem i zniknął w głębi zaułka.

Nie kierowałem się litością, gdy go wypuszczałem. Ta resztką miłosierdzia, która we mnie została, już

dawno temu uschła, zostawiając po sobie jedynie chłodną, nieczułą pustkę. Byłem oportunistą. Moc sugestii nasyciła mój głód, a żerowanie na pedofilach oznaczało, że mniej młodych chłopców trafiało do Nocnego Cienia. Do miejsca przeznaczonego dla tych, którzy w nic nie wierzyli.

Obróciłem się tam, gdzie jeszcze przed chwilą leżał chłopak. Została po nim jedynie charakterystyczna jaskrawoczerwona krew ludzkiego dziecka. Reszta zostanie na wieczność uwięziona w Nocnym Cieniu.

Jaka szkoda, że młodzi i niewinni tak bardzo obawiali się światła, iż kryli się w mroku Czyśćca.

Gdy ruszyłem w kierunku wylotu zaułka, poczułem mrowienie nerwów. Obróciłem się w tej samej chwili, gdy pazurzasta łapa wyłaniała się z cieni. Za nią wychylił się łysy czubek głowy stworzenia, a długi, węzowy język polizał krew na ziemi. Grzbiet istoty wygiął się w nienaturalnym łuku, a na skórze pokrywającej jej ciało widniały ciemne plamy rozkładu.

Nigdy nie widziałem żadnego z tak bliska. Po Nocnym Cieniu krążyły pogłoski opisujące te stworzenia jako zwierzęta, ale nie dało się zaprzeczyć, że pod wszystkimi deformacjami kryła się wyraźnie humanoidalna sylwetka, choć istota niewątpliwie nie była człowiekiem.

W całej krainie donoszono o kończących się tragicznie atakach. Opisywano potwory żerujące nie tylko na ludziach i cambionach, ale również na Upadłych.

Takie już moje szczęście, że natknąłem się na jednego z nich.

Poprawiłem chwyt na mieczu i podszedłem powoli bliżej, uważając, żeby nie przeszkodzić mu w jedzeniu. Uniosłem broń do zamachu, którym chciałem pozbawić go głowy. Gdy drgnąłem, stwór zasyczał i przemknął obok mnie w przebłysku szarości. Poczułem gwałtowne pieczenie na boku i stęknąłem. Gdy się obróciłem, ujrzałem, że z mojej kurtki zostały strzępy w miejscu, gdzie trzy ślady po pazurach biegły równolegle wzdłuż mojego brzucha. Krew sączyła się z ran, więc położyłem tam dłoń, pomrukując. Obróciłem się i zorientowałem, że istoty już nie ma.

Zamiast tego w moją stronę kuśtykał ktoś inny, zgarbiony z powodu poważnej deformacji, która wykrzywiła mu kręgosłup. Wyraźny znak, że urodził się z bullio. W całym Nocnym Cieniu takich jak on znano jako Intortui, a oprócz powykręcanego wyglądu, który zwykle odstraszał wieśniaków, byli także znani ze zdolności spoglądania w przyszłość.

– Pan Jericho? – wychrypiął Intortui, dalej utykając ku mnie.

– Jesteś Tartys?

– Tak. – Ponieważ seplenił z powodu krzywej żuchwy i zębów, wypowiadał się powoli i z wysiłkiem. – Rozumiem, że kogoś szukasz.

Zamiast odpowiedzieć, przyglądałem się groteskowym deformacjom mężczyzny, z powodu których w Nocnym Cieniu uważano go za potwora.

– Virgila.

Na brzmienie tego imienia warknąłem. Virgil był jednym z dwóch upadłych aniołów, które zdołały mi uciec, gdy szukałem zemsty na torturujących mnie przed laty.

– Co wiesz na ten temat?

– Pozostaje bliskim znajomym mojego pana Barchiela. Podśluchałem, jak się chwalił rzeczami, które ci zrobili...

Przycisnąłem mu miecz do gardła i dostrzegłem błysk w oku Tartysa.

– Uważaj – ostrzegłem.

– To nie z braku szacunku. Niczego nie chciałem bardziej, niż patrzeć, jak on umiera.

– A czemuż to?

– Mój pan pozwala mu szydzić ze mnie i dręczyć.

– Nie jestem tu po to, żeby dokonać za ciebie zemsty.

– Oczywiście, że nie. Tak tylko mówię. Wielce skorzystałbym na jego nieobecności. – Spuścił wzrok na miecz wciąż tkwiący przy jego gardle. – Pytanie brzmi... co byś był gotów dać za tę informację?

Stęknąłem i opuściłem klingę.

– A czego chcesz?

Na chwilę odwrócił spojrzenie, jakby wahał się powiedzieć.

– Kobiecej towarzyszki. Na jedną noc. Od czasów matki nie zaznałam miękkości kobiety. Mój pan odmawia mi tej przysługi.

– Obawiam się, że nie zabrałem żadnej ze sobą.

- Nie wymagam zapłaty od razu, jeśli tylko się zgodzisz.
 - Zgadzam się. – Gdzie, u diabła, znajdę kobietę pragnącą go zabawić, pozostawało tajemnicą. Zajmę się jej rozwikłaniem później.
 - W porządku. A teraz ci powiem. Mój pan zaplanował za dwa tygodnie Bal Żęcia Dusz. Ujawni na nim pomysł, nad którym pracował.
 - Jaki pomysł?
 - Nie znam szczegółów, ale mogę cię zapewnić, że owej nocy Virgil będzie obecny. Dopilnuję, żebyś znalazł się na liście gości.
 - W jaki sposób? Większość tutaj nieszczególnie przepada za nazwiskiem Van Croix.
 - A najbardziej mój pan. Właśnie dlatego zamierzam dopisać cię już po tym, jak przejrzy ostateczną listę. Będzie to bal kostiumowy, możesz więc skrywać się za maską. Wpiszę cię pod imieniem Havenash.
 - A Virgil?
 - Na pewno nawet w kostiumie rozpoznasz kogoś, kto niemal cię zabił. Proszę, żebyś przyprowadził kobietę, jako że oczekuje się, iż każdemu gościowi będzie towarzyszyć niewolnik.
 - W jakim celu mają towarzyszyć?
 - Nie jestem pewien. Mój pan poprosił, żeby każdy gość kogoś przyprowadził. Owej nocy zabiorę ją do mojej komnaty, ale obiecuję, że później odejdziesz z tobą. Jeśli nie spełnisz mojego życzenia, zdemaskuję cię oraz twoje zamiary, a wtedy stracisz przewagę anonimowości.
- Zachichotałem, rozbawiony tym, że ma czelność mi grozić.
- Ojej, ależ ty podstępny.
- Nawet po tak śmiałych słowach spuścił przede mną wzrok.
- Wolę mówić, że jestem ambitny.
 - W porządku. Dopisz mnie do tej listy, a ja w dobrej wierze przyprowadzę ci kobietę.

Farryn

Dźwięki dotarły do mrocznej pustki. Otworzyłam oczy i ujrzałam pokój oświetlony jedynie księżycowym blaskiem wlewającym się przez przejrzyste firanki. Ból zapulsował mi w głowie i skrzywiłam się, pocierając obolałe miejsce. Po pochłonięciu chleba i przepysznego gulaszu, którego składników nie rozpoznawałam, nalałam sobie kieliszek przyniesionego z posiłkiem wina w nadziei, że alkohol pomoże mi uspokoić nerwy. W efekcie zasnęłam.

Wciąż jeszcze dezorientowana, rozglądałam się po nieznanym otoczeniu: czarnej pościeli z gniesionego aksamitu, szezlongu, szafie, z której pożyczyłam sobie koszulę nocną, dłuższą i elegantszą niż wszystko, w czym dotąd sypiałam. Anya zabrała moje ubranie, żeby je wyprać i wysuszyć po tym, jak przemokło w deszczu, wyglądało zatem na to, że muszę nosić koszulę, zanim kobieta do mnie wróci.

Rzut oka na niezwykle kominkowy zegar ze złoconego metalu stojący na stoliku nocnym pokazał mi, że jest pół godziny po północy. Dziwne, małe gargulce przycupnięte po obu stronach tarczy zegarowej straszły mnie przez większość wieczoru.

Zza drzwi dobiegały dalsze dziwne dźwięki.

Ostrożnie wygrzebałam się z łóżka i cicho podreptałam przez pokój, by zatrzymać się przed progiem. Rozzłoszczony męski głos. Skrzywienie starego drewna. Ostry trzask. Gdy uchyliłam minimalnie skrzydło, dostrzegłam wielką, ciemną postać, której nie rozpoznawałam. Na pewno był to groźnie wyglądający mężczyzna. Podszedł bliżej w stronę mojej komnaty, a gdy stanął w promieniu świecącej lampy, w miejscu przecięcia dwóch korytarzy, dostrzegłam go wyraźniej.

Dobrze zbudowane ciało zdradzające młodość, dojrzałość w twarzy, która lokowała go przed czterdziestką. Włosy czarne jak atrament, atrakcyjnie zmierzwione od przodu, lekko kręcone i zebrane na karku. Na prawym oku nosił czarną opaskę, której paski przecinały mu czoło i policzek, dostrzegałam też cienkie linie blizn wystających spod i powyżej niej. Drugie oko miało barwę uderzającego błękitu kojarzącego mi się z zimowym lodem, świecące pod brwią zmarszczoną z rozdrażnienia. Był eterycznie przystojny i miał potężną, dominującą aurę, pod którą kryła się wybuchowość przywodząca mi na myśl rozzłoszczonego borsuka wyciągniętego z nory.

Z tego, co o nim słyszałam, byłam pewna, że mam przed sobą Van Croixa. Sprawiając wrażenie, jakby pogrążył się w zamyśleniu, obrócił się do drugiego korytarza, jakby nie mógł zdecydować, czy wrócić, skąd przyszedł, jednak zaraz potem ruszył w moją stronę, zaciskając pięści.

Wysoki i barczysty, kroczył z gładkim, królewskim wdziękiem, ubrany w jedwabne czarne spodnie i pasującą do nich czarną szatę, sunącą za nim niczym peleryna. Odslonięty brzuch ukazywał idealnie wyrzeźbione mięśnie lśniące tak, jakby były wilgotne od potu. Głębokie wyżłobienie poniżej jego piersi również błyszczało, jakby właśnie przebiegł kilometr w swojej sypialni. Błysk przyciągnął mój wzrok do srebrzystych zawijasów tatuaży, kojarzących się z trybalami, ale bardziej zawiłych, na jego piersi i brzuchu. Dziwne.

Nigdy dotąd nie widziałam srebrnych tatuaży.

Było w nim coś, co wydawało mi się mgliście znajome. Widziałam go już wcześniej, choć nie potrafiłam określić gdzie. Przytłaczające wrażenie déjà vu sprawiło, że wgapiałam się w niego dłużej, niż powinnam.

Potań skroń, a gdy zbliżył się do mojego pokoju, przywarłam płasko do drzwi. Dźwięk jego kroków uciął na chwilę. Z sercem dudniącym w piersi ledwo ważyłam się odetchnąć, zmysły mówiły mi, że jest po drugiej stronie. Mijały kolejne sekundy, a we mnie narastało mroczne, dziwaczne napięcie, od którego włoski na skórze stawały mi dęba. Choć wiedziałam, że w katedrze znajdują się inni, nagle poczułam się, jakbym została z nim zupełnie sama.

Czekałam, aż wejdzie do mojej komnaty i zorientuje się, że tu jestem. Musiałam przypominać sobie, że zaproszono mnie, bym została w katedrze. Nie zrobił tego on, ale przecież nie włamałam się do jego domu. Niemniej z jakiegoś powodu czułam się jak przestępczyni.

Mijały kolejne sekundy.

– Panie Van Croix, jakie to szczęście, że pan nie śpi! – Znajomy głos Anyi przerwał ciszę, a ja wykorzystałam tę chwilę, żeby zaczerpnąć tchu. Miałam rację co do jego tożsamości. – Mam dobre wieści.

– O co chodzi? – W jego tonie słychać było nutę irytacji, jednak głos również wydał mi się znajomy. Zaintrygował mnie.

– Wcześniejszym wieczorem znalazłam opiekuna dla psów. Wygląda na to, że dobrze dostosowuje się do nowych kwater mieszkalnych, jak mówi Garic.

– Świetnie. Jakiś pomysł, dlaczego ta sypialnia jest otwarta?

Ściągnęłam wargi i zacisnęłam powieki.

– Nie jestem pewna, panie. Być może któraś z dziewcząt nie zamknęła jej po popołudniowym sprzątaniu.

– Gdy wróciłem, była zamknięta.

Nie widziałam jego twarzy, ale ucinał ostro słowa w sposób świadczący o zniecierpliwieniu.

– Trudno mi stwierdzić, panie. Przykro mi. – Nastąpiła krótka cisza, po czym usłyszałam, jak Anya pyta: – Czy dobrze się czujesz, panie? Wydajesz się nieswój.

– W powietrzu unosi się dziwny zapach. Jakby... obrzydliwy.

Subtelny ruchem, żeby nie zwracać na siebie uwagi, uniosłam ramię, żeby się obwąchać, lecz nie wyczułam nic dziwnego oprócz resztek dezodorantu, którego użyłam rano.

– Nie zauważyłam niczego niezwykłego. Może to perfumy jednej z dziewcząt?

Gdy zaczerpywałam kolejnego oddechu, powierzchnia za mną nagle zniknęła – zatrzaśnięto drzwi i straciłam panowanie nad nogami. Padłam na drzwi w tej samej chwili, gdy się zamykały, i przycisnęłam dłoń do ust, zmuszając mięśnie do zupełnego bezruchu.

– Dopilnuję, żeby cały czas pozostawały zamknięte. – Choć był stłumiony przez drewno, w głosie Anyi wyraźnie słychać było zirytowanie.

Po długiej chwili milczenia po drugiej stronie na powrót rozległy się kroki. Znow odetchnęłam i zamknęłam oczy, opierając czoło o drzwi.

To było mocne.



Matowe, szare światło zachmurzonego nieba przesączało się przez firanki, gdy obudziłam się ze snu. Żar zanikającego majaku utrzymywał się na odległych obrzeżach, gdy powoli ogarniała mnie świadomość zastępująca bezkresną pustkę niespokojnego snu. Przez większość nocy każdy dźwięk i skrzypnięcie od razu mnie budziły, a gdy w końcu odpływałam, trafiałam w szalencze, intensywne wizje szarpiące mną niczym dłoń wylaniające się z bezdennej głębi.

W porannym świetle, ponurym i pozbawionym nadziei, przywitała mnie woń starego drewna i dogłębna czystość tkaniny, którą uprano ręcznie i rozwieszono na sznurku, żeby wyschła. Skojarzyło mi się to z ciocią Nelle. W jej starej, niemodnej kuchni zawsze pachniało cytrynami, ponieważ utrzymywała, że świetnie działają na zacieki od wody w zlewie.

Podniosłam się z miękkiego materaca, dzięki któremu czułam się, jakbym leżała w chmurach. Gdyby nie niepokojące nocne odgłosy, zapewne spałabym jak dziecko. Niestety teraz czułam się równie wypoczęta jak niedosypiająca matka, co nie wróżyło dobrze w miejscu, gdzie będę potrzebowała przytomności umysłu.

Ziewnęłam i przeciągnęłam się, pozwalając, by mój umysł cofnął się do poprzedniego wieczoru – i do Van Croixa. Wszystko w nim mnie fascynowało, wywoływało w moich myślach liczne pytania, począwszy od jego podejrzanej reputacji, aż po opaskę na oku. Wciąż uważałam za dziwne, że tak szybko znalazłam katedrę i jego samego, ale kładłam to na karb tego, że miał z tym coś wspólnego Xhiphias. Wiedziałam jedynie, że muszę dowiedzieć się więcej o mężczyźnie, którego minionej nocy widziałam przed swoim pokojem. O tym, w jaki sposób mógł go poznać mój ojciec i dlaczego go szukał. Możliwe, że pomoże mi odnaleźć ojca,

przy założeniu, że wylądował on po śmierci w Nocnym Cieniu. Nie miałam jednak na to zbyt wielu nadziei, biorąc pod uwagę, czego się dowiedziałam: że polowano tutaj na ludzi.

Niemniej nie traciłam determinacji.

Ciche pukanie wyrwało mnie z rozmyślań. Napięłam mięśnie i rzuciłam się pod pościel, żeby się przykryć, akurat gdy stuknęły drzwi.

Weszła Anya, niosąc tacę ze srebrnym imbrykiem.

– Dzień dobry. – Mówiła cicho, a gdy postawiła tacę na pobliskim stoliku, pośpiesznie zamknęła drzwi. – Pomyślałam, że możesz być głodna. – Ponownie wzięła tacę i przeniosła ją na rozległą połąkę łóżka obok mnie, a gdy usiadła obok, cofnęłam się nieco z zakłopotaniem.

Uśmiechając się bez słowa, nalała czegoś, co uznałam za herbatę, do dwóch filiżanek stojących obok tostu z dżemem. Wdzięk i ostrożność, z jakimi zajmowała się naczyniami, wydawały się przesadzone, niemal karykaturalne.

– Co do zeszłej nocy, Anyu. Nie chciałam...

– Nonsens. Jak mogłabyś spać przy całym tym harmidrze?

– Harmidrze?

– Och, tak. Rury tutaj potrafią czasami robić wielki hałas! Nie obawiaj się też, jeśli świece będą czasami migotać. Zdarzają się spore przeciągi. Chłód aż wciska się w kości. – Ścisnęła się ramionami i udała, że dygocze.

Rury. To na pewno nie rury mnie obudziły.

– Dam ci się ubrać, a później zabierzemy cię tam, gdzie chcesz, żeby cię podrzucić.

Nie wiedziałam nic o tym miejscu i nie przewidywałam, że okaże się tak rozległe. Odnalezienie ojca, jeśli w ogóle tu przebywał, zapewne okaże się niemożliwe. Pytania, jakie miałam w związku z Van Croixem, oraz fakt, że być może natknęłam się na kwiaty potrzebne mi do powrotu do mojego świata, sprawiały, że niechętnie myślałam o odejściu. Nie byłam gotowa znów znaleźć się w dawnym życiu z nielicznymi odpowiedziami i zagadkami, których z każdym dniem robiło się więcej. To, czego musiałam się dowiedzieć, leżało zagrzebane w tej dziwnej katedrze. W samym Van Croixie.

– Anyu... Nie chcę się narzucać, ale... Czy sądzisz, że byłoby możliwe, abym została kilka dni więcej? Niedługo, obiecuję.

– Och, nie wiem. Pan bardzo specyficznie podchodzi do gości.

– Tak, mówiłaś o tym. Ale jeśli bym w czymś pomogła? Potrafię sprzątać, a może mogłabym gotować? – Nie byłam najlepszą kucharką, ale posiłki, które mi tu zaserwowano, nie należały do najwymyślniejszych. Z tostami i herbatą na pewno sobie poradzę.

– Jeśli chodzi o personel, wszystko w zasadzie mamy obsadzone.

– Musi istnieć coś, co mogłabym robić. Pomóc w stajniach? Przy praniu? Zmywaniu?

Zamyśliła się na chwilę, stukając długim paznokciem w skraj tacy leżącej na łóżku pomiędzy nami.

– Jak sobie radzisz z kwiatami?

– Z kwiatami?

– W ogrodach przydałaby się pomoc. Wszystko tu zwiędło na śmierć. Obawiam się, że nadchodząca zima sprawi jedynie, że wiosną już nic nie wyrośnie. Może parę cebulek ożywiłoby trochę sytuację.

– Mogę pomóc. Z chęcią. – Każdego dnia będę musiała powtarzać sobie wspomnienia z domu. O Camael, ciotce Nell i ojcu. W ten sposób będę mogła sprawdzać, czy pamięć zaczęła mnie opuszczać, a gdy już nie będę w stanie przypominać sobie twego wszystkiego, wówczas odejdę. Porzucę poszukiwania i ucieknę, dopóki mi na to pozwoli przytomność umysłu.

– Muszę to omówić z panem Van Croixem.

– Wspomniałaś, że może udałoby się z nim spotkać?

Przyłożyła palec do ust i przez moment wpatrywała się w dal.

– Wspominałam, prawda? Sama nie wiem, panienko. Pan Van Croix jest dość zajęty i rzadko się z kimś spotyka.

– Nie zajmę mu wiele czasu. Muszę tylko zadać mu kilka pytań. O mojego ojca.

– Tak, pamiętam, że o nim mówiłaś. Widzisz, gdyby wiedział, że już tu jesteś, zezłościłby się. Bardzo poważnie podchodzi do swojej prywatności. Będę musiała najpierw nasmarować płozy, że tak to ujmę.

– Pewnie. Czyli mam poczekać tutaj?

– Tak. Zaczekaj tutaj – potwierdziła przez ramię, podchodząc do szafy stojącej pod przeciwległą ścianą. – Jeśli to on znajdzie cię pierwszy, sprawy nie potoczą się na twoją korzyść. I gdybyś rzeczywiście z nim rozmawiała, zalecam, żebyś nie nawiązywała z nim kontaktu wzrokowego. Uważa to za pewne zagrożenie. Lepiej trzymaj spuszczoną głowę. Zwłaszcza jeśli będzie wzburzony. – Wyciągnęła ze środka ubranie i podała mi. Gęstym białym futrem obszyto kaptur i mankiety szarej sukienki, która, jak oceniałam, sięgnie mi do połowy łydki. Taki sam strój widziałam u służącej. Gruba tkanina obiecywała ciepło, nawet w panującym tu bezlitosnym chłdzie, ale ja nigdy nie nosiłam sukienek. Zwłaszcza takich ze sznurowanym gorsetem. Absolutnie nigdy.

– Czy to możliwe, żebym otrzymała z powrotem swój strój?

– Przykro mi, moja droga. Nie. Taki ubiór wydaje się wszystkim kobietom pracującym w posiadłości. Prychnęłam i uniosłam odzienie wyżej.

– Po prostu rzecz w tym... że nie noszę sukienek.

– Nosisz spodnie? – Wypluła to słowo, jakby było czymś skwaśniałym.

– Po prostu wolę rzeczy, w których tu przybyłam.

Wzruszyła ramionami, marszcząc brwi.

– Cóż, za późno. Już je wyrzuciłam. Tkanina, z której je wykonano, na nic by się zdała przy tym chłdzie. Równie dobrze mogłabyś nie nosić na sobie absolutnie nic, bo tyle samo ciepła zapewniłyby ci twoje ukochane, stare stroje.

– Wyrzuciłaś moje ubrania?

– Tak. To jakiś problem?

Zacisnęłam wargi i pokręciłam głową.

– Nie. Zupełnie nie. Wygląda na to, że jednak będę nosić sukienkę.

– Wspaniale.

Farryn

Krażęłam nerwowo po pokoju w oczekiwaniu na Anyę. Obgryzałam paznokcie, czując, jak kipi we mnie nerwowość. On jest tylko osobą, przypominałam sobie. W szorstki sposób przystojnym mężczyzną, który, tak się akurat składa, ma reputację Śmierci.

Oj tam, oj tam.

Tyle że miałam wrażenie, jakby każda dezorientująca chwila mojego dzieciństwa prowadziła właśnie do tego momentu.

Przez okno dostrzegłam mężczyznę z poprzedniego wieczoru. Jespera, którego Anya wywlekła z powozu. Wślizgnął się między krzaki, jakby przed czymś się ukrywał.

Stałam tam przez chwilę, zaskoczona, obserwując, jak dygocze. W końcu zauważyłam, że jego ubranie jest poszarpane i podarte. A do tego zakrwawione?

Wielka czarna sylwetka kroczyła naprzód. Cień wyprzedzał psa, który zmierzał w kierunku kryjówki mężczyzny. Zupełnie jakby... polował na niego?

Zacisnęłam pięść u boku, chcąc walnąć w szkło i go ostrzec, ale część mnie obawiała się, że ściągnęłabym wtedy uwagę psa.

– Hej – mruknęłam, czując, jak dudni mi serce.

Obserwowałam, jak zwierzę przysuwa się bliżej, niezaprzeczalnie skoncentrowane na ukrywającym się mężczyźnie. Podniosłam dłoń, żeby zastukać, po czym zmusiłam się, żeby ją opuścić. Ale co, gdybym zapewniła mu możliwość ucieczki, jeśli odwrócę uwagę psa?

– Hej! – Walnęłam w szybę, co zaniepokoiło mężczyznę, ale nie odstraszyło podchodzącej bestii. – Hej! Jesper! W górze!

Gdy obrócił się ku mnie, wskazałam psa, szaleńczo stukając palcem w szkło.

– Jest tam. O, tam! – krzyczałam.

Przy kolejnym moim oddechu pies złapał go za nogę, a potem obserwowałam z przerażeniem, jak wywleka go z krzaków.

– Hej! – Grzmociłam mocniej w szybę, ale nijak nie zniechęcało to zwierzęcia. – Hej! Przestań! Przestań!

Mężczyzna próbował zapierać się palcami, chcąc umknąć, ale na nic się to zdawało. Krwawił tam, gdzie zęby wbiły mu się w ciało. Dźwięk jego wrzasków szarpał mi nerwy.

– Puść go! Puść!

Kolejne zerknięcie ukazało mi błagalny wyraz w oczach mężczyzny, a później jego ciało zniknęło za rogiem, ciągnięte jak szmaciana lalka.

– Zaczekaj! Nie! – Obróciłam się na pięcie i pomknęłam przez pokój w kierunku drzwi.

Otworzyły się, niemal uderzając mnie w twarz, ale zdążyłam odskoczyć, żeby uniknąć kolizji.

Cichy okrzyk wyrwał mi się z ust.

W drzwiach stała wielka, groźna postać, której przecięta blizną warga zadarta w gniewnym wyrazie mówiła mi, że jestem tu bardzo niemile widziana.

Pamiętając o ostrzeżeniu Anyi, spuściłam wzrok.

– Kim jesteś? – warknął.

Wciąż na niego nie patrząc, mówiłam w stronę podłogi, jakbym nie chciała podjudzić dzikiego zwierzęcia.

– Panie Van Croix... Ja... Anya mnie zaprosiła.

– Anya...

W tym momencie odważyłam się zerknąć spod spuszczonej brwi. Zorientowałam się, że wpatruje się

we mnie odsłoniętym okiem, i szybko odwróciłam wzrok, widząc jego niezadowolenie.

– Tam jest mężczyzna... na zewnątrz. Proszę. Chyba jeden z psów go zaatakował. Widziałam, jak zwierzę go odciąga. Myślę, że jest ranny.

– Odpowiedz na pytanie.

– Proszę, naprawdę sędzę, że ten człowiek może być w niebezpieczeństwie. Pies ciągnął go za nogę. Wyglądało to groźnie.

– Kim. Ty. Jesteś? Nie zamierzam pytać ponownie. – Uniósł nos i powęszył w powietrzu. – I ten przekłęty przez Boga zapach. Co to jest, do diabła? – Rozchylił usta, jakby woń wdarła mu się do gardła, po czym oblizwał wargi.

Zapewne skrepowałoby mnie jego komentarze, gdyby wciąż irytująco nie uchylał się od odpowiedzi.

– Dlaczego mnie ignorujesz? Mówię ci, że na zewnątrz pies zaatakował człowieka. Na moich oczach.

On potrzebuje pomocy.

Gdy czekałam, aż coś powie, cokolwiek, dostrzegłam, że zacisnął i rozprostował dłonie.

– Masz opuścić mój dom. Natychmiast.

– Nawet nie zamierzasz kazać, żeby ktoś sprawdził, co z tamtym mężczyzną?

– Nie.

Wtedy podniosłam wzrok, za nic mając ostrzeżenia.

– Nie odejdę, dopóki nie dowiem się, że nic mu nie jest.

– Zniknij stąd albo usunę cię... – Urwał w pół zdania, a furia widoczna w jego chłodnym, niebieskim spojrzeniu złagodniała do czegoś, co uznałabym za fascynację albo zaskoczenie, gdyby założyć, że jest zdolny do jednego lub drugiego. W chwili, gdy ruszył w moją stronę, cofnęłam się. – Kim jesteś? – Gniewowi słyszanemu w jego głosie towarzyszyła nuta urzeczenia, a ja jak głupia obejrzałam się przez ramię, by potwierdzić, czy pytanie jest skierowane do mnie.

Kilka sekund później w drzwiach pojawiła się Anya z oczyma wytrzeszczonymi w zdezorientowaniu. Ale w tym momencie nieszczególnie już się przejmowałam, że Van Croix odkrył moją obecność.

– Panie, zamierzałam porozmawiać z tobą o niej, ale wygląda na to, że pierwszy się na nią natknąłeś. Nie przejmuj się. Zajmę się tym. – Kobieta pstryknęła palcami i skierowała się ku mnie. – Chodź, moja droga. Szybko.

Zanim zdążyłam zaprotestować, złapała mnie pod łokieć zaskakująco silnym i stanowczym chwytem, choć próbowałam się wyrwać.

Van Croix już nic więcej nie mówił. Wpatrywał się tylko we mnie, jakby wpadł w jakiś trans.

– Mężczyzna został zaatakowany przez psy! Widziałam to przez okno!

– Oczywiście, moja droga. Wierzę ci. – Ostre szarpnięcie sprawiło, że się zatoczyłam, gdy Anya ciągnęła mnie obok Van Croixa, który z bliska wydawał się dwukrotnie większy. – Nie róbmy zamieszania.

Gdy znalazłyśmy się w korytarzu, pchnęła mnie mocno, a ja niemal przewróciłam się po raz drugi.

– Jaka jest jedna rzecz, o którą cię prosiłam? Jedna jedyna! Litości, jesteś jak niesforne dziecko!

– Sam wszedł do pokoju. Musiał usłyszeć, jak wołam do człowieka, który został zaatakowany. Możesz przynajmniej sprawdzić, czy on żyje?

Znów złapała mnie za ramię i zatrzymała, zanim dotarliśmy do klatki schodowej.

– Posłuchaj mnie, i to uważnie. Ten mężczyzna, którym tak się przejmujesz, został oskarżony o to, że zaciągnął szesnastoletnią dziewczynę do lasu i zgwałcił. – Zmarszczyła brwi i zacisnęła szczęki z wyraźną złością. – Gdyby ucierpiał w kontakcie z kłami tych stworzeń, oznaczałoby to tylko, że spotkała go sprawiedliwość. Psy potrafią rozpoznać okrutnego przestępcę.

– On... skrzywdził nastolatkę?

– Tak. Była słodkim dzieckiem.

Szesnastolatkę. Dlaczego w ogóle tu była? W takim miejscu?

– Czy tam, skąd pochodzisz, mężczyzn takich jak on traktuje się z pobłażliwością i godnością? – strofowała mnie dalej. – Tu, w Stygijskich Wodospadach, postępujemy inaczej. Jeśli zdecydujesz się zostać, sugeruję, żebyś nauczyła się naszych zwyczajów.

– Wydawało mi się, że zamierzałaś porozmawiać z Van Croixem. – Chociaż w tym momencie nie byłam już taka pewna, czy chcę tu zostać. Zapewne lepiej dla mnie byłoby, gdybym po wyjściu stąd zerwała kwiat i uznała całą tę wyprawę za szalony narkotykowy trip.

– Obawiam się, że już nic z tego. W całym Hadesie nie ma szans, żeby teraz rozważył ten pomysł. Przez ciebie będę miała szczęście, jeśli w ogóle zachowam posadę. No chodź, odprowadzę cię do bramy.

Część mnie chciała dać sobie spokój z protestami, ale co, jeśli nigdy nie przydarzy mi się następna okazja? Dlaczego miałabym pozwolić, żeby jakiś kapryśny dupek nie dopuszczał mnie do odpowiedzi, których tak desperacko poszukiwałam? Do tajemnic, na których zrozumienie mój ojciec poświęcił całe swoje życie?

– Może poleciłabyś mi jakieś miejsce, gdzie mogłabym się zatrzymać?

Anya uniosła brew i zatrzymała się na chwilę.

– Tothyll. Ma posiadłość u stóp góry. Na pewno nie zaprosi cię do środka, ale z tego, co wiem, nikogo nie odpędza. Może trafisz do stajni, ale to lepsze, niż błąkać się samotnie po lesie.

– Tothyll – powtórzyłam. – Dziękuję ci.

– Ruszaj zatem.

Jak obiecała, wyszła ze mną z katedry i poprowadziła ścieżką do bramy na krańcu terenu. Cały czas nieustannie rozglądałam się za psami, dusząc nerwowe pulsacje strachu kotłujące mi się w brzuchu.

Mniej więcej w połowie drogi obejrzałam się i zauważyłam Van Croixa wpatrującego się we mnie z okna zachodniej wieży. Jeśli dobrze oceniałam, znajdował się w pokoju, w którym spałam.

– Dlaczego on jest taki nieracjonalny i nietolerancyjny? – spytałam, gdy kroczyłyśmy kamienną dróżką.

– Przyznam, że niewiele o nim wiem. Możliwe, że zawsze taki był. Ale i tak jest znacznie lepszy niż większość tych, na których się tu natkniesz. W Stygijskich Wodospadach nie znajdziesz wielu świętych.

– Z jakiegoś powodu wydaje mi się znajomy.

– Obawiam się, że tutaj będziesz miewała takie wrażenie. Sama zorientowałam się, że często zdarzają mi się przypadki *déjà vu* w tym miej... – Zanim zdążyła dokończyć, warkot z tyłu sprawił, że dreszcz przebiegł mi po plecach. – Nie rób żadnych gwałtownych ruchów – ostrzegła Anya.

Obie obróciłyśmy się i ujrzaliśmy wszystkie trzy psy stojące ze zjeżoną sierścią i obnażonymi zębami. Pysk bestii naprzeciwko mnie plamiło coś, co uznałam za krew, i ogarnęło mnie wrażenie chłodu, dodatkowo wzmagające mdłości, które czułam już w żołądku.

– Cerber, wracaj do psiarni, zanim zawołam pana!

Ale nie poruszył się. Może był na mnie zły za wcześniej, jeśli psy w ogóle potrafią żywić urazę.

– Już! Wszystkie! Wracać! – Kobieta sięgnęła do kołnierza sukienki po gwizdek i zdusiła okrzyk. – Och, nie. Zostawiłam go w środku. Idź, Cerber! Sio! Wracajcie do domu! Do budy!

Żadna z bestii nie posłuchała jednak jej słów. Zamiast tego podeszły bliżej, tak samo jak pies, którego wcześniej obserwowałam przez okno.

– Co robimy? – Nie skupiały wzroku na Anyi. Wszystkie trzy wydawały się żywo zainteresowane mną.

– Zawsze słuchają gwizdka. Sama jestem nieco zagubiona. – Drżenie strachu w jej głosie jedynie podsyciło towarzyszącą mi grozę, a gdy kobieta obejrzała się za siebie, niewątpliwie szacując drogę ucieczki, niemal pozbyłam się śniadania. Zwłaszcza gdy zaraz dodała: – Może rozsądnie byłoby pobiec do bramy.

– Złapią mnie, zanim tam dotrę!

– Ale i tak miałabyś znacznie większe szanse, niż jeśli tu zostaniesz. Sprawdźę, czy zdołam zwrócić uwagę pana Van Croixa.

– Nie! Proszę, nie odchodź!

Psy podeszły bliżej, a ich warkot stał się wstrząsającą ścieżką dźwiękową dla spływającego mi po karku strachu. Szybki rzut oka przez ramię powiedział mi, że do bramy jest tylko kilkaset metrów. Nie czułam ani odrobiny pewności, że tam dotrę, a adrenalina zabuzowała mi w żyłach na samą myśl, że miałabym w ogóle spróbować.

Psy wydawały się robić niespokojne. Jeden z nich krążył nerwowo jak lew zamknięty w klatce, inny zaś, być może odgadując moje zamiary, przyskoczył bliżej mnie.

Krzyknęłam cicho, obróciłam się do bramy i pobiegłam najszybciej jak umiałam. Piekły mnie mięśnie. Zarejestrowałam to, nie tracąc nadziei, że być może zdołam wspiąć się po ogrodzeniu, zanim któraś z bestii zdąży schwycić mnie za nogę. Minęła zaledwie minuta, zanim coś uderzyło mnie potężnie w plecy, pozbawiając mnie tchu. Kanciasty żwir podrapał mi kolana i dłonie, gdy upadłam na ziemię, walcząc o oddech.

Trzask rozrywanej tkaniny kazał mi przeturlać się na plecy, a wtedy zorientowałam się, że jeden z psów odrywa zębami rąbek mojej sukienki. Drugi dołączył do niego i wspólnie szarpały materiał na strzępy.

Natomiast Cerber rzucił mi się na twarz. Wydałam z siebie wrzask i uniosłam rękę, żeby osłonić się przed jego zakrwawionym pyskiem. Kolejny trzask wskazał, że oderwał z łatwością rękaw.

Ten pies będzie oznaczał mój koniec. Jedno ugryzienie w tętnicę szyjną. Tyle wystarczy.

Czując, jak gardło piecze mnie z ogarniającej mnie grozy, przestałam krzyczeć i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że szamotanina ustała. Nie czułam już gwałtownych pociągnięć za sukienkę. Na pewno też żadne zęby nie wbiły mi się w ciało, chyba że zupełnie odrętwiałam.

Opuściłam rękę i zorientowałam się, że Cerber ją wacha. W miejscu, gdzie miałam znamię. Przeciągał po nim nosem w sposób, który wydawał mi się natrętny. Zupełnie jakby pachniało w specyficzny sposób.

Trzęsąc się, pozwoliłam mu kontynuować obwąchiwanie. Dopóki tylko zajmowałam w ten sposób wszystkie trzy psy, być może Anya zdąży przyprowadzić Van Croixa.

Cerber polizał znamię. Lizał je raz za razem, a gdy tuż potem ten długi, wilgotny jęzor plasnął mnie w twarz, w klatce piersiowej załomotało mi coś, co musiało być sercem szykującym się do zawału. Inne psy podeszły, jakby się zaciekawiły, ale żaden z nich nie wysforował się przed przywódcę. Obserwowały z wystarczającej odległości, żebym czuła podmuchy powietrza, gdy wachały moją skórę.

Cerber usiadł na tylnych łapach i wywalił język w bok w sposób, który uznałabym za uśmiech, gdyby pies był zdolny do czegoś podobnego. Wyglądało to jednak makabrycznie przy pokrywającej go krwi. Która niewątpliwie zaplamiła mi rękę i twarz.

Na tę myśl poczułam mdłości, ale przede wszystkim cieszyłam się, że wciąż jestem w jednym kawałku.

– Odkąd tu jestem, nigdy nie widziałam niczego podobnego. – W głosie Anyi rozbrzmiewał niezaprzeczalny podziw; gdy uniosłam głowę, zauważyłam, że nie zawołała Van Croixa.

Nie miało to tak naprawdę znaczenia. Widziałam go z miejsca, w którym leżałam. Wciąż stał w tamtym oknie, obserwując wszystko. Kim trzeba być, żeby sterczeć beczynnym i nie interweniować w podobnej sytuacji?

– Nie jestem pewna, co to oznacza – odparłam, unosząc się na łokciach.

– Ja też nie. Psy nigdy dotąd nie polubiły żadnego gościa. Aż do teraz.

– To już chyba coś.

Cerber położył się obok mnie, oparł łeb na przednich łapach i zaskomlił cicho. Zdezorientowana, uznałam to za wskazówkę i uniosłam dłoń, żeby go pogłaskać. Z początku reagował z wahaniem, ale gdy dotknęłam palcami jego karku, polizał moje odsłonięte udo.

– Ojej. To rzeczywiście coś. Chyba mogę uznać, że ujrzałam cud! – Anya wydała z siebie podekscytowany odgłos, który wydawał się nie przystawać do kobiety cały czas zachowującej się tak stosownie i poważnie. – Panno Ravenshaw, witaj w nowej pracy. Opiekunki psów.

– Co?

– To oczywiście, że są tobą oczarowane. W całej Czarnej Wodzie nie ma ani jednej duszy, której okazałyby tyle... sympatii, nie licząc pana Van Croixa. Teraz już musisz zostać.

– Nie powinnaś tego najpierw z nim omówić?

– Jeśli chce, żeby jego psy były zaopiekowane i nakarmione, nie ma wyjścia. Zaczekaj tu. Porozmawiam z nim szybko na ten temat. Oczywiście jeśli wciąż jesteś zainteresowana tym, żeby zostać.

Czy byłam zainteresowana? Czy postradałam zmysły, skoro chciałam zostać w miejscu, w którym pozwala się psom okaleczać domniemanych morderców?

– Chyba jestem.

Jericho

– **Muszę przyznać**, że nigdy nie widziałam niczego podobnego, panie. Chyba nie zaprzeczysz, że było to nieco dziwne?

Stałem przy oknie mojego gabinetu, wpatrując się w młodą kobietę, która śmiała się i bawiła z psami na frontowym dziedzińcu, jakby były szczeniakami, a nie bestiami wyszkolonymi do atakowania, gdy zobaczą intruza.

Tak, musiałem przyznać, że było to dziwne.

Jedyną osobą oprócz mnie, która potrafiła rozkazywać psom bez ryzyka napaści, był Solomon, opiekun sprzed kilku lat, który został zabity w drodze powrotnej z miasteczka. Niemniej te zwierzęta nigdy się nie bawiły i jeśli nie liczyć krótkiego czasu, kiedy były hałaśliwymi i niesfornymi szczeniakami, nigdy nie uznałbym ich za zdolne do czegoś takiego. Wyhodowano je do jednego konkretnego celu i gdy teraz patrzyłem, jak merdają ogonami i drepczą wokół kobiety jak stadko pudli, wzbudzało to we mnie fale niepokoju.

Wyglądały groteskowo.

– Niemądrze byłoby ją teraz odprawić – dodała Anya.

– Wole uznać, że nie nazwałaś mnie właśnie niemądrym. – Obróciłem się i zgasilem papierosa w popielniczce. Palenie było dla mnie jedynie sporadyczną słabostką, zarezerwowaną dla chwil, gdy coś mnie dręczyło.

Tak jak teraz ta dziwna kobieta.

– Oczywiście, że nie. Ale może rozważyłbyś, żeby pozwolić jej zostać?

Pozwolić jej zostać. Zupełnie jakby ta decyzja była taka prosta.

Zamknąłem oczy. Na chwilę przyniosło mi to ulgę od jej widoku w tej sukience, gdy baraszkowała po podwórku niczym jakaś zimowa nimfa. Tyle że w zaciszu swoich myśli wyobrażałem sobie, jak wykradam się z nią w nocy. Pot. Jęki. Euforia.

Coś, co pozwoli rozproszyć myśli.

– Czy tak łatwo przeoczyłaś fakt, że nie przygarniam przybłądów? A może zapomniałaś o tym?

– Wiem to całkiem dobrze, panie. I w każdych innych okolicznościach podwinęłabym pod siebie ogon za to, że sprzeciwiłam się twoim poleceniom. Ale ona jest inna. I to wyraźnie.

Była inna. Czulem to w powietrzu, czulem słodką perfumową woń, która odróżniała ją od wszystkich innych kobiet w tym miejscu.

– Tym niemniej nie jestem zainteresowany obserwowaniem, jak moje psy brykają niczym cyrkowe kucyki.

– Dzisiaj pierwszy raz uświadomiłam sobie, że są czymś więcej niż tylko zabójczymi maszynami lojalnymi wyłącznie względem ciebie.

– Co rodzi pytanie... dlaczego ona? – Zorientowałem się, że znów się jej przyglądam, a to samo zdezorientowanie i fascynacja co wcześniej, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, wciąż we mnie pulsują. Nie tylko jej spojrzenie wydawało mi się znajome; wyczuwałem też dziwny rodzaj ciepła, które osadzało mi się głęboko w kościach. I ten zapach. Ten nieopisany, mdlący zapach, pełen rozkosznej kobiecości, wrażliwości i nieugiętej witalności typowych dla niezwiędłej śmiertelnej duszy. Wytrawny aromat spotykany tylko w ziemskiej krainie. – Powiedz mi konkretnie, co się stało.

– Szliśmy w kierunku bramy, gdy psy zaatakowały. Rozdarły jej sukienkę i przez krótką chwilę wydawało mi się, że zaraz ujrzę, jak rozszarpują ją samą na strzępy. – Anya przycisnęła dłoń do piersi i zadrżała. – Ale zupełnie nagle Cerber przestał. Powąchał ją, a później usiadł. Zupełnie jakby rozpoznał jej

zapach.

– Niemożliwe.

– Raczej.

– Gdy powiedziałaś, że ją powąchał... Gdzie?

– Wydaje mi się, że na ręce. Wtedy osłaniała nią sobie twarz przed zębami. – Westchnęła ze znużeniem. – Na pewno nie chcę posunąć się za daleko, panie, ale muszę powiedzieć, że próby werbowania opiekunów, którzy później giną bez śladu, zrobiły się już nieco męczące.

To nie życzliwość kazała mi się zastanawiać, czy zostawić tamtą dziewczynę, lecz ciekawość. Przytłaczająca ciekawość, która mnie ogarnęła.

Te oczy.

Te oczy o szczególnym zabarwieniu, tak uderzająco podobne do oczu kobiety, którą od miesiący pieprzyłem w snach. Jej długie czarne loki, które trzymałem mocno w dłoni.

Dłoń rozprostowała mi się i zacisnęła w pięść u boku na samą myśl o tym.

Jej nietuzinkowa uroda wzbudziła moje zainteresowanie w chwili, gdy tylko podniosła na mnie wzrok. Choć bełkotała wciąż o opiece psów, słyszałem te jej odległe krzyki, gdy wołała moje imię. Czułem odurzającą woń, którą miałem ochotę spijać z powietrza. W tamtym momencie wystarczyłoby, żeby mnie dotknęła, a przyparłbym ją do ściany, tak wyraźne i dręczące wizje podsuwała mi wyobraźnia. Napięcie ściskające mi mięśnie paraliżowało mnie, gdy obserwowałem, jak wychodziła z pokoju.

– Ma z nimi nie figlować. Jej zadaniem jest karmić je i dbać o nie, a także wymagać od nich dyscypliny, gdy to konieczne.

– Oczywiście. Dopilnuję, żeby zabawa została ograniczona do minimum.

– Będzie poddana tym samym oczekiwaniom co wszyscy pozostali pracownicy.

– Tak, panie.

– Masz ją bacznie obserwować i sprawdzać, czy nie kręci się tam, gdzie nie powinna. – Porozumiewawcze spojrzenie, które rzuciłem przez ramię, sprawiło, że Anya spuściła wzrok i przytaknęła.

– Absolutnie. Nie będę jej dopuszczać do krypty.

– Zatem niech zostanie. Jak ma na imię?

– Farryn.

W tym momencie obróciłem się do Anyi i zmarszczyłem brwi.

– Czy właśnie powiedziałaś „Farryn”?

– Tak. Coś się stało? Wyglądasz na zaniepokojonego, panie.

Znałem to imię. Słyszałem je już kiedyś, wiele lat wcześniej.

– Nie. Wszystko jest w porządku.



Wpatrywałem się w czasomierz leżący na mojej dłoni, obserwując powolne tykanie drugiej wskazówki, nie do końca zgodne z pozostałymi zegarami w katedrze. Przed laty otrzymałem go od nieznanego, którego imię później mi umknęło. Mężczyzny, który stanął u bram mojej posiadłości i utrzymywał, że chce ze mną porozmawiać. Który twierdził, że mnie zna, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć, żebym kiedyś wcześniej go widział. Szalonego starca, który zostawił mi ten czasomierz i prośbę: żebym odnalazł jego jedyną córkę i ją chronił.

Oczywiście nigdy tego nie zrobiłem. Wydawał się niezrównoważony, mówił szybko i niezbornie o pradawnych stworach blakających się po lesie, które naruszają równowagę i pogrążą świat w wiecznej ciemności. Na tym samym tchu oskarżył mnie, że chciałem go zabić. Nie miało to sensu.

„Próbowałeś mnie zabić, ale chciałbym, żebyś chronił moją córkę”.

Obłąkany głupiec.

Nie byłem do końca pewien, dlaczego zachowałem kieszonkowy zegarek przez wszystkie te lata. Może po prostu z czysto ziemskiego sentymentu.

Gdy zaczął mówić do mnie o Pentacrux, w końcu go odprawiłem. Minęło sporo lat, odkąd ostatni raz słyszałem, by ktoś o nich wspominał, i choć zastanawiałem się, skąd ten człowiek mógł się dowiedzieć o ich

istnieniu, nie obchodziło mnie to na tyle, żeby kontynuować rozmowę.

Już dawno temu umyłem ręce od Pentacrux.

Otworzyłem czasomierz, żeby ujrzeć wygrawerowaną w środku inskrypcję.

Wszystko, co czynicie, niech się dokonuje w miłości (1Kor 16:14)

Farryn

Od tamtej chwili nie słyszałem tego imienia ani nie myślałem o nim, aż Anya je wymieniła. Gdy tylko je wypowiedziała, przypomniało mi się, że widziałem fotografię dziewczyny, którą tamten mężczyzna wymachiwał mi przed twarzą. Czarne włosy. Niezwykłe oczy. Przez cały ten czas śniłem o niej, zapomniawszy, gdzie ją widziałem. Starzec przeklął mnie wizjami własnej córki. Nie mogło być dziełem przypadku, że trafiła do katedry. Pomimo tego, co wydarzyło się pomiędzy nią a psami, nie ufałem jej. A już na pewno nie wierzyłem, że tak po prostu natknęła się na Anyę w lesie. Przybyła tu z jakiegoś powodu i już poinformowałem Sznyta, żeby miał na nią baczenie. Sam zresztą też będę ją obserwował.

Jej obecność oznaczała kłopoty i pokusę otuloną wonią, która ostatecznie doprowadzi mnie do obłądu, chyba że zdołam trzymać się z dala od niej. Czy też raczej zmuszę się do tego. Nie ma to jak trafić na powabną przekąskę, na tętniącą życiem duszę baraszkującą niewinnie, gdy umierasz, kurwa, z głodu.

Usłyszałem pukanie do drzwi, ale nawet nie podniosłem głowy znad inskrypcji.

– Wejść – powiedziałem tylko.

Szybkie zerknięcie ukazało mi Remy'ego podchodzącego do biurka, ale moje myśli pozostawały pochłonięte przez czasomierz i imię dziewczyny.

– Cassiel nie wrócił.

– Sprawdziłeś burdele w miasteczku?

– Tak. Tego ranka. W nocy patrolował las. Od tego czasu się nie odezwał.

Wcisnąłem wreszcie zegarek z powrotem do kieszeni i sięgnąłem po napitek stojący na biurku.

– Ośmieliłbym się założyć, że zaszył się gdzieś z jakąś biuściastą kobietą o ostrym języku.

– Ja również chciałbym tak sądzić. – Siadając, Remy rzucił na biurko przedmiot wyglądający jak oderwany kawałek materiału z zakrwawionym herbem. Znakiem Upadłych. Zaś w środku widniał sigil Cassiela. – Przeszukałem wszystkie lasy w Czarnej Wodzie i tylko tyle zdołałem odnaleźć. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że napotkał jedno z tych dzikich zwierząt, które podobno stoją za niedawnymi atakami.

– To nie jest żadne zwierzę. – Widząc zdezorientowane spojrzenie Remy'ego, kontynuowałem: – Gdy byłem w miasteczku, sam natknąłem się na jedno takie stworzenie. Nie było zwierzęciem. Z humanoidalnym wyglądem, ale nie będące do końca człowiekiem. Nigdy wcześniej nie spotkałem czegoś podobnego. – Zmieniłem pozycję na fotelu i uniosłem koszulę na tyle, żeby pokazać niezaleczone ślady po pazurach na klatce piersiowej. – Mnie również zaatakowało.

– Musiało być całkiem szybkie, skoro udało mu się coś takiego.

– Nawet nie widziałem, jak się na mnie rzuca. – Opuściłem koszulę, chwyciłem napitek i znów przybrałem wygodniejszą pozycję.

– To co robimy? W związku z Cassielem?

– Szukaj dalej. Niech Cerber ci towarzyszy. Może zdoła wyśledzić woń Cassiela.

– Mam złe przeczucia.

– Te plotki napędzają strach. Sam jestem po spotkaniu z tym czymś i wyszedłem z tego z niewiele więcej niż draśnięciem.

– Draśnięciem, które jeszcze się nie zaleczyło.

– Może to kwestia wieku.

– Zapewne. – Remy parsknął śmiechem i przesunął dłonią po żuchwie. – Jakies wieści o Virgilu?

– Wygląda na to, że weźmie udział w Balu Żęcia Dusz.

– Ach, tak. Słyszałem, że ma dojść do zaprezentowania czegoś wielkiego.

– Ja również.

Remy zacisnął palce na poręczach fotela, zmarszczył brwi i wychylił się do przodu, wyraźnie czymś zaniepokojony.

– Słuchaj, obiecałem, że nie będę nic mówił, ale w ostatnich tygodniach Cassiel dość często przechodził do ziemskiej krainy.

– Po co?

– Nie zdradza mi wszystkiego, ale po części to właśnie dlatego jestem nieco zatroskany. Upadłym nie wiedzie się dobrze po drugiej stronie.

– Cassiel jest bystry. Trzeźwo myślący. Nie potrafię sobie wyobrazić, że miałby zrobić coś głupiego.

– Może. Ale chyba uważa, że to właśnie stamtąd przychodzą te... cokolwiek to jest. Trafiają tu, żeby przed czymś uciec.

– Stworzenie zrodzone na ziemi wydaje się mało prawdopodobne.

Remy przytaknął ze ściągniętymi wargami.

– Zgadzam się. Zrobię, o co prosiłeś, i przeczeszę okoliczne lasy.

– Informuj mnie. Mam nadzieję, że nieważne, czym są te istoty, są równie bezsilne przeciwko niebiańskiej stali jak reszta z nas.

– Módlmy się, żeby tak było.

Lustina

Lustina zebrała do wiklinowego kosza chwasty, które wrywała w ogrodzie, żeby dorzucić je do sterty kompostu za katedrą. Piekły ją dłonie od pokrzyw, których drażniące liście jedynie pogorszyły jej znój. Podniosła się i poczuła mocny uścisk na barku.

Zaskoczona, zaczęła się obracać, i zorientowała się, że baron wskazuje jej, żeby podążyła za nim.

Czując, jak wzbiera w niej panika, pokręciła głową i spróbowała się wyrwać.

– Nie mogę, mój lordzie. Jeśli zauważą mnie z tobą...

– No to chodź jak najszybciej. Właśnie spotykają się z moim ojcem.

Rozejrzała się po klasztornych terenach. Niepokój w jej żołądku jedynie się nasilił, gdy pozwalała mu zaciągnąć się do krypty.

– Proszę, zrozum, to nie tak, że chcę cię ignorować. Nie mogę ryzykować... – Gdy znaleźli się już w obrębie kamiennych murów krypty, baron obrócił ją do siebie i pochwyił jej wargi w pocałunku, od którego rozlała się po niej fala ciepłego spokoju.

– Powiedz mi, co zrobili, żeby cię ukarać.

– To było kilka tygodni temu. Już nie ma znaczenia.

– Ma znaczenie. Od tamtej pory codziennie o tym myślałem. Mam tym pochłonięty umysł. – Zazgrzytał zębami i zacisnął palce, wbijając je w jej ramiona. – Chcę ich zabić za to, że śmieli cię tknąć.

– Nie. Coś takiego doprowadziłoby do niewyobrażalnych nieszczęść. Nie mów takich rzeczy, mój lordzie.

– Jericho. Masz do mnie mówić Jericho. – Jego uścisk złagodniał i młodzieniec pochylił się, żeby pocałować ją za uchem. – Obróć się. Chcę zobaczyć ślady po biczowaniu.

– Proszę, nie. Już się nimi nie przejmuję. Zaleczyły się.

Nie chcąc odpuścić, napał na jej barki, żeby przekręcić jej ciało.

– Proszę. – Nacisnęła na jego rękę i cofnęła się o krok. – Mój lordzie... Jericho... wybacz mi, że to mówię, ale twoje naleganie, by je ujrzeć, każe mi się zastanawiać, czy taki widok może dać ci więcej rozrywki niż zatroskania.

Coś, co mogłaby uznać za poczucie krzywdy, przemknęło mu przez twarz. Nie spuszczać z niej wzroku, rozpiął sprzączki brygantynowej kamizelki i ściągnął ją z siebie. Fale niepokoju zalały jej serce, gdy wpatrywała się w liczne blizny znaczące jego korpus. Blizny wszelkich kształtów, rozmiarów i stopni zaleczenia. Łzy wypełniły jej oczy, gdy wyobraziła sobie długie godziny bólu potrzebne, żeby powstały takie ślady.

Wyciągnęła dłoń, żeby ich dotknąć, ale się zawahała.

– Kto ci to zrobił?

– Chodź. Chcę ci coś pokazać. – Nie dając jej okazji do protestu, poprowadził ją biegnącym przez kryptę korytarzem do jednej z zakazanych komnat.

W jej wnętrzu ciekawość zmagala się ze strachem. Biskup Venable ostrzegał ją kilkakrotnie, żeby trzymała się z dala od tych pomieszczeń, ale szczególnie od tego z symbolem wyrytym w grubym drewnie drzwi. Tym, w którym rozpoznawała znak Pentacrux.

Wciąż ściskając jej dłoń, baron pchnął drzwi, co wywołało nerwowe mrowienie w jej brzuchu. Gdy tylko ujrzała wnętrze pokoju, mrowienie przeszło w grozę. Wpatrywała się z przerażeniem w łańcuchy z kajdanami zwisające ze stropu. W konstrukcję o kształcie krzyża wyposażoną w skórzane pasy. W rozmaite

narzędzia, z których wielu nigdy nie widziała, zwisające ze ścian.

Pomieszczenie przeznaczone do najstraszniejszych tortur.

– Co to jest, mój lordzie?

W końcu ją puścił i powoli podszedł do jednego z grubo splecionych biczów zawieszonych na ścianie. Zdjął go i przesunął po nim palcami.

– Moja pokuta za to, że się urodziłem. Określają to jako eksperymenty. Pytałaś, skąd wzięły się moje blizny?

– Ale przecież nie dręczyliby takiego szlachcica jak ty.

– Wymierzana przez nich kara nie robi różnicy pomiędzy szlachtą i chłopstwem. Liczy się tylko to, co uważają za dobro i zło.

– I ty zostałeś uznany za złego. Dlaczego? Bo nie jesteś taki jak oni?

– Boją się tego, czego nie rozumieją. Mógłbym powiedzieć to samo o tobie, Lustino. – Gdy obejrzał się przez ramię, dostrzegła, że napięcie dotarło mu do zeszywniałej zuchwy. – Dlaczego cię karzą, skoro w niczym im nie zawiniłaś?

– Bo moja matka była czarownicą – powiedziała pod nosem.

– Twoja matka wcale nie była bardziej czarownicą niż dowolna z ich ukochanych matek.

Choć miała wielką ochotę uśmiechnąć się na ten komentarz, myśl o bezsensownej śmierci matki wciąż ciążyła jej mocno na sercu.

– Każdej nocy modłę się o jej duszę. Do ich Boga. Do tych, w których wierzyła moja matka. Do każdego, kto jest gotów słuchać. Proszę, żeby okazali jej miłosierdzie za wszelkie krzywdy, jakie wyrządziła w tym życiu.

– Nie musisz martwić się o matkę. Miała na tyle szczęścia, że opuściła ten bezlitosny świat.

– Chciałabym tak myśleć, mój lordzie. Chciałabym myśleć, że gdzieś istnieje jakieś lepsze miejsce. – Gdy odchyliła głowę w tył, zauważyła na stropie coś, co wyglądało jak krople krwi, i szybko odwróciła wzrok.

– Zatem wierzysz w życie pozagrobowe?

– Chyba tak. Choć nie wierzę w to, że są do niego dopuszczeni tylko ci, którzy żyli w idealnie czysty sposób. Wierzę w życie pozagrobowe, w którym akceptuje się wszystkich, niezależnie od ich przewinień. – Lustina podeszła do barona i wzięła w dłoń luźne, zwisające sploty bicia.

Obrócił lekko głowę, ściągając jej wzrok do swoich oczu.

– O co chodzi? – spytał.

Lustina dotknęła jednego z węzłów i wyobraziła sobie, jak uderza dotkliwie w jej skórę.

– Jakie to uczucie? Ten ból?

– Chcesz doświadczyć mojej kary?

Tak.

Przesunął palcem po jej odsłoniętej skórze, wywołując dreszcz i gęsią skórę.

– Ten bicz zasiałby spustoszenie na tak niewinnym ciele. I czy twoje rany dopiero co się nie zagoiły?

– Owszem, mój lordzie. Czy twoje rany nie zaleczają się całkowicie za każdym razem, gdy poddają cię tym cierpieniom?

Coś błysnęło w jego oczach. Przesunął językiem po zębach.

– Musisz być masochistką, skoro wyobrazasz sobie takie rzeczy.

Ignorując jego słowa, zebrała w dłoń wszystkie sploty. Jakże zimna była ta wyprawiona skóra. Jakże nieczułe były te węzły.

– Czy to jest dla ciebie jak wieczność? Jeden długi piekielny okres cierpienia?

– Ostatnio moje myśli są pochłonięte przez ciebie, zatem już tak mocno nie odczuwam bólu. A może i przyjmuję go z ochotą, jeśli dzięki niemu mogę sobie wyobrażać, że pozwoli mi znowu cię ujrzeć. – Sięgnął po pasmo jej włosów i pozwolił, żeby spływały mu z palców. – Dlaczego nie towarzyszysz już biskupowi?

– Zabronił mi. Powiedział, że jestem nazbyt nieczysta, żeby stawiać stopę w twoim domu.

– A jednak jesteś jedyną, na widok której nie czuję mdłości.

Gdy wyciągnął ku niej rękę, żartobliwie uchyliła się przed jego dotykiem i stanęła tak, by łańcuchy zwisające z sufitu znalazły się pomiędzy nimi.

– Mówisz, że się ciebie boją. – Przesunęła palcami po grubych, na pozór nierozzerwalnych ogniach. – Wygląda na to, że mógłbyś wyrządzić wyjątkowe szkody, gdybyś zechciał.

Te przesywające niebieskie oczy obserwowały go, jakby należały do zwierzęcia.

– Zapewne bym mógł, owszem.

– To dlaczego tego nie robisz? Dlaczego pozwalasz im przeprowadzać te eksperymenty, jak je nazwałeś?

– Mam swoje powody.

– Twoja matka.

– Na pewno jest jednym z nich.

– Potrafię to zrozumieć. – Lustina wyciągnęła ręce do łańcuchów i popatrzyła na niego przez ramię. –

Pokaż mi, Jericho.

Coś rozświetliło się w jego oczach i zanim zdążyła opuścić ramiona, skuł ją kajdanami. Przycisnął jej dłoń do gardła, odchylił jej głowę w tył tak, żeby dotknęła mu piersi, i przesunął kciukiem wzdłuż jej żuchwy.

– Wypowiedz jeszcze raz moje imię.

– Jericho.

– Twój zapach... tak cudownie nieskazitelny zapach. Tak czysty. – Ból rozkwitł jej w żuchwie, gdy mocniej nacisnął kciukiem. – Nieustannie ze mnie drwi. Ta gwałtowność, którą we mnie wzbudzasz, jest nie w porządku. To pragnienie zadawania krzywdy na samo brzmienie mojego imienia w twoich ustach.

– Tylko ci, którzy cierpią, pragną takich rzeczy. Pokaż mi.

Jego palce wbiły się głębiej, jej szyja się napięła, wykręcana przez niego.

– Tak bardzo pochłania cię mój ból, ale czy znasz jego głębię? Czy szczerze sądzisz, że zaledwie parę smagnięć ciała pozwoli ci zrozumieć naturę potwora, którego ze mnie zrobili?

Ze ściągniętymi brwiami pokręciła głową.

– Nie zamierzałam kpić z zadawanych ci kar. Chciałam tylko znaleźć się w twojej skórze, choćby na chwilę.

– Zatem spełnię tę prośbę. I zapamiętaj moje słowa, Lustino: będziesz żałowała, że o to prosiłaś.

Rozpiął jej sukienkę, która osunęła się na podłogę, sięgnął po rąbek jej halki i unosił ją ku spletanym dłoniom dziewczyny, tak że tkanina ukryła jej twarz. Zimne powietrze muskało jej całkowicie odsłonięte ciało. Gdy się odsunął, poczuła, jak węzły dotykają przelotnie jej nagich pleców. W charakterze ostrzeżenia.

– W tej samej chwili, w której pierwszy raz cię ujrzałem, wiedziałem, że jesteś zbyt dobra. Zbyt czysta. Niektórzy mówią, że można to odczytać w oczach, ale ja wyczuwałem to w powietrzu. Miałem ochotę w nim tonąć. Tak idealna była twoja dusza.

– Jestem daleka od ideału, mój lordzie.

– Przekonamy się. Gdy pierwsze uderzenie dotknie twojego ciała i rozlegnie się ten straszliwy dźwięk pękającej skóry. – Opisy, jakie zaszczepiał w jej głowie, sprawiały, że wywracało jej żołądek i zaczynała odczuwać pierwsze ukłucia żalu. – Przekonamy się, na ile nieidealna potrafisz być. Wiesz, co się krzyczy, gdy ból staje się tak nieznośny, że ledwo pozwala oddychać?

Wciągnęła gwałtownie powietrze przez nos i pokręciła głową.

– Woła się o litość. Jednak nawet wtedy nie robi to różnicy. Bo nikt nie lituje się nad niekochanymi.

Jej ciało dygotało. Zacisnęła powieki, czekając na uderzenie, i wyobraziła sobie jego w tym pomieszczeniu wraz ze wszystkimi mężczyznami, którzy pragnęli go skrzywdzić. Ignorującymi jego wołania o litość. Uniosła ze zrezygnowaniem podbródek i napięła mięśnie.

Czekała. Czekała. Czekała.

Mijały sekundy, aż w końcu najpierw palec musnął jej bark, a później w jego ślady poszły wargi.

– Wolalbym obserwować, jak świat i wszystkie obecne w nim stworzenia płoną, niż podnieść na ciebie rękę, Lustino. Tylko ty się dla mnie liczysz.

Łza spłynęła jej po policzku. Powstrzymała ochotę, żeby się rozkleić, gdy zsuwał jej tkaninę z oczu. Wciąż miała spletane ręce, gdy całował jej szyję, jednocześnie sunąc dłonią po biodrze.

– Jedynym cierpieniem, jakie chcę zadawać, jest to, które sprawiam sobie. Dotykam cię i wiem, że nigdy nie będziesz do mnie należała. Nigdy nie będę mógł cię chronić przed światem. – Zacisnął palce na jej halce, a potem przyciągnął dziewczynę do siebie, rozciągając jej wciąż skute ręce. – Chcę być dobry. Nawet jeśli nie dla kogoś innego, to dla ciebie.

– Mój lordzie... Jericho... Czuję niezwykle dziwne rzeczy, gdy jestem z tobą. Niewytłumaczalne.

– Zatem czujesz to co ja. – Zaborczo otoczył ją ramieniem i pocałował mocniej jej szyję, a dotyk jego

warg sprawił, że ugięły się pod nią kolana. – Gdy następnym razem przykują mnie do tych łańcuchów, będę myślał o tobie, gdy tu tkwisz. I będę wyobrażał sobie wszelkie sposoby, na jakie bym cię brał. To ty będziesz moim miłosierdziem.

– Czy takie myśli złagodzą twoje cierpienie?

– Nie złagodzą. Ale tamci poczują złość, widząc, jak bardzo raduje mnie zadawana przez nich kara.

Farryn

Po godzinie oprowadzania mnie po katedrze, po pokazaniu mi wszystkich jej sekretnych wnęk i szczelin, Anya poprowadziła mnie obok imponujących organów. Ich lśniące srebrzyste piszczałki umieszczone w złoconej obudowie zdobionej skomplikowanymi rzeźbieniami i cherubinami zajmowały całą ścianę.

– Pierwotny instrument został uratowany przed ogniem, ale całe organy trzeba było przebudować od początku.

– Są takie piękne. Nigdy nie widziałam czegoś tak wspaniałego.

– Gdybyś je kiedyś usłyszała, niemal pozbawiłyby cię tchu.

– Czy Van Croix gra?

– Tak. Jest całkiem dobry. Ale rzadko rozpieszca nas swoim talentem. Pochodzenie organów piszczałkowych sięga starożytnych Greków. Oczywiście nie były wtedy tak rozbudowane. Niemniej twory umysłu są najbardziej imponujące.

– Owszem. Podobnie jak ci, którzy je tworzą.

– Zgadza się. Chodźmy zatem dalej, dobrze? Jest jeszcze mnóstwo pomieszczeń do zbadania, ale ten obchód zakończę już tylko jednym.

Za organami zatrzymałyśmy się przed drzwiami, które skojarzyły mi się z czymś ze średniowiecza, z zaokrągloną górą, czarnymi żelaznymi zawiasami, zamkiem i ozdobami. Otworzyły się z przeciągłym skrzypieniem, ukazując biegnącą do góry kamienną klatkę schodową, na której pyłki kurzu tańczyły w słabym promieniu dobiegającym skądś w górze. W tym miejscu światło zachowywało się dziwnie inaczej, zupełnie jakby upodobało sobie cienie.

Podążałyśmy po krętych stopniach, aż znalazłyśmy się w ośmiokątnej komnacie wypełnionej rzędami regałów z książkami. Sięgały one aż na górny poziom dostępny po pokonaniu kolejnych schodów. Tyle książek w jednym miejscu. Uznałam, że znajdujemy się w jednej z masywnych wieżyczek. Podeszłam do okna i wyjrzałam na dziedziniec poniżej. Z tej wysokości widziałam, że wspaniały labirynt, który rzucił mi się w oczy po przyjeździe, wygląda na znacznie większy, niż sobie wyobrażałam.

– Uznałam, że to pomieszczenie zapewni ci nieco spokoju i ciszy.

– Jest takie... wielkie! O rany, tu muszą być tysiące książek!

– Pan Van Croix lubi mieć wygodny dostęp do źródeł. Oczywiście ulubione trzyma w swoim gabinecie. Ale z tych możesz swobodnie korzystać.

Stałam przed ścianą grzbietów i wyciągnęłam jeden z oprawionych w skórę tomów z miejsca pomiędzy pri'scuciańskimi symbolami a jakimś tytułem po łacinie.

Tak wiele książek.

Mój ojciec poczułby się tutaj jak w Niebie!

– Skąd one się wzięły?

– Niektóre napisali pradawni uczeni. Filozofowie. Niewolnicy. Te półki są przepełnione taką ilością historii i fikcji, że mogłabyś się w nich dosłownie zatracić.

– Nie mogę się tego doczekać.

– Zatem pozwolę ci nieco pokorzystać. Kolację podaje się w jadalni około siódmej.

Obejrzałam się przez ramię.

– Uczestniczy w niej Van Croix? – Zapewne brzmiałam tak, jakbym miała już obsesję na punkcie tego mężczyzny.

– Nie. Obawiam się, że pan Van Croix woli wieczerzać na osobności. Nie jest szczególnie towarzyski. Zjesz sama.

Zmarszczyłam brwi i obróciłam się do niej.

– Ty i reszta personelu nie będziecie jeść?

– Nie, moja droga. – Nie podała żadnych więcej wyjaśnień.

– W porządku. Dziękuję.

– Możesz chodzić swobodnie po katedrze, choć nigdy nie wolno ci się zapuszczać do krypty ani do dzwonnicy.

– Do dzwonnicy?

– Och, tam jest niebezpiecznie. Wysoko i pełno przewodów. Zwłaszcza podczas burzy z piorunami.

– Nie macie... piorunochronu czy czegoś w tym stylu? – Wydawało mi się dziwne, że po pożarze nie zaopatrzyli się w coś podobnego.

– Och, mamy. Mimo to po niektórych paskudniejszych burzach mieliśmy sporo napraw.

– Wydawało mi się, że celem piorunochronu jest kierować elektryczność w ziemię. Jak to możliwe?

– Nie wszystko we wszechświecie działa zgodnie z zasadami fizyki, dziecko. Zaś błyskawicy nie obchodzi, czy uważamy coś za możliwe, czy nie. Trzymaj się z dala od dzwonnicy. Wbrew plotkom, jakie możesz usłyszeć, nie jest to miejsce dla rozrywki i zabawy.

– Plotkom?

Kobieta przewróciła oczyma i pokręciła głową.

– Z pewnością zostaniesz w nie wtajemniczona. Wszyscy jesteśmy.

– Jasne.

– Chodź, poznasz personel. – Anya poprowadziła mnie z powrotem przez główną część katedry do kuchni, gdzie kilka młodych kobiet przerwało wykonywane zajęcia, żeby odpowiedzieć mi spojrzeniami. – Drogie panie, chciałabym, żebyście poznały naszą najnowszą opiekunkę psów. Oto Farryn.

Ani jednego uśmiechu, ani jednego skinienia. Kobiety przyglądały mi się z tak intensywnym skupieniem wyrytym na ich obliczach, że aż zamrowiła mnie skóra.

Jakaś brunetka wystąpiła naprzód, wycierając dłonie o białą ścierekę.

– Panno Anyu, czy mogę spytać, czym było pomysłem, żeby wpuścić tu tę przybłądę?

Uśmiechając się, Anya przekrzywiła głowę.

– Nie, moja droga, nie możesz.

– Sprowadzanie kogoś z lasu przynosi nieszczęście. Tyle tych ataków i nigdy nie wiadomo, jakie niebezpieczeństwo mogą sprawiać. I czy ta wypukłość na jej głowie to nie są początki bullio?

Dłoń Anyi uderzyła szybko, bez ostrzeżenia, w policzek brunetki. Zaskoczona kobieta przytrzymała się w miejscu otrzymanego ciosu i wybałuszyła oczy jakby w niedowierzaniu.

– Tak się składa, że ta przybłąda, jak to ujęłaś, dysponuje wyjątkową kontrolą nad psami. Jeśli nie będziesz uważać, mogę kazać jej polecić, żeby pożarły cię w całości. W tym domu nie zachowujemy się nieuprzejmie. Czy wyrażam się jasno?

Z początku dziewczyna nie odpowiadała, a jedynie mierzyła mnie wzrokiem.

– Czy wyrażam się jasno? – Na złość w głosie Anyi poczułam dreszcz na plecach.

Wciąż trzymając się za policzek, brunetka przytaknęła:

– Tak, proszę pani.

Jak za naciśnięciem guzika rozdrażnienie zniknęło z twarzy starszej z kobiet. Z uprzejmym uśmiechem złożyła dłonie.

– Bardzo dobrze, moja droga. A teraz pozwolę ci wrócić do pracy.

Ze wzburzoną twarzą dziewczyna cofnęła się do blatu, przy którym wcześniej zmywała naczynia.

– Ktoś jeszcze ma coś do powiedzenia? – zapytała Anya upiornie sympatycznym głosem.

Reszta dziewcząt pokręciła głowami i spuściła wzrok ku podłodze.

– Wspaniale. Nie przeszkadzajcie sobie. – Uśmiechnąwszy się na pożegnanie, Anya wyprowadziła mnie z kuchni na korytarz.

Po drodze minęliśmy pokój, z którego pomachała mi Aurelia stojąca na drugim stopniu niewielkiej drabinki i usuwająca kurz z potężnego marmurowego kominka.

– Och! Zaczekajcie! Mogę z tobą chwilę porozmawiać? – Schodząc, potknęła się. Coś pękło, a mnie serce podeszło do gardła, lecz Aurelia zdążyła przytrzymać się i nie spadła. – Tylko sekundkę!

Anya stęknęła, obróciła się i oparła mi pomarszczoną dłoń na ramieniu.

– Chwilkę. Wiecznie coś tu się psuje. – Wpadła z wdziękiem do pokoju, zmierzając ku temu czemuś, co pękło, a Aurelia podeszła do niej chwiejnie.

Uznawszy, że zapewne nie chciałaby, żebym słyszała tę rozmowę, przemierzyłam jeszcze krótki kawałek korytarza do miejsca, gdzie ściana przechodziła w sięgające stropu ciemne okna z przepięknymi kratami z kutego żelaza przedstawiającymi splecione liście. Dalej leżało coś, co najlepiej chyba można było opisać jako zapierającą dech w piersi grotę o niskim, sklepionym suficie i kamiennych ścianach rzeźbionych w postacię kojarzące się z epoką starożytnego Rzymu. Całą szerokość pomieszczenia zajmowała sadzawka z najczystsza, najbardziej błękitną wodą, jaką kiedykolwiek widziałam, odbijającą się w otaczającym ją ciemnym kamieniu i rzucającą przyćmiony blask, jak w jaskini.

Przez wodospad spadający ze skał dostrzegłam wyłaniającą się postać, ścierającą wilgoć z twarzy, którą wciąż przecinała opaska na oko. Dobrze zarysowane płaszczyzny nagiej, muskularnej piersi jaśniały niczym pokryte rosą, co przykuło moją uwagę. Srebrzyste, jakby metaliczne tatuaże błyszczały w świetle, kotwicząc mój wzrok na zaakcentowanych ramionach i torsie. Nieludzka perfekcja. Gdy podszedł bliżej, woda spływała z jego ciała. Gdy w końcu stanął na skraju sadzawki, w miejscu, gdzie była zapewne najpłytsza, nie zauważyłam w jego pasie żadnej linii sugerującej, że nosił kąpielówki. Dostrzegłam jedynie wspaniały kontur rzeźbionego podbrzusza w kształcie litery V znikający pod powierzchnią.

Zupełnie nagi.

Dobry Boże, nawet nie umiałam sobie wyobrazić, jak wygląda jego dolna połowa, zważywszy na uderzającą budowę górnej.

Trzymając się skraju ściany, rzuciłam samej sobie wyzwanie, żeby nie patrzeć przez tę chwilę, kiedy wychodził z wody. Skarciłam się w duchu i odwróciłam wzrok.

Dziesięć lat, Farryn. Ile ty masz lat, piętnaście?

Zaledwie sekundę później znów spojrzałam, jak chłapie sobie wodą na brzuch. Ale kierowałam się nie tylko pożądanym podziwem, gdy wgapiłam się w jego sylwetkę. Po prostu nigdy w życiu nie widziałam takiej perfekcji. Nawet z bliznami rzucającymi się w oczy z miejsca, gdzie stałam, wciąż wyglądał jak Adonis o mięśniach wyrzeźbionych z taką precyzją, że trudno było odwrócić od nich spojrzenie.

– Pójdziemy dalej czy wolałabyś zostać tu jeszcze przez chwilę? – Słyszając intymną nutę w głosie Anyi, odetchnęłam świszcząco, z zaskoczeniem, i odskoczyłam w bok. Stała tuż za mną z porozumiewawczym i wyczekującym uśmiechem.

– Wybacz. Ja tylko podziwiałam mięśnie... Sadzawkę! – Zdusiłam upokorzenie i skrzywiłam się w duchu na samą siebie, próbując ignorować mdłości kłębiące mi się w brzuchu.

– Yhmmm. Cóż, robi niezłe wrażenie, prawda?

Z zaciśniętymi wargami, żeby znowu nie palnąć czegoś niemądrego, przytaknęłam.

– Powinam cię chyba poinformować, że pan Van Croix lubi popływać sobie codziennie o tej porze – powiedziała, wyraźnie kpiąc z faktu, że to właśnie on był najoczywistszym obiektem mojego wgapienia się. – Idziemy. – Obróciła szybko głowę i przeszła obok mnie.

Gdy obejrzałam się przez ramię, dostrzegłam nieodgadniony wzrok Van Croixa, który ręcznikiem wycierał sobie pierś, stojąc już zupełnie poza sadzawką. Choć tkanina zasłaniała dolną połowę jego ciała, szybko przeniósł spojrzenie w bok z tym samym dyskomfortem, jakbym ją widziała.

Jedna rzecz była pewna: choć wydawał się tak intrygujący, najwyraźniej nic go nie poruszało. Sprawiał wrażenie równie niewzruszonego jak postacie wyrzeźbione na ścianach za jego plecami.

Na ostatni przystanek mojej wycieczki po katedrze przeszliśmy za labirynt ogrodów, do stajni, która równie dobrze mogłaby być domem, tak starannie wykonano jej kamienną konstrukcję. Jej opiekun Garlic, którego Anya mi przedstawiła, był mniej więcej tak przyjazny jak pochwycony w czepkę szerszeń. Starszy mężczyzna o siwiejących włosach i głębokich zmarszczkach na ogorzałej twarzy nawet się nie przywitał i od razu odszedł gniewnym krokiem, marudząc pod nosem, że odrywa się go od obowiązków.

Gdy już spotkanie dobiegło końca, Anya obróciła się do mnie i założyła ręce na piersi.

– Może teraz daj kolację psom, a później umyj się przed własnym posiłkiem. Świeże sukienki znajdziesz w swojej komnacie.

– Sukienki? Mam się stroić na kolację?

– Och, tak. To ważne, żeby utrzymać jakieś pozory dobrych manier. Zgodzisz się?

– Oczywiście. – Pomimo całego uroku tego miejsca wciąż, niczym drzazgę pod paznokciem, czułam

przypomnienie, żeby nie ufać mu w pełni. W końcu dopiero co widziałam, jak psy okaleczyły człowieka.

– Będziesz musiała się umyć po zajęciu się psami.

Umyć? Nigdy nie pracowałam ciężko, ale wrzucenie odrobiny karmy do kilku misek nie wydawało mi się zbyt wyczerpującym zajęciem.



Stojąc obok Garica, obserwowałam z grozą, jak opuszcza lśniący rzeźnicki tasak na zakrwawiony zewłok. Zgadywałam, że należący wcześniej do jelenia, jeśli oceniać po odciętych już rogach. Aczkolwiek coraz trudniej było to stwierdzić wraz z każdym odrąbywanym kawałkiem mięsa. Mężczyzna rzucał krwawe strzępy trzem psom, które stały nieruchomo, w ciszy, z niecierpliwością czekając na posiłek. Powarkując, walczyły ze sobą o jedzenie i pochłaniały je, po czym wracały do sztywnej postawy i czekały na dalsze kęsy.

Stojąc z ustami otwartymi w szoku, nie zauważyłam, że Garic podaje mi tasak, dopóki jego rękojeść nie stuknęła mnie w ramię. Wyrwana z transu, ujęłam zakrwawioną rączkę.

Przełknęłam gulę w gardle i skinęłam głową.

– Pewnie – bąknęłam, wpatrując się w okaleczone zwłoki przed sobą i próbując pojąć, jak, u diabła, poradzę sobie z takim zadaniem następnego dnia. I każdego kolejnego.

Psy poruszyły się nerwowo. Na skraju mojego pola widzenia Garic skrzyżował ręce z podobnym zniecierpliwieniem.

W co ja się wpakowałam, do cholery?

Jednym silnym uderzeniem wbiłam ostrze w mięso, które się rozszczepiło. Kolejny cios sprawił, że skrawki ślizgnęły po podłodze, gdzie psy zaczęły o nie walczyć.

– Czyli... to tylko wyjątkowy przysmak? Taki dawany raz na jakiś czas? Psie odstępstwo od diety?

Garic nie odpowiedział, ale jego zmrużone brwi, zupełnie jakby można było nimi wyrazić jeszcze większe zirytowanie, powiedziały mi, że uznał to pytanie za śmieszne. Zadarłszy gniewnie wargę, odkuśtykał powoli, zostawiając mi dokończenie karmienia.

Gdy psy wyglądały już na usatysfakcjonowane, zakryłam zwłoki zgodnie z instrukcją Garica i na srebrnym wózku, kojarzącym mi się z noszami szpitalnymi, zawiozłam je do jamy położonej za stajnią. Cerber szedł powoli za mną, jakby jego masywna czarna sylwetka była moim cieniem. Czułam w nosie straszliwy smród, gdy pchałam wózek po brukowanej ścieżce. Znalazłszy się na skraju jamy, wyrzuciłam krwawe szczątki biednego zwierzęcia i obserwowałam, jak z trzaskiem spadają na inne truchła. Wokół krążyły owady, a przytłaczający odór śmierci doprowadzał mnie do mdłości.

Gwałtownie zasłoniłam dłonią usta, przełknęłam wymiociny podchodzące mi do gardła i cofnęłam się. Gdy coś uderzyło mnie w plecy, krzyknęłam cicho. Odwróciłam się i ujrzałam za sobą mężczyznę, którego jeszcze nie poznałam, spoglądającego ponad mną na jamę.

Rozczochrane jasne włosy podkreślały ostrą linię zuchwy i ognistobursztynowe oczy, kojarzące mi się z Xhiphiasem. Miał na sobie skórzaną kamizelkę zapinaną od przodu na sprzączki, a ze sztyltem przypiętym do biodra wyglądał jak wojownik wyciągnięty z romansidła o elfach.

– Niezły sposób, by odejść, prawda? W jednej chwili brykasz sobie po lesie. Jak król. W następnej szlachtują cię i wrzucają do dziury, by cię spalić. – Prychnął i odsunął się, a gdy skierował uwagę na mnie, natychmiast przemknął wzrokiem na moją pierś i plecy. Pod jego spojrzeniem nabrałam ochoty, żeby mocniej zaciągnąć sznurowanie gorsetu. – No proszę, co my tu mamy.

Cofnęłam się o krok, zwiększając dzielącą nas odległość, i zerknęłam w kierunku stajni, by sprawdzić, czy wciąż kręci się tam Garic.

– Kim jesteś?

– Ochroną. – Położył szorstką, poznaczoną bliznami dłoń na rękojeści sztyletu. – A ty?

– Opiekunką psów.

Nieznamy wykrzywił szyję w stronę wielkich bestii siedzących na tylnych łapach i wyraźnie czujących się dobrze w obecności mężczyzny.

– Jesteś opiekunką? To który z nich cię sponiewierał? – Jego pytanie sprawiło, że dotknęłam wciąż widocznego guza na czole; kąciki ust mężczyzny podniosły się w wyrazie rozbawienia.

- Upadłam.
- Jak masz na imię, słonko?
- Farryn. A ty?

Ignorując pytanie, znów zajął do jamy.

- I pomyśleć, Farryn, że cię mógłby spotkać taki los, gdyby psy cię nie polubiły.
- Tam, skąd pochodzę, mówi się na to „morderstwo”.
- A skąd pochodzisz?
- Z daleka.

Podszedł do mnie, zmuszając mnie do cofnięcia się nad krawędź dziury. Serce podskoczyło mi do gardła, gdy oglądałam się przez ramię, uświadamiając sobie, że już tylko jeden krok dzieli mnie od spadnięcia na stertę zwłok. Czy też raczej jedno pchnięcie.

Nieznajomy jednak uniósł moją dłoń i złożył na jej grzbiecie pocałunek.

- To przyjemność móc cię poznać, Farryn.

Zamiast odpowiedzieć, stałam tylko nieruchomo i wpatrywałam się w niego, zdeorientowana.

- Uważaj na skraju. Raczej nie chciałabyś tam spać – dodał, zanim odszedł.

Wszyscy tu są szaleni.

Lustina

Lustina zbierała szmaty z podłogi, podczas gdy dama Praeepsia spała głęboko w swoim łóżku. Pochyliła się, żeby podnieść szczególnie mocno zakrwawioną ścierkę, przyjrzała jej się ze zmarszczonym czołem i umieściła w koszu wraz z pozostałymi.

Gdy dłoń zasłoniła jej usta, dziewczyna wydała w nią zduszony okrzyk strachu.

– Chodź za mną.

Na dźwięk głosu barona odetchnęła z ulgą, a gdy ją puścił, obróciła się z uśmiechem i zorientowała, że on wychodzi już przez drzwi. Obejrawszy się szybko na damę Praeepsię, która ani drgnęła, postawiła kosz na podłodze i szybko podążyła za młodzieńcem. Gdy znalazła się w korytarzu, patrzyła, jak baron skręca do jednego z pokoiów na przedzie, a jednocześnie rozglądała się za biskupem Venable. Przyspieszyła kroku, wślizgnęła się do pomieszczenia za chłopakiem i zamknęła za sobą drzwi.

Gdy odwróciła się w kierunku wnętrza, wybałuszyła oczy na widok licznych zgromadzonych tam luster. Całe pomieszczenie wypełniono zwierciadłami wszelkich rozmiarów i kształtów. Zaskoczona, obróciła się i zorientowała, że kolejne zawieszono na ścianach.

– Co to jest? – Nie potrafiła powstrzymać chichotu wywołanego absurdalnym pomysłem komnaty poświęconej wyłącznie lustrum.

W końcu skierowała uwagę na barona stojącego pośrodku.

Widziała jedynie jego profil, ponieważ zacienione części pomieszczenia wydawały się tańczyć wokół jego drugiej połowy, ale gdy się ku niej obrócił, Lustina krzyknęła cicho. Miał pękniętą wargę, a na policzku widniał duży śliwkowy siniak.

– Mój lordzie... – wyszeptwała, doskakując do niego. – Co ci się stało? – Gdy podniosła dłoń, by dotknąć jego twarzy, chwycił ją za nadgarstek.

Jego zuchwa drgnęła w złości wyczuwalnej również w jego ciasnym uścisku. Bez słowa odetchnął i puścił jej rękę, którą dziewczyna zwiesiła u boku. Wściekłość, która przed chwilą nim owładnęła, teraz zładodniała.

– To była twoja kara. Cierpienie, jakie poniosłeś za oskarżenia Drystana – domyśliła się.

Prychnął na te słowa.

– To była moja kara za to, co zrobiłem mu w odwecie.

Chłonęła to, co powiedział, i ból w sercu pozbawiał ją tchu.

– Za to, co mnie spotkało.

Zamiast odpowiedzieć, uniósł pukiel jej włosów i przesunął po nim palcami.

– W miarę postępów choroby moja matka nalegała, żeby wszystkie lustra z posiadłości zebrano i schowano. Nie mogła znieść swojego widoku.

Lustina nie mogła zrozumieć, jak kobieta uznawana za jedną z najpiękniejszych mogła w ogóle wpaść na coś podobnego.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie myśli nękały jej umysł.

– Ani ja. – Przeciągnął palcami po jej szyi, wzbudzając gęsią skórkę. Gdy przeszedł za jej plecy, mogła dostrzec jego odbicie w zwierciadle opartym o przeciwległą ścianę. Baron stanął za nią, uwidaczniając wyraźną różnicę w ich wzroście. Widok jego ran znów zakłuł ją w serce i nie potrafiła ukryć bólu, który wypłynął jej na twarz.

– Niepokoisz się z mojego powodu?

– Wybacz mi. Nie chciałam robić afery z twoich obrażeń, ale gdy je widzę, smucę się. Ze świadomości, że tyle wycierpiałeś. Znowu.

– Jest to ból, który mógłbym cierpieć po tysiącokroć. – W odbiciu ujrzała, jak nachyla się do jej ucha, jak jego dłoń sunie po tkaninie jej sukienki, jak zsuwa ją z jej ramienia. – Wszystko w tobie się ze mną drażni, Lustino. Twoje oczy kuszą mnie, żebym się w nie wpatrywał. Twój zapach kusi mnie, żebym go wdychał. Twoja skóra kusi mnie, żebym ją dotykał. – Przesunął wzrok, dłoń zsuwająca jej sukienkę zacisnęła się w pięść i dziewczyna poczuła drżący oddech na szyi. – Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, co by się stało, gdybym cię wziął tak, jak cię w tej chwili pragnę?

Zaparło jej dech, przez co nie mogła odpowiedzieć na pytanie. Oczywiście wiedziała. Wydarzyłyby się straszliwe rzeczy, gdyby ktoś tu wszedł i zobaczył ich razem.

– Nieważne, jaką karę wymierzono by nam za taki grzech, zniósłbym ją dobrowolnie, żeby poznać dźwięk twoich jęków, ale myśl o biczu smagającym twoje plecy wzbudza we mnie morderczą wściekłość. – Jego słowa nie powinny sprawić, że poczuła się słaba z pożądania. Zaś perspektywa kary powinna skłonić ją, by stamtąd wybiegła, lecz nie potrafiła. Tkwiła zbyt głęboko w jego uroku, żeby móc teraz odejść.

– Chcę zobaczyć. – Przesunął dłoń na przód jej ciała i zahaczył palcem o dół sukienki, by podnieść ją centymetr po centymetrze, odsłaniając kostki, kolana. Gdy rąbek dotarł do jej uda, opuściła rękę, by go zatrzymać.

Choć drżała i ogarniało ją niegasnące pragnienie, by czuć jego dotyk, nie mogła na to pozwolić.

– Proszę, mój lordzie, ja... nie potrafię patrzeć na siebie w taki sposób.

W jego oczach zawirował mrok, tak niezmiernie szelmowski i intrygujący, że poczuła na karku dreszcz.

– To samo, na co nie potrafisz patrzeć, sprawia, że w nocy oblewa mnie pot – wyszeptał jej cicho do ucha.

Skóra mrowiła ją pod jego słowami, a gdy przycisnął wargi do jej szyi, niemal ugięły się pod nią kolana. Puściła jego dłoń, odwróciła głowę od lustra i poczuła, jak tkanina podsuwa się wyżej. I wyżej. Rąbek połaskotał górną część jej uda, już tylko ledwo zakrywał intymne miejsca.

Kolejny drżący dech przy jej uchu.

– Idealniejsza, niż odważyłem się wyobrażać. – Żeby musnęły naciągniętą skórę jej szyi, gdy coraz bardziej odwracała się od zwierciadła. – Popatrz na siebie, Lustino.

– Nie potrafię.

Delikatna dłoń pokierowała jej twarz w stronę lustra i Lustina wydała z siebie gwałtowny okrzyk na widok odsłoniętych nóg, które sugerowały obecność zaledwie o włos wyżej uświęconego ciała, wciąż ukrytego pod materiałem. Nigdy dotąd nie widziała siebie w taki sposób, ponieważ w klasztorze nie było zwierciadeł. Tak samo w chacie, w której mieszkała z matką. Poznała ich cel dopiero po tym, jak towarzyszyła biskupowi przy nielicznych wizytach do zamożniejszych posiadłości na terenie Praeceptisii.

– Powiniennem podnieść tkaninę wyżej. Choćby dla niemoralnych i nieprzyzwoitych myśli, do jakich skłaniałoby mnie wspomnienie twojego ciała, gdy leżałbym dzisiejszej nocy w łożu. – Chrapliwy głos barona sprawiał, że czuła mrowienie w podbrzuszu.

– Proszę – wydyszała, znów ujmując jego dłoń. – Błagam cię, nie rób tego.

– Dlaczego?

Na dźwięk zbliżających się kroków Lustina zachłysnęła się i gwałtownie obróciła głowę ku drzwiom.

– To tylko służba. – W głosie barona dało się słyszeć nutę zirytowania, gdy przesunął wargami po jej szyi.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem. – Wsunął drugą dłoń pod rąbek jej sukienki, a gdy poczuła szept dotyku na udach, ostro wciągnęła powietrze. Ścisnęły ją ramiona, cichy, udręczony odgłos wibrował na jej w szyi, w miejscu, w którym delikatnie zatopił zęby. – Spotkasz się ze mną w lesie, gdy skończysz pomagać biskupowi. Rozumiesz mnie?

Skinęła głową, nie mogąc oderwać od niego wzroku, gdy trzymał ją przy sobie. Wszystkie te doznania powinny wydawać się złe, a jednak tak nie było. To, co widziała, wzbudzało w niej podniecenie. Pozwalało jej wyobrażać sobie, do jakich nieprawości baron by się posunął, gdyby nie ryzyko, że zostaną przyłapani.

Puścił jej sukienkę, przekrzywił jej głowę do ostatniego pocałunku w szyję, po czym naciągnął górę stroju na jej bark. Później zaś wymknął się z pokoju niczym cień sunący po ścianie.



Lustinę piekły mięśnie, gdy pędziła przez las, a każdy haust powietrza był ucinany przez śmiech, który wzbierał w jej piersi. Patyki zaczepiały się o rąbek jej sukienki i trzaskały, gdy miażdżyła je pod butami. Przed sobą ujrzała małą jaskinię i skuliła się w jej mroku, przyciskając się do skalnej ściany.

Czekała.

Gdzieś tam ścigał ją baron, choć nie widziała go od kilku minut, kiedy to namówił ją na ten wyścig.

Gdy minęły kolejne minuty, wychyliła głowę z jaskini i zauważyła, że nic nie porusza się w okolicy. To spostrzeżenie wywołało uśmiech na jej twarzy. Nigdy jej tu nie znajdzie.

Coś czarnego przemknęło w górze, a gdy podniosła wzrok, dostrzegła ptaka przelatującego nad koronami drzew. Wydawał się dziwnie zawisnąć w powietrzu i przez ułamek sekundy Lustina poczuła się jak mysz na otwartym terenie. Schowała się z powrotem w jaskini, a gdy usłyszała trzask pękających gałęzek, zakryła sobie szybko dłonią usta, żeby się nie rozeźmiać i nie zdradzić swojego położenia.

Trzaski stały się głośniejsze.

Ukryła się głębiej.

Zaległa niesamowita cisza, a fragment nieba widoczny za wylotem jaskini zdawał się ściemnieć.

Dreszcz przebiegł jej po plecach i poczuła niezwykłą ochotę, żeby wybiec z mroku.

Wtedy coś otarło się o jej skórę, a gdy otworzyła usta, żeby wrzasnąć, nakryła je dłoń.

– Ćśśś. Obudzisz nietoperze wampiry. – Baron odsunął rękę.

– Nietoperze wampiry? – Oczywiście wiedziała, że w jaskiniach mieszkają nietoperze. Przecież dorastała w lesie. Niemniej nie miała szczególnej ochoty wejść z nimi w bliski kontakt, a „wampiry” brzmiały szczególnie ohydnie.

Ujął jej dłoń i wyprowadził ją z grotu na światło.

– Jeszcze mi nie mówiłeś, jak zdołałeś przekonać biskupa, żeby tym razem pozwolił mi przyjechać. – Lustina pochyliła się pod niską gałęzią, opuszczając kryjówkę.

– To dzięki mojej matce. Podśluchałem, jak mówiła coś w stylu: „Z całym szacunkiem, wasza ekscelencjo, ale jeśli następnym razem dziewczyna nie będzie ci towarzyszyła, możesz uznać się za niepożądanego gościa w moim domu”.

Ten komentarz wywołał uśmiech na twarzy Lustiny. Oprócz swojej matki nigdy nie poznała kobiety, która akceptowałaaby ją tak bezwarunkowo.

– Wiedz, że twoja matka jest wyjątkowa.

– A także dość przerażająca. Niech Niebiosa mają w opiece tego, kto sprzeciwi się jej życzeniom.

Dziewczyna zachichotała, wciąż brnąc za baronem przez paprocie.

– Jak znalazłeś mnie w tej jaskini? Na pewno oszukiwałeś.

Obejrzał się przez ramię ze swoim charakterystycznym łobuzerskim uśmiechem.

– Ptaki.

– Ptaki. – Lustina parsknęła śmiechem. – Postradałeś zmysły, lordzie Van Croix.

– Nigdy dotąd nie rozmawiałaś z nimi?

– Tylko jeśli nieco za dużo wypiałam. I może po odrobinie makowej krwi.

– To fascynujący rozmówcy. Sporo tracisz.

Wyrwał się z niej niegrzeczny śmiech i pogubiła kroki, potykając się lekko.

– Zatem nalegam, żebyś mi pokazał.

Znowu obejrzał się przez ramię i parsknął.

– Jak sobie życzysz. – Puścił jej dłoń, po czym zagwizdał na dużego czarnego ptaka siedzącego przed nimi na gałęzi drzewa nad ścieżką. Odchrząknął.

– Przepraszam, że ci przeszkadzam. Zastanawiałem się, czy mógłbyś wskazać mi kierunek do posiadłości Van Croix.

Lustina zakryła dłonią usta, lecz nie zdołała zdusić śmiechu.

Zgodnie z jej oczekiwaniami ptak milczał i obserwował ich dwoje.

– Przez ciebie wychodzę na głupca – rzekł Jericho.

– Może nie jest w dobrym nastroju. – Zachichotała i powstrzymała ochotę, żeby zaśmiać się bardziej. – No wiesz, musisz mu trochę polechtać ego. Daj mi spróbować. – Gdy Jericho gestem wskazał, żeby się nie krępowała, podeszła do ptaka powoli. – Och, przystojny ptaku, czy zaszczycisz nas swoim wspaniałym i urokliwym darem wymowy?

Gdy reakcją okazała się cisza, Lustina zgięła się w śmiechu.

– Niezła próba, pisklaku. Ale może on wcale nie wymaga tak kwiecistego ugłaskiwania. Niektórych z nas, samców, urażają takie założenia.

– Nie jestem żadnym pisklakiem, zapewniam cię. Mam mnóstwo doświadczenia z ugłaskiwaniem samców.

Uśmiech na twarzy barona zgasł, zastąpiony zmarszczonym czołem.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że z jakimś ległaś w łóżku? Albo z wieloma?

– Czy to cię zaskakuje?

Wydał wargi. Jej komentarz wyraźnie zrobił na nim wrażenie.

– Kim są te nieszczęsne dusze, które teraz będę musiał wytropić?

– W tym momencie tylko jeden. I cóż, jest bardzo nieśmiały. Oraz psotny. – Ten opis wydawał się podsycać zirytowanie barona, który aż zacisnął zęby. – A gdy wkrada mi się do łóżka, niemal zawsze zajmuje więcej miejsca, niż powinien.

– Domagam się jego imienia.

Lustina westchnęła, po czym tanecznym krokiem skoczyła przed niego i niedbałym gestem przesunęła dłoń po wysokim kwieciu.

– Obawiam się, że nie mogę ci go podać, jako że wielce polubiłam jego towarzystwo i nie chciałabym, żeby ktoś go dopadł.

Zbliżył się do niej.

– Powiesz mi, albo będę musiał zastosować surowsze metody. – Jego zazdrość nie powinna tak jej pobudzać i Lustina miała ochotę uderzyć samą siebie za to, że tak się z nim drażniła.

– I co byś zrobił? Związał mnie, żeby wybatożyć? Już przecież powiedziałeś, że nie podniesiesz na mnie ręki.

Podszedł jeszcze bliżej niej, z dłońmi w kieszeniach, przypierając ją do pobliskiego drzewa samą swoją bliskością.

– Istnieją inne sposoby dręczenia kobiety. A teraz podaj mi imię tego obcego, który zdeptał to, co moje.

– A co jest twoje?

– Dobrze mnie zrozumiałaś.

– W porządku. – Wydeła wargi, próbując się nie roześmiać, gdy wypowiadała imię: – Fergus.

Widząc, jak młodzieniec zmarszczył czoło, Lustina niemal znów wybuchnęła śmiechem.

– Fergus? A gdzie znajdę tego całego Fergusa?

– Najłatwiej w lesie. Od czasu do czasu zapuszcza się na łąkę.

Zmarszczki na jego czole pogłębiły się.

– Na łąkę.

– Właśnie tam są myszy. Przynajmniej te duże i tłuste.

Napięcie w jego barkach zelżało. Popatrzył na nią tak, jakby wreszcie uświadomił sobie, kim jest Fergus.

– Ten samiec, który z tobą sypia. Czy tak się składa, że ma jakieś kocie cechy?

Pokiwała głową, udając zadumę.

– Zdecydowanie.

– Zatem nie ległaś w łóżku z ludzkimi samcami.

Postukała się palcem w podbródek, jakby rozważała to pytanie.

– Nie. Nie przypuszczam, żeby tak się stało. Przepraszam, ale nie uściśliłeś, o jaki rodzaj samca chodzi.

Nachylił się bliżej, aż zawisł nad nią.

– Czy wiesz, że potrafisz doprowadzić mnie do szaleństwa?

– Och, tak. – Z uśmiechem oparła mu dłoń na piersi. – W zasadzie to staram się doprowadzać cię do szaleństwa. Jest ono znacznie barwniejsze niż mdła normalność.

– W istocie. – Nachylił wargi ku jej wargom i spróbował ją pocałować, ale znieruchomiał, słysząc

krakanie ptaka. Zwierzę wydało z siebie dziwny, stukający odgłos i Lustina nagle usłyszała w powietrzu szept: „Ktoś nadchodzi”.

Zdezorientowana, rozejrzała się dookoła i stwierdziła, że nie widzi w lesie nikogo oprócz barona, ptaka oraz oczywiście siebie samej.

– Kto to powiedział? – Gdy tylko o to spytała, zaraz znów odezwał się szept; prześledziła jego brzmienie, aż dotarła do ptaka. – Och! To był on?

– Tak. Mój pierzasty przyjaciel wie, jak najskuteczniej zepsuć atmosferę.

– Słyszałam go! Jakie to dziwne! – Lustina zachichotała, odczuwając jednocześnie zdumienie i niedowierzanie. – Chcę znowu go usłyszeć.

– Mój lordzie – rozbrzmiał zupełnie inny głos. Lustina przekrzywiła głowę i ujrzała jednego ze służących Van Croixów, którego rozpoznała. Jego przygnębiona mina sprawiła, że w żołądku zakotłowała jej się groza. – Chodzi o twoją matkę...

Jericho odsunął się od niej.

– Co się stało?

– Proszę. – Sługa odwrócił wzrok. – Przyjdź natychmiast.

Farryn

W odbiciu w lustrze przyglądałam się ozdobionej haftem krzyżkowym wiktoriańskiej sukni z długimi rękawami i dużą czarną kokardą na szyi. Nigdy nie miałam na sobie nic bardziej niedorzecznego, ale przynajmniej strój zasłaniał żółknące siniaki i zaleczające się zadrapania po upadku.

Przeszłam korytarzem do klatki schodowej, po drodze wygładzając zmarszczki na sukni. Gdy mijalam niewielką wnękę, chłodne powietrze musnęło mi policzek. Przystanęłam i zorientowałam się, że zostawiono w niej otwarte okno. Było już ciemno. To dziwne, jak krótkie wydawały się tutaj dni, jeszcze krótsze niż w zimie w Chicago. Wyglądało na to, że odkąd się obudziłam, minęło zaledwie kilka godzin światła dziennego.

Coś czarnego przemknęło na zewnątrz. Ostrożnymi krokami podeszłam do otwartego okna i zauważyłam cienistą postać siedzącą na dachu oraz białą smużkę papierosowego dymu wznoszącą się w wieczorne niebo. Van Croix wpatrywał się w otwarty krajobraz rozciągający się kilometrami, oświetlony jedynie srebrzystym księżycowym blaskiem.

Aż pulsowała we mnie ochota, żeby wykorzystać okazję i zapytać go o mojego ojca oraz dlaczego było takie ważne, żebym go odnalazła. Jednak już raz tego popołudnia go szpiegowałam, zatem odwróciłam się, by odejść. Zatrzymałam się, gdy się odezwał:

– Wiesz, to niezwykle.

Poczułam zażenowanie, że zostałam odkryta, ale odchrząknęłam i znów skierowałam się do okna.

– Co takiego?

– Kilka rzeczy. Księżyc. Cisza. – Wypolerowanym do połysku butem zgasił niedopałek na szorstkiej powierzchni dachu. – To, jak moje psy potraktowały cię dzisiaj.

– Dla mnie to również było dziwne. Dlaczego księżyc?

– Za trzy tygodnie od teraz nastanie piąty krwawy księżyc. – Dogłębny spokój jego głosu otulał się wokół moich zmysłów. Jego dziwnie przyjemny dźwięk zniewalał mnie.

Przypomniałam sobie notatkę w dzienniku ojca.

– Piąty krwawy księżyc? Jest w ogóle coś takiego?

– To niezwykle rzadkie wydarzenie mające miejsce raz na kilka tysiącleci. Niektórzy sądzą, że tegoroczny będzie oznaczał początek końca.

– Jeśli mogę spytać, co ty sądzisz?

– Sądzę, że koniec nie ma początku.

Ponura natura jego słów pasowała do melancholii w jego głosie. W krótkim czasie, odkąd się tu zjawiłam, zdążyłam odnieść wrażenie, że Van Croix kryje w sobie więcej, niż sugerowała jego opryskliwa fasada. Wyobrażałam sobie, że jego umysł nigdy się nie zatrzymuje, że jego myśli nieustannie się kłębią, nawet w chwilach tak spokojnych jak wpatrywanie się w księżyc.

Coś podskoczyło na dachu obok niego i dopiero wtedy dostrzegłam kruka, który najwyraźniej czuł się swobodnie w jego obecności. Van Croix rzucił czymś, a ptak zerwał się do lotu i zanurkował, żeby chwycić to w powietrzu. Gdy przemykał obok okna, rzuciłam się w tył i niemal umknęła mi chwila, gdy położył przedmiot na parapecie przede mną.

Medalion mojego ojca.

Instynktownie dotknęłam miejsca na piersi, gdzie powinien spoczywać, zaskoczona, że nie zauważyłam jego braku. Zmarszczyłam brwi i obróciłam się znów do ptaka, który wzbił się w niebo i leciał wysoko. Jakże dziwnie było widzieć, że dzikie stworzenie przyniosło coś w taki sposób.

– Wygląda na to, że upuściłaś go po południu podczas całej tej szamotaniny z psami.

Podniosłam medalion z parapeku i otworzyłam go, żeby się upewnić, czy ze środka nie wypadło zdjęcie.

– Dziękuję ci. – Uśmiechnęłam się lekko i uniosłam wzrok, by ujrzeć, że wpatruje się we mnie.

– Twój ojciec. – Nie było to pytanie. Wyglądało na to, że cicha spostrzegawczość jest cechą Van Croixa.

– Tak. Rozpoznajesz go w ogóle?

Po tych słowach odwrócił ode mnie spojrzenie, by znów przyglądać się okolicy, co podsyciło moje podejrzenia.

– A powiniennem?

Choć miałam nadzieję, że okaże się nieco bardziej formalny podczas naszego spotkania, była to chwila równie dobra jak każda inna.

– On... wspominał mi o tobie. Przypuszczam, że według niego mogłeś coś wiedzieć o grupie nazywanej Pentacrux. – Dostrzegłam lekkie drgnięcie jego zuchwy. Pocierające o siebie dłonie.

– Tak wspominał?

Musnęłam kciukiem tkaninę sukni w miejscu kryjącym moje znamię. Nie zamierzałam mu go pokazywać i ryzykować, że wyjdę na równie zwariowaną jak mój ojciec, kiedy mi o nim mówił. – Owszem. Powiedział mi, że...

– Panno Ravenshaw, dobra rada: jeśli zamierzasz tutaj zostać, nie marnuj mojego czasu na rzeczy, które mnie nie dotyczą. Nie obchodzi mnie Pentacrux ani wszelkie historie, którymi mógł cię raczyć ojciec. Już teraz podchodzę z ostrożnością do twoich intencji i dobrze byś na tym wyszła, gdybyś nie podsyciała moich podejrzeń.

– Mogę cię zapewnić, że moje intencje nie mają złej natury. Po prostu uznałam, że być może mógłbyś rzucić trochę światła na tę grupę.

– Nie mam dla ciebie żadnych informacji. – A jednak, wbrew jego stoickiemu obliczu, jedno zerknięcie tego samotnego błękitnego oka kryło w sobie tysiąc sekretów.

Po tym, jak uchylił się przed moim pierwszym pytaniem, coś mi mówiło, że tak naprawdę spotkał mojego ojca. Mogłabym opowiedzieć mu o stronie z jego dziennika, o strachu, że najwyraźniej odkrył coś niebezpiecznego. O morderstwach. O tym, skąd naprawdę pochodzę i jak znalazłam się w Nocnym Cieniu. Ale wtedy wzbudziłabym w nim jedynie większe podejrzenia. Jeśli tylko będę ciągnęła tę farsę, iż jestem opiekunką jego psów, być może zdołam zyskać jego zaufanie. Czas niewątpliwie nie działał na moją korzyść, chyba że planowałam zapomnieć o dotychczasowym życiu po drugiej stronie, musiałam zatem wykazać się rozsądkiem.

Będę musiała przemówić do niego na innym poziomie. Może zastosować odrobinę kobiecego uroku, przy założeniu, że nie jest na niego całkowicie odporny.

Fuj.

Sama ta myśl mnie przerażała. Nigdy nie byłam wprawna w zyskiwaniu w ten sposób męskiej uwagi. W sumie wychodziło mi to zupełnie niezręcznie. Jak zresztą dziewczyna miała zabrać się za oczarowanie mężczyzny, który według plotek był Śmiercią?

Niepewna, jak mu odpowiedzieć, zmilczałam, próbując zapiąć łańcuszek, który nie chciał zamknąć się tak łatwo jak wcześniej. Odsunęłam go od skóry i zauważyłam, że zapinka jest lekko zgięta.

Van Croix westchnął ze znużeniem i przechylił się na bok.

– Odwróć się.

Wykonałam polecenie i oparłam się o parapet, dzięki czemu nie musiał daleko sięgać, by unieść naszyjnik znad mojego karku.

– Odchyl się w tył – rozkazał cichym głosem.

Szybkie zerknięcie przez ramię ukazało mi stromą pochyłość dachu i odległość do ciągnącego się w dole betonu, na którym z pewnością połamalabym sobie każdą kość, gdybym się zsunęła. Oddychając przez nos, zamknęłam oczy i wychyliłam się z okna, tak mocno ściskając palcami parapet, że piekły mnie paznokcie.

– Boisz się wysokości. – I znów nie było to pytanie.

Przełknęłam z trudem ślinę i jedynie skinęłam głową, nie czując się zbyt komfortowo z ujawnianiem przed nim swojej największej fobii.

Gorące palce musnęły mi skórę, odwracając moje myśli od lęku, i dopiero wtedy przypomniałam sobie, że minęło wiele czasu, odkąd ostatnio byłam w tak bliskim kontakcie z mężczyzną. Tyle lat zachowywałam rezerwę, że tak naprawdę pozbawiłam się ludzkiego dotyku. Przerodził się on w coś w rodzaju bólu fantomowego i wspomnienie ostatniego spotkania wciąż pulsowało mi pod skórą. Ciepło rozkwitło w moim

wnętrzu dziwnym, i niewyjaśnionym spokojem.

Przygryzłam wargę, żeby stłumić drżenie. Jego dotyk obudził zagadkowe myśli. Na przykład, jakie to byłoby uczucie, gdyby sunęła po mnie jego dłoń.

Zanim zdążyłam zabrnąć zbyt głęboko w te fantazje, puścił naszyjnik, który wydał mi się chłodny na karku.

– Dziękuję ci – powtórzyłam.

Nie odpowiadając, obrócił się znów do księżycy i oparł łokcie na kolanach jak wcześniej, a ja dostrzegłam, że lekko naprężył palce.

Po tym, jak mnie dotykał?

Zaś gdy zmarszczył nos, na nowo uderzyła mnie narastająca paranoja związana z moim zapachem. Nie zachowywał się szczególnie czarująco.

Choć jednak wydawał się zdystansowany, uderzały mnie smutek i samotność, jakie w nim wyczuwałam, i miałam ochotę spytać, co trapi kogoś takiego jak on. Introspektywnego małomównego mężczyznę. Tak wiele pytań kusiło mnie, żebym tu została i swoją dociekliwością zaryzykowała jego irytację.

Zamiast tego ruszyłam znów w kierunku jadalni, wsuwając naszyjnik pod sukienkę.

Aurelia, siedząca na przeciwnym końcu długiego stołu, pomachała do mnie, a ja uśmiechnęłam się z wdzięcznością. Bardzo ucieszyła mnie jej obecność, zwłaszcza po tym, jak poznałam resztę personelu, która wydawała się postrzegać mnie raczej jako utrapienie albo jakiś zły omen.

– Co za ulga. Myślałam, że będę jadła sama – powiedziałam, siadając obok niej.

– Absolutnie nie. Nikt nie powinien jadać sam!

– Aurelio... czy uważasz... że pachnę dziwnie?

Nachyliła się bliżej i pociągnęła nosem. Wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Nie wyczuwam nic nieprzyjemnego, jeśli o to ci chodzi.

– Tak, dziękuję ci. Po prostu wpadłam w lekką paranoję po pracy z psami.

– Na pewno nie pachniesz tak jak te kundle.

Jedzenie pojawiło się na wspaniałych półmiskach z białej porcelany ozdobionej czarnymi różami, podane przez kobiety, które rozpoznawałam z wcześniejszej wizyty w kuchni. Najpierw przystawka, czyli ślimaki w maśle z czosnkiem i pietruszką, później zaś coś, co uznałam za pieczoną kaczkę w sosie z czerwonych owoców, i najpyszniejsze wino w moim życiu. Nigdy nie jadłam wykwintniejszej kolacji. Miałam tylko nadzieję, że dziewczyny z personelu kuchennego nie napluły do niej.

– Miło jest mieć z kim zjeść – powiedziała z chichotem Aurelia, po czym upiła łyk wina.

– Wcześniej jadałaś sama?

Przełknęła trunek, przytaknęła i położyła dłoń na brzuchu.

– Tylko ja i mała Miriam.

Miałam ochotę spytać, skąd wie, że to dziewczynka, ale zachowałam tę myśl dla siebie.

– Czy kolacje zawsze są tu takie wykwintne?

– Tak. Zdecydowanie lepsze niż w poprzednim miejscu mojego pobytu.

– To dziwne, że nikt inny do nas nie dołącza.

Wzruszyła ramionami i nabrała sobie pokąsną porcję kaczki.

– Nie jedzą wiele. To dlatego są takie chude – odparła z ustami pełnymi jedzenia. – Poznałaś już wszystkich?

– Chyba tak. Nie wiem tylko, jak ma na imię blondyn.

– Remy. To prawa ręka pana Van Croixa.

– Jest dziwny, prawda?

Zarumieniła się, uśmiechnęła i odwróciła wzrok.

– Tak szczerze mówiąc, to uważam go za całkiem przystojnego. – Przygryzła dolną wargę. – Raz widziałam go bez ubrania. Stał na skraju urwiska. Miał nagie umięśnione plecy. Muszę przyznać, że robiły wrażenie. – Podniosła dłoń do ust, powstrzymując chichot. – Na pewno będę musiała odpokutować, że go śledziłam.

Znów przypomniałam sobie, jak sama obserwowałam Van Croixa. Poruszyłam się niespokojnie na krześle. Nagle nasza rozmowa zabrnęła w krępujące rewiry. Nie przywykłam do plotkowania z kobietami o mężczyznach, zwłaszcza nagich.

– Co on robił na skraju urwiska?

– Skakał. Jest trochę ryzykantem. Kilka razy widziałam go podczas skoków. Za pierwszym razem niemal się zmoczyłam. Myślałam, że patrzę na próbę samobójstwa, dopóki nie ujrzałam, jak wyłania się spod wody, jak gdyby nigdy nic. Tutejsi mężczyźni są nieco dziwni, w razie gdybyś nie zauważyła. Pan Van Croix spędza mnóstwo czasu na dachu i w dzwonnicy. To niesłychanie śmiałe, zważywszy, jak jest tam niebezpiecznie. Nie wiem, czy słyszałaś, ale w dzwonnicy zginęli ludzie. – Jej brew drgnęła, jakby dziewczyna знаła kogoś, kto tam umarł.

– Trochę boję się błyskawic. – Tę fobię zainspirowała nie tylko śmierć mojej matki. Odkąd byłam mała, zawsze miałam wrażenie, jakby błyskawice mnie szukały, jakby chciały mnie dopaść, widziałam to po sposobie, w jaki migotały wokół okna mojego pokoju w burzowe noce.

– Zatem na pewno byłoby lepiej, żebyś trzymała się z dala od dzwonnicy. I to nie tylko z powodu błyskawic. Niektóre z dziewcząt mówią o... różnych rzeczach w odniesieniu do pana Van Croixa. – Uniosła brwi i wydeła usta, a ja wiedziałam już, że zaraz poznam kolejne pogłoski.

Tak bardzo zależało mi, żeby dowiedzieć się o nim więcej, że nawet mnie nie obchodziło, iż wysłuchuję plotek o nim. Nie potrafiłam powiedzieć dlaczego, ale wszystko, co wiązało się z tym mężczyzną, mnie intrygowało. Im więcej się o nim dowiadywałam, tym więcej chciałam wiedzieć.

– Jakich rzeczach?

– Bardzo niemoralnych czynach. Nienaturalnych. – Aurelia poruszyła się jakby niespokojnie. – Sama myśl o tym, co robi niektórym dziewczętom, mnie przeraża.

– Krzywdzi je?

– Cóż, mówią nie tyle o ranieniu, co o strachu. Wydaje mi się, że niektóre z tutejszych kobiet uwielbiają takie sprawy. Oczywiście sama nie mam o tym najmniejszego pojęcia. Mnie nigdy nie zapraszał. – Znowu położyła dłoń na brzuchu i wsunęła kolejny kęs do ust. – Ludzie myślą, że tylko dlatego, że ktoś jest w ciąży, nie ma już ochoty na pokładanie się z mężczyzną. – Czasami dziwnie się wypowiadała, jakby decydowała się unikać pewnych słów, na przykład „seks”.

Uznawszy, że przyda się zmiana tematu, spytałam:

– A czym są te rury, które podobno grzechoczą w nocy?

– To nie rury, tylko dzwon. Nie słyszałaś go jeszcze? Och, czasami robi tak wielki hałas. Ledwo mogę spać!

– Przypuszczałam, że to coś w ścianach.

– Nie. Zaufaj mi, to dzwon. Śpię tuż pod nim, więc słyszę go całkiem wyraźnie.

– Śpisz tam? Czy to nie jest niebezpieczne?

– Och, to nie we właściwej dzwonnicy. Pod nią leży krypta.

Miejsce, do którego Anya nie pozwoliła mi chodzić. Dziwne, że Aurelia tam sypiała.

– To mogą być też biegające szaleńczo szczury – paplała dalej dziewczyna. – Chociaż jeszcze ani jednego tu nie widziałam. Pewnie po części chodzi też o psy i Sznyta.

– Sznyta?

– Kruka. To zwierzak pana Van Croixa. Podobno mówi, ale nigdy go nie słyszałam.

– Ptaka czy Van Croixa?

Aurelia znowu zachichotała i pacnęła mnie w rękę.

– Ptaka, głuptasie. A tak w ogóle to jak ci się to udało? Poskromić te psy?

– Nie wiem. Chyba po prostu nie uznały mnie za zagrożenie?

– Budzą we mnie trwogę. Zawsze bałam się psów. Zostałam ugryziona, gdy byłam mała. Podobno taki uraz już nigdy cię nie opuszcza, kiedy następuje w tak młodym wieku.

Jej słowa przywołały wspomnienie zalewającej mnie wody i ostrego pieczenia w nosie. Odeгнаłam od siebie tę wizję. Przyływ adrenaliny sprawił, że poczułam w piersi zimno, co kazało mi głęboko odetchnąć.

– Farryn? Dobrze się czujesz?

Zamrugałam, żeby dojść do siebie, po czym ujrzałam, że Aurelia uniosła wyczekująco brwi.

– Przepraszam, co mówiłaś?

– Pytałam, czy zamierzasz zjeść kolację. W ogóle jej nie ruszyłaś.

– Och. – Szybkie zerknięcie pokazało mi, że moje sztućce leżą przy nietkniętej pieczonej kacze. – Chyba nie jestem głodna.

– Mogę zjeść, jeśli nie chcesz.

Przesunęłam talerz w jej stronę, uśmiechnęłam się i skinęłam głową. Część mnie miała ochotę wymknąć się do biblioteki, którą widziałam wcześniej podczas oprowadzania po kaplicy. Inna część nie chciała zostawić Aurelię tutaj, żeby jadła sama. Dotkliwie poczułam ciężar myśli, że gdy odejdę stąd i wrócę do dawnego życia, ona tu zostanie. Będzie jadła w osamotnieniu. Jak długo? Ile czasu dusza trwa w tym miejscu, zanim zostanie odesłana do kolejnego celu?

Siedziałam w milczeniu, podczas gdy ona gawędziła o swoich codziennych obowiązkach, a gdy dokończyła moją kolację, rozstałyśmy się, żeby pójść spać.

Lustina

Muzyka wypełniała posępną katedrę, gdy Lustina wyrzała zza jednej z marmurowych kolumn, by obserwować młodego barona grającego na wyjątkowo wielkich organach o piszczalkach sięgających stropu. Akustyka miejsca sprawiała, że przez dziewczynę przechodziły tak silne wibracje, iż czuła każdą smutną nutę.

Dopiero gdy utwór się skończył i młodzieniec siedział w ciszy, odważyła się opuścić swoją kryjówkę. Nie zwracał sobie głowy, żeby obrócić się i na nią spojrzeć, gdy muskał klawisze.

– Mój dziadek grał w kościele. Matka uwielbiała patrzeć wtedy na niego.

– Twoja rodzina nie zawsze była szlachtą?

Prychnął i ironicznie przekrzywił wargę.

– To chyba zależy od tego, co uważasz za szlachtę. Jako biedny człowiek mój dziadek był zdecydowanie szlachetniejszy. Pokorny.

Lustina podeszła bliżej, założywszy dłonie za plecami. Choć nie pozwolono jej wziąć udziału w nabożeństwie pogrzebowym jego matki, obserwowała je ze strychu, zdumiona, ile osób przybyło, żeby złożyć kobiecie wyrazy szacunku.

– Ceremonia twojej matki była piękna. A ona sama wyglądała tak spokojnie.

Patrząc na jego profil, widziała, jak zmarszczył brwi, jednak wciąż na nią nie spoglądał.

– Jej pogrzeb był jedyną rzeczą z nią związaną, do jakiej przyłożył się kiedykolwiek mój ojciec.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, nerwowo ścisnęła fartuch sukienki.

– Nigdy nie znałam swojego ojca. Urodziłam się z nieprawego łóża.

– I dzięki temu jesteś lepsza.

– Jak to?

Uderzył pięścią w klawisze organów, wywołując okropny hałas, który zmusił Lustinę do zakrycia uszu.

– Czy wiesz, co teraz się wydarzy? Przy pierwszej nadarzającej się okazji zostaną wysłani na wojnę. On tak długo czekał na ten dzień.

– Dlaczego? Jak mógłby to zrobić twojej matce? Kobiecie, którą kochał?

Prychnął goryczką, baron zupełnie się od niej odwrócił.

– Jak ktokolwiek, kto kocha swoją żonę, mógłby stać bezczynnie, gdy ta umiera? Ja nie. Wykorzystałbym wszelkie siły na świecie, żeby przywrócić jej zdrowie. Próbowałbym. Użyłbym wszelkich zasobów, jakie miałbym do dyspozycji. – Gniew w jego głosie wydawał się starannie tłumiony, jakby baron wstrzymywał wściekłość w sobie. – Ocaliłbym ją.

– Zatem jesteś lepszym człowiekiem niż twój ojciec.

Obejrzał się przez ramię i parsknął.

– A co ty wiesz o dobroci mężczyzn?

Lustina spuściła wzrok, wciąż gmerając przy sukience.

– Tak naprawdę nic nie wiedziałam o ich dobroci, dopóki nie poznałam ciebie.

– Jeśli uważasz mnie za dobrego, to jesteś głupia.

Musiała przypomnieć sobie, żeby nie uznać tego za obrazę. Nie minęło jeszcze tak wiele czasu, odkąd sama straciła matkę, by nie pamiętała odczuwanej wtedy goryczy i złości. Rozżalenia na cały świat.

– Nie winię cię za te słowa. Rozumiem ten ból. Ten gniew. Czułam go wiele lat.

– Skąd możesz wiedzieć, co ja czuję? Twoja matka była czarownicą. – W chwili, gdy te słowa padły z jego ust, na jego twarzy pojawiły się wyrzuty sumienia i ból. Wciąż jednak wypowiadał krzywdzące rzeczy,

a Lustina wyrozumiale milczała, pozwalając mu wyzwolić wściekłość. Wiedziała bowiem, że gdyby dusił ją w sobie, ta mogłaby wybuchnąć gwałtownie. – Jeśli czujesz to samo co ja w związku ze swoją matką, jeśli jej w ogóle współczułaś, to być może również jesteś czarownicą.

Powstrzymała łzy, które napłynęły jej do oczu po tych oskarżeniach, i uniosła podbródek.

– Czy chodzi o czarownicę, czy o anielicę, matczyzna miłość jest taka sama. Nie pozwól, żeby ten ból odmienił ci serce, mój lordzie. Ona nie chciałaby tego dla ciebie.

– Nie mów mi teraz, czego chciałaby moja matka. Kilka przypadkowych spotkań z nią nie sprawiło, że stałaś się wtajemniczona w jej chęci i pragnienia.

– Nie musiałam odbyć z nią więcej niż kilku przypadkowych spotkań, żeby wiedzieć, iż była dobra. Tak wyjątkowa i dobra, że jej brak oznacza niezgłębione konsekwencje.

Jego wzrok wyostrzył się jak u drapieżcy.

– Mówi to dziewczyna, której matka spłonęła na stosie. Czy to jedna z jej nedorzecznych przepowiedni? Może lepiej, że zginęła.

Właśnie wtedy Lustina uświadomiła sobie, że posunął się za daleko. Sięgnął do takich głębin nieracjonalnego bólu, że w tym momencie zapewne nie mogła go już stamtąd wyciągnąć. Spuściła wzrok, żeby ukryć łzy spływające jej po policzkach.

– Być może mojej matce nie wyświadczono łaski chrześcijańskiego pochówku, ale kochałam ją nie mniej, niż ty kochałeś swoją. I jeśli to czyni mnie w twoich oczach czarownicą, to jesteś równie ślepy jak wszyscy inni.

Obróciła się, żeby odejść, ale poczuła na ramieniu silny uścisk.

– Nie odchodź ode mnie. Nigdy! – Jego gniew osiągnął poziom, jakiego dotąd nie widziała. Oczy zrobiły się mu równie czarne jak tamtego dnia w lesie. Nie był już pogrążonym w żałobie chłopcem, o którego się troszczyła, tylko straszliwym zagrożeniem.

Przekreśliła rękę i szarpała się w jego stalowym chwycie, żeby się uwolnić.

– Nie dotykaj mnie tak, jakbym była twoją własnością. Nigdy.

– Właśnie tym jesteś!

Z pewnym wysiłkiem zdołała wreszcie się oswobodzić.

– Nigdy nie będę do nikogo należała. A już na pewno nie do ciebie!

Skoczył ku niej, ale w tym momencie jedna z pentashy weszła do katedry i oboje gwałtownie znieruchomieli.

– Co tu się dzieje? – spytała kobieta, przesuwając wzrokiem od dziewczyny do barona.

Młodzieniec cofnął się o krok, najwyraźniej próbował nad sobą zapanować, być może pierwszy raz od ostatnich kilku minut. Odchrząknął, a jego oczy znów stały się niebieskie.

– Lustina właśnie... oferowała mi słowa pocieszenia.

To fałszywe wyznanie rozdarło jej serce. Widziała, że zupełnie go nie pocieszyła. Tak naprawdę zapewne nie wzburzyłby się, gdyby zostawiła go w spokoju i pozwoliła grać muzykę, którą jego matka tak bardzo kochała.

– Mój lordzie, twój ojciec poprosił mnie, żebym cię przyprowadziła. On i biskup Venable chcieliby z tobą porozmawiać.

Baron skinął Lustinie głową w sposób, który uznała za przyznanie się do porażki, i minął ją bez słowa.

Farryn

Puk, puk, puk.

Dźwięk dotarł do moich uszu przez pustkę i otworzyłam oczy w ciemnej sypialni. Drzewo na zewnątrz drżało szaleńczo, jego wiotkie gałęzie sunęły po szkle niczym palce. Wiatr nabrał mocy i świszczął przy szybie niczym ostatni dech nocy.

Stękając z wyczerpania, odwróciłam się od okna.

Puk, puk, puk.

Puk, puk, puk.

Przykryłam głowę poduszką i zacisnęłam powieki, poszukując snu, którego z pewnością będę potrzebowała, żeby przetrwać następny poranek.

Puk, puk, puk.

Odgłos wdzierał mi się do głowy i choć poduszka go tłumiła, wciąż słyszałam go w myślach.

Zrzuciłam z siebie poduszkę i usiadłam, by wpatrywać się w natrętną gałązkę, którą tak bardzo miałam ochotę złamać.

Zamiast tego sięgnęłam po szlafrok leżący u stóp łóżka, gdzie rzuciłam go wcześniej, i podreptałam do drzwi. Po drodze chwyciłam wciąż płonąca na kominku lampę i podkręciłam ją odrobinę, dzięki czemu w sypialni zrobiło się jaśniej.

Korytarz wydawał się pusty, lecz zwróciłam szczególną uwagę na skrzyżowanie na jego końcu, gdzie pierwszy raz zobaczyłam Van Croixa. Tam również było spokojnie i gdy nie dostrzegłam żadnego ruchu, wyślizgnęłam się z pokoju i przemknęłam do klatki schodowej, a następnie przedostałam się do zachodniego skrzydła katedry, by dotrzeć do biblioteki.

Gdy jako dziecko czułam się w nocy wystraszona lub niespokojna, wtedy albo ciotka śpiewała mi wesołą piosenczkę, którą wymyślała, żeby odstraszyć potwory, albo też wyciągałam książkę i zatracalam się w innym świecie. Zawsze działało. Kończyło się na tym, że zmęczona zasypiałam i budziłam się rano z książką na twarzy. Oczywiście zawsze najbardziej lubiłam baśnie, ale nie byłam wybredna. Jeśli tylko coś odciągało moją uwagę od zalegających w sypialni cieni, byłam gotowa czytać wszystko.

W korytarzu rozbrzmiał dźwięk, który sprawił, że się zatrzymałam. Mocna melodia rozlała się w powietrzu. Podążyłam za smutnymi tonami w kierunku empory organowej, gdzie przed zajmującym całą ścianę instrumentem siedział Van Croix.

Czarny jedwab jego szlafroka zwieszał się z ławy, a jego ciało poruszało się wraz z każdym niezwykłym akordem. Urzekający utwór niósł w sobie aurę melancholii i zagłady. Każda nuta była tak wyrefinowana, że zastanawiałam się, jak jedna osoba może wzbudzać tak wiele z nich jednocześnie.

Stopy poniosły mnie bliżej, ale żeby nie zostać zauważoną, ukryłam się za jedną z kolumn i odstawiłam lampę na podłogę. Obserwowałam go.

Jego dłonie przesuwające się po klawiszach.

Jego skoncentrowaną i niezaniepokojoną twarz.

Ten widok i ta ponura melodia kojarzyły mi się ze starym filmem o Draculi.

Poczułam na karku coś ciepłego i znajomego. Dziwne wrażenie, którego nie potrafiłam określić. Jak déjà vu, ale bardziej ulotne. Wpatrywałam się w pustkę, desperacko próbując utrzymać to niezidentyfikowane jeszcze doznanie w głowie, i zaciskałam palce na grubej, drewnianej kolumnie. Muzyka ucichła i zapanował niesamowity spokój.

– Czy zamierzasz szpiegować mnie przy każdej nadarzającej się okazji, panno Ravenshaw? – Choć słychać w nim było nutę znudzenia, głos cechował się głęboką, dźwięczną intensywnością.

Pulsująca we mnie nerwowa energia zamrowiła mnie na plecach. Podniosłam lampę i wyszłam

z kryjówki.

- Przepraszam, nie chciałam ci przeszkadzać. Ta muzyka, którą właśnie grałeś, była taka piękna.
- Co najwyżej amatorska.
- Jak się nazywa ten utwór?
- *Prophetiae*. – Mówił z akcentem, jakby był dobrze zaznajomiony z językiem.
- Przepowiednie?
- Mówisz po łacinie?
- Tylko odrobinę, żeby jakoś sobie radzić w pracy. Ty to napisałeś?
- Nie. Kompozytor już dawno odszedł.
- Jest piękny.

Z miejsca obok siebie podniósł kieliszek z zielonkawym płynem i upił łyk.

- Czy mogę spytać, dlaczego wałęsasz się tak późną nocą?
- Za oknem mam gałąź drzewa. Stuka nieprzerwanie i doprowadza mnie do szaleństwa.
- Każę ją jutro usunąć.
- Nie jestem pewna, czy zrobi to jakąś różnicę dla mojego snu. Zawsze byłam poniekąd sową. –

Uśmiechnęłam się i spuściłam wzrok, obejmując nim siebie i białą koszulę nocną, która nie w pełni osłaniała kontur mojego ciała. Otuliłam się mocniej szlafrokiem i ścisnęłam go paskiem. Gdy znowu podniosłam spojrzenie, zorientowałam się, że mężczyzna zerka na mnie kącikiem niezastłoniętego oka. – Czy ty też masz problemy ze snem, panie Van Croix?

Chyba nawet nie próbował ukrywać pożądlivego wyrazu twarzy, wręcz bezwstydnie oblizał wargi, co sprawiło, że poczułam trzepotanie w żołądku.

– Czasami.

– To oznaka spragnionego umysłu – stwierdziłam niepewnie. Choć bardzo chciałam zwrócić na siebie jego uwagę i miałam nadzieję, że zdołam wkraść się w jego myśli, ten mężczyzna wzbudzał we mnie nerwowość.

– Słucham?

– Tak mawiała moja ciotka, gdy błąkałam się po domu w nocy. Twierdziła, że mój umysł pragnie... ugasić pragnienie. Jak dziecko, które budzi się i chce dostać szklankę wody albo mleka. – Zerknęłam w stronę drinka stojącego przy nim na organach. – Bądź też trunku.

Westchnął, obrócił się do klawiatury i znowu sięgnął po kieliszek.

– Czego jesteś spragniona?

W sposobie, w jaki sformułował to pytanie, kryło się coś, przez co zaschło mi w ustach i nagle zapragnęłam jego napitku.

– Zrozumienia. Rozsądku. Szłam właśnie do biblioteki, żeby trochę poczytać. A ty?

– Urozmaicenia. – Po tych słowach prychnął lekko śmiechem i upił kolejny łyk.

– Przypuszczam, że muzyka jest do tego odpowiednia.

– Wolę bardziej cielesne rozrywki, ale owszem, chyba jest. – Zachwiał się lekko i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że jest nieco odurzony. – Możesz uważać się za szczęściarę. Gdyby nie twój stan, mógłbym się tobą zainteresować.

– Mój stan?

– Niewinności i naiwności. Śmierdzisz nimi. – Zacisnął zęby, jakby to słowo zostawiło mu gorzki posmak na języku.

Zmarszczyłam brwi i spróbowałam dyskretnie się powąchać, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście chodziło mu o smród.

– Nie jestem tak niewinna, jak zdajesz się przypuszczać.

– Nie, oczywiście że nie. – Zakręcił trunkiem, wpatrując się w jego powierzchnię, jakby go to zauroczyło. – Jednak mnie odszukałaś, prawda? Jakaś dziwaczna fantazja wybudziła cię ze snu. I oto jesteś. – Uniósł kieliszek jakby w geście toastu i znów nim zakręcił. – Kolejne przypadkowe spotkanie?

Poskładałam sobie znaczenie jego słów i powstał obraz, który sprawił, że zmierzyłam mężczyznę wzrokiem. Owszem, dążyłam do tego, żeby go zauroczyć, ale nie odszukałam go. – Czy sugerujesz, że przysłałam do ciebie dla... no wiesz...

– Chyba znasz to słowo, prawda? Cztery litery. Dość prosta wymowa. – Gdy słyszałam wyraźny

sarkazm w jego głosie, mrowiły mnie ręce i żałowałam, że nie mogę go uderzyć.

– Jestem całkiem nieźle zaznajomiona z tym słowem, dziękuję.

– Naprawdę?

– Tak. Zresztą to nie twój interes.

– I nie chcę, żeby się nim stał.

Nieźły numer z tego faceta. Tyle zarozumiałości upchniętej w czaszce musiało przyprawiać go o piekielne bóle głowy.

– Choć podobała mi się twoja muzyka, mogę cię zapewnić, że nie odszukałam cię celowo.

– Nie zależałoby to wyłącznie od ciebie. – W jego głosie nie słychać było niczego oprócz znużonej obojętnej apatii. – Nie czujesz tego? Pragnienia?

– Pragnienia czego? – Jedynym pragnieniem, jakie czułam, była chęć trzaśnięcia dłonią w ten jego idealnie zarysowany policzek.

Zatrzymał kieliszek w połowie drogi do ust i spojrzał na mnie.

– Interesujące. – Wydawał się przyglądać mi przez chwilę zdrowym okiem, zanim znów przechylił naczynie, żeby się napić. – Zmykaj już, mały pisklaku. Leć poczytać sobie książki.

Przypuszczałam, że pisklak mógł być aluzją do mojego wcześniejszego komentarza o sowie. Albo kolejną uszczypliwością w stosunku do mojej niewinności, jak to ujął.

– Zawsze jesteś taki uprzejmy czy to wyjątkowa okazja?

Jęknął, nie zwracając sobie głowy, by na mnie spojrzeć.

– Zawsze jesteś tak nieskończenie chętna do rozmowy?

– W zasadzie to nie. Musi to być wpływ twojej promiennej osobowości.

– Dlaczego tu przebywasz?

– W katedrze? Mówiłam ci już.

– Naprawdę sądzisz, że uwierzę, iż natknęłaś się na Anyę przypadkiem? Przybyłaś tu z jakiegoś powodu. Którego jeszcze nie zdradziłaś.

– Nie wierzysz, że mógł mnie tu przywieść los?

– Wierzę w los tak samo, jak w twoje intencje, żeby okazywać niewinność

Kto mógłby go za to tak naprawdę winić, skoro sama nie wiedziałam, co skłoniło mnie do szukania tego dziwnego miejsca?

Ostrzeżenie ze strony ojca, rzecz jasna. I możliwość, że tata wciąż może żyć. Ale co, jeśli przebywał tu zbyt długo? Co, jeśli mnie nie rozpozna? Albo, co gorsza, jeśli nie chce zostać znaleziony?

Było też coś jeszcze. Coś niewyjaśnionego, co skłoniło mnie do szukania Xhiphiasa. Przypomniałam sobie, co czułam, gdy stałam u wylotu tamtego zamglonego zaułka. Zupełnie jakby zawrócenie nie wchodziło w grę. A jednak nie potrafiłam wytłumaczyć, co mną kierowało. Jakaś niewidoczna siła, która nie chciała mnie puścić.

– Szczerze nie wiem, dlaczego tu jestem. Pragnę się tego dowiedzieć.

– Podczas gdy wędrujesz tą ścieżką prowadzącą do samopoznania, chciałbym udzielić ci pewnej rady. Jeśli choć trochę cenisz sobie swoją duszę, panno Ravenshaw, sugeruję, żebyś trzymała się ode mnie z daleka.

– Zapamiętam. – Skinęłam głową i ruszyłam dalej w kierunku klatki schodowej, a gdy mijałam organy, przekręcił gwałtownie głowę w bok.

– Zgaduję, że nie jest to moje ostatnie nocne spotkanie z tobą.

– Nie jest, chyba że wolisz, abym pozostawała w swoim pokoju.

– Jest mi to obojętne. – Po tych słowach obrócił się znów do organów i muzyka na nowo wypełniła przestrzeń.

Farryn

Ciepło uderzyło mnie w twarz i zmrużyłam powieki przed jasnym promieniem światła. Policzek przesunął mi się po czymś twardym, zimnym i wilgotnym, a później otworzyłam oczy i ujrzałam stosik książek.

Co?

Podniosłam głowę ze stołu, odsuwając policzek od kałuży śliny. Rozejrzałam się i zorientowałam, że zasnęłam w bibliotece.

Lampa już dawno zgasła, a ostry ból w zuchwie kazał mi rozmasować zalegający w niej skurcz. Rękawem szlafroka wytarłam wilgoć z twarzy i wstałam. Szare niebo barwy pomyj widoczne za oknem zwiastowało kolejny ponury dzień, a chłód klejący mi się do skóry wskazywał, że również zimny.

Pospieszyłam z powrotem do swojego pokoju i zostawiłam książki na stole z zamiarem przebrania się w jakiś strój roboczy. Otworzyłam szafę i ujrzałam, że wiszą tam trzy nowe sukienki.

Kolejne sukienki.

– To naprawdę jest piekło. Musi być – mruknęłam, zrywając jedną z nich z wieszaka.

Jedynymi okazjami, gdy w okresie dorastania celowo zakładałam sukienki, były pogrzeby i wieczorki pokerowe ciotki Nelle – nalegała na to, ponieważ wszystkie uczestniczące w nich panie również je nosiły, jak w jakiejś sekretnej pokerowej sekcji. Sarkając na długość stroju sięgającego mi za łydki i na niewygodne skórzane buty, które zupełnie nie pasowały do całości, wybiegłam z sypialni, pominęłam śniadanie i popędziłam do stajni.

Garic stał na moim miejscu i ze zmarszczonym czołem rąbał mięso. Zaczęłam się zastanawiać, czy rzeczywiście robi taką minę, czy też jego twarz po prostu zawsze tak wyglądała.

– Spóźniłaś się.

– Wiem, przepraszam. To się nie powtórzy. Przejmę sprawę.

Podał mi tasak, który wzięłam z pewnym wahaniem. Dobry Boże, jaka rasa psów zjada codziennie pół martwego jelenia?

– To się powtórzy. Bo twoje pokolenie nie przejmuje się nikim poza sobą. Jesteście samolubni. Wszyscy.

– Tak będzie wyglądał każdy dzień z tobą, Garicu? Ot, jestem ciekawa.

Mamrocząc coś pod nosem, oddalił się kuśtykającym krokiem.

Wszystkie trzy kundły stały nieruchomo z jęzorami wywalonymi w dziwnych uśmiechach, podczas gdy rąbałam mięso, które bynajmniej nie kroilo się tak łatwo jak masło. Zanim psie śniadanie dobiegło końca, kręciło mi się już w głowie z wysiłku. I zapewne z głodu, choć mój apetyt zgasł po całym tym siekaniu. Gdy pozbyłam się już kości i tego, co uznałam za niejadalne części zwierzęcia, wrzuciłam resztki do jamy.

Gdy obejrzałam się przez ramię, ujrzałam Van Croixa – rozmawiał z Garikiem, ale cały czas śledził mnie wzrokiem. Gorąco wystąpiło mi na policzki. Pomachaj, ponaglała mnie głowa.

Podciągnął z niesmakiem wargę i odwrócił spojrzenie, przez co pożałowałam tego gestu.

– Ktoś tu ma kaca – mruknęłam do siebie i wtedy dostrzegłam zakrwawiony strzęp mięsa zwisający mi z rękawa na pasku tłuszczu, ścięgnie albo czymś innym, co było białe i absolutnie odrażające. – Faj! – Strzepnęłam rękę nad dziurą, wprawiając mięso w ruch. Słyszając donośne mlaskanie, odskoczyłam z wrzaskiem i zorientowałam się, że Cerber przeżuwa ochłap, który właśnie odgryzł mi z rękawa. – Ohyda. Jebana ohyda.

Kolejne zerknięcie pokazało mi, że na szczęście Van Croix odszedł.

Następnie zabrałam psy na spacer wokół posiadłości, żeby przestać myśleć o głodzie. Moją uwagę przykuł błysk w trawie. Gdy obróciłam się w tamtą stronę, ujrzałam dziwną złotą skorupkę, której

powierzchnia lśniła pod zachmurzonym niebem. Wyciągnęłam rękę, żeby ją podnieść i móc się lepiej przyjrzeć, a gdy poruszyła się lekko, pisnęłam i cofnęłam dłoń.

Dwie małe czułki rozwinęły się powoli i w tym samym momencie cienkie nogi uniosły skorupę z ziemi. Obróciła się w moją stronę i wpatrzyła we mnie dwojgiem wielkich, paciorkowatych oczu. Widniejące pod nimi ostre zęby zgrzytnęły o siebie, a ja odskoczyłam w tył. Owad poderwał się do lotu, brzęcząc mi nad głową i wydając dziwne stukoty.

Wzdrygnęłam się, gdy znalazł się blisko mnie, ale na szczęście odleciał. Sytuacja znów przypomniła mi, że to miejsce, wraz ze wszystkimi swoimi dziwacznymi stworzeniami, zdecydowanie różni się od Chicago. Coś nietypowego zamrowiło mnie na karku, gdy śledziłam wzrokiem owada lecącego w kierunku ciemnego labiryntu żywopłotów.

Kiedy podeszłam tam z psami, moją ciekawość pobudziły cherubiny o kamiennych twarzach stojące u jego wylotu. W stanowiącym wejście łuku samotny kwiat, który w jakiś sposób zdołał przetrwać spadek temperatury, kwitł na podwiniętym pnączu, zbrązowiałym i skurczonym. Wysunęłam palec i jedynie musnęłam płatek, a kwiat się zatrzasnął, zwijając w ciasny pączek. Owinęły się wokół niego cienkie macki zamykające go w zwartym kokonie.

Przestąpiłam obrośnięty pnączami próg i znalazłam się w miejscu, gdzie żywopłotowe ścianki osiągały dobre trzy-cztery metry wysokości. Nie dało się wyjrzeć ponad nimi. Mimo to pokusa zagadki okazała się zbyt wielka, żebym ją zignorowała. Zawsze przepadałam za labiryntami, a ten, który miałam przed sobą, mieścił w sobie sekrety i tajemniczą aurę. Rzucił mi wyzwanie, żebym znalazła z niego drogę wyjścia.

Prawa dłoń przy ścianie.

Dwa psy wlekły się za mną, zaś Cerber wysunął się na prowadzenie i węszył w drodze przez roślinne korytarze. Zastanawiałam się, czy przebiegł już tędy tyle razy, że znał trasę, czy też po prostu bawiły go moje próby ucieczki.

Nad niektórymi ścieżkami widniały łuki wyglądające na bardzo stare, rzeźbione w upiorne cherubiny, które wydawały się wpatrywać we mnie, gdy je mijałam. Kiedy przemykałam pod jednym z takich przejść, cień przepelzył mi po skórze.

Cerber i ja w końcu wysforowaliśmy się przed dwa pozostałe zwierzaki. Modliłam się, żeby nie skręciły gdzieś i nie kazały mi szukać się w labiryncie.

Uśmiechnęłam się i pochyliłam, żeby wcisnąć w krzaki z boku, co nie było prostym wyczynem, gdy gałęzie wplątywały mi się we włosy i drapały skórę. Zagwizdałam na psa, obserwowałam, jak zatrzymuje się gwałtownie, i starałam się nie chichotać zbyt głośno, gdy się obrócił, wyglądając na zupełnie zagubionego. Zakryłam dłonią usta, zamknęłam oczy i zmusiłam się do zachowania zupełnego bezruchu, aż wreszcie pierwsze szturchnięcie wilgotnego nosa skłoniło mnie do parsknięcia śmiechem.

Merdając ogonem, Cerber przekonywał mnie do wyjścia z krzaków, a gdy znów stanęłam na ścieżce, ujrzałam przed nami sylwetkę, na widok której moje płuca się zacisnęły, zamiast zaczerpnąć kolejny dech.

Opiekun Jesper, mężczyzna który, jak widziałam na własne oczy, został odciągnięty gdzieś na bok i pożarty przez psy, teraz zatoczył się i upadł na ziemię, drżąc. Ubranie zwisało z niego w strzępach. Miał przekrwione oczy. Podeszłam ostrożnie ku niemu, ciekawa jego stanu, ale nie do końca ufna po tym, co o nim słyszałam.

Cerber wydał z siebie ostrzegawcze warknięcie, a ja położyłam mu dłoń na grzbiecie, żeby go uspokoić, lecz nawet na chwilę nie spuszczałam wzroku z Jespera.

Nawet gdyby był skłonny mnie zaatakować, z pewnością nie zdołałby tego uczynić w swoim stanie, zważywszy chorobliwą błądź skóry i drgawki wstrząsające jego ciałem. Przyklękłam w miarę blisko, lecz nie tuż przy nim. Czerwona plama na jego kurtce skłoniła mnie do odsunięcia materiału; pod spodem ujrzałam kości wystające z miejsca, które powinno być klatką piersiową.

Szok wybił mi z płuc całe powietrze. Przycisnęłam dłoń do ust, gdy żółć podeszła mi do gardła. Czymś innym było ujrzeć makabryczne rany na fotografii, a czymś zupełnie innym patrzeć na nie w rzeczywistości.

– Pójdę wezwać pomoc.

– Słońce... zmienia się w mrok... a księżyc... w krew. Zaś niebios... zadrzą. – Słowa przerywane nierównymi oddechami wyslizgiwały mi się pomiędzy chorobliwie sinych warg. Wzrok miał nieskupiony, niemal spoglądał przeze mnie na wskroś, jakby coś za mną stało. Gdy się obróciłam, Cerbera nie było już przy mnie, zostałam zupełnie sama z Jesperem. Ta świadomość sprawiła, że plecy oblał mi zimny dreszcz.

„Uciekaj”, nakazywał głos w mojej głowie, ale gdy znów spojrzałam na Jespera, dostrzegłam w jego oczach lśnienie łez. Ten mężczyzna był przerażony z jakiegoś powodu.

– Co cię tak zraniło? Psy?

– Nie zwierzę. Nie człowiek. – Łzy sprawiały, że jego oczy dziwnie błyszcząły, a ja poczułam jeszcze większy niepokój.

– Jeśli mi pozwolisz, pójdę po pomoc. Ale muszę cię tu zostawić.

– Nie. – Gdy poczułam mocny uścisk na rękę, w panice zassałam powietrze. – Księżyc. Krew. Ogień.

– Nie rozumiem. Proszę, pozwól mi wezwać pomoc. – Szarpnęłam ręką, żeby się uwolnić, czując, jak narasta we mnie panika. – Puść mnie. – Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, oczy mężczyzny się zamknęły.

– Wybacz mi... ojcie. Bo zgrzeszyłem. – Przeciągle wypuścił z siebie powietrze i drgawki ustały. Chwytna na moją rękę zwiotczała.

– O Boże. – Rozwarłam jego palce, po czym wstałam i cofnęłam się na uginających się nogach. – Nie, nie, nie... – powtarzałam bezmyślnie. – Tylko nie trup. Tylko nie trup.

Mój nos podrażnił zapach na tyle gryzący i siarkowy, że powietrze stało się kwaśne, paliło mnie w płuca. Odgłos syczenia przyciągnął moją uwagę w stronę, gdzie coś poruszyło się w żywopłocie obok Jespera. Chłodny strach musnął mi kark, gdy obserwowałam, jak szara dłoń o długich paznokciach wysuwa się spomiędzy krzaków na ścieżkę. Napięła się, jakby pod jakimś obciążeniem, a później pojawił się czubek szarej bezwłosej głowy.

Czując, jak oddech przyspiesza mi do rytmu spanikowanego serca, cofnęłam się jeszcze dwa kroki, gdy nieznanne stworzenie wyłaziło z żywopłotu. Nie do końca było człowiekiem i nie do końca zwierzęciem – zupełnie jak to opisał Jesper.

Z kończynami sparaliżowanymi strachem obserwowałam, jak cała sylwetka wyłania się i sunie ku Jesperowi. Stwór przeciągnął nosem po jego ranie, otworzył usta szerzej, niż uważałam za możliwe, i wgrzył mu się w pierś.

Jesper nagle otworzył oczy i w labiryncie rozległ się wrzask wywracający wnętrzności. Ogarnęła mnie groza, pobudzając moje ciało do działania. Obróciłam się i pobiegłam z powrotem tam, skąd nadeszłam. Z głową zamgloną strachem i paniką, nie zwracałam uwagi na ścieżkę przed sobą, a gdy trafiłam na pierwszą ścianę bez wyjścia, targający mną niepokój eksplodował. Cofnęłam się tam, gdzie według mnie musiała biec główna droga, ale zorientowałam się, że znowu musiałam gdzieś źle skręcić, bo stanęłam przed kolejnym murem krzaków. Pomknęłam na chybił trafił w inną stronę, nieustannie wypatrując Cerbera. Nigdzie jednak go nie dostrzegłam.

Strach gniół mi płuca, wyciskając z nich powietrze.

– Pomocy! Niech ktoś mi pomoże! – Każdy mięsień w moim ciele drżał, gardło stało się suche i spierzchnięte. – Pomocy!

Jakiś cień przemknął mi nad głową, ale tak szybko, że nie zdążyłam mu się przyjrzeć.

Obróciłam się i pobiegłam przez labirynt, zamachując się rękoma na pnącza i liście, które wydawały się ku mnie wyciągać. Trafiłam na następną ścianę i w tym momencie wiedziałam już, że zgubiłam się na dobre.

Ani śladu psów. Nie dostrzegłam niczego choć odrobinę znajomego, co podpowiadałoby mi, czy jestem na drodze do wyjścia. Zaś to, co wcześniej nade mną przeleciało, sprawiło, że poczułam się jak mysz w potrzasku.

Usłyszałam szelest w otaczającej mnie roślinności i cofnęłam się do ślepego zaułka za sobą.

Ten wstrząsający, syczący odgłos zawibrował mi w kręgosłupie.

Żywopłot zadrżał od czyjeś ruchu. Cerber?

Z sąsiedniej alejki dobiegło warczenie i coś jakby odgłosy szamotaniny.

Każde zakończenie nerwowe rozjarzyło mi się strachem, gdy zastanawiałam się, czy uciekać. Wokół mnie rozbrzmiało skrzeczące echo, a po nim ostre skomlenie.

Nie psie. Ludzkie.

– Jesper? – wyszeptałam, ostrożnie podchodząc do miejsca, w którym widziałem ruch w żywopłocie.

Gdy znalazłam się bliżej, dostrzegłam coś, co wyglądało na czarną substancję skapującą z liści na białą zwirową ścieżkę. Przy bliższym przyjrzeniu okazało się, że ma czerwonawe zabarwienie, jakby było ciemną krwią. Przełknęłam gulę w gardle i minęłam to szybkim, choć ostrożnym krokiem, jednocześnie próbując

zajrzeć, co dzieje się po drugiej stronie, lecz oczywiście mi się to nie udało.

Wrzasnęłam, gdy coś złapało mnie za kostkę. Spojrzałam w dół i ujrzałam zakrwawioną dłoń ściskającą mi nogę. Instynktownie ją kopnęłam, żeby się uwolnić.

Wtedy z żywopłotu wyłonił się blondyn, którego poznałam poprzedniego dnia.

Remy.

– Zaczekaj. Po prostu... zaczekaj. – Gdy wypełzał z krzaków i podnosił się na nogi, w jego głosie słychać było ból. Kiedy stał już pionowo, zobaczyłam ciemnoczerwoną krew na jego boku, tam, gdzie na rozerwanym ciele widniały ślady pazurów.

– Nic ci nie jest? – spytał, jakbym to ja stała tam i się wykrwawiała.

– Ty... jesteś... To wygląda kiepsko. – Wskazałam na jego ranę. – Chyba jest głęboka.

– Zaledwie draśnięcie.

– Opiekun Jesper... Nie mam pewności... ale... On chyba nie żyje. Jestem prawie przekonana. – Z głową wciąż ciężką od chaosu myśli walczyłam z zeszywniałą żuchwą, żeby przekazać, co się wydarzyło.

– Nikogo nie widziałem. Przeszukiwałem labirynt. Ale coś mnie zaatakowało.

– Nie, on tam był! Widziałam go. Jego... żebra... były wygięte. I to coś...

Boże, co to było? Wyglądało, jakby go... pożerało?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. I jeśli nie liczyć odrobiny krwi, nie widziałem śladu żadnego opiekuna.

Wpatrywałam się w krew na swoich dłoniach i sukience. Pochodzącą od Jespera. Nie moją.

– Nie wymyśliłam tego sobie. Widziałam.

– Nie spieram się z tobą, księżniczko. Po prostu mówię, że go nie widziałem.

Wciąż zdezorientowana, skrzywiłam się na groteskową możliwość, że stwór go pożarł. Całego. Gula podeszła mi do gardła, ale zdołałam ją przełknąć. Wypchnąwszy tę wizję z głowy, skierowałam znów uwagę na Remy'ego.

– Musimy oczyścić tę ranę. Wda się zakażenie.

– My?

– Przypuszczam, że nie zdołasz zabandażować jej sam, chyba że znasz się na akrobatyce.

– Jestem dość elastyczny. – Mrugnął do mnie w sposób zupełnie niepasujący do sytuacji, w której wciąż targał mną strach.

Gdy szliśmy w kierunku wyjścia, z Remyem torującym nam drogę przez labirynt, co jakiś czas zerkałam przez ramię. Kark sztywniał mi i mrowił za każdym razem, gdy wpatrywałam się w długą ścieżkę z tyłu. Po chwili natknęliśmy się na Cerbera, który od razu zaczął truchtać obok mnie. Na jego widok poczułam absolutną ulgę. Nero i Fenrir ciągnęli się za nim.

Żywopłot rozszczępiał się u wyjścia, w którym stała ciemna, groźna postać.

Van Croix.

Gdy się do niego zbliżaliśmy, zdrowym okiem spoglądał za nasze plecy, w głąb labiryntu.

Obróciłam głowę, żeby się upewnić, czy stwór nie podąża za nami.

– Panie Van Croix, coś nas zaatakowało. A także opiekuna Jespera.

– Tego, którego, jak mówiłaś, okaleczyły moje psy?

– Nie. Tak. Ale skrzywdziło go coś innego. Znajduje się gdzieś w labiryncie. Widziałam już kiedyś tę istotę.

– Ona nie kłamie. – Remy obrócił się i uniósł koszulę, by ukazać lśniącą ranę, na widok której poczułam mdłości.

Nieporuszony Van Croix przyglądał jej się przez chwilę.

– Chciałbym zamienić z tobą słówko w gabinecie, panno Ravenshaw.

– Ja... zaoferowałam się, że pomogę Remy'emu oczyścić obrażenia.

Van Croix uniósł brew i poruszył żuchwą, a spojrzenie, które rzucił Remy'emu, spochmurniało, jakby stanowiło ostrzeżenie.

– W porządku. Rozejrzę się w labiryncie, podczas gdy ty... zajmiesz się jego raną. Liczę na to, że później znajdziesz się w moim gabinecie.

– Oczywiście.

Farryn

Kłęcząc przed Remy, który siedział przy stole w jadalni z podciągniętą koszulą, tamponowałam rozerwane tkanki na jego boku odrobiną środka antyseptycznego zaczerpniętego z zakorkowanego słoiczka aptekarskiego.

– Naprawdę uważam, że przydałyby się tu szwy – powiedziałam, zduszając mdłości, które znowu podchodziły mi do gardła.

– Oj tam, bywało już ze mną gorzej.

Dopiero wtedy zauważyłam liczne blizny na jego piersi i brzuchu, z których część wyglądała naprawdę makabrycznie.

– Często wdajesz się tu w bójki?

– Zdarza się.

– Nigdy wcześniej nie widziałam tak ciemnej krwi. I tak gęstej. – Nie drążyłam jednak tego tematu, zważywszy, gdzie się znajdowałam. Być może tak wyglądało krwawienie, gdy dusze tu przechodziły.

– Ach, no tak. Gdy ktoś jest zdrowy niczym wół, tak jak ja, potrzebuje gęstej krwi – rzucił lekceważąco. Mięsień na jego piersi drgnął, a gdy podniosłam wzrok, ujrzałam, że Remy się do mnie uśmiecha.

Czując, jak płoną mi policzki, znów spuściłam spojrzenie.

– Nie lubisz, gdy ktoś zwraca na ciebie uwagę?

– Nieszczególnie.

– Obawiam się, że tak bywa, gdy ktoś pachnie równie... smakowicie co ty. Aż ma się ochotę...

– Okej, nie za bardzo chcę wiedzieć. – Zwłaszcza gdy klęczałam facetowi u stóp.

Zachichotał, wciąż podtrzymując koszulę.

– Gdy poczujesz ciekawość, porozmawiamy.

– Pewnie. – Kiedy już oczyściłam ranę, nakryłam ją kawałkiem świeżego, czystego lnu, a potem zabandażowałam tors długim pasmem tkaniny, którą Remy po prostu oderwał z prześcieradła. Owinąwszy go kilkakrotnie, zabezpieczyłam opatrunek węzłem. – Lepiej będzie to sprawdzić za kilka dni, żeby na pewno nie doszło do zakażenia.

– Jasne, jasne.

Wstałam, a gdy się obróciłam, żeby zmyć z dłoni krew i antyseptyk, poczułam chwyt na rękę. Niespodziewany i niepożądany dotyk sprawił, że zesztyniały mi mięśnie. Być może wyczuwając mój niepokój, Remy mnie puścił.

– Chciałem tylko podziękować. Za to.

– To nic takiego. Naprawdę.

– Cóż, nikt dotąd nie opatrywał mi ran.

– Żaden kłopot.

Przesunął po mnie wzrokiem i uśmiechnął się.

– Chcę coś dla ciebie zrobić.

Dostrzegając aluzję w jego pożądlwym spojrzeniu, odchrząknęłam i zajęłam się układaniem ręczników porzrzucanych wokół miednicy na stole.

– Twoje podziękowania w zupełności mi wystarczą. – Wciąż obrócona do niego plecami, zanurzyłam dłonie w misce i zmarszczyłam czoło, widząc, jak krew rozmywa się w chwili, w której zamoczyłam skórę. Choć woda powinna przybrać różowawy odcień, pozostała klarowna. Jedynie smużki białej pary podniosły się z jej powierzchni.

– Podziękowania to jedynie ochłapy wdzięczności – ciągnął Remy, przerywając mi wgapienie się w wodę. – Powiedz mi, co mogę dla ciebie zrobić, księżniczko. Z ogromną chęcią sprawię ci przyjemność.

Sięgając po leżący obok ręcznik, przewróciłam oczyma i prychnęłam. Gdy obracałam się do niego i dostrzegłam, jak przesuwając wzrok, który przed chwilą musiał kierować na mój tyłek, uderzyła mnie pewna myśl.

– W sumie to jest coś, co mógłbyś zrobić.

Jego brwi powędrowały do góry.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Gdy już miałam suche dłonie, odrzuciłam ręcznik na bok, chwyciłam mój medalion i otworzyłam go, żeby pokazać znajdujące się w środku zdjęcie. – To mój ojciec Augustus. Próbuję ustalić, co się z nim stało. Widziałeś go może?

Podniósł się z krzesła i wziął medalion w dłoń. Gdy znalazł się blisko mnie, jego wzrost stał się bardziej oczywisty.

– Nie. Nie widziałem.

Westchnęłam, odebrałam wisiołek i skinęłam głową.

– Tak myślałam.

– Coś ci powiem, księżniczko. Rozpytam się. Ma na imię Augustus?

– Tak, Augustus Ravenshaw.

– Jeśli tutaj jest, to go znajdę. Jakież szanse na nagrodę z twojej strony?

Zmierzyłam go wzrokiem i cofnęłam się o krok.

– Tak. Otrzymasz moją wieczną i szczerą wdzięczność.

Podniósł dłonie i zachichotał.

– Tak tylko pytałem.



Nerwowa energia pulsowała we mnie, gdy stałam przed grubymi drewnianymi drzwiami z pięścią podniesioną, żeby zapukać.

– Wejść – dobiegł głos z drugiej strony, zanim choćby dotknęłam knykciami drewna.

Otworzyłam drzwi prowadzące do wyjątkowo dużego gabinetu urządzonego w ciemnym mahoniu, przez co wnętrze wydawało się ciemniejsze. Wysokie regały wypełnione książkami zakrywały tylną ścianę, przed którą za biurkiem siedział Van Croix. Okno pomiędzy półkami wychodziło na urwisko i na rozciągający się dalej nieskończony horyzont. Na innej ścianie wisiała grawerowana tabliczka z napisem „Katedra Czarnej Wody, zbud. 1675”.

Van Croix przyglądał mi się uważnie, gdy podchodziłam i siadałam naprzeciwko niego. Kręciłam nerwowo palcami leżących na kolanach dłoni, czując się, jakbym była w liceum i dyrektor właśnie wezwał mnie do siebie.

Nie pomagało, że w eleganckim czarnym stroju i z opaską na oku mężczyzna emanował naturalną, groźną aurą.

– Niczego nie znalazłem – oznajmił, zanim zdążyłam spytać. – Żadnego stwora. Żadnego opiekuna. Jedynie to, co zapewne było krwią Remy’ego.

– Proszę posłuchać, panie Van Croix, nie kłamię...

– Wyjaśnienia nie są konieczne, panno Ravenshaw. Wierzę ci. – Nawet gdy rozpierał się niedbale w fotelu, roztaczał wokół siebie aurę autorytetu, dzięki której powietrze pomiędzy nami stawało się jak naelektryzowane. – Wspominałaś, że już wcześniej widziałas tę istotę. Gdzie konkretnie?

– W Mglistym Lesie, czy jak tam go nazywacie.

– Tam, gdzie znalazła cię Anya.

– Tak.

– Opisz, co wtedy zobaczyłaś.

– To było... Cóż, nie jestem pewna. Stworzenie miało pazury i ciemną, cętkowaną skórę. Gnijącą – dodałam z grymasem, przypominając sobie, jak wypełzło z krzaków. – Roztaczało ohydny smród. Coś jak siarka. Nie było człowiekiem, to na pewno.

Zmrużył oczy i przekrzywił głowę.

– Oczywiście, że nie było człowiekiem, panno Ravenshaw. Ilu widziałaś ludzi, którzy mieliby gnijącą skórę i śmierdzieli siarką? – Podniósł się z fotela, a gdy szedł ku mnie, okrążając biurko, moje serce przyspieszyło. Oparł się o blat przede mną i skrzyżował ręce. – Ile konkretnie wiesz o tym miejscu?

Zastanawiałam się nad tym pytaniem, w myślach rozważając konsekwencje zdradzenia mu, w jaki sposób tu przybyłam. Co by zrobił, gdyby się dowiedział, że nie jestem jedną z umarłych?

– Jeśli masz na myśli sam Nocny Cień, to więcej niż sporo z tych, których tu spotkałam. – Każdy nerw w moim ciele wydawał się wibrować, gdy on znajdował się tak blisko mnie, zupełnie jakby przechodził przeze mnie prąd. Jakby Van Croix rozpraszał moje myśli, ścisnął żołądek i pieścił mi uda.

– Tego się domyśliłem – odparł, jakby nieświadom przepływających przeze mnie doznań. – Zatem wiesz, dlaczego wielu tutaj trafia.

Oblizалам wargi, które nagle mi wyschły.

– Owszem.

Raptowne spuszczenie przez niego wzroku sprawiło, że w udach zamrowiło mnie pragnienie, by skrzyżować nogi, a jednocześnie oblało mnie niewytłumaczalne ciepło. Jezu, czyżbym do czegoś zmierzała?

– Jesteś zatem świadoma, że zapach, jaki ci towarzyszy, jest dość niezwykły. Czysty i ziemski aromat. Żywy. A to stanowi tajemnicę, zważywszy, gdzie się znajdujemy. – Nawet jego głos nagle stał się głębszy.

Tak głęboki.

Zirytowana myślami uciekającymi na manowce, odchrząknęłam i poprawiłam się na fotelu.

– Co to oznacza? Konkretnie?

– To oznacza, że choć niektórzy mogą być na niego odporni, mogę cię zapewnić, iż dla innych okaże się całkowicie odurzający.

Ponieważ desperacko pragnęłam skupić się na jego słowach, spuściłam wzrok, żeby nie wpatrywać się w zagadkowe wybrzuszenie w jego luźnych spodniach, znajdujące się dokładnie na poziomie moich oczu. Poczułam ślinotok. Dlaczego, u diabła, tak nagle do ust zaczęła mi napływać ślina? Przełknęłam ją.

Skup się.

– Chcesz powiedzieć, że to coś... ta istota... poluje na mnie?

– Nie sądzę, żeby była w stanie się powstrzymać. – I znów ten głos. Coś było nie tak. Bardzo nie tak. Miałam wrażenie, jakby moje ciało się rozregulowywało, czułam w sobie błędne sygnały. – Zatem, panno Ravenshaw, może okażesz nieco szczerości i powiesz mi, jak naprawdę tutaj trafiłaś?

Na pewno musiał zauważyć, że coś się dzieje.

– Ja nie... Nie czuję się... Czuję się dziwnie.

– Dziwnie w jakim sensie?

To pytanie sprawiło, że zachichotałam. Zupełnie jakbym miała zamiar zdradzić mu, że odczuwam niezwykłą ochotę, żeby właśnie teraz zbadać tę wypukłość w jego spodniach.

– To, hmm... mój żołądek. Chyba.

– Twój żołądek – stwierdził beznamiętnym głosem i wychylił się do przodu. Oparł dłonie na poręczach fotela, zamykając mnie w swoistej klatce. – Twój żołądek czy uda? – Popatrzył na nie, a później wrócił wzrokiem do moich oczu. – Wyglądają na dość zaciśnięte.

Zacisnęłam je jeszcze mocniej, czując, jak pieką mnie mięśnie. Jak drżą. Jak pragną być pochwycone szorstkimi dłońmi.

– Nie wiem, co to jest. Po prostu... nie czuję się sobą.

– Zatem może ta inna ty odpowie na moje pytanie. Jak znalazłaś się w Nocnym Cieniu?

Czując lekkie trzepotanie u szczytu swoich ud, jęknęłam, zaraz jednak odchrząknęłam, żeby zagłuszyć ten żenujący odgłos. Natrafiłam spojrzeniem na mały fragment jego piersi wystający pomiędzy guzikami koszuli. I poczułam jego zapach. O Boże, ten zapach. Niczym wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam, zapakowane w jeden wdech.

– To ty mi to robisz?

– Co robię?

Jakże frustrujące były te przebiegające mnie doznania, jakbym próbowała się nie ekscytować podczas oglądania filmu z Henrym Cavillem.

Nachylił się bliżej, jego wargi znalazły się przy moim uchu, jego ciepły oddech muskał mi skórę w najdelikatniejszy sposób.

– Powiesz mi, jak tu dotarłaś?

Nie mogłam już tego dłużej znieść. Za każdym razem, gdy odzywał się tym głosem, wierciłam się w fotelu.

Pierdolić to.

– Cambion pomógł mi przejść.

– Cambion.

Doznania w moich udach złagodniały, a fala tego, co mnie ogarnęło, zelżała. Gdy wreszcie odsunął się ode mnie, wszystko wydało się zupełnie rozmyte.

Wbiłam paznokcie w skórzane siedzisko po obu stronach i odetchnęłam drżąco.

– Wypiłam herbatę i... – Spadłam z dachu do innego świata. – Obudziłam się tutaj.

– Herbatę. A gdzie konkretnie znalazłaś tego cambiona, który ci pomógł?

– W Chicago. Jako że jestem z tobą szczerą, może mogłabym liczyć na odrobinę szczerości również z twojej strony.

Spojrzał mi w oczy, znów skrzyżował ręce i obszedł mnie.

– W porządku – rzekł do moich pleców.

Z lekko obróconą głową dostrzegałam jedynie cień jego sylwetki na skraju pola widzenia.

– Wiem, że słyszałeś o Pentacrux. Mój ojciec wysłał mnie do ciebie. Nie wiem, czym się kierował, ale zrobił to. – Van Croix obszedł mnie od drugiej strony w drodze do swojego fotela, jakby był okrążającym mnie rekinem. Wszystko w jego ruchach, od niespiesznych kroków, po sposób, w jaki z dopasowaną precyzją nosił ten garnitur, kojarzyło się z drapieżnikiem. A ja siedziałam przed nim, czując się zupełnie odsłonięta. – Uznał, że grozi mi z ich strony niebezpieczeństwo, i uważał, że mógłbyś... Cóż, że ty...

Przeciągnął kciukiem po dolnej wardze, a w jego wzroku na chwilę załśniło rozbawienie.

– Że ja co? Ocalę cię? Ochronię? – Parsknął. – Czy wyglądam jak bohater jednej z twoich książek, panno Ravenshaw?

Zdecydowanie nie. Bohaterowie czytanych przeze mnie książek zupełnie go nie przypominali. Byli zwykli, bezbarwni i mdli. Van Croix byłby natomiast błyskotliwym czarnym charakterem, który przejrzałby ich na wskroś.

– Wiem tylko tyle, że nie zdołam wrócić do dawnego życia, dopóki nie ustalę, czy ta grupa na mnie poluje, czy też stałam się ofiarą jakiegoś przemyślanego dowcipu. Mam pewną teorię, choć może wydawać się szalona.

– Jak brzmi ta twoja teoria? – spytał z pewnym znudzeniem.

– Uważam, że Pentacrux to mogą być... mroczni.

– Mroczni?

– Upadli. Proszę, przestań się mną bawić, panie Van Croix. Wiem, że rozumiesz więcej, niż twierdzisz.

Kącik jego ust uniósł się w zręcznie wyreżyserowanym uśmiechu.

– Zapewniam cię, że moja definicja zabawy jest znacznie bardziej złowieszcza niż nudne rozmowy o Upadłych.

– W mojej sypialni znalazłam pióro. Miało na sobie dziwne symbole. Osobliwy znak nazywany przez mojego ojca „Libidine”. I inny... Nie pamiętam, jakie nadał mu miano, ale był dziwaczny.

– Może mogłabyś go narysować. – W jego głosie dało się słyszeć szyderczą nutę, co jedynie podsyciło moją frustrację.

– Pewnie.

W górnej części kartki, którą mi podał, widniało logo przedstawiające zakapturzoną postać przypominającą śmierć z czarnymi skrzydłami i mieczem. „Van Croix i Spółka”. Gdy podsunął mi pióro, usiadłam, zastanawiając się, co oznacza symbol w połączeniu z nazwą firmy. Jakakolwiek była jego wymowa, na pewno nie gasił moich obaw dotyczących reputacji mojego rozmówcy jako Śmierci.

Poniżej logotypu spróbowałam naszkicować z pamięci wspomniany znak.

– To nie jest najlepszy rysunek – powiedziała, obracając się ku niemu.

Ściągnął brwi w poważnej minie, jaką widziałam u niego po raz pierwszy, odkąd rozpoczęliśmy spotkanie.

– To pióro... Mówiłaś, że gdzie je znalazłaś?

– W mojej sypialni. Miałam sen, że idę przez kościół. Na ceglanej ścianie pojawiła się wiadomość.

„Odszukaj Van Croixa w Nocnym Cieniu”. I we śnie pojawiło się pióro. Gdy się obudziłam, leżało na podłodze. Ten sen miał profetyczną naturę.

– Jak to?

– Ściana się zawaliła i ukazała dwie powieszony zakonnice. – Poczulałam niepokojące mrowienie na wspomnienie wieczoru, kiedy przyszedł do mnie Hines. – Następnej nocy dowiedziałam się, że zostały zamordowane. Nie wiem, kim były. Nie widziałam wcześniej tych kobiet.

– Miewałaś wcześniej takie sny?

– Nie do końca profetyczne. Zdarzają mi się czasami sny przedstawiające gwałtowne wydarzenia, ale mam wrażenie, że Pentacrux stoją nie tylko za tym mordem, ale też za piórem.

– A skąd bierze się w tobie to wrażenie?

– Mój ojciec twierdził, że przy innym zabójstwie pozostawiono coś, co uważał za ich herb.

– Jakie kwalifikacje miał twój ojciec, by decydować, że to ich herb?

– Badał ten temat od wielu lat. Oszałał na jego punkcie. Dosłownie.

– Pokaż mi, co według niego jest symbolem Pentacrux.

Być może to sposób, w jaki sformułował to pytanie – jako wyzwanie – powstrzymał mnie przed pokazaniem mu mojego znamienia. Ponieważ miało nierówne krawędzie i cechowało się wątpliwym podobieństwem, nie chciałam, by uznał mnie za wariatkę. Zamiast tego narysowałam symbol na papierze przy pierwszym szkicu.

Zmarszczka na jego czole pogłębiła się, gdy baczniej wpatrywał się w rysunek.

– Choć jak dotąd ta rozmowa okazała się pouczająca, obawiam się, że muszę ją przerwać.

– Panie Van Croix, proszę. Błagam cię. Byłabym bardzo wdzięczna za każdy strzęp informacji, jakim mógłbyś się podzielić. Jestem... po prostu zagubiona.

Pocierał cię szczeciny na zuchwie, sprawiając wrażenie, jakby przez chwilę rozważał tę prośbę.

– Widziałem go raz. – Słowa te pojawiły się nagle i z początku nie miałam pojęcia, o kim mówi, aż wsunął dłoń do kieszeni i wyciągnął z niej piękny srebrny zegarek. Rozpoznałam w nim prezent, jaki dałam ojcu, gdy miałam jakieś dziesięć lat. Cały czas nosił go przy sobie.

– Skąd to masz? – spytałam, gdy mi go podsuwał.

– Sam mi go dał. Gdy widzieliśmy się przelotnie.

Iskra podniecenia sprawiła, że drgnęłam na fotelu.

– Czyli spotkałeś go. Przyszedł do ciebie!

– Tak. Na krótko.

– Co znaczy to wcześniejsze „przelotnie”?

– Kazałem moim psom, żeby go odpędziły. Wydawał się dość nieznównoważony, bełkotał coś o znakach i prorocत्वach.

Znów poczułam, jak wbijają się we mnie znajome igły rozczarowania.

– Masz jakikolwiek pomysł, dokąd mógł się udać? Czy wyglądał zdrowo, czy raczej na chorego? Był z kimś?

– Nie. – Nuta irytacji w jego głosie zasugerowała mi, żeby nie wnikać, na które pytanie właśnie odpowiedział.

– Nie rozumiem, dlaczego miałby ci dać coś tak ważnego.

– Wygląda na to, że twój ojciec mógł mieć przecucie, iż wylądujesz w moim domu.

– Szczerze nie pojmuję, co mogłoby go skłonić do takiego założenia. Albo dlaczego miałby tak pomyśleć. Zaginął przed laty i dopiero niedawno natknęłam się na jego dziennik, w którym pisał o Nocnym Cieniu. Oraz o tobie.

Wcześniej zdawał się roztargniony, lecz teraz znów spojrzął na mnie bacznie, tak intensywnie, że musiałam odwrócić wzrok.

Na tyle przestałam zważać na zainteresowanie ze strony mężczyzn, że nie do końca wiedziałam, jak zachowywać się w ich obecności, a przy tym konkretnym mężczyźnie wszyscy pozostali sprawiali wrażenie chłopców.

– Jestem zdesperowana, żeby go znaleźć.

– Czy jest w ogóle możliwe, że wcale nie zaginął? Tylko być może nie żyje?

– Nie. Nie chcę w to wierzyć.

– Takie podejście naraża cię na wyjątkowe rozczarowanie.
– Nie istnieje chyba nikt bardziej cyniczny od ciebie.
– A czy to twoje wymyślne fantazje i książki zaszczerpiły w tobie tyle nadziei? Powiedz mi, w co wierzysz, panno Ravenshaw. Że miłość cię ocali? Albo twojego ojca? Czy uważasz, że to twoja nadzieja utrzyma go przy życiu w tym miejscu, gdzie takie rzeczy gasną niczym zepsute lampy?
– Jestem w pełni zdolna do pogodzenia się z ewentualnością, że on nie żyje. Ale niepewność jest gorsza do zniesienia niż prawda. Muszę się dowiedzieć... tak czy inaczej.
– I życzę ci szczęścia w tym przedsięwzięciu. Coś ci jednak powiem. Tego pióra nie zostawił w twoim pokoju członek Pentacrux, lecz upadły anioł. To zdecydowanie co innego. Pentacrux już nie istnieją, panno Ravenshaw. Co podsunęło ci ten głupi pomysł, że to oni na ciebie polują?
Nie chcąc mu mówić, że były to notatki mojego zagubionego w urojeniach ojca i symbol nakreślony na oknie mojej sypialni, pokręciłam głową.
– Nie jestem tak do końca pewna.
– Zostałaś wprowadzona w błąd. Nie jestem rycerzem w lśniącej zbroi, za którego uważał mnie twój ojciec. Wręcz przeciwnie, wysyłając cię do mnie, naraził cię na wielkie niebezpieczeństwo.
– A ja postąpiłam głupio, słuchając go.
Wsunął dłonie do kieszeni i wzruszył ramionami.
– Jeśli nie mamy już nic więcej do omówienia, wróć do pracy.
– Oczywiście. Przepraszam, że zajęłam ci tyle czasu.
Podniosłam się z fotela i ruszyłam do drzwi.
– Panno Ravenshaw – rzekł, zatrzymując mnie, zanim dotknęłam klamki. – Mam do ciebie sprawę. Nie zapewniam ci wikt i opierunku po to, żebyś mogła cały dzień zabawiać się z moimi psami. Twoim zadaniem jest je karmić, dbać o nie i nic więcej.
– Jak mogę zawiązać z nimi odpowiednią więź jako opiekunka, jeśli jedynie wywarkuję im rozkazy albo je karmię?
– Niczego więcej nie potrzebują.
– A może mógłbyś pozwolić na bardziej ustrukturalizowane formy zabawy? Gdybym na przykład włączyła do nich odrobinę szkolenia i dyscypliny?
– Niezmiennie cenię sobie dyscyplinę.
W mojej głowie, zupełnie nieproszony, pojawił się obraz mnie leżącej nago na jego kolanach, on zaś wygiął wargi w uśmiechu, jakby widział to samo.
Czując, jak płoną mi policzki, spuściłam wzrok i skinęłam głową.
– Zatem uszanuję twoje życzenia – rzekłam i wymknęłam się przez drzwi.

Lustina

Lustina leżała w łóżku, wpatrując się w ścianę, z której odpowiadał jej wzrokiem Mesjasz przybity do krzyża. Jej myśli wracały do wydarzeń z wcześniejszego wieczora i kłótni z baronem. Jakże okrutne były jego słowa. Tak okrutne, że płonęły jej w piersi z goryczą, która nie pozwalała jej zmrużyć oka, choć dziewczyna już dawno powinna pograć się we śnie. Część niej wiedziała, że mówił tak, kierowany bólem i złością, że powinna to zlekceważyć i iść spać, ale większa część nienawidziła go za to.

Czy mogłaby poznać lepiej niż w tamtej chwili, co kryło się w jego sercu? Czy nie cierpieła bliźniaczego bólu? A jednak potraktował ją tak, jakby była kimś obcym. Jego wrogiem.

I za każdym razem, gdy myślała o jego twarzy wypływającej ku niej nienawistne słowa, ciężki i głuchy ból pulsował jej w żebrach.

Jakiś dźwięk wyrwał ją z rozmyślań. Lustina przekręciła się w łóżku i dostrzegła ciemną sylwetkę wspinającą się przez jej okno.

Poderwała się do pozycji siedzącej i zapała o ścianę za sobą, gdy młody baron wszedł w księżycowy blask. Na jego widok poczuła, jak wibrują w niej jednocześnie podekscytowanie i panika.

– Mój lordzie, co ty robisz?

Przycisnął palec do jej warg i wyciągnął do niej dłoń.

– Chodź ze mną.

Choć bardzo chciała mu odmówić po tym, co stało się wcześniej w katedrze, nie zrobiła tego. Nie potrafiła – była aż nazbyt świadoma, jakie złe myśli dręczyły jej własny umysł po śmierci matki. Wstała zatem z łóżka, ubrana jedynie w prostą, białą koszulę nocną, i podeszła do okna. Gdy się tam znalazła, przyciągnął ją, żeby ją pocałować w sposób, który niósł w sobie milion przeprosin.

Każdy jej nerw nawoływał, żeby go odepchnęła, żeby kazała mu się płaszczyć i błagać o przebaczenie, ale tak właśnie wyglądał bliźniaczy ból – zmuszał do dawania zamiast do odmawiania.

– Wybacz mi – powiedział tuż przy jej wargach. – Jesteś jedyną osobą, jaka została mi na tym świecie. Nakarmiłem cię swoją złością, choć ty nie zaoferowałaś mi niczego oprócz łaski. Akurat ty na pewno na to nie zasługiwałaś.

– Nie zamierzałam wzbudzać...

Przycisnął palec do jej ust, uciszając ją.

– Nie wzbudziłaś niczego oprócz moich wyrzutów sumienia za to, że potraktowałem cię tak okrutnie. Byłem zły. Nieracjonalny. Oszalały z żaloby. Ale to żadne wytłumaczenie, bym odzywał się tak do ciebie. – Delikatnie przesunął pieszczotliwą dłoń od jej skroni do policzka. – Moje serce zawsze było niespokojnym drapieżą, Lustino. Jednak w tobie odnalazłem sytość. Nie chcę tego stracić. Ani ciebie.

– Wszystko wybaczam.

Znów przycisnął wargi do jej warg i pchnął ją lekko w stronę parapetu.

– Wyjdź ze mną w noc.

– Mój lordzie, ktoś nas zobaczy. – Pociągnęła go za rękę, próbując odsunąć od okna, ale on ścisnął mocniej jej dłoń.

– Zatem pospieszmy się. – Wyślizgnął się na zewnątrz, przedostał na wysoki treliarz i zatrzymał niewiele niżej. – Chodź. Jeśli spadniesz, złapię cię.

Widok ziemi kilka kondygnacji niżej wywołał w niej zawroty głowy i mdłości.

– Chyba nie potrafię.

– Zamknij oczy. Jestem tuż obok.

Odetchnąwszy głęboko, nerwowo przekroczyła przez okno i zeszła na trelią, z zaciśniętymi powiekami trzymając się kurczowo parapetu.

– Ja... chyba nie zdołam tego zrobić. – Szorstkie drewno wbijało się w delikatną skórę jej stóp, jedynie zwiększając panikę wywołaną perspektywą zejścia.

– W dół, Lustino. Kieruj się w stronę mojego głosu.

Drżąc na całym ciele, pokręciła szaleńczo głową i z całych sił wczepiła się w rusztowanie dla pnący.

– Nie. Nie umiem. Nie uda mi się.

– Uda się. To strach mówi ci inaczej.

Być może roześmiałyby się na te słowa, gdyby żuchwa nie zeszywniała jej w dygocie.

– Strach ma dobre argumenty, żeby protestować. Taki upadek okazałby się śmiertelny.

– Jeden stopień niżej albo sam cię zniosę.

„Jeden stopień. Tylko jeden stopień”.

Siłą woli zmusiła nogę do przesunięcia. Ześlizgnęła jej się stopa, a trelią kaleczył jej palce dłoni, gdy zawisała na nich na chwilę, zanim odzyskała oparcie.

– Dobrze poszło. A teraz stopień w dół. Chodź do mnie, Lustino.

Przełknąwszy gulę w gardle, opuściła drżącą nogę na następny szczebel treli. A później na kolejny.

– Tak właśnie. Nie zatrzymuj się.

– Nie czuję się dobrze, mój lordzie.

– Jesteś już prawie na dole.

Przerażający krok za krokiem schodziła po rusztowaniu, aż wreszcie poczuła, jak dłonie chwytają ją w pasie, a później pod bosymi stopami pojawia się uspokajający, twardy grunt. Jericho wziął ją za rękę i razem pobiegli przez mrok w kierunku pobliskiego lasu.

Gdy znaleźli się pod osłoną drzew, zwolnił kroku. Jedynie srebrzysta koronka księżycowego blasku oświetlała im ścieżkę, gdy prowadził ją coraz głębiej w las.

– Powiedz mi coś – rzekł przez ramię. – Czy zdarza ci się słyszeć głosy? Albo doświadczać dziwnych wizji?

Jeśli „wizje” miały oznaczać sny, to niewątpliwie ich jej nie brakowało.

– Czasami słyszę głos matki.

– Nie chodzi mi o głos matki. On przynosi pocieszenie.

– Zatem o co ci chodzi, mój lordzie?

Zupełnie jakby zaniepokoiło go to pytanie, puścił ją, choć wciąż zagłębiał się dalej w las.

– Te eksperymenty, które przeprowadza biskup Venable. Mówiłem ci, co mi robią, ale nie mówiłem dlaczego.

– Zatem powiedz mi.

Wreszcie się zatrzymał, wciąż zwrócony do niej plecami, zupełnie jakby nie potrafił zmusić się do tego, żeby się do niej obrócić.

– Uważają, że coś jest ze mną nie tak. Że noszę w sobie zło. – Zaczął chodzić nerwowo, pocierając sobie kark w sposób, który wyzwał dręczące wrażenie niepokoju w jej kościach. – Gdybym był tobą, spaliliby mnie na stosie, jak twoją matkę. – Zatrzymał się w pół kroku i pokręcił głową. Jego nieobliczalne zachowanie budziło w niej przestroch, ale milczała, obserwując go. – Przepraszam. Wybac mi, że to powiedziałem. Chodziło mi tylko o to, że w związku z moją znaczącą pozycją i imieniem przeprowadzają tortury w znacznie bardziej ukradkowy sposób. Pod płaszczykiem egzorcyzmów.

– Egzorcyzmów? Po co? Wszystko jest z tobą w porządku – zapewniła go.

– Wcale nie. – Gdy ujrzała poważny wyraz jego twarzy, poczuła, jak wiją się w niej macki grozy. – Nie myślą się w swoich przekonaniach. Wiedziałem to całe życie. Ale dopiero na łożu śmierci matka w końcu wyznała mi prawdę.

– Jaką prawdę?

Jego brwi drgnęły tak, jakby zostały uwięzione gdzieś pomiędzy podekscytowaniem a paniką. Lustina nie potrafiła określić, która z tych emocji panuje nad nim bardziej.

– O tym, kim naprawdę jestem.

Czując, jak łomocze jej serce, ośmieliła się zadać mu pytanie, które ścisnęło jej zębra:

– Kim jesteś?

Znów stanął na chwilę w zadumie, pokręcił głową i na nowo zaczął krążyć. Przesuwał tam i z powrotem dłońmi po włosach w sposób wyrażający nerwowość i wzburzenie.

– Zawsze czułem się... odmienny. Wyróżniający się wśród innych dzieci. Zawsze mówiono mi, że tkwi we mnie mrok, a jednak kochałem matkę, więc jak to było możliwe? – Wyraz konsternacji na jego twarzy nasilił się, gdy baron znów zaczął niespokojnie chodzić. – To jakby zmagaly się w moim wnętrzu dwie istoty. Nieustannie ścierały w walce o dominację. Ale świat nie postrzega mnie w taki sposób. Nie widzą we mnie potencjału dla dobra. Tylko matka choć trochę wierzyła, że tkwi ono gdzieś we mnie. – Lśnienie łez w jego oczach sprawiało, że Lustinę bolało serce; ponad wszystko zapragnęła wziąć go w ramiona. – I ty.

Czując, jak płoną jej policzki, spuściła wzrok.

– Oczywiście, mój lordzie. Ale ja wierzę, że wszyscy mamy w sobie zarówno dobro, jak i mrok. Dlaczego biskup Venable miałby cię za to karać? Skoro nawet najświętszy człowiek w całej Praeceptii również nosi w sobie ciemność.

Odwrócił wzrok, zadarłszy z niesmakiem górną wargę.

– Bo widzę rzeczy, które nie powinny być widziane. Słyszę rzeczy, których nie powinien słyszeć nikt inny.

– Jak ptaki. Ale ja również je słyszę.

– Ponieważ masz w sobie coś, co rozpoznają. Fragment mojej duszy. – Podeszedł do niej i wyciągnął rękę, by ująć jej twarz. – Jest nam przeznaczone być razem. To właśnie twoje światło mnie przyciąga, Lustino. Karmi mroczne myśli w mojej głowie. – Przesunął dłoń na jej gardło. Nie musiał go ścisnąć, żeby nią zawładnąć. Trzymał je delikatnie, ale jednocześnie zaborczo. – Moja matka obawiała się, że jedna część mnie zdominuje drugą. Że stanę się taki jak ojciec, zamiast taki jak ona, i czasami boję się, że ty to sprawiasz. Wyzwalasz we mnie żądze. Uczucia, których nie potrafię kontrolować.

– Nie chciałam, mój lordzie.

– Oczywiście, że nie. Nie leży w twojej naturze, żeby świadomie wyzwalać bestię kryjącą się w mężczyźnie. Robisz to bezwiednie. – Przesunął kciukiem tam i z powrotem po dolnej wardze, nie spuszczać wzroku z dziewczyny. – Twój zapach. Twój dotyk. Twój głos. Przyzywa mnie, jakbyś była syreną, kusi, bym zagłębił się w tajemniczą otchłań. A jednak wciąż nie nasyciłem apetytu na niego. Gdy myślę o tym, że ktoś cię krzywdzi lub dotyka, wiją się we mnie te myśli, których obawiała się moja matka. – Zgiął lekko palce na jej szyi, a jego wargi cofnęły się w gniewnym wyrazie. – Nie umiem i nie zamierzam znosić myśli, że inny mężczyzna mógłby rościć sobie do ciebie prawo. Kiedykolwiek. Wcześniej mówiłaś, że nigdy nie będziesz do mnie należeć. Ale należysz. A ja do ciebie.

Choć jego słowa wzbudzały w niej wielką ekscytację, jego niesłabnąca determinacja przerażała ją równie mocno. Nikt nigdy nie pragnął jej w taki sposób. Nikt nigdy nie przejmował się młodą Lustiną, dzikim dzieckiem żyjącym w lesie z matką czarownicą. Na pewno nikt tak ważny jak baron.

– Nie możesz zawłaszczać tego, co kochasz, mój lordzie. To nie działa w taki sposób. Musisz o to poprosić, a ja muszę ci to dać dobrowolnie.

– Zatem proszę cię teraz. Co odpowiesz?

W ciszy, która zapadła, Lustina wpatrywała się w jego oczy, w jego ciepłe, błagalne oczy, które obiecywały jej miłość i bezpieczeństwo – coś, czego nigdy nie zaznała jej matka. Głos w jej wnętrzu karmił ją za uporczywe wahanie, przekonywał, żeby zaufała swojemu sercu i wybaczyła światu ciężary, jakimi zawsze obarczał jej ramiona. Ten głos mówił spokojnie i uprzejmie, a dziewczyna wiedziała bez cienia wątpliwości, że należał do jej matki.

– Odpowiem, że jestem twoja.

– Na wieczność.

– Na wieczność – zgodziła się.

Jericho uniósł jej rękę w miejscu, gdzie na skórze wypalono jej piętno Pentacrux. Przesunął po nim kciukiem, zostawiając srebrzyste, metaliczne zawijasy, które lśniły w łagodnym księżycowym blasku. W tych esach-floresach kryły się tysiące dziwnych symboli, jakich nie rozpoznawała, wspaniałych i niezwykłych.

– Nie należysz już do kościoła ani do tych ludzi. Nie jesteś związana prawami ich świata. Od tej nocy to ja jestem twoim kościołem. Gdy się zagubisz, ja będę twoim schronieniem. Gdy ogarnie cię ból, będę twoim eliksirem. – Chwyił ją za potylicę, odchylił jej głowę w tył i wpatrywał się głęboko w jej oczy. Tak

intensywnie, że poczuła mrowienie w żołądku. – Gdy zapragniesz przyjemności, będę twoją łaską. – Na jego twarzy pojawiło się przekonanie, gdy oznajmił: – Dla ciebie spalę ten żalony świat. Tylko dla ciebie. Jesteś moja, mały pisklaku. Na zawsze.

– Na zawsze.

Jericho ujął ją za rękę, zaprowadził na kępę miękkiej, zielonej trawy, a następnie, podtrzymując ją za kark, położył tam. Przycisnął wargi do jej warg i pozbawił ją tchu, gdy rozplątywał wiązanie jej koszuli nocnej.

– Boisz się? – spytał tuż przy jej ustach.

– Tylko trochę – wyszeptała. – Choć to nie ty mnie przerażasz, mój lordzie, tylko mój brak doświadczenia. – Nie ośmieliła się do tego przyznać, ale bała się również nauk kościoła, który utrzymywał, że wszelkie przedślubne czyny seksualne popełnione przez wiernych są karane śmiercią.

– Nauczę cię cieszyć się ukrytymi rozkoszami twojego ciała. Wkrótce będziesz ich pragnąć tak mocno, jak potrzebujesz oddychać. Ale nie udasz się do żadnego innego mężczyzny, żeby nasycić ten głód, rozumiesz?

– Tak.

Lekko ścisnął jej gardło i zagryzł zęby.

– Obiecuj mi, że nie będziesz szukać innego.

– Obiecuję ci.

Po tych słowach zdawało się, że schodzi z niego napięcie. Rozluźnił chwyt i skinął głową.

– Tego wieczora zrobisz wszystko, co ci powiem, bez kwestionowania, tak? I zaufasz mi.

– Tak.

– Rozłóż przede mną uda.

Lustina przełknęła z trudem gulę w gardle i zrobiła, co polecił – otworzyła się przed nim. Rąbek jej koszuli nocnej wspiął się po skórze jej nogi. Poczuła się odsłonięta, gdy leżała tak nieprzyzwoicie naga, ukazując swoje najbardziej zakazane miejsca. Drżały jej kolana i walczyła z ochotą, żeby je zacisnąć, gdy baron wpatrywał się w nią z wyrazem czci w oczach.

– Jesteś boska, Lustino. Mój piękny, idealny motylku.

Dziewczyna musiała odwrócić wzrok, jako że w tym momencie nie czuła się ani piękna, ani idealna. Martwiła się o każdy defekt: znamię po wewnętrznej stronie uda, kępkę włosów, która zaczęła tam rosnąć. Gdy przyłożył palec do jej ciała, oblała ją fala szoku i paniki. Krzyknęła cicho, wierząc, że się od niego odsunąć, i złączyła kolana.

Złapał ją za kostki i przeciągnął po trawie z powrotem, po czym wcisnął się pomiędzy jej uda, nie pozwalając jej znowu ich zamknąć.

– Nie poruszysz się, chyba że ci powiem. Czy to jasne?

Przełknęła ślinę, by zwilżyć zaschnięte gardło, i przytaknęła.

– Tak, mój lordzie.

Nie spuszczał z niej wzroku, znów zaczął ją dotykać. Doznania były nieznośnie przyjemne. Delikatne pocieranie, ułatwione przez dziwną wilgoć, wydawało się jednocześnie absolutnie cudowne i niewłaściwe. Do tego dochodziło to dziwne kipiące wrażenie, kojarzące się jej z garnkiem wrzącej wody. Nie bolesne, lecz gwałtowne i ciepłe. Niech Bóg się nad nią zlituje, ale czuła się niezwykle. Czuła się pozytywnie poruszona.

Gorąco wstąpiło jej na twarz, zaś gdzieś w głębi brzucha szarpało ją cielesne zniecierpliwienie. Gdy odwróciła wzrok, szturchnął ją delikatnie w brodę, kierując jej uwagę z powrotem na niego.

– Czy kiedyś sama osiągnęłaś już moment ekstazy?

Ściągnęła wargi w ciekawą linię i popatrzyła na niego zdezorientowana.

– Ekstazy?

Wykrzywił usta w złośliwym uśmiešku.

– Zatem czeka mnie jeszcze lepsza zabawa.

Wyrywały się z niej ciche sapnięcia, dotyk jego palca był tak śliski i wilgotny, ledwo musiał nim naciskać, żeby wzbudzić tarcie i gorąco w tym miejscu, które domagało się więcej. Nie wiedziała, czego więcej. Nigdy w życiu nie przeżyła czegoś tak poruszającego, a gdy wepchnął w nią palec, Lustina jęknęła cicho. Nie wyobrażała sobie niespodziewanej rozkoszy, jaką sprawiał jej, gdy przesuwiał się we wnętrzu jej ciała, gdy wsuwał się w nią i wysuwał. Podczas gdy jego kciuk turlał się po pęczniącym skrawku wrażliwego ciała na zewnątrz, palec wskazujący wchodził w nią i wychodził, wywołując wilgotne mlaskanie, które zdawało się rozbrzmiewać echem wokół nich.

Stękając i pojękując, Lustina kręciła głową z boku na bok, zaciskała pięści i rozluźniała je u boków, jakby opętało ją jakieś zło. Przechodziła przez słodką udrękę, która ogarnęła jej kończyny, pozbawiła tchu, wyczerpała. Głód, który czuła, z pewnością musiał być grzeszny. Doznania stały się dla niej wszystkim, a jednak z jakiegoś powodu jej nie wystarczały. Było ich za mało! Jak mogło ich nie wystarczać?

Zupełnie jakby słyszał jej myśli, baron dołożył drugi palec, a dziewczyna wygięła plecy w łuk, czując ulgę dzięki temu zwiększonemu naciskowi. Bez namawiania rozłożyła nogi szerzej, podciągnęła kolana i wiała się, gdy wsuwał palce w ten ciemny, zakazany otwór.

– Stanowisz obraz czystego pożądania, Lustino. Ta żądza, by cię pochłonać, nie gaśnie. – Po tych słowach opuścił twarz pomiędzy jej uda i nie przestając wpychać w nią palców, przeciągnął językiem po tym wrażliwym wzgórkę, którym bawił się wcześniej jego kciuk. Gdy go trącał i ssał, wywoływało to w niej wrażenie szaleństwa, pragnienie, by gryźć, wrzeszczeć i wbijać w coś paznokcie. Krzyknęła, jedną dłonią ściskając jego włosy, a drugą garść trawy. Obserwowała w panice, jak jego głowa kołysze się, jak jego ręka rozluźnia, jak ciśnienie w jej wnętrzu narasta do zbitej kuli, która napiera na jej brzuch i uda.

Czym był ten potwór w jej wnętrzu? Ta żarłoczna bestia, która czegoś pragnęła? Nie wiedziała, ale bestia szarpała i wykręcała jej wnętrzości, ściskała je i puszczała, ściskała i puszczała. Każdy mięsień w jej ciele napiął się i znów wygięła plecy w łuk, gdy potwór stawał się większy, żarłoczniejszy, wspinał się ku jakiemuś niewidocznemu szczytowi.

– Jericho! Proszę! – Panika wkradła się do jej głosu. Niczym opętana, kręciła biodrami pod jego bezlitosnym językiem, drapała palcami jego głowę.

Nie przestawał.

Dlaczego nie przestawał?!

„Proszę, przestań!”

Przecież jej mięśnie już tak się napięły, że to, co czekało na nią po drugiej stronie, z pewnością musiało oznaczać ból.

I wtedy coś w niej eksplodowało. Błysk światła uderzył ją w oczy od środka. Przez zaciśnięte zęby wydała z siebie długi, udręczony odgłos, który urósł do krzyku. Och Boże, nigdy nie czuła czegoś wspanialszego, tej fali gorąca i chłodnego mrowienia, jakie nastąpiło po niej.

Zupełnie jakby wcześniej jej ciało wzniosło się ku niebiosom, teraz opadało, opadało, stawało się ciepłe i przytulne. Każdy mięsień jej zwiotczał, kończyny zdawały się pozbawione mięśni. Wydała z siebie pełen satysfakcji chichot, a gdy podniósł twarz spomiędzy jej ud, zacisnęła je i przekręciła się na bok, wciąż czując w sobie delikatne pulsowanie.

Dyszając ciężko, Jericho wpatrywał się w nią i oblizywał wargi oraz palce. Na jego twarzy widniały lśniące resztki tego, co pochłaniał.

– Chciałem, żebyś poznała rozkosz – powiedział chrapliwie. – Bo to, co zamierzam zrobić teraz, nie będzie już dla ciebie takie przyjemne.

– Ale będzie dla ciebie?

– Tak. Bardzo.

– Co mam robić?

– Tylko leżeć nieruchomo.

– I nic więcej, mój lordzie? Nie mam cię dotykać tak, jak ty dotykałeś mnie?

Odgłos jego śmiechu wywołał nieśmiały uśmiech na jej twarzy.

– Nie tym razem. Może następnym. – Pochylił się i oparł na wyciągniętych rękach. Zerknęła w dół, gdy rozpinał spodnie i spuszczał je do kolan, uwalniając to, co dotąd skrywał.

Choć wciąż wypełniało ją wcześniejsze ciepło, mimo wszystko poczuła, że na policzki znów wchodzi jej rumieniec. Przesunął dłonią w górę i w dół po tym czymś i chyba sprawiło mu to przyjemność, bo wydał z siebie jęknienie.

Opanowana ciekawością, sięgnęła ręką, zanim zdążyła się powstrzymać. W chwili, gdy jej palce go dotknęły, cofnęła je, ale Jericho zdążył złapać ją za rękę. Wpatrując się w nią, popchnął jej dłoń ku temu czemuś. Poczuła zimne mrowienie w piersi, gdy przesunął jej rękę po trzonie, a pierś unosiła mu się w oddechu. Jej palce ledwo były w stanie objąć cały obwód, który wydawał się jeszcze rosnąć. Niewielkie wypukłości poruszały się pod jej dłonią, a gdy musnęła jedną z nich kciukiem, Jericho zadrżał ponad nią. Poczuła to drżenie w swojej ręce i jak promieniuje jej do piersi. Zamrowiło w jej sutkach i zsunęło się

pomiędzy jej uda niczym stworzenie siejące spustoszenie w jej ciele. Czym było to cudowne wrażenie, które wzbudzało w niej głód?

Naciskając na jej dłoń, przesuwał nią w górę i w dół, w górę i w dół, a jęki, które z siebie wydobywał, sprawiały, że pulsowało jej w żołądku. To jej dotyk kazał mu przesunąć biodra bliżej niej i wyrwał z niego warkliwe dźwięki, których dudnienie słyszała w jego piersi.

– Tak, Lustino. Właśnie tak. – Jego głęboki, poważny głos sprawiał, że całe jej ciało zdawało się trzepotać. Wpatrywała mu się w twarz, nie przerywając posuwistych ruchów. Na szyi nabrzmiały mu żyły, a zwyczajowy gniewny kontur brwi złagodniał. Wywrócił oczy jakby w ekstazie.

Pragnęła go zadowolić. Uczynić tak, by czuł to, co ona przed chwilą.

– Pokaż mi więcej. Pokaż mi, czego chcesz, mój lordzie.

Bez śladu rozbawienia na twarzy wpatrywał się w nią, gdy odrywał jej dłoń od swojego ciała. Chwycił jej uda i rozłożył je. Gdy poczuła szturchnięcie w swoje wejście, popatrzyła tam i ujrzała, że trąca ją czubek jego członka.

– Chcę wejść w ciebie. Tutaj. – Ścisnął ją mocniej palcami, rozchylił i wsunął się tam, gdzie wcześniej znajdowały się jego palce. – Rozluźnij się, Lustino.

Krzyknęła cicho, spinając się; fala niepokoju podeszła jej do gardła. Kręcąc głową, próbowała go odepchnąć.

– Nie, jest za duży. Nie zmieści się.

– Zmieści się, zapewniam cię. Po prostu się rozluźnij. Nie będę się spieszył.

Gdy wchodził w nią głębiej, pulsował w niej strach. Nacisk nabrzmiął do niewyobrażalnego poziomu, gdy jej ciało zdawało się rozciągać i dopasowywać do jego rozmiaru, aż wreszcie w pełni się w niej rozgościł, wydając z siebie męski odgłos satysfakcji.

Pozostawał w bezruchu, dając jej chwilę na wypuszczenie wstrzymywanego oddechu.

– Będzie piekło i krwawiło, poza tym jutro możesz mieć problemy z chodzeniem, ale obiecuję ci, później zrobi się lepiej.

Łzy wezbrały jej w oczach, nie z bólu, lecz dlatego, że był tak blisko niej. Czy ludzkie istoty mogły się połączyć bardziej niż w taki sposób? Czy była w stanie poznać głębię jego duszy w większym stopniu niż wtedy, gdy jego skóra stykała się z jej skórą, gdy jego dłonie zaciskały się na jej dłoniach?

Kołysał się na niej powolnymi, miarowymi ruchami, a ona czuła, jak jego grubość wsuwa się w nią i wysuwa leniwymi pchnięciami. Pieczenie wywołane każdym rozciągnięciem przeradzało się w chłodne mrowienie. Otoczyła jego plecy nogami, a barki rękoma, i ośmielała się odetchnąć tylko wtedy, gdy z niej wychodził.

Jego pchnięcia przyspieszyły. Mięśnie napięły się pod jej dłońmi. Zaczął jęczeć głośniejszym głosem, co mówiło jej, że pomimo bólu, który czuła, znajdował przyjemność w jej ciele. Lustina odchyliła głowę do tyłu i dostrzegła nad sobą sierp księżyca. Zamknęła oczy i skupiła się na wrażeniu jego masywnego ciała tkwiącego w jej uścisku. Jakże pięknie i idealnie się poruszał, niczym fale oceanu uderzające o brzeg. Raz za razem. Ta wizja przepełniła ją spokojem, dzięki czemu dziewczyna rozluźniła się, pozwalając mu korzystać ze swojego ciała.

Wygięła grzbiet, wznosząc się ku niemu, i zachwycała się doznaniem jego torsu ocierającego się o jej piersi przez cienką tkaninę koszuli nocnej, swoich ud opierających się o jego talię. Plecy napinały mu się przy każdym pchnięciu, gdy nasyczał swoje pragnienia.

Poruszał się coraz szybciej.

Głębiej.

Tak głęboko, że aż krzyknęła.

Jego oddech przeszedł w dyszące sapanie, palcami ścisnął jej pośladki. Gdy ugryzł ją u nasady szyi, z jej gardła ponownie wyrwał się krzyk.

Jericho zadrżał, napinając każdy mięsień, i wydał z siebie zbolące warknięcie. Niczym dzika bestia, która zasiała w niej spustoszenie. Jego pchnięcia najpierw spowolniły, a później znieruchomiał, leżąc na niej. Dyszał. Ich klatki piersiowe poruszały się w jednym rytmie. Oparł czoło na jej gardle, nie zwracając sobie głowy tym, żeby się z niej wysunąć.

Nie przeszkadzało jej to jednak. Później pewnie nadejdzie ból, ale teraz czuła jedynie ciepło jego ciała sąsiadujące z chłodnym nocnym wietrzykiem, słyszała odgłosy lasu – szelest liści i cykanie owadów. Spokojną

monotonie znużonych oddechów.

Gdy ogarnęło ją poczucie radosnego zadowolenia, spojrzała w gwiazdy i po skroniach potoczyły jej się łzy. Gdzieś pośród doznania spełnienia wciąż dręczyły ją wątpliwości.

– Czy to wystarczyło, mój lordzie?

– To było dla mnie wszystkim. Po tej nocy nie zapragnę już żadnej innej.

Ona też nie zapragnie nikogo innego. Ale Lustina doszła do tego wniosku już na długo przed tą nocą.

Jericho

Przez okno obserwowałem, jak dziewczyna zmierza do stajni, a trzy psy drepczą obok niej. Wciąż zaskoczony tym, jak są wobec niej lojalne, upiłem łyk absyntu, pozwalając, by ciepły płyn ogrzał mi myśli.

Te oczy. Te jej przeklęte, piękne, hipnotyzujące oczy.

Z cętkami, złota, purpury i zieleni, wyglądającymi jak kolizja mrowia gwiazd. Te same oczy, które obserwowałem, jak wywracają się w wyrazie ekstazy. Oczy, na punkcie których wpadłem w obsesję.

Niepożądany ból w pachwinie przypomniał mi chwilę, kiedy przebywała w moim gabinecie, gdy mogłem czuć jej podniecenie, gdy praktycznie smakowałem w powietrzu jego słodki smak, tak pełny, że aż ślina napływała mi do ust.

Dla własnej rozrywki bawiłem się z nią podczas naszego spotkania. Często zdarzało mi się stosować tę taktykę w trakcie seksu, lecz odkryłem, że okazuje się też całkiem użyteczna, gdy próbuję uzyskać informacje. Wyglądało na to, że panna Ravenshaw wcale nie jest na mnie taka odporna. Ani ja na nią. Co mi przypominało, że lepiej, bym zachowywał ostrożność przy tej kuszącej lisicy. Z powodów, jakich nie umiałem wytłumaczyć, coś mnie do niej przyciągało. Za każdym razem, gdy przebywałem blisko niej, czułem silny napór, który nie chciał słabnąć.

Wróciłem myślami do naszej wcześniejszej rozmowy o jej ojcu.

Tamtej nocy starzec mówił mnóstwo szalonych rzeczy. Wypowiadał proroctwa i cytaty biblijne. W większości brzmiało to jak bełkot kogoś obłąkanego, ale przypominałem sobie pięć słów wygłoszonych wyraźnie i precyzyjnie: „Musisz pamiętać, żeby ją chronić”.

Chronić ją. Przed czym?

– A zatem tym się zajmujesz całymi dniami, gdy twierdzisz, że pracujesz w swoim biurze. – Komentarz Remy’ego wywołał ironiczny uśmiešek na mojej twarzy. Przesunąłem wzrok ku niemu na tyle, by zobaczyć, że stoi obok mnie, na skraju mojego pola widzenia. – Co jest w niej takiego...

– Pociągającego? To nie jej miejsce.

– Myślisz, że przeszła?

– Wiem to. W końcu mi się przyznała. Nieco zachęcona. Uważam też, że może próbować wrócić.

– I niepokoi cię to, bo...

Skupiony na tym, jak sukienka poruszała się wokół jej smukłych ud, gdy skakała i tańczyła po dziedzińcu, znów wzięłem łyk drinka.

– Na razie zachowam swoje powody dla siebie. Chciałbym, żebyś pomógł mi ją bacznie obserwować. Ale pamiętaj, że jest dla ciebie zakazana.

– Kolejna zakazana. Aż dziwne, że nie znudziło ci się jeszcze kiszenie tutaj wszystkich tych kobiet.

– A kto mówi, że mi się nie znudziło? – Odwróciłem się od okna i postawiłem kieliszek na biurku, a Remy opadł na fotel naprzeciwko mnie. – Muszę ci coś pokazać. – Podniosłem kartkę ze szkicami wykonanymi przez Farryn. – Wspomniała tego popołudnia, że w jej sypialni pozostawiono pióro.

– Uhm. To nie moje. Mogę cię zapewnić, że nie zrobiłem nic...

– W jej sypialni w krainie śmiertelników. – Obróciłem papier i zademonstrowałem mu rysunki. – Mówiła, że to było wyryte na piórze.

Remy ściągnął brwi i barki.

– Cassiel? O co chodzi, do diabła? Dlaczego miałby pojawić się w jej sypialni?

– Z tego, co się zorientowałem, ona nie zna wcale więcej szczegółów niż my. Wydaje się wierzyć, że poluje na nią Pentacrux.

- Pentacrux? – Remy parsknął i odrzucił kartkę. – Nie słyszałem tej nazwy od wieków.
 - Ja też nie. Najwyraźniej we śnie polecono jej, żeby odszukała mnie w Nocnym Cieniu.
 - Uważasz, że to Cassiel ją przeprowadził?
 - Nie. Ale uważam, że Cassiel miał powód, żeby zostawić pióro. Chciałbym, żebyś przejrzał dla mnie jej mieszkanie. W Chicago. Jej nazwisko to Ravenshaw. Chcę, żebyś dowiedział się o niej jak najwięcej. I o Cassielu. Sprawdź, czy uda ci się odkryć, kto może na nią polować.
 - Czyli mam zabawić się w stalkera tej laski? Ktoś tu ma lekką obsesję.
- Wyglądałem przez okno, a moje myśli, jak od kilku dni, ściśle otulały się wokół młodej i nieświadomej kusicielki.
- Obecnie stanowi dla mnie ciekawostkę i nic więcej. Ale ostrzegę cię tylko raz, przyjacielu. Nie waż się jej tknąć, chyba że nie potrzebujesz już palców.

Lustina

Lustina przypięła świeżo upraną pościel do sznura, uważając, żeby nie dotykała trawy. Pomiędzy falującymi tkaninami dostrzegła Jericha zmierzającego do kościoła. Choć na jego widok poczuła, jak rośnie jej serce, tkwił tam również smutek. Później niewątpliwie zostanie zabrany do krypty na dalsze eksperymenty i choć zapewniał ją, że nie jest to tak złe, jak się wydaje, nie potrafiła znieść tej myśli.

Niedługo później młody baron pojawił się w ogrodzie i pociągnął ją w stronę krypty, jak kilka razy wcześniej.

Roześmiała się, pozwalając mu prowadzić się do ciemnego korytarza.

– Jak udaje ci się za każdym razem wymykać?

– Mam w zanadru mnóstwo wymówek. – Obejrzał się przez ramię z ujmująco łobuzerskim uśmiechem, który wydawał się rezerwować wyłącznie dla niej. – Wyglądasz dziś upajająco. W zasadzie to może będę musiał się tobą upoić. – Gdy znaleźli się w krypcie, przycisnął ją do ściany w niszy i porwał jej wargi do żarliwego pocałunku.

– Mój lordzie... – Tylko tyle zdążyła wykrztusić, zanim zatkał jej usta swoimi ustami. Ledwo mogła zaczerpnąć tchu, tak szaleńczo ją całował. – Nie potrafię tego robić tak blisko komnaty, w której będą cię dręczyć.

Przesuwając wargami po jej szyi, rozplątywał wiązanie jej sukienki. następnie przeniósł się na jej bark i pocałował jej obojczyk.

– Dziś nie będzie dręczenia.

Lustina zmarszczyła brwi, starając się skupić na jego słowach, ale wszędzie na sobie czuła jego usta i dłonie, które rozpraszały jej myśli.

– Dlaczego?

– Przybył z Rzymu zakonnik. Wszyscy są zajęci jego wizytą. – Nachylił się, wziął jej pierś do ust i zaczął ssać.

Wywołało to głębokie doznanie w jej wnętrzu. Wyprężyła plecy i napała na niego, pragnąc więcej.

– Zakonnik?

– Ma na imię Felix – powiedział tuż przy jej piersi i pociągnął brodawkę zębami. – Dość już tej gadaniny. Pragnę pochwycić twoje jęki w dłoń, podczas gdy ponad nami biskup mówi o grzechu i pokusach cielesnych. Kiedy będzie oferował ciało Mesjasza, chcę, żebyś ty zaoferowała mi swoje. Chcę wysysać je ze swoich palców, żeby smak utrzymał mi się na języku.

Myśl o tym wywołała uśmiech na jej twarzy.

– Obróć się.

– Mój lordzie?

Zanim zdążyła zaprotestować, okręcił ją w stronę muru i przycisnął jej policzek do chłodnej powierzchni.

– Czy pamiętasz nasze ostatnie spotkanie w lesie?

Oczywiście, że pamiętała. Po pierwszym razie, gdy się kochali, przyszedł do niej następnej nocy. I kolejnej. I jeszcze jednej. Pokazywał jej rozkosze, o jakich nigdy nie marzyła, na przykład opaskę na oczy i sznury wiążące jej nadgarstki do pobliskich drzew. Pęta powinny ją przerażać, ale uznała je za dziwnie emocjonujące. Uwalniające.

– Myślałam o nim każdej nocy.

– A czy dotykałaś się przy tych myślach?

– Tak, wasza lordowska mość.

– Dobra dziewczynka. Tym razem będę cię pierdolić i chcę, żebyś krzyczała. Tak głośno, jak umiesz. Zrobisz to dla mnie?

– A co, jeśli nas usłyszą?

– Nie usłyszą. Zamierzam zakryć ci usta. – Uniósł dół jej sukienki i chwilę później poczuła nacisk jego koniuszka napierającego na jej wejście. Jego dłoń nasunęła się na jej usta, po czym jednym pchnięciem znalazł się w jej wnętrzu.

Lustina jęczała w jego palce, gdy leniwym, ospałym tempem przesuwiał biodra w przód i w tył. Gdyby ktoś się na nich natknął, z pewnością poddano by ją rozciąganiu, a później albo publicznie wybatożono, albo stracono za takie zboczenie. Według kościoła seks miał służyć wyłącznie płodzeniu dzieci, a jeśli odbywał się poza małżeństwem, był grzechem śmiertelnym. Nie pozwalano na seks dla przyjemności.

Tymczasem, na Boga, każdy centymetr barona był dla niej taki przyjemny.

Gdy przyspieszył tempa, przycisnął wargi do jej ucha i wyszeptał:

– Nic na tej ziemi nie jest tak rozkoszne jak twoja ciepła cipka, Lustino.

Sapnęła przez nos, słysząc jego nieprzyzwoite słowa, które wiązałyby się ze straszliwą karą, gdyby biskup je usłyszał. Mimo to było w nich coś, co ją ekscytowało. Z oczyma przymkniętymi z pożądania jęczała, w głowie powtarzając zakazane określenie.

– Podoba ci się, gdy mówię do ciebie tak brzydtko?

Przytaknęła i znów jęknęła, więc wypełnił ją tak szczelnie, że aż napiął jej się żołądek.

– Jesteś moją damą, Lustino. Ale gdy jesteśmy razem w taki sposób, chcę, żebyś była moją dziwką. Czy to ci przeszkadza?

Wręcz przeciwnie, taka myśl ją ekscytowała. Może dlatego, że rzeczywiście traktował ją jak damę – jako jedyny chłopak kiedykolwiek. Od ich pierwszej schadzki w lesie stwierdziła, że darzył ją coraz większą czcią. Był opiekuńczy. Wręcz zazdrosny.

– Tej nocy będę pieprzył swoją dłoń do myśli o tobie. Dłoń, która teraz dotyka twoich ust, później doprowadzi mnie do ekstazy.

Na te słowa znów jęknęła, co zostało zduszone przez jego palce. Delikatne skurcze pulsowały w jej brzuchu, co zauważała za każdym razem, gdy z nim była. Drobne, niekontrolowane wstrząsy, które wydawały się pochodzić od jego ciała. Wibracje, które ścisnęły jej wnętrzności, podsycając jej podniecenie.

– Jakie to uczucie grzeszyć w tym samym kościele, gdzie święci ludzie składają swoje śluby? Być braną jak zwierzę w domu Świętego Ojca?

Kolana niemal załamały się pod nią, gdy to usłyszała, całe ciało drżało od orgazmu gotującego się w niej niczym w kotle, gotowego wykipieć. Wydawała z siebie chrapliwe stęknięcia, a gdy przesunął drugą dłoń na przód i zaczął gładzić jej wrażliwą pleć, oparła się dłońmi o ścianę, starając się zachować równowagę.

– Proszę – błagała zduszonym głosem.

– Podoba ci się, jak masz w sobie mojego kutasa?

Skinęła głową i zacisnęła palce na kamieniach, gdy on muskał jej szczelinę. Od tego, co czuła, chciało jej się łkać.

– Czy pragniesz spełnienia, Lustino?

Znów skinęła szaleńczo głową, skamląc w jego dłoń, gdy napięcie w jej ciele osiągało poziom nie do zniesienia.

– Czy będziesz krzyczeć, gdy cię wypełnię?

Kolejne skinienie, po którym jęknęła boleśnie.

– Zatem daj mi spełnienie.

Nie mogąc już tego dłużej znosić, odchyliła mu głowę na pierś i pozwoliła, żeby zalały ją fale rozkoszy. Kolejne dręczące drżenia sprawiały, że krzyczała mu w dłoń, jak jej kazał. Ledwo była w stanie ustać na nogach, które zrobiły się słabe i miękkie.

Obrócił ją i uniósł, otaczając się w pasie jej nogami. Oparł głowę na jej piersi i wbijał się w nią z determinacją człowieka szukającego świętego Graala. Odchylił głowę w tył i wpatrywał się w nią z czcią rycerza klęczącego przed swoją królową. Drżąc na całym ciele, wydał z siebie cichy odgłos absolutnej ulgi i przyciągnął ją mocno do siebie, wypełniając ją ciepłem swojego spełnienia.

Po chwili ściągnął brwi i sięgnął do jej włosów, gładząc dłonią długie kruczoczarne loki.

– Jesteś moja na wieczność. – Przycisnął wargi do jej warg, pochłaniając powietrze z jej ust. – A ja jestem twój.



Poprawiając sukienkę, ze skrywanym uśmiechem, Lustina wyłoniła się z krypty. Świadeństwo spełnienia Jericha sływało jej po udach, a gdy pomyślała, że miałyby stanąć przed biskupem z tym spełnieniem zaschniętym na skórze, miała ochotę zachichotać. Baron udał się w przeciwnym kierunku, do katedry, żeby spotkać się ze swoim ojcem, ale wcześniej przez chwilę przyglądał się jej rozchełstanej postaci, piersiom wystającym z sukienki.

– Lustino! – zawołał do niej znajomy głos. Gdy się obróciła, ujrzała Drystana zmierzającego ku niej przez dziedziniec. – Czy mogę z tobą porozmawiać?

Jego widok zwarzył jej nastrój. Jęknęła.

– Wolalabym nie.

– Proszę. Obiecuję, że chcę tylko przeprosić.

– Zatem przepraszaj.

– Czy mogłabyś poświęcić mi jedynie minutę swojego czasu?

Prychnęła i skrzyżowała ręce.

– W porządku. Mów, co masz do powiedzenia.

– Nie tutaj. – Błagalny wyraz w jego oczach zupełnie na nią nie działał. Jedynie ryzyko, że ktoś mógłby pomyśleć, iż coś knują, skłoniło ją, by wejść za nim do krypty. Nie chciała stawać w alkowie, w której przed chwilą stała z zadartą sukienką, więc zatrzymała się przed jednymi z drzwi.

Rozejrzawszy się szybko, Drystan otworzył je i wciągnął ją za sobą do środka. Zrobiło się ciemno, gdy zamknął odrzwia, jedyne światło dochodziło przez szpary między deskami.

– Ja nie... nie czuję się swobodnie. – Zawróciła, ale stanął jej na drodze. – Chcę stąd wyjść.

– Daj mi chwilę, muszę powiedzieć ci coś ważnego.

– Zatem mów, żebym mogła wrócić do swoich porannych obowiązków. Nie podoba mi się, że jestem z tobą w tej komnacie.

– Czy to ta komnata cię niepokoi? A może ja?

– Jedno i drugie.

– Muszę ci coś wyznać. – Szorstkie dłonie złapały ją za barki, wyzwalając kuranty trwogi w jej głowie. – Nie potrafię przestać o tobie myśleć. Wciąż mam przed sobą wizje dalekie od świętości. Paskudnie niegodziwe pragnienia, żeby cię wziąć siłą.

Zimny, nieprzyjemny szok pozbawił ją tchu.

– Puść mnie. Już.

– Dlaczego?

– Bo nie zamierzam spełniać tych twoich fantazji.

– Ale jesteś gotowa pierdolić się z moim kuzynem w krypcie świętej katedry? Jaka kurwa jest wybredna w kwestii chętnych kutasów?

Lustina uderzyła go w twarz tak mocno, że odrzuciło mu głowę na bok. Ekspłodowała w niej złość, ale gdy cofnęła dłoń do kolejnego policzka, chwycił ją za nadgarstek.

– Jak śmiesz dotykać mnie tymi brudnymi łapami. – Zanim zdążyła mu się wyrwać, obrócił ją do ściany i przywarł do niej ciałem, przygniatając jej policzek do kamieni. – Widziałem, jak brał cię niczym pan ujeżdżający sukę. Jakże to niestosowne z twojej strony. – Podrapał jej paznokciami łydki, gdy zadzierał jej sukienkę.

– Puść mnie! Natychmiast!

– Ćśś, ćśś... Jeśli będziesz wrzeszczeć, powiem biskupowi, że mnie tu zwabiłaś, zupełnie jak Lilith. Powiem mu, że uwiodłaś mnie, żebym jebał cię jak pies. Zostanę oszczędzony, a ty spłoniesz jak twoja matka czarownica.

Pod wpływem fali szalonej złości wydała z siebie okrzyk. Sięgnęła za siebie, żeby go podrapać, ale

naparł na nią mocniej, a odgłosy jego drżących oddechów, wibrujące tuż przy jej uchu, wywołały wrażenie grozy w jej trzewiach.

– Rozluźnij się, Lustino. Twoja cipka jest już dla mnie rozgrzana. Jestem pewien, że nie poczujesz bólu. Ale jeśli tak się zdarzy, to nie będę mógł powiedzieć, że jestem rozczarowany.

– Złaż ze mnie...! – Jej wrzask urwał się nagle, zduszony jego dłonią, a gdy poczuła pierwszy nacisk jego koniuszka na nowe miejsce, w którym Jericho jeszcze nie był, zaczęła się wić i drapać kamienie, by się wyrwać.

– Wiesz, po namyśle uznałem, że nie będę pchał kutasa tam, gdzie wcześniej był mój kuzyn. Ta dziurka też się nada. Zamierzam splądrować cię jak dzika bestia.

– Nie! – zawołała Lustina. Długo i głośno. Wrzeszczała, aż ogarnęły ją zawroty głowy. A gdy wsunął członek pomiędzy jej pośladki, drażniąc to zakazane miejsce, załkała.

Wystraszyła się, słysząc huk. Najwyraźniej Drystan również, ponieważ ją puścił. Postać stojąca w drzwiach promieniowała wściekłością tysiąca ludzi. Pięści zaciśnięte u boków szykowały się do walki. Barki się pochylały.

Lustina podbiegła do Jericha, który zaciskał zęby, a żyły na szyi nabrzmiały mu od jadowitej furii. Nie spuszczać oczu z kuzyna, kazał jej wyjść.

– Chodź ze mną – wyszeptwała.

– Idź już.

Zerknąwszy jeszcze raz na Drystana, który pobladł gwałtownie, wyslizgnęła się z komnaty. Za sobą usłyszała stuknięcie drzwi.

Długi, zbolący krzyk ścigał ją, gdy opuszczała kryptę. Ocierając łzy z policzków, nie oglądała się za siebie.

Farryn

Następnego ranka udalam się do psiarni, lecz dźwięk opryskliwych komend pokierował moje stopy na skraj lasu. Tam ukryłam się za małą szopą i ujrzałam Van Croixa stojącego przed trzema psami, które siedziały w absolutnym bezruchu z uniesionymi wysoko pyskami. Na każdym z pysków położył kawał mięsa i chodził przed bestiami, jakby ośmielał je, by pożarły smakołyk. Żaden z psów nawet nie drgnął. Byłabym zaskoczona, gdyby w ogóle oddychały.

Van Croix strzelił palcami i wszystkie trzy bestie poruszyły się jednocześnie, podrzuciły głowami i schwyciły mięso, zanim spadło na ziemię. Zaraz potem ponownie stanęły nieruchomo.

Po kilku takich rundkach wyszłam z kryjówek, żeby do nich podejść.

Z początku van Croix jedynie na mnie zerkał, lecz powoli przeszło to w spojrzenie, pod którym czułam się naga i odsłonięta. Dopiero gdy znowu skupił się na psach, uznałam, że mogę wreszcie spokojnie odetchnąć.

– Widzę, że tego ranka wcześniej zabrałeś się za trening – powiedziałam, podchodząc do niego.

– Próbuję po prostu ustanowić jakąś dyscyplinę, zanim za bardzo przyzwyczają się do tych beztroskich figli.

– Czasami też powinienes ich spróbować. Beztroskich figli. Znacząco redukują ryzyko nadzrzedliwości.

– Nadzrzedliwości. Wygląda na to, że twojemu słownictwu przydałoby się parę poprawek.

– Tak jak twojemu zachowaniu.

– To twój ojciec sprawił, że masz taki cięty język?

Zachichotałam na te słowa, czując, jak napięcie w moim żołądku nieco się zmniejsza.

– Chyba ciotka. Zawsze mi powtarzała, żebym nie zostawiała żadnego komentarza bez stosownej repliki.

– Widzę, że doprowadziłaś jej poradę do perfekcji.

– A ty? Odziedzyczyłaś zgryźliwość po swoim ojcu?

Kącik jego ust uniośł się lekko w uśmiechu.

– Po matce. Podobnie jak twojej ciotce, niewiele kwestii wymykało się jej sarkazmowi, gdy dorastałem.

– Brzmi, jakby była wspaniałą osobą. Przynajmniej dla mnie.

– Była wyjątkową kobietą.

– Moja również. Jestem niemal pewna, że to właśnie jej zawzięty upór przyciągnął mojego roztrzepanego ojca.

– Jaki mężczyzna mógłby oprzeć się kobiecie, która nie daje za wygraną? – Sugestia w jego głosie sprawiła, że znów zapłonęły mi policzki. Flirtowanie z nim wydawało się niebezpieczną gierką, a na pewno nie byłam na tyle doświadczona, żeby dorównać jego dowcipom.

– To co, bierzemy się do rzeczy? – zapytałam.

– Do jakiej rzeczy?

– Do beztroskich figli. Nalegam, żebyś w nich uczestniczył. Choćby po to, żebyś mógł wzmocnić swoją niechęć do nich.

– Wolałbym nie. – Wyraz znudzenia na jego twarzy pasował do jego tonu.

– Ach. Za bardzo boisz się utraty kontroli nad sobą. Rozumiem.

– Akurat ty powinnaś dobrze wiedzieć, że takie gierki to studium daremności.

– Akurat ja? Co masz na myśli?

Jego wargi wygięły się w niemożliwie atrakcyjnym uśmieszku.

– Niczego nie mam na myśli. No, dawaj. Pokaż mi te figle, które tak dobrze ci wychodzą.

Na ten komentarz uśmiechnęłam się i wydułam wargi, by zagwizdać, na co psy wyrwały się z postawy

na baczność. Wszystkie trzy podbiegły do mnie, czego nauczyłam je na łące.

– Wiem, że to zabrzmi dla ciebie obco, ale pierwszą rzeczą, jaką robimy, jest rozluźnienie się. Nie wiem, jakie pilne kwestie zajmują człowieka kierującego upiorną katedrą, ale kluczową sprawą jest, żebyś zdystansował się od tego wszystkiego.

– Cieszysz się moją niepodzielną uwagą.

– Dobrze. Co następne? Nakłonienie psów, żeby cię goniły?

– Dlaczego miałabyś je do tego skłaniać?

– Bo to jednocześnie przerażające i przyjemne. Zwłaszcza w przypadku Fenrira, który lubi podgryzać.

Pochyliłam się do przodu i pobiegłam w kierunku lasu.

Psy zaszczekały i podjęły pościg. Oczywiście nigdy nie udawało mi się mocno wysforować, ale nie o to chodziło.

Chodziło o to, że całej trójce nigdy się to nie nudziło, dzięki czemu ćwiczenie stawało się jeszcze zabawniejsze.

Śmiech wyrwał mi się z płuc spazmatycznymi sapnięciami, gdy skakałam i pochylałam się, przemykając pod i nad gałęziami, starając się wymykać bestiom, które trzymały się tuż za mną. Drzewa rozstały się przed otwartą łąką, a gdy psy wreszcie mnie dopadły, Fenrir szturchnął mnie od tyłu nosem, zaś ja pisnęłam. Dopiero gdy porwałam patyk z ziemi i rzuciłam nim na niewielką odległość, psy porzuciły pościg za mną na rzecz nowego celu. Oparłam dłonie na udach i z wysiłkiem oddychałam głęboko. Odwróciłam się i ujrzałam, że Van Croix podchodzi spacerowym krokiem, zahaczywszy jedną dłoń o spodnie, w sposób niedbały i atrakcyjny – co trudno mi było przed sobą przyznać.

– Wygląda na to, że nie zrozumiałaś celu tej zabawy, panno Ravenshaw. To ty jesteś wyczerpana i zasapana.

– Wyszłam z formy – wyjaśniłam, prostując się. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz bawiłam się w berka. Albo w ogóle biegałam. – Kilka lat wcześniej wpadłam w uzależniający zwyczaj biegania bez spożywania odpowiedniej liczby kalorii, co oznaczało niebezpiecznie niezdrowy tryb życia. Po części robiłam to dlatego, że podczas biegu lepiej mi się myślało, a im więcej biegałam, tym więcej myślałam i tym mniej zwracałam uwagę, jak daleko lub jak długo biegnę. Kiedyś jednego dnia pokonałam pięćdziesiąt kilometrów.

Jeden z psów przydreptał z patykiem i rzucił mi go u stóp. Podniosłam z uśmiechem podarunek i podałam Van Croixowi, który przyjął go z typową dla siebie krzywą miną.

– To się nazywa aport. Na pewno musiałeś się już w to kiedyś bawić.

– Nie bawiłem się w to. Nigdy nie widziałem sensu w powtarzalnym ciskaniu jakimś przedmiotem dla niezmiennego monotonnego rezultatu.

– Czy wszystko musi mieć jakiś cel? Psy to kochają. Właśnie w tym rzecz.

– Jeśli nie istnieje cel, wszystko staje się bezcelowe.

– Zobaczmy, jak daleko zdołasz rzucić patykiem.

Uniósł brew i stuknął kijkiem w dłoń, a później odchylił ramię i ujrzałam jedynie ciemną smugę mknącą w stronę lasu po przeciwnej stronie łąki. Pocisk poleciał tak daleko, że straciłam go z oczu na zachmurzonym niebie.

– Co, do...

Psy pomknęły w kierunku przypuszczalnego miejsca lądowania, zaś ja stałam jak wryta.

– Co się właśnie wydarzyło?

– Nie zrobiłem tego, o co prosiłaś?

– Tak, ale... to... niemożliwe. Dla istoty ludzkiej.

– Może w twoim świecie.

Nie trudziłam się spoglądaniem na niego, gdy zadawałam następne pytanie:

– Jesteś jednym z nich? Upadłych?

– Nie do końca.

– Aniołem?

– Nim też bym się nie nazwał.

– Człowiekiem? – Czując, że lekko łamię mi się głos, odchrząknęłam.

Zapadła długa pauza. Gdy się obróciłam, ujrzałam, że bez żenady gapi się na moje nogi.

– Pytasz w taki sposób, jakbyś tak naprawdę nie chciała otrzymać odpowiedzi.

– Przynajmniej powiedz mi, czy powinnam się bać zostawać z tobą sama.

Po powolnej wędrówce w górę mojego ciała jego spojrzenie spotkało się z moim.

– Tak. Absolutnie powinnaś.

Pokręciłam powoli głową, wchłaniając jego słowa.

– Gdybyś był zdolny do zrobienia mi krzywdy, już byś to uczynił.

– Być może, podobnie jak psy, cenię sobie pościg. – Jak na kogoś o tylko jednym zdrowym oku niewątpliwie potrafił wiele przekazać wzrokiem.

– Nie boję się ciebie – zblefowałam. Oczywiście, że się go bałam. Był najbardziej przerażającą istotą, z jaką kiedykolwiek się zetknęłam, a przecież na uczelni poznałam pewnych opryskliwych wykładowców.

Uniósł wysoko podbródek, po czym znów skierował na mnie spojrzenie.

– A jednak słyszę, jak serce dudni ci w piersi. Wyczuwam, jak galopuje ci ciepły puls. Mógłbym posunąć się do stwierdzenia, że gdybym chociaż tknął cię w tym momencie palcem, zdrząłabyś pod moim dotykiem.

– To dla ciebie jakaś nowość?

– Jedynie radość.

– Nie skrzywdzisz mnie. Bo wciąż zbija cię z tropu, że twoje psy ufają mi tak bezwarunkowo, a zatem nie masz wyboru i sam też musisz mi zaufać.

– Bardzo dużo uzależniasz od tego, czy przejmuję się, co myślą moje psy, czy też nie.

– Gdybyś się nie przejmował, już byś się mnie pozbył.

Uniósł brew i przekrzywił głowę.

– Ta opcja nie jest jeszcze całkowicie wykluczona.

Podniosłam kolejny patyk i podałam mu.

– Pokaż mi znowu.

Sięgnął po kijek z czymś, co odebrałam jako niechęć, po czym, zanim zdążyłam cofnąć rękę, chwycił mój nadgarstek i obrócił mną tak szybko, że otoczenie rozmyło mi się przed oczyma. Serce łomotało mi między żebrami, gdy stałam przyciśnięta plecami do jego piersi, a ten jego odurzający zapach sprawiał, że ślina napływała mi do ust. Ręce wyłoniły się zza mnie, wsunął mi patyk w garść i odciągnął moje ramię do tyłu.

– Musisz jedynie wyobrazić sobie, dokąd ma polecieć – powiedział mi do ucha.

Kiedy mnie puścił, obróciłam głowę w bok; oddychałam nierówno, szybko.

– Tak daleko, jak tylko chcę?

– Tak.

Fenrir siedział w oddali na tylnych łapach, zupełnie jakby na mnie czekał. Dystans zdecydowanie przekraczał moje możliwości rzutu. Cofnęłam jednak rękę jeszcze trochę i cisnęłam kijkiem. Pomknął nad łąką, a ja patrzyłam z zachwytem, jak Fenrir wyskakuje po niego w powietrze.

Ojacie. Ojacie!

Zakryłam twarz, śmiejąc się w swoje dłonie.

– To było jakieś szaleństwo!

Chwilę później Fenrir wrócił z patykiem. Gdy tylko złożył mi go u stóp, pobiegł z powrotem tam, gdzie siedział wcześniej.

– Muszę spróbować tego znowu. – Podniosłam patyk i wzięłam zamach.

Jericho cofnął się o krok, uwalniając mnie od żaru promieniującego z jego ciała, jakby był chodzącą kuźnią. Czując pulsujące podniecenie, zacisnęłam powieki. Rzuciłam kijkiem, który jednak przeleciał jedynie kilka metrów.

Żałosne.

Poczułam dłoń w talii i wciągnęłam ostro powietrze, bo złapał mnie w sposób, który wydał mi się zaborny.

– Nie sądzę, żebyś koncentrowała się na patyku, panno Ravenshaw.

Na tyle subtelnie, na ile tylko byłam w stanie, skierowałam spojrzenie w dół, ku jego dłoni, która z łatwością mogłaby mnie zranić lub mną pokierować, gdyby zechciał. Nawet gdy był rozluźniony, jego palce sugerowały niezwykłą siłę. Przełknęłam gulę w gardle i otrząsnęłam się z tych myśli.

Gdy Fenrir przyniósł kijek, podniosłam go i rzuciłam ponownie. Przefrunął ponad łąką, tak jak za pierwszym razem. Pisnęłam nieatrakcyjnie, obróciłam się w podskokach i wydałam z siebie najidiotyczniejszy

chichot, jaki kiedykolwiek wydostał się spomiędzy moich warg.

Gdy się odwracałam, dostrzegłam cień uśmiechu igrający na jego ustach, który jednak zaraz zgasł, gdy Van Croix zrobił zamyśloną minę.

– Co się stało?

Pokręcił głową, wciąż wyraźnie próbując się skupić.

– To tylko dziwna myśl. Przypomniała mi o czymś, ale nie potrafię określić o czym.

– To zabawne, bo gdy jestem w twoim pobliżu, mam dziwaczne wrażenie, że się znamy, panie Van Croix. W sumie to wydaje mi się, jakbym już tu kiedyś była. Na tej łące. Wcześniej.

– To często się zdarza. W Nocnym Cieniu wiele osób doznaje *déjà vu*. Mówi się na to *es'ra*, co znaczy echa. Naśladują wspomnienia z dawnych żywotów. W niektórych przypadkach mniej doskonale niż w innych.

– Jak Katedra Czarnej Wody. Skojarzyła mi się ze starymi ruinami kościoła, w których kiedyś się bawiłam.

– Być może Czarna Woda stanowi echo czegoś, co istniało w innej części twojego świata.

– Jakie to niezwykle dziwne. – Ponad naszymi głowami rozbrzmiała przepiękna melodia, ptasi śpiew tak wyraźny i śpiewny. Obróciłam się i ujrzałam małego czarnego ptaszka siedzącego za nami na gałęzi, który skojarzył mi się z pulchną sikoreczką. – A skoro mowa o dziwnych rzeczach, co za uroczy dźwięk.

– To *tu'nazhja*. Dość niebezpieczny tutejszy ptak.

Zmarszczyłam brwi i obejrzałam się na stworzenie. To był chyba najśłodszy ptaszek, jakiego kiedykolwiek widziałam, niemal jak z kreskówki, z wielkimi czarnymi oczyma i przerośniętym dziobem.

– Niebezpieczny? Ale jest taki zachwycający.

– Tak. To jego natura. Dzięki zachwycającemu wyglądowi i urokliwej pieśni jest idealnym drapieżką. – Przesunął kciukiem po dolnej wardze, lustrując mnie od góry do dołu. – W pewnym sensie przypomina mi ciebie.

Zachichotałam i skrzyżowałam ramiona.

– Moment. Czy właśnie mimowolnie nazwałeś mnie zachwycającą?

Gdy kącik jego ust uniósł się w uśmiechu, z głębi lasu dobiegł donośny skrzek – odgłos znacznie mniej przyjemny niż ptasi trel – i Van Croix spowaźniał. Rozpoznawszy ten dźwięk, wyprostowałam gwałtownie plecy, a puls przyspieszył mi ze strachu.

– Poproszę cię, żebyś wróciła z psami do katedry, panno Ravenshaw.

– Nie idziesz ze mną?

– Nie.

– Wezwę pomoc.

– To nie będzie konieczne. – Pomimo sensu wypowiedzianych słów nie wyglądał na pijanego albo upośledzonego.

– Jeśli jest tam któryś z tych stworów, to zaufaj mi, przyda ci się pomoc.

– To ty mi zaufaj, gdy mówię, że jej nie potrzebuję. – Obrócił gwałtownie głowę, jednocześnie opuszczając rękawy, jakby właśnie zaczynał wprowadzać w życie jakiś plan. – Idź już. I nie wracaj na tę łąkę.

– Dobrze, w porządku. Skoro tak sobie życzysz.

– Zdecydowanie tak sobie życzę.

Jericho

Na skraju lasu zdjąłem kurtkę i rozebrałem się powyżej pasa, bo nie chciałem zniszczyć kolejnej dobrej koszuli. Sztylet z niebiańskiej stali, który miałem od lat, wisiał w pochwie na moim biodrze. Wolałbym niedawno zakupiony miecz, ale nie do końca był on codzienną, nierzucającą się w oczy bronią.

Światło dnia przygasało, popołudniowe niebo ciemniało z każdą minutą. Muskało mnie zimne powietrze, lecz ledwo to rejestrowałem na nieczulej skórze. Genetyczna przewaga mojego gatunku. Byłoby miło liczyć na towarzystwo Cerbera, ale ważniejsze było dopilnować, żeby Farryn wróciła bezpiecznie do katedry.

Hałas dobiegający spomiędzy ciemnych drzew zwrócił moją uwagę na białe pnie brzoź. Zdawały się ciche i spokojne, jednak wiedziałem, że coś się za nimi czai. Czuję, jak mrok tego czegoś przenika mnie niczym chłodna stal. Napiąłem łopatki, rozpościerając skrzydła na pełną szerokość. Gdy już się otworzyły, skoczyłem w górę, wzlatując w wieczorne niebo, i spojrzałem na ciągnący się pode mną las. Z tej wysokości dostrzegłem ruch na ziemi. Czarna postać przedzierała się między drzewami, jakby pragnęła się ukryć.

Zanurkowałem, sunąc w powietrzu w tamtym kierunku, a poniżej rozbrzmiał wstrząsający skrzek. Wąski odcinek lasu z obu stron okolony górami tworzył idealną pułapkę. Gdy spoglądałem w przód, widziałem urwisko, dokąd istota niewątpliwie zmierzała. Głęboko pod szklistą, czarną powierzchnią morza leżało wejście do Vale. Portal pomiędzy krainami.

Zmusiłem skrzydła do większej prędkości, żeby wysforować się przed stwora, i wylądowałem na małej polance na jego ścieżce. Tam czekałem z wyciągniętą klingą, aż wyłoni się z lasu.

W rzednym świetle pomiędzy pniami poruszała się postać, krążyła tam i z powrotem jak zwierzę zamknięte w klatce. Strone skały po obu stronach sprawiały, że nie miała żadnej innej drogi do dyspozycji, ale wydawało się wątpliwe, czy szukała sposobu ucieczki.

Przemknęła obok mnie smuga czerni, zamachując się na moją rękę. Stęknąłem i obróciłem się, wysuwając ostrze, by jego czubkiem zaciąć stworowi ciało. Nie na tyle, by zabić, ale by go zranić. Odgłos bólu powiedział mi, że trafiłem w cel.

Kolejna smuga. Kolejny odgłos bólu po przeciwnej stronie mnie. Tym razem zdołałem ugodzić go w bark.

Wciąż nie było to nic więcej niż zwykła, drobna rana, ponieważ nie zamierzałem jeszcze wysłać go do Ex Nihilo. Bestia znów na mnie pomknęła. Skoncentrowałem się na niej i wydałem bezgłośnie polecenie otaczającemu nas powietrzu, które zrobiło się gęściejsze, bardziej zwarte. Cząsteczki stały się widoczne, odbijały się od siebie powolnymi ruchami. Stwór zamarł w pół kroku, ale nie przestawał kłapać zębami i syczeć ostrzegawczo. Trzymając dłonie za plecami, obchodziłem go swobodnie, wiedząc, że się nie poruszy, dopóki tego nie zechcę.

Oddziaływanie na powietrze nie było czymś, co szczególnie lubiłem, jako że zużywało dość sporo energii, ale tylko w ten sposób mogłem dokonać oględzin bez zabijania istoty.

Na jej grzbiecie widniał rozsmarowany czarny wysięk sączący się z dwóch krwawych kikutów, z których, jak sądziłem, wyrastały kiedyś skrzydła. Wyżłobienia w kościach sprawiały wrażenie, że je przecięto. Żyły pojawiały się i znikwały pod plamistą skórą. Kości dłoni i rąk wykrzywiały się w sposób, który wyglądał na bolesny. Czarne, onyksowe oczy wybałuszały się coraz bardziej, w miarę jak podchodziłem.

– Ujawnij się – rozkazałem. – Jeśli chcesz być wolny, ujawnij mi się.

Znów syczenie i kłapanie pyskiem.

– Nie zamierzam cię krzywdzić. Chcę tylko wiedzieć, kim jesteś.

Po tych słowach stwór znieruchomiał. Jego czarne, wyłupiaste oczy się skurczyły, a pierś zapadała przy szybkich oddechach. Zamknął powieki i kilka sekund później na jego skórze pojawił się czarny zakręcony wzór. W chwili, gdy ukazał się sigil, sapnąłem z poczuciem bezsilności i desperacji.

Cassiel.

Przez jego oblicze przemknęło coś, co wyglądało na smutek.

– Co ci się stało, przyjacielu? – wyszeptalem, patrząc, jak w jego oczach lśnią łzy.

Syczał i warczał, ale nie było w tym słycać niczego zrozumiałego.

Westchnąłem ponuro i spojrzałem na trzymane ostrze, przypominając sobie tamten dzień na szczycie góry.

– Czy wciąż życzysz sobie, żebym posłał cię do Ex Nihilo?

Wpatrywał się we mnie, jakby starał się zrozumieć moje słowa, a gdy uniosłem klingę, szybko skinął głową.

– Możesz mi powiedzieć, kto ci to zrobił?

Doczekałem się jedynie kolejnych warkotów i stęknień.

Ścisnąłem mocniej broń i zmarszczyłem brwi.

– *Av'adeih et paej.*

„Idź w pokoju” po pri'scuciańsku.

Wbiłem mu klingę w pierś i obserwowałem, jak jego ciałem wstrząsają drgawki, jak jego ruchy zwalniają. Puste, czarne oczy przybrały ciepłą, bursztynową barwę. W rzeczywistym czasie nie dostrzegłbym tego efektu. W nie więcej niż sekundę skupiły się na mnie, łagodne od łez. Jedno tchnienie później płomienie wystrzeliły mu ze skóry, sięgając ku mnie w powolnym rozjarzonym rozbłysku.

Zwolniłem powietrze i pozwoliłem, żeby szybko go pochłonęło.

Miłosierdzie, tak jak mnie prosił.

Farryn

Chodziłam tam i z powrotem korytarzem. Zapadła noc, a moje myśli wciąż były pochłonięte tym, że Van Croix samotnie udał się do lasu za tamtą istotą. Tłumiłam w sobie poczucie winy, że go zostawiłam, lecz dochodziłam do wniosku, że okazałabym się bezużyteczna przeciwko dziwnym i niezwykłym bestiom tego świata. Do tych wyrzutów sumienia dokładał się stres, że zgodnie z jego prośbą nie powiadomiłam nikogo innego w domu i że jeśli zostanie poważnie ranny albo zginie, to ja będę za to odpowiedzialna.

Głupia. Głupia, głupia, głupia.

Musiałam komuś powiedzieć. Nawet jeśli tylko Anyi. Przynajmniej będzie wiedziała, kto może mi pomóc w razie potrzeby.

Słyszac skrzypienie drzwi, podbiegłam do barierki wychodzącej na przedsionek i mój żołądek się uspokoił, gdy on wszedł mi w pole widzenia. Zatrzymał się w pół kroku i napotkał mój idiotycznie przejęty wzrok. W jego oku błysnęło zaskoczenie, ponieważ na mojej twarzy niewątpliwie musiała się malować niewysłowiona troska. Czując, jak policzki płoną mi z zażenowania, umknęłam do swojego pokoju.

Owszem, chciałam, żeby wrócił bezpieczny i nietknięty.

Po prostu aż do tej chwili nie wiedziałam, jak bardzo potrzebuję ujrzeć, jak przechodzi przez tamte drzwi.

Farryn

W jakiś sposób minął tydzień, a ja każdego dnia się zamartwiałam. Na pewno powinnam już zacząć zapominać szczegóły swojego życia. Przecież tak mówiono mi o Nocnym Cieniu. „Nie zapominaj, kim jesteś”. A jednak z łatwością przypominałam sobie Camael czy ciotkę Nelle w drobnych szczegółach, aż po piegi na jej nosie, bądź też jaskrawą, koralową bluzkę w tureckie wzory, jaką miała na sobie sąsiadka, gdy zostawiałam u niej kocicę.

Dlaczego jeszcze tego wszystkiego nie zapomniałam? Czy w tym miejscu wspomnienia zanikały tak długo? Jakaż to była tortura, by utrzymywały się tyle czasu.

Stałam przy skraju przepaści, próbując przekonać się do tego, żeby podejść bliżej i spojrzeć w dół. Nie było tu barierki i wystarczyłby jeden błędny krok, żebym sturlała się z niebezpiecznej krawędzi. Wiatr targał mi włosy, kpiąc sobie z mojego zmysłu równowagi, gdy przesuwałam stopę bliżej. I bliżej.

Krótkim rzutem oka przesunęłam po całej straszliwej wysokości klifu aż do czarnych skał lśniących na skraju niezgłębionego, czarnego morza. Żeby na nich nie wylądować, musiałabym się rozpędzić albo cholernie daleko skoczyć.

Panika wezbrała mi w kręgosłupie. Wciągnęłam ostro powietrze, zaciskając mocno powieki.

Jezu. Niezależnie od wszystkiego wkrótce będę musiała wykonać ten skok, chyba że zechcę pozostać w Nocnym Cieniu. Nie potrafiłam sobie jednak tego wyobrazić. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak moja stopa opuszcza to urwisko. Na tę myśl pocily mi się dłonie, a żołądek skręcał się w niemożliwe węzły. Ten stres dręczył mnie codziennie podczas minionego tygodnia, gdy wyglądałam w przepaść i próbowałam wyświetlać sobie w głowie, że dobrowolnie stamtąd skaczę.

Mój porządek dnia stał się monotonnym pasmem karmienia psów, spacerów, zabawy i snu. Poznawałam teren i obserwowałam znajdujące się w oddali miasteczko, którego dachy dało się dostrzec z zachodniego dziedzińca katedry. W porze kolacji Aurelia toczyła ze mną życzliwe rozmowy, podczas których opowiadała mi, jak minął jej dzień.

Ale to nie wystarczało.

Nie odkryłam o swoim ojcu wiele więcej niż to, co wiedziałam, gdy tu dotarłam – jedynie to, że odebrałam zegarek, który mu podarowałam, i potwierdziłam, że kiedyś przebywał w Nocnym Cieniu, konkretnie w Czarnej Wodzie. Dni toczyły się jeden za drugim i wiedziałam, że wkrótce skończy mi się czas. Musiałam opuścić katedrę. Dostać się do miasteczka i rozejrzeć. Rozpytać o niego.

– Podziwiasz widoki? – Słyszac z tyłu głos, pisnęłam i obróciłam się nazbyt szybko. Żołądek podszedł mi do gardła, gdy zamachałam rękoma, zataczając się do tyłu.

Przytrzymała mnie silna ręka. Gdy podniosłam wzrok, okazało się, że należy ona do Van Croixa. Gdy już odzyskałam równowagę, wygładziłam sukienkę i odchrząknęłam.

– Dziękuję.

– Nie powinnaś figlować na urwisku. To niebezpieczne.

– Chyba mam szczęście, że akurat tędy przechodziłeś.

– Przelotnie. – Ruszył w kierunku stajni, a ja rzuciłam się za nim.

– Och, dokąd się wybierasz? – To pytanie wystrzeliłam z siebie z nadmierną werwą i zbyt szybko, żebym zdążyła się powstrzymać.

Spojrzenie, jakie mi rzucił, gdy się zatrzymał – wyraźnie mówiące „to nie twój interes” – sprawiło, że aż się cofnęłam o krok.

– Do księgarni – odpowiedział ku mojemu zaskoczeniu.

– Do księgarni? – wykrztusiłam z trudem, czując, jak trzepocze mi serce. – W miasteczku?

Gniewny grymas na jego twarzy lekko złagodniał, a spojrzenie stało się mniej surowe. Wyglądał, jakby

pograżył się w zadumie.

– Czy wszystko w porządku? – Czekałam, aż powie mi, żebym spływała.

On jednak zmarszczył czoło, dalej mi się przyglądając. Przekrzywił dłoń i wyciągnął rękę, jakby chciał ująć moją twarz, a mnie na ten widok zapało dech. Zanim jego palce mnie dotknęły, szybko je cofnął i odwrócił wzrok.

– Przepraszam. O co pytałaś? – Jeśli mężczyzna mógł wyglądać na speszonego, to ten właśnie taki był.

– Chciałam wiedzieć, czy mogłabym towarzyszyć ci do księgarni? Obiecuję, że nie zagadam cię na śmierć ani nie doprowadzę do szaleństwa.

– Pewnie.

– Żaden problem. Ja tylko... Moment. Czy właśnie powiedziałeś „pewnie”?

Popatrzył na mnie ostrożnie, a jego warga drgnęła.

– Tak.

Zalało mnie podniecenie, wydałam z siebie żenujący pisk i podskoczyłam.

– Naprawdę?

Wyraz konsternacji na jego twarzy powiedział mi, że nie jest pewien, czy chce, bym z nim szła, ale zignorowałam to, ponieważ trafiła mi się okazja, żeby nie tylko udać się do miasteczka i zapytać o ojca, ale też odwiedzić księgarnię.

Gdy odwracał się w stronę stajni, z jego ust wydostał się odgłos stanowiący połączenie jęku i westchnienia. Stałam przez chwilę, zastanawiając się, czy nagle zmienił zdanie.

Kiedy jednak zatrzymał się w pół kroku i obrócił gwałtownie głowę, uśmiechnęłam się i pospieszyłam za nim.



W powozie siedziałam naprzeciwko Van Croixa, zaś Garic robił za woźnicę. Podrygując nogą z podniecenia, wyglądałam przez okno na mijany krajobraz. Co jakiś czas odwracałam się i przyłapywałam Van Croixa na tym, że przygląda mi się tym swoim nieodgadnionym i niepokojącym spojrzeniem.

– Czy twoja noga nie jest w stanie pozostać w bezruchu?

Ukryłam uśmiech i poprawiłam się na siedzeniu, zmuszając kończynę do zatrzymania.

– Po prostu jestem podekscytowana.

– Co tak cię ekscytuje w książkach?

Wdzięczna, że oznacza to koniec długiej, niezręcznej ciszy między nami, porzuciłam obserwację okolicy i skierowałam uwagę na niego.

– Mój ojciec. Zawsze miał w dłoni książkę. Zwykle literaturę faktu, ale czytał nieustannie. Czy mogę spytać, czego szukasz?

– Grymuaru.

– Grymuaru? Takiego z... zaklęciami i w ogóle?

– Mam nadzieję dowiedzieć się, dlaczego te stworzenia przybierają taką formę. Jest to rezultat obcięcia im skrzydeł, ale nietypowy dla większości Upadłych.

– Upadłych? Chcesz powiedzieć, że istota w labiryncie była upadłym aniołem?

Ściągnął brwi, jakby to pytanie go poruszyło.

– Tak.

– A co jest typowym rezultatem obcięcia skrzydeł?

– Choroba. Zakażenie. Wielu umiera, gdy stają się podatni na ludzkie dolegliwości. Ale nie zamieniają się w potwory.

– Uważasz, że ktoś go przeklął?

– To tylko teoria.

– Tamten z lasu. Znalazłeś go, prawda?

Sapnął przez nos i przytaknął.

– Rozpoznałeś go.

– Owszem.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Mam wrażenie, że kręcił się po posiadłości w poszukiwaniu ciebie. – Choć mówił swobodnym tonem, jego słowa sprawiły, że poczułam dreszcz na karku.

– W poszukiwaniu mnie?

– Tak podejrzewam. Opisane przez ciebie pióro należało do niego.

– Skąd wiesz?

– Miało na sobie jego sigil. Ten, który narysowałaś z pamięci.

Cofnęłam się myślami do nocy, kiedy usłyszałam coś w swojej sypialni, a Camael siedziała w nogach łóżka, sycząca i wyraźnie czymś zajęta.

– To... stworzenie przebywało w moim pokoju?

– Nie. Uważam, że został schwytany przez coś niedługo później. Moim zdaniem próbował ci pomóc.

– Ja... Dlaczego? Co skłoniłoby go, żeby mi pomagać?

– Przypuszczam, że teraz już nigdy nie dotrę do tej informacji. Przynajmniej chciałbym móc wysledzić, co doprowadziło go do tej przemiany.

– Sądzisz, że był to ktoś z Pentacrux? Może z nowej fali zwolenników?

Westchnął i znów obrócił się do okna.

– Nie mam pojęcia. Od dość dawna nie przebywałem w krainie śmiertelników.

– Jak długo?

– Zbyt długo. Zostałem wygnany przed wieloma laty. Uwięziony na zawsze.

– Za co?

Popatrzył znów na mnie, ściągnawszy wargi w wąską linię.

– Może innym razem.

– Oczywiście. Wybacz mi ciekawość. Zastanawiam się po prostu, czy to wszystko ma coś wspólnego z moim ojcem. Możliwe, że artykuł, który opublikował na ten temat...

– Jaki artykuł?

– Przez kilka lat prowadził badania na temat Pentacrux. W zasadzie przez połowę mojego dzieciństwa. Jestem tak dobrze zaznajomiona z ich symbolem, bo gdy dorastałam, widziałam go w całym domu. Miał na tym punkcie pewną obsesję.

– Na czym polegała ta obsesja?

Na to pytanie poczułam, jak nagle zaswędziało mnie znamię na ręce; podrapałam je przez rękaw.

– Może innym razem. Ciekawi mnie jednak, czy może nie zwrócił na siebie czyjejs uwagi. Kogoś, komu się to nie spodobało.

Wzruszył ramionami. Jego spojrzenie jak zwykle było zamyślane i tajemnicze.

– Motywacje rodzaju ludzkiego stanowią dla mnie zagadkę. Dla przykładu twoje. Co popycha kobietę do tego, żeby porzuciła wszystko, co zna, i szukała niemożliwego?

To pytanie, tak proste w swej naturze, wyglądało w mojej głowie jak skomplikowane równanie. Dla którego wciąż nie znalazłam rozwiązania.

– Szczerze nie wiem. Tak wyszło, że poczułam dziwną konieczność. Taką, że gdybym zrezygnowała, straciłabym szansę i już nigdy jej nie odzyskała.

– Nie przypuszczam, żeby alkohol odegrał w tym jakąś rolę?

Chichocząc, pokręciłam głową.

– Nie. Była to czysta ciekawość i chyba też nieodparte wrażenie tęsknoty.

– Za czym tak tęsknisz?

– Za błogością.

Znów przesunął wzrok, jakby to słowo trąciło jakąś strunę w jego umyśle, i jego oczy straciły skupienie.

– Na pewno nie taka kobieta jak ty. Błogość byłoby dla ciebie nudna.

Z uśmiechem przyjął jego komentarz, zauważając, że okolica zmieniła się z gęstego lasu na małe domki i brukowane drogi wskazujące, że zbliżamy się do miasteczka.

– Zapewne masz rację. Rzeczywiście potrzebuję pewnego poziomu podekscytowania, inaczej tracę zainteresowanie.

– Wyobrażam sobie. Co takiego wypełniało twoje ekscytujące dni?

– Byłam studentką. Czasami chodziłam na wykłady.
– Z jakiej dziedziny?
– Symbologia. Ikonologia.
Patrzyłam, jak jego język przesuwa się po zębach pomiędzy rozchylonymi wargami.
– Czyli cała ta wyprawa musi być dla ciebie bardzo pouczająca.
– W zasadzie mam jeszcze większy mętlik w głowie niż wcześniej, jeśli to w ogóle możliwe. Czy mogę cię o coś spytać?
– Skoro prosisz o pozwolenie, by móc zadać pytanie, niewątpliwie oznacza to, że nie będę skłonny do udzielenia odpowiedzi.
– Czym zajmuje się „Van Croix i Spółka”? I czy to dlatego nazywają cię Śmiercią?
Przesunął żuchwą w bok, przyglądając mi się, jakby rozważał, czy odpowiedzieć.
– Większość osób nie jest dopuszczona do moich spraw. A ci, którzy są dopuszczeni, nie próbują tak mnie nazywać. Jestem brokerem dusz.
– Brokerem w sensie... kupowania i sprzedawania?
– Tak.
– Nielegalnie?
– Nie. Po prostu pomagam w fazie przejściowej z jednego etapu do następnego.
Wciąż nie potrafiłam ogarnąć umysłem sposobu działania Nocnego Cienia ani tego, jak nieludzie w tak gładki sposób współdziałają z ludźmi.
– Czyli jesteś czymś w rodzaju przedsiębiorcy pogrzebowego w życiu pozagrobowym?
– W największym skrócie chyba tak.
– A te dusze... Sprzedajesz je...
– Temu, kto daje najwięcej. Niestety niebiosa zazwyczaj są nieco oszczędniejsze w stosunku do tych, którzy znajdują się w Nocnym Cieniu.
– Czy... zabijasz innych?
– Być może zapomniałaś, ale ci, którzy tu przebywają, już nie żyją, panno Ravenshaw.
– Tak, oczywiście. Po prostu... czy to z tego powodu wynajęłaś Jespera?
– Tak. Cały mój personel został zakupiony. Oprócz ciebie, rzecz jasna.
– Czyli... Gdy mówisz, że niebiosa są oszczędne, czy to oznacza, że sprzedajesz dusze Upadłym?
– Tak – odrzekł ze stoicką miną i bez cienia skruchy, czego zresztą się spodziewałam. – Czy po tym, co zrobił Jesper, uważasz, że zasługuje na to, żeby z tego miejsca udać się wyżej?
– Oczywiście, że nie. Czy mam zatem założyć, że wszystkie sprzedawane przez ciebie dusze należą do brutalnych przestępców?
– Nie. Niektóre nie. – Oparł się o wygodną, obszytą aksamitem ławkę, i zarzucił łokieć na jej oparcie. Wydawało mi się odwieczną tajemnicą, w jaki sposób ten mężczyzna potrafi wydawać się tak onieśmielająco zrelaksowany. – Jak sądzisz, dlaczego mam więcej personelu, niż chciałbym trzymać pod swoim dachem?
Po tym komentarzu na twarz wypłynął mi uśmiech.
– Na pewno odkąd się tym zajmujesz, natknąłeś się na więcej niż jedynie garstkę przyzwoitych osób.
Nie odpowiedział. Zaraz potem powóz się zatrzymał. Kilka sekund później Garic był już przy drzwiczkach i otwierał je, bym mogła zobaczyć miejsce kojarzące się ze starymi europejskimi miastami, które ojciec pokazywał mi w książkach. Takimi, które wytrzymały próbę czasu i pozostały nietknięte przez ewoluującą nieustannie technologię, jaka je otaczała.
Wzdłuż ulic stały latarnie gazowe ozdobione zadbanymi pnączami i obsypane nielicznymi płatkami śniegu, który właśnie zaczął padać. Szyldy znajdujących się w rzędzie małych sklepików zachwalały wszystko – od księżek po piekarnię, aptekarza i krawca, a także mały pub na rogu.
Podniosłam się z siedzenia i ujrzałam, że mężczyzna podaje mi dłoń. Ujęłam ją z niepewnym uśmiechem, zauważając, że lekko drgnęła. Gdy wyszłam za Jerichem z powozu, spijałam oczyma ospałe i smętne miasteczko tkwiące pod nieustannie zachmurzonym niebem.
Van Croix naciągnął sobie na głowę kaptur kurtki.
– Przygotuj się psychicznie. To miasteczko za mną nie przepada. Przypuszczam, że mieszkańcy będą widzieć w tobie biedną, bezradną duszę.
Gdy tylko wypowiedział te słowa, zbliżyła się do nas jakaś kobieta. Gdy tylko zauważyła Jericha,

ominęła nas szybko i przeszła na drugą stronę ulicy.

– Naprawdę uważają cię za Śmierć?

– Najwyraźniej. Chyba będzie rozsądnie, żebyś szła kawałek przede mną.

Zamiast tego znów wsunęłam dłoń w jego dłoń, zasługując sobie na zmrużenie brwi, gdy wpatrywał się w nasze splecione palce.

– Wcale nie twierdzę, że jestem rozsądna.

– Tego dowodzi fakt, że upierasz się, by mi towarzyszyć. – Pociągnął mnie delikatnie i poprowadził ulicą, w której wiatr wydawał się skupiać jak w tunelu i owiewał mnie chłodem.

Gdy weszliśmy do księgarni, rozbrzmiał dzwonek. Zapach starego drewna i książek opadł na mnie niczym kurtyna spokoju. Zamknęłam powieki, wdychając go. Jakże mocno kojarzył mi się z gabinetem ojca, z jego skórzanym fotelem i porzrzucanymi wszędzie papierami. Gdy znowu otworzyłam oczy, Jericho wpatrywał się we mnie.

– Dobrze się czujesz?

– Jak najbardziej. – Wysunęłam się przed niego i zaczęłam błędzić wzrokiem po dwóch poziomach książek. Były ich pełne półki. Dookoła mnie migotały świece wydzielające wspaniałą woń przypraw i zimy, a ich blask odbijał się od lśniącego parkietu z ciemnego drewna. W fotelu obok trzaskającego kominka siedziała jakaś kobieta. Sączyła herbatę, a znad trzymanej przez nią książki widać było jedynie kępki ognistorudych włosów.

Ściśnięcie palców było jedyną rzeczą, jaka mogła wyrwać mnie z oczarowania. Gdy spuściłam wzrok i ujrzałam, że moja dłoń ginie w jego dłoni, w myślach zarejestrowałam, jak naturalny z jakiegoś powodu wydaje się ten gest. Szybko mnie puścił.

– Zamierzam poszukać książki – oznajmił. – Nie odchodź za daleko.

– Dlaczego właściwie miałabym oddalić się od tego miejsca?

Odszedł, kręcąc głową.

Ostrożnie, żeby jej nie wystraszyć, podeszłam do siedzącej kobiety i wyciągnęłam medalion spod sukienki.

– Przepraszam. Czy mogłabym prosić, żebyś zerknęła tutaj i powiedziała mi, czy widziałaś kiedyś tego mężczyznę?

Opuściła książkę jedynie na tyle, by móc zerknąć ponad nią, szybko rzuciła spojrzeniem zielonych oczu lśniących w blasku świec i pokręciła głową.

– Nie – rzekła, znów podnosząc lekturę.

– Och. W porządku. Dziękuję.

Gdy się odwracałam, żeby odejść, moją uwagę przykuło coś leżącego obok kobiety. Ulotka, której nagłówek zapowiadał nadchodzący bal. Ale najbardziej skupiłam się na widocznym na niej wizerunku. Błada skóra. Włosy tak jasne, że niemal białe. Jasne oczy. Charakterystyczny pieprzyk nad wargą.

Alicia Maxson. prostytutka, której okaleczone ciało znaleziono w pokoju motelowym. Ta, o której mówił mi detektyw Hines, ponieważ Pentacrux zostawił tam swój symbol. Oczywiście jej twarz na ulotce wyglądała na zupełnie nietkniętą, całkiem jakbym patrzyła na nią przed okaleczeniem zaprezentowanym mi na fotografii przez Hinesa.

Zgodnie z zapowiedzią miała śpiewać podczas wydarzenia. Jakie było prawdopodobieństwo, że natknę się na nią tutaj?

Sięgnęłam obok kobiety, wciąż trzymającej nos w książce, i podniosłam ulotkę ze stolika.

Bal Żęcia Dusz.

Być może weźmie w nim udział sporo osób.

I Alicia.

Jeśli miała choćby najmniejsze pojęcie, kto lub co ją zaatakowało, a do tego sprawcę cokolwiek łączyło z Pentacrux, być może stanowiła też ogniwo prowadzące do mojego ojca.

– Szukasz jakiejś książki? – zapytała kobieta, wciąż z ukrytą twarzą.

– Uhm, tak.

– Czegoś konkretnego?

– Tak naprawdę to nie. Po prostu planowałam przejrzeć to, co tu jest.

Wreszcie uniosła głowę i popatrzyła na mnie, mrużąc oczy, jakby chciała przeniknąć mnie wzrokiem.

– Mam opowieść akurat dla ciebie.
– Och, wow, wystarczyło, że na mnie spojrzełaś? – Widząc jej poważne oblicze i nie doczekawszy się odpowiedzi, odchrząknęłam. – W porządku. Zawsze jestem otwarta na rekomendacje.
Przez jej oblicze przemknęło zdezorientowanie.
– Chodź ze mną.
– Czy mogę zatrzymać ulotkę?
– Oczywiście. Ja się nie wybieram. Na tamtym balu dzieją się lubieżne rzeczy. Ty też lepiej trzymaj się z dala od niego.

– Zapamiętam. – Aczkolwiek nie miałam zamiaru trzymać się z dala. Nie, jeśli pojawiała się przede mną rzadka okazja porozmawiania z ofiarą morderstwa. Jakkolwiek dziwnie to brzmi.

Kobieta poprowadziła mnie krętymi schodkami na wyższy poziom, a później pomiędzy rzędami książek na tył, gdzie dalszą drogę zagroziła nam ściana. Gdy jednak położyła dłoń na drewnianym panelu, ten przesunął się w bok, odsłaniając kolejne schody wiodące jeszcze wyżej.

Obejrzałam się niepewnie przez ramię, wahając się, czy jej towarzyszyć.

– No idziesz czy nie? – spytała głosem, w którym dało się słyszeć zniecierpliwienie.

Ostrożnie podążyłam za nią po stopniach, ale gdy fragment ściany zasunął się za mną, wrażenie niepokoju rozkwitło w pełnowymiarowy lęk. Lampy zamigotały same z siebie, a upiorna klatka schodowa otworzyła się na jeszcze upiorniejsze pomieszczenie z ogromnymi żelaznymi wrotami jak do skarbcza.

– Wciąż idziemy po książkę, prawda?

– Tak, oczywiście. – Moja przewodniczka obróciła pokrętle, a później szarpnęła za ciężkie drzwi, by ukazać leżącą dalej zimną komnatę. – To nasze najcenniejsze okazy.

Z opadniętą nisko szczęką przyglądałam się umieszczonym w środku książkom. Których styranym życiem, wytarte grzbiety mówiły mi, że liczą sobie kilka stuleci. Może nawet więcej. Kobieta stuknęła palcem w półkę, po czym w połowie rzędu wyciągnęła wolumin zwieńczony wspianiałym złotym grzbietem. Uśmiechając się do siebie, z czcią przesunęła dłonią po okładce, po czym podała mi go.

Baron i córka czarownicy.

Zachwycona prostą, lecz przepiękną okładką, nie mogłam zmusić się do tego, żeby ją otworzyć z obawy, że zniszczę książkę, którą wyraźnie przechowywano w dobrych warunkach.

– Jest piękna.

– Należy do ciebie.

– Och. Nie mogę. Wygląda na bezcenną, a ja nie mam czym za nią zapłacić.

Poczułam na rękach dotyk niemożliwie zimnych dłoni, od którego pod skórę wślizgnął mi się mróz. Księgarka wsunęła mi książkę w palec.

– Jest twoja.

– To... bardzo miłe z twojej strony, ale nie potrafię. Nie zamierzam tu zostawać...

– Faryn, proszę, po prostu ją weź.

Wcześniejsze uczucie chłodu wzmogło się do nowej lodowatej fali szoku, a pomieszczenie nagle wydało mi się za małe.

– Czy... Nie podałam ci mojego imienia.

– Nie, nie podałaś.

– Znam cię?

– Nie, nie znasz.

Wrażenie niepokoju ścisnęło mi mocniej żołądek.

– Kim jesteś?

– To nieistotne. Obiecuj mi, że przeczytasz tę opowieść.

– Obiecuję.

Uśmiechnęła się lekko i wzięła ulotkę, wciąż zwisającą mi z palców. Złożyła ją na pół, po czym wsunęła pod okładkę książki.

– Idź już. Twój towarzysz na ciebie czeka.

– Nie podasz mi swojego imienia?

Prychnęła przez wydęte wargi.

– Skoro nalegasz. Mam na imię Catriona.

- Catriona – powtórzyłam. – Miło cię poznać.
- Cała przyjemność po mojej stronie. A teraz już idź.

Zostawiwszy kobietę w skarbcu, przycisnęłam książkę do piersi, ciekawa zawartej w niej historii, po czym pospieszyłam schodami z powrotem. Ku mojej uldze ukryte drzwi tym razem same przesunęły się na bok. Pognałam po krętych stopniach na dół, gdzie stał Jericho, rozglądając się.

- Hej, jestem tu.
- Prosiłem cię, żebyś nie odchodziła daleko.
- Nie odeszłam. Ja tylko... wzięłam książkę.

Podszedł do stojącej przy ladzie siwowłosej kobiety w cienkich okularach, które poprawiła na nosie, gdy się do niej zbliżyliśmy. Położył tom na blacie, a ja dostrzegłam lekkie drżenie dłoni sięgającej po niego sprzedawczyni.

- Czy to wszystko, panie Van Croix?

Obrócił ku mnie głowę.

- I jeszcze to, co ona trzyma.
- Och, hmm. Catriona mówiła mi, że mogę ją sobie wziąć.
- Catriona? – Kobieta z zaskoczoną miną zerknęła na Van Croixa, a potem znów na mnie.
- Tak, jest na drugim piętrze. Za tamtym przejściem w ścianie.
- Przykro mi, panienko, ale nie do końca rozumiem, o czym mówisz. Nie ma tu nikogo o imieniu

Catriona. I nie mamy drugiego piętra.

– Hmm, jestem przekonana, że macie. – Zaśmiałam się nerwowo i pokręciłam głową. – Ja tylko... tam był fragment ściany, który się przesunął. I upiorne schody? Na górze jest sporo naprawdę starych książek.

- Zróbmy tak: spojrzę na tę książkę i sprawdzę, czy mamy ją na stanie.

– Pewnie. – Podałam jej tom i patrzyłam, jak przesuwając okulary w górę i w dół na nosie. Zmarszczywszy mocno brwi, pochyliła się nad kontuarem, podniosła wielką księgę i otworzyła ją w miejscu, gdzie najwyraźniej znajdował się rejestr tytułów. – Poszukamy po prostu po dacie. – Gdy zaczęła przeglądać mój tom, znów ściągnęła brwi. – Nie ma daty. Ale to żaden problem, sprawdzimy po tytule. – Sunęła palcem wzdłuż listy ciągnącej się na następną stronę, później na kolejną i jeszcze kilkanaście innych. W końcu pokręciła głową. – W naszym inwentarzu nie zarejestrowano tej książki.

- Ja... Przysięgam...

Być może stało się to dzięki wyrazowi absolutnej dezorientacji na mojej twarzy, ale jej oczy złagodniały, a wargi rozciągnęły się w życzliwym uśmiechu.

- Wszystko w porządku, moja droga. Zatrzymaj ją. Bez opłaty.

– Nie, ja... – Potarłam kark w miejscu, gdzie znów poczułam nieprzyjemne mrowienie. – Na pewno to w porządku?

- Absolutnie.

Wrażenie niepokoju utrzymywało się we mnie, gdy opuszczaliśmy księgarnię. W drodze powrotnej do powozu podchodziłam do mijanych osób i wypytywałam o ojca. Nikt z zaczepionych go nie widział, co doprowadziło mnie do przekonania, że nigdy go tutaj nie znajdę. Choć intrygowała mnie książka, którą złożyłam na kolanach, po wejściu do powozu poczułam się zagubiona i rozdrażniona, doprowadzona do rozpaczy możliwością, że będę musiała przerwać swoje poszukiwania i wrócić do dawnego życia.

Co oznaczało zeskoczenie z tamtego cholernego klifu.

- Jestem ciekaw, jak zdołałaś skłonić ją, by dała ci tę książkę bez zapłaty. Nie jest znana ze szczodrości. Choć raz doceniłam, że głęboki i jak zawsze spokojny głos Jericha skierował moje myśli w inną stronę.
- Może mnie polubiła.
- Co to w ogóle jest?
- Wydaje mi się, że jakiś romans. Jeszcze nie zaczęłam czytać, ale po przejrzeniu mam takie wrażenie.
- Z pewnością fascynujący. – Wyraźny sarkazm w jego głosie sprawił, że się uśmiechnęłam.
- Nie wierzysz w romanse.
- Serce jest co najwyżej lekkomyślne.
- Kto złamał twoje?
- Dlaczego sądzisz, że jest złamane?
- Jak inaczej stałbyś się takim cynikiem?

– Wiele dziesięcioleci praktyki. – Trudno było stwierdzić, co takiego kryło się w goryczy, z jaką podchodził do świata, ale wydawało mi się to takie... pociągające? Stanowił bardzo skomplikowaną zagadkę. Starannie zapakowane pudełeczko, z którego chciałam zrywać kolejne warstwy papieru, żeby tylko zobaczyć, co kryje się wewnątrz.

– Chciałabym wziąć udział w Balu Żęcia Dusz.

Spokój na jego obliczu zmienił się w podejrzliwy grymas.

– Skąd o nim wiesz?

– Z ulotki. – Otworzyłam książkę tam, gdzie Catriona wcisnęła broszurkę, i zorientowałam się, że jej nie ma. Zdziwiona, pokręciłam głową. Nie mogłam jej zgubić, bo tkwiła między kartkami zbyt ciasno. – Cóż, to było... Dopiero co ją miałam...

– Żęcie Dusz jest tylko dla gości umieszczonych na liście. Nie mogło być żadnej ulotki.

– Przysięgam, że ją widziałam. Jak inaczej bym się o tym dowiedziała?

– Nie mam do końca pewności, ale wydarzenie nie jest otwarte dla ogółu. Nie ma tam dla ciebie miejsca.

Zatrzasnęłam książkę i zmrużyłam oczy.

– A co daje ci prawo stanowienia, co jest dla mnie? Jestem jedyną osobą z twojego personelu, której nie kupiłeś, pamiętasz?

– Fakt, pod moim dachem cieszysz się pewnym stopniem ochrony.

– Mogę tam zyskać okazję, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o moim ojcu.

– Ponieważ nie znajdujesz się na liście gości, musisz przyjść jako czyjaś towarzyszka. Zaś jeśli będziesz miała status towarzyszki, oznacza to, że godzisz się, by cię przekazywano.

Gdy przeżuwałam jego słowa, zostawiły mi kwaśny posmak w ustach.

– Przekazywano? W sensie... że mężczyznom?

– Mężczyznom, kobietom, ktokolwiek się tobą zainteresuje.

– Mogłabym pójść jako twoja towarzyszka i wymyślić coś, żeby nie rzucać się w oczy.

– Odpowiedź brzmi: nie.

Poczułam, jak ściska mi się żołądek. Sfrustrowana, skierowałam uwagę w stronę okna, żeby nie brzmieć jak dziecko proszące o coś rodzica.

– Przestań się dąsać – rzekł.

Na te słowa zagryzłam zęby.

– Wiesz, jak na kogoś, kto twierdzi, że nie ma żadnego interesu w chronieniu mnie, jesteś okropnie zaborczy.

– Dlaczego sądzisz, że ma to cokolwiek wspólnego z ochroną ciebie?

– A dlaczego inaczej przejmowałbyś się, czy tam pójde albo czy będę dostawała propozycje od innych mężczyzn?

Zamiast odpowiedzieć, tylko się we mnie wpatrywał; drgał mu mięsień na żuchwie, co mówiło mi, że znowu trafiłam w czuły punkt.

– Wyobrażam sobie, że będzie tam jak na balu na koniec szkoły – podjęłam. – Udajesz, że przyszłam z tobą, a później zostawiasz mnie pod drzwiami, żeby bawić się z kolegami. – Być może tym razem trafiłam zbyt blisko celu.

Ściągnął mocno brwi.

– Ktoś cię tak wystawił?

– Był dupkiem. Wiedziałam, że nie ma ochoty iść ze mną.

Przeciągnął barki i zacisnął pięść.

– Kto to?

– To było w liceum. I on mnie guzik obchodzi. Nie widziałam go już niemal od dziesięciu lat. – Przekrzywiłam głowę i przesunęłam językiem po zębach, uśmiechając się. – Jesteś zaborczy.

Uśmiechnął się drwiąco i odwrócił ode mnie.

– Zupełnie jakbym przejmował się jakimś pomniejszym człowiekiem.

– Tamtej nocy zaszył się z inną dziewczyną w pokoju motelowym. Zostawił mnie na balu. Ciocia Nelle musiała po mnie przyjechać. I zaufaj mi, nie istnieje nic bardziej zenującego niż ciocia Nelle pojawiająca się w szlafroku i grożąca mojemu byłemu towarzyszowi.

Prychnął.

– Ja bym go zabił. – Nie spojrział na mnie, wciąż wyglądał przez okno.

– Zabiłbyś go za to, że mnie wystawił?

– Nie. Za to, że w ogóle cię zaprosił.

Patrzyłam na niego, a powóz nagle stał się zbyt mały. Sukienka wydawała mi się zbyt ciasna i ciepła, gdy ogarnęło mnie gorąco.

– Jesteś zadziwiającą enigmą, panie Van Croix.

Zwrócił na mnie wzrok i przesunął nim żarłocznie po moim ciele.

– Zaś ty frustrująco odwracasz moją uwagę, panno Ravenshaw.

Lustina

– **Dobrzy ludzie**, zwracam się do was tego dnia w niezwykle ważnej sprawie z wielką miłością naszego Świętego Ojca. Zaginął młody człowiek, a jego matka obawia się, co mogło się z nim stać. – Biskup Venable stał za pulpitem przed tłumem zebranych na dziedzińcu klasztoru. Zaciskając palce na rzeźbionym drewnie, przemawiał z żarliwością, a jego wzrok wydawał się skierowany na Lustinę i na niej skupiony. Przez kilka dni wypytywał ją w związku z poszukiwaniami Drystana, ona jednak trzymała język za zębami, choć wymierzał jej drobne kary. – Wierzę, że kryje się wśród nas morderca.

Ludzie zakrzyknęli, słysząc to oskarżenie, on zaś uniósł dłoń, żeby ich uciszyć.

– Którego czeka osąd naszego sprawiedliwego Świętego Ojca, jeśli znajdzie w sobie odwagę, żeby wystąpić i zdradzić miejsce pobytu młodego Drystana. Jego matka, jako łaskawa i pobożna służebnica naszego litościwego Pana, poprosiła, żeby nie poddawano karze osoby, która ujawni stan chłopca. Zaświadczam, że taki ktoś znajdzie się pod ochroną i zachowa godność.

– A co z nagrodą? – zawołał ktoś w tłumie za Lustiną.

W oczach biskupa zapłonęła zła wola.

– Czy Pan prosi o nagrodę, gdy zsyła łaskę twojej duszy?

– Ja zaoferuję nagrodę. – Lord Praecepta wystąpił naprzód i obrócił się do zgromadzonych. – Dla każdego, kto przekaze informacje mogące pomóc w zatrzymaniu sprawcy.

Lustina podążyła za wzrokiem starszego Van Croixa do stojącego przy nim barona, którego twarz była niczym pusta kartka, bez śladu emocji.

Gdy tamtego dnia opuściła kryptę, usłyszała wrzaski. Obserwowała jakiś czas, ale ani baron, ani Drystan nie wyszli na zewnątrz. Dopiero po kilku dniach zmusiła się, by zajrzeć do tej straszliwej komnaty, bo wciąż się obawiała, co może ujrzyć pośród jej ścian, ale nie dostrzegła żadnego śladu po Drystanie. Nawet najmniejszego skrawka dowodu, że coś mu się stało.

To odkrycie oszołomiło ją równie mocno jak biskupa.

– Pomiot czarownicy!

Inny głos z tłumu wyrwał Lustinę z rozmyślań. Obróciła się i ujrzała starszą kobietę, która wskazywała na nią, poczerwieniała z pogardy.

– Tylko ona byłaby zdolna zrobić coś podobnego tak, żeby nikt nie zobaczył.

Kilka pomruków poparcia ze strony innych sprawiło, że dziewczynę oblała fala paniki. Przesunęła spojrzenie na biskupa.

Wpatrywał się w nią z góry z uniesionym wysoko podbródkiem, a wargi drgały mu w czymś, co uważała za czystą arogancję.

– Mogę was zapewnić, że podjąłem wszelkie wysiłki, by ujawnić prawdę. Mroczna i zwodnicza natura tej dziewczki nie może równać się z chwałą i niezmiernym światłem naszego Świętego Ojca. Jeśli jednakże zostanie dowiedzione, że nas oszukuje, wówczas poniesie niewyobrażalne konsekwencje.



Na dziedzińcu klasztoru pentasha Aurelia podeszła ze swoimi dwoma rogami prześcieradła do Lustiny, która złożyła tkaninę i umieściła ją w koszu na pranie stojącym na trawie.

– Próbuje nie myśleć o nich zanadto. – Podobnie jak pentasha Maria, była dla niej miła od chwili, gdy Lustina tu przybyła, ucieleśniała w sobie dobroczynne nastawienie, które uważała za cnotę.

– Nie myśleć o kim? – Lustina zdjęła kolejne sztuki bielizny ze sznura do suszenia, szybko je złożyła i również umieściła w koszu.

– O wieśniakach. To prości ludzie. I na pewno nie znają twojej dobrej natury. Gdyby ją znali, podejrzewam, że zachwyciliby się twoimi przepysznymi sernikami, tak jak reszta z nas. – Pentasha zachichotała, dorzucając kolejne złożone prześcieradło do koszyka.

– Gdyby tylko serniki potrafiły wymazać z ich spojrzeń krytykę, piekłabym je codziennie.

Aurelia westchnęła. Wyraz sympatii na jej twarzy był równie szczery, jakby rozmawiała z samą Matką Przełożoną, a nie z córką nędznej grzesznicy.

– Pewnego dnia ujrzą cię w inny sposób. Jesteś przeznaczona do czegoś dobrego, słodka przyjaciółko.

– A ty jesteś nazbyt miła. – Uśmiech zgasł na obliczu Lustiny, gdy dostrzegła drzwi prowadzące do krypty, wyróżniające się w oddali niczym ciemna chmura burzowa. – Pentasho, czy mogę ci coś pokazać?

– Oczywiście. Co takiego?

Sama myśl o tym, co zamierzała zademonstrować, wzbudziła w dziewczynie mdłości.

– W krypcie. To chyba najstraszniejsza rzecz, jaką widziałam.

Brwi młodej pentashy zeszyły się ze sobą.

– Nie wolno wchodzić do tamtych pomieszczeń.

Lustina mogła jedynie odwrócić wzrok, by nie patrzeć na to, co w oczach jej przyjaciółki było niewątpliwie wyrazem rozczarowania.

– Nie planowałam się tam zapuszczać, ale tak się stało. I... to, co ujrzałam...

– Pokaż mi. – Zdecydowany ton Aurelii podkreślał pewność w jej oczach, gdy kiwała potwierdzająco głową. – Chcę zobaczyć.

Gdy Lustina rozejrzała się po dziedzińcu, zobaczyła, że jedynie pentasha Maria składa pranie na przeciwnym końcu sznura. Pentasho udali się na popołudniową liturgię i nie było widać nikogo innego.

Skinęła głową i poprowadziła Aurelię w stronę drzwi.

– Dokąd idziecie? – Maria ruszyła za nimi biegiem, zamiatając sutanną ziemię, a długi różaniec kołysał się jej u biodra. – Zaczekajcie na mnie!

Aurelia przycisnęła palec do ust, nakazując jej ciszę, a gdy Maria wreszcie je dogoniła, spytała nieco ciszej:

– Dlaczego stoicie przy drzwiach do krypty?

– Lustina chce nam coś pokazać – wysyczała Aurelia. – Nie mów głośno.

– Komnaty... – Maria tym razem odezwała się szeptem. – Nie wolno do nich wchodzić.

– Zatem możesz stać na warcie.

Maria rozejrzała się szybko i skinęła głową.

– Oczywiście.

Lustina jako pierwsza weszła do krypty, czując, jak piwniczne powietrze chłodzi jej skórę, a następnie zaprowadziła Aurelię do ciężkich drzwi, gdzie kiedyś zabrał ją baron. Choć drżała na samo wspomnienie, sięgnęła do klamki. Pociągnęła za nią, ukazując pomieszczenie z łańcuchami zwisającymi ze stropu, narzędzia na ścianach, krzyże i pęta.

Aurelia wkroczyła do środka i rozejrzała się, wybałuszając oczy z przerażenia.

– Co to jest?

– To tutaj biskup Venable przeprowadza swoje eksperymenty.

– Eksperymenty? Na kim?

– Nie jestem pewna, na jak wielu osobach, ale na pewno jedną z nich jest baron.

Pentasha pokręciła głową, marszcząc brwi.

– To jest... To przekłete miejsce. Sala tortur. – Łzy załśniły jej w oczach i Lustina mogła sobie tylko wyobrażać, jak straszliwe sceny przychodziły przyjaciółce do głowy, gdy omiatała wzrokiem zgromadzone sprzęty. Być może takie same koszmarne wizje, jakie dręczyły samą Lustinę, odkąd baron pokazał jej to pomieszczenie.

Aurelia podeszła do ściany i uniosła czarne rzemienie, wciąż poplamione krwią.

– Litościwy Ojczy, kto byłby zdolny zadawać taki ból innemu?

– Co wam tyle zajmu... – Na dźwięk głosu Marii Lustina obróciła się i ujrzała, że druga pentasha stoi w drzwiach z oczyma wypełnionymi grozą. – Och, na grzeszne cierpienia, co to za miejsce?

– Powinnyśmy poinformować Matkę Pentashę – oznajmiła Lustina, ale nagle poczuła mocny uścisk na rękę. Zorientowała się, że Aurelia chwyciła ją dłonią i drży tak, że wibracje przechodziły na samą Lustinę.

Młoda pentasha pokręciła głową.

– Nie. Nie powinnyśmy jej o tym mówić. – Wreszcie oderwała wzrok od narzędzi tortur i popatrzyła na Lustinę z mieszaniną smutku i niedowierzania. – Przypuszczam, że wie o tym równie dobrze jak biskup. Pozwól mi porozmawiać z bratem Feliksem. Wierzę, że on zdoła nam pomóc.

– Jak?

– Wkrótce będzie wracał do Rzymu. Dopilnuję, żeby papież dowiedział się o tym wynaturzeniu.

– Ale... Czy Pentacrux odpowiada przed papieżem?

– Nie, ale biskup szanuje władzę. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Nieważne, jak straszliwe czyny miały tu miejsce, nie pozwolą ich kontynuować.

Choć Lustina ryzykowała, że wpadnie w tarapaty, cieszyła się, że powiedziała Aurelii. Pentasha zawsze była dla niej zaufaną przyjaciółką. A jeśli nie liczyć barona – jedyną osobą, z którą się przyjaźniła.

– Dziękuję ci. Modlę się, żeby młody brat dotarł do papieża, zanim dojdzie tutaj do tragedii.

Farryn

Wciąż nie mogąc spać, choć zgodnie z obietnicą Van Croixa obcięto już gałąź, zdecydowałam się na kolejną wycieczkę do biblioteki, która stała się dla mnie swoistą drugą sypialnią.

Minęłam ogromne organy, po drodze ośmielając się nacisnąć jeden z klawiszy, i szłam dalej kamienną klatką schodową prowadzącą do rozległego pomieszczenia pełnego książek. Przy stole osunęłam się na krzesło, od którego twardego siedziska w pewnym momencie niewątpliwie zdrętwieje mi tyłek.

Pomimo wyraźnego wieku i otarć na skórze grzbiet książki pozostał sztywny i zatrzeszczał, gdy ją otworzyłam. Tekst wyglądał tak, jakby zapisano go ręcznie staroświeckim piórem i zaczynał się od „Dawno, dawno temu...”, zupełnie niczym w baśni.

Po paru stronicach natknęłam się na rycinę przedstawiającą budynek przypominający „moją” katedrę, przed którym stała grupa mężczyzn. Niektórzy mieli na sobie pancerze kojarzące mi się ze średniowiecznymi, inni coś, co wyglądało na skórzane brygantynowe kamizelki i ochraniacze na przedramionach, paru zaś ubrało się w długie czarne sutanny z kapturami. Najprawdopodobniej byli kapłanami, zważywszy krzyże zwisające z białych sznurów, którymi przewiązali się w pasie.

Na froncie stała młoda dziewczyna, może piętnasto- albo szesnastoletnia, choć z powodu wieku grafiki trudno było to sprecyzować, odziana w długą białą sukienkę. Choć jej twarz była nieco zamazana, cała wyglądała tak niewinnie i anielsko, wyraźnie odznaczała się na tle otaczających ją ciemnych postaci. Nachyliwszy się, przyjrzałam się ich twarzom i zmarszczyłam brwi, gdy w obliczu jednego z młodzieńców w kamizelkach dostrzegłam niezwykle podobieństwo do Van Croixa. Może był to jakiś przodek, zważywszy że rycina miała lekko barokową naturę, jakby rzeczywiście pochodziła z dawnych czasów. Właśnie tak wyglądałby Jericho bez opaski zasłaniającej mu oko.

Początek opowieści mówił o młodej dziewczynie imieniem Lustina, której matka spłonęła na stosie podejrzewana o uprawianie czarów.

„Zabrano ją do kościoła, gdzie surową ręką wychowywały ją pentashe często wzywane przez szlachciców, ona zaś towarzyszyła im jako służąca, wspomagająca biskupa we wszelki sposób, jaki uznał za stosowny”.

Książka nie zawierała słowniczka, ale w oparciu o to, co zdążyłam już przeczytać, rozszyfrowywałam pentashe jako coś w rodzaju zakonnic, a pentoshów – księży. Akcja toczyła się w osadzie zwanej Praeceptia. Kiedy natknęłam się na tę nazwę, przerwałam lekturę.

Praeceptia. Gdzie już to wcześniej słyszałam?

W myślach pojawiła mi się widmowa biała postać. Posąg. Felix z Praeceptii. Z mojego koszmaru, tego z powieszonymi zakonnicami. Dawne miasto, o którym mówił mi Xhiphias. Dziwne, że znowu na to trafiłam. I to w książce wyglądającej na romans.

„Właśnie we wspaniałej posiadłości lorda Praeceptii spotkała wojowniczego młodego barona. Zepsuty i okrutny, uprzykrzał jej kapłańskie wizyty, wiecznie z niej szydził i jej dokuczał. Chłopiec był od niej starszy i czuła się bezradna w obliczu jego bezdusności. Aż do pewnego dnia, kiedy to wędrowała brzegiem rzeki w czasie, kiedy biskup spotykał się z jego ojcem. Nagle znalazła ptaka leżącego na kamieniu, desperacko trzymającego się życia. Dziewczyna wsunęła sobie stworzonko w fałdy sukni, kiedy książe ją odnalazł, a następnie zapytał, co takiego ukryła. Gdy mu pokazała, upierał się, żeby oddała mu ptaka, ona zaś nie chciała spełnić tego żądania. Rozwścieczony jej zuchwałością, książe pchnął ją na ziemię i nastąpiła szamotanina, a biedny ptaszek zaginął w zamęcie. Dopiero gdy książe zawisł nad nią, przycisnąwszy jej ręce do ziemi, wreszcie spojrzał w jej uparte, nieugięte oczy i coś w jego wnętrzu uległo zmianie. Zupełnie jakby cały wszechświat się zatrzymał. Zauroczyły go te oczy mówiące o odległych miejscach i magii, zatem, oczarowany, puścił ją. Podczas tego spotkania ogarnęło go dziwne uczucie, którego do tej pory nie zaznał. Ta dziewczyna,

Lustina, niewątpliwie rzuciła na niego urok, ale nie obchodziło go to. Poznał w tamtej chwili, że będzie należała do niego i do nikogo innego”.

Cofnęłam się do ilustracji z początku i przyjrzałam dziewczynie o twarzy zamazanej w wyniku czegoś, co uznałam za błędny ruch pędzla, a następnie stojącemu za nią mężczyźnie. Temu, który, mogłabym przysiąc, był odległym przodkiem Van Croixa. Tak przystojnemu i... znajomemu.

Ciepłe odczucie przepłynęło przeze mnie wraz z nostalgicznym wzdrygnięciem. Przesunęłam palcem po jego twarzy, zafascynowana uderzającymi konturami jego oczu, żuchwy i ust. Jakże niezaprzeczalnie urzekająco wyglądał w tym skórzanym stroju.

– Czytasz o tej porze?

Na dźwięk głębokiego, przeszywającego głosu z cichym okrzykiem zatrzasnęłam księgę i wyprostowałam się na krześle.

Jericho opierał się o balustradę i przyglądał mi się przez całą szerokość pomieszczenia. Intensywność jego mrocznego, bystrego spojrzenia sprawiała, że poczułam trzepotanie w żołądku, jakby nagle wykluło się we mnie kilkanaście motyli o satynowych skrzydełkach.

– Tak, ja... nie mogłam spać.

Płynnymi ruchami przełożył monetę pomiędzy palcami, co tylko na chwilę odwróciło moją uwagę od jego wwiercającego się w duszę wzroku.

– A co takiego tym razem wyrwało cię ze snu? – W jego głosie kryła się niebezpiecznie kusicielska nuta, był niczym ostrze zanurzone w miodzie.

– Mam koszmary.

Coś za jego plecami poruszyło się na ścianie, zupełnie jakby jego cień się przesunął, podczas gdy on sam pozostałby w bezruchu. Gdy zamrugałam, cienisty bliźniak wrócił na swoje miejsce, a ja zmarszczyłam brwi, zastanawiając się, czy rzeczywiście to widziałam, czy też umysł płatał mi figle.

Podszedł do mnie, ciągnąc za sobą cień.

– Co jest treścią tych koszmarów?

Wciąż skoncentrowana na dziwnym ewentualnym przywidzeniu, wypchnęłam je z głowy i skupiłam się na Van Croixie.

– W zasadzie to są dość obrazowe.

– Opowiedz o nich.

– No dobrze. Niektóre dotyczą wojny. Bitew i krwi. W innych pojawiają się płomienie i smród płonących ciał. A ja zawsze jestem obserwatorką.

– Może doświadczasz wewnętrznego konfliktu?

To dziwnie nietypowe pytanie wywołało uśmiech na mojej twarzy.

– Interpretujesz również sny, panie Van Croix?

– Taka analiza wydawała się dość oczywista.

– Przypuszczam, że wszyscy doświadczamy wewnętrznych konfliktów. U mnie zawsze chodziło o poczucie celowości. Często się zastanawiam, dlaczego tutaj jestem. Do osiągnięcia czego umieszczono mnie w świecie. – Oparłam podbródek na dłoni i westchnęłam, a gdy podniosłam wzrok, napotkałam jego skupione spojrzenie. – A ty? Miewasz dziwne sny?

– Tak się składa, że miewam. Moje jednak są mniej... gwałtowane.

– O czym śnisz?

Błysk jego lekkiego uśmiechu pobudził moją ciekawość. Van Croix obrócił się do okna i wcisnął dłoń do kieszeni.

– O kobiecie. O niemożliwie pięknej kobiecie, choć nie widzę jej twarzy. W snach jest zniekształcona. – W odbiciu w szybie dostrzegałam w jego obliczu tęsknotę podkreśloną przez migoczącą lampę, którą przyniosłam ze sobą. – Ale widzę jej oczy. I długie kruczoczarne włosy. Czuję też rzeczy, jakich nie czułem od bardzo dawna.

– Miłość?

Obejrzał się za siebie i wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć.

– Często o niej śnisz?

– Dawniej tak. – Odbicie ukazywało, że mi się przygląda, a od intensywności jego spojrzenia zalała

mnie fala ciepła i poprawiłam się na krześle. – Sny urwały się, gdy tu przybyłaś.

– Przykro mi to słyszeć. Brzmisz tak, jakby sprawiały ci wielką przyjemność.

Sposób, w jaki się we mnie wpatrywał, wywoływał ciarki na moich plecach. Wreszcie się odwrócił.

– Bo sprawiały. Wygląda na to, że znalazłem nową rozrywkę. Grymuar.

– Oczywiście. I jak idzie ci lektura? Dowiedziałeś się czegoś nowego?

– Z tego, co udało mi się zorientować, wygląda na to, że na ostrzu można zastosować pradawne zakażenie. Pewną miksturą maluje się sigile na klindze. Gdy wyschną, broń staje się przeklęta.

– Pradawne zakażenie?

– Tak. W średniowieczu nazywano je Plagą. Z jej powodu zginęło wielu Upadłych. – Wciąż trzymając dłonie w kieszeniach, przeszedł na przeciwległą stronę pomieszczenia, gdzie na ścianie wisiał obraz niezauważony przeze mnie wcześniej, przedstawiający rozcięte jabłko z przegniłym wnętrzem. – Święci mówią, że to boska broń.

– Jak może być święta? Jeśli ich nie zabija, tylko zamienia w bestie?

– Te bestie można zmusić, żeby wykonywały polecenie tego, kto je przeklął. Będą nawet skłonne zabijać innych swojego rodzaju. W księżce określa się je jako alatum. Czyli w zasadzie bezskrzydłe stworzenia.

– Alatum? W jakim to języku?

– Pri'scuciańskim. Pradawnej mowie aniołów. Starszej niż enochiański. Niektórzy uważają, że to jedyny prawdziwy język aniołów.

Wiedziałam o tym z dzienników ojca.

Gdy zmienił kierunek kroków i niedbale ruszył ku mnie, motylki w moim brzuchu przemieniły się w podniecający dreszcz. Wypełniło mnie gorąco, jakby coś w moim wnętrzu wyczuło, że się zbliżył. Wciągnęłam jego upajający cytrusowy zapach, zastanawiając się, czy smakuje równie dobrze jak pachnie.

Oparł dłoń obok mnie i otworzył okładkę czytanej przeze mnie książki.

– Co każe ci tęsknić za światami, które nie istnieją? – spytał, kartkując kilka stron.

– Chęć ucieczki. Czasami życie może wydawać się przytłaczające. A u ciebie?

– Czytam dla zyskania wiedzy, nie dla rozrywki.

– Odkryłam, że dobrze ulokowana rozrywka może być oczyszczająca. Pozwala mi się skupić, gdy tego potrzebuję. Czasami umysł przedkłada magię nad praktyczność.

– Jesteś dziwnie marzycielska, panno Ravenshaw.

– Jeśli przez dziwność i marzycielskość rozumiesz brak nudy, to owszem, zapewne jestem.

– Symbologia wydaje się dość praktyczną dziedziną.

– Chyba tak. Choć gdy patrzę wstecz, widzę, że zapewne po prostu szukałam więzi pomiędzy sobą a ojcem. Sądziłam, że może gdybym okazała się w tym dobra, byłby dumny... gdziekolwiek przebywał. W moim świecie czy w innym.

– Zatem jakaś część ciebie zawsze wierzyła, że go znajdziesz.

Wcześniejszy humor przemienił się w ponurą powagę.

– „Wierzyła” to mocne słowo. – Uśmiechając się, opuściłam wzrok i odruchowo dotknęłam medalionu na piersi. – Zawsze kierowałam się nadzieją, ale... Chyba nigdy nie wyobrażałam sobie, że go przytulam i mówię, jak bardzo za nim tęskniłam. – Obraz malujący mi się w głowie sprawił, że w oczach wezbrały mi łzy. Być może dałam się ponieść emocjom. – Zastanawiałam się, jak by to było odnaleźć go w tym miejscu, ale... nie wiem, co bym zrobiła, gdyby zupełnie nie pamiętał, kim jestem.

Opuszka palca uniosła mój podbródek. Podniosłam wzrok na Jericha.

– Nie da się ciebie zapomnieć, panno Ravenshaw. – Musnął kciukiem mój policzek, ścierając łzę. Wciąż opierając się drugą dłonią o stół, nachylił się nade mną, jakby chciał mnie pocałować.

Serce zadudniło mi w piersi, łomotało niczym pędzące konie. Jedynie musnął wargami moje usta, zanim się powstrzymał i odsunął z brwiami ściągniętymi w czymś, co wyglądało na frustrację.

– Pozwolę ci wrócić do lektury.

Zaciskając dłonie u boków, odszedł z powrotem w kierunku klatki schodowej, a ja wypuściłam wstrzymywany dech.

Absolutnie rozczarowana.



Ponieważ nie chciałam znów zasnąć w bibliotece, zabrałam książkę do sypialni. Położyłam się w łóżku, oparłam ją sobie o zgięte kolana i czytałam przy świetle lampy, przesuując palcami po wargach, które Jericho ledwo tknął. Choć niedokończony pocałunek odciągał moje myśli, coraz bardziej wciągała mnie historia przyjaźni rodzącej się pomiędzy młodym baronem a kościelną wychowanką. W dalszej treści znalazłam opisy tego, jak zwierzał jej się z licznych cierpień, które znosił z ręki ojca i biskupa, a także z choroby matki, której stan pogarszał się z każdym dniem.

Wyraźnie widziałam, że Lustina stała mu się niezbędną, że oczarowała go w takim stopniu, iż gardził wszelkimi innymi dziewczętami zabiegającymi o jego uwagę.

Pragnął tylko Lustiny, śnił tylko o niej, o dziewczynie z oczyma niczym gwiazdny pył.

W tym momencie przerwałam lekturę.

Książka nie opisywała ich w żaden konkretny sposób pozwalający mi sądzić, że te sny były podobne do moich. Jednak z tropu zbiło mnie niebiańskie odniesienie. Skojarzyło mi się z ojcem.

Delikatne stukanie do drzwi sprawiło, że wcisnęłam książkę pod leżącą obok mnie poduszkę. Nie byłam pewna dlaczego właściwie, może z wyjątkiem tego, że tak pochłonęła mnie cała historia i jej bohaterowie.

Aurelia prześlizgnęła się przez próg i cicho zamknęła za sobą drzwi, po czym przydreptała szybko do łóżka.

– Muszę ci coś powiedzieć – wyszeptwała.

Pospiech w jej głosie wzbudził moją nerwowość.

Usiadła obok mnie, obejrzała się na drzwi, popatrzyła znów na mnie.

– Mam przecucie... Mam przecucie, że znajdujemy się w niebezpieczeństwie.

– Jak to?

Gdy kręciła niespokojnie palcami i podrygiwała nieustannie kolaniem, kojarzyła mi się z narkomanką na głodzie.

– Słyszałam szept. O tamtym pomieszczeniu w krypcie. I że planują wywabić cię do lasu, by tam utopić.

Wywabić mnie do lasu i utopić?

– Pomieszczeniu w krypcie? W tym, co mówisz, nie ma żadnego sensu, Aurelio. Kto planuje mnie wywabić?

– Pentacrux.

Poczułam chłód na karku.

– Moment... Pentacrux? Co o nich wiesz? – Możliwe, że podsłuchiwała w którymś momencie, jak rozmawiałam o nich z Van Croixem. Przecież wcale się nie pilnowałam, by nikogo nie było w pobliżu. Nagle zaczęłam się zastanawiać, czy dziewczyna nie wykorzystuje tej informacji jako wymówki, bym pomogła jej w ucieczce.

– Wiem, że są bardzo niebezpieczni.

– Czy pan Van Croix jest z nimi powiązany?

– Och, nie. Ani trochę. Gardzi nimi. – Zbyt rozszerzone źrenice, przekrwione oczy, coś było z nią nie tak. – Może nawet bardziej niż my.

– Czy ktoś w tym domu należy do Pentacrux?

– Nic o tym nie wiem. Jakże to ma znaczenie?

– Gdzie się z nimi zetknęłaś? – zapytałam, zastanawiając się, czy może członkowie Pentacrux przebywają w Nocnym Cieniu.

– W klasztorze.

– Tam, gdzie kiedyś mieszkałaś, jak mówiłaś?

– Tak.

– Tutaj, w Stygijskich Wodospadach?

– Nie, nie, głuptasie. W Praeceptii.

W Praeceptii? Miejscu z książki, którą zaczęłam czytać. Może kiedyś wpadła też w ręce Aurelii, choć nie miałam pojęcia, kiedy byłoby to możliwe.

– Dobrze się czujesz?

– Oczywiście. Czuję się świetnie! Dlaczego miałoby być inaczej?

– Mówisz o rzeczach, które nie mają sensu.

– Posłuchaj, proszę, po prostu mi zaufaj. – Chwyliła mnie zimną dłonią tak mocno, że obawiałam się siniaków. – Musimy stąd odejść. Przedtem nie miałam szans z powodu tych psów, ale ty mogłabyś przeprowadzić nas obok nich. Słuchają cię. Możemy znaleźć twojego ojca i wydostać się stąd.

Ból rozkwitł mi w piersi, gdy słuchałam jej zdesperowanych błagań. Choć bardzo chciałam, nie mogłam zabrać jej ze sobą, bo wtedy zostałaby na wieczność uwięziona w rozkładającym się ciele. Jednak nie miałam też zamiaru tu tkwić. Mogłabym doprowadzić ją w jakieś dalekie miejsce, ale z tego, co słyszałam o tutejszych stworzeniach, lepiej wyszłaby na tym, gdyby nie opuściła katedry.

– Aurelio, z pewnością zdołam cię przeprowadzić za bramę, jeśli tego chcesz. Ale... nie mogę... Nie mogę zabrać cię ze sobą.

– Oczywiście, że nie. Gdy tylko wyjdziemy z katedry, udamy się każda w swoją stronę. Mówiłaś, że pochodzisz z krainy zwanej Chicago? Może mogłabym zobaczyć, jak tam jest. Najpierw jednak muszę wrócić do Praeceptii, żeby odnaleźć matkę. Wtedy mogłaby poznać swoje wnuczę. – Uśmiech rozświetlił jej twarz. – Och, to byłoby takie cudowne!

Rozmowa o Praeceptii zбочyła w niepokojącą stronę.

– Aurelio... – Czy miałam powiedzieć jej prawdę? Skłamać? Gdybym jej nie poinformowała, mogłoby to oznaczać niekończące się zagrożenie. – Wiem, co mówiłaś, że czujesz się, jakbyś znajdowała się w niebezpieczeństwie, ale co każe ci tak sądzić? Czy kiedykolwiek źle traktowano cię tu, w katedrze?

– No cóż, nie. Pan Van Croix zawsze był surowy, ale szczodry.

– Zatem przez cały pobyt tutaj nikt cię nie skrzywdził?

– Nie, oczywiście że nie. Ale jakie to ma znaczenie? Mam życie, do którego muszę wrócić. – Na jej twarzy pojawiło się zdezorientowanie. Odwróciła wzrok. – Przynajmniej... Przypuszczam, że je mam.

Przygryzłam wargę i wykorzystałam chwilę, gdy się zastanawiała, żeby rozważyć konsekwencje tego, co zaraz powiem.

– Nie mogę zabrać cię ze sobą. Gdybym tak zrobiła, pozostałabyś uwięziona w zwłokach.

– Zwłokach? Mówisz zagadkami, Farryn. Poproszę prostym językiem.

– Jest bardzo możliwe, że mężczyzna, który cię tu przywiódł, zabił cię.

– Zabił. – Choć ściągnęła twarz, zachichotała. – Gdyby tak było, jak mogłabym teraz z tobą rozmawiać?

– Posłuchaj mnie, Aurelio. Jest ważne dla twojego dobra, żebyś zrozumiała.

– Zrozumiała co konkretnie? Mówisz tak, jakbyś napiła się makowej krwi.

– Po prostu staram się ostrożnie dobierać słowa, to wszystko.

– Dlaczego? Mów, co masz do powiedzenia. Nie owijaj w bawełnę z uwagi na mnie.

Poczułam lekkie mdłości. Rozmasowałam sobie kark, który zaczął mnie piec od narastającego dyskomfortu.

– Uważam, że zostałaś zamordowana. I utknęłaś w miejscu zwanym Nocnym Cieniem. To... jakby oddzielna kraina równoległa do znanego nam świata.

Nastąpiła długa chwila milczenia, w czasie której Aurelia patrzyła na mnie nieodgadzionym wzrokiem. A później wybuchnęła śmiechem.

– Naprawdę jesteś szalona. Na twoim miejscu nie mówiłabym głośno o tych urojeniach, chyba że zamierzasz zostać przesłuchana. Dogłębnie. Nie mamy na to czasu. Musimy natychmiast odejść.

– Nie słuchasz mnie? Musisz zaprzestać prób ucieczki! Teraz to jest twój dom. Tutaj będziesz przebywać, a jeśli umrzesz, to tutaj zostaniesz. Przynajmniej masz szansę na odkupienie.

Skrzywiła gniewnie twarz i zabrała dłoń z mojej ręki.

– Wybacz, Farryn, ale jeśli nie chcesz, żebym z tobą szła, wystarczyło to powiedzieć. Wymyślanie straszliwych opowieści jest... cóż, po prostu okrutne.

– Nie, wcale nie o to chodzi. Gdybym mogła zabrać cię ze sobą, zrobiłabym to. Ale nie mogę. A jeśli opuścisz tę katedrę, narazisz siebie i swoje dziecko na ryzyko.

– Większe, niż gdybym została? Czy nie spotkało mnie już najgorsze? Nie wykradzono mnie z domu, nie przywieziono do tego dziwnego miejsca? Co mogłoby być straszniejsze?

Jej pytanie przypomniało mi dzień w labiryncie. Wolałam nawet się nie zastanawiać, co zrobiłaby tamta istota, gdyby nie Remy i Van Croix.

– Uwierz mi. Są gorsze rzeczy.

– Nie obchodzi mnie, że pan Van Croix jeszcze mnie nie skrzywdził. Chcę wrócić do mojego życia! Słyszysz mnie?! Zamierzam wrócić do domu! Do matki, która pewnie się zamartwia. Dla dobra mojego dziecka! I ani ty, ani nikt inny mnie nie powstrzyma! – Na jej obliczu pojawił się wyraz bólu i pochyliła się do przodu, trzymając się za brzuch. – Och, dobry Boże!

– Aurelio? Co ci jest? – Gdy wyciągnęłam do niej rękę, odtrąciła ją.

– Nie dotykaj mnie! – Podniosła się z wysiłkiem z łóżka i zgięta wpół zrobiła trzy kroki w kierunku drzwi, zanim się przewróciła.

– Aurelio! – Zerwałam się na równe nogi. Przypadłam do niej, szybko rozejrzałam się po jej nieruchomym ciele i zauważyłam krew rozlewającą się na bawełnianej tkaninie sukienki. Błada wcześniej twarz stała się biała jak u ducha, gdy dziewczyna dygotała w moich ramionach. – Niech ktoś mi pomoże! Ratunku!

Ogień gorzał mi w gardle, gdy wrzeszczałam, nie chcąc jej zostawić.

Kiedy znów na nią popatrzyłam, dostrzegłam łzy spływające jej po skroniach.

– Proszę – wykrztusiła drżącym głosem. – Nie pozwól, żeby to dziecko urodziło się tutaj. Chcę moją matkę.

Sama wstrzymując łzy, odchrząknęłam.

– Zatem po prostu się trzymaj, dobrze? – Odgłos zbliżających się kroków sprawił, że zadarłam głowę. Ujrzałam brunetkę z kuchni, o imieniu Evie, jak wiedziałam, zaglądającą przez szparę w drzwiach. – Wezwij pomoc! Proszę!

Odchyliła głowę w tył i uśmiechnęła się diabelsko w sposób pokazujący mi, że nie ma zamiaru pomagać.

– Proszę! Ona się wykrwawia!

Zamiast pobiec po kogoś, nadal się w nas wpatrywała.

– Farryn? – Słaby głos Aurelii znów przyciągnął moją uwagę do niej i do czerwonej plamy, która podwoiła rozmiar. – Nie pozwól, żeby ona dostała moje dziecko. Proszę, zabierz ją ze sobą, dobrze? Gdy będziesz odchodzić. Zabierz Miriam ze sobą.

– Obie pójdziecie ze mną.

Kolejne łzy spłynęły jej po skroniach.

– Powiedz jej, że mnie uszczęśliwiała. I że niczego nie pragnęłam bardziej, niż zostać matką. – Zimne palce zacisnęły mi się na rękawie sukienki.

– Przestań. Proszę, Aurelio. Nic ci nie będzie. Niech ktoś nam pomoże! Pomocy!

– Chyba... miałaś rację. Raczej nie czeka mnie powrót do domu. Ale może... może mojemu dziecku się to uda. Czy zabierzesz ją ze sobą?

Łzy wypełniły mi oczy.

– Spróbuję. – To kłamstwo rozrywało mi serce, ale co innego mogłam powiedzieć? Przypuszczałam, że Aurelia umarła, gdy była w ciąży, co oznaczało, że dziecko zginęło wraz z nią.

– Obiecujesz?

Przytaknęłam ze ściągniętymi wargami.

– Obiecuję.

Uśmiechając się, odetchnęła głęboko.

– W porządku. I powiedz jej, że ją kocham.

– Tak zrobię.

– Co to za harmider? – Anya wpadła przez drzwi. Jej widok okazał się przebłyskiem ulgi w rozdzierającym mnie chaosie.

– Ona potrzebuje pomocy!

– Już dzwonię do doktora Venable!

– Trzeba jej lekarza natychmiast! Już! – Dopiero wtedy się zorientowałam, że uścisk na moim ręku

osłabł, i skupiłam się znów na Aurelii. Leżała zupełnie nieruchomo z zamkniętymi oczyma i lekkim uśmiechem na wargach, jakby pogrążona we śnie.

– Aurelia? – Potrząsnęłam lekko jej ciałem, próbując przywrócić jej przytomność. – Obudź się. Obudź się, Aurelio! – Obróciłam się do Anyi, przetykając panikę podchodzącą mi do gardła. – Ona się nie budzi!

Anya podkasała dół sukienki i przyklęknęła na podłodze obok mnie.

– Przynieś ciepłe płótno i antyseptyk z komody. – Położyła Aurelię na plecach i uniosła jej podbródek, co widywałam już w wykonaniu ratowników medycznych.

Skinęłam głową i pobiegłam do komody stojącej obok szafy. Gdy przetrząsałam szuflady w poszukiwaniu antyseptyku, do moich uszu dobiegł dźwięk. Niczym obcy język pełen kłębności i zgrzytnięć. Obróciłam się i ujrzałam, że Anya pochyla się nad Aurelię z twarzą tak blisko jej twarzy, jakby wdmuchiwała powietrze w jej ciało. Tyle że zamiast dmuchać, wydawała się je zasysać z wklęsniętymi policzkami. Kłęby białej mgły wzniosły się z sinych warg Aurelii i wdarły do ust starszej kobiety. Przez chwilę stałam osłupiała, próbując zrozumieć, co konkretnie widzę.

Ciemne cienie przemknęły po ścianie niczym pająki i wspięły się na ciało Aurelii. W pokoju poniosły się echem syczące odgłosy, a ja zakryłam uszy, żeby uchronić się przed przenikliwym hałasem. Cienie przemieniły się w szarą sukienkę i biały fartuch, znad których uniosła się głowa i zaraz potem brunetka Evie popatrzyła na mnie. Jej usta, zaplamione czymś wyglądającym jak krew, rozciągnęły się w uśmiechu.

– Co wy robicie? – Znów skupiłam uwagę na Anyi, która poderwała się na nogi i spoglądała z góry na zgraję kobiet, które zdawały się pochłaniać Aurelię. – Nie bądźcie zachłanne, dziewczęta! – Anya znów popatrzyła na mnie i wtedy dostrzegłam płomienie w jej oczach. Pomarańczowy błysk, który niemal zdawał się migotać. – Wszystko w porządku, moja droga. Nie obawiaj się. – Gdy zrobiła krok w moją stronę, zaczęłam się cofać, aż uderzyłam plecami w twardą powierzchnię drzwi.

– Jesteście... Wszystkie jesteście...

– Nie zrobimy ci krzywdy, Faryn. Chodź.

Kręcąc głową, nacisnęłam klamkę za sobą i zakrzyknęłam z przerażenia, gdy Anya skoczyła na mnie. Zanim zdążyła mnie dotrzeć, wyslizgnęłam się przez drzwi i pobiegłam ciemnym korytarzem, ścigana ich śmiechem. Słyszac klekot, obróciłam się i ujrzałam, że cienie gnają za mną po ścianach.

Zmusiłam się, żeby pobiec szybciej.

Rześkie morskie powietrze pozbawiło mnie tchu, gdy pociągnęłam za wielkie drewniane wrota i wypadłam z katedry w mrok nocy. Susami skróconymi przez rąbek sukienki pomknęłam po otwartym dziedzińcu w kierunku zagonu wilczych jagód lśniących w oddali. Myślami cofnęłam się do chwili, gdy te kobiety pochłaniały ciało Aurelii, i jeszcze bardziej przyspieszyłam kroku. Biegłam tak szybko, jak tylko pozwalała mi ta cholerna suknia.

Musiłam się stąd wydostać.

Zerwać kwiat, zeskoczyć z urwiska.

Wiedziałam już, że najtrudniejsze będzie dla mnie stanąć na skraju klifu i spojrzeć na czarne morze kotłujące się w dole. Nie miałam pojęcia, jak zbiorę się na odwagę, żeby skoczyć, ale w tym momencie o tym nie myślałam. Moim jedynym celem było zerwać jeden z kwiatów i wrócić do własnego świata. Mimo wszystko za nim zatęskniłam.

Na pewno nikt nie postanowiłby z własnej woli zostać długo w tak niebezpiecznym miejscu jak Nocny Cień.

Biedna Aurelia. Biedna, niewinna Aurelia i dziecko, które zginie wraz z nią.

Dotarłam do łąki, mgliście świadoma obecności psów, które mnie dogoniły. Krążyły tam i z powrotem, jakby pełniły straż, gdy sięgałam po kwiat. W chwili, gdy go zerwałam, straszliwy dźwięk brzmiący niczym skowyt cierpienia wzniosł się ponad monotony huk fal dobiegający skądś za mną. Kolejne wrzaski dołączały do pierwszego, aż w końcu zlały się w jeden przerażający odgłos nieszczęścia. Zakryłam dłońmi uszy, przez co kwiat znalazł się blisko mojej twarzy, i pobiegłam w kierunku urwiska, które ledwo dostrzegałam w ciemności.

Chłodne powietrze paliło mnie w płuca, a przepelniające mnie panika i determinacja wywoływały falę adrenaliny. Pokryta szronem trawa sprawiała, że traciłam czucie w podszwach stóp, a palce piekły mnie i sztywniały. Niewyraźna krawędź klifu stała się wyraźniejsza, gdy znalazłam się bliżej, i wtedy w płucach poczułam mrowienie strachu. Psy zrezygnowały z pościgu za mną.

Ślizgając się, zatrzymałam się tuż przed przepaścią i patrzyłam, jak mały kamień stacza się z krawędzi. W dole widać było jedynie groźne białe pióropusze piany, których ryk kusił mnie do skoku. Pragnął zawłaszczyć moje życie.

Popatrzyłam na trzymany kwiat, którego wycie ucichło, a jego blask stał się słabszy niż wcześniej.

Groza i stanowczość zmagaly się o dominację w mojej głowie, od ich kakofonii stawałam się zdezorientowana i wyczerpana. Zamknęłam oczy, oddychając z wysiłkiem przez nos. Za zamkniętymi powiekami przesunęły mi się wizje ojca skaczącego na śmierć. Gdy pomyślałam o nim leżącym na skałach poniżej, żywym, ogarniętym bólem, łzy wezbrały mi w oczach. Otworzyłam je i zobaczyłam zamazane urwisko i wodę.

„Zrób to”, namawiała mnie głowa.

Nie miałam wyboru, chyba że chciałam, by spotkał mnie ten sam los co Aurelię.

Do moich uszu dobiegł odgłos – ciche skrzeczenie, które słyszałam już wcześniej. W labiryncie i w lesie. Stwór. Ten, którego Van Croix podobno zabił.

Gdy się obróciłam, nic nie dostrzegłam. Jedynie mrok.

A jednak znów zaskrzeczał. Tym razem głośniej.

Kiedy ponownie się obróciłam, cienie zmieniły formę, choć nie dało się dostrzec konturów. Istota rzuciła się na mnie na czworakach. Serce zadudniło mi w piersi. Cofnęłam się o krok, czując, jak krawędź urwiska ustępuje mi pod piętą w nicość bolesnego upadku.

Zrób to. Skacz!

Cień przysunął się bliżej. Rąbek mojej sukienki zahaczył o wystającą skałę i szarpnęłam mocno, by się uwolnić. Pięta zsunęła mi się niżej.

Kolejne skrzeknięcie sprawiło, że zeszywniały mi mięśnie.

Spadłam przez krawędź przy akompaniamencie gwałtownego darcia tkaniny.

W dół, w dół, w dół.

Daremny wrzask wydarł się ze mnie, gdy wokół świszczwał wiatr. Chłodna, otępiająca fala przelała mi się przez ciało, mięśnie napięły się w oczekiwaniu na uderzenie, jakiego nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić. Zachowałam na tyle przytomności umysłu, żeby, zwalczając siłę wiatru, podnieść do ust kwiat – ten sam, którego zapomniałam zjeść. Ten sam, który stanowił niezbędny warunek do powrotu. Bez niego po prostu spadałam na pewną śmierć.

Nie potrafiłam dosięgnąć dłonią ust!

Kwiat wyslizgnął mi się z palców, porwany ostrym, gwałtownym wiatrem. O Boże! Nawet nie byłam w stanie wrzeszczeć, zbyt silnie napierał na mnie wichur.

Poczułam, jak coś na mnie wpada. Tuż przed uderzeniem głęboko w trzewiach doznałam silnie uczucia nieważkości, mrowiącego, gdy dotarło mi do piersi. Otworzyłam oczy i ujrzałam czarne skrzydła. Piękne, krucze skrzydła z przebłyskami granatu i fioletu. Ciepłą skórę przy moim policzku. Wspaniały profil twarzy i oko zasłonięte opaską.

Ogarnęła go niewyraźna mgielka, a moje pole widzenia zwęziło się z obu stron. Robiło się węższe, coraz węższe, aż wreszcie jedynie punkcik światła błysnął mi przed oczyma i wszystko stało się czarne.

Farryn

Doznania odczuwane w żołądku wzniosły mi się do gardła. Uderzyłam w wodę z siłą, od której cały kręgosłup eksplodował mi igłami bólu. W dół, w dół, w dół.

Pęcherzyki wyrwały się w górę, ostatnie resztki powietrza mknęły ku powierzchni zbyt odległej, żebym dołąła ją dosięgnąć. Szarpałam wodne ściany, które na mnie naciskały.

Ciśnienie napierało mi na klatkę piersiową poruszającą się w desperacji.

Oddychaj. Oddychaj!

Wystrzeliłam w górę, gwałtownie chwytając powietrze, i zorientowałam się, że leżę w łóżku, a książka, którą czytałam w nocy, jest otwarta na stronie, na której ją zostawiłam. Przewinęłam w myślach to, co się wydarzyło: rozmowa z Aurelią i początek jej porodu. Szczegóły dalszych wydarzeń wydawały się zamazane, ale pamiętałam wrzaski. Straszliwe wrzaski. Zbiorowisko kobiet.

I Anyę.

Czując, jak drżą mi mięśnie, podpełzłam na skraj łóżka, akurat gdy stuknęły otwierające się drzwi i do środka zajrzała diabolicznie we własnej osobie. Znieruchomiałam, zastanawiając się, czy zdołałabym wypaść przez te drzwi, po drodze ją taranując.

– Dzień dobry, moja droga. Tak sobie pomyślałam, że sprawdzę, czy dobrze się czujesz, skoro rano nie pojawiłaś się w psiarni.

– Ty... Widziałam cię. Widziałam, co zrobiłaś. – Gdy tylko te słowa wykluły się nieostrożnie z moich ust, przemknęłam wzrokiem do zamka w drzwiach. Czy odważy się mnie tutaj zaryglować? Znajdowałam się na tyle daleko od wyjścia, że nie zdążę dopaść tam przed nią.

– Co widziałaś?

– Co zrobiłaś Aurelii. I jej dziecku.

Przekrzywiła głowę i zmarszczyła brwi, jakby w dezorientacji.

– Aurelii? Obawiam się, że nie znam żadnej Aurelii.

– O nie. O nie, nie, nie. Nie dam się wciągnąć w tę gierkę. Aurelia tu była. W ciąży. Jadałam z nią kolację każdego wieczora, odkąd tu dotarłam.

Anyś weszła do środka i odchrząknęła.

– Panno Ravenshaw, od chwili przybycia codziennie wieczerałaś samotnie. Jedną z dziewcząt z personelu kuchennego wspominała, że nazwałaś ją pierwszego wieczoru Aurelią, ale złożyłaś to na karb guza na twojej głowie i faktu, że jeszcze nie zaznajomiłaś się dobrze ze wszystkimi. Nie ma tu nikogo posługującego się imieniem Aurelia, a na pewno nie pozwoliłabym, żebyś przebywała w towarzystwie kogoś, kogo sama nigdy nie poznałam.

– Kłamiesz! Ty i pozostałe... Widziałam, jak ją pochłaniałyście. Pożarliście ją wraz z jej nienarodzonym dzieckiem! Widziałam to wszystko! – Zerknęłam na podłogę, gdzie musiały zostać ślady krwi. Jakaś plamka w szczelinach drewna. Nic jednak nie dostrzegłam, zupełnie nic. Klęknęłam, żeby przyjrzeć się bliżej, zajrzałam też pod łóżko i na pościel, na którą, jak pamiętałam, prysnęła krew. Znow nic. Ani jednej cholernej kropelki.

Choć nie dostrzegłam żadnych dowodów bytności Aurelii, tego, co nastąpiło, nie uważałam za

halucynację.

– Biegłam. Pognałam przez dziedziniec do urwiska i skoczyłam. Zapomniałam jednak zjeść kwiat, więc spadłam. I wydawało mi się, że zaraz umrę, ale pan Van Croix złapał mnie w powietrzu. – Mówiłam bez ładu i składu. Nigdy mi się to nie zdarzało, ale, do cholery, Aurelia nie stanowiła jedynie wytworu mojej wyobraźni. Znow wycofałam się na łóżko i poczułam w żołądku mrowienie paniki, które przypomniało mi, jak spadałam w nocy i jaką absolutną grozę czułam w tamtym momencie.

Ściągnięta twarz Anyi, wyraźnie ukazująca troskę, mówiła mi, że kobieta nie wierzy w ani jedno moje słowo.

– Dobrze się czujesz? Przyznaję, że wzbudzasz we mnie lekki strach.

– Aurelia. Była. Prawdziwa! Rodziła dziecko i krwawiła! Było tak wiele krwi, którą karmiłaś się wraz z pozostałymi! – Znow rozejrzałam się po podłodze, pozbawionej jakichkolwiek śladów.

Musiały posprzątać, gdy spałam, choć usunięcie takiej ilości krwi wymagałoby sporo czasu i wysiłku. Powinam pamiętać, że w którymś momencie nocy słyszałam ich krzątanie, ale musiałam spać mocno.

Anya skinęła głową i cofnęła się do drzwi, wzbudzając we mnie niepokój.

– W porządku. Sprowadzę lekarza.

– Tak, miałaś sprowadzić doktora Venable. Ale nie zrobiłaś tego!

– Doktora Venable? Kogoś takiego też nie znam.

– Dość tego! Próbujesz zrobić ze mnie wariatkę, a ja... – Przeszywający ból rozjarzył mi się w czaszce i przycisnęłam w tym miejscu palce, zaciskając powieki, żeby odciąć się od oślepiającego światła. Ogarnęły mnie zawroty głowy i mdłości. Miałam wrażenie, że pokój wiruje wokół mnie.

– Panno Ravenshaw, nalegam, żebyś się położyła, zanim zrobisz sobie krzywdę.

– Nic mi nie jest. To... to migrena. Czasami mi się zdarza... – Otworzyłam oczy i w polu widzenia ujrzałam dryfujące obiekty oraz rozmazaną sylwetkę Anyi. – Proszę, przestań mieszać mi w głowie. Aurelia była... tutaj. Została porwana.

Ciepłe dłonie poprowadziły mnie do łóżka i choć chciałam odepchnąć Anyę od siebie, jej zapach kojarzył mi się z perfumami ciotki Nelle; nazywały się Paryskie noce. Pamiętałam, jak siedziała przy swojej toalecie, wieczorny wiatr wydymał długie, białe zasłony, a odgłosy chicagowskich ulic tworzyły odległe tło. Ciotka zawsze nastawiała płytę jazzową i uwielbiała palić cygaro w towarzystwie kieliszka wina, gdy wykonywała swoje rytuały przednocne. Silna woń tytoniu połączona z tymi perfumami zawsze mnie uspokajała.

To wspomnienie, tak wyraźnie obecne w mojej głowie, uspokoiło mnie również teraz, gdy Anya opatulala mnie kołdrą.

– Posłuchaj mnie, nie chcę cię straszyć, ale lepiej, żebyś wiedziała. W tej katedrze roi się od duchów dawnych i obecnych.

– Chcesz powiedzieć, że jest nawiedzona?

– Bardzo.

– Nie. Nie wiem, co zyskujesz na tym, że wychodzę na wariatkę, ale nie stworzyłam sobie Aurelii w głowie. Była prawdziwa. – Ale czy na pewno? Czy pamiętałam jej twarz, choć przecież minionej nocy tuliłam jej głowę na tej podłodze, gdy się wykrwawiała? Czy tak dobrze zapamiętałam jej głos, że zdołałabym odróżnić go od głosów pozostałych pracujących tu dziewcząt?

Jeśli miałabym być szczerą, odpowiedź brzmiała: nie. Kontury wspomnienia były jednocześnie zamazane i ziarniste, nieostre. Skupiałam się jak najmocniej na oczach Aurelii, ale nie umiałam przypomnieć sobie ich koloru.

Wpatrywałam się w twarz tej dziewczyny, gdy umierała, a jednak nie potrafiłabym stwierdzić, czy były niebieskie, brązowe czy fioletowe.

– Gdy siedziałaś sama przy jedzeniu, często przyłapywałam cię na tym, że mówiłaś do siebie – dodała Anya, zupełnie nie poprawiając tym stanu mojego umysłu. – Uznałam, że pewnie po prostu myślisz na głos czy coś.

Wyczerpana rozmową i wyklócaniem się o swoją poczytalność, pomasażowałam czoło.

– Posłuchaj, te żarty zabrnęły już za daleko. Powiedz mi wreszcie, gdzie ona jest.

Podnosząc się z łóżka, Anya poklepała mnie po nodze.

– Widzę, że potrzebujesz jeszcze trochę odpoczynku. Tego popołudnia sama zajmę się kundlami.

A co, jeśli Aurelia rzeczywiście była jedynie wytworem mojej wyobraźni? Na pewno nie wróżyło to dobrze stanowi mojego umysłu w tym miejscu.

– Muszę się stąd wydostać. Chcę odejść. Natychmiast.

– W porządku, jeśli taka jest twoja decyzja. Ale jednak wolałabym cię przekonać, żebyś odpoczęła przed podróżą.

Z jakiegoś powodu byłam zmęczona, co jedynie pogłębiało we mnie ochotę, żeby wszystko kwestionować. I przez to jeszcze mocniej bolała mnie głowa.

– Dobrze – odparłam. – Ale chcę klucz do tego pokoju.

– Słucham?

– Nie zamkniesz mnie tutaj, ale ja zamierzam zamknąć się przed wami. – Wyciągnęłam dłoń i poruszyłam palcami, żeby podała mi klucz. Nie potrafiłam nawet wymyślić powodu, dla którego miałyby mnie tu trzymać, chyba że po to, by mnie również pożreć. Niemniej nie zamierzałam podejmować żadnego ryzyka.

Ściągnąwszy wargi w wąską linię, Anya sięgnęła do kieszeni sukienki i wyciągnęła pęk kluczy na wielkim kółku. Odczepiła jeden z nich i uniosła go, żeby mi go pokazać.

– Ten jest od twojego pokoju. Choć wiedz, że uważam twoją prośbę za dziwną. I chciałabym, żebyś zwróciła mi go, zanim odejdziesz.

– Oczywiście. Na co przydałby mi się klucz do przypadkowego pokoju?

– W tym momencie kwestionuję wiele rzeczy, moja droga, aczkolwiek rozumiem, że nie czujesz się dobrze. Każę przynieść ci coś do jedzenia. Ktoś zostawi tacę przed drzwiami, żebyś odebrała, gdy tylko zechcesz je otworzyć.

Kiedy powolnym krokiem opuszczała pokój, odprowadzałam ją wzrokiem, próbując jednocześnie ogarnąć rozumem wydarzenia tego poranka. Nie postradałam chyba zmysłów? Wciąż pamiętałam, kim jestem. W panice usiadłam na skraju łóżka i przywołałam wspomnienie Camael. Jej sierść. Jej zapach. Dźwięk jej mruczenia. Dom ciotki Nelle i paprocie, nad którymi zleciła mi opiekę. Ciocię wyglądającą na taką spokojną, gdy leżała w trumnie. Wyściółkę wykonano z różowej satyny. Pamiętałam, że roześmiałam się niestosownie na myśl, że ciotka sprawiała wrażenie, jakby chowano ją w małżu.

Nie straciłam jeszcze wspomnień dotychczasowego życia. Dlaczego? Czy nie przebywałam tu wystarczająco długo? Każdy szczegół utrzymywał mi się tak wyraźnie w głowie.

A jednak nie potrafiłam sobie do końca przypomnieć barwy głosu Aurelii, który słyszałam zaledwie minionej nocy.

Zaparłam się nogami, żeby przesunąć się pod zagłówek, a wtedy ręką trąciłam leżącą obok mnie książkę, która otworzyła się na początkowej rycinie. Tej samej, której przyglądałam się w bibliotece.

Tym razem coś nowego przykuło jednak moją uwagę.

Marszcząc brwi, nachyliłam się niżej, skupiając wzrok na dziewczynie, którą, jak wynikało z treści, musiała być Lustina. Tyle że nie wyglądała tak jak wtedy, gdy pierwszy raz otworzyłam tę stronę.

Pamiętałam, że gdy zaczynałam lekturę poprzedniego wieczoru, jej oblicze było nieostre z powodu rozmazanego tuszu. Nagle stało się równie wyraźne jak możliwość, że naprawdę postradałam zmysły.

Przycisnęłam drżącą dłoń do ust, a macki paniki rozwinęły się pnączami grozy wzdłuż mojego kręgosłupa.

Dziewczyna na obrazku była mną.

A co gorsza, młodą kobietą stojącą obok mnie, odzianą w sutannę zakonnicy, była Aurelia.

Lustina

Lustina podniosła kosz jagód zbieranych na prośbę Matki Przełożonej, która chciała mieć na popołudnie świeże owoce dla brata Feliksa. Nie miała nic przeciwko temu zadaniu, ponieważ dzięki niemu mogła się znaleźć w środku lasu. Jakże tęskniła za zbieraniem jagód z matką. Tamte czasy już jednak dawno minęły i Lustina zapewne nigdy więcej nie zazna podobnej wolności.

Do jej uszu dobiegły niezbyt odległe odgłosy – krzyki, jakby ktoś miał kłopoty. Zostawiła koszyk i pobiegła w stronę rzeki, podążając za dźwiękami aż na jej brzeg, gdzie na środku stojącej zatoczki ujrzała ręce wymachujące szaleńczo nad powierzchnią. Na chwilę ukazała się głowa i Lustinie serce podeszło do gardła, gdy zorientowała się, że pomocy wzywa młoda Agnes z wioski.

Bez wahania weszła do wody, a gdy pływaczka ustąpiła głębi, przy której straciła kontakt z dnem, popłynęła ku dziewczynce. Agnes zniknęła pod powierzchnią, a Lustina, czując serce dudniące w piersi, przyspieszyła, choć dół sukienki oblepiał ciężko jej nogi. Zanim dotarła do tonącej, mięśnie piekły ją już z wyczerpania, ale otoczyła rękoma bezwładne dziecko i pociągnęła je do brzegu. Kiedy znów znalazła się na płyciźnie, zatargła dziewczynkę na suchy ląd. Sukienka małej zahaczyła o wystający korzeń drzewa, ale wreszcie udało się położyć ją daleko od rzeki. Wiła się i drżała, kaszląc oraz plując wodą.

– Już w porządku. Jesteś bezpieczna, mała Agnes. – Uśmiechając się z ulgą, Lustina delikatnie położyła dłoń na ramieniu małej, żeby ją uspokoić, a gdy ta w końcu zaczerpnęła głęboko tchu, spojrzała na nią z grozą na twarzy.

Krzusząc się, Agnes szarpnęła się w tył, usiadła i uniosła rozerwany rąbek sukienki. Gdy znów popatrzyła na Lustinę, w jej oczach płonęła pogarda.

– Rozprułaś mi ubranie! Ty zła czarownico! – Silne uderzenie w policzek Lustiny niosło ze sobą ukąszenie upokorzenia.

Lustina w szoku dotknęła bolącego miejsca.

– Przepraszam, młoda panienko. Nie chciałam... chciałam tylko pomóc.

– Powinnaś trzymać swoje przekłete łapy przy sobie! Stanę się pośmiewiskiem, gdy ludzie z wioski się dowiedzą! Przez ciebie już nikt nie odważy się do mnie podejść! Ty żałosny tłumoku! – Dziewczynka podniosła się i stanęła nad Lustiną. Choć była niska, jej ostre i niesprawiedliwe słowa sprawiły, że Lustina poczuła się znacznie mniejsza.

– Posłuchaj mnie, Agnes. Gdybyś tam została, utonąłabyś.

– Tak bym wolała! – Mała odwróciła się od niej z gniewną miną i pobiegła w las.

Westchnąwszy przeciągle, Lustina wstała z błotnistej brzozy i przyjrzała się swojej zabrudzonej sukience. Poświęciła chwilę, żeby zmyć część brudu w rzece, podczas gdy od bezlitosnego chłodu zimowego powietrza drżały jej kości.

Kiedy ruszyła w stronę klasztoru, jej uwagę zwrócił niesiony podmuchem zapach. Obróciła się z powrotem do lasu i zadarła nos, rejestrując korzenne nuty, od których ślina napłynęła jej do ust. Apetyczne. Jak gulasz z dziczyzny, do którego jej matka dorzucała smardze, gdy akurat był na nie sezon. Wprawdzie oczekiwano, że Lustina wkrótce wróci z owocami, ale uznała, że musi zbadać źródło tej woni, i podążyła niewidoczną ścieżką głębiej w las.

Drzewa rozstępowały się wokół małej polanki, której nie zauważyła za żadnym razem, gdy się tu wykradała. Smużki dymu wznosiły się z komina chaty obrośniętej pnączem. Podeszła z zaciekawieniem. Wciąż ściskając koszyk z jagodami, minęła drewno opałowe spiętrzone z jednej strony i zagrodę z kozami.

Zapach przyciągnął ją tu z powodów, których nie umiała zrozumieć. Znalazła się przy drzwiach, zanim uświadomiła sobie, że niegrzecznie jest przychodzić bez zapowiedzi.

Czując na policzkach żar zażenowania, obróciła się, by odejść – i wtedy usłyszała głos wołający do niej z drugiej strony:

– Lustina! – Nie rozpoznała go, ale wyglądało na to, że jego właścicielka rozpoznaje ją. – Proszę, może wejdiesz do środka?

Ze zmarszczonym czołem Lustina otworzyła drzwi i ujrzała ciemnoskórą kobietę siedzącą przed kominkiem, w którym bulgotał kociołek rozsiewający tę przepyszną woń.

Odziana w barwny strój, ze złotym zawojem na głowie, nieznajoma wyglądała okazale i majestatycznie. Niczym królowa z odległych krain. U biodra miała kolczaste pnącze zwinięte niczym bicz. Pochyliła się i zamieszała parującą zawartość garnka.

– Przepraszam, ale skąd my się znamy? – zapytała Lustina, wchodząc do wnętrza. Otuliło ją ciepło, odpędzając chłód klejący się do jej ciała od przemoczonej sukienki.

Kobieta nie zwracała sobie głowy spoglądaniem na nią, lecz dalej mieszała.

– Nie chodzi o to, kto zna mnie, dziecko, tylko kto zna ciebie. Byłam przyjaciółką twojej matki.

Coś ciepłego rozkwitło w jej piersi i Lustina nie zdołała powstrzymać uśmiechu, który uniósł kąciki jej warg. Przyjaciółka jej matki. Jaki przypadek, że się na nią natknęła!

– Czy mogę cię spytać o imię, moja damo?

Jej chichot wypełnił pomieszczenie, gdy kobieta usiadła na bujanym fotelu i chwyciła jego podłokietniki.

– Proszę, nie zwracaj się do mnie w tak oficjalny sposób. Jesteś bowiem dla mnie jak córka.

Spuściwszy wzrok, Lustina uśmiechnęła się jeszcze szerzej na te słowa.

– Mam na imię Camael. Jestem jedną z tych, które są znane jako Sybille.

– Wieszczką?

– Wieszczką. Prorokinią. To jedno i to samo.

Nagle nabrało dla Lustiny sensu, że kobieta dostrzegła jej nadejście. Że wiedziała o jej obecności, zanim zdążyła zapukać do drzwi. Jeśli jej wiedza na temat wieszczania była cokolwiek warta, Camael najprawdopodobniej ujrzała jej przybycie już wiele lat wcześniej.

– Dlaczego tu jestem?

W ciemnobrązowych oczach kobiety kryło się tyle ciepła. Lustina nie czuła się ani trochę nieswojo w jej domu.

– Dlaczego tu jesteś? – powtórzyła Camael. – Było ci to przeznaczone.

– Przeznaczone?

– Wierzysz w niebiosy, dziecko?

Lustina odwróciła wzrok, zastanawiając się nad tym pytaniem.

– Nie wierzysz w niebiosy Pentacrux.

– Z całym szacunkiem, ale jak mogę wierzyć w niebo skazujące na stos tych, którzy nie podzielają ich wierzeń? Wydaje mi się to okrutne i niesprawiedliwe.

Uśmiech rozciągnął wargi Camael, która wydawała się przyglądać Lustinie badawczo.

– Mówisz o swojej matce.

– Wybacz mi. Choć twierdzisz, że jesteś jej przyjaciółką, nie wiem, jaka jest twoja opinia na temat czarnej magii, o którą została fałszywie oskarżona.

– Fałszywie oskarżona. Śmiałe słowa jak na młodą dziewczynę.

– Nie chciałam cię urazić. – Lustina bawiła się nerwowo rąbkiem sukienki.

– Wcale nie czuję się urażona, dziecko. – Camael sięgnęła po wąski przedmiot leżący na stoliku obok, a gdy nachyliła się do płomienia i podpaliła jego końcówkę, pomieszczenie wypełniła bujna woń tytoniu. Pyknęła kilkakrotnie, posyłając dym w powietrze, po czym odsunęła obiekt od ust. – Uwielbiam dobre cygara – powiedziała i znów pyknęła. – Ostatnim dzieliłam się z sędziwym majańskim uzdrowicielem. Przepowiedział mi wiele rzeczy. – Obróciła cygaro, oblizwała wargi i znów skierowała uwagę na Lustinę. – Czy znana jest ci pentada krwawych księżyców?

– Matka o niej mówiła, ale przyznaję się do niewiedzy.

– To pradawne proroctwo o licznych wariacjach, przekazywane w wielu językach i kulturach na całym

świecie. Matka mogła opowiedzieć ci własną wersję. – Gdy Lustina przytaknęła, kobieta się uśmiechnęła. – Nieważne, gdzie ani w jaki sposób się je przytacza, każda wersja kończy się ofiarą. Ta, którą ja znam, mówi o ciemnoskrzydłym stworze, który zażądał młodej dziewicy w wigilię krwawego księżyca. Zatem starożytni ofiarowali swoje najbardziej ukochane w nadziei, że oszczędzi im on swojego gniewu. Problem w tym, że Ciemnoskrzydły zakochał się w dziewczynie i jej łagodnym, szczodrym sercu. Był nią oczarowany w takim stopniu, że nie potrafił pozbawić jej duszy. Z tego powodu przywołał samego Śmierć i zażądał, żeby anioł dał jej nieśmiertelność. Cóż, nawet Śmierć nie dysponuje taką mocą, więc zamiast tego rzucił na nią klątwę odrodzenia. I w roku pentady krwawego księżyca należy ją ofiarować Ciemnoskrzydłemu, inaczej dojdzie do wielkiego cierpienia.

Lustina mgliście przypominała sobie, że matka opowiadała jej podobną historię, choć tamta wersja nie przypominała w takim stopniu baśni. U matki odrodzenie młodej dziewczyny służyło bardziej jako zwiastun mroku, ostrzeżenie, że coś straszliwego spotka pradawnych ludzi. Oczywiście Lustina traktowała to wyłącznie jako opowieść. Nigdy jako prawdziwe proroctwo.

– Ten ciemnoskrzydły stwór brzmi na okropnie nierozsądnego – rzekła do starszej kobiety.

Camael wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym wybuchnęła śmiechem, który sprawił, że wypadła do przodu z fotela. Przez chwilę, która wydawała się niekomfortowo długa, krztusiła się, uspokajała i na nowo krztusiła powracającym śmiechem. Wreszcie otarła łzy z oczu, uciszyła się i odetchnęła głęboko.

Na policzki Lustiny wszedł rumieniec zażenowania, lecz zaraz potem prychnęła z frustracją, gdy kobieta znowu zaczęła się śmiać.

– Przynajmniej ty uważasz moją naiwność za zabawną. W przeciwieństwie do biskupa – mruknęła pod nosem.

Śmiech Camael zgasł, zastąpiony poważnym wyrazem twarzy.

– Jest dla ciebie okrutny, prawda?

– To chyba zależy od tego, co uważasz za okrucieństwo. Wygląda na to, że są na tym świecie inni, którzy cierpią znacznie gorszy los. Na przykład biedni i głodujący.

– Siadywałam przy stole w obecności zarówno królów, jak i biedaków, i mogę ci powiedzieć, że cierpienie nie wybrzydza, jeśli chodzi o pozycję społeczną. Czasami ci, których uważamy za biednych, cieszą się bogactwem szczęścia przekraczającego nasze wyobrażenia. Nie umniejszaj swojego bólu dla nikogo.

– A z jakimi królami siadywałaś przy stole?

Brew Camael uniosła się, a jej wargi rozciągnęły w chytrym uśmiešku.

– Równie pradawnymi jak sami bogowie.

Lustina przyjrzała się jej ostrożnie.

– Chcesz przez to powiedzieć, że sama jesteś pradawna?

– W moim świecie czas jest pozbawiony znaczenia.

– Jakim świecie?

– *Noc'tu umbraj*. Tym cienistym.

Lustina nigdy nie słyszała o takim miejscu i choć rozmowa o innych światach mogła wzbudzać podejrzenia o uprawianie czarów, nie potrafiła zaprzeczyć, że te intrygowały ją i wzbudzały jej ciekawość.

– Jaki jest ten cienisty świat?

– Bardzo stary i niebezpieczny. Kroczą w nim Mroczni. Ale urok, który go otacza, niektórych przyzywa.

– Jak trafiłaś tutaj, skoro jesteś stamtąd?

– Dysponuję darem, dla niektórych ma on wielką wartość.

– A Mroczni? Kim oni są? – zapytała Lustina.

– Wierzysz w anioły?

– Tak, ale...

– Nie przyszły twojej matce z pomocą.

Dziewczynę zawsze dręczyła ta myśl: jeśli anioły istniały, to dlaczego nie interweniowały?

Starsza kobieta uśmiechnęła się z sympatią.

– Czasami losu nie da się zmienić, dziecko. Ale twój można. Nie musisz dźwigać całego brzemienia, jakie zrzucono ci na barki. Odejdź od niego. Nakłoń go, żeby poświęcił swoją miłość.

Marszcząc w zdezorientowaniu czoło, Lustina pokręciła głową.

– Kogo? – Zanim Camael zdążyła odpowiedzieć, na zewnątrz rozbrzmiało coś przypominającego grzmot, a gdy Lustina wyjrzała przez okno, zorientowała się, że niebo pociemniało. Burze zawsze ją przerażały. – Nie chcę cię popędzać, ale muszę wrócić, zanim matka przełożona pośle po mnie.

Rozejrzawszy się po suficie, jakby coś się tam czało, Camael odłożyła cygaro przy żarze w kominku i obróciła się do niej.

– Lustino – wyszeptła. – Jesteś tu nie bez powodu. Mrok cię kusi, ale on jest samolubny. Naraża cię na wielkie niebezpieczeństwo.

– O czym ty mówisz? – Lustina zachichotała nerwowo z dyskomfortu, który ją nagle ogarnął. – To ja jestem ofiarą, jakiej szuka ten ciemnoskrzydły stwór?

– Już cię odnalazł.

– Kim on jest?

Słyszając kolejny trzask pioruna, Camael wzdrygnęła się i znowu popatrzyła na sufit, jakby coś miało się przez niego przedrzeć. Chwyciła cynowy kubek i nałała do niego trochę bulionu z kociołka, po czym podała Lustinie.

– Dzięki temu będzie ci ciepło w burzy.

W górę uniósł się zapach przypraw i choć dziewczyna nie była pewna, czy się napić, pokusa skłoniła jej język do pierwszego łyeczka. Sączyła płyn, który z miejsca przeniósł ją do nocy, gdy była chora i matka karmiła ją pożywnym rosołem. Było w tym ciepło. Komfort. Dom. Zanim zdążyła się powstrzymać, przełknęła wszystko do ostatniej kropli, rozkoszując się smakiem rozkwitającym w ustach i ciepłem w brzuchu.

Pomieszczenie poszerzało się i ciemniało, aż ogarnęła ją czerń.

W tej pustce czuła się lekka niczym chmury i usłyszała głos wołającej do niej matki:

– Lustino, moja ukochana. Obudź się.

Otworzyła oczy i ujrzała mrok otaczającego ją lasu po zmierzchu. Korony drzew wisiały ponad nią niczym pradawni ludzie, a w przerwach pomiędzy nimi krążyły czarne kruki. Obróciła głowę i zobaczyła, że obok niej leży koszyk, z którego na ściółkę wysypały się jagody. Usiadła, zdecydowana przypomnieć sobie, jak się tu w ogóle znalazła.

Chata.

Camael.

Zerwała się na nogi i pobiegła przez las w kierunku polanki, gdzie wcześniej widziała mały domek.

Promienie gasnącego słońca padały na pustą łąkę trawy.

Lustina wyszła na polanę i stanęła w zamierającym blasku.

Nie czuła w nim ciepła.

Jedynie chłodną zapowiedź nadciągającego mroku.

Farryn

Po przewróceniu strony dotarłam do końca rozdziału i siedziałam, wpatrując się pustym wzrokiem w dal oraz zastanawiając, jak, u diabła, imię mojego kota trafiło do książki liczącej moim zdaniem kilka stuleci? Imię, które uważałam za całkiem wyjątkowe i nietypowe. Tak rzadkie, że musiałam przeczytać je kilkanaście razy, bo nie miało dla mnie sensu, że natknęłam się na nie drugi raz w życiu.

Nie. Dostrzegałam zbyt wiele zbiegów okoliczności. Zbyt wiele sygnałów ostrzegawczych rozbrzmiewało jednocześnie.

A jeśli dorzucić do tego dziwaczne podobieństwa na rycinie z początku książki, gdzie mój sobowtór stał obok Aurelii, narastający we mnie niepokój był uzasadniony. Kilkakrotnie wracałam do tamtego miejsca, żeby wciąż na nowo przyglądać się grafice.

– Co, do diabła – mruknęłam, robiąc to kolejny raz. Chciałam zaprzeczać, że dziewczyna obok Aurelii wygląda jak ja, że jest to jakiś głupi wytwór mojej wyobraźni, jednak szczegóły, jakie dostrzegałam w obrazku, który musiał powstać na podstawie starego malowidła, miały zbyt wiele zagadkowych zbieżności z fotografią zrobioną mi w katolickiej szkole.

Słyszając pukanie do drzwi, wzdrygnęłam się i schowałam książkę. To pewnie któraś z kobiet z kuchni przyniosła coś do jedzenia. Choć od pewnego czasu nic nie jadłam, nie czułam głodu, jedynie mdlące zdezorientowanie i niedowierzanie.

– Proszę zostawić pod drzwiami! Dziękuję!

Znowu pukanie.

Sfrustrowana, przeszłam przez pokój i gwałtownym gestem otworzyłam drzwi – a wtedy ujrzałam stojącego w korytarzu Van Croixa. Nieważne, że ubrał się swobodnie, w luźne spodnie i prostą białą zapinaną koszulę, jak zawsze otaczała go arystokratyczna aura. Zupełnie jakby był królem w przebraniu plebejusza.

– Och, ja nie... nie zdawałam sobie sprawy, że to ty.

– Czy mogę wejść? – Coś w jego pytaniu przypomniało mi filmy o wampirach i o dziewczynach nieświadomie zapraszających je do domu.

– Pewnie.

Przesuwając dłonią po włosach, cofnęłam się o kilka kroków, żeby go wpuścić. Zamknął za sobą drzwi.

– Anya mówi, że nie czujesz się dobrze.

Skrzyżowałam ręce, przekrzywiłam głowę i przyglądałam się mu, zauważając, że nie spuszcza ze mnie jednookiego spojrzenia, co zaowocowało najbardziej niekomfortowym pojedynkiem wzrokiem w moim życiu. W końcu dałam za wygraną i zerknęłam w bok.

– Co zmieniło się w twoich oczach, że dziś wydają się jaśniej błyszczeć? – zapytał.

– Och, nie wiem. Może chodzi o doświadczenie śmierci.

Zmarszczył czoło, splótł dłonie za plecami i podszedł do okna.

– Najwyraźniej uważasz, że wczoraj próbowałeś skoczyć z klifu.

– Zamierzasz powiedzieć mi, że tego nie zrobiłam? – odparłam, siadając na łóżku. – Że przebywałeś gdzie indziej, gdy leciałam głową w dół w kierunku skał?

– Pracowałem. Ale cieszę się, że widzę cię w jednym kawałku.

– Powinam ci za to podziękować. To ty uratowałeś mi życie.

Uśmiechnął się przez ramię i wrócił do wyglądania przez okno.

– Nie zajmuję się ratowaniem życia, pamiętasz?

– Tak. Ty tylko pomagasz w fazie przejściowej. Cokolwiek to, do diabła, znaczy. Chcę wiedzieć, kim jesteś. Sam mówiłeś, że nie jesteś Upadłym. Nie aniołem. Zatem kim? Bo mam cholerną pewność, że nie człowiekiem.

– Czy tak naprawdę zdajesz sobie sprawę, co to wszystko oznacza, panno Ravenshaw? Jaki jest cel Nocnego Cienia?

– Czyścić?

Drgnęły mu wargi, ale się nie uśmiechnął.

– Miejsce, do którego według chrześcijan z twojego świata udają się dusze na oczyszczenie, żeby mogły zostać wpuszczone do Nieba? Nie. To zdecydowanie nie jest Czyścić.

– Zatem oświeć mnie.

– Nocny Cień to miejsce, do którego trafiasz, jeśli w nic nie wierzysz. Biedne dusze, które tu lądują, można zrywać równie łatwo jak kwiaty. – Uniósł kwiat wilczych jagód, którego zrywanie wyraźnie pamiętałam. – Są uwięzione na wieczność. Tkwią we własnym wyparciu.

– Chcesz powiedzieć, że w tych kwiatkach naprawdę tkwi dusza?

– Kiedyś pytałaś mnie, dokąd idą inni niewinni. Pozostają bezpańscy, pod moją opieką.

– O Boże. – Wypiłam herbatę. – I mało brakowało, żebym jednego z nich zjadła.

– Tak. Zaś jeśli spróbujesz wrócić, wrócisz w niebyt. Niestety ci z was, którzy przechodzą dobrowolnie, nie mają nawet możliwości trafienia znów do własnego ciała.

Pokręciłam głową, zerkając na niego podejrzliwie.

– Tylko gdybym umarła w drugiej krainie. A ja jedynie wypiliśmy herbatę.

– Jak uważasz, czym konkretnie jest Nocny Cień, panno Ravenshaw?

Miałam myśli zanadto zmałowane przez zdezorientowanie, by próbować mu odpowiadać.

– To brama do cienistego świata. Bilet w jedną stronę.

– Nie. Mój ojciec wypił herbatę.

– I podejrzewam, że nie żyje.

Chłodne, puste doznanie naparło od wewnątrz na moją klatkę piersiową, ściskając mi płuca. Pokręciłam głową w niedowierzaniu.

– Nie. Nie ma mowy. Mężczyzna, który podał mi herbatę...

– Przehandlował twoją duszę.

– Nieprawda. Próbowałam go namawiać. Z początku nie chciał mi dać herbaty. Odesłał mnie.

– Niewątpliwie po to, żeby zdobyć twoje zaufanie. Naprawdę błyskotliwe posunięcie. Jak lepiej cię przekonać, niż odmawiając ci?

Przesuwając dłonią po włosach, cofnęłam się myślami do chwil przed tym, jak wypiliśmy herbatę. Być może na twarzy Xhiphiasa pojawił się przeblask uśmiechu, ale nie presja pośpiechu. W zasadzie byłam przekonana, że wolałby zachować napój dla kogoś bardziej interesującego.

– Przyznaję, że kryje się w tym jeden zagadkowy element. Woń, która ci towarzyszy, jest kojarzona z żywą duszą, co tutaj zdarza się całkiem nieczęsto. Rodzi się zatem pytanie: w jaki sposób? Jak to możliwe, że twoja dusza pozostałaby zupełnie nietknięta?

– Nie jestem martwa. Mogę tego dowieść. Pozwól mi wrócić.

Van Croix przyglądał mi się przez chwilę w milczeniu. Miałam wrażenie, że wiecznie mi się przygląda. Zupełnie jakby próbował czytać mi w myślach.

– A jeśli się mylisz? Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, jak to jest wiecznie tkwić w niebycie? Bez możliwości powrotu? Bez możliwości skomunikowania się z kimkolwiek?

– Widziałam mężczyznę skaczącego z dachu i nie zostało po nim żadne ciało. Nic. Zniknął. Xhiphias powiedział mi, że ciało przejdzie wraz ze mną i ze mną wróci.

– Twoje fizyczne ciało nie zdołałoby przetrwać przejścia pomiędzy płaszczyznami. Ludzie nie są do tego stworzeni. Jesteście równie delikatni jak papier w ogniu, a zatem uleglibyście rozpadowi w chwili przejścia.

Mgła. Za każdym razem, gdy odwiedzałam Xhiphiasa, wisiała tak gęsto w uliczce. A koty? O co, u diabła, chodziło z kotami?

Wczepiwszy palce we włosy, kolejny raz pokręciłam głową. Wciąż nie wierzyłam w ani jedno słowo.

– Zatem jeśli nie ma ciała, bo ulega rozpadowi...

– Wracasz do niebytu, jak już wspominałem. Do straszliwej pustki. Co, jak przypuszczam, jest tak naprawdę gorsze niż powrót do zwłok. Taki los określamy jako Ex Nihilo. – Wciąż trzymając dłonie związane za plecami, Van Croix przechadzał się wzdłuż stóp łóżka. – Załóżmy, że istnieje minimalna szansa, iż twoja

teoria jest słuszna. Przy jakim prawdopodobieństwie byłabyś gotowa podjąć ryzyko?

– Muszę wrócić. Nie rozumiesz. Mam życie. Uczelnię. Kota i paprotki.

– Wszystko to było dla ciebie tak bardzo ważne, gdy szukałaś tego świata. Chcesz mnie przekonać, że nie zrodziła ci się najmniejsza choćby myśl, iż możesz nie wrócić?

Byłabym głupia, gdybym się do tego przyznała.

– Czyli nikt nie wraca? Nigdy?

– Tego nie powiedziałem. – Wsunął dłonie do kieszeni spodni i wzruszył ramionami. – Istnieją tacy, którzy potrafią przechodzić pomiędzy płaszczyznami i przemycać dusze z powrotem do ziemskiej krainy. – Gdy wyciągnął jedną dłoń, pomiędzy jego palcami tkwiła srebrna moneta. Podobnie jak w bibliotece, ruchem płynnym niczym fala przełożył ją pomiędzy knykciami. – Ale, podobnie jak twój oszukańczy przyjaciel, robią to wyłącznie dla własnego zysku.

– Jak to działa? Jeśli moje ciało uległo rozpadowi, nie wrócę do zwłok, jak mówiłeś? Albo do niebytu?

– Niektórzy z nieśmiertelnych, tak jak Upadli, są zdolni do odwracania biegu czasu. Nie wróciłabyś do dzisiejszego ciała, tylko do chwili tuż przed skokiem z tamtego dachu.

– Czyli... dysponowałabym świadomością, żeby zrezygnować?

– Być może. Albo zostałabyś skuszona do powrotu.

Choć istniała możliwość, że zostałam prehandlowana, wciąż byłam zdeterminowana, żeby znaleźć metodę powrotu. I znajduję ją.

– Ale w nocy naprawdę powstrzymałeś mnie przed upadkiem z urwiska. Wiem, że to byłeś ty. Zdołałam to wyczuć.

Niczym doświadczony hazardzista zachował beznamiętną, nieodgadnioną twarz.

– Aurelia też była prawdziwa.

– Tak. W pewnym momencie. Była córką Anyi. Przyznaję jednak, że to zagadkowe, dlaczego widziałas jej wizje.

– Co? – Fala szoku uderzyła we mnie niczym kij do baseballa. – Ale Anya zachowywała się, jakby...

– Zapomniała własną córkę? Tak. To efekt uboczny pozostawiania zbyt długo w Nocnym Cieniu. Powiedz mi, co ciebie trzyma tak długo w tej katedrze, panno Ravenshaw? Przypuszczałem, że już dawno stąd uciekniesz.

– Potrzebuję odpowiedzi. Za każdym razem, gdy decyduję się na powrót do domu, wyskakuje jakiś kolejny skrawek informacji. To nie do wytrzymania.

– I co jest twoim najświeższym znaleziskiem?

Patrząc mu prosto w twarz, sięgnęłam pod poduszkę i wyciągnęłam książkę, po czym otworzyłam ją na pierwszej stronie.

– Dlaczego licealna ja jest na rycinie w książce wyglądającej na kilkusetletnią?

Uniósł brew i przyjrzał się rysunkowi.

– Dziwne podobieństwo.

– Bardzo dziwne. A ten konkretny osobnik z tyłu? – Wskazałam na jednego z mężczyzn w kamizelkach narysowanych za dziewczyną. – Do złudzenia przypomina ciebie.

Znów popatrzył bliżej przez chwilę.

– Tak, chyba rzeczywiście.

– I? Nie uważasz tego za dziwaczne? Czy to zbieg okoliczności, że oboje wyglądamy zupełnie tak samo jak dwie osoby z najwyraźniej bardzo starej książki?

– Do czego zmierzasz?

– Właśnie takie cholerstwa sprawiły, że zaplątałam się w pajęczynę tego upiornego miejsca. W przeciwieństwie do ciebie, który najwyraźniej z pełnym zadowoleniem akceptujesz takie zbiegi okoliczności, ja potrzebuję odpowiedzi. Na przykład, dlaczego ta cała Sybilla z książki ma na imię Camael. Tak samo jak moja kotka. Takie rzeczy doprowadzają mnie do szału.

Wciąż stojąc u stóp mojego łóżka, uniósł brew.

– Rozumiem to.

– Nie. – Pokręciłam głową i roześmiałam się bez cienia wesołości. – Nie próbuj robić ze mnie wariatki, tak jak Anya. Nie tracę zmysłów. Istnieje powód. To jakaś zagadka. A zagadki mają rozwiązania.

– Czyżby? Może istnieją zagadki bez rozwiązań, panno Ravenshaw. Niekończące się poszukiwania

czegoś, czego nie da się znaleźć.

Nie zamierzałam w to wierzyć. Musiało chodzić o znacznie szerszy obraz, w który idealnie wpasowywały się wszystkie drobne zbiegi okoliczności. Dostrzegałam jedynie mały fragment całości.

– Jesteś tu z powodu ojca, prawda? – spytał.

– Po części tak.

– A jaka jest pozostała część?

– Dowiedzieć się, czy był szaleńcem, skoro wierzył w to, w co wierzył.

– I czy pobyt tutaj pozwolił ci dowiedzieć się czegokolwiek?

Zastanawiałam się przez chwilę nad tym pytaniem. Czy dowiedziałam się czegoś nowego o ojcu? Czy mogłam przyznać, że było w tym coś więcej niż tylko uparte trzymanie się przeze mnie tej sprawy?

– Ta osoba, którą widziałaś na tej nibyulotce... Która, jak twierdzisz, ma się pokazać na balu. Co jest w niej takiego ważnego?

– Muszę się dowiedzieć, czy cokolwiek pamięta.

Oparł się o ścianę i skrzyżował ramiona.

– Po co? Jeśli nie jesteś w stanie wrócić, jakie to ma znaczenie?

– Ma znaczenie. I wrócę. Zapamiętaj moje słowa.

Uśmiechając się, pokręcił głową.

– Uparciuch z ciebie, co?

– A ty wybierasz się na Bal Żęcia Dusz, prawda?

– Tak – odparł znudzonym tonem. – Ale jak już uzgodniliśmy, ty nie.

– Jasne. Zapewne masz już towarzyszkę.

– Tak się składa, że nie mam. I nie zamierzam mieć.

– Ale ulotka... mówiła, że należy przyjść z osobą towarzyszącą.

Jęknął i potarł twarz dłonią.

– A ty znowu o tej głupiej ulotce. Tak. Osoba towarzysząca jest wymagana. Nie musisz się jednak kłopotać. Nikogo ze sobą nie zabieram.

– Jak w takim razie tam wejdiesz, jeśli taki jest wymóg?

– Jakoś wejdę.

– Ona tam będzie.

Westchnął i skierował się do wyjścia, przed drzwiami jednak się zatrzymał.

– To wszystko na nic, panno Ravenshaw. Prawdopodobieństwo, że ta kobieta pamięta cokolwiek z dawnego życia, jest nieznaczące. I co właściwie zamierzałaś zrobić z tą informacją? Jest w zasadzie bezużyteczna.

– Ja pamiętam wszystko. Nie zapomniałam ani jednego szczegółu swojego życia. Zatem być może się mylisz.

– To niezwykle, że wciąż pamiętasz, ale zaufaj mi, gdy mówię, że ostatecznie wszyscy z czasem zapominają.

– Udajmy po prostu, że w innym wszechświecie wierzę w twoją teoryjkę o dezintegracji i naprawę nie mogę wrócić. Niemniej przynajmniej ja tutaj ją pamiętam. Czy to nie jest problem, z którym zmagasz się tak wielu w Nocnym Cieniu? Ze strachem, iż zapomną? Że nigdy tak naprawdę nie istnieli? – Gdy napotkałam jego nieustępliwy wzrok, jęknęłam w duchu. – Pięknie proszę?

– Upiększenie prośby nie sprawi, że pomysł stanie się atrakcyjniejszy.

– To godniejsza forma błagania.

– Udaję się tam w interesach. Nie dla przyjemności.

– Tym lepiej. Nie będzie żadnych oczekiwań albo niezręcznych nacisków na wspólny taniec.

Warga podwinęła mu się tak, jakby sama myśl o tańcu wzbudzała w nim odrazę.

– Moja odpowiedź nie uległa zmianie.

Gdy się odwrócił, żeby wyjść, skoczyłam naprzód.

– A gdybym zaoferowała coś w zamian? – Pytanie to wyrwało mi się z ust, zanim zdążyłam się powstrzymać.

Był już w połowie drogi. Zatrzymał się i obrócił.

– A co uważasz za tak cenne, by oferować na wymianę?

Chciałam przekląć swoje serce za to, że bębniło mi w piersi tak, jakby chciało uciec przed upokorzeniem.

– Siebie.

Uniósł brew i przekrzywił głowę.

– Czy ty właśnie złożyłaś mi niedwuznaczną propozycję, panno Ravenshaw?

– Chyba że... cóż, to znaczy... tak. Chyba tak. – Każdy dech zdawał się ze mnie wyfruwać, niepewny i drżący, niszczył resztki mojej pewności siebie. – Zeszłej nocy w bibliotece niemal mnie pocałowałeś. Co cię powstrzymało?

– Zmiana zdania.

Przełknęłam gulę w gardle, nagle pragnąc móc cofnąć ostatnich trzydzieści sekund. Na to było już jednak za późno. Otworzyłam butelkę z upokorzeniem i nie miałam wyboru, musiałam wydudlić ją do dna.

– Nie jestem w twoim typie?

Wstrzymując oddech, czekałam na jego odpowiedź. Chciałam mieć odrzucenie za sobą, żeby móc znów odetchnąć.

Jego wargi wykrzywiły się w nieznacznym uśmiechu, po czym podszedł do mnie powoli, trzymając dłonie za plecami.

– Niestety dla ciebie jesteś idealnie w moim typie.

– Dlaczego niedobrze?

– Ponieważ będę cię pierdolić na najgorsze możliwe sposoby.

– Jestem dużą dziewczynką, panie Van Croix. W pełni potrafię o siebie zadbać. Nauczyłam się, jak znosić takie małowówne bajroniczne typy jak ty.

– W to nie wątpię, panno Ravenshaw.

– Zatem w co wątpisz?

Znów przyglądał mi się tym swoim przeklętym wzrokiem, poruszając zuchwą, jakby przeżuwał myśli kłębiące mi się w głowie.

– Że ja wyszedłbym z tego cało, w przeciwieństwie do ciebie.

Coś dziwnego drgnęło mi w piersi, gdy patrzyłam, jak wychodzi. Obcy ból, którego nie rozpoznawałam, aż on zamknął za sobą drzwi.

Ten mężczyzna mnie pociągał.

Boleśnie.



Nic nie zostawiało w ustach bardziej gorzkiego smaku niż konieczność pokajania się.

Bawiąc się nerwowo palcami, stałam w drzwiach kuchni i obserwowałam, jak Anya składa stertę bielizny leżącej na stole. Popatrzyła na mnie ze ściągniętymi wargami, nie zwalniając tempa.

– Ja... chyba jestem ci winna przeprosiny. Chyba... wygląda na to, że miałam koszmar.

– To nic takiego, moja droga.

Tyle że lata mieszkania z ciotką Nelle nauczyły mnie, że kiedy starsza kobieta cofa łopatki i odchrząkuje, niewątpliwie nie jest to „nic takiego”.

– Wręcz przeciwnie. – Chwyciłam jedno z płócien, ciesząc się, że składanie go zajmuje mi część myśli. Być może wynikało to z faktu, że urodziłam się pod znakiem Barana, ale przeproszenie nigdy nie leżało w mojej naturze. – Po prostu... to wydawało mi się tak rzeczywiste. Zawsze miewałam okropne koszmary, ale ten był taki realistyczny.

– Taka jest natura tego miejsca. Tej katedry. Jej nawiedzone mury czasami otulają się wokół ciebie i nie puszczają.

– Ja... wciąż czuję się...

– Jak?

– Jakbym mimo wszystko skoczyła z tamtego urwiska. Wszystko było takie wyraźne, ale tamta chwila... Czułam wtedy rzeczywistość.

– Cóż, nie było mnie tam. Z tego, co wiem, poszłaś do biblioteki, żeby poczytać, a później jakoś

znalazaś się w swoim łóżku. Ale to, co sugerujesz, panienko, jest niemożliwe. Panu Van Croixowi musiałyby wyrosnąć skrzydła, żeby zdołał cię złapać po takim upadku. – Anya strzepnęła trzymane w dłoni płótno i zachichotała.

Choć ja też się uśmiechnęłam, wróciłam w myślach do chwili, gdy przyciskałam policzek do jego skóry. Do ciepła i bezpieczeństwa, jakie czułam w jego ramionach. Zupełnie jakby nie mogło mi się tam stać nic złego.

– Chyba masz rację. To pewnie głupia myśl. Anyu, czy słyszałaś o Balu Żęcia Dusz?

Zmarszczyła brwi, a z jej twarzy zniknęła wszelka wesołość.

– Słyszałam mgliste pogłoski. Z tego, co rozumiem, to bardzo tajemna sprawa.

– Przypuszczam, że będzie tam ktoś, kogo znam. Ktoś, kto może stanowić więź z moim ojcem.

– Ach. Szkoda, że nie da się tam dostać bez zaproszenia.

– Cóż, tak się składa, że pan Van Croix został zaproszony.

– A skąd uzyskałaś dostęp do tej informacji?

– Ja po prostu... podsłuchałam, jak o tym mówił. I tak sobie pomyślałam, że może mogłabym...

– Nie. I tak już wiele razy z twojego powodu wystąpiłam przeciwko życzeniom pana. Nie zamierzam bawić się w jakąś pseudopośredniczkę, żebyś mogła pójść na ten bal.

– Anyu... Czuję się tu trochę zagubiona. Przybyłam w to miejsce, żeby odnaleźć ojca, i nie odkryłam wiele. – Nie licząc zegarka kieszonkowego i relacji z krótkiej rozmowy Jericha z ojcem, dowiedziałam się tak naprawdę tylko tego, że w pewnym momencie tu przeszedł. – Niewiedza, co się z nim stało, doprowadza mnie do lekkiego szaleństwa.

– A ja chciałabym móc ci pomóc, ale robienie czegokolwiek za plecami pana Van Croixa jest nierozsądne.

– Wiem. Nie mogę prosić cię o to ponownie. – Osunęłam się na krzesło za sobą, a piekące łzy zmusiły mnie do odwrócenia wzroku. Choć nie do końca wierzyłam w teorię Jericha, że nie czeka na mnie żadne ciało pozwalające mi wrócić do dawnego życia, mimo wszystko nie mogłam pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia w żołądku. – Czuję się, jakbym... popełniła błąd, przybywając tutaj. A teraz utknęłam w tym miejscu i nie wiem, co robić. Uganiam się za uludami.

– I uważasz, że ta osoba na balu może dysponować informacją, która pomoże ci ruszyć z miejsca.

– Nie wiem. – Szanse, że Alicia pamięta szczegóły swojego morderstwa, były nieznaczące. Ale gdyby istniał jakiś sposób, żeby pobudzić jej pamięć, może przynajmniej odkryłabym, co, do diabła, mieli z tym wspólnego Pentacrux.

– O co mnie prosisz?

– Potrzebuję kostiumu.

– Kostiumu? To wszystko?

– Tak. Nie chcę używać cię jako pośredniczki pomiędzy mną a panem Van Croixem. Sama wymyślę, jak się tam dostać. I dostanę się. Gdybyś tylko mogła pomóc mi znaleźć coś, co pomoże mi wtopić się w tłum. Najwyraźniej tematyka balu to „leśne stworzenia”.

– Nie czuję się z tym dobrze, ale z jakiegoś dziwnego powodu coś mnie skłania, żeby ci pomóc. Tak samo jak wtedy, gdy natknęłam się na ciebie na drodze. Trudno ci odmawiać, panno Ravenshaw.

Chichocząc przez łzy, spuściłam wzrok.

– Po minionej nocy nie zasługuję na twoją pomoc. Jeśli będę mogła jakoś odpłacić się za tę przysługę, uczynię to.

Anya prychnęła, krzyżując przed sobą ręce.

– Zajmę się tym całym kostiumem. A ty się zastanów, jak dostaniesz się na ten bal, żeby obu nas za to nie wyrzucił. Wtedy uznam, że jesteśmy kwita.

No właśnie – jak? Van Croixowi wydawało się nic nie umykać. Wyjrzałam przez okno i ujrzałam Garica szorującego koła powozu. Ponad nim wisiała część bagażowa, przymocowana, jak mi się wydawało, skórzanymi pasami. Przesuwając wzrokiem pomiędzy mężczyzną a kufrem, zdołałam z grubsza ocenić rozmiar – zdecydowanie wystarczająco duży, żeby ktoś zmieścił się w środku.

– Chyba mam pomysł – powiedziałam do Anyi.

Lustina

Lustina klękła nad rzeką, wsypała popiół drzewny do miednicy i zaczęła szorować tkaninę, na której widniały plamy z błota i rozgniecionych jagód. Jak się spodziewała, otrzymała naganę za spóźnienie się z owocami, a w ramach kary przydzielono jej dodatkowe obowiązki – w tym wyczyszczenie ubrania. Jej jedyną pozostałą sukienka, którą kazano jej włożyć, była stara, poprzecierana i nie zapewniała zbyt dobrej ochrony przed rześkim powietrzem, zatem ciałem dziewczyny wstrząsały dreszcze.

Obróciła się na dźwięk zbliżających się kroków i ujrzała barona ubranego w skórzaną brygantynową kamizelkę oraz z ochraniaczami na nadgarstkach, czyli w uniformie, który musiał nosić, gdy toczył ćwiczebne walki z żołnierzami Pentacrux, szkoląc się na dzień, kiedy ojciec wezwie go do ochrony Praeceptii. Na widok mięśni na jego ramionach, które urosły w minionych tygodniach, na policzki Lustiny wystąpił ciepły rumieniec. Założyła za ucho kosmyk, który wymknął się jej z warkocza, i uśmiechnęła się, wracając do szorowania.

– To niegrzeczne obserwować kobiety przy pracy bez jej wiedzy, mój lordzie.

– Równie niegrzecznie jest wyglądać tak absolutnie apetycznie, gdy wykonujesz taką pracę. Domagam się, żebyś ją przerwała, aby towarzyszyć mi w krótkiej wyprawie do podnóża góry.

Z płonącymi policzkami Lustina uśmiechnęła się nieśmiało przez ramię, ale nie odstawiła prania.

– Błagam cię o wybaczenie, jednak muszę odmówić, jako że już i tak zgromadziłam zbyt wiele kar.

– Kar za co, jeśli mogę spytać? – Władczy ton jego głosu, z jak zawsze wplecioną odrobiną gniewu, ujawnił opiekuńczą naturę młodzieńca, którą najwyraźniej pragnął ukrywać.

– Za zapuszczanie się samotnie do lasu. I wałęsanie po tymże lesie do zapadnięcia zmroku.

– A co takiego zatrzymało cię tam tak długo?

– Sen. W pewnym momencie musiałam... upaść. Uderzyłam się głową o sękaty korzeń. – Lustina uniosła wilgotną dłoń, żeby rozmasować czubek głowy. – Wygląda na to, że ból w większości ustąpił, ale moje upokorzenie nie gaśnie.

– Czyli żadnych kar fizycznych?

– Nie. W tej kwestii okazali się zaskakująco litościwi.

Wbrew jej słowom wciąż się jej przyglądał, przesuwał po niej wzrokiem, jakby musiał sam się przekonać.

– Mogę cię zapewnić, że nie poniesiesz żadnych konsekwencji za towarzyszenie mi.

Tak śmiałe oświadczenie wywołało uśmiech na jej twarzy.

– I tak się stanie dzięki twojej ukradkowości i przebiegłej naturze.

– Tak się stanie dzięki biskupowi.

Lustina obróciła się na pięcie. Zmarszczyła czoło, nie zauważając śladu wesołości na twarzy barona.

– Biskupowi?

– Spotkałem się z nim wcześniej.

– W sprawie Drystana?

– Nie. Wygląda na to, że dobry pasterz prosi mnie o przysługę. Bardzo... wymagającą przysługę. – Sposób, w jaki podkreślił to słowo, powiedział Lustinie, że niechętnie ją wyświadcza. – Ty byłaś postawionym przeze mnie warunkiem.

Obróciwszy się z powrotem w stronę mokrej sukienki, dziewczyna pokręciła głową.

– Powiedziałeś mu o nas?

– Nie musiałem. Wygląda na to, że już wie o nas całkiem sporo.

– Drystan.

– Tak podejrzewam.

– Ale coś mi w tym nie pasuje.

– To rozsądne z twojej strony.

– Zatem nie ufasz biskupowi.

– Nie. Poprosił mnie, żebym dołączył do ich wojny, by mogli rozszerzyć swoje granice. Ja sam wolałbym umrzeć, niż uczestniczyć w czymś podobnym, ale zaproponował, że uwolni cię dla mnie.

Sądząc, że być może nie usłyszała go dobrze, Lustina zerknęła na niego w osłupieniu.

– Uwolni mnie. W zamian za co?

– W jego oczach to jest rozrywka. Uzyska w ten sposób samozadowolenie. I przeprowadzi wymianę własności.

– Własności. – Rozgorzał w niej gniew, temperament odziedziczony po matce wzniósł się na powierzchnię. – A zatem tym jestem? Niczym więcej niż byłem, które można swobodnie kupować i sprzedawać?

– Dla biskupa? Tak. A dla mnie? Zamierzam poprosić cię, żebyś została moją żoną.

Te słowa wydały jej się tak niemądre, że wydała z siebie nieuprzejme prychnięcie.

– Szlachcic nie może poślubić plebejuszki, mój lordzie.

– Uważam, iż wyraziłem już swoją opinię na temat zasad rządzących zalotami.

Desperacko próbowała odepchnąć od siebie myśli, że mogłaby zostać jego żoną, ponieważ nie było to możliwe. Nieważne, co mówił. Nieważne, jak bardzo pragnęła kłaść się u jego boku każdej nocy i śnić o niemożliwym.

– Co pomyśli sobie twój ojciec? I poddani? Co z twoim tytułem?

– Nigdy nie chciałem tytułu. Nigdy o niego nie prosiłem. I bardziej przejmuję się pchłami na grzbiecie twojego kota niż tym, co myśli sobie mój ojciec.

Wciąż odwrócona od niego, gwałtownie zakryła sobie usta grzbietem dłoni, żeby nie roześmiać się z tej uwagi. Zdusiła rozbawienie i niedbale wróciła do wyzymania sukienki. Zimne powietrze paliło ją przy tym w knykcie.

– Jak według ciebie mielibyśmy się pobrać? Potrzebny jest pentrosh, który udzieli ślubu. Nikt nie da nam swojego błogosławieństwa.

– Tak się składa, że biskup zaoferował swoje usługi. W zamian za mój hołd lenny.

Dziewczyna zastygła w bezruchu, a sukienka niemal wysunęła jej się z dłoni. Zaparło jej dech w piersi i przez chwilę wpatrywała się pustym wzrokiem w dal.

– Oficjalne małżeństwo, uznane przez kościół? – Pokręciła głową. – Nie jestem ochrzczona. Nie zaakceptują mnie jako...

– Zgodził się również na chrzest przed ceremonią. I na wybaczenie ci twoich przewin.

Propozycja wydawała się kusząca. Nawet jeśli nie do końca w nią wierzyła ani jej nie ufała, pragnęła doczekać dnia, gdy wszyscy, których mija, nie będą patrzeć na nią jak na robactwo. Pragnęła oczyścić imię matki. I nie potrafiła nie zauważać drobniutkiej iskry nadziei, jaka rozkwitała jej w piersi na tę możliwość.

– Mogłabym zacząć od nowa.

– Z czystą kartą. Jako dama z tytułem, gdybyś zgodziła się za mnie wyjść.

Uśmiechnęła się, a zębra zapulsowały jej coraz silniejszym bólem tej wcześniejszej nadziei.

– Byłabym głupia, gdybym ci odmówiła.

– Muszę się zgodzić. Głównie dlatego, że w zamroczeniu umysłu poraziłbym wtedy każdego potencjalnego zalotnika, który próbowałby ograbić mnie z twojego uczucia. I uczyniłbym to w sposób wielce gwałtowny.

Lustina przygryzła wargę i uśmiechnęła się szerzej.

– Tak, jest ich mrowie. Zatem sądzę, że powinnam wybrać rozsądnie. To ważne, żeby twój umysł pozostał w pełni władz. I żeby żaden potencjalny zalotnik nie doznał uszczerbku.

– Zgoda.

– Chcę jednak o coś spytać. Z jakiego powodu miałbyś szukać jego błogosławieństwa? Nigdy nie odnosiłam wrażenia, że tak wiele to dla ciebie znaczy.

– Twoja obserwacja jest słuszna. Jego błogosławieństwo nic dla mnie nie znaczy. Tyle że wiem, co ono znaczy dla ciebie i jak bardzo pragniesz naprawić rzekome grzechy twojej matki. – Gdy do niej podszedł, spuściła wzrok, by ukryć lekki uśmiech igrający jej na wargach. – A teraz, gdybym mógł cię prosić o odłożenie prania, nalegam, żebyś towarzyszyła mi tego popołudnia.

– Cóż, jak rozumiem, zgodnie z waszymi zwyczajami byłoby nieuprzejmie z mojej strony, gdybym odmówiła mojemu przyszłemu mężowi takiego towarzystwa.

– Owszem, byłoby nieuprzejmie. – Odsunął miednicę na bok, wychlapując trochę brudnej popielnej wody, po czym sięgnął po dłonie Lustiny i ujął jej lodowate palce, by ogrzać je swoim oddechem. Ciepło rozkwitło jej również w innych miejscach, on zaś szybko pocałował jej knykcie i zaczął ją prowadzić.

Na skraju lasu stał piękny czarny koń, którego sierść lśniła dumą i troską. Gdy Lustina wsunęła stopę w strzemię, baron pomógł jej wdrapać się na ciepłego ogiera i sam wspiał się za nią, by otoczyć ją jedną ręką w talii. Czując napór jego warg na karku, zamknęła oczy i spróbowała odgonić gęsią skórę, która wykwitła jej na całym ciele. Ogarnęło ją jego ciepło i wtuliła się w niego, gdy koń galopował bitą drogą, oddalając się od klasztoru. Od niewidocznych kajdan, które tak jej ciążyły. Od wszystkiego tego, o czym pragnęła zapomnieć, choćby tylko na to jedno popołudnie.

Jechali po otwartych polach i rozległych łąkach swobodni niczym ptaki, po nieurtartych ścieżkach i obcych zalesionych połaciach, aż dotarli do podnóża góry Helios. Opowiadano, że to wzniesienie, z klasztoru widoczne tylko w oddali, było tak zdradzieckie, że nawet sami bogowie nie odważyliby się na nie wspinać. Mimo to dzięki czarnym skałom i ciężkiej mgłę zalegającej na wierzchołku była to najpiękniejsza ze wszystkich gór Praeceptii.

Gdy zdjął ją z konia, rozejrzała się po wspaniałej okolicy. Kępy drzew rosły wzdłuż kaskadowych głązów, po których woda spływała do kryształowoniebieskiej sadzawki. W powietrzu wisiała gęsta mgła, a znad spokojnej, niezmaconej powierzchni wody wznosiły się opary. Było eterycznie i urzekająco.

– Co to za miejsce?

– Gorące źródła. Rzadki i nieodkryty klejnot. – Wziął ją za rękę i poprowadził bliżej, by zatrzymać się na skraju wody.

– Przeprowadzałeś tu już kiedyś kogoś?

– Nie tutaj. Nigdy tutaj. Woda jest równie wybredna co oczyszczająca.

– Wybredna? – Dziewczyna przesunęła wzrokiem po klarownej, niebieskiej powierzchni, która wydawała się wyłącznie zachęcająca. – Jak to?

– Rzadko jest spokojna. Ale wygląda na to, że dziś zrobiła wyjątek. – Oderwał wzrok od wody, obrócił się do Lustiny i nachylił się, by przycisnąć wargi do jej warg, jednocześnie rozwiązując tasiemki jej sukienki.

– Jesteś zmarznięta.

– Tak – odparła nieśmiało. – Mój strój niewiele daje w obliczu chłodu.

– Dopilnuję, żeby uszyto ci nowe sukienki. Wyjątkowo ciepłe. – Przesunął palcem po jej policzku i odsunął wąskie pasmo włosów za ucho. – Już nigdy niczego nie będzie ci brakowało. Twoje potrzeby jako mojej żony będą spełniane bez pytania.

Lustina odwróciła się, bezskutecznie próbując wymrużyć łzy wzbierające w jej oczach.

– Wybacz mi moje emocje. Nie znajduję w tej chwili odpowiednich słów.

Wsunął jej palec pod brodę i uniósł ją, tak by znowu spoglądała mu w oczy.

– Nie potrzebujesz słów, Lustino. Tym, czemu najbardziej nie mogę się w tobie oprzeć, jest sposób, w jaki oczy rozjarzają ci się wdzięcznością przy najmniejszym miłym geście. Oraz to, jak skóra mrowi ci przy najlżejszym dotyku.

Rozplątał do końca tasiemki i luźna tkanina sukienki opadła na ziemię, ukazując, że dziewczyna pod spodem nie ma nawet halki. Wyraźnie cieszył go widok jej nagiego ciała, bo przesunął wzrok na jej piersi i oblizał wargi, zanim przycisnął je do nasady jej szyi. Jej zmarznięta skóra zaskwierczała w jego gorącym chwycie, gdy ścisnął obie jej ręce, przyciągając ją do siebie.

Dreszcze rozbiegły się po aż nazbyt wrażliwej skórze, gdy jego wargi pochłaniały ją w pełnych czi pocałunkach, którymi wędrował po jej obojczyku. Dopiero gdy się odsunął i zaczął zdejmować kamizelkę, przypomniała sobie o mroźnym powietrzu.

Kiedy zsunął spodnie i buty, Lustina zachwyciła się widokiem jego wyrzeźbionego ciała. Tym, jak każdy jego centymetr charakteryzował się niemal nieosiągalną perfekcją. Był szczupły i muskularny od

barków aż po krzepkie stopy. Zupełnie jakby sami bogowie naszkicowali go na swoje podobieństwo.

Poprowadził ją do wody, a w chwili, gdy wsunęła stopę w parującą, ciepłą ciecz, jej ciało rozpląnęło się w czystej ekstazie. Wspaniałe ciepło ogarniało ją przy każdym kroku w głąb tajemniczej sadzawki. Wkrótce zanurzyła się już po szyję, a przez opary jej twarz pokryła się warstwą wilgoci.

Jericho uniósł ją i owinał się jej nogami, przyciskając jej najbardziej wrażliwe miejsca do swojego brzucha. Spuścił wzrok i popatrzył pomiędzy nich, tam gdzie przejrzysta woda pokazywała jego naprężony brzuch, poruszający się pod nią tak, że jego skóra ocierała się o jej skórę, oddzielona od niej wyłącznie cienką błonką wody. Chwycił dłońmi jej pośladki i ścisnął, pociągnął ją na siebie, jego wargi znalazły jej nabrzmiałą, bolesną brodawkę. Wygięła się w tył, gdy zaczął pieścić sutek językiem, i wydała z siebie jęknięcie, które odbiło się echem wokół nich. Gorąco w połączeniu z jego absolutną kontrolą nad jej ciałem kazało jej się zastanawiać, czy trafiła do Nieba, czy do Piekła. Z każdym długim i bezlitosnym dotykiem jego warg niewidzialna nić wysnuwała się gdzieś w głąbi jej brzucha i ud, każąc jej mocniej zaciskać nogi.

Poszukując ulgi, kręciła biodrami, a jeśli oceniać po odgłosach, jakie wrywały się z jego gardła, i po jego palcach wbijających się w jej pośladki, najwyraźniej podobało mu się to. Woda falowała wokół nich, wprawiana w ruch ich ciałami, wilgotnymi i rozgrzаныmi od pary. Lustina tak bardzo zapomniała się w doznaniach, że nie zauważała płomieni tańczących po powierzchni, aż jej uwagę przykuło migotanie na skraju wzroku. Szybko odsunęła się i krzyknęła gwałtownie, ale Jericho przyciągnął ją mocniej. Płomienie tak ich otaczały, że wokół nich zostało miejsce o promieniu nie dłuższym niż zasięg ręki.

– To wynik stężenia siarki w wodzie. Tworzy krąg ognia – wyjaśnił Jericho, po czym zlizął jej wilgoć z szyi. – Niesamowite, prawda?

– Tak, ale... – Nie chciała mówić, jak bardzo boi się płomieni, zwłaszcza od czasu śmierci matki.

– Obawiasz się?

– A ty nie? – Otuliła go mocniej ramionami, drżąc w jego objęciach. – Ogień jest bestią. Niekontrolowanym żywiołem zniszczenia, mój lordzie.

– Owszem. Ale może też ogrzewać i oczyszczać. – Sięgnął pod płomień i pozwolił, by ognista woda wlała mu się na dłoń. Gdy opuścił ją do pozbawionego płomieni kręgu, w którym stali, z sykiem zamieniła się w parę.

Lustina zerknęła najpierw na niego, a później na ogień.

– Spróbuj sama – zachęcił. – Utrzymaj go w dłoni, jakbyś nim władała.

Niepewność zafalowała w jej oczach. Z wahaniem wyciągnęła rękę i nabrała garść płonącej wody, która zamigotała w jej dłoni, a po przyciągnięciu do ich okręgu również zniknęła. Z jaką łatwością Jericho przekonał ją, żeby zmierzyła się ze swoim największym strachem, by chwyciła go w palce i odegnała własną wolą.

– Nigdy nie przestajesz mnie fascynować.

– A ty mnie – odparł, po czym naparł na jej bark, skłaniając ją, żeby położyła się na wodzie w kręgu, który, jeśli sobie tego nie wyobrażała, wydawał się od niej odsuwać, by się w nim zmieściła. Wciąż otaczając go nogami, dryfowała na powierzchni, wpatrując się w niebo przez korony drzew. – Zamknij oczy i wycisz świat.

Dobrze wiedząc, co ma na myśli, uśmiechnęła się i odchyliła głowę w tył tak mocno, że jej uszy znalazły się pod powierzchnią. Piersi wystawały jej z wody i poczuła na nich delikatne łaskotanie, tak wyjątkowo intensywne, że rozchyliła usta i wygięła się ku dotykowi.

Gdy otworzyła oczy, ujrzała, że baron trzyma długie, wspaniałe, czarne pióro, wyglądające jakby pochodziło od kruka, lecz większe. Przesuwał nim po części jej ciała niezanurzonej w wodzie, a ona ledwo była w stanie wypuszczać wstrzymywane powietrze z obawy, że zapadnie się pod powierzchnię. Nie miała pojęcia, gdzie je znalazł, bo przecież nie oddalił się od niej, odkąd weszli do sadzawki.

– Nie ruszaj się – polecił. – Ale gdybyś uznała, że to już za dużo, wołaj o litość.

– O litość? Jak ty podczas kary? – Uniosła głowę znad wody, marszcząc z z troskaniem brwi. – To będzie bolało?

Jego wargi wygięły się w ironicznym uśmiešku. Gestem skłonił ją, by znów się położyła.

– Moje cierpienie ma inną naturę.

Przesuwał piórem od jej sutków do brzucha, a następnie jedną ręką uniósł jej pośladki, by muskać nim najdelikatniejsze części jej ciała.

Sprzeciwiając się jego poleceniu, szarpnęła się i wydała z siebie jęknięcie, gdy miękkie pióro połaskotało jej maleńki pączek odsłonięty przez rozchylone nogi wciąż opasujące barona. Żeby utrzymać się na powierzchni, mogła teraz tylko wiosłować rękoma i dyszeć urywanie.

Bezlitosny w swoich staraniach, skupił ruchy samego koniuszka pióra na tym drobnym guziczku rozkoszy, a Lustina miała ochotę zacisnąć uda, by jej tam nie łaskotał.

– Mój lordzie, błagam.

– Jestem przekonany, że prosiłem cię, byś nazywała mnie Jericho.

Łaskotanie przybrało na sile, a ona starała się utrzymać na powierzchni, aż wreszcie poczuła, jak silne ręce wynoszą ją na twardy grunt, gdzie woda obmywa jej barki. Obróciła się i zorientowała, że leży na płaskim głazie, oblewanym ciepłymi falami. Wciąż otaczały ich płomienie, ale w jakiś sposób przemieściły się wraz z nimi, tworząc wokół głazu migoczący łuk.

Jericho oparł jej pięty na skraju kamiennej płyty, rozchylił szeroko jej nogi i zanim zdążyła go powstrzymać, wrócił do zabawy z piórkiem. Rozchylił wargi jej ciała i łaskotanie wzmogło się do tego stopnia, że Lustina zacisnęła palce na śliskiej skale.

Gdy złączyła kolana, rozłożył je i wsunął w nią palec, jakby ją karał.

Ale było to dalekie od kary.

Ciepła woda ułatwiała wsuwanie oraz wysuwanie i Lustina zagubiła się w dwóch doznaniach, które zderzyły się w jednym wyjątkowym szczycie. Jej mięśnie stężały. Plecy wygięły się w łuk. Pióro wydawało się wibrować, wysyłało drobnutkie impulsy w jej ciało we wrażeniu tak cudownie niezwykłym i delikatnym, że drżała z niecierpliwości. Nigdy w życiu nie czuła nic tak dobrego. Gdy otworzyła oczy, pióro jaśniało maleńkimi iskrami ostrego światła, ona jednak zagubiła się już w odurzającym doznaniu.

Uda jej dygotały.

Mięśnie się napięły.

Jericho pompował palcami, aż zalała ją fala gorąca, mknąc przez jej żyły, a eksplozja światła ogarnęła ją niczym burza. Wydała z siebie okrzyk, jej ciało się wyprężyło i wpadło w konwulsje, zaś woda popłynęła, żeby schłodzić gorejący w niej żar.

Wypchnęła biodra w górę, rozłożyła szerzej nogi i poczuła ciepły, wilgotny język sunący po jej odkrytej szparce. Gdy uniosła głowę, zobaczyła, że baron karmi się nią, oblizując palce i wargi, jakby nie mógł się nasycić jej smakiem. Widząc go wciąż tak wygłodniałego i dzikiego, czuła jednocześnie podekscytowanie i przerażenie.

Z oczyma ściemniałymi w niegodziwym wyrazie obserwował ją spomiędzy jej ud, a język przesunął mu się pomiędzy zębami. Drobne błyski tańczyły mu na nim i w źrenicach, a gdy znowu opuścił głowę, Lustina otworzyła szerzej powieki ze strachu. Kiedy ją polizał, jej ciałem wstrząsnęły drgawki, a oczy wywróciły się do wnętrza czaszki.

– Litości! – krzyknęła. – Och, Boże, litości!



Obudziło ją delikatne muśnięcie po skroni. Zorientowała się, że baron wpatruje się w nią, a w jego zimowobłąkitnych oczach maluje się zatroskanie.

Leżała nago na brzegu gorącej sadzawki, jednak pomimo chłodu w powietrzu nie było jej zimno.

– Spałam?

– Zemdlałaś. Nie powinienem był wystawiać cię na tak wiele jednocześnie. To może być niebezpieczne.

– Tak wiele czego?

Zamiast odpowiedzieć na jej pytanie, wycisnął pocałunek na jej wargach.

– Powinienem cię odwieźć.

– Nie. – Niecierpliwym gestem pociągnęła go za rękę. – Dlaczego miałbyś mnie odwozić? Nic już tam na nas nie czeka, skoro nasze matki odeszły. Ucieknijmy razem.

– Nie mogę jeszcze odejść.

– Dlaczego? Co cię tu więzi?

– Zemsta. Zamierzam zabić biskupa Venable. Żeby pomścić morderstwo mojej matki.

– Morderstwo?

– Za pomocą trucizny, którą polecił jej jako święty eliksir.

Padł na nią ciężar jego słów i poczuła ukłucie winy, że towarzyszyła biskupowi podczas jego wizyt.

W jej umyśle wymalował się obraz grozy.

– Dlaczego nikt tego nie powstrzymał?

– Chciałem to powstrzymać. Chciałem patrzeć, jak każdy z nich ginie powolną śmiercią za jej cierpienie, również ojciec, ale ona nie pozwoliła mi szukać zemsty. Choć leżała już na łożu śmierci, martwiła się o moje serce.

– Kochała cię.

– A teraz odeszła. Zatem zemszczę się.

– Ale to, co mówiłeś o jego błogosławieństwie...

– Nie potrzebujemy jego nędznych błogosławieństw, ale na razie zamierzam tańczyć tak, jak on zagra.

Ty również masz tak robić. Uderzę, gdy będzie się tego najmniej spodziewał.

Tyle że biskup miał na swój rozkaz armię wierniejszą niż ta królewska. Lustina ujęła dłońmi twarz barona i wpatrywała się w niego z naciskiem.

– Nie możesz go zabić. Jest zdecydowanie zbyt potężny. Ludzie słuchają każdego jego słowa, tak jakby był Świętym Ojcem we własnej osobie. Proszę, mój lordzie. Błagam cię. Zapomnij o nim. Opuśćmy to miejsce.

Odsunął jedną z jej dłoni od swojej twarzy i pocałował jej wnętrze.

– Zrobiłbym tak, gdyby chodziło tylko o ciebie. Ale ucieczka okazałaby się niemożliwa, bo gdyby wiedzieli, co naprawdę kryje się pod tą fasadą ciała i kości, ich rodzaj polowałby na mnie do końca świata.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Jak zawsze uparty, pokręcił głową, ale Lustina trąciła go delikatnie i pokierowała jego oczy tak, by znowu patrzyły na nią.

– Proszę. Chcę wiedzieć, dlaczego się ciebie boją. Pokaż mi to, czego nie chcesz pokazywać innym.

A ja obiecuję, że nie będę się bała.

Widziała w jego oczach, że targa nim konflikt.

– Chcę tego. Dałbym wszystko, żebyś ujrzała mnie takim, jaki jestem.

– Zatem pokaż mi się.

Myśli wydawały się ścierać w jego głowie, mięśnie jego barku napięły się tam, gdzie położyła dłoń.

– Wiedz tylko, że nigdy cię nie skrzywdzę. Dopóki oddycham.

– Oczywiście, że to wiem.

Przesunął kciukiem po jej wargach, przez chwilę zamyślony, po czym przysiadł na piętach i zamknął oczy. Z początku widziała jedynie bezruch. Nagle ciszę przerwał ostry odgłos i Lustina obserwowała z niedowierzaniem, jak za plecami barona rozpościerają się czarne skrzydła. Czarne krucze skrzydła z przebłyskami granatu i fioleto, pasującymi do włosów na jego głowie. Były ogromne, sięgały wysoko ponad niego i w obu kierunkach rozciągały się na długość jego ciała.

Ciasna pięść szoku ścisnęła jej płuca. Dziewczyna gwałtownie zakryła dłonią usta, by stłumić krzyk pragnący się z niej wydostać.

Wpatrywał się w nią spod ściągniętych brwi, badał jej reakcję. Niewątpliwie czekał w desperacji na najmniejsze słowo akceptacji, ale jako że miała zasłonięte usta, nie mogła się odezwać.

Okłamała barona, gdy powiedziała, że nie będzie się bać. Bała się. Ale nie jego, tylko o niego.

Łzy stanęły jej w oczach, gdy przyglądała się czemuś tak nierealnemu, co jednak wydawało się równie rzeczywiste jak góry i drzewa widoczne dookoła. Być może była to w każdym calu iluzja, nic więcej niż sen, z którego nigdy nie chciała się obudzić.

– Kim jesteś? – wydyszała.

– Nie mam pewności. Moja matka na łożu śmierci nazwała mnie Strażnikiem. Mówiła, że jestem w połowie zły, w połowie dobry. Pół demon, pół anioł.

– Twój ojciec...

– Jest swoistym rodzajem demona. Nazwała go Dalgothem. Najwyraźniej są one bardzo niebezpieczne i rzadkie. Wykradł moją matkę. Zamknął anioła w klatce i gwałcił ją, dopóki się nie urodziłem. – Wargi drgnęły mu od powstrzymywanej wściekłości. – Chciał mnie zniszczyć, ale ona odmówiła. Zagroziła, że

odbierze sobie życie. – Cierpienie widoczne w jego oczach trąciło w Lustinie nieznośną strunę bólu. – On ma słabość, którą jest światło. Jej czystość. Według niej żadna ludzka dusza nie może zapewnić takiej żywotności jak anioł. Żerował na niej latami, osłabiając ją. Aż wreszcie zabił ją przy współudziale biskupa.

– Zawsze podejrzewałam, że obaj są źli. Teraz jestem tego pewna. – Nie potrafiła oderwać wzroku od jego skrzydeł, w pełni urzeczona ich wspaniałością. – Urodziłeś się z nimi?

– Nawet jeśli tak, nie byłem tego świadom. Dowiedziałem się dopiero, gdy stałem się znacznie starszy. Było to pięć lat temu. Wspiąłem się na tę tutaj górę i na jej szczycie straciłem równowagę. – Podniósł na chwilę wzrok, po czym znowu napotkał jej spojrzenie. – Byłem przekonany, że zginę. Spadałem i nic na drodze nie mogło mnie uratować. Ogarnął mnie ogromny strach, ale zanim się roztrzaskałem, dotkliwy ból rozerwał mi grzbiet, gdy skrzydła wyłoniły się po raz pierwszy. Mojego upadku na pewno nie dałoby się nazwać pełnym wdzięku, ale wyszedłem z niego jedynie z zadrapaniami. Właśnie tamtego dnia przysięgłem, że nigdy nikomu nie powiem o nich ani słowa.

– Czy istnieją inni... tacy jak ty?

– Tak. Matka mówiła, że pewnego dnia przyjdą po mnie. Że jeśli tylko pozostanę cnotliwy i prawy, zabiorą mnie ze sobą, bym toczył świętą wojnę.

– To dlatego nie chciała, żebyś mścił się na biskupie i ojcu.

– Tak. Ale to nie ma znaczenia, Lustino. Nie chcę niczyjej świętej wojny. Nie chcę, żeby mnie zabrali i przemienili w wojownika walczącego w ich sprawie. – Gdy mówił, iskry tańczyły po powierzchni jego skrzydeł, jakby poruszyła go ta perspektywa.

– Czy mogę... ich dotknąć?

– Oczywiście.

Stała przed nim na niepewnych nogach; choć wciąż klęczał, przewyższał ją wysokością skrzydeł. Drżącą opuszką palca przesunęła po ich powierzchni i wzdrygnęła się, gdy okazały się namacalne, bo była pewna, że są tylko snem. Przełknęła gulę w gardle i wyciągnęła dłoń, żeby znów je musnąć, a on złapał ją za rękę, na co wzdrygnęła się, wystraszona.

– Nie dotykaj mnie z litości.

– Zapewniam cię, mój lordzie, że to, co czuję, nie jest litością wobec ciebie, lecz wobec tych, którzy byliby gotowi zniszczyć coś tak pięknego.

Przez jego twarz przemknęło coś, co uznała za dezorientację. Puścił ją. Podobnie jak wcześniej, wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po powierzchni piór, tym razem po same końce, którym pozwoliła połaskotać się w opuszki. Z uśmiechem przypomniała sobie, co czuła, gdy pieścił ją wcześniej.

Wtedy wyrwał sobie własne pióro.

Okrażała go, sunąc dłonią po powierzchni skrzydeł, i uśmiechała się, gdy drżały, jakby je łaskotała. Gdy stanęła znów przed baronem, wstał, a ona musnęła dłońmi wyraziste linie jego piersi, na której następnie złożyła łagodny, pełen czci pocałunek.

– Dziękuję ci – powiedziała. – Czuję się tak, jakbym teraz naprawdę cię ujrzała.

– Nie boisz się?

– Nie. Ale masz rację. Biskup z pewnością będzie na ciebie polował za te skrzydła. Trzeba go zniszczyć. – Lustina podniosła rękę i ujęła jego przystojną twarz. – Pozwól mi zrobić to za ciebie. Znam miksturę, która go otruje, tak jak on otruł twoją matkę.

– Zaszczycasz mnie tą propozycją, ale odpowiedź brzmi: nie. To moja zemsta. Gdyby zdał sobie sprawę z twoich zamiarów, z pewnością pierwszy wystąpiłby przeciwko tobie. Zaś wtedy każdy mężczyzna i kobieta, czy chłopci, czy szlachta, spaliliby cię za taki występki.

– W takim razie obiecaj mi, że gdy już dokonasz swojej zemsty, zabierzesz mnie stąd. Od wszystkich tych kar i śmierci.

– Masz moje słowo. – Wydał wargi do pocałunku i przyciągnął ją do siebie, a wtedy tysiąc myśli zalało jej umysł. Jakże pragnęła wymknąć się z nim, całować go każdego dnia i każdej nocy bez obawiania się, kto mógłby ich za to potępić. Chciała móc swobodnie leżeć u jego boku pod gwiazdami i słyszeć miarowe bicie jego serca. Kochać się z nim i zestarzeć się z nim, zawsze mieć poczucie bezpieczeństwa, jakie towarzyszyło jej w tej chwili.

Żałowała, że skrzydła na jego grzbiecie nie mogą ich stąd zabrać, równie beztrudno jak ptasie.

Oparła mu głowę na piersi, sunąc po jego skórze czubkiem palca.

– Wcześniej mówiłeś, że zbyt wiele byłoby niebezpieczne. Co to znaczyło? Zbyt wiele czego?
– Każde pióro niesie w sobie bardzo silne doznania, podobne do pioruna. Czasami jestem w stanie to kontrolować, a czasami nie.
– Mówi się, że piorun jest uderzeniem z nieba. Wyrazem gniewu pradawnych bogów.
Delikatnie pogładził jej włosy.
– Wyobraź sobie tysiąc piorunów uwięzionych w jednym piórze.
– Brzmi dość groźnie.
– Owszem. Zatem rozumiesz, dlaczego obawiam się samego siebie bardziej, niż obawia się mnie Pentacrux.

Uniosła się na palcach, żeby go pocałować.

– Tak. Ale skłaniasz się ku dobroci.
– To tylko dzięki tobie, Lustino. Ten świat nie obchodzi mnie na tyle, żebym przejmował się innymi żyjącymi na nim istotami. Wolałbym, żeby zniknęły i żebym mógł zatrzymać cię dla siebie.

Jakże niewłaściwe z jej strony było, że uznała jego słowa za tak przyjemne, zważywszy, że została wychowana tak, by kochać wszystkie stworzenia i troszczyć się o nie. By odnajdywać dobroć w innych – nawet w tych, którzy nie zasługują na współczucie. Tak przecież postępowała jej matka. Ale dziewczyna stwierdziła, że pociąga ją pozbawiona skruchy i samolubna natura barona.

W jakiś dziwny sposób to dzięki niej zdobył jej względy.

– Jeśli to zrobisz, jeśli zamordujesz biskupa, jak zamierzasz się do tego zabrać? Jak już mówiłam, jest nie tylko powszechnie uwielbiany, ale też chroniony.

– Przelotnie wspomniał o podróży do Rzymu za dwa dni od teraz. To dlatego poprosił mnie, żebym odłożył kwestię ślubu do jego powrotu. Uderzę, gdy już wyruszy w drogę, i sprawię, by wyglądało to na atak rozbójników.

Dręczyła ją niespokojna niepewność.

– Będą mu towarzyszyli członkowie Pentacrux. Nigdy nie udałby się w taką podróż bez ochrony.

– Również to przewiduję.

Być może. Ale Lustina wiedziała, że żołnierze Pentacrux są zaciekli i bezlitośni, że nie zawahają się przed zniszczeniem tego, co uważają za wynaturzenie czy bluźnierstwo przeciwko swojej dobrej wierze.

– A jakie ma być moje zadanie?

– Będziesz zachowywać się tak, jakby wszystko było w porządku, wypełniać swoje obowiązki jak zwykle. A gdy zapadnie noc, udasz się do lasu, prowadzona przez kruki.

– Kruki?

– Zawiodą cię w bezpieczne miejsce i będą cię pilnować aż do mojego powrotu. – Przesunął dłonią po jej skroni i pocałował ją w czoło. – Znajdę cię tam i wspólnie opuścimy to miejsce, zanim mieszkańcy dowiedzą się o losie biskupa.

– Obiecuj mi, że wrócisz. Że odszukasz mnie w lesie.

– Odszukam cię, Lustino. Nieważne, co się stanie.

Ogarnęły ją ciepło i mrok, gdy zamknął ją w kokonie swoich skrzydeł. Przycisnęła ucho do jego piersi, słuchając bicia jego serca.

Czuła się bezpieczna.

Czuła się kochana.

Czuła wszystko.

Farryn

Stałam na skraju urwiska i wpatrywałam się w zdradziecką przepaść. Szłam właśnie do psiarni, gdy moją uwagę przykuło coś trzepoczącego na wietrze. Ukłękłam i odczepiłam skrawek tkaniny z występu skalnego. Szary wzór był charakterystyczny. Taki sam widniał na wszystkich sukienkach noszonych przez personel Czarnej Wody. Taki sam widniał na stroju, jaki miałam na sobie w noc, gdy biegłam na klif.

Uniosłam mały strzępek targany silnym morskim wiatrem i przypomniałam sobie, jak tamtej nocy straciłam równowagę. Jak podczas staczania się przez krawędź usłyszałam odgłos rozrywania.

Czyli jednak mi się to nie śniło.

Naprawdę spadłam.

I nie miałam najmniejszych wątpliwości, że Van Croix naprawdę mnie złapał.

Farryn

Z otwartymi ustami wpatrywałam się w wysokim lustrze w strój, jaki wybrała dla mnie Anya. Dekolt lodowatobłękitnej tiulowej sukni opadał mi aż do żołądka, obscenicznie odsłaniając biust. Srebrne detale w górnej części pasowały do delikatnego srebrnego naszyjnika-obroży. Dolna część, zwężona w talii, miała rozcięcia, przez które widać mi było uda aż do majteczek w tym samym kolorze co sukienka. Gdy się obróciłam, ukazały się srebrzyste, ażurowe skrzydła ozdobione klejnotami, sięgające mi dobrych piętnaście centymetrów ponad głowę.

Surrealistyczne.

Jedna ze służących doczepiła mi do włosów długie, lekko zakręcone loki, spięte wysadzaną klejnotami klamrą. Pukle spływały mi na ramiona, ściągając uwagę na nieznaną lśniąca substancję, którą inna z dziewcząt wtarła mi w skórę.

Ledwo rozpoznawałam samą siebie.

Delikatne szturchnięcie pod brodę sprawiło, że znowu skupiłam się na stojącej obok mnie Anyi, która właśnie domykała mi usta.

– Wybacz, ale ten wyraz oszołomienia nie do końca pasuje do kogoś tak urzekającego.

– Błękitnej wróżki? – zdołałam wykrztusić, wciąż będąc w szoku.

– Sądzę, że krawcowa nazwała ten konkretny odcień niebiańskim, moja droga. Nigdy nie słyszałam o wrózkach w Niebie, ale to nieistotne. Podkreśla te kolorowe plamki w twoich oczach.

Macki paniki rozpełzły się w moim wnętrzu na myśl, że kostium ściąga na mnie uwagę.

– Nie mogę tego założyć. Wyglądam... cóż, wyglądam...

– Olśniewająco, jeśli właśnie tego słowa szukasz.

– Tak. Nie. Wyglądam zbyt krzykliwie. Chodziło o to, żebym nie rzuciła się w oczy.

– Och, teraz masz na to niewielkie szanse.

– Tak myślisz?

Anya skrzyżowała ręce na fartuchu i prychnęła.

– Prosiłaś mnie, żebym znalazła coś odpowiedniego, i uczyniłam to. A jako że jest to jesienny bal kostiumowy, tak blisko terminu nie bardzo było już z czego wybierać.

– Uwierz mi, doceniam twoje wysiłki. Naprawdę. W innym świecie, w innych okolicznościach, zdobyłabyś nagrodę za dokonanie naprawdę cudownej metamorfozy z moim udziałem. Po prostu liczyłam na coś... subtelnego?

– Przykro mi, panienko. Przedstawienie rozpoczyna się za jakieś trzydzieści minut. Ten nędzny ciuch chyba będzie musiał wystarczyć.

Chwyciłam ją za rękę.

– Zaczekaj. Proszę, nie pomyśl, że jestem niewdzięczna. Ja...

– Jesteś zdenerwowana. To zrozumiałe. Z tego, co słyszałam, te plugawe spotkania nie są dla młodych i niewinnych. – Podała mi metaliczno-srebrzystą torebkę z zawilgocionymi grawerami, wyglądającą na starą. – Tak na wszelki wypadek spakowałam ci domowy sprej odstraszaający.

– Domowy?

– Tak. Powoduje chwilową ślepotę, mdłości, wymioty i biegunkę. Paskudna rzecz.

– Cóż, mam nadzieję, że nie wciągnę go przypadkowo do płuc.

– Tak. Pamiętaj: psikasz i uciekasz. Zwłaszcza w obecności Mrocznych.

– Mrocznych? – Dopiero wtedy rozważyłam ewentualność, że Anya mimo wszystko może wiedzieć o ich istnieniu, choć drażniła się ze mną pierwszej nocy, gdy spytałam o ludzi ze skrzydłami.

Może w Nocnym Cieniu nie mieli skrzydeł.

– Podejrzane typy. Poznasz ich po tym, że otacza ich jakby kleista aura. – Skrzywiła się i potarła sobie rękę. – Sprawia nieco nienaturalne wrażenie na skórze.

– Rozumiem. Jak te dupki, które próbują cię obmacywać, gdy ich mijasz. W takim sensie podejrzani? Wzruszyła ramionami, uśmiechając się.

– Obmacywać. Zaciągnąć cię do ciemnej piwnicy i przykuć łańcuchem do ściany. Jedno i to samo. – Jej wzrok opadł na moje odsłonięte znamię i instynkt kazał mi cofnąć rękę. – Och, wygląda dość niezwykle.

Wyszarpnęłam się z jej chwytu, żeby przestała się przyglądać.

– Tak, zgadza się. Kolejny powód, dla którego ta sukienka jest kiepskim pomysłem.

– Nie obawiaj się, moja droga. Pomyślałam o wszystkim. – Z szezlonga z tyłu Anya podniosła coś, co wyglądało na tiulowy szal pasujący do stroju, i narzuciła mi go na ramiona, całkowicie zasłaniając znamię. – No i proszę. Będziesz też miała pelerynę, żeby osłonić się przed śniegiem spodziewanym tego wieczoru. Gdy ostatnio sprawdzałam, pan Van Croix wciąż przebywał w swoich komnatach. Nie zwykł pojawiać się za wcześnie. Zatem może lepiej, żebyś już się ukryła.

Na myśl o tym, że miałabym mu się sprzeciwić, z jakiegoś dziwnego powodu przez mój żołądek przemknęła fala motyli.

Gdy szłam w kierunku klatki schodowej, czując trzepoczące mi na grzbiecie skrzydła, wciąż wypatrywałam Van Croixa. Rześkie, wieczorne powietrze otuliło mnie, gdy tylko wyszłam na zewnątrz i ujrzałam wypolerowany powóz, stojący w gotowości, lecz bez woźnicy. Plan polegał na tym, żeby Anya go nieco opóźniła, podczas gdy ja pospiesznie upchnę się w kufrze. Miałam nadzieję, że Garic nie przyłapie mnie na tym, bo byłam przekonana, że by na mnie nakablował.

Odetchnąwszy głęboko, otworzyłam kufer i stwierdziłam, że w środku jest dość przestronny. Zadarłam jedną nogę nad krawędzią i weszłam do pudła. Dopiero gdy próbowałam się położyć, uświadomiłam sobie, że skrzydła są nieco za duże i nie chcą się zmieścić.

Jeszcze jeden powód, dla którego kostium wybrany przez Anyę okazał się kompletnym niewypałem!

Upychałam je niezręcznie, walcząc z paniką wywołaną upływającym czasem. W końcu zdołałam wcisnąć skrzydła do drewnianego kufra, ale gdy spróbowałam go zamknąć, jedno z nich wyskoczyło na zewnątrz.

Jęknęłam, pociągnęłam za nie, przytrzymałam przy podłodze i zatrzasnęłam wieko.

Ogarnęła mnie ciemność, w której leżałam, sapiąc i próbując odzyskać dech po szarpaniu się z tymi cholerstwami.

Rany boskie.

Zaledwie kilka minut później usłyszałam chrzęst butów na żwirze, a następnie stłumione głosy Garica i Van Croixa. Poczułam, jak powóz przesuwają się i podskakuje, gdy wsiadają. Jedno trzaśnięcie wodzy i ruszyliśmy z miejsca, a mną szarpnęło w kufrze.

Miałam nadzieję, że podróż nie okaże się zbyt długa, bo z braku powietrza na pewno wkrótce bym się tu udusiła.



Powietrza.

Potrzebowałam powietrza.

Desperacko.

Podróż okazała się dłuższa, niż sobie wyobrażałam. A może tylko wydawała się dłuższa z każdym oddechem, które byłam zmuszona liczyć. Choć wciąż toczyliśmy się po wybojach, musiałam uchylić pokrywę, by zaczerpnąć haustu. Inaczej oprócz szorowania kół następnym razem Garic musiałby również sprzątać szczątki martwej wróżki. Naparłam na wieko. Nie otworzyło się. Poczułam mrowienie paniki na karku, gdy naciskałam mocniej, poświęcając na to zbyt wiele energii jak na niebezpiecznie niski zapas tlenu, jaki został mi do dyspozycji.

Kufer wciąż nie ustępował.

Strach ścisnął mi klatkę piersiową. Uderzyłam otwartą dłoń w klapę, przerażona, gdy ta nawet nie drgnęła! Zapewne w jakiś sposób zablokowałam zamek.

Uniosłam kolano i grzmotnęłam nim w upartą pokrywę, po czym wzdrygnęłam się, słysząc trzask i czując ból.

– Auć!

Niepokój ogarnął mnie w pełni i zabębniłam obiema pięściami o wieko.

– Wypuście mnie stąd! Wypuście! Proszę!

Nawet się nie zorientowałam, że powóz się zatrzymał, dopóki wieko się nie otworzyło, a mój następny cios został przechwycony.

Zimne, rześkie powietrze wypełniło mi płuca. Wciągnęłam je głęboko, wpatrując się w jedno naprawdę wściekle, niezastłonięte opaską oko.

Dyszałam i sapałam, wykorzystując chwilę, by odzyskać oddech.

– Co ty tu robisz, do diabła? – Ton jego głosu pasował do gniewnego wyrazu twarzy.

– Niespodzianka?

Pociągnął mnie niedelikatnie za nadgarstek, zmuszając do opuszczenia kufra.

– Wyraźnie ci mówiłem, że...

Gdy schodziłam na ziemię, moje skrzydła rozprostowały się, a jemu opadła szczęka. Wyraz jego twarzy – połączenie zaskoczenia z czymś, co określiłabym jako zachwyt – kazał mi żałować, że nie mogę wczuć się w jakąś norę. Równie dobrze mogłabym być naga, tak odsłonięta się czułam, przygwożdżona jego spojrzeniem. Zdrowym okiem przesunął po mnie od czubków skrzydeł do srebrnych sandałów z pasczkami, które według Anyi powinnam była założyć zamiast ciężkich butów, za którymi tęskniłam.

Całkowicie pożarł mnie wzrokiem w niecałą minutę.

Każdy mięsień w moim ciele drżał, gdy tak stałam, bawiąc się machinalnie torebką, która nagle wydała mi się ważyć za dużo. Zupełnie jakby nerwowe tiki nie dość odwracały moją uwagę, Van Croix wyglądał śmiertelnie apetycznie we fraku z czarnej skóry z kapturem, narzuconym na czarną sznurowaną koszulę z wysokim kołnierzykiem. Oficerskie buty z równie czarnej skóry sięgały mu do połowy łydki, a pod peleryną błyszczało coś srebrnego.

Nie ośmielałam się nawet myśleć, nie mówiąc już o przyznaniu tego głośno, że kostium nie tylko do niego pasuje, ale i sprawia, że wyglądał w nim olśniewająco. Nie potrafiłam jednak odgadnąć, jaki konkretnie wizerunek starał się osiągnąć. Na pewno nie przypominał leśnego stworzenia. W czarnej opasce na oko kojarzył mi się z czymś niebezpiecznym, jakimś tajemniczym skrytobójcą.

Całkowite przeciwieństwo mojego stroju.

– Ja wyraźnie... – Zmarszczył brwi, jakby po raz drugi zgubił myśl, co stanowiło rzadkość, jak już się zorientowałam. Znowu przesunął po mnie wzrokiem.

– Nie pójdiesz na ten bal w tym – wyszczał i mocniej ścisnął mój nadgarstek.

– Słuchaj, ja też wolałabym coś innego, ale mylisz się: wejdę na ten bal tak czy inaczej. Z tobą lub bez ciebie.

– Wrócisz do katedry z Garikiem.

Próba wyrwania ręki zdała mi się na nic.

– Nie wróć. Urządź okropną scenę, jeśli będzie trzeba. Muszę się tam dostać. A ty potrzebujesz towarzyski. W zasadzie jesteście na siebie skazani.

– Na tym balu będzie się roić od mężczyzn, którzy... – Zacisnął zęby, a w oku zalśniła mu furia, jakby właśnie wyobrażał sobie, co by zrobili. – Wracasz do katedry.

– Jericho, posłuchaj mnie. Proszę. – Może chodziło o mój błagalny ton, a może o brzmienie jego imienia, ale jego wzrok złagodniał, a chwyt zelżał. – Nie będę sprawiać żadnych kłopotów. Chcę tylko porozmawiać z tą kobietą, to wszystko. Później wyjdę i zaczekam w powozie. Proszę, nie każ mi wracać. Błagam cię.

Warknął i odrzucił moją dłoń, a potem zaczął przede mną krążyć. Po chwili zatrzymał się i cofnął łopatki.

– Już jestem znużony... – Drgnęła mu żuchwa i znowu warknął z wyraźną frustracją. – W porządku. – Przesunął dłonią po podbródku, po czym na nowo omiół mnie spojrzeniem. – Ale posłuchaj, mała wróżko. Jeśli ktoś okaże się na tyle głupi, żeby choćby tknąć cię palcem, będziesz miała jego krew na swoim sumieniu.

– Krew? Zabiłbyś kogoś za to, że mnie dotknął? – Dopiero wtedy lśniący przedmiot w pełni przykuł moją uwagę i zerknęłam na długi srebrny oręż schowany pod jego peleryną. – To prawdziwy miecz?

– Tak. Nie próbuj testować prawdziwości moich słów, panno Ravenshaw. Zapewniam cię, że nigdy nie rzucam gróźb na wiatr.



Rześkie jesienne powietrze wydawało się tańczyć wokół mnie, gdy stałam i wpatrywałam się w urokliwą bramę prowadzącą na bal. Srebrzystoniebieska pelerynka udrapowana pod moimi skrzydłami i narzucona na ramiona zapewniała jedynie odrobinę ciepła przy mroźnej pogodzie, ale gdy zbliżyliśmy się do wejścia, okazało się, że płomienie tkwiące w czymś wyglądającym jak wielkie szklane trąby powietrzne wydzielają dość ciepła, bym nie czuła już ukąszeń chłodu.

Z łuku splecionego z sękatych konarów i gałązek wisiały na czerwonych tasiemkach małe szklane ozdoby ze stopionymi świecami w środku. Setki kolejnych świec w szklanych zniczach oświetlały ścieżkę prowadzącą przez las do wielkiej drzewnej kopuły, przez którą dostrzegałam jedynie małe przebłyski nocnego nieba.

Choć na pewno nie wyróżniałam się z tłumu w moim kostiumie, wciąż miałam ochotę przykryć skórę w miejscach, których nie ukrywała skąpa sukienka. Niezręcznie szarpałam i przesuwalam tkaninę, w duchu przeklinając Anyę.

Dziesiątki gości przybyły w wymyślnych, inspirowanych leśną tematyką kostiumach zdobionych złotem i srebrem, niektórzy zamaskowani, inni nie. Jakaś mijająca mnie kobieta miała nakrycie głowy z futra białego jelenia ze srebrnymi rogami oraz długą srebrną suknię. Jej towarzysz włożył na głowę coś w czerni, jeszcze bardziej rzucającego się w oczy.

Z zachwytem rozglądałam się po tym urzekającym miejscu, na chwilę zapominając o mrocznym prądzie głębinowym, o którym ostrzegała mnie Anya. O niebezpieczeństwach kryjących się w zacienionych zakątkach.

Zupełnie jakby czytał mi w myślach, Van Croix sięgnął po moją dłoń i gdy tylko ścisnęłam jego palce, coś zatrzepotało mi w brzuchu. Odgłos śmiechu rozległ się z jakiegoś odległego wspomnienia w mojej głowie i cofnęłam dłoń, zaskoczona tą nieproszoną wizją.

Przesunął na mnie mroczne spojrzenie i znowu chciał mnie chwycić, jakby sądził, że zamierzam mu się wymknąć. Jego twarz pozostawała ukryta za jakąś maską czy chustą, którą nosił pod kapturem, a jej widok wzbudzał we mnie niepokój. Niemniej jego ręka była ciepła i pewna nostalgia wypełniła mi pierś, zupełnie jakby trzymał mnie tak już tysiąc razy.

Podprowadził mnie do dwóch mężczyzn, również przebranych za białe jelenie i stojących na postumencie.

– Havenash – powiedział Van Croix, a ja poczułam, jak ściska mi palce, sygnalizując, bym milczała.

Nie wypowiedziałam nawet słowa, gdy jeden z mężczyzn przesunął palcem wzdłuż listy i stuknął nim w podane imię. Następnie przesunął wzrok na mnie.

– Twoja osoba towarzysząca?

– Tak.

Machnąwszy dłonią, jelen wskazał nam, żebyśmy weszli.

Gdy znaleźliśmy się za progiem kopuły, przesunęłam wzrokiem po wspaniałych dekoracjach. Leśny strop został oświetlony licznymi bańkami wielkości piłek baseballowych, wiszącymi ponad porozstawianymi stołami, gdzie z naczyń z tykwy wylewały się potrawy. Ozdobne girlandy rozciągały się pomiędzy drzewami i przystrajały stoły oraz krzesła. Dźwięk muzyki przyciągnął moją uwagę do kobiety od stóp do głów pomalowanej na srebrno, ubranej w białą szyfonową suknię i grającej na siedząco na harfie.

Gdy już oddaliliśmy się od portierów, nachyliłam się do mojego towarzysza.

– Teraz ten kostium ma sens. Mam nadzieję, że miecz jest tylko rekwizytem.

Również nachylił się do mnie.

– Czy szczerze uważasz, że przyszedłem tu, by tańczyć i pić?

– Chcesz mi powiedzieć, że zamierzasz użyć tej broni? W sensie przeciwko komuś?

– Tak.

Chłodne doznanie rozlało mi się po skórze, gdy czekałam na puentę. Na śmiech, który przerodziłby

jego odpowiedź w dowcip.

Van Croix jednak przybrał kamienny wyraz twarzy i niepokojąca pieszczota szoku, która wcześniej jedynie po mnie pełzała, teraz runęła falą mdłości prosto do mojego żołądka.

– Chyba źle się poczułam. – Rozejrzałam się po zamaskowanych i pomalowanych twarzach, zastanawiając się, kto z obecnych będzie jego celem. Kto przybył tutaj dzisiaj bez świadomości, że zginie. Od miecza. Chrzanionego miecza.

– Masz cały czas trzymać się tam, gdzie mogę cię widzieć.

– Kto to jest? Ten, kogo zamierzasz zabić?

– Nie twoja sprawa.

– Zatem to prawda. Twoja reputacja. Śmierć. Kosiarz z Nocnego Cienia.

– Pamiętaj o moich słowach, panno Ravenshaw – rzekł, ignorując moje oskarżenia. – Inaczej każę cię rozciągać, a wtedy dowiesz się z pierwszej ręki, jak bezlitosny potrafię być.

Do gardła podeszła mi gęła, gdy jego odsłonięte oko znów się po mnie przesunęło. Zaraz potem obserwowałam, jak znika w tłumie. W głowie rozbrzęczały mi się ostrzegawcze dzwonki każące mi odejść. Czy zyskam lepszą szansę do ucieczki?

Tylko dokąd miałabym się udać? Jechaliśmy zbyt długo, żebym zdołała dojść do Czarnej Wody. Poza tym musiałabym wysforować się przed niego, żeby nie musieć znów próbować umykać.

Ale było to możliwe. Odejść właśnie teraz, gdy był zajęty.

Szybki rzut oka na tłum ukazał mi wiele okazji, by zbiec w las. Oczywiście zauważyłby, że mnie nie ma, ale może nie od razu. Może zdążyłabym wrócić do katedry, gdybym tylko poruszała się lasem równolegle do drogi. Trasa na bal wydawała mi się stosunkowo prosta. Później mogłabym zerwać kwiat wilczej jagody, zjeść go od razu i skoczyć.

Wcześniejsze słowa Van Croixa dały mi jednak do myślenia.

A co, jeśli były prawdziwe? Co, jeśli rzeczywiście umarłam i powrót oznaczałby uwięzienie w niekończącej się pustce?

Stałam i zastanawiałam się nad tą ewentualnością, nawet jeśli była ona nieznaczną. Jak jednak mogłabym choć trochę zaufać informacjom podanym przez Śmierć? A co, jeśli jego plan polegał na tym, żeby więzić mnie w Nocnym Cieniu?

Rozejrzałam się, szukając Van Croixa, ale nigdzie go nie dostrzegłam. Głowa namawiała mnie, bym uciekała. Bym zapomniała o Alicii i wykorzystała okazję.

I zrobiłabym to. Zrezygnowałabym z rzadkiej możliwości porozmawiania z ofiarą morderstwa w życiu pozagrobowym. Co, jak wskazał Van Croix, i tak na nic by się zdało.

Ale wtedy ją zauważyłam.

Stała samotnie. Miała na sobie purpurową taftową sukienkę z odkrytymi ramionami i marszczoną tiurniurą. Z dopasowaną do stroju maską balową zwisającą z palców rozglądała się po uczestnikach przyjęcia. W słomkowe włosy wplotła jaskrawe kwiaty.

W tym momencie nie potrafiłam już tak po prostu odejść.

Nie spuszczać wzroku z Alicii, która przesunęła się w kierunku zacienionej kępy drzew poza zasięgiem blasku świec, przemieszczałam się przez tłum, spuszczać głowę, gdy napotykałam lubieżne spojrzenia. Czyjaś dłoń musnęła mi bark i przyspieszyłam kroku, zdecydowana opuścić zgraję typów wyglądających na szemranych. Mrocznych, przed którymi ostrzegała mnie Anya, choć tutaj w zasadzie każdy wyglądał dziwnie, ja również.

Gdy znalazłam się bliżej, puls przyspieszył mi na myśl, jak poruszę temat. Przebłyski w głowie pokazywały mi jej zmasakrowaną, pozbawioną życia twarz, co pobudzało mój żołądek.

– Przepraszam – odezwałam się, podchodząc ostrożnie. – Alicia?

– Tak.

– Cześć. Hmm. Jestem Farryn. Farryn Ravenshaw.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Farryn?

– Czy dzisiaj... śpiewasz?

– Tak.

– To... fantastycznie. Naprawdę fajnie. – Nawet gdy roztarłam dłonie, nie zdołałam pozbyć się pulsującej we mnie nerwowej energii. – Od dawna tu mieszkasz?

Sączyła drinka, nie trudząc się spoglądaniem na mnie. Skupiała wzrok na tłumie, jakby kogoś wypatrywała.

– Odkąd pamiętam.

Cholera.

– Co to za miasteczko?

– Keselshire.

– Ale pochodzisz z Chicago. Prawda?

Spojrzała na mnie i zmrużyła brwi.

– Skąd?

– Czy motel Shining Star coś ci mówi?

– Nie. Czemu pytasz?

W tym momencie naprawdę przydałby mi się drink.

– W sumie bez powodu. A czy... miewasz czasami dziwne sny?

– Przepraszam... panno Ravenshaw, dobrze usłyszałam? Ale wkrótce zaczynam występ i próbuję po prostu trochę uspokoić nerwy.

– Rozumiem. – Uniosłam szal znad znamienia na rękę, a gdy spojrzała w to miejsce, w jej oczach dostrzegłam błysk paniki. – Rozpoznajesz to?

– Kim jesteś?

– Nie uwierzyłabyś mi, gdybym ci powiedziała. Twoje wspomnienia zaczęły gasnąć, ale przypuszczam, że jeśli rozpoznasz ten symbol, to być może pamiętasz choć odrobinę z dawnego życia.

– Dawnego życia? O czym ty mówisz?

Rozejrzałam się, sprawdzając, czy nikt nie znajduje się w zasięgu mojego głosu.

– Nie urodziłaś się w Keselshire. Nie jesteś stąd. Nikt tak naprawdę nie pochodzi stąd. Bo wszyscy w tym miasteczku, oprócz zaledwie garstki, są... – Przełknęłam gulę, która podeszła mi do gardła. – Cóż, są...

– Jacy są?

– Martwi.

– Słucham?

– Ten symbol na moim rękę... Taki sam pozostawiono w miejscu, gdzie cię zamordowano.

– No dobrze, muszę poprosić cię uprzejmie, żebyś się ode mnie odsunęła.

Przeszukiwałam mózg pod kątem mizernych szczegółów, które zapamiętałam ze zdjęć pokazanych mi przez Hinesa. Niestety najwyraźniej wspominałam samo okaleczenie.

– Zmasakrowali ci twarz. Nie wiem dlaczego, ale zrobili to. I odcięli palce aż do knykci.

Zmarszczyła brwi, przez chwilę spoglądała w dal, po czym podniosła wzrok, by popatrzeć mi prosto w oczy.

– Dlaczego to robisz?

– Bo chcę wiedzieć, kto cię skrzywdził.

Utykającym krokiem ruszył w naszym kierunku niski, korpulentny mężczyzna w długim białym spiczastym kapeluszu, wyglądający jak zimowy gnom, trzymając drinki nalane do kubków o kształcie rogów. Zapropował jeden z nich Alicji, a ona wzięła dwa i jeden podała mnie. Widziałam, jak wargi nieznajomego rozciągają się w uśmiechu pod rondem kapelusza, zanim ruszył dalej. Popatrzyłam na zawartość naczynia, zakręciłam płynem w kolorze lodu i powąchałam go. Woń wydawała się dość przyjemna, jakby owocowa. Ślina podeszła mi do ust, ale nie ufałam drinkowi. Oddałam go dziewczynie.

– Możesz wypić mój.

Zabrała mi go i spojrzała na mnie dziwnie. Rozejrzała się ukradkowo, po czym nachyliła do mnie.

– Pytałaś o sny – rzuciła ścisłym głosem. – Mam taki jeden. Widzę w nim swoją pociętą twarz. – Wskazała drżącą dłonią, choć jej oblicze było wyraźnie nietknięte. – Z palcami przyciętymi do knykci. Chcę wiedzieć... – Przystała się wiercić i przechyliła napój. – Chcę wiedzieć, skąd masz te informacje. Dlaczego mam wrażenie, jakbym tam była. Dlaczego czuję pieczenie na twarzy. Słyszę wrzaski. Moje wrzaski. Raz za razem. Wołam o pomoc, ale nikt nie przychodzi. Sen wydaje się rzeczywisty. Tak rzeczywisty, że wciąż czuję zapach pleśni z tamtego pokoju. Wciąż czuję cięcia na policzku.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie mogłam zaoferować jej żadnych słów pocieszenia. To, o czym śniła, rzeczywiście się wydarzyło, jeśli oceniać po raporcie pokazanym mi przez Hinesa, i nie mogłam ukrywać

przed nią prawdy.

– Dlaczego te sny wydają się realne? Jakby to naprawdę mi się stało.

– Bo się stało. – Z lekkim wahaniem rozejrzałam się po gościach, którzy jednak wydawali się bez reszty zainteresowani swoimi drinkami. – To nie jest twój dom, Alicio. To miejsce nazywane Nocnym Cieniem.

– Czym, do diabła, jest Nocny Cień? – Gdy podniosła głos, wzdrygnęłam się i uniosłam palec do warg, żeby ją uciszyć.

– Trafiają tutaj niewierzący.

– Co to znaczy niewierzący? – Choć tym razem mówiła ciszej, wyraźnie słysząc było jej zirytowanie.

– To znaczy... że te twoje koszmary... są prawdziwe. Że naprawdę się wydarzyły.

– Jak? – Podniosła palce i zamachała nimi. – Wciąż je mam. Moja twarz nie jest pocięta.

– To nie jest twoje fizyczne ciało.

Zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

– To nie jest moje fizyczne ciało? – Wbiła mi palec w rękę, popychając mnie o krok. – W takim razie jak mogę cię dotykać?

– Przyznaję, ja również uważam, że to dziwaczne. Najłatwiej wytłumaczyć to tak, że nie działają tu prawa naszej rzeczywistości. Masz fizyczną postać, ale twoje... twoje ciało pozostaje w ziemskiej krainie.

– Mówisz o trupie. Zakopanym. W ziemi.

– Tak.

Potała sobie twarz, parsknęła w dłoń i pokręciła głową.

– To nie ma sensu. Muszę przestać pić, bo... to... jest pochrzanione. Bywałam wśród pochrzanionych ludzi, ale ty wygrywasz, paniusiu.

Nie potrafiłam jej winić. Możliwość, że Van Croix miał rację co do mnie, również kazała mi wątpić. Jedyna różnica pomiędzy mną a Alicią polegała na tym, że widziałam, co się z nią stało. Rozumiałam, że nic nie czeka na nią po drugiej stronie. W moim przypadku Van Croix jedynie spekulował.

– Co się dzieje? – Rozmasowała sobie czoło, spojrzała na drinka, po czym odstawiła go na pobliski stolik.

– Nie chciałam wytrącić cię z równowagi.

– Cóż, nie za bardzo ci to wychodzi, bo zdecydowanie jestem wytrącona z równowagi. – Odwróciła wzrok i chyba przygryzała wargę, a na jej twarzy odmalowało się wyparcie. – Czyli wylądowałam tu, bo nie wierzę w Boga, zgadza się?

– Tak to rozumiem.

– A dlaczego niby miałabym w niego wierzyć? Czy Bóg kiedykolwiek coś dla mnie zrobił?

– Alicio, muszę wiedzieć, czy pamiętasz, kto skrzywdził cię tamtej nocy.

– Nie ma żadnego Boga. Nie ma Nieba.

– Jeśli powiesz mi, kto cię skrzywdził, pomogę ci.

– Jak? Czy ty też nie jesteś martwa? Sama mówiłaś, że wszyscy tu nie żyją.

– Nie.

Przesunęła po mnie zdezorientowanym wzrokiem, jakby szukała różnic pomiędzy nami.

– No to jak się tu znalazłaś?

– Jestem tutaj tylko tymczasowo.

– Jak to? Możesz wrócić?

Nie podobało mi się to, jak spoglądała na mnie z iskrą nadziei w oczach, jakbym była w stanie zabrać ją z tego miejsca.

– Tak, ale... to, o czym myślisz... nie jest możliwe.

– Mówisz mi, że też nie możesz wrócić?

– Mogę. Bo nie jestem martwa.

Poczułam mocny chwyt na rękę, spuściłam wzrok i ujrzałam jej palce zaciśnięte jak imadło.

– Możesz zabrać mnie ze sobą. Możesz mnie zabrać, a ja mogę wrócić. Wrócić do domu.

Gdy słyszałam jej błagania, gorzki ból kłuł mnie w serce.

– Nie możesz ze mną wrócić.

– Dlaczego? Ty możesz, ale ja nie?

– Bo gdybyś wróciła, spędziłabyś wieczność w spalonym trupie.

Jej brwi drgnęły, jakby nagle to do niej dotarło, i wydawała się przez chwilę rozważać tę myśl. Różne emocje przebiegły po kolei przez jej twarz, wszystkie etapy żałoby pojawiły się na niej w ciągu niecałej minuty, aż wreszcie barki oklapły jej w wyrazie załamania. Rozejrzała się po duszach, z którymi miała spędzić wieczność. Oczy, w których przed chwilą błyszczała nadzieja, zdawały się teraz znużone.

– Chcę, byś powiedziała mi, kto zrobił ci krzywdę.

– Żebyś mogła wrócić. A ja tu zostanę. – Zakołysała się na piętach, a jej wzrok zdawał się spoglądać w dal, stracił ostrość. Źrenice jej się rozszerzyły.

Drink.

– Żebyś mogła dopilnować, że zostanie schwytany i nigdy już nikogo nie zabije.

Parsknęła pozbawionym wesołości śmiechem i pokręciła głową.

– A co mnie to teraz obchodzi? Rozejrzyj się, panno Ravenshaw. Donikąd się nie wybieram.

Spojrzała gdzieś za moimi plecami, otworzyła szerzej oczy i spuściła wzrok.

– Virgil.

Marszcząc brwi, obejrzałam się za siebie i ujrzałam mężczyznę w kostiumie satyra podchodzącego do nas lekko kulejącym krokiem. Gdy znalazł się przy mnie, oleiste wrażenie niemal osiadło cienką warstwą na mojej skórze i przypomniałam sobie, co wcześniej mówiła Anya.

– Już niemal czas występu. – Jego oddech pachniał siarką, a wydłużone ciało z lekko wygiętym grzbietem i długimi ścięgnami rozciągającymi się pod skórą kojarzyło mi się z wygłodniałym psem. – Kim jest twoja przyjaciółka?

– Chwaliła tylko moją sukienkę.

Uniósł nos i zaciągnął się, zamykając oczy.

– Co za wspaniała woń. Tak czysta. – Gdy nachylił się do mnie, węsząc w moim kierunku, cofnęłam się o krok. Przymknięte bursztynowe oczy, wyglądające na lekko odurzone, przesunęły się po mnie badawczo. Oblizwał wargi. – Ten kostium jest zupełnie olśniewający. – Wreszcie napotkał mój wzrok i w jego oczach błysnęło zaintrygowanie. Wargi rozciągnęły się w uśmiechu i przekrzywił głowę z wyraźnym zainteresowaniem. – Dziwne. Mam wrażenie, jakbyśmy już kiedyś się spotkali.

– Nie sądzę.

Jego usta rozciągnęły się szerzej.

– Och, moim zdaniem tak. Masz niezwykle imię... zaczyna się na... na F. Fanny? Nie, nie. Farah? Nie. Fa-cośtam. – W tym gościu kryło się coś odpychającego, od czego robiło mi się nieprzyjemnie w żołądku.

– Farryn – podsunęła Alicia ku mojemu przerażeniu; nie mogłam się powstrzymać przed rzuceniem jej sfrustrowanego spojrzenia. – Ona ma na imię Farryn.

– Farryn! No oczywiście.

– Skąd konkretnie mnie znasz? – Coś przyszło mi do głowy. Niecierpliwie otworzyłam medalion, żeby pokazać mu zdjęcie ojca. – Czy jego również znasz? Widziałeś go?

Uśmiech na jego twarzy zgasł, a oczy przesunęły się od fotografii do mnie. Jeśli mi się nie wydawało, chyba pojawił się w nich błysk zrozumienia.

– Oczywiście, że nie.

– Nigdy go nie widziałeś?

– Nigdy. – A jednak fakt, że nie mógł oderwać wzroku od medalionu, mówił mi co innego. Kłamał.

– Zatem skąd znasz mnie?

Znow się uśmiechnął, ignorując pytanie, i skupił uwagę na Alicii.

– Pan Barchiel zamierza wygłosić oświadczenie, a później wejdiesz na scenę. Chciałbym cię zachęcić, żebyś do tego czasu wmieszała się w naszych wielce uprzejmych gości.

– Pewnie.

Gdy wyciągnął do niej rękę, dostrzegłam ostrożność w jej oczach, zanim położył jej dłoń na karku.

– Przepraszam, co to miało znaczyć, moja droga?

Alicji drgnęła brew, a jej ciało zdrząło. Wyraźnie czuła się nieswojo.

– Z chęcią, proszę pana.

– Bardzo dobrze. – Te bursztynowe oczy znowu przesunęły się na mnie. – Miło było się z tobą zobaczyć, Farryn. Znowu. – Po tych słowach pokuśtykał z powrotem przez tłum, a stukot jego drewnianej laski rozmył się w hałasie.

- Kim on jest?
- Moim menedżerem. Jest bardziej szemrany niż strumyk.
- Dzięki, że podałaś mu moje imię.
- Znał je. Tylko z tobą igrał. Virgil wie więcej, niż daje po sobie poznać.
- Krzywdzi cię?
- Tylko wtedy, gdy musi. Nie jest najgorszy w tym miejscu. Wydawał mi się całkiem zły. Na pewno gorszy niż Van Croix.

– Ten, który cię zamordował... zabił też innych. Siostry od świętego Feliksa. Tam chodziłaś do katolickiej szkoły, prawda?

Coś chłodnego przemknęło przez oczy Alicii na wzmiankę o jej dawnej prywatnej szkole. Wpatrywała się w dal, jakby przerażona.

- *Dominus vigilans.*
- Moment, co?
- Z mojego snu. To mówi do mnie zabójca w snach.

Nagle ktoś na mnie wpadł. Obróciłam się do mężczyzny ubranego w kostium jakiegoś niezidentyfikowanego leśnego stworzenia z rogami i kopytami. Znowu poczułam na skórze to oleiste wrażenie, podobnie jak wtedy, gdy stał obok mnie Virgil. Chwiejąc się w wyraźnym upojeniu na nogach, sięgnął po dłoń Alicii. Wrywała mu się, gdy ciągnął ją za sobą.

– Ej! – Ruszyłam za nimi, lecz zawahałam się, widząc otwarty las i rozciągającą się dalej złowrogą ciemność. Zrezygnowana, i tak za nimi podążyłam, by po chwili stanąć wśród cichych drzew. Nie widziałam w zasięgu wzroku żadnego z ich dwojga. – Alicia!

Obróciłam się, rozglądając dookoła, przerażona, że nie dostrzegam już nawet światła przyjęcia.

- Halo? Alicia?
- Nie powinnaś przeszkadzać – odrzekł chrapliwy głos, a ja obróciłam się gwałtownie, szukając jego źródła w mroku. – Nasze prawa mają swój cel.
- Kim jesteś? Pokaż się.
- A kim ty jesteś? Przybyłaś z panem Van Croixem. Widziałem to. A jednak... widziałem też, że drżałaś przy drzwiach. Tak jak drżysz teraz.
- I?
- Jedynie żywe istoty drżą.

Żywe istoty. Pomimo upiornego brzmienia głosu ten komentarz mnie uspokoił.

- Wyczuwasz, że jestem żywa?
- Oczywiście. Intortui mają pewną intuicję. To dlatego tak wielu się nas obawia. Twoje drzenie jest jak mucha wibrująca w pajęczej sieci.
- Byłabym skłonna drzeć słabiej, gdybym mogła widzieć twoją twarz.
- Nie przypuszczam.
- Dlaczego? – Gdy nie odpowiedział, znowu się rozejrzałam, szukając innych gości, nasłuchując ich. – Zdradź chociaż, jak masz na imię.

- Tartys.
- Tartys – powtórzyłam. – Dlaczego już nie słyszę tłumy?
- Jesteś odurzona.
- Słucham?
- Od napoju, który podano ci wcześniej. Zmarszczyłam brwi i pokręciłam głową.
- W ogóle go nie piłam.
- Powąchałaś go. Tak dostał się do twojego organizmu.

Nic dziwnego, że pachniał wspaniale.

- Nie czuję się inaczej.
- Owszem. Na tym polega jego nieszczęsne piękno. Nawet nie wiesz, że odetchnęłaś jego wonią.
- Tamta dziewczyna, którą zabrano do lasu. Czy wiesz, gdzie jest?
- Wykonuje swoje obowiązki. Tego wymaga się tutaj od kobiet. Ale mogę zaoferować ci ochronę.
- Ochronę? – spytałam, próbując ustalić, z której strony dobiega głos.

– Ukryć cię, żeby cię nie znalazł i nie zawłaszczył ktoś inny. Ci, którzy są tu zabierani, wiodą smutne życie. Ale ty będziesz mogła swobodnie przychodzić i odchodzić. Z własnej wolnej woli.

– A w jaki sposób zagwarantujesz mi ochronę?

Skądś w górze, poza zasięgiem mroku, zaświecił wąziutki promień księżycowego blasku, w który wszedł niski mężczyzna z garbem i deformacjami.

– Cierpię na bullio. Nikt do mnie nie podchodzi.

Na widok pleców i szyi wygiętych tak, że wydawały się sprawiać ból, wzdrygnęłam się w duchu, współczując biedakowi.

– Muszę dostać w swoje ręce kwiat wilczej jagody. Pomożesz mi?

– Oczywiście – odparł, zacierając powykrzywiane dłonie. – Dobrze wiem, gdzie ich szukać.

– A o co prosisz w zmian?

Spuścił wzrok w sposób, który wydawał się pełen wstydu. Zażenowania.

– Tylko tego, żeby móc dotknąć twojej skóry. Minęło tak wiele czasu, odkąd dotykałem kogoś żywego.

– Twój stan... Wybacz mi pytanie, ale czy to jest zaraźliwe?

– Nie. Mimo to inni się tego obawiają. Choć szczerze mówiąc, największy strach wzbudza w nich moja umiejętność dostrzegania tego, czego nie widzą inni.

– Pokrzepia mnie to.

Kącik jego ust uniósł się w uśmiechu, jakby mężczyznę to ucieszyło. Wyciągnęłam ku niemu dłoń.

– Zgadzam się na twoje warunki, Tartysie.

Jericho

Przeciskając się przez tłum, szedłem za mężczyzną przebranym za satyra z kopytami i srebrnymi rogami, którego naga pierś i plecy pomalowane były na białe ze złotymi spiralami. Niósł drewnianą łaskę, która stuknęła o powierzchnię, gdy wkroczył na kamienny mostek prowadzący do rzędu małych chat. Do miejsca, gdzie zabawiano się we wszelkiego rodzaju cielesne rozrywki. Choć powinienem myśleć o zatopieniu klingi w jego czaszce, nie mogłem pozbyć się z głowy obrazów Farryn w tym pieprzonym kostiumie.

Miałem przecucie, że Virgil w końcu wywęszy ją wśród zebranych, bo woń taka jak jej była niczym słodki nektar dla hordy wygłodzonych szerszeni. Demon nie zdołałby jej się oprzeć, nawet gdyby próbował.

Burmistrz Keselshire, z nakryciem głowy przedstawiającym białego wilka, gonił kobietę wokół pobliskiej chaty, po czym doścignął ją i zniknął z nią we wnętrzu, choć szamotała się i krzyczała w proteście.

Virgil otworzył drzwi do innego domku i wszedł do środka. Po rozejrzeniu się po gościach, którzy zataczali się i śmiali w pijackiej nieświadomości, ruszyłem do tego samego budynku. Kiedy zapukałem do drzwi, Virgil zawołał spokojnym i wyczekującym głosem:

– Wejź!

Pchnąłem drzwi prowadzące do zacienionego pomieszczenia, wciąż osłonięty kapturem, i wyciągnąłem ciężki miecz z pochwy wiszącej mi u biodra. Upadłego anioła można zniszczyć na kilka sposobów, ale żaden z nich nie był tak pewny jak jedno cięcie niebiańskim metalem. To dawało gwarancję, że rozpadnie się w niebyt, zamiast wrócić do piekielnych krain.

Trzymając przed sobą klingę, wkroczyłem do wewnątrz.

Pomieszczenie było oświetlone migoczącą lampą olejową. Virgil siedział na jedynym krześle przy małym łóżku i ścisnął w dłoni sztylet.

– Mógłbym przysiąc, że zapomniawsz o mnie po tylu latach.

Zamiast odpowiedzieć, stałem i próbowałem zdecydować, czy przeciągnąć mu ostrzem po gardle, czy wbić mu je w czaszkę.

– Powinieneś wiedzieć... to, co się z tobą stało, nie wynikało z mojej winy. – Wycelował palec w górę i przewrócił oczyma. – Oni tak chcieli. Owszem, wezmę na siebie odpowiedzialność za część udręki, ale... to ja pozwoliłem ci odejść. Spytaj Cassiela. Powie ci.

– Cassiel nie żyje.

Zakręcił barkami i zmarszczył brwi.

– Jak?

– Obcięto mu skrzydła. Ofiarowałem mu litościwy koniec.

Zacisnął zęby i zadarł nos.

– Pentacrux?

– Tak zakładam, choć wydawało mi się, że wyginęli gdzieś w siedemnastym wieku.

– Ach, no wiesz, najpaskudniejsze trendy zawsze wracają, nie sądzisz? – Jego wolna dłoń zacisnęła się mocno w pięść, gdy Virgil zagryzał zęby. – Tym niemniej, gdyby Cassiel wciąż przebywał wśród nas, potwierdziłby ci, że to ja cię wypuściłem. Mogłem cię zabić. Chciałem cię zabić, przyznaję. Ale nie uczyniłem tego.

– Aleś ty litościwy.

– Byłem taki. Zwłaszcza po tym, co on mi o tobie powiedział.

Wszystko, co wylewało mu się z ust, służyło jedynie odwróceniu uwagi. Była to taktyka często stosowana przez Upadłych.

– Ponieważ nie mogę się zdecydować, muszę spytać, czy wolałbyś, żebym poderżnął ci gardło, czy przebił czaszkę?

Rozciągnął wargi w szerokim uśmiechu, zachichotał i wycelował we mnie długim, pomalowanym na srebrno paznokciem.

– To twoja wina. Nie zdradziłeś mi, że jesteś jednym z nich. Gdybyś to zrobił, nie byłbym taki głupi, żeby... no wiesz. – Wzruszył ramionami. – Ale! Nie tknąłem jej przez te wszystkie lata. Chcę, żebyś to wiedział. Była piękna. I kusząca. Och, jakże kusząca...

– Nie tknąłeś kogo?

Na jego twarz wpłynęło niedowierzenie.

– Pytasz mnie kogo? Tę, za którą niemal oddałeś duszę? Pobudka! – Podczas gdy dalej zastanawiałem się nad jego zagadkowymi słowami, zmarszczył brwi. – Nie pamiętasz? W ogóle? Ani trochę?

Nie odpowiedziałem, jedynie wpatrywałem się w niego.

Odchylił głowę w tył, uderzając potylicą w ścianę.

– No oczywiście, wyczyścili wszystko poza tym, że to ja cię torturowałem. Jakie to dogodne, żebyś pamiętał o zemście i niczym innym. – Znów pochylił głowę do przodu. – Mówię o dziewczynie. Twojej dziewczynie. Naprawdę jej nie pamiętasz?

– Tracę zainteresowanie.

– Jak myślisz, w jaki sposób uszkodziłeś sobie oko? – Uniósł palec i pokręcił głową. – Nieważne... to emocjonalne pytanie, wiem. Nie chciałem, żebyś przedwcześnie odpalił miecz, więc po prostu ci mówię. Strzała była wymierzona w nią. Byłem w pełni gotów do niej strzelić po tym, jak mnie zdradziłeś.

Nic z tego, co mówił przez ostatnich dziesięć minut, nie miało żadnego sensu.

– Jak konkretnie cię zdradziłem?

– Jakies ćwierć wieku temu przyszedłeś do mnie, pytając o drogę wyjścia z Nocnego Cienia. Poszliśmy na układ. Ty dostarczasz dusze, ja zapewniam sposób ucieczki. – Gdy mówił, machał niecierpliwie dłońmi. – Drogę powrotną do ziemskiej krainy. Pomogłem ci zniknąć po tym, jak Niebiosy wyгнаły cię do Nocnego Cienia. I wykonałem swoją część. Bardzo ważne, żeby o tym pamiętać, ponieważ najwyraźniej zapomniałeś, że odprowadziłem cię tam osobiście. Dopiero gdy nie dotrzymałeś swojej części układu, dowiedziałem się, co zajmowało ci czas. Dziewczyna. Ta dziewczyna. Tak piękne maleństwo, że podchodziłeś ją jak lew młodą gazelę. Z początku nie mogłem zrozumieć tej fascynacji. Dlaczego miałbyś zawrzeć umowę ze mną, ryzykując konsekwencjami, tylko po to, byś mógł ścigać zwykłe dziecko? – Parsknął, skubiąc skórę przy paznokciu. – Nie wyglądało to na coś w twoim stylu, ale w końcu wszyscy mają swoje skrzywienia.

Obserwowałem go bacznie. Mógłbym go zabić w tym momencie i uciszyć na dobre, ale musiałem przyznać, że pobudził moją ciekawość.

– Nie minęło wiele, zanim zrozumiałem, kim dla ciebie jest. Lew nie podchodził kolejnego posiłku. Zamierzał żerować na ścierwie, które już kiedyś wziął siłą. – Widząc na mojej twarzy minę, która musiała wyrażać czysty absurd, wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Twoja bliźniacza dusza. To aż wzbudza mdłości. Ale dla mnie? Idealna marionetka. Tyle że nie wiedziałem, iż tym razem miałaś po swojej stronie coś większego. Strażników. Kto by pomyślał, że masz w sobie krew i aniołów, i demonów? Machnął lekceważąco dłonią i pokręcił głową. – Ale odbiegam od tematu. Wróćmy do głównego wątku. Zatem odszukałem ją, bla, bla, bla... – Znów machnął niecierpliwie ręką. – Jak przewidywałem, przybyłeś jej na pomoc. Nie byłeś nawet na długość ramienia od niej, a jednak strzała, którą wymierzyłem w nią, przebiła twoje oko.

– W takim razie jesteś beznadziejnym strzelcem.

– Oj nie. A co jeszcze bardziej niezwykle, poczułem dojmujące pragnienie, żeby się od niej oddalić. Żeby pozwolić jej żyć. Dlaczego? – Popukał się w skroń i pokręcił głową, ja zaś próbowałem przetworzyć, o czym on, do diabła, mówił. Jeśli miało to służyć odwróceniu mojej uwagi, doceniałem jego wysiłki. – Po tamtym spotkaniu długo zastanawiałem się nad tym pytaniem. Mogłem wrócić, gdy zostałeś uwięziony tu, w Nocnym Cieniu. Mogłem ją zagarnąć i wykraść ojcu. Ale nie zrobiłem tego. A teraz wróciła do ciebie.

– Kto?

– Dziewczyna. Twój ukochany bliźniaczy płomień. I jest równie urocza, jak ją zapamiętałem.

Zachowując czujność i ostrożność, zacisnąłem palce na rękojeści ciężkiego miecza, co najwyraźniej przykuło jego uwagę.

Stękając, rozparł się bardziej na krześle i przetarł dłonią twarz.

– W każdym innym okolicznościach uznałbym twój brak pamięci za zabawny i dający mi okazję do działania. Teraz jednak jest dość irytujący i niewygodny.

– Kim jest ta dziewczyna?

– Kiedyś posługiwała się innym mianem, ale obecnie jest znana jako Farryn.

Napiąłem mięśnie na dźwięk tego imienia.

Ufałem Upadłemu mniej więcej równie mocno jak samemu Lucyferowi, ale musiałem przyznać, że część mnie była zaintrygowana. Niestety nie miałem czasu na zabawianie się jego teoriami.

– To interesująca opowieść. Ale czas opowieści dobiegł końca.

Rzuciłem się na niego, jednak zatrzymałem w pół kroku, marszcząc brwi, gdy przyłożył sobie sztylet do gardła. Żaden egocentryczny upadły anioł nie byłby tak skłonny, żeby odebrać sobie życie. Zaskoczył mnie.

– Przypomnij ją sobie.

– Jaki masz w tym interes?

Przewrócił oczyma i pokręcił głową.

– Za cholerę nie obchodzi mnie twój nudny romans z nudną ludzką kobietą. Natomiast interesuje mnie prorocтво. O krwawym księżycu.

– To bajeczka.

– Czyżby? O tym też zapomniałeś? Jak z uwagi na nią zniszczyłeś całe miasto i wszystkich jego mieszkańców?

– Zniszczyłem Pentacrux. Za to, co mi zrobili. Z tego samego powodu zamierzam zniszczyć ciebie.

– Ona umrze. W noc krwawego księżyca. I podobnie jak wcześniej, zemścisz się na tych, którzy będą za to odpowiedzialni. Na Pentacrux. A ja ze swojego miejsca w Piekło będę się radował widokiem ich płonących ciał za to, co mi zabrali.

– Co ci zabrali?

Prychnął śmiechem, choć w oczach pojawiły mu się łzy.

– Wszystko – wysyczał przez krzywe żółte zęby, po czym przesunął sobie klingą po gardle. Czarna, smolista krew wysączyła się z rany, na której zacisnął dłoń, łapczywie próbując chwytać powietrze.

– Przypomnij. Ją. Sobie – wycharczał.

Broń wypadła mu z dłoni, gdy złapał się za gardło oburącz i oklapł na krześle. Dyszał i krztusił się, dygotał i szarpał w najbardziej dramatycznym pokazie śmierci, jaki kiedykolwiek widziałem.

Znudzony, wbiłem mu miecz w czaszkę i jego ciało zeszywniało, a następnie zupełnie obwisło. Stał w płomieniach, jego szczątki spopielaly się i trzaskały na krześle, które nie zajmowało się ogniem, a po minucie jedynym, co z niego zostało, była kupka czarnego popiołu na siedzeniu i wciąż leżący na podłodze sztylet.

Wyszedłem z chaty i rozejrzałem się po nielicznych gościach, którzy zaczynali wracać mostkiem do głównej kopuły, gdzie tłum zebrał się wokół stołów. Trzymając się na obrzeżach i w cieniach, słyszałem lekko znajomy głos niosący się ponad tłumionymi szeptami.

– Moi drodzy przyjaciele, dziękuję wam za przybycie na tegoroczne święto Żęcia Dusz. Zachęcam was do korzystania z napitków i zabawy! Służba przez całą noc będzie zapewniać napoje, przekąski oraz coś bardzo specjalnego. To taki mój drobny wynalazek, jeśli pozwolicie. – Krzepki mężczyzna w eleganckiej złotej szacie i ciernistej koronie z gałązek oraz liści stał na środku kopuły, trzymając złotą laskę. Uniósł coś, co wyglądało na srebrną tabletkę. – Mój dar dla was. Nazywam to Uniesieniem.

Przebrany mężczyzna stojący najbliżej mnie zachichotał, mówiąc, że wcześniej poczęstował tym swoją towarzyszkę. Gdy ktoś inny stojący obok spytał, gdzie ona jest, pierwszy wskazał kciukiem przez ramię na chaty, w których wymieniano przysługi seksualne.

– Bruka biednych głupców, którzy tam za nią weszli. Niemal wszystkie drinki są zaprawione tym czymś.

Obydwa się roześmiali, a ja dopiero wtedy rozejrzałem się po tłumie w miejscu, gdzie zostawiłem Farryn, zanim udałem się za Virgilem.

Zniknęła.

Jęknąłem i ruszyłem w kierunku zakątka kopuły, gdzie widziałem ją po raz ostatni, i dostrzegłem tam otwór, ścieżkę prowadzącą w mrok lasu. Muskając dłonią rękojeść miecza, wkroczyłem między drzewa. Usłyszałem w oddali głosy i podkradłem się w stronę małej kamiennej chatki krytej strzechą, ustawionej z dala

od innych domków. W jej środku migotała gazowa lampa, rzucająca cienie na ściany wewnątrz. W okna nie wprawiono szyb, słyszałem więc niosące się w powietrzu słowa:

– Twoja skóra jest jak jedwab. Taka gładka. Taka miękka. Oddaj mi się, a zaoferuję ci ochronę.

Skrzywiwszy w odrazie wargi, gdy rozpoznałem ten głos jako należący do Tartysa, grzmotnąłem pięścią w drzwi, rozwierając je gwałtownie.

Na środku pomieszczenia stała Farryn – z ręką wyciągniętą ku zdeformowanemu Intortui, który zamarł w miejscu z wybałuszonymi oczyma. Cofnęła dłoń i odskoczyła w tył, niemal potykając się o własne nogi.

– Panie Van Croix... – Intortui zatarł powykrzywiane palce, wyraźnie zdenerwowany moją obecnością. – Ja tylko... pilnowałem twojej towarzyszki, gdy ty zajmowałaś się interesami. Bo zająłeś się nimi, prawda?

Farryn znowu przeniosła wzrok na Tartysa.

– Wiedziałaś, po co on tu przyszedł? Też w tym uczestniczyłeś?

Zadarł podbródek z dumą, którą mógłbym mu strącić z ramion wraz z głową.

– Oczywiście. A jak sądzisz, kto umożliwił mu wejście na przyjęcie? To ja. Wyłącznie ja. I uważam, że miało dojść do swoistej wymiany.

– Śmiesz mnie, że w ogóle zrodziła ci się myśl, iż mógłbyś zniewolić to, co należy do mnie. – Uniosłem miecz i przesunąłem palcem po lśniącej stali. – I roześmiałybym się, gdybym właśnie nie wyobrażał sobie klingi rozcinającej ci gardło. – Skoczyłem naprzód i zanim zdeformowany mężczyzna zdążył zareagować, przycisnąłem mu ostrze do szyi. – W zasadzie po co próbować sobie wyobrażać coś, co łatwo może stać się rzeczywistością.

– Uważaj, Jericho. Na pewno nie chciałybyś wzbudzić niepotrzebnych napięć. – Syczący głos wydobywający się spomiędzy jego krzywych zębów kojarzył mi się z syczeniem węża.

Wyciągnąłem rękę do Farryn, zanim zdążyła się odwrócić, i skierowałam jej twarz ku sobie. Ujrzałem jej rozszerzone źrenice.

– Obawiam się, że sam już wywołałeś te napięcia, przyjacielu. Każdy czyn pociąga ze sobą konsekwencje. Ja jedynie przywracam równowagę.

– Nic mi nie jest – powiedziała, odtrącając moją dłoń, przez co straciła równowagę i niemal przewróciła się na podłogę. – O jakiej wymianie on mówi?

– O spędzeniu nocy z tobą. – Znow przycisnąłem Intortui ostrze do gardła, utaczając ciekłą strużkę krwi.

– Cofam to, co mówiłem. Dziewczyna jest twoja. Nigdy nie zniszczyłbym twojej własności. Przepraszam, że sugerowałem coś równie niedorzecznego. Ale przypomnę ci, panie Van Croix, że obiecałeś mi ją.

– Ona nigdy nie była ci obiecana. – Obserwowałem, jak krew pulsuje w jego żyłach tuż przy mojej stali, i przyglądałem się wyraźnemu strachowi w jego oczach.

– Przepraszam, jeśli nieprawidłowo zrozumiałem umowę.

– To nie mnie należą się przeprosiny.

Przesunął wzrok na Farryn i wzdrygnął się z odrazy, że musi kajać się przed poślednią kobietą.

– To ostrze staje się cięższe z każdą mijającą minutą – rzuciłem drwiąco. – Kto wie, kiedy zmęczy mnie trzymanie go.

– Przepraszam.

Farryn uśmiechnęła się nieśmiało, zupełnie jakby zasługiwał na taką skromność.

– Nic się nie...

– Możesz postarać się bardziej. Zwróć się do niej z szacunkiem, jaki okazałbyś własnej matce, inaczej wyślę cię w niebyt.

– Przepraszam panią. – Gdy uniosłem klingę, odchrząknął. – Moja damo – dodał, oglądając się na mnie.

– I proszę. Tak ciężko było? – Odsunąłem dalej broń od jego szyi. Jeden oddech później świst stali rozdarł powietrze i zszokowana mina spadła na podłogę wraz z odciętą głową Intortui.

Farryn zachwiała się mocniej, a bladość jej twarzy mówiła mi, że może zaraz zemdleć.

– Ty... ty... go zabiłeś.

– Niewątpliwie. – Wytarłem krew Intortui o koszulę jego bezgłowego ciała, uniosłem broń i obróciłem

nią, żeby zachwycić się blaskiem. Za ledwie tchnienie później zwłoki stanęły w płomieniach, a dziewczyna odskoczyła z piskiem, wpadając prosto na moją pierś. – Ten miecz to naprawdę wyjątkowy oręż.

– Ale... on zrobił, o co prosiłeś. Przeprosił.

– Czy chciałabyś wiedzieć, jakie myśli przechodziły wtedy przez jego głowę?

– Ściąłeś mu głowę... za... za... myśli? – Odepchnęła mnie, wciąż jeszcze chwiejąc się na nogach.

– Za to, że wyobrażał sobie ciebie nagą, związaną i zdaną na jego łaskę. Tak, właśnie za to ściąłem mu głowę.

– Nie mówiłeś mi wcześniej, że wyobrażałeś sobie to samo?

– Owszem. Chyba jednak różnica polega na tym, że to ja trzymałem miecz, a on nie.

Pewien, że Farryn zaraz się przewróci, schowałem klingę do pochwy i podniosłem ją na rękach. Część mnie chciała zignorować to, jak idealnie do mnie przylegała. Inna część nie potrafiła.

– Nie musisz mnie nieść – wymruczała, wierząc się. Był to waleczny wysiłek, ale i tak zbędny.

Gdy wkroczyłem z powrotem na teren przyjęcia, ze spuszczoną głową mijałem tłumek mężczyzn, w razie gdyby któryś miał mnie rozpoznać. Słyszając, że pan Barchiel woła do kogoś w pobliżu, i widząc, że kuśtyka w naszą stronę, postawiłem Farryn przy sąsiednim drzewie. Mężczyźni znajdowali się bardzo blisko nas i gdy uchyliła usta, żeby zaprotestować, zatkałem je dłonią, tłumiąc jej sprzeciw. Zauważyłem, że narkotyki wzbudził w niej pewną wojowniczość, bo gdy obróciłem głowę, żeby nasłuchiwać, szarpnęła się pode mną. Dotyk jej ciała, przyciśniętego do mnie boleśnie, skutecznie odwracał moją uwagę.

– Mam nadzieję, że wszyscy mieliście okazję sprawdzić efektywność tego produktu – powiedział pan Barchiel z nutą dumy w głosie. – Przypuszczam, że zrewolucjonizuje on dziedzinę korupcji i rozpusty.

Mężczyźni roześmiali się jednocześnie, a kilku z nich uniosło naczynia w geście toastu.

– Jesteś geniuszem, panie Barchielu. Pomysł jest absolutnie błyskotliwy! – zawołał jeden z nich.

– To ani geniusz, ani błyskotliwość, lecz przeznaczenie, mój drogi przyjacielu. Ponieważ duszom niewierzących przeznaczone jest szczeznąć w ogniu.

Zamarłem, skupiając się na słowach, które były mi znajome. Słowach, które słyszałem dawno temu.

Tak się na tym skupiłem, że zsunąłem dłoń z ust Farryn.

– Puść mnie! – Jej krzyk niemal poniósł się echem, a ja we frustracji przycisnąłem wargi do jej warg, żeby ją uciszyć.

– Wygląda na to, że komuś przydałaby się druga dawka. – Inny mężczyzna z grupy zaśmiał się, lecz jego głos utonął w fali krwi i adrenaliny, która załała mnie gwałtownym strumieniem, gdy wsunąłem Farryn język do ust. W pełni pochłonęła mnie ta kobieta smakująca słodkimi jagodami i słonecznym blaskiem. Smak ten stał się dla mnie obcy w tej krainie wiecznego zachmurzenia, ale coś w jej pocałunku wydawało mi się znajome, cudowne jak ambrozja.

Z zamkniętymi oczyma zapadłem się we wspomnienia dziewczyny. Tej, o której śniłem. Poczułem, jak moja ciekawość wzrasta, a gdy ona uniosła dłoń, żeby mnie odepchnąć, chwyciłem ją za nadgarstek i przytrzymałem, upajając się nią.

Jej wola walki zgasła. Farryn osunęła się na mnie, jej palce zacisnęły się na mojej kurtce. Gdy odsunąłem się od niej, wyraz jej oczu, stanowiący połączenie strachu i zachwyty, więził mnie jeszcze przez chwilę, zanim uświadomiłem sobie, że tłumek mężczyzn zniknął.

Zupełnie jakbyśmy zostali tylko my dwoje.

Bez słowa wziąłem ją na ręce i poniosłem przez kopułę, obok dwóch jeleni pilnujących listy gości, a później w noc.

Lustina

Czarny ptak zatrzepotał skrzydłami na parapecie okna Lustiny, gdy pakowała do torby kawałek chleba, który zabrała z kuchni, a także parę wełnianych rękawiczek, zapasowe pończochy i jedyną dodatkową sukienkę.

– Cierpliwości. Spieszę się, jak mogę – wyszeptała do ptaka, który przeleciał obok jej okna dwa razy w czasie potrzebnym na zabranie tych paru rzeczy. – Zwrócisz na siebie uwagę, jeśli będziesz tak latać.

Skupiła się na brzęczącym odgłosie, który słyszała już wcześniej, ale jej nie zaniepokoił. Teraz przerwała pakowanie, by wsłuchać się bardziej.

Brzęk. Brzęk. Brzęk.

Brzęk.

Brzęk.

Brzęk. Brzęk. Brzęk.

Ten sam wzór. Powtórzony. Mrużąc brwi, popatrzyła na zamknięte drzwi sypialni. Gdy dobiegło ją krakanie ptaka, znów na niego spojrzała i wepchnęła torbę pod łóżko.

– Chwila. Muszę się upewnić, że nikt się nie obudził. Chyba nie chcesz, żeby mnie śledzono, prawda? Nie uciekniemy, jeśli ktoś nas zauważy.

Ptak przekrzywił głowę i zlustrował ją z góry do dołu.

– Może to tylko wiatr. – Na paluszkach podreptała do drzwi i uchyliła je nieznacznie, by wyrzeć na pusty korytarz. Do jej pokoju, leżącego najbliżej dzwonnicy, często docierały odgłosy wiatru przemykającego przez szczyt wieży. Gdy nikogo nie dostrzegła, zaczęła wspinać się kamiennymi schodami w kierunku wielkiego dzwonu.

Brzęk. Brzęk. Brzęk.

Brzęk.

Brzęk.

Brzęk. Brzęk. Brzęk.

Dźwięk, tym razem głośniejszy, powiedział jej, że hałas zdecydowanie pochodził skądś w obrębie wieży. Nie ośmieliła się nawet szepnąć z obawy, że ktoś przyłapie ją poza łóżkiem, a tylko dalej skradała się po stopniach. Dopiero na samej górze dostrzegła w oddali błysk światła.

Nadciągająca burza.

Wewnętrzny głos nawoływał ją, żeby odeszła. Ignorując go, okrążyła ostrożnie nieruchomy dzwon, aż znalazła się po drugiej stronie.

Wciągnęła gwałtownie powietrze i ledwo zdążyła zakryć dłonią usta, zanim wydobył się z nich krzyk. Jej kończyny stały się ciężkie jak ołów, nie była w stanie się skupić. Każdy jej mięsień drżał ze strachu i niedowierzania.

Na linach biegnących od jarzma dzwonu powieszono za szyje pentashe Marię i Aurelię. Miały zsiniałą skórę i puste, martwe oczy.

Lustina poczuła, jak wzbierają jej łzy. Groza zaległa jej ciężko na piersi, pozbawiając ją tchu. Krzyż zwisający Marii z pasa uderzał o dzwon.

Brzęk. Brzęk. Brzęk.

Brzęk.

Brzęk.

Brzęk. Brzęk. Brzęk.

Nie była w stanie się poruszyć.

„Idź, Lustino! – nawoływał wcześniejszy głos, a ona obróciła się i ujrzała kruka siedzącego na barierce wieży. – Idź już!”

Cofnęła się do klatki schodowej i podkasła sukienkę, żeby się nie potknąć.

Porzucając zostawioną pod łóżkiem torbę, wybiegła z dzwonnicy i pognała przez dziedziniec. Kilka kruków przeleciało jej nad głową, a ona podążyła za nimi do lasu. Kolejne ptaki dołączyły tam do stada, a połączony trzepot ich skrzydeł brzmiał jak grom. Przeskoczyła nad powalonym krzakiem i pomknęła dalej, nie zważając na ciężki oddech i ból w mięśniach.

„Coś rusza się na przedzie” – powiedział do niej głos, a ptaki zmieniły kierunek, odciągając ją od ścieżki, którą dotąd podążała.

W głębi lasu drzewa zaczęły rosnąć gęściej, a niebo stało się ciemniejsze niż wcześniej. Nie widziała już nad sobą kruków, ale nasłuchiwała ich głosów.

Ponad ich harmider wybił się inny dźwięk i Lustina dostrzegła jaskinię, z której wyłoniły się dziesiątki nietoperzy, wzbijając się w powietrze.

Słyszane przez nią wcześniej głosy zatonęły w krakaniu ptaków, pisku nietoperzy i trzepocie skrzydeł, gdy na niebie rozgorzała bitwa. Ponad baldachimem drzew Lustina ledwo rozróżniała jedno zwierzęta od drugich i stała nieruchomo, gdy walczyły w górze.

Czując uścisk na rękę, wrzasnęła i obróciła się, by ujrzeć stojącą obok niej Matkę Pentashę.

– Co robisz tak późno na zewnątrz, dziecko?

Lustina szarpnęła się, by się uwolnić, i zdołała wyrwać rękę, ale coś złapało ją za drugą. Jeden z pentroshów, którego rozpoznawała z klasztoru. Z sercem dudniącym jej w piersi wydała z siebie wrzask, który szybko został stłumiony przez dłoń Matki Pentashy zakrywającą jej usta. Dziewczyna zapierała się piętami w chłodnej ziemi, gdy ciągnęli ją przez las. Dołączyli inni, których twarze знаła z wioski, by ponieść ją dalej.

– Pomocy! – krzyczała, ale bezskutecznie, bo dłoń na jej twarzy zacisnęła się mocniej, a paznokcie wbiły się jej w policzki.

Prężyła się, szarpała i wrzeszczała, aż nagle runęła z uczuciem lekkości w żołądku, by zaraz uderzyć grzbietem w ziemię. Ból wzniósł się jej aż do zatok. Obróciła się w bok, żeby się wykaszleć, i zauważyła, że chyba wszyscy mieszkańcy zebrali się na brzegu rzeczki.

Miotając po nich wzrokiem, Lustina podniosła się na kolana i wycofywała powoli. Coś uderzyło ją w plecy, a gdy się obróciła, zobaczyła Matkę Pentashę, kapłanów i starszego Van Croixa stojących za nią.

– Prosiłaś, żeby cię ochrzcić, prawda? – spytała Matka Pentasha.

Dziewczynie ścisnął się żołądek. Poderwała się na nogi. Tłum wieśniaków rozstał się i nad rzeką stanął biskup Venable.

Zamknęła oczy, nasłuchując głosów na niebie, lecz przez uporczywe dudnienie serca słyszała jedynie cichy trzask pochodni i szmer rzeczki.

– Podejź, dziewczyno. Niech nasz Święty Ojciec przyjmie cię w ramiona wieczności. – Biskup wyciągnął do niej rękę i choć Lustina niczego nie pragnęła bardziej niż uciec, wiedziała, że to niemożliwe. Baron został oszukany i mogła się tylko modlić, by nadal żył.

Łzy płynęły jej po policzkach, gdy w oświetlonej pochodniami ścieżce wiodącej nad rzekę widziała klęskę. Ani jedna wpatrująca się w nią twarz nie oferowała niczego więcej niż beznamiętne spojrzenie.

Ponad ciszę wzbili się głosy i Lustina obróciła się do kobiety śpiewającej w języku, którego nie rozumiała. Szturchnięta w plecy, zatoczyła się do przodu, w stronę biskupa.

– Twoja sukienka jest zbrukana, dziecko – powiedział duchowny, czekając na nią. – Chodź, umyj się w rzece i oczyść się. Bowiemy nasz Święty Ojciec wita jedynie najczystsze dusze.

Rozejrzała się, lecz nie dostrzegła żadnej drogi ucieczki. Nawet gdyby zaczęła biec, znaleźliby ją. Schwytałiby.

W tym momencie pomyślała o swojej matce. Jakże absolutnie bezbronna i pozbawiona nadziei musiała się ona czuć, gdy przyszli do ich chaty w lesie i pojмали je obie. Kolejny kuksaniec z tyłu kazał jej iść przed siebie. I następny. I jeszcze jeden, aż znalazła się w połowie drogi do biskupa.

Ale gdy wspominała matkę płonącą na tamtej platformie, poczuła, jak płynie przez nią chłodna fala.

Jak płuca butnie zaczerpują tchu. Obróciła się, zamachując pięścią, i uderzyła Matkę Pentashę w twarz. Starsza kobieta krzyknęła i upadła na ziemię, a stojący wokół gapie aż się zachłysłi.

Lustina rzuciła się w przeciwnym kierunku, z dala od biskupa. Coś zapiekło ją ostro na głowie. Dłonie wyciągały się do jej sukienki. Odgłos darcia okazał się jedynym ostrzeżeniem, zanim urwano jej rękaw i odsłonięto skórę na zimowy chłód. Strumień bólu uderzył ją w nogi i krzyknęła, upadając twarzą na ziemię. Mimo to próbowała uciekać dalej, palce paliły ją od połamanych paznokci, którymi szarpała glebę.

Wokół niej rozbrzmiewały krzyki. Wściekle, domagające się krwi i odwetu.

Gwałtowny cios w żebra sprawił, że skuliła się wpół. Dłoń zacisnęła się jej na plecach, a gdy podniosła wzrok, ujrzała matkę młodej Agnes, którą wyciągnęła z zimnej, głębokiej rzeki, szarpiącą ją mściwie.

Po kolejnych kopnięciach i uderzeniach pięściami jej ciało stało się otępiałe i chłodne, a oddech z trudem wydostawał się spomiędzy stłuczonych żeber. Ktoś złapał ją za kostkę i ciągnął po szorstkim leśnym podłożu, gdzie połamane gałęzie i ostre kamienie drapały jej plecy.

– Dziwka! – wrzasnął ktoś i splunął na nią.

Inni ciskali kamieniami i łajnem, które trafiały w jej ciało, zadając karzący ból.

Gdy wreszcie znalazła się przed biskupem, gniew rozgorzał wściekle w jej wnętrzu. Pomyślała o damie Praeepsii i własnej matce. O Marii i Aurelii, które, jak miała pewność, zostały zamordowane, ponieważ wiedziały o pomieszczeniu, które im pokazała. O tym, że ten człowiek zniszczył najsilniejsze kobiety w jej życiu.

Wrzask wyrwał jej się z piersi, gdy rzuciła się na niego na zmaltretowanych, obolałych nogach. Zdażyła jedynie przejechać mu paznokciami po twarzy, zanim mocny cios w kręgosłup wybił jej powietrze z płuc. Krztusząc się, padła przed nim na kolana.

– Nie ma tu miejsca na zło, dziecko – rzekł ponad nią. – Znajdujemy się bowiem w obecności Jego łaski i światła. A teraz wstań. Wstań i oddaj się światłu w sposób, do jakiego twoja matka nigdy nie była zdolna.

Gdyby w tym momencie mogła wydać z siebie głos, powiedziała by mu, że jej matka nigdy nie dostała wyboru, ale wciąż nie mogła zaczerpnąć tchu.

Rozejrzała się po tłumie, który nie wiwatował tak samo jak wtedy, gdy jej matkę prowadzono na stos. Zamiast tego ludzie milczeli. Obserwowali. Czekali.

A jednak coś podpowiadało Lustinie, że to wszystko jest kłamstwem.

Umrze tak samo jak jej matka. Jak dama Praeepsia i wszystkie inne szczerze kobiety z wioski, które odważyły się sprzeciwić biskupowi. Gdy zamknęła oczy, czuła wokół siebie ich obecność, czuła na barkach ich dłonie unoszące ją z ziemi, prowadzące ją naprzód z wdziękiem i godnością.

Spuściła wzrok i ujrzała pomarszczone dłonie Matki Pentashy oraz dwóch innych kobiet z wioski. Ich palce ściskające ją z taką siłą, że piekła ją skóra.

Gdy stała przed biskupem, słuchając słów wypowiedzianych przez niego w języku, który nie był jej mową, zastanawiała się, czy śmierć okaże się bolesna, czy też spokojna.

Biskup chwycił ją za kark i opuszczył ją plecami do wody. Przejmujące zimno otępiło jej ciało, co przywitała z ulgą, bo stłumiło dotkliwy ból ran. Wpatrywała się w niebo, oczyma szukając Jericha. Na pewno przyjdzie.

Zamiast tego widziała jedynie krwawy księżyc, tak piękny, gdy wisiał niczym ognista kula.

Zamknęła załzawione oczy i wyszeptwała:

– Do następnego spotkania, ukochany.

Szloch wstrząsnął jej ciałem, gdy wspominała to wszystko, czego już nie zazna: jego delikatne dłonie i miękkie pocałunki. Słowa, które wypowiadał tylko do niej. Miłość, jaką dawał tylko jej.

– Litości! – krzyknęła, gdy biskup zakrył jej twarz dłonią i wepchnął ją pod powierzchnię, a wszystko wokół niej znieruchomiało.

Świat znów stał się spokojny.

Cichy.

Baron

Wiatr śmigał wokół niego, gdy Jericho leciał nad powozem z biskupem. Konie galopowały po obu stronach pojazdu, ponieważ członkowie Pentacrux strzegli mężczyzny podczas podróży do Rzymu, która miała okazać się jego ostatnią. Pod osłoną nocy mknął nad drzewami, równoległe do drogi, a jego czarne skrzydła nie wydawały odgłosów i nie rzucały się w oczy na tle nocy. Plan polegał na tym, by ci z dołu dotarli do odcinka drogi znanego z nocnych ataków, ale baron nie mógł się tego doczekać.

I tak czekał już nazbyt długo.

Biskup i jego ludzie zginą tej nocy, a Jericho wreszcie będzie mógł uciec wraz z Lustiną. Im szybciej dokona mordu, tym szybciej ta wolność się ziści.

Zanurkował z nieba i ugodził szybko niczym błyskawica. Chwycił pierwszego żołnierza, zrywając go z końskiego siodła, by w powietrzu skrócić mu kark. Gdy puścił ciało, spadło na innego zbrojnego, który jechał po drugiej stronie powozu. Zboczył ze ścieżki, a baron zrobił to samo. Jeśli miało to wyglądać na napad, wszyscy musieli zginąć.

Kapryśny koń zjechał w kępę drzew i choć strzały przemykały wokół Jericha, wypuszczane przez dwóch pozostałych żołnierzy, ten ciągnął za uciekającym członkiem Pentacrux. Znad czubków drzew widział, jak wierzchowiec tratuje krzaki, aż zahaczył nogą o gałąź i przewrócił się razem z jeźdźcem. Żołnierz zerwał się na nogi, choć utykał, i zaczął rozglądać się po niebie. Jericho odczekał chwilę, po czym wylądował na ściółce spory kawałek przed nim i otulił się ciemnymi skrzydłami, kryjąc się w leśnych cieniach. Kiedy zbrojny biegł ku niemu, baron wyciągnął sztylet i ugodził nim, rozcinając przeciwnikowi gardło.

Następnie znów wzbił się w powietrze.

Pozostali żołnierze trzymali się nadal przy powozie, a ich strzały świszczały wokół ścigającego ich Jericha. Znalazłszy się bliżej, przyciągnął do siebie skrzydła i pomknął ku pojazdowi, wirując niczym tornado. Wpadł jednemu ze zbrojnych na plecy i strącił go z konia, by z ciężkim hukiem wylądował na ziemi. Powóz przejechał po nim i w wyniku wstrząsu odczepił się od ciągnących go koni. Zboczył z drogi i przewrócił się na bok.

Jericho wylądował kawałek dalej i gdy kroczył do powalonego pojazdu mieszczącego jego zdobycz, ostatni z żołnierzy posłał w jego stronę strzałę.

Baron złapał ją w locie.

Żołnierz wybałuszył oczy.

Jericho obrócił pocisk i posłał go z powrotem do nadawcy. Zanim mężczyzna zdążył uciec przed nieuniknionym losem, strzała ugodziła go między oczy, przewracając.

Baron podszedł do pojazdu w gotowości, z szeroko rozpostartymi skrzydłami. Duchowny torturował go przez lata, by pokazał swoją prawdziwą postać, i teraz ją ujrzy. W swoich ostatnich chwilach biskup pozna wynaturzonego potwora, który okaże mu podobną litość, jaką on sam okazywał chłopcu przez tyle czasu.

Drzwi pojazdu się otworzyły. Jericho cofnął dłoń do ciosu, lecz zatrzymał ją w pół uderzenia.

Ze środka nie wyłonił się biskup, tylko młody zakonnik o związanych rękach i ustach zaszytych nicią.

Szok ścisnął Jericho klatkę piersiową, gdy przytrzymał zataczającego się mężczyznę i rozglądał się za biskupem. Słyszając ciche jęki zakonnika, rozciął mu szwy sztyletem.

– Uratuj ją – wycharczał mężczyzna.

Nie minęła nawet sekunda, gdy czubek głowy zakonnika rozcięła strzała. Jericho podniósł wzrok i ujrzął kolejnego członka Pentacrux, który musiał kryć się w pojeździe, uciekającego w kierunku lasu, ale nie zawracał sobie nim głowy.

Czując wzburzoną w piersi panikę, położył zakonnika na ziemi i wzbił się w powietrze.

Wracał do Praeceptii.



„Rzeka! Rzeka!”

Kakofonia głosów wołała do niego, gdy Jericho leciał przez las. Gałęzie uderzały go w nogi, gdy zszedł niżej, by rozglądać się po ziemi. Baldachim drzew otworzył się na polanę, na której dostrzegł rzekę.

Wśród ciemności leżała postać w bieli. Gdy sfrunął jeszcze niżej, zauważył delikatną tkaninę unoszącą się na powierzchni wody, tańczącą wokół śpiącej twarzy Lustiny. Wylądował na brzegu, czując, jak każdy mięsień w jego ciele się napina.

Gdy parł przez płyciznę i woda chlupotała mu wokół butów, niezmierna groza i niedowierzanie wiły się w nim niczym cierniste pnącze, rozrywając mu serce. Ledwo mogąc zaczerpnąć tchu, uniósł jej zimne i bezwładne ciało, z którego obwisła tkanina. Zaniósł ją na brzeg i opadł na kolana.

Jej twarz rozmazała mu się za zasłoną łez, gdy układał sobie dziewczynę na kolanach i gładził jej bladą, anielską twarz.

– Lustino – wyszeptał, całując wargi, z których uszła już ciepłota życia. – Obudź się dla mnie.

Nie poruszyła się. Nawet nie drgnęła mu w ramionach.

Spanikowany, uniósł jej twarz i wdmuchnął jej powietrze do ust.

– Obudź się dla mnie, proszę.

Nie chciał uwierzyć, że ona już się nie obudzi. Że ktoś tak niewinny, tak dobry, mógł zginąć w tak okrutny i bezsensowny sposób. Złożył ją na ziemi i wciąż raz za razem wdmuchiwał dech w jej nieruchome ciało w nadziei, że przyjmie któryś z haustów i się podniesie.

– Proszę – błagał. – Nie idź do światła, które cię przyzywa. Wróć do mnie. Posłuchaj mojego głosu, Lustino. – Złapał ją za tył głowy, oparł policzek o jej policzek i szeptał jej do ucha: – Wróć do mnie, a ja cię znajdę.

Czekał. Znow w nią tchnął. I czekał.

Wciąż się nie poruszała.

Jej oczy nawet nie drgnęły, inaczej niż we śnie, podczas którego czasami ją obserwował, zachwycając się jej pięknem. Słodka woń witalności zanikła, zastąpiona czymś, co paliło go w gardle. Jej wargi nie układały się do jedyne go uśmiechu, który był w stanie wypełnić jego pierś tęsknotą. Zamiast tego leżała nieruchomo. Tak bardzo nieruchomo.

Gładził jej miękkie policzek, a rytm jego serca zwolnił do tempa bliskiego śmierci.

– Lustino – wyszeptał.

Pragnął usłyszeć jej głos, ten słodki, melodyjny głos, który uspokajał targającą nim burzę. Poczuć ciepło jej skóry zamiast zimnego, sztywnego wrażenia śmierci. Zdusił łzy, które piekły go w oczy, i drżącą dłonią pogładził jej mokre włosy, gdy dopadła go rzeczywistość.

Wziął ją na ręce, przytulił do siebie i odchylił głowę. Odległy dźwięk zagrzmiął mu w czaszce, przepełniony nieszczęściem i desperacją, a gdy Jericho usłyszał go wyraźnie, uświadomił sobie, że wyrывa się on z jego piersi. Czując, jak jej jedwabiste, wilgotne włosy spływają mu z palców, kołysał się w przód i w tył.

Lustina.

Wszystko, o czym kiedykolwiek marzył, wszystko, czego pragnął w tym okrutnym świecie, leżało teraz nieruchomo w jego ramionach, zupełnie nieosiągalne. Jakże bezlitosny był los, który obdarował go ciepłem i światłem, odrobiną zadowolenia w zimnej i ponurej rzeczywistości, a potem mu to odebrał.

Przez zdawałoby się wieczność pozwalał, żeby ból wciągał go w otchłań. Zapukał się głębiej niż kiedykolwiek dotąd. Tamtejszy mrok miażdżył mu wnętrzności, ścisnął płuca.

Nie był w stanie oddychać.

Nigdy już nie będzie następnej Lustiny. Nigdy już nie zazna ciepłoty słońca ani smaku słodkich jagód. Nie poczuje woni kwiatów, będącej częścią niej w tym samym stopniu co uśmiech rozświetlający jej twarz.

Jej kruczoczarne włosy i oczy jak gwiazdny pył.

Jej szczodre, łagodne serce.

Wyślizgnęła się z jego świata niczym kruchy liść niesiony wiatrem. Pragnął gonić ten liść po kres

czasów.

– Ten świat nigdy na ciebie nie zasługiwał. – Uniósł ją do swojej twarzy, przycisnął wargi do jej warg. – Będę cię szukał w Nocnym Cieniu. Tak długo, jak tylko będzie trzeba. Znajdę cię i sprowadzę do domu. Pamiętaj mnie.

Popatrzył na nią i przesunął kciukiem po jej piętnie Pentacrux, gdzie srebrzyste spirale podświetliły jego sigil wciąż ukryty w jej skórze. Gdy znów na nią spojrzy, rozpozna ją natychmiast. Sigil był nierozzerwalny i wiążący.

Niezależnie od wszystkiego. Za życia. Po śmierci.

Na wieczność.

W oddali dźwięk dzwonu kpiąco ogłosił podzwonne. Ból tkwiący w jego środku szarpał mu pierś niczym bestia pragnąca się wydostać.

„Nie szukaj zemsty” – mówiły mu głosy.

Baron pokręcił głową, zaciskając zęby od wściekłości buzującej w nim niczym w rozpalonym kotle.

– Nie mogę pozwolić, żeby to nie zostało naprawione.

„Poniesiesz niezmierzone konsekwencje”.

– Dla niej jestem gotów płonąć przez wieczność w ogniu.

„Nie szukaj zemsty”.

Głośne, przeszywające brzęczenie wrzeszczało mu w uszach. Baron wzdrygnął się, a szczeka opadła mu od bolesnego doznania, które wibrowało mu w głowie.

– Wypieram się was wszystkich! Cała Praeceptia spłonie za to, co jej zrobiliście!

Po niebie przetoczył się grzmot.

Brzęczenie ustało, a on otworzył oczy i ujrzał czerwień. Krwawą czerwień. Barwę księżyca.

Znak.

Wsunął dłoń pod jej nogi, uniósł Lustinę w ramionach i poniósł ją przez ciemny las aż na jego skraj. W oddali pochodnie Pentacrux rozświetlały nocne niebo. Stali przed wejściem do klasztoru, chroniąc swojego cennego biskupa.

Nie będzie żadnej ochrony.

Żadnej litości.

Ani dla biskupa, ani dla ojca Jericha.

Położył Lustinę delikatnie na ziemi i drżącą dłonią pogładził jej włosy. Wyglądała tak spokojnie. Anielsko.

Ekspłodowała w nim wrząca dotąd wściekłość i wystrzelił w powietrze. Czuł w skrzydłach mrowienie, moc zebraną w piórach, zupełnie jakby tkwiły w nim tysiące błyskawic. Stado kruków zatoczyło wokół niego krąg, przyciągnięte wibracjami, które rozlewały się od niego, ogrzewały mu skórę. Uniósł dłonie i strumienie poszarpanego światła przemknęły mu pomiędzy palcami. Skierował wzrok na mężczyzn poniżej i słyszał ich okrzyki, gdy szykowali się do walki, której nie mogli wygrać.

Jericho odchylił pięść i gdy uderzył nią w powietrze, błyskawice pomknęły ku zbrojnym z siłą, od której na kamiennych murach klasztoru pojawiły się pęknięcia. Drewno i słoma w pobliżu stanęły w płomieniach.

Pomknęły ku niemu ich strzały. Jedna z nich przebiła mu nogę, inna biceps, ale jedynie złamał ich drzewca i posłał kolejne błyskawice na żołnierzy.

Odgłos ich wrzasków, gdy płonęli żywcem, unosił się w niebo, odbijał echem wszędzie wokół niego, a on rozkoszował się ich żalobnym trenem.

Czuł się dobrze, siejąc zniszczenie. Tak dobrze, że znów zalał ich swoim gniewem, a następnie minął klasztor i skupił się na sąsiadującej z nim osadzie. Kolejne promienne uderzenia wypędzały wrzeszczących wieśniaków z domów. Matki tuliły dzieci. Ojcowie zaganiali zwierzęta. Biegali tam i z powrotem niczym wystraszone myszy.

Nie czuł wyrzutów sumienia z powodu okrzyków niewinnych, którzy błagali go o litość.

Nie czuł niczego.

Nie minęło wiele czasu, zanim cała Praeceptia stała się niczym jeden wielki stos.

Jericho wrócił do klasztoru i ujrzał płomienie buchające z okien oraz dzwonnicy. Brzęk starego metalu okazał się jedynym ostrzeżeniem, zanim masywny dzwon pękł i spadł na ziemię w pióropuszu iskier, które

wzniosły się w niebo. Wszędzie wokół niego ciała trzaskały i płonęły. Ci, którzy wciąż żyli, błagali o pomoc. Ignorując ich, zmierzał do katedry.

W łuku drzwi prowadzących do krypty dostrzegł kulącą się sylwetkę i gdy się zbliżył, uświadomił sobie, że to biskup. Z oczyma wybałuszonymi ze strachu starzec wpatrywał się w niego, dłonią zasłaniając twarz pełną pęcherzy od oparzeń.

Jericho podszedł do niego. Skrzydła wciąż mrowiły go od pulsującego w nim pragnienia zemsty.

– Mam do ciebie tylko jedno pytanie: dlaczego?

– Gdyby nie twoja zła natura, mógłbyś być skłonny do czynienia dobra.

– Odpowiedz na pytanie! Dlaczego ona? Była jedyną dobrą osobą w tym miejscu. Na tym świecie.

Biskup ścisnął różaniec owinięty ciasno wokół swojej drżącej dłoni, zupełnie jakby modlitwą mógł odwlec swój los.

– Zrodziła się ze zła. Była przeklęta. Jak jej matka.

– Jak każda matka, która sprzeciwia się twojemu złu i okrucieństwu.

– Twoja matka nie miała wyboru. A gdybym miał na tyle roztropności, żeby to przewidzieć, kazałbym szybciej zabić Lustinę. Zanim twoje uczucia wszystko skomplikowały. Czy szczerze wierzysz, że ochrzciłbym tak wstrętne stworzenie w naszej świętej wierze? Wiedziałem, co zaplanowałaś, chłopcze. Wyczułem żądzę krwi w twoim oddechu w chwili, gdy twoja matka odeszła.

Jericho to podejrzewał, ale aż do tej chwili nie pojmował w pełni, jak wielki wstręt czuł do niego biskup. Fakt, że był gotów zrezygnować z podróży do Rzymu, z okazji do ugruntowania swojej władzy w Praeepsii, żeby tylko zagwarantować, iż Lustina umrze, oznaczał poziom wrogości, jakiego baron się nie spodziewał.

– Przyznam jedno – paplał dalej duchowny. – Że cię nie doceniłem. Twojej mocy, która wykracza ponad wszystko, co mógłbym sobie wyobrazić. Ale teraz to już nie ma znaczenia, prawda?

– Dlaczego?

– Nie wiesz? – Biskupowi wyrwał się chichot, który przeszedł w kaszel wywołany gęstniejącym wokół nich czarnym dymem, gdy zniszczenie zasiane przez Jericha zbierało dalsze żniwo. – Ona jest przeklęta. Żeby się odradzać. Raz za razem. By nigdy nie pamiętać swojej przeszłości. A w wigilię pentady krwawego księżycy będzie ginęła w ofierze. Tak zostało zapisane w piśmie i tak się stanie.

Mgliste wspomnienie prorocstwa wydobyło się z gąszczu myśli w głowie barona.

– Ofierze dla kogo?

– Dla ciebie. A ty zostaniesz wygnany z tego świata w karze za zemstę, jaką na nas wywarłeś.

– Mogłeś pozwolić jej żyć. Ocalić siebie i swoje miasto.

– Złu nigdy nie wolno okazać litości. Inaczej będzie rosło niczym winorośl, która pewnego dnia zadusi prawych. Duszom niewierzących przeznaczony jest szczeznąć w ogniu!

Tym razem to Jericho się roześmiał, okrutnie i nienawistnie.

– Wciąż wierzysz, że zostałeś wybrany.

– Jesteśmy jedynymi wojownikami Świętego Ojca. Jedynymi prawdziwymi aniołami zemsty.

– Zatem staniesz się aniołem. – Jericho wyciągnął rękę, złapał biskupa za kołnierz szaty i pociągnął go przez dziedziniec, przez płomienie i szczątki spalonych ciał, aż za mury klasztoru.



Jericho podniósł wykonany naprędce krzyż, do którego przybił biskupa. Skóra na jego plecach została rozcięta i przygwożdżona do drewna po bokach na podobieństwo anielskich skrzydeł.

Nadszedł poranek, ale w charakterze ponurego ła zostały jedynie spopielone resztki prosperującego niegdyś miasteczka. Grupki kruków żerowały na spalonych zwłokach, kracząc i walcząc ze sobą o strzępy mięsa.

Biskup, na którego bladej twarzy malował się wyraźny szok, wpatrywał się z góry w Jericha i z każdą chwilą opuszczały go siły życiowe.

– Przebaczenia... – wyszeptał, dysząc ciężko.

Nieporuszony Jericho przekrzywił głowę.

– Nie dla ciebie.

Czarne cieniste sylwetki krążyły w górze, a kruk przysiadł na wyciągniętej ręce duchownego, przybitej do drewna metalowymi krzyżkami, które Jericho pozbiierał ze spopielonych trupów żołnierzy. Słyszac krakanie ptaka, kolejne kruki zebrały się wokół umierającego starca. Dźgały jego ciało dziobami, a spomiędzy jego warg wydobywały się okrzyki bólu.

Żerowały na jego ranach jak na trupie, a Jericho w tym czasie obserwował zapadającą w górze ciemność.

Już niedługo.

Strażnicy przyjdą po niego, tak jak zapowiedziała matka.

Z ciałem pokrytym krwią biskupa, pospieszył z powrotem do lasu i odszukał Lustinę, wciąż leżącą na skraju drzew, gdzie zostawił ją poprzedniej nocy. Ani jeden ptak czy inne zwierzę nie zakłóciły jej spokoju.

Ze łzami w oczach padł na kolana obok niej i wtulił się w jej ciało, przyciągając je do siebie.

– Nie mam wiele czasu, ale to, co mi zostało, pragnę spędzić z tobą. Chcę zapamiętać twoją twarz, żeby móc ją znowu odnaleźć. – Pogładził jej policzek, który nocą stał się chłodniejszy, i po raz ostatni pocałował jej wargi. – Nie zapomnij mnie, Lustino. Nie zapomnij o mojej miłości do ciebie.

Jericho

Trzymając jej bezwładne ciało w ramionach, wniósłem Farryn po schodach do jej pokoju i położyłem na łóżku. W drodze powrotnej do katedry, gdy nie powiodły się jej próby uwiedzenia mnie w wywołanym narkotykiem odurzeniu, wreszcie zasnęła mi na kolanach. Ponieważ niewiele wiedziałem o zażytej przez nią substancji, postanowiłem zostać przez chwilę i obserwować jej oddech. Skłamałbym, mówiąc, że zadanie pilnowania jej we śnie nie sprawiało mi przyjemności. Z trzepoczącymi powiekami wyglądała tak spokojnie. Błogo. Odsunąłem jej z twarzy kosmyk włosów i wtedy kątem oka dostrzegłem coś, co przykuło moją uwagę.

Znak na jej ręku.

Nachyliłem się i rozpoznałem znajomy kształt. Linie i przecięcia składające się na symbol Pentacrux. Jego krawędzie miały nieregularny kształt znamienia. Przesunąłem po nim palcem. Gdy srebrne symbole rozjarzyły się pod moim dotykiem, zmarszczyłem brwi i znów popatrzyłem na jej twarz.

Sigil ukryty w znamieniu na jej skórze.

Znów musnąłem go palcem i ukazał się lśniący sigil.

Amreloc aehter'nu. Wieczna miłość po pri'scuciańsku.

Nieproszona i uwolniona.

Raz stracona i dwukrotnie odnaleziona.

Gdy wypowiedziałem te słowa na głos, sigil zajaśniał łagodnie, jego skomplikowane symbole rozjarzyły się elektrycznością, a mnie jakby znikąd poraził błysk wspomnienia, tak wyraźny i potężny, że wyciągnąłem dłoń, przekonany, iż zdołam go dotknąć.

Dziewczyna z kruczoczarnymi włosami biegnąca przez las. Jej uśmiech, dzięki któremu oczy stają się bardziej promienne. Śmiech odbijający się echem wokół mnie, gdy ją gonię. Miękkie opuszki palców na mojej twarzy, gdy ona leży pode mną.

Dalsze wizje z pamięci prześlizgiwały mi się przez umysł istną falą przyboju, wpadały na mnie wszystkie naraz.

Obserwowanie jej przez okno, gdy śpi. Wymykanie się nocą do lasu ręką w rękę. Wyraz ekstazy ogarniający jej oblicze.

Pojawiały się jedna po drugiej, a ja starałem się utrzymać uwagę na każdej z nich.

Białe macki tkaniny tańczące wokół jej śpiącej twarzy, gdy leży w wodzie. Padanie na ziemię obok niej i przeklinanie Niebios. Ból. Niewyobrazalny ból rozrywający mi serce, smagający mnie niczym kolczasty bicz. Ogień i wrzaski. Błyskawice i krew. Tak dużo krwi. Szeptanie do jej ucha. Moje palce sunące po sigilu. Obietnica. Przysięga nieśmiertelnej determinacji.

Wszystkie wspomnienia z mojej przeszłości wpasowały się idealnie w swoje miejsca na osi czasu w moim umyśle. Mogłem poukładać to, co było wcześniej i później, bez czarnych luk. Bez wrażenia, że czegoś brakuje. Pustka wypełniła się po brzegi i przelewała z każdą wypełnioną cierpieniem chwilą.

W mojej głowie rozbrzmiał głos: „Ona jest przeklęta. Żeby się odradzać. Raz za razem”. Słowa biskupa Venable. Gdy o nim pomyślałem, pradawna nienawiść obudziła się w moim wnętrzu z mrocznego i nieosiągalnego dotąd miejsca.

Mój wzrok padł na dziewczynę leżącą na łóżku. Farryn. Tylko że to nie było jej imię. Pięść szoku zacisnęła mi się wokół płuc.

Padłem na kolana przy łóżku i przyglądałem się jej twarzy. Każdemu centymetrowi charakteryzującemu się niezaprzeczalnym podobieństwem. Idealnej replice dziewczyny z mojej przeszłości. Była tak piękna i nieskazitelna, że nie wydawała się rzeczywista.

Czy to było możliwe? Czy niebiosy mogły okazać się tak litościwe, żeby oddać mi to, co ukradły? Na pewno nie po tym, co uczyniłem. Nie po zemście, jaką wywarłem. Po żywotach rozszarpanych w jej imię.

Uniosłem dłoń do twarzy, by poczuć słodki zapach jej skóry, która zabrała mnie do czasów młodości.

– Lustino – wyszeptalem i pocałowałem wewnątrz jej dłoni.

Ból zapulsował głęboko w mojej piersi. Z początku nie zorientowałem się, że to moje serce ożyło na nowo, że znowu dla kogoś biło.

Lustina! Jej imię było na moich wargach modlitwą, która doczekała się odpowiedzi. Pierwszym tchnieniem po tym, jak tyle czasu tkwiłem pogrzebany żywcem w bólu. Pięści piekły mnie od pragnienia, żeby podnieść ją z łóżka i zabrać do miejsca, gdzie nikt nigdy jej nie znajdzie. Moja Lustina. Wreszcie została mi zwrócona.

Nie istniała siła, ani na tym świecie, ani na żadnym innym, która mogłaby znowu mi ją odebrać.

Jericho

Dziesięć lat wcześniej...

New Haven, Connecticut

Ściskając książki przy piersi, szła żwawym krokiem po chodniku, co jakiś czas oglądając się przez ramię, jakby wyczuwała, że za nią podążam. Miała jedynie piętnaście lat i wciąż była dla mnie nieco za młoda, ale już zaczęła rozkwitać kobiecymi krągłościami i bystrym umysłem. Niemniej to właśnie jej niewinność najbardziej kojarzyła mi się z dziewczyną z mojej przeszłości.

Z Lustiną.

Tylko że jej nowe imię, to, z którym się urodziła, brzmiało Farryn. Na myśl o niej czułem w piersi pulsowanie i ból. Fakt, że mógłbym ją porwać w każdej chwili i jej ojciec nigdy by się nie dowiedział, co się z nią stało, stanowił pokusę, która dręczyła mnie każdego dnia od chwili jej narodzin. Ale zamierzałem zaczekać.

Czekałbym tysiąclecia, żeby znowu ujrzeć jej twarz, więc kilka lat więcej mnie nie zabije.

W powietrzu niosła się jej woń, cudna jak ambrozja, od której ślina podchodziła mi do ust – słodki aromat witalności. Tęskniłem za dniem, gdy posmakuję go z jej ust i będę mógł go wdychać.

Krótką spódniczka mundurka kołysała się w rytm jej kroków, przyciągając uwagę do długich, szczupłych nóg. Poczułem irytację skłaniającą mnie, żeby je zakryć, żeby nikt inny nie mógł na nią spoglądać w ten sposób.

Ale ktoś ją zauważył.

Mijany przez nią starszy mężczyzna siedzący na ławce na przystanku autobusowym. Obserwowałem, jak oblizwał wargi, jak przyglądał się jej od góry do dołu i ścisnął sobie krocze. Odprowadzając ją wzrokiem, wyprostował się na ławce, zupełnie jakby miał czelność za nią podążyć.

Niczego więcej nie pragnąłem bardziej, niż posłać tego dupka w stratosferę. Zamiast tego siłą woli wywołałem ostry, przenikliwy ból w jego kroczu. Doznanie podobne do tego, jakbym wcisnął mu jaja do gardła i zacisnął tysiąc gumek recepturek na jego kutasie. Starzec skulił się z jękiem w pół, chwytając się za pachwinę, a potem osunął na kolana, gdy go mijałem. Uśmiechnąłem się ironicznie, patrząc, jak jego twarz przybiera niezdrowy odcień fioletu. Choć bardzo chciałbym skrócić mu kark, nie mogłem pokpić sprawy. Aż dotąd nie zauważyli mnie inni Strażnicy. Sama myśl o zabiciu niewinnej osoby zapewne umieściłaby mnie na ich radarze.

Zanim dotarłem do domu Farryn, zdążyła już wejść do środka.

Do moich uszu dobiegły wrzaski. Jej wrzaski. Pełne strachu.

Napiąłem mięśnie, wpadłem do małego bungalowu i podążyłem za odgłosami na piętro.

Rozwarłem drzwi do łazienki i ujrzałem jej ojca kłęczącego przy wannie i trzymającego jej głowę pod wodą. Powodowany furią i adrenaliną, rzuciłem się na niego. Czas wokół mnie wydawał się gwałtownie zwolnić.

Augustus trzymał wyciągnięte ramiona. Krople wody wisiały w powietrzu. Dłonie Farryn wczepiały

się w ręce ojca.

– Co za absolutny dziwak.

Obróciłem się na dźwięk znajomego głosu i ujrzałem Virgila stojącego w korytarzu. Upadły anioł mógł oddzielić się od swojego ludzkiego gospodarza jedynie podczas przerwy w czasie. I nie wszyscy Upadli potrafili manipulować czasem oraz przestrzenią. Jedynie ci wyżsi rangą i tylko przez chwilę, ponieważ pochłaniało to większość ich energii.

– Wypuść go – wycodziłem przez zaciśnięte zęby. Wyraźnie wpłynął na mężczyznę, żeby skrzywdził swoją córkę, bo inaczej Augustus nie tknąłby jej nawet palcem.

W chwili, gdy otoczenie znów ruszyło, Virgil wślizgnął się na powrót w Augustusa, a woda prysnęła. Farryn broniła się przed ojcem, wierzgając nogami i wymachując rękoma.

– Jesteś pomiotem samego Lucyfera! – wrzasnął oszalałym głosem.

Rzuciłem się do niego i odtrąciłem go od dziewczyny, posyłając jego ciało na ścianę korytarza. Choć wybił w niej dziurę, podniósł się i zaszarżował na mnie, wciąż opętany przez Virgila.

Zacisnąłem mu dłoń na gardle i wyciągnąłem z łazienki do przedpokoju. Jego ruchy były nienaturalne jak na mężczyznę w tym wieku i choć siłą nie mógł się równać z Upadłym, zyskał część mocy Virgila. Gdy próbował przedostać się z powrotem do łazienki, znowu go odrzuciłem – i tym razem przytrzymałem przy ścianie. W jego zwykle zielonych oczach błysnął bursztynowy ogień.

Przyłożyłem mu klingę do gardła i zagryzłem zęby.

– Dość tego! Wypuść go!

Wargi starca rozciągnęły się w uśmiechu.

– Nie ośmieliłbyś się chyba zabić niewinnego, prawda, Jericho? – Choć padło to głosem Augustusa, słowa Virgila zadziały na moje sumienie.

– Wróć. Zostaw ją w spokoju.

– Nie ma takiej szansy. – Augustus zacisnął powieki, odchylił głowę w tył, tak że obwisła mu żuchwa, i wciągnął gwałtownie powietrze. Gdy na nowo otworzył oczy, były one zielone.

– Kurwa! – Puściłem go, a on pomknął korytarzem do łazienki i stwierdził, że dziewczyny tam nie ma. Szybko jak błyskawica zbiegłem po schodach i pogałem przez dom na tylne podwórko, przez które szedł Virgil, trzymając na ramieniu mokre, obwisłe ciało Farryn. Nie zamierzałem umożliwić mu przejścia na drugą stronę, bo byłem pewien, co zamierza z nią zrobić, rzuciłem się więc naprzód i wpadłem na niego, wytrącając mu dziewczynę z rąk.

Odgłosy kasłania i chwytania powietrza utonęły w stękaniu Virgila, gdy wbiłem mu pięść w twarz. Cios za ciosem okrwawiałem mu wargi i nos. Cofnąłem rękę do kolejnego uderzenia.

– Farryn!

Dźwięk głosu Augustusa sprawił, że na chwilę straciłem uwagę. I wtedy pięść Virgila grzmotnęła mnie w żuchwę, odtrącając mi głowę na bok, a od impetu uderzenia zadzwoniły mi zęby.

Czując, jak na nowo ogarnia mnie złość, odchyliłem pięść, ale zatrzymałem ją w pół uderzenia.

Cień padł na nas obu.

Otoczenie pociemniało, popołudnie zamieniło się w barwy zmierzchu.

Szybkie zerknięcie na Virgila pokazało mi, że rozgląda się dookoła, równie zaskoczony jak ja.

Strażnicy.

Niewątpliwie znaleźli mnie.

Groza zaległa mi w żołądku. Oderwałem się od niego i ruszyłem w stronę Farryn, która leżała nieprzytomna na plecach, a jej pierś wznosiła się i opadała w rytm oddechów. Jej ojciec również zemdlał obok niej, niewątpliwie w wymuszony sposób, ponieważ Strażnicy nie zamierzali ryzykować, iż ujrzyłyby ich ludzkie oczy. Pośpiech podpowiadał mi, żeby zgarnąć dziewczynę i uciec.

Teraz. Nadciągali.

– Obiecałeś, że wrócisz. Żeby dla mnie pracować. Zamiast tego widzę, że usychasz z tęsknoty za ludzką nastolatką. To perwersyjne, nawet jak na ciebie, przyjacielu.

Słyszając cień groźby w głosie Virgila, obróciłem się i ujrzałem, że mierzy strzałą do Farryn.

Sledziłem każdy jego ruch, gotów skoczyć przed pocisk.

W jego słowach kryło się nieco prawdy. Nasza umowa polegała na tym, że Upadli przemycą mnie do ziemskiej krainy pod osłoną ciemności. Z wykorzystaniem typowej dla nich esencji, która ukryje moją naturę.

Naprawdę niezła sztuczka, a ponieważ tak się składało, iż byłem półdemonem, nie wyrządzała mi krzywdy, w przeciwieństwie do wielu innych, którzy ucierpieli z jej powodu. Dopóki tylko nie stosowałem swoich mocy, sprawiałem wrażenie pomniejszego demona. A co w zamian? Miałem dostarczać dusze. Czyste ludzkie dusze pomagające Virgilowi w zwiększaniu rangi.

– Dałem ci piętnaście lat – paplał dalej. – A ty dałeś mi nic. Ani jednej maleńkiej duszyczki pomimo tego wszystkiego, co dla ciebie zrobiłem. Czy zdajesz sobie w ogóle sprawę, o jaką stawkę toczy się ta gra? Pomoc wygnanemu w powrocie do tego przekłętego miejsca to podstawa dla Ex Nihilo.

Cień przesunął się po ciemnym niebie, znów przyciągając mój wzrok w górę.

– Zatem wróć teraz. Puść ją, to wróć z tobą. – Na myśl, że mógłbym z niej zrezygnować, czułem się tak, jakby w żołądek wbijały mi się klingi, ale nie mogłem ryzykować, że stanie się jej jakakolwiek krzywda. Poza tym już raz znalazłem drogę do ziemskiej krainy. Byłem pewien, że uda mi się to ponownie. Virgil nie był jedynym upadłym władcą desperacko potrzebującym dusz.

Pokręcił głową, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Nie sądzę. Widzisz, mam wrażenie, że ona znaczy dla ciebie zdecydowanie zbyt wiele. Masz w ogóle pojęcie, jak cenne to może być dla mnie? Jak niezwykle cudownie będzie posiadać coś, czego tak mocno pragniesz? Jej dusza uwięziona przeze mnie na wieczność będzie oznaczała, że będę posiadał ciebie na wieczność.

Zacisnąłem pięści, czując kotłującą się we mnie energię. Skry elektryczności pulsowały w moich żyłach niczym ogień.

Nie rób tego.

Użycie mojej najbardziej śmiertelnej mocy tylko przypieczętowałoby mój los.

– Zabawmy się. – Zachichotał i wypuścił strzałę, posyłając ją w kierunku czaszki Farryn.

Rzuciłem się na jej spotkanie.

Wszystko wokół mnie znów się zatrzymało, w tym Virgil i strzała.

W rozbłysku niemożliwie jasnego światła trzy postacie zstąpiły z nieba i stanęły na ziemi niedaleko ode mnie. Ich skrzydła były czarne, jak moje, ale w przeciwieństwie do mnie ich właściciele okazali się godni Niebios. Ta sama trójka zawlokła mnie do Nocnego Cienia przed stuleciami, po tym jak spaliłem Praeceptę. Jako pół anioły, pół demony zaliczyli próby i zasłużyli sobie na miejsce wśród mrocznych wojowników polujących na zło.

Ten o imieniu Adimus podszedł do mnie z nieodgadnionym wyrazem na stoickiej twarzy.

– Znowu nam się sprzeciwiłeś, Jericho.

– Ona się odrodziła. Została mi zwrócona.

– Ona nie należy do ciebie! Nigdy nie należała! – Założył ręce za plecami i przechadzał się przede mną.

– Czy jesteś w ogóle świadom, jakie dary posiadasz? Jaką wartość mógłbyś przynieść Niebiosom?

– Nie jestem zainteresowany toceniem waszych wojen.

– Wolałbyś gnić w życiu pozagrobowym?

– Pozwólcie mi ją mieć, a zrobię wszystko, czego chcecie. – Miałem na to małe szanse, ale skoro tak bardzo mnie pragnęli, być może zrobią wyjątek.

– Ludzka dziewczyna jest zakazana.

– Zatem dlaczego umieszczacie nas wśród nich? Dlaczego pozwalacie nam ukochać ich wonie, ich skórę, ich głosy?

– Żeby przetestować waszą lojalność i wiarę. Jeśli tak łatwo może cię skusić ludzka dziewczyna, oznacza to, że jesteś słaby! – To ostatnie słowo wycedził, jakby poczuł nieprzyjemny zapach w powietrzu, a jego barki spięły się w nieokiełznanym gniewie. Widziałem, jak płonie on w jego oczach.

Nie zważając na to, zachowałem opanowany, spokojny głos:

– Jeśli przybyliście, żeby mnie zabrać, nie krępujcie się.

– Żebyś mógł tu znowu wrócić? – Prychnął i pokręcił głową. – Jestem tu po to, żeby zaoferować ci wybór, Jericho. Odejdiesz stąd bez choćby jednego wspomnienia o niej. Albo zachowasz wspomnienia i będziesz patrzeć na jej śmierć.

Nie. Nie! Czekałem na nią zdecydowanie za długo. Czekałem na chwilę, w której się odrodzi.

– Wymazalibyście wszystko, co wiem?

– Nawet o twojej ukochanej Lustinie. – Brak emocji w jego głosie utwierdzał mnie w przekonaniu, że

nie jest to pusta groźba. Oczywiście stulecia mojego więzienia w Nocnym Cieniu dowiodły ich szczeroci. – Tak będzie lepiej. Stanowisz dla niej większe niebezpieczeństwo, niż zdajesz sobie z tego sprawę. A jeszcze większe dla tych, którzy wejdą ci w drogę. Albo jej zniszczenie, albo twoja dobrowolna ofiara. Decyduj.

Nigdy nie zniósłbym jej ponownej utraty, ale zapomnieć ją – jej delikatność, słodką woń niewinności, melodię jej głosu – to było piekło, którego nie umiałem sobie wyobrazić.

Czas znów ruszył, a strzała mknęła ku Farryn jak wcześniej.

Rzuciłem się przed nią.

Silny, straszliwy ból przeszył mi oko, gdy pocisk wbił mi się w ciało.

Upadłem na kolana i czekałem, aż niebiańska stal sprawi, że stanę w płomieniach – ale nie stało się tak. Jedyne pożoga niegasnącego bólu i szok pulsowały we mnie niczym lawa. Zdrowym okiem obserwowałem podchodzącego Adimusa.

– Mądrze wybrałeś – oznajmił.

Ogarnęła mnie czern.

Farryn

Ból ugodził moją czaszkę, gdy jęknęłam i odwróciłam się od światła wciskającego się przez zasłony. Bolały mnie nawet gałki oczne, tak mocno, że żałowałam, iż nie mogę ich wyciągnąć, żeby je rozmasować.

Gdy przekręciłam się na łóżku, dostrzegłam w kącie pokoju cienistą postać siedzącą na krześle. Wciągnęłam gwałtownie powietrze, usiadłam i szarpnięciem nóg oparłam się o zagłówek, co sprawiło, że iskra cierpienia przeszła mi nos. Wzdrygnęłam się i znów jęknęłam, czując paskudne pulsowanie w zatokach.

Postać wychyliła się do przodu w słabym blasku dochodzącym od okna, przez co światło padło najpierw na złożone dłonie, później na łokcie oparte na udach i wreszcie na twarz.

Część napięcia zniknęła z moich barków, gdy uświadomiłam sobie, że to on.

– Pan Van Croix. Co robisz w moim pokoju?

Zamiast odpowiedzieć, wpatrywał się we mnie, a intensywność jego spojrzenia kazała mi wrócić myślą do minionej nocy.

Przebłyski wspomnień stworzyły w mojej głowie upokarzający montaż scen. Dopasowany do melodii absolutnego zażenowania. Choć widziałam to jak przez mgłę, falą grozy zalewała mnie niewyraźna wizja, jak prosiłam go, żeby masował mi stopę, podczas gdy położyłam ją na jego kroczu i poruszałam palcami. Nawet dziura w środku ziemi nie byłaby dość głęboka, żebym mogła się w nią wczłgać. Czując, że płoną mi policzki, zapadłam się między poduszki.

– O Boże... Chyba robi mi się niedobrze.

– Jesteś głodna?

– Nie. Teraz nie zdołałabym niczego zjeść. – Zaciśnęłam powieki, żeby uniknąć jego wzroku, i zmusiłam się do zadania pytania dręczącego moją świadomość: – Posłuchaj... czy ja... to znaczy... czy my...

– Nie.

– Świetnie. – Szybkość, z jaką udzielił odpowiedzi, kazała mi się zastanowić, czy też czuł z tego powodu ulgę. – Dobrze wiedzieć.

– Czy zdołałaś uzyskać informacje, których szukałaś?

– Słucham?

– Od śpiewaczki z Balu Żęcia.

Śpiewaczka. Alicia. No oczywiście, pamiętałam, że z nią rozmawiałam, ale miałam wrażenie, że z moich myśli usunięto dźwięk. Nie przypominałabym sobie naszej rozmowy, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

– Niewiele pamiętam...

– Może to do ciebie wróci.

– Jasne. – Ból zapulsował mi z boku czaszki i potarłam się tam dłonią. Ból. Głowa. Wizja głowy zsuwającej się z barków na podłogę przesunęła mi się przed oczyma z powodów, jakich nie umiałam sobie wyobrazić. – Hej, mam zabawne pytanie... Czy ty... kogoś zabiłeś?

– Również niewiele pamiętam z minionej nocy. – Jak zwykle wpatrywał się we mnie, ale jego wzrok wydawał się jakby mniej badawczy. Bardziej zaciekawiony. – Powiedz mi, czym jest to znamię na twojej ręce?

Instynkt kazał mi opuścić ramię, żeby je osłonić.

– Mam je od dzieciństwa.

– To dziwne, że jest bardzo podobne do symbolu Pentacrux, o którym opowiadasz już od tygodni.

– I?

Sposób, w jaki mi się przyglądał z drugiej strony pokoju, sprawiał, że z jakiegoś powodu czułam się odsłonięta. Surowość jego spojrzenia sprawiała, że czułam się jak królik wpatrujący się w oczy – czy też w oko – pantery.

– Jest tak nietypowe, że można by pomyśleć, iż powinnaś była mi je pokazać. Może rzuciłoby to nieco światła na powód, dla którego wypytywałaś o Pentacrux.

– No tak. Chyba uznałam, że nie potraktujesz tego poważnie.

– Sama mówiłaś mi jakiś czas temu, że przy mnie czujesz coś znajomego.

– Czasami.

– Czy jesteś świadoma symboliki ukrytej w tym znamieniu?

– Co? W samym znamieniu? Wiem, że oznacza Pentacrux. – Prychnęłam w duchu.

Nie spuszczać ze mnie wzroku, podniósł się z krzesła i wyciągnął ku mnie dłoń, po czym skinął palcami w sposób, który odpalił we mnie wewnętrzne alarmy.

Z wahaniem oparłam rękę na jego oczekującej dłoni. Gdy przesuwając palcami po znamieniu, coś w mojej skórze zajaśniało i ukazały się maleńkie srebrzyste symbole, podobne do tatuaży na jego piersi.

Co, do...

Czując, że zapiera mi dech, cofnęłam gwałtownie rękę i potrząsnęłam nią, jakbym mogła w ten sposób zrzucić z niej świecące znaczki.

– Co to było? Co mi właśnie zrobiłeś?

– Nic ci właśnie nie zrobiłem.

– Zatem co tam miałam?

– Sigil. Konkretnie mój.

– Twój? Co to oznacza?

– Pamiętasz tę książkę, którą czytałaś? – podjął, a jego głęboki, niski głos odwrócił moją uwagę od targających mną myśli. – Wspominałaś podobieństwa opisanych w niej wydarzeń do twojego życia.

– Tak. To było dziwaczne.

Złożył dłonie za plecami i zaczął się przechadzać w nogach łóżka.

– A pamiętasz, jak mówiłaś mi o *es'ra*?

– Zjawiskach stąd, które są jakby echem rzeczy z mojej egzystencji?

– Tak. – Zatrzymał się i popatrzył mi w oczy. – Podobieństwa, których doświadczasz, to echa dawnego życia.

– Och, czyżby? W wolnym czasie zajmujesz się wróżbiarstwem?

Na jego twarzy nie ukazało się rozbawienie. Była irytująco nieodgadniona.

– Co osoba tak wykształcona jak ty myśli o reinkarnacji?

Wymknęło mi się brzydkie parsknięcie.

– Zważywszy, że zeskoczyłam z budynku i wylądowałam w alternatywnej krainie, chyba jestem dość otwarta na cokolwiek.

Skinął z aprobatą głową i znów zaczął chodzić.

– A gdybym ci powiedział, że tak uderzająco przypominasz Lustinę właśnie dlatego, że jesteś nią?

Nie uśmiechnął się.

Nie wzdrygnął, nie prychnął po swoich słowach, jak mogłabym oczekiwać. Nie dał mi żadnej wskazówki, że żartuje.

W przeciągającej się ciszy, która zapadła pomiędzy nami, poprawiłam się na łóżku.

– Czyli... gdy mówiłam, że jestem otwarta na cokolwiek, tak naprawdę nie chodziło mi o cokolwiek. Chodziło mi o rzeczy niemożliwie możliwe.

Widząc jego niewzruszone spojrzenie, odchrząknęłam.

– Próbujesz mi powiedzieć, że jestem dziewczyną sprzed kilkuset lat uwięzioną w dzisiejszym ciele?

– Odrodzoną.

– Aha. I wiesz to, bo...?

– Pytałaś mnie, dlaczego twoje wspomnienia tu nie gasną. Ludzka pamięć niknie, gdy czyjeś ziemskie życie dobiega końca. Twoje jeszcze się nie skończyło.

Siedziałam cicho z rozchylonymi ustami.

– Chodź ze mną. – Obszedł łóżko i wyciągnął do mnie rękę.

Z wahaniem pozwoliłam, żeby pomógł mi wstać, a gdy ujął moją dłoń, pod skórą rozgrzała mi ta ciepła wibracja, zupełnie jak minionej nocy.

Poprowadził mnie najpierw korytarzami, a później arkadami z łukowatymi otworami, w których górnej

części umieszczono witraże, dolna zaś była otwarta na wiatr przemykający przez moją koszulę nocną. Jeśli dobrze podpowiadała mi pamięć, były tu krużganki, gdzie przed wiekami mnisi medytowali i ćwiczyli.

Stanęliśmy przed drzwiami, które otworzył kluczem wyciągniętym z kieszeni. Z pobliskiego zaczepu wziął jedną z wiszących tam lamp i przesunął zapadkę, by otworzyć szklany kominek. Z otworu w ścianie zwisało antyczne mosiężne krzesiwo, którym skrzesał iskrę, żeby podpalić knot.

Była to tak zwykła czynność, a jednak wydała mi się dziwnie romantyczna. Lampa oświetliła kamienne ściany, gdy uniósł ją przed sobą, kluczami dzwoniąc o pałąk. Kręta klatka schodowa biegła w ciemność w górę i w dół, a my staliśmy na podeście. Znowu wziął mnie za rękę i poprowadził na sam dół, gdzie widniały kolejne łukowate, drewniane drzwi.

Przekręcił zamek jednym z kluczy, które wciąż trzymał w ręku, ale znieruchomiał, jakby wahał się, czy otworzyć drzwi.

– O co chodzi? – spytałam, zaciekawiona jego nagłym bezruchem.

– Od bardzo dawna nie byłem w tamtym pomieszczeniu. Nikt nie był.

– Co jest w środku?

Znużone, stare drewno zaskrzypiało, gdy pchnął drzwi, a kiedy uniósł lampę, wybałuszonymi oczyma wpatrywałam się w małe okrągłe pomieszczenie.

Naprzeciwko siebie miałam okno wychodzące na morze. Wnętrze było wypełnione sztalugami, paletami i malowidłami wszelkiego rozmiaru.

Wszystkie przedstawiały dziewczynę o ciemnych włosach, bladej skórze i plamkach koloru w oczach.

Zupełnie jakbym spoglądała na swoje portrety.

Chyba nigdy w życiu nie widziałam czegoś bardziej upiornego.

Stanęłam na środku komnaty, próbując normalnie oddychać, i wpatrywałam się w setki portretów ozdobionych pajęczynami i kurzem. Niektóre miały zmysłowy charakter – ukazywały krągłości i piersi przypominające moje. Inne były bardzo mroczne, z ponurymi akcentami śmierci i rozkładu: kobieta zanurzona w czymś, co wyglądało na morską głębię, a wokół niej unosząca się biała suknia.

– Pytałaś, skąd wiedziałem, że Lustina się odrodziła. – Podniósł z podłogi obraz ukazujący jej rękę z takim samym symbolem jak u mnie. – Została napiętnowana identycznym znakiem. Zrobili to z nienawiści ci, którzy się jej obawiali.

Przesunęłam palcem po symbolu, czując zamaszyste pociągnięcia pędzla zastygnięte w szorstką powierzchnię.

– To Lustina?

– Tak.

– A ty jesteś baronem z opowieści?

Niezasłonięte oko obserwowało mnie. Zignorował moje pytanie.

– Rozumiem, że może ci się to wydawać niepojęte.

Wyrwał mi się nerwowy chichot i pokręciłam głową.

– „Niepojęte” to mało powiedziane, panie Van Croix. Wchodzimy w krainę pełną pokojów bez klamek i kaftanów z długimi rękawami. – Kolejne rozejrzenie się po komnacie utwierdziło mnie w tej myśli. Wyraźnie widziałam przerażającą obsesję. – Dlaczego pokazujesz mi to dopiero teraz? Przecież musiałeś dostrzec podobieństwo, gdy się tu pojawiłam.

– To długa historia.

– Mam czas.

Gdy odstawił portret na podłogę, drgnął mu policzek, jakby chciał się uśmiechnąć.

– Rozpoznałem chwilę, w której się pojawiłaś. Wszystkim wokół mnie zatrzęsa potężna moc, a w piersi poczułem dotkliwy, nieopisany ból. Nie fizyczny, tylko tęsknotę. Byłem tu uwięziony na czas niezbędny do tego, żeby zasłużyć sobie na odkupienie po odwiecie, jaki wziąłem na Pentacrux. Topiłem swój smutek w tych obrazach, pragnąc zapamiętać każdy szczegół twojej twarzy. Byłem jednak zdeterminowany, żeby do ciebie wrócić. Odnalazłem Virgila. Tego, którego zamierzałem zabić zeszłej nocy.

Wciąż miałam zmacone myśli i nie potrafiłam sobie przypomnieć, żeby mówił o Virgилu, ale mgliście wspominałam rozmowę o zamordowaniu kogoś.

Bardzo mgliście.

– Obawiałem się, że Pentacrux znajdzie cię i znów mi odbierze. Poszedłem zatem na układ z Upadłym,

by mnie odesłał.

– A na czym polegał ten układ? – zapytałam.

– Faustowski pakt. Po powrocie do Nocnego Cienia miałem dołączyć do Upadłych.

– Nie wróciłeś.

– Nie potrafiłem. – Poruszył zuchwą w bok i przesunął po mnie wzrokiem. W jego oku płonęła tęsknota. – Nie po tym, jak cię zobaczyłem. Jak usłyszałem twój głos. Jak rozpoznałem twój zapach. Wiedziałem, że do mnie wróciłaś. Obserwowałem cię nieustępliwie. Czekałem na dzień, aż staniesz się na tyle dojrzała, żeby cię wykraść.

Znaczenie jego słów uderzyło mnie w pierś i aż zakrztusiłam się lekko z szoku.

– Zamierzałeś mnie porwać? Od moich rodziców?

– Tak. – Jego głos był pozbawiony skruchy i tak zimny, jak myśl, którą właśnie zasadził mi w głowie.

– W jakim wieku uznałeś mnie za wystarczająco dojrzałą?

– Będę z tobą szczerzy, Lustino. Wiek nie miał dla mnie znaczenia. Nie zamierzałem wziąć cię siłą jako dziecka, ale gdybyś była już na tyle dojrzała, żeby pożądać mężczyzny, na pewno bym się nie wahał.

Jezu. Wiek, w którym pożądałam mężczyzny? Zapewne miałam wtedy czternaście lat i nie potrafiłam wyobrazić sobie ówczesnej siebie w jego łóżku. To byłoby tak, jakby lew niewolił kotkę.

– Farryn. – Widząc jego zdezorientowaną minę, dodałam: – Nazwałeś mnie Lustiną.

– Jesteś tą samą osobą, niezależnie od imienia.

– Nie. Dorastałam w innych czasach, w innych okolicznościach. – Przejechałam dłonią po włosach, zmuszając mózg, by poszukał sensu we wszystkim, co usłyszałam. Odmówił. – Próbuję nie patrzeć na ciebie jak na zupełnego świra, ale im więcej mówisz, tym bardziej mi to utrudniasz. Szczerze nie wierzę w twoje słowa.

– Z czasem uwierzysz.

– Nie. Nie ma żadnego z czasem. Słyszałam, co dzieje się z tymi, którzy zostają tu zbyt długo. Nie mogę zostać, Jericho. Muszę wrócić.

– To niemożliwe. Przez stulecia oczekiwania pokonałem bezkresną pustkę czasu i przestrzeni, pragnąc znów ujrzeć twój twarz. Jeśli uważasz, że mógłbym cię teraz tak po prostu puścić, skoro los obdarował mnie czymś niewyobrażalnym, to nie poznałaś jeszcze głębi mojej obsesji. Jeśli chodzi o ciebie, Farryn, nie zna ona granic. Byłbym gotów walczyć dla ciebie z całym złem Piekieł, ale nie mam w sobie dość siły, żeby cię uwolnić. Nie zrobię tego.

Nie da się uciec?

Nie da się uciec?

Adrenalina i panika krążyły mi w żyłach. Tak subtelnie, jak tylko zdołałam, zerknęłam na drzwi za jego plecami, zastanawiając się, czy jestem w stanie go przegonić.

– Nie uda ci się – rzekł, przekrzywiając głowę. – Polowanie na ciebie okazałoby się nie większym wyzwaniem niż wyciągnięcie schwytej już muchy z pajęczyny. A nieszczególnie chcę się posuwać do tego, żeby cię zamknąć pod kluczem.

– Zatem wypuścisz mnie.

– Tego nie powiedziałem. – Kącik jego ust się uniosł. Wsunął dłoń do kieszeni i wyciągnął z niej monetę, którą na moich oczach bawił się już kilkakrotnie. – Chciałbym się z tobą o coś założyć.

– Nie lubię się zakładać.

– Przybyłaś tu z konkretnego powodu. Szukałaś ojca. Wyślę Sznyta, żeby się za nim rozejrzył. Jeśli gdzieś tu jest, ptaki go znajdą. Do tego czasu zostaniesz.

– Stado ptaków ma szukać mojego ojca?

Wzruszył niefrasobliwie ramionami.

– Są wyjątkowe.

– A jeśli nie zostanę?

– To nie podlega dyskusji.

Coś nieprzyjemnego zabulgotało mi w brzuchu, ale obejrzałam z ciotką Nelle wystarczająco wiele seriali policyjnych, by wiedzieć, że nie powinnam okazywać strachu.

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie, dlaczego wcześniej mnie nie rozpoznałeś.

– Jesteś bardzo bystra. Zgadza się, nie odpowiedziałem. Nie dokończyłem opowieści, prawda? Gdy

Virgil odkrył, komu poświęcałem tyle czasu, odszukał cię.

– Przyszedłeś po mnie.

– Zawsze. Byłem gotów zniszczyć wszystko, co weszłoby mi w drogę. Zatem Virgil sam ruszył po ciebie. Przekonał twój ojca, by cię utopił, żeby mnie ukarać. Niemal zabiłem Augustusa.

– Co cię powstrzymało?

– Nie mogłem zaryzykować, że Strażnicy mnie znajdą. Jako dziecko słyszałem ich często, ale w noc, gdy zemściłem się na Pentacrux, zamilkli i wygnali mnie do Nocnego Cienia. Kiedy zobaczyłem, że twój ojciec trzyma cię pod wodą, mogłem rozerwać go rękoma równie łatwo jak papier. Być może właśnie ta myśl okazała się dla mnie zgubą, bo i tak przybyli. Zaproponowali mi wybór: albo zginiesz na moich oczach, albo zapomnę cię na wieczność.

– Ty... Byłeś tam tego dnia? – Zimne macki niewiary popęzły mi po karku. – Nie. Nie mam pojęcia, skąd wiesz, co się wtedy stało, ale nie wierzę.

– W chwili, gdy podjąłem decyzję, świat znowu ruszył, a strzała przeznaczona przez Virgila dla ciebie trafiła w moje oko. Gdy się obudziłem, okazało się, że wróciłem do Nocnego Cienia jako więzień. Z moich wspomnień dotyczących ciebie zostały jedynie sny.

Położyłam dłoń na brzuchu. Czułam, jak chłodne mdłości wywołane szokiem kotłują mi się w żołądku.

– Nie czuję się za dobrze.

On jednak mówił dalej, pomimo zaniepokojenia, jakie musiało mi się malować na twarzy:

– W znamieniu na twoim ręku znajduje się sigil, który umieściłem tam dawno temu, żebym cię poznał, jeśli znowu cię zobaczę. Żebym sobie przypomniał. Żeby moja dusza rozpoznała twoją. Zobaczyłem go zeszłej nocy, gdy przywiozłem cię do domu. I przypominałem sobie wszystko. Każdą chwilę. Zupełnie jakby zostały przechowane w idealnym stanie.

– Przypomniałeś sobie Lustinę. Nie mnie.

Skrzyżował ręce, oparł się barkiem o ościeżnicę i obserwował mnie w milczeniu, a na jego obliczu widniał wyraz zadumy.

– Pamiętam dni, gdy padał deszcz, a ty siadałaś pod biurkiem ojca i czytałaś. Najbardziej lubiłaś baśnie ze szczęśliwymi zakończeniami. Pamiętam noc, kiedy zmarła twoja matka. Napisałaś do niej list, który włożyłaś do butelki i wyrzuciłaś w morze w nadziei, że go znajdzie.

– Ty... Skąd możesz to wiedzieć?

– Do czasu wygnania obserwowałem każdą chwilę twój życie – odparł bez zażenowania. – A gdy nie mogłem cię już dłużej obserwować, robił to Sznyt. Przez lata przekazywał mi swoje spostrzeżenia. – Uśmiech zmienił się na jego twarzy w coś trzeźwiejszego. – Niestety sam już cię nie pamiętałem. A on po jakimś czasie przestał dzielić się ze mną swoimi opowieściami.

– To nie może być prawdziwe. Niemożliwe. Nie jestem osobą, za którą mnie uważasz. Kimkolwiek była dla ciebie Lustina... ta wspaniała osoba, którą kochałeś... nie jestem nią. Jestem zwykłą dziewczyną z paskudną przeszłością i długimi okresami naprawdę paskudnego samopoczucia.

– Różne rzeczy można o tobie mówić, ale na pewno nie to, że jesteś zwykłą, panną Ravenshaw. – Uznanie, które błysnęło w jego oku, wydawało się obce, jakby nieprzeznaczone dla mnie. – Jako że nie czujesz się dobrze, polecę, żeby przyniesiono ci kolację do pokoju. W międzyczasie zgodzisz się, żeby zostać.

– Tylko jeśli będziesz szukać mojego ojca.

– Masz moje słowo.

– A skąd mam wiedzieć, że nie będziesz przeciągać poszukiwań tylko po to, żeby mnie tu zatrzymać?

– Nie możesz tego wiedzieć. A ja jestem na tyle przebiegły, żeby tak właśnie czynić. Niemniej chciałbym, żebyś znalazła się w towarzystwie ojca, który, tak się składa, nalegał, bym to ja odnalazł ciebie. – Wargi wygięły mu się w uśmiechu i mrugnął. – Na pewno otrzymam jego błogosławieństwo.

– Za to, że mnie porwał? Wątpię.

– To wszystko kwestia punktu widzenia. – Przeturlał po knykciach pieniędzy, którego dotąd nie schował. – Ta moneta zapewni ci bezpieczny powrót do ziemskiej krainy. Gdy już twój ojciec zostanie odnaleziony.

Nagle mały metalowy krążek stał się jedyną rzeczą, na jakiej potrafiłam się skupić. Obserwowałam z wyraźnym zainteresowaniem, jak bawi się mną z jego pomocą.

– Myślałam, że jedynym sposobem na powrót jest upadek anioła.

– Upadłe anioły są w najlepszym razie niegodne zaufania. Wielu oferuje się, że zwróci ludzkie dusze, a potem kradnie je dla siebie. – Uniósł monetę i zakręcił nią przed moimi oczyma. – Ale w jej przypadku takie ryzyko nie występuje. Pozwoli ci wrócić bezpiecznie do dawnego życia.

– Jak?

– Dokładna mechanika jej działania wymyka się zasadom i prawom. Z tego powodu takie monety pojawiają się rzadko i trudno je zdobyć, panno Ravenshaw. Na pewno nie oferowałbym jej komukolwiek.

– Zatem czego chcesz w zamian? Mojej duszy?

– Zaczniemy od drinka. Dziś wieczorem. Dołączysz do mnie w moim gabinecie.

Popatrzyłam na niego spod zmrudzonych powiek.

– Jeśli uważasz, że spróbujesz zauroczyć mnie na tyle, żebym została, panie Van Croix, to obawiam się, że w ogóle mnie nie znasz.

– Jeśli uważasz, że muszę próbować, to obawiam się, że ty również mnie nie znasz, panno Ravenshaw. Mój gabinet. Punkt dwudziesta.



Zapadł wieczór, a ja chodziłam po swoim pokoju, wpatrzona w zegar. Co by się właściwie stało, gdybym nie przyszła? Co by zrobił? Przysłałby po mnie Anyę?

Przez całe popołudnie desperacko starałam się przypomnieć sobie rozmowę, jaką odbyłam z Alicią na przyjęciu, ale podany mi narkotyk wymazał mi fragmenty wspomnień od chwili, gdy powąchałam drinka.

Oczywiście zostawiając te najbardziej upokarzające.

Musiał wtedy uderzyć w mój organizm niczym pięść i rozlał swoją truciznę do każdego zakątka mojego mózgu. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, co robiłam, jak dotarłam do domu ani jak znalazłam się w łóżku. Gęsta, czarna chmura zalegała nad moimi wspomnieniami i miałam nadzieję, że oczyści się przed końcem nocy. Liczyłam na to, że przypomnę sobie, czy Alicia podała mi jakieś nazwisko.

Pukanie do drzwi obudziło we mnie nerwowość. Skierowałam uwagę w ich stronę. Próbowałam się zastanawiać, jaka wymówka pozwoli mi uniknąć zażądanego przez niego spotkania. Nie chodziło o kwestię moich uczuć w stosunku do Van Croixa. Gdybym została zmuszona, musiałabym przyznać, że uważałam go za niezwykle atrakcyjnego.

Ale nie godziłam się na to, żeby przetrzymywał mnie wbrew mojej woli. I nie pozwolę się uwieść mężczyźnie na tyle obłąkanemu, by sądził, że stanowią reinkarnację jego martwej bliźniaczej duszy.

– Panno Ravenshaw, czy mogę wejść?

Chociaż trochę mi ulżyło, gdy usłyszałam głos Anyi, zachowałam ostrożność. W końcu była lojalna przede wszystkim wobec niego. Otworzyłam drzwi, a ona bez zaproszenia weszła do środka, jak zwykle.

– Posłuchaj, jeśli przyszłaś powiedzieć mi, żebym pozwoliła mu się uwieść, równie dobrze możesz od razu wyjść.

– Oczywiście, że nie, moja droga. Wręcz przeciwnie. Uważam, że powinnaś trzymać się jak najdalej od pana Van Croixa.

Oślupiała, zamrugałam dwukrotnie.

– Moment. Co?

– Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś go oczarował, i przyznaję, że wydaje mi się to zupełnie niepokojące.

– Niepokojące?

– Jego zachowanie nie jest normalne. Jest nieobliczalne i niestabilne. Pan Van Croix to bardzo poważny mężczyzna i widzieć, jak się uśmiecha... Cóż, to nienaturalne.

Jezu.

Ten facet naprawdę był z typu humorzastych i ponurych.

– A co wywołało jego uśmiech?

– Spytał mnie, co jadałaś na śniadanie każdego poranka tutaj. I jaką kawę preferujesz. – Zaczęła chodzić po pokoju, wymachując rękoma. – To nie jest w porządku. Nie zwykł interesować się w ten sposób kobietami i przyznaję, że nieco się o ciebie martwię.

Gdyby zobaczyła pokój wypełniony portretami, zapewne dostałaby zawału.

– Uważa mnie za kogoś, kim nie jestem.

– Kobietę. Z jego snów.

– Chyba tak. Nie zrozum mnie źle, ona wydaje się wspaniała, ale ja jestem pracownicą akademicką z Chicago. Najbardziej imponującą rzeczą, jaką zrobiłam, jest wychowywanie kota i trzech roślinek bez zabijania ich.

– Obsesje są niebezpieczne, a mężczyznom nie wolno ufać, panno Ravenshaw. Ich afekt jest co najwyżej ulotny.

– Czy byłaś już kiedyś mężatką?

Jej brwi się poruszyły, odwróciła ode mnie wzrok.

– Cóż, byłam... Jestem tego pewna. Ale ja... To dziwne. Ledwo pamiętam. – Wyraz jej twarzy znów się wyostriżył, gdy rozluźniła barki. – Co stanowi dowód moich słów. Mężczyźni nie zostają na długo.

– W ogóle go nie pamiętasz?

– Nie, ja nie... – Zmarszczyła czoło i przez chwilę wydawała się spoglądać w dal, jakby pograżyła się w zadumie.

– A czy... pamiętasz Aurelię?

– Aurelię? Och, wciąż się o to gniewasz? Mówiłam ci już, panienko, że nie było żadnej Aurelii.

– Z tego, co rozumiem, Aurelia była twoją córką.

– Nigdy nie miałam córki. – I znowu, jak wcześniej, wydawała się zamyślona, skupiona.

Książka.

Rysunek Aurelii.

Rzuciłam się po tom wciąż wepchnięty pod poduszkę i otworzyłam go na rycinie na początku, po czym wskazałam palcem Aurelię.

Anya zadarła nos i zmrużyła powieki, wpatrując się w obrazek. Nagle jej twarz poszarzała, a w oczach błysnęła szok.

– Ojej – powiedziała zmartwionym tonem.

– Teraz pamiętasz?

W oczach zalśniły jej łzy, które zaraz wymrugowała. Przeszła obok mnie i przysiadła na skraju łóżka, kładąc dłonie na podołku. Nerwowo bawiła się palcami. Nigdy wcześniej tego nie robiła.

– Zaszła w ciążę i nie chciała wyjść za tego mężczyznę. Doprowadziłoby to nas do ruiny. Zażądałam, żeby wypić sawinę i miętę polej. Zwężyliśmy gorsety w jej sukienkach. Dzięki temu skutecznie doszło do rozwiązania ciąży.

Myślni wróciłam do snu, w którym Anya i pozostałe kobiety rozerwały Aurelię. Być może było to jakieś makabryczne echo dawnych wydarzeń.

Anya ściągnęła wargi w wąską linię i spuściła wzrok.

– Gdybym wiedziała, że ją stracę, zachowalibyśmy dziecko. – Z wyrazem udręki na twarzy wpatrywała się gdzieś obok mnie, a brwi podrygiwały jej, jakby wracały do niej też inne wspomnienia. – Później posłaliśmy ją do klasztoru i z tego, co rozumiałam, wplątała się w romans z innym mężczyzną. Do tego księdzem. Znowu zaszła w ciążę. Niedługo później otrzymałam wiadomość, że wraz z inną dziewczyną powiesiły się w dzwonnicy.

– Nie powiesiła się. Została zamordowana. – Te słowa przypadkiem wylały mi się z ust i przez chwilę siedziałam z opadniętą szczęką. Skąd się tego dowiedziałam? Jak mogłabym wiedzieć coś takiego?

Mocno zaniepokojona, przerzucałam strony, aż dotarłam do tej z zagiętym rogiem, gdzie skończyłam lekturę. Rzuciłam okiem na tekst, zmarszczyłam brwi, a później zaczęłam cofać się przez przeczytane rozdziały.

– Szukasz czegoś? – spytała Anya.

– Wiem... Czytałam to gdzieś. Mogłabym przysiąc.

– Czytałaś?

Ignorując ją, dotarłam do początku książki, a później ruszyłam do przodu, wracając po stronach, które już przejrzałam, następnie przez tę zagiętą, aż do kolejnego rozdziału. I następnego. Dalej, niż przeczytałam dotąd.

Dopiero w rozdziale trzydziestym dziewiątym znalazłam to, czego szukałam. Moment, gdy Lustina

znalazła Aurelię i Marię wiszące z jarzma dzwonu. Scenę w dzwonnicy.

Nie zdążyłam dotrzeć do tego fragmentu, a jednak wyraźnie pamiętałam go w głowie. Odcień śmierci na ich skórze. Brzęk, gdy krzyżyk Marii uderzał w powierzchnię dzwonu. Zupełnie jakbym widziała to na własne oczy.

Ogarnęło mnie niepokojące doznanie. Sen. Zakonnice pogrzebane w ścianie.

Echa.

– O Boże. A co, jeśli on ma rację?

– Kto?

– Anyu, muszę porozmawiać z panem Van Croixem.

– Zatem rzeczywiście zamierzasz spotkać się z nim tego wieczoru?

– Nie mam wyjścia.

– Coś ci poradzę, panienko. Zachowaj ostrożność, jeśli zabierze cię do dzwonnicy. Nie tylko jest to niebezpieczne, zwłaszcza podczas burzy z piorunami, ale też wśród personelu krążą pogłoski, że lubi deflorować tam swoje podboje.

– Cóż, mam zatem szczęście, że już po jabłkach. – Minęło trochę czasu, odkąd straciłam dziewictwo. Konkretnie stało się to na pierwszym roku studiów i niestety, z powodu obciążenia nauką, był to mój ostatni partner seksualny. Czyli w istocie byłam niemal jak dziewica.

Tylko że absolutnie nie miałam zamiaru przespać się z Van Croixem. Nie zamierzałam pozwolić, by próbował zdobyć mnie seksem i urokiem osobistym.

Ten człowiek był niebezpieczny, jeśli w ogóle można go było nazywać człowiekiem, a poza tym wyglądało na to, że ma wyjątkową obsesję na punkcie Lustiny.

Potrzebowałam jednak odpowiedzi. Pewne rzeczy w mojej głowie nie miały sensu.

– Gdy mówisz, że rozmawiałaś z Aurelią... – Anya potarła dłonie, wyglądała na nerwową. – Czy w ogóle mnie pamiętała?

– Tak. – Uśmiechnęłam się lekko i dotknęłam jej dłoni. – Pamiętała.

– Chciałabym móc zobaczyć ją raz jeszcze. By powiedzieć jej tak wiele rzeczy.

– Z tego, co się zorientowałam, bardzo cię kochała. Miała nadzieję wrócić do ciebie.

Anya westchnęła tęsknie i uśmiechnęła się smutno.

– Obawiam się, że na to już nieco za późno. Może pewnego dnia obie odnajdziemy odkupienie i ja też ją ujrzę.

– Również mam taką nadzieję.

– A na razie poinformuję pana Van Croixa, że jesteś w drodze do jego gabinetu.

Do dwudziestej została mi godzina. Dość czasu, żeby skończyć czytać książkę.

Farryn

Ignorując stadko motyli wzniecających chaos w moim brzuchu, zapukałam do drzwi prowadzących do gabinetu Van Croixa.

– Wejdz. – Chrapliwa, groźna nuta w jego głosie tylko wzbudzała mój niepokój, na pewno nie poprawiając sytuacji.

Otworzyłam drzwi i ujrzałam go rozpartego w fotelu i opierającego lśniące buty z czarnej skóry na blacie biurka. Niedbale przekładał monetę między palcami i przez chwilę miałam wrażenie, jakbym umówiła się na spotkanie z samym Lucyferem.

Może tak rzeczywiście było.

Zerknęłam na jego niedopiętą czarną koszulę z wysokim kołnierzem, opinającą mu mięśnie piersi, i poczułam, jak w żołądku ciężko zalega mi groza. Jeszcze zanim usiadłam, moja siła woli i tak już skurczyła się jak balon, z którego uszło powietrze. Seks sączył się ze wszystkich porów jego ciała niczym potężny afrodyzjak, a pewność siebie i determinacja na jego obliczu ostrzegały mnie, że nie mam szans mu się oprzeć.

Ale i tak się oprę.

Na Boga, nawet jeśli będę potrzebowała całej swojej determinacji, nie padnę ofiarą tego mężczyzny.

Skupiłam na nim wzrok i wpatrywałam się w niego ponad biurkiem, wbijając paznokcie w skórzaną wyściółkę fotela.

On też na mnie patrzył, a na jego wargach błąkał się cień ironicznego uśmiechu, gdy zastanawiałam się, jak poruszyć temat Lustiny bez przyznawania, że mu wierzę.

– Jak? – zapytałam, a on uniósł brew i szybciej zakręcił monetą. – Jak to możliwe, że ona wróciła? Książka tego nie wyjaśnia. – Nie mogłam znieść tego diabelsko atrakcyjnego uśmiechu, w jaki ułożyły się jego usta.

– Została przeklęta. Jej matka nosiła klątwę wcześniej i przekazała ją Lustinie.

– Skoro klątwa jest przekazywana z pokolenia na pokolenie, to dlaczego ja miałabym być przeklęta?

– Lustina zginęła zgodnie z prorocstwem. Przebudzenie zajęło stulecia. Wiem to, bo każdego dnia czekałem ze wstrzymanym oddechem, aż się odrodzisz.

Wzruszyłam ramionami, ściągnawszy wargi w wąską linię.

– Szczęściara ze mnie. Chyba powinnam zagrać na cholernej loterii. Czyli co, jest mi przeznaczone umrzeć pod krwawym księżycem?

– Tak. Chyba że klątwa zostanie złamana.

– W jaki sposób?

Moneta potoczyła się szybciej po jego palcach, a kącik jego ust wykrzywił się w znacznie bardziej złowieszczym uśmiechu niż wcześniej.

– Istnieje tylko jeden sposób na złamanie klątwy. To dlatego wezwałem cię tutaj.

Mój umysł rozważał informacje, jakie dotąd otrzymałam na temat Lustiny. I jej matki. Zmarszczyłam brwi.

– Mam zajść w ciążę?

– Tak. Tylko anioł może złamać klątwę.

– Ale ty nie jesteś aniołem. Sam mówiłeś.

– Jestem pół aniołem, pół demonem. I posiadam pełne kwalifikacje do złamania twojej klątwy. – Gdy przesuwiał po mnie wzrokiem, pożądanie płonące w jego oku było tak silne, że dziwiłam się, iż nie stanęłam w płomieniach. – W zasadzie nic nie dałoby mi większej przyjemności.

Odchrząknęłam, poprawiłam się na krześle i skrzyżowałam nogi.

– Ja nie... nie zamierzam zajść w ciążę. Zresztą co później? Dziecko też byś przeklął?

– Zyskałbym dzięki temu trochę czasu, żeby wymyślić, jak złamać klątwę.

– Nie miałaś stuleci, żeby to wymyślić?

– Mówiąc całkiem szczerze, nie byłem do końca przekonany, że do mnie wrócisz.

Potańczałam czoło, żeby uspokoić chaotyczne myśli szalejące mi w głowie. Niezliczone pytania obijały mi się bez celu po czaszce.

– Biskup Venable ją zamordował. Tak po prostu założyłam. Opowieść nie miała zakończenia.

Moneta przestała się toczyć, a jego uśmiechnięta twarz spoważniała. Van Croix ściągnął brwi i siedział cicho. Jeśli ten mężczyzna był zdolny do odczuwania bólu, do rozumienia go, to Lustina wyraźnie stanowiła zadające go ostrze.

– Cierpienie wywołane tysiącem smagnień bicia nie było w stanie równać się temu, co przeżywałem w chwili, gdy podnosiłem cię z tamtej zimnej rzeki.

– Zatem zabiłeś biskupa?

– Masz szczęście, że nie przeczytałaś, jak tego dokonałem. Niestety mam wrażenie, że wylądował tutaj.

– Co? Tutaj?

– Tak. Jeśli się nie mylę, był gospodarzem tego uroczego przyjęcia, na którym gościliśmy. Obecnie jest znany jako pan Barchiel.

Jakże szalony musiał być los, że postawił mnie obok mordercy Lustiny.

– To cię nie niepokoi? Że on tu jest? W Nocnym Cieniu?

– Niewiele może zdziałać. Nie dorównuje mojej tutejszej mocy. A ja nie jestem już tym samym młodzieńcem.

– Nie jesteś, prawda? A kim jesteś, panie Van Croix? Strażnikiem, zgadza się? Bardziej demonem niż aniołem?

Wyglądał zdecydowanie ludzko, choć coś złowieszczonego wydawało się kłębić pod jego skórą. Wyraźnie nie był jednak człowiekiem. Nawet jeśli dusza byłaby w stanie żyć w Nocnym Cieniu przez całą wieczność, on krył w sobie znacznie dawniejszy urok. A gdy się odzywał, zauważałam, że pochodzi z innego czasu. Zmienił się, ale nie zasymilował w pełni do teraźniejszości.

Wrócił do turlania monety po knykciach.

– Czy moralność ludzi zawsze jest taka czarno-biała, panno Ravenshaw? Zabijałem metodami, które mogłyby wydawać się bezlitosne, i kochałem równie bezwzględnie.

– Kochałeś. Zatem musisz nosić dobroć w sercu.

– Złoczyńca jest w pełni zdolny do miłości. Od kogoś dobrego odróżnia go jedynie to, co jest gotów poświęcić dla tej miłości.

– A jakimi względami darzysz ludzkie życie? Oprócz Lustiny?

Coś błysnęło w jego zdrowym oku, cienisty mrok ostrzegający mnie, żebym nie zagłębiała się za bardzo w jego moralność.

– Moją relację z tym, co istnieje, nazwałbym symbiotyczną. Choć każdy dzień przeżywam ze skłonnością do niszczenia i całkowitego pochłaniania, jest we mnie również pragnienie zachowywania. Zapewne mogłabyś zatem powiedzieć, że tkwię zawieszony na cienkim drucie pomiędzy jednym a drugim.

– Mówiłeś mi, że zostałeś wygnany do Nocnego Cienia. Za co?

Nie spuszczając ze mnie spojrzenia zdrowego oka, westchnął.

– Czy miałabyś ochotę czegoś się napić?

Miałam ogromną ochotę, ale zamierzałam zachować niezmażony umysł.

– Nie, dziękuję.

– Nie ufasz mi.

– Dlaczego miałabym ci ufać, jeśli nie chcesz mi powiedzieć, z jakiego powodu zostałeś tu uwięziony? Chyba wypada o to zapytać kogoś, kto zamierza mnie zapłodnić, nie sądzisz?

Znów ignorując moje pytanie, podniósł się i podszedł do barku na kółkach ustawionego przy skórzanym fotelu i małym stoliku, na którym leżała kupka książek. Ze swojego miejsca rozpoznawałam tylko Biblię i *Boską komedię* Dantego.

– Jest więcej takich jak ty? – zapytałam, zauważając pozaginane narożniki stron w Biblii.

– Tak.

– Zatem nie jesteście tym, co postrzegamy jako niebiańskie anioły?

– Zdecydowanie nie. Wasze niebiańskie anioły kierują się kodeksem moralnym. Zawsze są w przewidywalny sposób dobre. Zawsze wybierają to, co dobre i słuszne, ponieważ przedkładają to ponad wszystko, nawet ponad ludzkie życie. – Odgłos zapalanego płomienia przyciągnął mój wzrok do kostki cukru umieszczonej na łyżce nad płonącym naczyniem. – Ja jestem zdecydowanie bardziej samolubny. Byłbym gotów spalić całe miasto dla jednej kobiety. – Spojrzenie, jakie mi rzucił, było zupełnie pozbawione skruchy.

W tym momencie mnie olśniło.

– To dlatego tu jesteś. Spaliłeś Praeepsię. Całą.

– Pytałaś, jakimi względami darzę ludzkie życie. – Wzruszył ramionami i upił łyk drinka. – To zależy od okoliczności.

Chciałam mu powiedzieć, że jest odrażający moralnie i postępuje źle, ale potrafiłam zdobyć się jedynie na litość i smutek. Nie wobec niego, tylko wobec siebie samej. Za to, że nigdy nie kochałam kogoś tak gorąco. Za to, że nie potrafiłam zrozumieć, że ktoś może być ogarnięty takim bólem, iż jest gotów na zemstę. Nawet mój ojciec nie był do tego zdolny.

Gdy Jericho przeszedł przez pokój w moim kierunku, niosąc dwa naczynia lśniącego zielonego płynu, który zapewne był absyntem, wcisnęłam się w oparcie fotela, tak silna ogarnęła mnie ochota, by się wycofać. Postawił jeden z kieliszków na biurku, a drugi trzymał między nami, nie do końca mi go oferując. Nachylił się ku mnie.

– Mogę zdradzić ci wszystko. Każdy sekret, nad którym kiedykolwiek się zastanawiałaś. Każdy kod, którego jeszcze nie złamałaś. Mógłbym wypełnić twój mózg większą ilością informacji, niż kiedykolwiek mogłabyś znaleźć w książkach z twojego świata. Tak wiele do poznania i tak mało czasu. – Uniósł wyżej naczynie i lekko zakręcił jego zawartością. – W zamian proszę tylko, żebyś mi zaufała.

A gdybym to zrobiła? Czy nie był to powód, prawdziwy powód, dla którego w ogóle przybyłam do Nocnego Cienia? Żeby odnaleźć tego mężczyznę? Żeby dowiedzieć się, dlaczego mój ojciec tak desperacko go szukał? Chodziło o uzyskanie odpowiedzi. Ojciec nauczył mnie, że nie ma niczego ważniejszego niż odkrycie czyjejś prawdziwej motywacji. Czy byłam na tyle samolubna, żeby tego chcieć? Żeby pożądać poziomu zrozumienia, jakiego nawet on nie mógł osiągnąć?

Zerknęłam szybko na drinka i zmrużyłam oczy.

– Czego konkretnie ode mnie chcesz?

– Byś została na tyle długo, abym mógł złamać klątwę.

– Na tyle długo? Z tego, co się orientuję, wystarczy pięć minut w sypialni. Czary mary. Cięża.

Drgnął mu kącik ust.

– Czekałem na ciebie stulecia. Chcę się tym rozkoszować.

– To... To jakieś dziwaczne, obce, romantyczne cholerstwo. Chcesz mnie zapłodnić? To w zasadzie jak użycie mnie niczym klaczy rozplodowej.

Uniósł brew.

– Wolałabyś to określenie?

– Nie, nie wolałabym żadnego z nich. – Wbiłam dłoń we włosy i odetchnęłam przeciągle. Czułam się jak Alicja próbująca zdecydować, czy powinna się napić i wskoczyć w ciemną króliczą norę. – Posłuchaj... To chyba powinno mi schlebiać, ale ledwo jestem w stanie utrzymać przy życiu kilka roślin i kota. Nie jestem gotowa na dziecko.

– Nie masz wyboru. Ani czasu. Od krwawego księżycy dzieli nas zaledwie kilka krótkich dni. I jeśli uważasz, że pozwolę ci znowu zginąć, jesteś w błędzie.

Pozwoli mi zginąć?

– I co zamierzasz zrobić? Zmusisz mnie, żebym zaszła w ciążę?

– Użyję każdej dostępnej mi metody, żeby skłonić cię do zmiany zdania. – Sięgnął po swojego drinka i napił się, obserwując mnie ponad brzegiem naczynia. – Co powiedziałby ci ojciec, gdyby tu teraz stał?

– Ojciec? Wierzył w to całe cholerstwo, więc zapewne stwierdziłby, że postąpiłabym głupio, gdybym odeszła.

– Zatem nie postąp głupio.

Gdy chłodna, wilgotna powierzchnia kielicha napała mi na wnętrza dłoni, z lekkim wahaniem przyjął od niego drinka. Prostý gest, a jednak miałam wrażenie, jakbym w ten sposób podpisywała cyrograf na swoją duszę.

Odepchnął się od biurka, nachylił do mnie i ujął w palce luźne pasemko moich włosów. Bawił się nim przez chwilę, wpatrując się nieobecny wzrokiem w dal.

– Wypij – powiedział głosem tak złowieszczym i mrocznym, że skojarzył mi się ze złoczyńcą z bajek prowadzącym młodą, niewinną dziewczynę na zgubę.

Drżącą dłonią uniosłam napitek do ust i wzięłam łyk. Smak czarnej lukrecji zatańczył mi na języku, tak cudowny, że wzięłam więcej. Nigdy dotąd nie próbowałam absyntu i zawsze uważałam go za coś, czym rozkoszują się dziwne gotyckie typy. Nie wiedziałam, co umieścił w naczyniu, ale miałam wrażenie, że drink zaspokaja pragnienie, z którego w ogóle nie zdawałam sobie sprawy.

Ciepłe palce chwyciły moją dłoń. Jericho odsunął kielich od moich ust i zachichotał.

– Powoli. – Opuścił wzrok na moje wargi i pochylił się, żeby zlizać z nich płyn. – Kiedyś uważano, że absynt wywołuje halucynacje. Szaleństwo. Zepsucie moralne. Chyba to Oscar Wilde porównał go do poezji.

– Jest przepyszny.

– Tak to zwykle bywa ze słabostkami uważanymi za najbardziej demoralizujące. – Przesunął językiem po swoich wargach i spuścił wzrok jeszcze niżej, ku mojej szyi; zastanawiałam się, czy ją ugryzie. Zamiast tego jednak się odsunął. – Chodź ze mną.

– Dokąd?

– Zaufanie, panno Ravenshaw.

Zaufanie. Jasne. Upiłam jeszcze łyk drinka, odstawiłam go na biurko i wstałam, czując lekkie zawroty głowy. Nie mogłam przecież być pijana – wysączyłam tylko jakieś pół kielicha – jednak odczuwałam ciepłe, puszyste wrażenie lekkiego upojenia. Trzymając Van Croixa za rękę, wyszłam za nim z gabinetu i najpierw korytarzem, a później kruzgankami podążyliśmy do drzwi dzwonnicy.

Dzwonnicy.

A jednak dalej za nim kroczyłam, nie zwracając uwagi na woń ani cichy głosik w mojej głowie ostrzegający mnie, żebym zawróciła.

– Dziś w nocy ma być burza. Słyszałam, że podczas piorunów jest tu niebezpiecznie. – Wciąż ściskając mu dłoń, pozwalałam prowadzić się w górę wąskimi kamiennymi schodami oświetlonymi tylko nielicznymi migoczącymi lampami zwisającymi ze ścian.

Złapał mnie mocniej, jakbym zamierzała mu się wymknąć, i obejrzał się na mnie przez ramię.

– Nie masz się czym martwić.

Klatka schodowa otworzyła się na belki, wsporniki, mechanizmy – i wydawane przez nie znużone odgłosy. W drodze do dzwonu na szczycie wieży trafiliśmy na wspaniałą platformę, gdzie tylne części ogromnych wskazówek kpiąco wskazywały mijające sekundy. Odliczały czas do końca niewinności. Słyszałam niejasne pogłoski, co dzieje się z dziewczętami w tej dzwonnicy. O absolutnych deprawacjach mających miejsce w sekrecie za jej pradawnymi murami.

– Jak możesz być tego taki pewien? – spytałam, ociągając się przy oknie, przez które ujrzałam ciemną chmurę. Wskoczyła z niej błyskawica, złowieszczo oświetlając rozciągające się w dole czarne morze.

Zaborczo chwycił mnie twardą dłonią i zanim się zorientowałam, że zmienił kierunek, pchnął mnie pod ścianę. Raptownie jak wiatr walący w okno skupił się w pełni na mnie, a chłodne kamienie za moimi plecami przypominały mi, że nie mam dokąd uciekać.

Delikatne muśnięcie mojego policzka knykциями kłóciło się z cieniem złej woli, który przemknął przez jego zimne, nieodgadnione oko.

– Ponieważ jestem tak nierozsądnie zachłanny, jeśli chodzi o ciebie, panno Ravenshaw, że nawet piorun nie ośmieli się tknąć twojej skóry bez konsekwencji.

W tym momencie grzmoty wydały mi się z jakiegoś powodu odleglejsze – a może to niegasnący łomot mojego serca je zagłuszył.

– Jesteś zazdrosny o błyskawice?

Nachylił się bliżej i poczułam cudowną woń bergamotki i lukrecji, równie upajającą jak ciepły absynt wciąż pulsujący mi w żyłach. Jego wargi lekko niczym piórko przesunęły się wzdłuż mojej żuchwy. Zęby musnęły mi ucho, gorący oddech omiół mi szyję, gdy mężczyzna szeptał:

– Jestem zazdrosny o wszystko, co zajmuje twój umysł tak nieustannie, gdy jesteś przy mnie.

Z zamkniętymi oczyma dusiłam drżenie, które przetoczyło się po mnie niczym gwałtowny podmuch po delikatnym żaglu. Jak okrutna zapowiedź wzburzonego morza. Dopiero gdy się odsunął, uniosłam powieki,

spojrzałam w jego oko i dostrzegłam ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem kryjącym się pod powierzchnią, zwiastun nieuniknionego szkwału, który mnie ogarnie.

Chciałam w nim zatonać.

Gdy poczułam lekkie pociągnięcie za rękę, głos w moim wnętrzu zaklinał: „Nie wchodź w tę otchłań”, ale zignorowałam go, powodowana ciekawością, która przelała się po tych myślach niczym pożoga, niczym bezlitosny zew tego, co nieznanne.

Gdy szłam za nim, czułam się tak, jakbym zapuszczała się w najgłębsze, najciemniejsze wody życia. Było to doznanie przerażające i emocjonujące.

Gdy wreszcie dotarliśmy do dzwonu, serce oszalało mi z absolutnej grozy. Wpatrywałam się w otwarte morze, a ostre podmuchy wiatru szarpały mi włosy. Przez hałas wichru i wzburzonych fal przebijał się brzęk echa spowodowanego drżeniem dzwonu, wywołując w moim żołądku dziwne, niepokojące wrażenie.

– Ja naprawdę... – Mój głos nie chciał się nieść przez harmider burzy. Zebrałam dłonią włosy, żeby nie smagały mi twarzy. – Uważam, że naprawdę powinniśmy zejść! – Zimny deszcz bębnił mi w skórę, zostawiając na niej dość wilgoci, by później mógł mnie kąsać mroźny wiatr. Gdy błyskawica uderzyła w wodę jeszcze bliżej, wycofałam się pod ścianę za sobą i zerknęłam na schody prowadzące w dół. – Chcę wrócić!

Ignorując moje prośby, Van Croix obszedł dzwonnice dookoła. Spokojnie. Niedbałym krokiem. Z tak absurdalnym luzem, że zaczęłam się zastanawiać, czy postradał zmysły. Stał przede mną, obrócony plecami do morza, i guzik po guziku zaczął rozpinać koszulę.

– Co ty robisz?

Wszystkie instynkty kazały mi uciekać przed tym mężczyzną i nie oglądać się za siebie. Wyraźnie oszalał, a im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bliżej była burza.

Zmykaj, Farryn! Uciekaj! Ten świr rozbiera się podczas burzy z piorunami na szczycie dzwonnicy. Bardziej chyba nie można zwariować!

A jednak nie potrafiłam. Może i stracił stabilność umysłową, ale jak nic innego pobudzał moją ciekawość. Wbrew mojemu rozsądkowi. Wbrew bardzo rzeczywistej możliwości, że może spotkać mnie taki sam los co moją matkę.

Mrużąc oczy przed zbłąkanymi kroplami deszczu, obserwowałam, jak mężczyzna zsuwa koszulę z barków i odrzuca ją na bok. Powietrze przeszył odgłos brzmiaący, jakby ktoś coś przecinał, a ja odruchowo osłoniłam twarz przed spodziewanym piorunem uderzającym w dzwon. Deszcz nie żądlił mi już skóry. Nie czułam już piekących ukąszeń zimnego powietrza, a odgłos gromów wydawał się odsunąć w głąb morza.

Opuściłam ręce i ujrzałam, że Jericho stoi przede mną. Ogromne czarne skrzydła wyrastające mu z pleców rozciągały się na całą szerokość dzwonnicy. Drżąc, rozważałam ich niemożliwość i ewentualność, że zaczęłam halucynować, ponieważ w moim świecie ludzie nie mieli skrzydeł. Jedynie fikcyjne postacie. Na skórze jego ramion i piersi widniały symbole wyglądające jak srebrzyste plemienne tatuaże. Już kilka razy widywałam ich przebłyski, ale nie zdawałam sobie sprawy, że jest ich tak wiele. Ich metaliczna powierzchnia jaśniała lekko w otaczającym nas mroku i przebiegało po nich coś wyglądającego jak lśniące wyładowania elektryczne.

Powietrze wrzało mi w płucach. Przez chwilę stałam, próbując chwycić haust tlenu, niczym wyrzucona na brzeg ryba. W moim wnętrzu zmagaly się strach i zachwyt, gdy przyglądałam się Van Croixowi. Stał naprzeciwko mnie na tle błyskawic, a burza szalejąca wokół nas nawet nie mąciła mu piór. Był zachwycający. Był ucieleśnieniem chaosu. Dysharmonią obleczoną w ciało. Jednocześnie przerażający i niesamowity.

W głowie kotłowała mi się dziwna myśl: gdzie, do diabła, zdołał chować te wielkie skrzydła. Ich fizyczność wydawała się czymś niemożliwym.

Były niemożliwe.

W całości.

Pierś wznosiła mu się i opadała od ciężkich oddechów. Spoglądał na mnie w taki sam sposób, jak moim zdaniem pająk patrzyłby na schwytanego motyla. Wyglądnie i z lekkim rozbawieniem. Obszedł dzwon, ocierając się skrzydłami o jego powierzchnię z dźwiękiem kojarzącym mi się ze stalą przeciąganą po stali lub klingą wysuwaną z metalowej pochwy. Dziwnie przyjemnym, a jednak groźnym i wywołującym mrowienie w żołądku.

– Kim ty jesteś? – spytałam znowu, trzymając się tuż przy ścianie, gdy również obchodziłam dzwon, by pozostawać jak najdalej od niego.

– Już to omówiliśmy.

– Ja nie mogę... To nie może być prawdziwe. Ja śnię. Na pewno. – Przecież mówił mi, że absynt uważano za środek halucynogeny.

– Mógłbym powiedzieć to samo. Jakie są szanse, że do mnie wrócisz? Że odnajdziesz mnie tutaj, w tym piekle?

– Panie Van Croix... – W tym momencie dziwnie się czułam, zwracając się tak do niego. Czy skrzydlate stworzenia przejmują się takimi formalnościami? – Nie jestem tą, za którą mnie uważasz. Przyznaję, występują pewne naprawdę dziwne zbieżności, ale nie jestem Lustiną.

– Jesteś nią. I jesteś moja. – Podszedł bliżej.

Cofnęłam się tak daleko, jak tylko mogłam, żeby nie wypaść za barierkę.

– Ale przyprowadzałeś tu inne. Robiłeś z nimi... niewypowiedziane rzeczy w tej dzwonnicy.

– Pod twoją nieobecność żyłem tak, jakbym głodował. Znużyły mnie bezowocne próby poszukiwania ciebie w innych. Nigdy nie okazywały się tym, czego chciałem. Czego pożałowałem.

Nie potrafiłam zaprzeczyć, że jego słowa wywoływały dreszcz na moim grzbiecie. Nie wiedziałam tylko, czy było to spowodowane strachem, czy podekscytowaniem. A może mieszkanką jednego i drugiego, bo wszystko wydawało się takie pochrzanione? Skrzydła, te tatuaże, jego opaska na oku... Podniecały mnie w sposób, do jakiego nigdy nie przyznałabym się w konfesjonale. Wyraźnie miałam ze sobą problemy.

– Czy one... widziały cię w takiej postaci? To znaczy... czy innym dziewczętom pasowały te s-s-skrzydła i w ogóle?

– Te, u których odnajdywałem bezmyślną rozrywkę, nigdy nie widziały mojej prawdziwej natury. Jesteś jedyna.

Błyskawica uderzyła w jego skrzydła, a z mojej piersi wyrwał się wrzask, gdy ujrzałam, że pióra zaiskrzyły jak linia wysokiego napięcia podczas burzy.

Zamarłam, z grozą czekając, aż jego ciało zacznie się szamotać i drżeć, jak według mnie powinien zachowywać się ktoś porażony elektrycznością.

On jednak wydawał się tym nie przejmować i dalej zmierzał ku mnie ze spojrzeniem jeszcze bardziej wygłodniałym niż przedtem, jeśli było to w ogóle możliwe.

– Przecież to powinno cię zabić. – Drżącym palcem wskazałam drobniutkie wyładowania elektryczne tańczące mu po skrzydłach.

– Twoje zrozumienie tego, co powinno się dziać, nie odnosi się do tego świata, Farryn. Ani do mnie.

Nie byłam w stanie się poruszyć. Ogarnięta szokiem, stałam jak wryta, jakbym została uwięziona we własnym ciele. Iskry wciąż przeskakiwały po jego skrzydłach, kiedy elektryczność szukała drogi ujścia.

Gdy wyciągnął do mnie rękę, przygotowałam się na to, że przeskoczy na mnie bolesne wyładowanie. Że spali mnie żywcem od środka. Dzika energia wlała mi się pod skórę i wibrowała mi w kościach, ale wrażenie na pewno nie było bolesne. Wręcz przeciwnie – okazało się intensywne.

Przytłaczające.

Ekscytujące.

Powieki mi ciążyły, ale nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu, gdy każdy nerw w moim ciele rozkwitał do życia. Czułam przyjemne mrowienie na skórze i udach, gdzie osiągało szczyt w zdecydowanie nazbyt zaniedbanym miejscu, zupełnie jakby coś kazało mu tam zmierzać. Przygryzłam wargę, jęknęłam i najmocniej jak mogłam zacisnęłam kolana, niezdarnie próbując opierać się rozkoszy i fali gorąca przenikającej mnie do samego sedna.

Jedynie, co zrobił, to chwycił mnie za ramiona i przyciągnął do siebie, a jednak ledwo byłam w stanie utrzymać się na nogach.

– Oddasz mi się, Farryn. I będziesz z własnej woli obserwować, jak pożeram każdy skrawek twojego ciała, jakby był to mój ostatni jebany posiłek.

– Dlaczego to robisz? Czego ode mnie chcesz? – Owszem, było to głupie pytanie, ale winiłam za nie alkohol. Dobrze wiedziałam, czego chciał.

– Chcę cię tym razem zatrzymać. – Zniżył twarz do mojej szyi, zmuszając mnie do zadarcia głowy.

Nigdy w życiu nie czułam się tak bezradna, a gdy przesunął wargami po mojej skórze, tak bardzo miałam ochotę krzyknąć, że aż łzy napłynęły mi do oczu. Jego energia wlała się we mnie, zagrzebując się głęboko w moich kościach. Wrażenie mrowienia rozlewało mi się po ciele wszędzie tam, gdzie tylko dotknęły

mnie jego wargi. Ze świstem wypuściłam powietrze przez nos, gdy zassał skórę mojej szyi. Wydawało się to niesamowite. Dziwne i wspaniałe doznanie sprawiało, że miękły mi kolana. Byłam w jego ramionach niczym więcej niż marionetką, którą mógł manipulować, jak tylko zechciał.

Mój umysł starał się trzymać granic poczytalności, ale zbyt wiele sygnałów odpalało mi się jednocześnie w ciele. Chaos. Zastanawiałam się, czy tak czują się ludzie trafieni piorunem.

– Należysz do mnie. Zawsze należałaś.

– Nie jestem zabawką.

O Boże, co za żalosna riposta. Nie jestem zabawką, zakpiłam z siebie w duchu. Niezła z ciebie twardzielka, Farryn.

Tymczasem moje majtki praktycznie się trzęsły, próbując powstrzymać falę podniecenia, którego rzekomo nie czułam. Nie była to po prostu sytuacja, w której zdradzało mnie własne ciało, tylko jakaś zupełnie pokrecona psychologia, niemożliwa do ogarnięcia umysłem.

– Nie powinienem tak bardzo cię pragnąć. – Wciąż otaczając mnie jedną ręką, drugą sięgnął do moich pośladków, ocierając o mnie potężną wypukłością wciąż uwięzioną w jego spodniach. – To zabronione, żeby brać w taki sposób ludzką kobietę, wciąż tak pełną życia. I nigdy nie zaznam odkupienia. Ale nie potrafię się od ciebie odsunąć. Nie teraz. Nigdy.

– A jeśli ja tego nie chcę?

– Powiedz mi, że nie chcesz. – Zakręcił drwiąco biodrami i uniósł moje udo, a wcześniejsze mrowienie szybko wzrosło do bolesnego pragnienia. Tak silnego, że zadrżałam w jego ramionach. – Powiedz mi, żebym odszedł, Farryn – wyszeptał. – Powiedz mi, że nie chcesz, żebym złapał cię za gardło i zaraz potem wyruchał pod tą ścianą.

Boże, zlituj się nade mną.

Zupełnie jakby ktoś wyjął mi wtyczkę z mózgu, przestałam dostrzegać wszystko oprócz wizji, jaką zagnieździł mi w głowie. Jakby w jakiś sposób zakradł mi się do czaszki, poznał moje najmroczniejsze fantazje i wymyślił, w jaki sposób wykorzystać je przeciwko mnie.

Chciałam zostać wzięta.

Szorstko, namiętnie.

Pragnęłam tego na długo, zanim pojęłam powód.

Chciałam zostać przedmiotem jego pożądania. Chciałam, by wziął mnie siłą. Chciałam poznać podniecenie i strach towarzyszące niecierpliwemu zrywaniu ubrania z mojego ciała, a moje nad wyraz racjonalne argumenty były uciszane przez wygłodniałe usta. Chciałam przekazać kontrolę w ręce kogoś innego.

Chciałam poczuć ekscytację zapierającą dech w piersi, wprowadzającą uda w drzenie, gdy zostanę przyciśnięta do ściany z dłonią na gardle; usłyszeć wychrypiane do ucha szepty, że będzie mnie pierdolił jak zwierzę.

I Van Croix w jakiś sposób to wszystko wiedział.

Wbijając mi palce w ciało, wykonywał tuż przy mnie wyraźnie seksualne ruchy, jak fale spokojnego morza uderzające o moje biodra. Wibracje się wzmogły, napierały na mięśnie mojego brzucha, a ja otuliłam rękoma jego szerokie barki, żeby utrzymać się w pionie.

– Powiedz mi, żebym przestał – kpił.

Wbijałam się biodrami w jego krocze niczym napalona nastolatka desperacko pragnąca osiągnąć spełnienie. Drapałam paznokciami jego skórę.

– Nie umiem... – jęknęłam żałośnie. Uch. To tyle, jeśli chodzi o nieustępowanie. – Proszę. – Czułam na udzie wilgoć w miejscu, gdzie majtki ocierały mi się o skórę, tak intensywną, że z początku zastanawiałam się, czy się nie posikałam. Kolejne okrutne wibracje ogarniały moje ciało i wstrząsały mięśniami nóg. Gdyby potarł choćby czubkiem palca moje majtki, zapewne wybuchłabym, tyle nabierało się we mnie ciśnienia i gorąca.

Było to dla mnie jednocześnie za wiele i za mało.

– Czego chcesz? Powiedz mi. – Polizał mnie w szyję, a potem przygryzł skórę na zuchwie. – Chcę to od ciebie usłyszeć.

– Ciebie! Chcę ciebie.

– Tylko mnie.

– Tak, tylko ciebie.

– Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo mnie to cieszy. – Puścił moje udo, wsunął rękę pod moją sukienkę i ściągnął mi majtki, pozwalając, bym wysunęła z nich nogi. Ku mojemu przerażeniu przycisnął sobie mokrą tkaninę do twarzy, odetchnął nią i jęknął. W jego obliczu dało się dostrzec coś zwierzęcego, dzikiego. – Pragnę cię całe. Każdej kropli – oznajmił, a następnie uniósł mi ręce nad głowę.

Używając do tego moich majtek, spętał mi nadgarstki i – Boże drogi – była to najrajcowniejsza, najbardziej nieprzyzwoita rzecz, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła. Nad sobą miałam uchwyt, z którego zdjął wiszącą lampę i w jej miejsce narzucił węzeł z mojej bielizny. Balansowałam na palcach stóp, nie ważąc się nawet odetchnąć z obawy, że stracę równowagę.

– Po co te pęta? – zdołałam wykrztusić, zanim straciłam grunt pod nogami.

– Bo nic nie podnieca mnie bardziej niż widok ciebie związanej, zdanej na moje miłosierdzie. Z którego na pewno nie jestem znany, moja mała suplikantko.

Wepchnął we mnie sztywny palec, a ja osunęłam się na niego. Po chwili dołączył do niego drugi i zaczął je we mnie wsuwać oraz wysuwać z wilgotnym mlaskaniem. Moje ciało zaciskało się wokół tych palców, dając mu dokładnie to, czego pragnął, z czego zdałam sobie sprawę, gdy je wyciągnął i z uśmiechem zadowolenia przyjrzał się lepkiemu sokowi błyszczącemu mu na skórze.

Zlizął z palców efekty mojego podniecenia, a później ostrożnie rozwiązał tasiemki sukienki i obciągnął tkaninę zaledwie na tyle, żeby odsłonić mi piersi. Sapnął, a w jego niezastłoniętym oku błysnęła satysfakcja, gdy wyciągał ręce, ujmował moje nabrzmiałe, osamotnione ciało i masował je wielkimi dłońmi.

Jęknęłam z bólu. Jakże pragnęłam być dotykana.

Migoczące iskry znów pojawiły się na jego skrzydłach, zapewne po tym, jak ugodziła go kolejna błyskawica. Wcześniejsze wibracje stały się intensywniejsze, a gdy przycisnął usta do mojej piersi, żeby ssać ją przez długą, dręczącą chwilę, poczułam płynące z jego języka drobniutkie wyładowanie elektryczne. Przełało się falą po moim ciele i podążyło do spojenia ud. Odruchowo napałam do przodu i odchyliłam głowę. W mojej klatce piersiowej zadudnił odgłos stanowiący połączenie ekstazy i hysterii. Miałam wrażenie, jakby każdy mój nerw został podłączony do linii wysokiego napięcia i pragnął się uziemić. Każdy dotyk potęgował doznania.

Intensyfikował je.

– Bardzo mnie uraduje pierdolenie cię, panno Ravenshaw – wycharczał tuż przy mnie.

Ze swoich skrzydeł wyrwał pióro; białe nici elektryczności tańczące po jego powierzchni powiedziały mi, że wciąż jest naładowane od niedawnej błyskawicy. Rozkwitło we mnie pulsowanie strachu i na chwilę straciłam równowagę. Miękkie, wibrujące mrowienie popieściło moje uda i musiałam walczyć o odzyskanie równowagi, gdy wezbrała we mnie nowa fala rozkoszy.

– Czujesz ten prąd, który cię przebiega? Wzmocnię twój zmysł dotyku. Mógłbym dmuchnąć na twoją skórę i doszłabyś równie łatwo, jak wtedy, gdybym bawił się twoim guziczkiem.

Odetchnęłam ostro i jęknęłam, wyginając w łuk zwisające z uchwytu ciało. Czulałam się słaba z przyjemności.

Kopnięciem przesunął bliżej mnie skrzynkę opartą dotąd o ścianę i zadarł na nią moje udo. Wbił we mnie palce i otworzył mnie. Ukazał. Odsłonił. Niecierpliwość wiała się i kotłowała w głębi mojego ciała.

– Teraz zrobi się bardziej wyboście – wyszeptał mi do ucha.

W chwili, gdy pióro dotknęło mojej łechtaczki, posyłając przeze mnie błyskawicę elektryczności, odchyliłam głowę w tył, wydając z siebie głęboki, gardłowy krzyk. Każdy mój mięsień drżał i wibrował, gdy promienie pióra muskały moje wrażliwe tkanki. Zgięłam palce i wy dostał się ze mnie przeciągły, warkotliwy jęk. Było mi tak dobrze, że łzy podeszły mi do oczu.

Kiedy Van Croix przeciągnął piórem po moich gorących, dygoczących udach, lepkich od mojego podniecenia, w mięśniach czułam skurcze od tańczących po nich maleńkich wyładowań. Lekkie pieczenie wywołane prądem w połączeniu z miękkimi posunięciami pióra sprawiało, że wiałam się, pozbawiona tchu. Kiedy uporczywe wibracje nieuchronnie doprowadziły mnie do orgazmu, wyprężyłam się i krzyknęłam, zamykając oczy przed rozbłyskującą błyskawicą światła.

Nie raz.

Nie dwa razy.

Trzykrotnie osiągałam szczyt ekstazy.

Wirowało mi w głowie i wzywałam Boga.

Jericho zachichotał mrocznie.

– On mógłby tylko marzyć, żeby teraz tkwić pomiędzy twoimi nogami.

Brzęk klamry paska zdradził mi jego zamiary. Spuściłam wzrok i ujrzałam, jak się ujawnia. Zorientowałam się, że znowu kwestionuję prawa fizyki, gdy obejmowałam wzrokiem jego niewątpliwie nieludzką erekcję. Elektryczność wibrowała na powierzchni jego kutasa, a oplatające go żyły pulsowały, jakby był bez reszty podekscytowany. Głodny.

Wtedy uniósł obie moje nogi i oplótł się nimi w pasie, a ja zawisłam na swoich majtkach. Byłam słaba i wyczerpana. Jedyne, co mi zostało, to pozwolić mu manewrować mną, jak tylko zechciał. Stałam się jego zabaweczką, mógł ze mną robić, co tylko przyjdzie mu do głowy.

Gdy moje krocze znalazło się na jego brzuchu, chwycił mnie za pośladki, wycierając sobie moją wilgoć o skórę, a jego męski odgłos aprobaty sprawił, że się zarumieniłam.

Ogarnęła nas ciemność, kiedy zamknął wokół nas skrzydła.

– Należysz do mnie, Farryn. Jeśli inny mężczyzna choćby tknie cię palcem, obedrę mu dłoń ze skóry i wypoleruję sobie nią buty.

Te słowa powinny wzbudzić we mnie wstręt. Powinny sprawić, że ucieknę od niego bez oglądania się za siebie – a jednak nie uczyniłam tego. To dlatego, że nigdy nie miałam do czynienia z kimś tak silnie mnie pragnącym lub chroniącym mnie w taki sposób. Zawsze sama o siebie dbałam, nawet gdy mieszkałam z ojcem. Musiałam być chora, skoro tak mnie to podnieciło. Po Jerichu nie będzie już nikogo podobnego. Jak mógłby być? W jedną noc zniszczył mnie dla innych mężczyzn. Zwłaszcza tych ludzkich. W końcu jaki ludzki mężczyzna miał skrzydła mogące służyć za tysiąc jednorazowych wibratorów?

Równie dobrze mógłby w tym momencie wyciągnąć cyrograf na moją duszę.

Przesunął dłonią po moich włosach i odchylił mi głowę, nie spuszczać ze mnie wzroku, w którym widać było niepodważalną determinację.

– Powiedz to – zawarczał.

– Należę do ciebie.

Zacisnął zęby i opuszczył mnie na swój czubek. Drżenie jego główki i trzonu sprawiało, że dygotały mi uda. Pchnął powoli i wygięłam się w łuk, gdy moje ciało przyjęło go w siebie z poślizgiem. Zakorzeniał się głęboko, centymetr po centymetrze, zaś ja rozciągałam się wokół niego, wydając z siebie jęk paniki.

Gdy już w pełni we mnie wszedł, oparł mi głowę na ramieniu.

– Jest mi w tobie dokładnie tak, jak o tym śniłem... – wydyszał.

Otoczył mnie ciasno ramionami i zaczął się poruszać w powolnym, leniwym tempie, a towarzyszący temu wilgotny, śliski odgłos jedynie wzmagał moje podniecenie. Stawałam się jeszcze bardziej mokra z każdym nieustającym pchnięciem jego bioder.

Wibracje rozlewały się we mnie przy jego kolejnych ruchach. Czułam się w pełni z nim połączona, tak silnie i wszechogarniająco, że łzy znów napłynęły mi do oczu. Coś nieznanego i nowego rozkwitało we mnie. Niczym ciernie wbijające się w serce, ścisnęło moje ciało w pulsującym powoli bólu. Pierwsze kwiaty wychodzące po niekończącej się zimie. Zamknęłam oczy przed nieproszoną wizją.

Mężczyźni w sutannach wpadają przez rozbite drzwi chaty. Wrzaski. Rudowłosa kobieta wyciąga do mnie ręce. „Lustina!” Mężczyźni mnie odciągają. Zbiera się tłumek ludzi, pluja na mnie i wyzywają. Smród płonącego mięsa w powietrzu. Kolejne wrzaski. „Matko!”

Wizje pojawiły się szybko. Zbyt szybko. Strach ścisnął mi serce i próbowałam zaczerpnąć tchu.

– Oni ją spalili. Żywcem. Na moich oczach. – Łzy bardziej wypełniły mi oczy, moją pierś przepełniał ból. – O Boże, co się ze mną dzieje?

– To nic takiego. – Jericho pocałował mnie w policzek, wciąż wchodząc i wychodząc ze mnie. – Wracają wspomnienia, kochanie. Nie obawiaj się.

Niebieskokooki chłopak z czarnymi włosami. Leżę z nim na łące. Z nogami owiniętymi wokół jego ciała. Tulę go. Strach przed przyłapaniem. Miłość. Tak wiele miłości, że puchnie mi ona w piersi. Jego zapach. Jego

dłonie. Jego szepty. „Kocham cię, Lustino”.

Całe moje ciało zadrżało pod nim, zimny pot wystąpił mi na i tak już wilgotną skórę.

– O Boże, o Boże... Pamiętam wszystko, Jericho, boję się.

– Ćśśś. Niech wspomnienia do ciebie wracają, moja miłości.

Woda. Tak zimna. Tak cicha. Krwawy księżyc. Uciekające powietrze. Cisza.

Wszystko nagle nabrało sensu. Jego obsesja. Jego obawa, że mogłabym odejść. Jego miłość.

– Rozumiem. – Wszystko, w co wierzyłam, roztrzaskało się w obliczu niemożliwej rzeczywistości, w której się odrodziłam.

Kolejne łzy napłynęły mi do oczu, a on chwycił mnie za szyję i pocałował żarliwie. Namiętnie. Zaborczo. Języki, zęby i ciężkie oddechy zetknęły się w sposób sprawiający wrażenie bitwy o wyjątkowość. Nigdy dotąd nie byłam całowana z taką pasją. Przesunął mi nosem po gardle i ugryzł u nasady szyi, wplątując mi palce we włosy. Ostre pieczenie zgasło do delikatnych muśnięć jego języka. Trzymał mnie ciasno przy sobie, wbijając się we mnie z nieposkromioną krzepą.

Niech Bóg się nade mną zlituje, ale poddałam się temu. Poddałam się jemu.

– Już nigdy więcej mnie nie zostawiaj. Nie przeżyję, jeśli znowu cię stracę.

– Obiecuję – wyszeptalam.

Moje ciało zaciskało się i drżało, gdy zbliżał się orgazm. Wspinałam się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie pękłam. Błysk światła rozplątał mu się po skrzydłach, gdy z rykiem ekstazy odchylił głowę do tyłu. Ciepło, które mnie wypełniło, rozlało mi się po udach.

Gdy ze mnie wyszedł, spojrzałam w dół i ujrzałam soki spływające mi po udzie – białe, lecz usiane czymś, co wyglądało jak tysiące mikroskopijnych diamentów.

Te iskierki energii wdarły się we mnie, wstrząsając mną od środka, a ja znów wygięłam się w łuk, krzycząc, gdy po raz kolejny osiągnęłam szczyt.

Pijackie upojenie zawładnęło moimi mięśniami, zaś przytłaczająca satysfakcja osiadła mi głęboko w kościach. Miałam ochotę jednocześnie śmiać się i płakać.

Jericho uniósł mnie z haka. Objęłam go rękoma za szyję, wczepiając się w niego niczym kruchy, drżący ptaszek.

– Byłam tam. Pamiętam wszystko. Ją. Nas.

Ścisnął mnie mocno, gładząc dłonią moje włosy.

– Teraz wiesz już, dlaczego nigdy nie mogę pozwolić ci odejść – wyszeptał mi do ucha.

Farryn

Ciepła woda spływała mi na plecy, gdy leżałam w łaźni na piersi Jericha, słuchając miarowego bicia jego serca. Wcześniejsze przeżycia wciąż rozgrzewały mi wnętrze, ogarniały mnie przytulnym, mrowiącym wrażeniem. Zanim wróciliśmy z dzwonnicy, schował skrzydła z powrotem pod skórę, ukrywając swoją prawdziwą naturę. Wciąż nie potrafiłam tego pojąć.

Nabrał dłonią wody z wanny z czarnego kwarcu i polał mnie. Z powodu ciemnej barwy kamienia woda również wyglądała na czarną. Wydawało mi się to jednocześnie niepokojące i fascynujące. Pograżona w transie, wpatrywałam się w miękki blask świecącego kamienia, podobno wykutego i wyrzeźbionego ze skał Czarnej Wody. Tej samej góry, na której stała katedra.

Przesunęłam palcem po krawędzi tatuażu, przyglądając się umieszczonym w nim zawiłym znakom, które migotały pod moim dotykiem.

– To nie są po prostu tatuaże, prawda?

– Nie. Urodziłem się z gładką skórą, jak każde dziecko. Ale symbolizują każde życie, jakie odebrałem.

– Jest ich tak wiele – wyszeptałam.

Cisza zawisała na długo w powietrzu, gdy ogarniałam wzrokiem mnogość znaków na jego bicepsach, piersi i brzuchu. Tak wiele żywotów.

– O czym myślisz? – Jego chrapliwy głos odbił się echem po pomieszczeniu, wrywając mnie z rozmyślań.

– Nie wiem, jak to przetrwać.

– Zajmie to trochę czasu.

– Ale wiesz, ona nie obawiała się śmierci. Do samego końca wierzyła w twoją miłość. – Podniosłam wzrok i ujrzałam, że odwrócił głowę i drgnęła mu żuchwa. Wyciągnęłam dłoń, by ująć jego twarz. – Nie czuła strachu.

– Gdybym mógł ich zabić ponownie, zrobiłbym to.

– Nie. Ja bym tego nie chciała.

Zanim uświadomiłam sobie, co powiedziałam, obrócił się ku mnie.

– Zatem wierzysz. Jesteś Lustiną.

– Nie wiem, w co wierzyć. W moim świecie takie rzeczy są niemożliwe.

– Nawet w moim świecie nie uważałbym twojego powrotu za możliwy. Powiedziano mi o twoim przekleństwie, ale w głębi serca nigdy nie przypuszczałem, że znów ujrzę twoją twarz.

Choć wciąż miałam wątpliwości, on najwyraźniej pogodził się z myślą, że jestem Lustiną. Jego utraconą miłością. Samo to dawało mi do zrozumienia, że nie pozwoli mi odejść. Jakże mógłby? Wtedy zrezygnowałby z niej po raz drugi.

Za pierwszym razem spalił całe miasto do gołej ziemi. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, do czego byłby zdolny teraz.

– Boję się, Jericho. Nie chcę, żeby wspomnienia z mojego życia zniknęły w tym miejscu. A co, gdyby... Gdybyś wrócił ze mną? Mówiłeś, że moneta umożliwi swobodne przejście. Moglibyśmy wrócić razem.

– Niczego nie pragnąłbym bardziej, ale nie mogę. Muszę tu zostać, dopóki nie odpokutuję za swoje grzechy.

– W jaki sposób?

– Nie wiem. Nie ma żadnego podręcznika mówiącego, jak odkupić zniszczenie całego miasta.

Pomimo tych słów w jego głosie nie dało się usłyszeć humoru. Gdy uniosłam wzrok, ujrzałam, że jego twarz ma pozbawiony emocji, surowy wyraz. Ciężar jego czynów przygniatał mnie niezamaskowaną, duszącą świadomością.

- Zabiłeś też niewinnych.
- Nikt nie został oszczędzony. Żadna kobieta, mężczyzna czy dziecko. Trzeźwiąca realność odsłoniła we mnie bolesną pustkę.
- Za Lustinę?

– Nikt inny nie byłby w stanie skłonić mnie do czegoś tak niewybaczalnego. Nie żałuję swojej wściekłości. Jedynie tego, że część z nich mogłem ocalić. Oczywiście przeznaczone im było starzeć się z sercami pełnymi nienawiści, tak samo jak ich rodzicom.

- Jak myślisz, co powiedziałyby na to wszystko?

Westchnął tak, że jego pierś uniosła się pode mną, i odwrócił głowę.

– To pytanie dręczyło mnie przez stulecia. Zanim znalazła się w moim życiu, kroczyłem bardzo niebezpieczną ścieżką. Nie byłem przygotowany na poczucie winy. Nie jest to dla mnie nawet w najmniejszym stopniu naturalne. Nauczyłem się tej emocji dzięki niej. Ponieważ potrafiłem wyobrazić sobie, że każda z tych osób, które zabiłem, jest nią. Młodą. Niewinną. Różniącą się od reszty.

- A teraz tkwisz tutaj. I straciłeś szansę na powrót z mojego powodu? Przez to, co zrobiliśmy?

– Strażnicy wciąż obserwują mnie po kryjomu i patrzą krzywo na jakiegokolwiek zepsucie. Ale tutaj nie pilnują tak bacznie, jak w twoim świecie. To dlatego, że przebywają tu ci, których uważają za stracone przypadki.

- I którzy stają się podatni na wpływy Upadłych.

- Tak. Ale ubiegałbym się o ciebie niezależnie od kwestii odkupienia.

Ta koncepcja wydawała mi się obca – że byłby gotów zrezygnować z wolności, z możliwości opuszczania Nocnego Cienia, dla jednej osoby. Dla mnie. Nie potrafiłam ogarnąć tego umysłem.

- Ani razu nie zakochałeś się w innej kobiecie? Przez cały ten czas?

- Nie. Zawsze istniała tylko ona. Ty.

- Ledwo mnie znasz.

– Wystarczająco. – Przesunął palcem po moim barku i lekkie wibracje wcześniejszych doznań sprawiły, że znów poczułam mrowienie na skórze. – Jedynym, co trzymało mnie przy życiu, była nieznaczną szansą, że klątwa okaże się prawdziwa i że wrócisz. Wiem, że ani na tym, ani na żadnym innym świecie nie ma nikogo innego, dla kogo byłbym gotów stawić czoła boskiemu gniewowi.

- Czuję się jak oszustka. Jakbyś miał wkrótce poznać prawdę na mój temat.

- Jaką prawdę?

– Że wtapiam się w tłum. Że nigdy nie zrobiłam niczego wyjątkowego. Że na palcach jednej ręki potrafię zliczyć swoich chłopaków.

Jego palec zatrzymał się nagle.

- Ilu konkretnie ich było?

- A jak daleko mam się cofnąć? Do przedszkola? Może pięciu. Trzech w szkole podstawowej.

- Miałaś stosunki z innym mężczyzną...

- Tylko raz. I mogę ci zdradzić, że nie był wyposażony w wibrujące pióra.

- Skrzywdził cię? – Ton jego głosu niósł w sobie złowrogą obietnicę.

– Nie, nie skrzywdził mnie. Prawdę mówiąc, niczego przy nim nie czułam. Tylko otępienie. Chyba zawsze czegoś mi brakowało. Obwiniałam za to różne rzeczy. Gówniane dzieciństwo. Szkołę. Pracę. Ale może po prostu wszechświat przekazywał mi w ten sposób, żebym zaczekała. Żebym była cierpliwa. – Spoglądałam na idealną linię jego zuchwy i na nieziemski, zdrowy blask jego skóry. Jakże absolutnie nieosiągalny wydawałby się w moim świecie. – Muszę być z tobą szczerą. Nigdy dotąd nie kochałam. Nie wiem nawet, czy w pełni rozumiem, jakie to uczucie.

– Ciesz się świadomością, że nie oddałaś swojego serca nikomu innemu. – Wsunął mi palec pod brodę i odchylił mi głowę. – Zamierzam dać ci wszystko to, czego do tej pory odmawiało ci życie. W zamian ty oddasz się mnie. Mój apetyt jest jednocześnie lubieżny i nienasycony, lecz ty zaspokoisz go do punktu obżarstwa. W związku z tym nie będę cię dzielić z nikim. Nigdy.

Tak zaborcze i nierozsądne słowa powinny sprawić, że ogarnie mnie fala strachu, ale po tym, co ujrzałam, po doświadczeniu, jak czysta jest jego miłość, moje serce czuło się pełne. Możliwe, że byłam chora. W końcu jak można się oddać całkowicie komuś, kto nawet nie jest człowiekiem?

- Zatem należysz do zazdrośników.

– Zazdrość to małostkowa ludzka emocja, panno Ravenshaw. Ja jestem znacznie groźniejszy.
– Czy to jedna z tych jednokierunkowych uliczek, gdzie ja mam być wierna, ale tobie wolno skakać w bok?

– Skoro już wiem o twoim istnieniu, z innymi tylko traciłbym czas.

Uśmiechnęłam się na te słowa, ale wciąż nie potrafiłam do końca ogarnąć koncepcji, że ktoś jest zdolny do takiej miłości.

– Jak to możliwe, że mężczyzna jest tak nierozsądnie rozsądny?

Ignorując to pytanie, znów zadarł mi głowę i pocałował mnie.

– Czy już skończyłaś się namaczać?

– Zważywszy, że pomarszczyłam się jak suszona śliwka, chyba tak.

– Dobrze. Bo zamierzam nierozsądnie wypieprzyć cię w porządnym łóżku.

– Nigdy nie zasłużysz sobie na odkupienie, jeśli będziesz wciąż łamać zasady, panie Van Croix.

– Wolę wybrać wieczne potępienie, niż zrezygnować z możliwości znalezienia się pomiędzy twoimi udami.

Zacisnęłam wargi, żeby ukryć nieśmiały uśmiech.

– Choć bardzo mi pochlebia takie podejście, nie wygląda ono na zbyt ambitne.

– Owszem. Ale wierzę w koncepcję podróży, a ścieżka wiodąca do ambicji rzadko jest równie ekscytująca jak ta, która prowadzi do zatracenia.

Farryn

Duże płatki śniegu spadały bezcelowo z nieba. Wyciągnęłam rękę, żeby złapać jeden z nich. Gdy zetknął się z moją ciepłą skórą, roztopił się.

– Czy to nie dziwne? Jak łatwo można zniszczyć coś tak pięknego.

Van Croix zerknął na mnie. Trzymając mnie za drugą rękę, prowadził mnie do lasu.

– Jeśli pozwolisz mu wyschnąć na swojej dłoni, stanie się częścią ciebie. A zatem będzie dalej żyć w tobie.

– Nigdy nie myślałam o tym w taki sposób. – Nie wytarłam maleńkiej kropli ze skóry, tylko wystawiłam ją na mroźne powietrze, żeby się wchłonęła. – To absolutnie genialne.

– Staram się.

Przez ostatnie trzy dni spędzaliśmy ranki, południa i wieczory zamknięci w jego sypialni. Nie uprawialiśmy seksu tylko wtedy, gdy spaliśmy, myliśmy się i jedliśmy. Oraz gdy kazał zmienić pościel na swoim łóżku, choć wtedy wciągnął mnie w ciemny kąt w korytarzu i przycisnął do ściany.

– Zatem co takiego chciałeś pokazać mi na takim zimnie, kiedy mogłam leżeć w przyjemnym, ciepłym łóżku? – Musiałam jednak przyznać, że po trzech dobach w tym samym pomieszczeniu świeże powietrze wydawało się miłą odmianą.

– Chyba musisz po prostu zaufać, że mam na uwadze twój najlepszy interes.

Popatrzyłam na niego zmrużonymi oczyma.

– Ale czy na pewno? No bo wiesz, wcześniej zabrałeś mnie na szczyt dzwonnicy podczas burzy z piorunami.

– I z tego co pamiętam, bawiłaś się przednio.

– Tu mnie masz. – Być może był to stan upojenia pobzykankowego czy inne dziwne zjawisko związane z seksem, ale od tamtej pierwszej nocy coś we mnie rozkwitło. Wrażenie ożywienia. Energii. Gdy patrzyłam na siebie w lustrze, moja skóra jaśniała. Czułam się zdrowa i rześka.

Dotarliśmy do małej polanki, gdzie z jakiegoś powodu nie rosły drzewa. Zamiast tego stworzyły idealny pusty krąg w środku lasu. Wąskie pnie wysokich drzew uformowały ścianę, zamknęły nas w wolnej przestrzeni, a na ziemi zebrały się dziesiątki czarnych ptaków.

Jericho puścił moją dłoń i wyciągnął rękę, a wtedy jeden z czarnych ptaków zerwał się do lotu i usiadł na niej. Następnie wykonał palcami gest w moją stronę i powiedział:

– Twój medalion.

Zmarszczyłam brwi, ale odpięłam wisiołek z szyi i podałam mu go z lekkim wahaniem. Otworzył go, żeby spojrzeć na zdjęcie mojego ojca, po czym pokazał je ptaku, który przekrzywił głowę, jakby uważnie się przyglądał. Gdy po chwili zwierzę zakrakało i zatrzepotało skrzydłami, zapytałam w absolutnym szoku:

– On cię rozumie?

– Tak – odrzekł Jericho, oddając mi medalion. – Sznyt ma wyjątkową pamięć.

– Ale nie powiedziałaś do niego ani słowa.

– Porozumiewamy się bez słów.

– Jak?

Znów skupił uwagę na ptaku, który po zaledwie kilku sekundach wzleciał w powietrze. Pozostałe dziesiątki jego pobratymców również zerwały się do lotu i zaczęły krążyć nad polaną. Jericho machnął dłonią i krąg się rozproszył, ptaki zanurkowały ku nam, po czym szybko odwróciły kierunek i znów wzbiły się w górę, poruszając się w pełnej synchronizacji. Nigdy dotąd nie widziałem bardziej spektakularnego pokazu wdzięku.

Wyrwał się ze mnie chichot, gdy obserwowałam, jak Jericho kieruje nimi niczym dyrygent stojący

przed doświadczoną orkiestrą. Nie padło ani jedno słowo.

Pojedyncze raptowne machnięcie dłonią i ptaki znów zatoczyły dziwne koło. Następnie wskazał palcami w moją stronę.

– Podejdz.

Wciąż oszołomiona, zbliżyłam się do niego niepewnie i pozwoliłam, żeby uniósł moje ręce. Prawą z nich wykonał łuk i z jakiegoś niewyjaśnionego powodu ptaki wykonały moje polecenie, schodząc w formacji półksiężycą. Cofnął moją dłoń, jakbym trzymała w niej piłkę baseballową, a potem gwałtownie wysunął ją w przód. Ptaki pomknęły w górę i rozproszyły się na niebie niczym czarne konfetti.

Wybuchnęłam śmiechem i odchyliłam głowę w tył. Obserwowanie tych dzikich zwierząt poruszających się zgodnie z moją wolą okazało się niezwykle doświadczeniem.

– To niesamowite! – zawołałam, przywołując je z powrotem zgodnie z jego wskazówkami.

– Ufają ci – powiedział mi Jericho do ucha.

– Co to oznacza?

– Potrafią doskonale oceniać charakter. To bardzo lojalne stworzenia.

– Dziwne. Zawsze uważałam je za kapryśne.

– Ich lojalność na pewno nie rozciąga się na każdego.

Gdy opuściłam ręce, ptaki znów sfrunęły na ziemię i wróciły do wykopywania robaków.

– Na czym polega twoja relacja z nimi?

– Chodzi o moją więź ze Sznytem. Dawno temu uratowałam mu życie. Potraktował to osobiście.

– Nie miałam pojęcia, że ptaki są tak mądre.

– To zależy od konkretnego ptaka.

– Władasz błyskawicami i krukami. Czy jest coś, czego nie potrafisz?

Westchnął, założył ramiona na piersi i oparł się o pobliskie drzewo.

– Chyba nie.

Ta nieoczekiwana odpowiedź wywołała uśmiech na mojej twarzy.

– Poza tańcem. – Gdy uniósł brew, zachichotałam. – Po prostu założyłam, że skoro nie chciałeś zatańczyć ze mną na Balu Żęcia, to obawiasz się przyznać do tego, iż nie potrafisz tańczyć.

– Nie do końca pojawiłem się tam, żeby przetańczyć całą noc, panno Ravenshaw. Prawdę mówiąc, nigdy nie interesował mnie taniec. Nigdy nie widziałem w nim...

– Sensu. Szkoda. I chyba to przesądza sprawę – drażniłam się.

– A ty jesteś w tym taka świetna?

– „Świetna” to chyba mocne słowo. Robię to, gdy muszę: na weselach, gdy gotuję w nocy i pod prysznicem, gdy leci jakaś piosenka Prince’a. No wiesz, w takich oczywistych chwilach. Nic więcej.

– Pod prysznicem? – Machnął dłonią i uniósł brew. – Zademonstruj, jeśli możesz.

– Co? Tutaj? Przed tobą?

– Tak.

Zaśmiałam się nerwowo i pokręciłam głową.

– Nie tańczę na pokaz.

– Nigdy?

– Przenigdy.

– Szkoda.

– Czy... ja... kiedyś lubiłam tańczyć?

– Bardzo. I chyba nigdy nie znudziłby mi się ten widok.

Uśmiechając się, spuściłam wzrok i podeszłam bliżej niego. Chciałam być przy nim, całować go na mroźnym, zimowym powietrzu, ale niezręczna nieśmiałość, z jaką się wychowałam, sprawiła, że wyszło to sztywno i nieromantycznie. Jakie to dziwne, że uprawiałam z tym człowiekiem najbardziej wyuzdany seks w swoim życiu, a nie potrafiłam zmusić się do tego, żeby poprosić go o prosty pocałunek.

Zawstydzona, odwróciłam się, ale ciasny chwyt na moim ręku sprawił, że znów skupiłam uwagę na Van Croixie.

– Nigdy niczego ci nie odmówię. – Delikatnie przyciągnął mnie do siebie i przycisnął do swojej piersi. Pod wpływem ciepłoty jego ciała przestałam czuć ukąszenia chłodu. – Bierz ode mnie co chcesz.

Nauczyłam się być śmiała i pozbawiona skruchy, jeśli chodziło o moją karierę i dążenie do wiedzy, ale

myśl, że mogłabym prosić innych o okazywanie uczuć, albo wręcz się tego domagać, przerażała mnie. Sięganie po to, czego chciałam pod względem emocjonalnym, nie przychodziło mi naturalnie. Nieufność wobec innych oraz bardzo rzeczywista perspektywa odmowy paraliżowały mnie. Nie tylko wtedy, gdy dotyczyło to sytuacji intymnych. Ledwo potrafiłam utrzymywać przyjaźnie, nie mówiąc już o związkach, poza tym jedno i drugie zawsze postrzegałam jako ciężar. Jak roślinę, o którą musiałam każdego dnia dbać.

Zawsze łatwiejsza była dla mnie samotność. Brak oczekiwań czy rozczarowań.

A jednak nie potrafiłabym powiedzieć, że naprawdę lubię samotnicze życie. Moje życie.

Wciąż zarumieniona od wynikającego z nieśmiałości wahania, uniosłam brodę i stanęłam na palcach. Sztwno otoczyłam ramionami jego szyję i przyciągnęłam go do siebie zaledwie na tyle, żeby nasze wargi się zetknęły.

Podobnie jak wcześniej ptaki, poruszył się zgodnie z moją wolą, a gdy wreszcie przyłożyłam się do pocałunku, chwytając chciwymi wargami jego wargi, przepłynęła przeze mnie fala triumfu.

Obawa, że mógłby mnie odepchnąć, została zgaszona, gdy otoczył mnie ramionami i przycisnął mocniej do siebie. W przeciwieństwie do wcześniejszych żarliwych i desperackich pocałunków ten był łagodniejszy, bardziej leniwy. Nasze języki badały się nawzajem, a para z oddechów mieszała się w powietrzu pomiędzy nami.

On dawał, gdy ja brałam, cicho nasycając głód, który nieświadomie cierpiałam tak długo. Intymność i namiętność, których tyle lat unikałam, domagały się ode mnie więcej.

Więcej!

To było jak uzależnienie! Jakże łatwo było się uzależnić od zauroczenia Van Croixa moją osobą.

Lustiną.

A co się stanie, jeśli on uświadomi sobie, że nie wyrosłam na niewinną dziewczynę, która tańczyła i oczarowała chłopca, najprawdopodobniej targanego wieloma konfliktami. Że byłam kobietą zahartowaną przez życie. Pozbawioną złudzeń i niespokojną. Zawsze rozkojarzoną i szukającą odpowiedzi.

Ile czasu minie, zanim się mną znudzi?

Przycisnęłam dłoń do jego piersi i przerwałam pocałunek, żeby zaczerpnąć tchu. Spuściłam głowę i pozwoliłam, żeby igły wątpienia dźgały i kłuły mój mózg, ignorując, jak wspaniale i dobrze czułam się w jego ramionach.

– Co cię dręczy?

– Jak szybko to stało się takie wygodne. Chcę wierzyć, że to jest prawdziwe.

– A co każe ci sądzić inaczej?

Znów spuściłam głowę, żeby ukryć wątpliwości, które musiały się malować na mojej twarzy.

– Uporczywa myśl, że gdybym była jedynie sobą, a nie jakąś reinkarnacją Lustiny, to wszystko by się nie działo.

– Zaintrygowałaś mnie od samego początku, ale masz rację. Odmawiałbym sobie ciebie. Celowo sabotowałbym jakąkolwiek możliwość, że mogłoby nas coś łączyć.

– Dlaczego?

– Choć jest małe i czarne, bardzo dawno temu oddałem ci swoje serce. Od tamtej chwili nie byłem zdolny do miłości. – Przesunął mi dłonią po włosach. – Odwróciłbym się od ciebie nie dlatego, że tobie by czegoś brakowało, tylko że brakowałyby tego mnie.

– A gdybym w ogóle do ciebie nie wróciła?

– Na tę ewentualność również byłem przygotowany. – Nie rozwinął tej myśli, ale ponury wyraz jego twarzy powiedział mi wystarczająco wiele. – Czekałem wieczność na rok, na który przepowiedziano twoje ponowne narodziny.

Jego słowa zapadły mi głęboko w pierś i choć nie miałam doświadczenia w miłości, próbowałam wyobrazić sobie, że można kogoś tak bardzo pragnąć.

Ze wstydem przyznawałam przed samą sobą, że nie byłabym do tego zdolna. Nigdy nie kochałam kogoś tak żarliwie, żeby czekać wieczność. Żeby odmawiać sobie możliwości szczęścia.

I dlatego nie uważałam, bym na niego zasługiwała.

Ujął moją twarz w dłonie i tym razem pocałował mnie mocniej.

– Jest zimno. Powinniśmy wracać.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, zajrzę do psiarni i sprawdzę, co ze zwierzakami. Nie widziałam ich od

kilku dni.

Odsunęłam się od niego, a on wyciągnął do mnie rękę.

– Wszystko w porządku? – Troska na jego twarzy sprawiła, że jeszcze bardziej ścisnęło mnie w piersi.

– W idealnym.

– Farryn... Miałem całą wieczność, żeby się zakochać. Żeby śnić i wpaść w zauroczenie w oczekiwaniu na twój powrót. Nie oczekuję, że tak szybko poczujesz to samo. To byłoby nienaturalne.

Nie chciałam mówić mu o swoich obawach: że być może w ogóle nie będę zdolna do romantycznej miłości. Nie po tym, przez co musiał przejść. Wątpiłam w swoją miłość jako córka, bratanica, przyjaciółka. W ogóle wątpiłam w swoje człowieczeństwo. W końcu kto nie złożyłby się w ofierze dla kogoś, kogo kocha? Ktoś samolubny. Ktoś, kto myśli jedynie o sobie i swoim przetrwaniu.

Uśmiech, który do niego skierowałam, kłócił się ze wszystkimi wirującymi we mnie wątpliwościami.

Skinęłam głową.

– Po prostu muszę przyzwyczać się do koncepcji miłości.

– Sam ją odrzuciłem. Mógłbym przysiąc, że to właśnie apatia w moim sercu ostatecznie mnie zniszczy, tymczasem była to jedyna rzecz na tym świecie, która mnie uratowała. Zbyt długo byłem martwy w środku. Ale w tobie odnalazłem powód, żeby znowu żyć.

Uśmiechnęłam się szerzej i przytaknęłam, czując się jeszcze gorzej.

– Wizyta w psiarni zajmie mi tylko chwilę.

– Oczywiście.

Odwrociłam się od niego, odetchnęłam przeciągle, drżąc, po czym zamrugałam, żeby powstrzymać cisnące mi się do oczu łzy. Ogarnij się, skarciłam się w duchu. Jezu, przecież istniały gorsze rzeczy niż wspaniały facet z wibrującymi piórami i ciałem stworzonym do seksu okazujący mi swoje zauroczenie.

Znacznie gorsze.

Gdy zbliżyłam się do psiarni, moją uwagę przykuło zamieszanie. Okrążyłam budynek i zobaczyłam Evie wydzierającą się na Garica.

– Nie obchodzi mnie to! Nie można sobie czegoś tak po prostu brać! To się nazywa kradzież, głąbie! – Dziewczyna trzymała za plecami lśniący przedmiot, lecz palcem drugiej dłoni celowała w starca mierzącego ją wzrokiem.

– Co się dzieje? – spytałam.

Gniewne brązowe oczy przesunęły się na mnie. Evie przyglądała mi się tak, jakby poczuła nieprzyjemny zapach.

– A co cię to obchodzi, psiaro?

Niewątpliwie miałam problemy z relacjami z ludźmi, ale Evie była przykładem osoby, którą niewystarczająco przytulano w dzieciństwie.

– Nie obchodzi. Po prostu wyglądasz na zdenerwowaną.

– Tak. Ty też byś się denerwowała, gdyby ten przyglup ukradł coś, czego powinnaś pilnować!

– Nie ukradłem tego – mruknął wreszcie Garic. – Tylko pożyczylem.

– Co pożyczyleś? – Evie wyciągnęła zza pleców srebrną ramkę na zdjęcia, ale szybko ją cofnęła, gdy Garic po nią sięgnął. – Wziął to z gabloty z osobliwościami w salonie pana Van Croixa.

– Ramka na zdjęcia? – Czekałam, aż dziewczyna powie mi, że przedmiot ma jakieś wyjątkowe znaczenie, ale wtedy Garic wyjaśnił:

– Kurzyła się w szufladzie.

– Denerwujesz się, że on ukradł nieużywaną ramkę? – Pytałam zarówno po to, żeby uzyskać wyjaśnienie, jak i dlatego, że jej reakcja wydawała mi się nieco śmieszna.

– Przypuszczam, że konsekwencje nie wyglądają tak samo dla tych z nas, którzy cieszą się specjalnymi przywilejami. A jeśli pan zauważy, że ramka zginęła? Obwini mnie i stracę pracę. Oraz dom.

– Jestem pewna, że pan Van Croix nie wpadłby w szal z powodu ramki na zdjęcia.

– A ja jestem pewna, że nie znasz go tak dobrze, jak ci się wydaje.

– Trzymaj się z dala od mojej chaty. Nie masz prawa węszyć w moich rzeczach! – warknął Garic, sięgając po przedmiot za plecami dziewczyny. – Daj mi to, co w niej jest!

– No jasne. – Evie odpięła tylną część ramki, wyrwała ze środka kawałek papieru i rzuciła go mężczyźnie. – Prawie zapomniałam zwrócić twoje główniane zapiski.

– Nędzna dziewczucha! – Garic praktycznie skoczył za papierkiem, który spadł w śnieg. Wilgoć natychmiast rozmasała to, co zostało napisane po drugiej stronie kartki.

Wpatrując się w niego z góry, Evie zachichotała.

– Głupi starcze ze swoimi głupimi gryzmołami. Twoja żona cię zostawiła i nie wróci. Pewnie rucha się z innym, więc jaki w tym sens.

– Ej! – Gdy podeszłam bliżej, pogardliwe spojrzenie Evie znów padło na mnie.

Powarkując gniewnie, Garic podniósł się z przemoczoną kartką i pokuśtykał w kierunku swojej chaty. Popatrzyłam na służącą.

– O co ci chodzi, do cholery? Urodziłaś się taka okropna czy zrobiło ci się tak z czasem?

– Na twoim miejscu uważałabym na siebie, dziewczyno. Może i jesteś najnowszym ruchadełkiem szefa, ale nie trzyma ich zbyt długo. A gdy postanowi się ciebie pozbyć, jak myślisz, do kogo się zwróci? – Nie zawracała sobie głowy czekaniem na moją odpowiedź, tylko obróciła się na pięcie i ruszyła do katedry.

Nie przejmowałam się nią ani jej słowami. Bardziej obchodził mnie Garic. Rezygnując z okazji do riposty, ruszyłam w stronę pobliskiej chaty.

Gdy dotarłam do ganku, mężczyzna siedział już na bujanym fotelu i rozprostowywał krawędzie trzymanego na udzie świstka.

Jeśli oceniać go tylko po jego opryskliwości, przypuszczałam, że nieczęsto płakał, ale raptowne ruchy jego dłoni i wymuszone oddechy mówiły mi, że mocno się zdenerwował.

– Nie widziałam nic złego w tym, co zrobiłeś.

Jak oczekiwałam, nie odpowiedział, a tylko próbował dalej ratować zniszczony papierek. Z miejsca, w którym stałam, mogłam odczytać tylko kilka rozmazanych zdań:

„Nazywam się Garic Wilson.

Urodziłem się w Nebrasce.

Miałem piękną żonę.

Miała na imię Samantha.

Miała zielone oczy i blond włosy.

Kochała kwiaty wiosną i zachody słońca nad drzewami”.

W tym momencie uświadomiłam sobie, co to jest, i poczułam, jak w piersi rozkwita mi silny smutek.

– Próbujesz jej nie zapomnieć.

Przestał gmerać przy kartce i ściągnął wargi, jakby powstrzymywał gniew.

– Nigdy jej nie zapomnę. Nie zapomina się własnej żony.

Teraz nabrało to dla mnie znaczenia. Przez cały czas sądziłam, że Garic jest po prostu zręczliwym starym marudą. Złośliwym bez powodu.

Postanowił pamiętać swój ból i nosił go w sobie codziennie.

– Musiała być uroczą osobą.

– Ślub z nią był najlepszym, co mnie spotkało. – Zmarszczył gęste brwi i wrócił do rozprostowywania kartki. – Guzik mnie obchodzi, co mówią inni tutaj. Zobaczę ją znowu.

Po spotkaniu z Anyą nie miałam serca uświadamiać go, że tak się nie stanie. Zresztą nie było to moje zadanie, nawet jeśli jako jedna z nielicznych zdawałam sobie sprawę, czym jest Nocny Cień. Nawet jeśli pamiętałam swoje życie i przeszłość z powodów, które wydawały się nie mieć sensu. Poza tym los bywał przewrotny i jeśli moje okoliczności stanowiły jakąkolwiek wskazówkę, nie zawsze postępował zgodnie z zasadami.

Zamiast więc zdradzić mężczyźnie, że nigdy więcej nie zobaczy żony, powiedziałam:

– Czasami dola styka nas z kimś wtedy, gdy najmniej się tego spodziewamy.

Garic podniósł wzrok znad papieru i jeśli się nie pomyliłam, w jego oczach błysnęła iskra nadziei.

– Naprawdę w to wierzysz?

Wpatrywałam się w niego przez chwilę, zastanawiając się nad tym pytaniem, po czym zerknęłam na widoczną w oddali katedrę. Pełną zdecydowanie zbyt wielu zbiegów okoliczności, żebym mogła dalej zaprzeczać prawdzie. Obróciłam się do mężczyzny z lekkim uśmiechem.

– Pracuję nad tym.

Jericho

Pazury Sznyta wbijały mi się w ramię, gdy wystawiałem go za okno i patrzyłem, jak wzbija się do lotu. Inne ptaki dołączyły do niego na niebie i wspólnie wyruszyły na poszukiwania ojca Farryn, jak obiecałem.

Usłyszałem pukanie, ale nawet się nie odwróciłem.

– Wejść.

W odbiciu w szybie dostrzegłem ponętny krok ciemnowłosej służącej. Evie weszła do mojego gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

Wzdychając w duchu na jej widok, przejechałem dłonią po twarzy i opadłem na fotel.

– Panie Van Croix, chciałam poinformować, że Danielle chyba zaginęła. Nie ma jej w jej pokoju ani nigdzie na terenach katedralnych.

Danielle była dziewczyną z personelu kuchennego, żywiołową i energiczną, zwłaszcza podczas naszych nocnych schadzek. Nie próbowałem już sobie ich przypominać.

– Nie uciekłyby przed psami – powiedziałem.

Evie zacisnęła wargi i odwróciła wzrok.

– Z tego, co rozumiem, ostatnio była widziana z Remym.

– Z Remym... – Choć odzegał się od swojej mrocznej natury, wciąż był Upadłym. Wciąż walczył z żądzami i pragnieniami swojego rodzaju, do których należało brukanie dusz młodych kobiet. Wiedziałem z własnego doświadczenia jako półdemon, że intensywna ochota na seks jest równie silna jak potrzeba tlenu u ludzi, zatem tak do końca go nie winiłem.

– Tak, panie. Wyrażała sympatię wobec niego.

On na pewno zdołałby umknąć psom.

– Dlaczego informujesz mnie o tym, skoro to Anya jest twoją zwierzniczką?

Ta dziewczyna miała jakiś ukryty motyw. A ja nie chciałem mieć z nim nic wspólnego.

– Anya nie zawsze jest świadoma wszystkich wyjść i wejść personelu. Przynajmniej nie w takim stopniu, jak mógłbyś oczekiwać. – No jasne, wrzucała Anyę pod pociąg. Jediną osobą oprócz mnie, która nie tolerowała kitu. – Po prostu wiem, że Anya nie przepada za nią. Ani za mną.

– Założę, że odeszła z własnej woli. – Znudziła mi się już ta rozmowa i coraz bardziej irytowało mnie paplanie służącej.

– Ja założyłabym tak samo. Tylko że Remy twierdzi, iż też nie wie, gdzie ona jest. – Zamilkła na krótką chwilę, w której poczułem błogość.

– Jeśli nie ma już nic więcej...

Evie zmarszczyła brwi i przekrzywiła głowę, jakbym odezwał się do niej w obcym języku.

– Hmm. Czy istnieje szansa, żebyś mógł z nim porozmawiać? Może chociaż żeby... upewnić się, czy Danielle żyje?

– Pewnie. A teraz bądź tak uprzejma i wyjdź.

– Jeszcze jedno, jeśli mogę zająć ci kolejną chwilę.

Czując, jak kończy mi się cierpliwość, ścisnąłem nasadę nosa.

– O co chodzi?

– Ta... Farryn. Wygląda na to, że ostatnio twoja uwaga skupia się na niej.

– Uważaj.

Nie miałem wiele cierpliwości dla tych, którzy mieszały się w moje prywatne sprawy, zwłaszcza jeśli robił to mój personel. Nie było tajemnicą, że Evie jest zazdrosna, a moja tolerancja dla takiego zachowania

była naprawdę niewielka, jeśli dotyczyło Farryn.

– Oczywiście. Zastanawiałam się tylko, czy ty i ja jeszcze kiedyś...

– Nie.

Jej brwi się uniosły, a dziewczyna odchrząknęła, wyraźnie czując się niekomfortowo z moją odpowiedzią.

– Nie?

– Możesz cieszyć się zatrudnieniem w bardziej profesjonalnym charakterze lub odejść. Pogodzę się z jednym i drugim wyborem.

Cień krzywdy przesunął się po jej twarzy. Pochyliła głowę, jakby chciała ukryć łzy, które jednak zauważyłem.

– Kurczę. Czyli musisz uważać ją za naprawdę wyjątkową.

– Bo uważam. I masz jej nie dręczyć, inaczej znowu poproszę cię o odejście.

– Oczywiście. Nie mam żadnego powodu, żeby ją dręczyć.

– Zatem przejdź do sedna.

– Och, tak naprawdę to nic takiego. – Z fartucha wyciągnęła pióro, konkretnie jedno z moich piór, i przesunęła sobie jego promieniami po czerwonych wargach. – Znalazłam to na ziemi. Piękne, prawda? Takie miękkie.

Nie odpowiedziałem. W ogóle nie zareagowałem, ale obserwowałem ją. Zastanawiałem się, czy zbierze się na odwagę, by przyznać, że szpiegowała.

– To miejsce bywa czasami takie dziwne. Hałasy. Różne rzeczy, które widzi się nocami. – Przygryzła dolną wargę i przesunęła pióro w dół szyi do tkaniny zasłaniającej jej piersi. – Mam sekret – wyszeptwała i zachichotała. – Na pewno ktoś w tym zapomnianym przez Boga miasteczku chciałby się dowiedzieć, kim naprawdę jesteś.

Trudno było stwierdzić, ile Evie tak naprawdę wie o Nocnym Cieniu i o upadłych aniołach kroczących swobodnie wśród ludzkich dusz.

– Jeśli uważasz, że nigdy dotąd nie zabiłem kobiety, to nie masz pojęcia, jak obojętne jest mi ludzkie życie.

Wydęła wargi.

– Nie chcę, żebyś był na mnie zły.

Nie chciało mi się pytać, czego oczekuje.

– Ta sztuczka z piórem była fajna. – Bawiła się nim tak, że miałem ochotę wyrwać je jej. – Szkoda, że nie wiedziałam wcześniej, że tak umiesz. Wyobrażasz sobie, jak zabawnie byłoby pierdolić mnie błyskawicą?

– Zabawne dla kogo?

– Och, daj spokój. Nie udawaj, że nie podobały ci się chwile, które wspólnie spędziliśmy. Pamiętasz te noce, gdy zmuszałeś mnie...

– Dość.

Wymknął się jej perlisty śmiech, brzmiący jednak jak ostrze przecinające szkło.

– W porządku, zachowam te sekrety dla siebie. – Wcisnęła sobie pióro z powrotem w fartuch. – Wiedz tylko, że zawsze możesz na mnie liczyć, panie Van Croix. Z radością pomogę ci w każdy możliwy sposób.

– Teraz możesz zaradzić na mój ból głowy. Wychodząc. Natychmiast.

Zupełnie jakby odebrała moje słowa jako policzek, skrzywiła się i odwróciła. Nie mówiąc już nic więcej, opuściła mój gabinet.



Opierając się o ścianę, patrzyłem, jak Farryn mozoli się z czymś, pochylona nad jednym ze stołów w bibliotece i skoncentrowana na pracy. Na blacie leżały patyki różnych rozmiarów, a także małe kawałki sznurka. Gdy wreszcie podniosła to, co tak ją zajmowało, ujrzałem przedmiot, który wyglądał na ramkę, choć nieco krzywą. Najwyraźniej ona również dostrzegła ten szczegół, bo zmarszczyła brwi i odłożyła obiekt na stół, by go poprawić.

Cichym krokiem podszedłem do niej. Najwyraźniej nie zauważała mnie, nawet gdy stanąłem obok.

Gdy znowu podniosła wzrok, z jej ust wyrwał się okrzyk. Zatoczyła się w tył. Zanim upadła, wyciągnęłam rękę i przytrzymałam ją.

Patrzyła na mnie z otwartymi w oszołomieniu ustami, gdy pomagałam jej się wyprostować.

– Jak... To było... Kurczę. Szybko. To jakaś anielska sztuczka czy coś?

– To sztuczka o nazwie „nie chcę patrzeć, jak rozbijasz sobie głowę”.

– Taa. Zrobiłby się paskudny bałagan.

– Co to jest? – spytałam, wskazując jej pracę.

– To dla Garica.

– Chce wprowadzić się do domu wróżek?

Uśmiechając się, okręciła sznurkiem jeden z rogów ramy.

– To nie na szybko. Tylko na obrazek.

– Ten stary maruda zdołał skłonić cię, żebyś zajęła się robótkami ręcznymi?

– Chciałam zrobić coś miłego. No wiesz, taki dobry uczynek.

Uśmiechnąłem się lekko i wcisnąłem dłoń do kieszeni spodni.

– Tak naprawdę nie jestem biegły w takich aktach.

– Anioł, który nie wierzy w dobroć?

– Pociąga mnie ona z powodów, których tak naprawdę nie rozumiem. Ale na pewno nie jest we mnie zakorzeniona. Podobnie jak litość.

Przerwała wiązanie sznurka i podniosła wzrok, na chwilę przybierając zamyśloną minę.

– Skoro mowa o litości, to chciałam spytać, bo nie ma o tym wzmianki w książce... Co się stało z Drystanem? Zakładam, że zabiłeś go za to, co zrobił.

– Źle zakładasz.

Zmarszczyła brwi i przekrzywiła głowę.

– Co? Odniosłam wrażenie... Cóż, chyba wszyscy uważali, że on nie żyje.

– Rzeczywiście wszyscy uważali, że on nie żyje. Również ty. – Dostrzegłem cię w jej oczach, gdy to powiedziałem, jakby część niej wciąż nie potrafiła zaakceptować, kim jest.

W końcu zaakceptuje.

– Zatem co się z nim stało?

– Przekazałem go bandzie przestępców. Składającej się głównie z upadłych aniołów.

– Uwolniłeś go? Wydawało mi się, że nie jesteś taki wyrozumiały. Zwłaszcza po tym, co uczynił.

Dawne uczucia wściekłości znów we mnie zapłonęły i musiałem sobie przypomnieć, że od tamtych wydarzeń dzieli mnie wiele lat.

– Bo nie byłem. Miałem ochotę go zabić. Ale złożyłem matce obietnicę, że tego nie zrobię.

– Bo był człowiekiem?

– Drystan nie był w pełni człowiekiem.

Po raz drugi w ciągu kilku minut otworzyła usta i wybałuszyła oczy w szoku.

– Co?

– Był cambionem. Z tego samego ojca, demona Dalgotha, ale jego matka była człowiekiem.

W zamyśleniu pokręciła głową i usiadła na krześle.

– Wow. Dlaczego zatem to ciebie biskup traktował tak okrutnie?

– Oni dwaj postanowili ukrywać swoją prawdziwą naturę. Zasymilować się i odrzucać to, kim byli, wtopić się wśród ludzi. W ich oczach była to niewielka cena za to, żeby kochała ich cała wioska. W ten sposób biskup tylko utwierdził się w przekonaniu, że to ja jestem prawdziwym wynaturzeniem i że mój stan można leczyć. – Podeszedłem do okna i popatrzyłem na wierzchołki drzew stojących u podnóża góry. – Aż do nocy, podczas której zniszczyłem Praeepsię, nie wiedziałem, że potrafię władać błyskawicami. Bawiłem się ogniem i piorunami, ale nigdy w takim stopniu. Całe życie uczono mnie, żebym ukrywał to, kim jestem, inaczej poznam okrucieństwo biskupa. Niektóre rzeczy ukrywałem dobrze. Inne gorzej.

– Czyli Drystan... Sądysz, że Upadli oszczędzili mu życie?

– Raczej nie. Upadli nie są znani z altruizmu w stosunku do mieszaińców. – Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że sznurowanie gorsetu jej sukienki się poluzowało, powiększając dekolt, na widok którego poczułem niespodziewany przyływ krwi do krocza. W jej obecności zaczęły mnie w niewyjaśniony sposób podniecać takie błahostki. Chyba zorientowała się, że się w nią wpatruję, bo zabrała się do zaciągnięcia

tasiemek na nowo.

– Remy jest Upadłym, prawda? – Gdy ujrzała na mojej twarzy wyraz, który musiał wskazywać na zatroskanie, dodała: – Tak założyłam, bo... cóż, ma jakby oleistą aurę.

Uśmiechnąwszy się na to, obróciłem się znów do okna.

– Tak, jest Upadłym. I wie, że ma trzymać się od ciebie na dystans, chyba że w pewnym momencie przestanie cenić sobie własne życie.

– Jak w ogóle się związaście? – Gdy zmarszczyłem brew, zachichotała. – Nie chodziło mi o takie związanie.

Skinąłem głową.

– To Cassiel przekonał go, żeby pomógł mi w ucieczce z więzienia Virgila. Aczkolwiek nie sądzę, żeby Remy był kiedykolwiek w pełni przekonany. Cassiel odwiedził wyrocznię, która wzbudziła w nim przekonanie, że oszczędzenie mi życia i ucieczka Virgilowi w jakiś sposób pozwolą mu się odkupić. – Dręczyło mnie, że w ostatecznym rozrachunku to moja klinga wysłała go do Ex Nihilo.

– Być może został odkupiony?

– W miejscu, na które go skazałem, nie istnieje spokój.

– Skąd to wiesz, skoro nigdy tam nie byłeś?

– Przez stulecia w każdej godzinie każdego dnia przeżywałem własną wersję czegoś podobnego. – Wróciłem myślami do lat przed tym, jak straciłem pamięć. Do tego, jak zegar odliczał kpiąco każdą sekundę, gdy siedziałem w tamtej dzwonnicy i mijały kolejne nędzne dni. Gdy czekałem na jej powrót i zastanawiałem się, czy mnie pozna, czy też stanę się dla niej nieznajomą twarzą.

Z wyraźnym zatroskaniem postukała palcem w stół.

– Jakiś czas temu powiedziałeś mi o prorocctwie dotyczącym krwawego księżyca. I że teraz jest rok pentady. Jeśli to wszystko jest prawdą, to...

– Nie masz się czym martwić. Nie pozwolę, żeby ktokolwiek albo cokolwiek znów mi ciebie zabrało.

Skinęła głową, spuściła wzrok i wstała od stołu, żeby stanąć przede mną.

Zaskoczony, spojrzałem na nią.

– O co chodzi?

– Pogódź się z tym – rzekła, a następnie wspięła się na palce i otoczyła ramionami moją szyję. – W ten sposób biorę to, czego chcę.

Czując pociągnięcie za kark, nachyliłem się ku niej, a ona przycisnęła swoje wargi do moich.

Farryn

Nie wiedziałam, dlaczego trzęsą mi się ręce. Działo się tak za każdym razem, gdy coś dla kogoś zrobiłam, zupełnie jakby moje ciało nie było w stanie poradzić sobie z aktem dobroci.

Szłam wydeptaną ścieżką do chaty Garica, obracając ramkę w dłoniach i próbując określić, która z krawędzi wygląda lepiej u góry. Wszystkie pozostawiały trochę do życzenia z powodu słabości drewna, ale nadadzą się. Splotłam nawet przód z tyłem, zostawiając u góry wąską szczelinę, przez którą można było wsunąć kartkę.

Po dotarciu do chaty zapukałam do drzwi i zaczęłam odliczać w głowie sekundy. Gdy doszłam do piętnastu, znów zapukałam. Oczekałam znowu piętnaście sekund, a potem zajrzałam przez okno do ciemnego, pustego wnętrza.

– Garic! – zawołałam.

Przycisnęłam twarz do szyby. Zauważyłam na stole talerz, kubek i widelec. Przygotowane do następnego posiłku. Pomieszczenie było czyste i schludne, a nieliczne meble wyglądały na mocno zużyte.

– Garic! – powtórzyłam.

Rozejrzałam się po podwórku, szukając czarnego kaszkietu, który zawsze nosił. Zauważyłam, że psy węszą przy czymś na skraju lasu, i ruszyłam w tamtym kierunku, sądząc, że mężczyzna zapewne dogląda zwierząt.

– Garic! – Z dłońmi drżącymi jeszcze bardziej niż zwykle zbliżyłam się do psów, których uwagę najwyraźniej odwróciłam. Cerber uniósł nos i podbiegł bliżej. Po tym, jak skakał wokół mnie, widziałam, że wygląda na niespokojnego i podekscytowanego. – Co cię tak nakręciło?

Gdy wreszcie znalazłam się na skraju lasu, pozostałe dwa psy usiadły z boku, jakby schodziły mi z drogi. Nie wiedziałam dlaczego.

Dopóki nie obeszlłam drzewa.

Na grubych, powykręcanych korzeniach leżała kupka popiołu, który już zaczynał rozwiewać się po ziemi, podrywany wiatrem. U podstawy pnia, zatknięty na zadartym korzeniu, wisiał kaszkiet. Obok niego, na kawałku zachlapanego krwią papieru, leżała toporna bryła niezdarnie uformowanego metalu o zaostrowym czubku.

Nachyliłam się i zobaczyłam, że jest to kartka, na której Garic zapisał swoje wspomnienia. Ta, która zaczynała się od słów „Nazywam się Garic Wilson”.

Tylko że teraz widniała tam jedna dodatkowa linijka: „Jestem nikim”.

Skonsternowana, rozejrzałam się po lesie.

– Garic! – zawołałam, przyglądając się pniom, które wprawiały las w dziwny bezruch. Psy rozbiegły się, być może sądząc, że ostrzegłam je przed intruzem. – Garic!

– Biedny gnojek.

Na dźwięk głosu obróciłam się i krzyknęłam cicho, widząc Remy’ego stojącego nad porzuconymi przedmiotami i kręcącego głową.

– Niebiańska stal. Skuteczniej już się nie da.

– Co? Co masz na myśli?

– Szukasz Garica, prawda?

– Tak. Widziałeś go?

Remy pochylił się i nabrał dłonią garść popiołu, a potem pozwolił, by przesiał mu się przez palce i rozwiął na wietrze.

– Tak. Można tak powiedzieć.

Chłodna pustka rozkwitła mi w piersi, gdy próbowałam przetrwać jego słowa.

– Czy mówisz mi, że to... To jest Garic?
– Ciało staje w płomieniach sekundy po tym, jak metal przebija skórę.
– On... się zabił.
– Naprawdę nie ogarniasz, księżniczko?
– Nie nazywaj mnie księżniczką. – W oszołomieniu wpatrywałam się w kartkę i choć powinnam być smutna, choć powinnam opłakiwać biedną duszę, która odebrała sobie życie, jedynym, co czułam, była złość. Dzika, nieracjonalna złość.

– Dlaczego? – wyszeptalam, przyglądając się przedmiotowi, którego musiał użyć, żeby ze sobą skończyć.

– Niektórzy nie są w stanie znieść prawdy.

Mój gniew wyostrzył się niczym promień lasera.

– Evie to zrobiła.

– Myślisz, że go zabiła?

– Tak. To znaczy nie. Nie bezpośrednio. Powiedziała mu, że jego żona nigdy nie wróci.

Pogwizdując, Remy pokręcił głową i poderwał się na nogi, po czym stanął obok mnie.

– Ta damulka zdecydowanie ma paskudny charakter.

– Tak, jest zimnokrwistą su...

– Spokojnie. Nie przyłożyła mu ostrza do gardła. Chyba że to uczyniła. – Zerknął na broń. – Nie. To tylko jego robota.

– Jak możesz być tego pewien?

– Widziałem go przy tym.

Gwałtownie na niego spojrzałam.

– Co? Pozwoliłeś mu na to? Dlaczego? Dlaczego go nie powstrzymałeś? – Moje mocne pchnięcie ledwo poruszyło Remym, ale uniósł dłonie.

– Jak to „pозwoliłeś”? Gdy ktoś chce ze sobą skończyć, to jego sprawa. Nie jest moim zadaniem wtrącać się i go ratować.

– Mógł po prostu przechodzić gorsze chwile. Parę słów pocieszenia może powstrzymałoby go przed posunięciem się dalej! – Kolejne bezskuteczne pchnięcie zdziało jedynie tyle, że pozwoliło mi nieco wyładować gniew. – Nie masz w sobie choćby krzty współczucia? Niech cię, Remy!

– Uspokój się, księżniczko. Żyłka ci pęknie.

– Przestań nazywać mnie księżniczką! – Kierowana gniewem, kopnęłam resztę kupki popiołu, posyłając go w powietrze, skąd wiatr dmuchnął nam nim w twarz. Resztki Garica trafiły mnie w oczy. Zakasłałam, ścierając z siebie pył.

– Ach! Kurwa! – Remy przejechał palcem po języku i splunął na ziemię. – Gnojek wpadł mi do gęby!

Mogłam jedynie zakryć dłonią usta, żeby powstrzymać się przed śmiechem, ale poniosłam porażkę, gdy prychnęłam i więcej popiołu wydostało mi się z nosa. Wtedy wybuchnęłam już tak silnym śmiechem, że aż zgięłam się w pół.

Remy zerknął na mnie i po chwili coś, co zaczęło się od cichego chichotu, przerodziło się w głośny rechot, któremu towarzyszyły łzy. Nie minęło wiele czasu, a oboje ledwo mogliśmy utrzymać się na nogach, tak mocno się śmialiśmy.

Gdy wreszcie się uspokoiiliśmy, w powietrzu zawisła ponura cisza. Wpatrywałam się w kartkę wciąż znajdującą się na ziemi. Obok niej leżała zrobiona przeze mnie ramka, którą musiałam upuścić, gdy nad sobą nie panowałam.

Sięgnęłam po jedno i drugie.

– Nigdy nie rozumiałam samobójstw. Przez lata mówiono mi, że tak umarł mój ojciec. Chyba... nigdy nie zaakceptowałam tej możliwości. Ale może powinnam.

– Ej, ej, zaczekaj. – Remy wsunął dłoń do kieszeni spodni i wyciągnął kawałek sznurka. – Zanim mnie skreślisz, muszę ci to pokazać.

– Sznurek? – spytałam obojętnie.

Podniósł palec i sznurek na jego rozłożonej dłoni zwinął się w kształt.

– Znalazłem to na progu. Tak wyglądało.

Gdy przysunął dłoń bliżej mnie, niemal się zakrzusiałam. Symbol nieskończoności. Taki sam, jaki

ojciec wielokrotnie zostawiał mi na progu domu ciotki Nelle, gdy dorastałam.

Porwałam sznurek i ścisnęłam go mocno.

– Gdzie to widziałeś? Tutaj? – Rozejrzałam się, jakbym gdzieś w okolicy mogła znaleźć odpowiedź. – Jesteś pewien, że to był ten kształt?

– Tak. Jestem pewien. Ale nie znalazłem go tutaj. Tylko przy twoim domu. Po drugiej stronie.

– Ty... byłeś w moim domu?

Wzruszył ramionami.

– Poprosiłaś mnie, żebym poszukał twojego ojca. Sprawdzam, gdzie się da.

– I... coś jeszcze znalazłeś? Masz jakiś pomysł, gdzie on może być?

– Jeszcze nie. Ale mam trop. Jestem blisko. Obiecuję.

Rozważałam możliwość, że ojciec zostawił dla mnie symbol w domu ciotki. Przez lata, zanim jeszcze zniknął, czasami znajdowałam drobiazgi pozwalające mi sądzić, że to jego sprawka. Symbole, które potrafiłam łatwo rozszyfrować. Jednym z nich był sznurek celowo ułożony w wydłużoną ósemkę, co, jak zawsze mi powtarzał, odzwierciedlało jego miłość do mnie.

– Czyli on żyje.

– To całkiem prawdopodobne.

Trzymając sznurek przy piersi, starałam się powstrzymać łzy napływające mi do oczu.

– Hej, już dobrze. – Zanim zdążyłam zaprotestować, Remy otoczył mnie ramionami i przyciągnął do siebie. – Znajdę go, okej?

– Umiesz... Umiesz przemieszczać się pomiędzy płaszczyznami, tak?

Przyjrzał mi się podejrzliwie.

– Wiesz o płaszczyznach?

– Tak. – Odsunęłam się i popatrzyłam na niego. – A możesz zabierać ze sobą innych?

– Nie jestem jak samolot pasażerski. Mogę pewnie wziąć jedną osobę. Ale nie robiłem tego od dawna.

Mówisz, że chcesz wrócić?

Spuściłam wzrok i pokręciłam głową.

– Nie. Oczywiście że nie. To znaczy... nie teraz. Ale gdybym musiała...

Wsunął mi palec pod brodę i uniósł moją głowę tak, by patrzeć mi w oczy.

– Zabiorę cię.

Ogarnęło mnie podkradające się wrażenie zdrady. Skinęłam gwałtownie głową, próbując odsunąć od siebie myśli, że robię coś za plecami Jericha. Czując obrzydzenie do tej koncepcji, odwróciłam się, żeby odejść, ale Remy przyciągnął mnie z powrotem.

Chętne wargi zetknęły się z moimi w niepożądanym pocałunku.

Pchnęłam go dłońmi w pierś, tym razem skutecznie.

– Co ty robisz, do cholery?

– Przepraszam. Na Lucyfera w Piekło, pachniesz tak dobrze. Ten zapach... siedzi mi w głowie i ja... tak bardzo chcę cię teraz przelecieć. – Przejechał dłonią po twarzy i pokręcił głową. Dopiero wtedy zauważyłam, że ma przekrwione obwódki oczu. – Poszedłem do tego twojego starego domu. Przeglądałem zdjęcia i twoje rzeczy.

– Przeglądałeś moje zdjęcia?

– Musiałem znaleźć jakieś z twoim tatą.

– Pokazywałam ci jego zdjęcie.

– Kurwa, myślisz, że mam fotograficzną pamięć? Połowa Chicago to łysi starsi faceci. To jak szukanie igły w stogu igrzeł.

– Jesteś dupkiem. Nie mogę uwierzyć, że grzebałeś w moich rzeczach.

Odwrócił wzrok i drgnął mu policzek. Jakby w poczuciu winy.

– Mam nadzieję, że nie zabrałeś nic mojego – ostrzegłam.

– Nieee. Tylko... – Sięgnął do innej kieszeni i wyciągnął moje majtki, które zawiesił sobie na czubku palca.

Wyszarpnęłam mu je i warknęłam.

– Naprawdę jesteś dupkiem!

Sfrustrowana, gniewnym krokiem ruszyłam z powrotem do katedry, zostawiając go na skraju lasu.

– Obiecuję, że wziąłem tylko jedną parę! – zawołał za mną, ale nie męczyłam się oglądaniem za siebie. Dupek.



Ułożyłam sznurek w symbol nieskończoności na kołdrze i przesunęłam palcem po połączonych pętłach. To musiała być wiadomość od ojca. Kto inny wiedziałby, żeby to zostawić? Musiał odwiedzić mnie pod moją nieobecność. Co oznaczało, że mógł wciąż żyć.

Żyć!

Tak wiele myśli krążyło mi w głowie. Najtrudniejsza? Czy zostać tutaj z Jerichem, czy też wrócić na drugą stronę i pomóc w poszukiwaniach.

Skłamałabym, mówiąc, że pomyśl, by odejść, nie niepokoił mnie nieco. Nie miało dla mnie sensu, że chciałabym zostać w Nocnym Cieniu. Że ryzykowałabym, iż się tu zatracę. Ale machinacje Jericha ścisnęły mnie za gardło. Fascynował mnie. Rozpalał moje ciało. Za każdym razem, gdy był przy mnie, czułam przyciąganie. Niczym elektryczność, jakiś ładunek przeskakiwał pomiędzy nami, pobudzając moje zmysły.

On nazwałby to przeznaczeniem. Dowodem na poprzednią egzystencję.

Ja natomiast nie wiedziałam, w co wierzę. Ta możliwość mieszała mi w głowie.

Ale ojciec mógł żyć. Być może znajdował się w niebezpieczeństwie.

Gdy wpatrywałam się w symbol, moje myśli podążyły ku czarnej pustce, w której odezwał się do mnie głos.

„*Dominus vigilans*” – wyszeptał.

Ten dźwięk wyrwał mnie z transu i zerwałam się, rozglądając po pokoju w poszukiwaniu źródła.

Nie licząc mebli i sukni wróżki, wciąż leżącej niedbale na szezlongu, w sypialni nie było jednak niczego oprócz mnie. Nikogo.

Ale pozostały słowa. Skręcały i szarpały moje myśli, aż wreszcie ukazała mi się twarz.

Alicia. To ona powiedziała do mnie tę sentencję podczas Balu Żęcia. Ale słyszałam ją też wcześniej.

Gdzie?

Zacisnęłam mocno powieki i powtarzałam te słowa w myślach, aż inna twarz nabrała kształtów w mojej głowie.

Ojciec Bane.

On również mi to mówił. Ale jakie było znaczenie tej sentencji?

Ze stosiku książek obok siebie wyciągnęłam łaciński tekst. Czego bym nie dała, żeby móc teraz to wygooglować. Czyściec naprawdę powinien dogonić nowoczesność.

Słyszając stuknięcie drzwi, podniosłam gwałtownie wzrok i ujrzałam Jericha niemal wypełniającego framugę. Jego widok zakłócił mi rozmyślania.

– Słyszałem wieści o Garicu. – Jak zwykle w jego głosie słychać było spokój; chciałabym mieć go butelkować. – To musiało być dla ciebie bardzo trudne przeżycie.

Zabulgotało mi w brzuchu, gdy przemknęłam w myślach od Garica do niepożądanego pocałunku, który najchętniej wymazałabym z mózgu promieniem lasera. Musiałam zmobilizować całą siłę woli, żeby nie pokazać po sobie odrazy i nie zdemaskować się przed Jerichem.

– Było.

W chwili, gdy wszedł do pokoju, fala energii znowu sprawiła, że dostałam gęsiej skórki. Skrzyżowałam nogi, czując mrowienie w udach.

– A co to takiego? Nowe robótki ręczne? – Nawet dźwięk jego głosu sprawiał, że czułam trzepotanie w żołądku.

Z uśmiechem zerknęłam na sznurek wciąż leżący na kołdrze.

– Tak naprawdę to staram się odcyfrować znaczenie sentencji.

– Jakiej sentencji?

– *Dominus vigilans*.

Na środku jego czoła pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Gdzie to słyszałaś?

– Alicia powiedziała tak do mnie tamtej nocy. Nie pamiętałam o tym aż do teraz. Znam tłumaczenie, ale wymyka mi się znaczenie.

– To zasada stanowiąca podstawę Pentacrux. Można powiedzieć, że ich wizytówka. Uważają, że są psami łańcuchowymi Niebios. Archaniołami wysłanymi po to, żeby chronić prawych.

– Co? Dlaczego mieliby...? O Boże. Ojciec Bane. On... on to do mnie powiedział. Tuż przed moim przybyciem do Nocnego Cienia.

Podniósł się z łóżka i przeciągnął dłonią po twarzy.

– Zatem wie, kim jesteś. Wiedzą o twoim istnieniu. Przypuszczam, że to była jedynie kwestia czasu.

– Kwestia czasu, zanim co?

– Zanim Pentacrux cię wyśledzi. – Chodził powoli po pokoju, założywszy ręce za plecami. Spokojnie, tak jak bym po nim oczekiwała. – Zgodnie z pradawną przepowiednią sprowadzisz na nich zniszczenie podczas krwawego księżyca.

– Oni... oni myślą, że ty zamierzasz... bo jestem reinkarnacją... Lustiny.

– Tak. Ale nie masz się czego obawiać, dopóki pozostajesz tutaj.

Prychnęłam i odwróciłam się od niego, żeby nie mógł zobaczyć, jak się wzdrygnęłam.

– Co? O co chodzi?

– Być może Remy znalazł mojego ojca. W krainie śmiertelników.

– Remy? – Jak mogłam przypuszczać, w jego głosie próżno było szukać podekscytowania.

– Zaproponował, że go znajdzie, i najwyraźniej przeszedł pomiędzy płaszczyznami, żeby sprawdzić moje mieszkanie. Mój ojciec zostawił coś dla mnie. Znak. Remy mi go przyniósł.

Niezręczna cisza sprawiła, że ośmieliłam się zerknąć na niego.

– Zleciłaś Remy'emu poszukiwania ojca, choć powiedziałem, że ci pomogę?

– To było sporo wcześniej. Gdy opatrzyłam mu ranę, żeby okazać wdzięczność zaproponował, że w zamian zrobi dla mnie coś miłego. Nie wiedziałam, że pójdzie na całość.

Odchylił z niesmakiem brwi, a z jego gardła dobiegł nieprzyjemny odgłos.

– Szkoda, że nie przyszedł z tym do mnie. Remy może wydawać się stosunkowo niegroźny, ale wciąż jest Upadłym.

– No tak, ja też żałuję, że nie zwróciłam się do ciebie. Najwyraźniej przeszukał moje rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Osobiste.

– Porozmawiam sobie z nim – wycodził przez zęby.

Pospiesznie przypadłam do niego.

– Nie! Nie, zaczekaj. On najwyraźniej podąża za jakimś tropem. Proszę, pozwól mu na to. Wiem, że jest kompletnym dupkiem, ale jeśli zdoła odszukać mojego ojca... to...

– To co?

– Wtedy byłoby mi łatwiej zostać z tobą. Jeśli ojciec będzie wiedział, że nic mi nie jest.

Tik żuchwy wskazywał mi, że Jericho jest wkurzony, ale fakt, że wciąż milczał, dał mi odrobinę nadziei.

– Zostałabyś, wiedząc, że twój ojciec może żyć po drugiej stronie?

– Tak. Jeśli tylko nic by mu nie groziło.

Znów przesunął żuchwą, jakby dosłownie przeżuwał tę myśl.

— W porządku. Nie będę interweniował. Ale masz się nie zbliżać do Remy'ego.

– A co, jeśli on rzeczywiście wyśledzi mojego ojca? Pozwolisz mi przynajmniej go odwiedzić? Zobaczyć się z nim jeszcze raz?

– Nie.

To jedno słowo, tak rzeczowe, uderzyło mnie jak policzek. W jego tonie nie było miejsca na kompromis. Najmniejszego zamiaru, by się ugiąć.

– Moment... Co?

– Pentacrux cię znajda. Wyśledzą cię. I spróbują cię zabić. – Przesunął żuchwą. – A ja stąd nie zdołam nic zrobić.

– Czy nie polowali na mnie całe moje życie?

– Być może. Ale to, co działo się wcześniej, nie ma już znaczenia. Odzyskałem pamięć, zatem nie będą

się do ciebie zbliżyć.

– A co nastąpi, gdy krwawy księżyc się zakończy i nikt nie zostanie zabity?

– Nie wiem. Ostatnim razem tak się nie stało. – Stał nade mną, ujął moją twarz w dłoń i delikatnie musnął kciukiem policzek. – Ale mogę cię zapewnić, że historia się nie powtórzy. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby tego dopilnować. Wszystko. A ty będziesz musiała mi zaufać.

Farryn

To jest takie głupie.

Te cztery krótkie słowa odtwarzały się w pętli w mojej głowie, gdy dreptałam niekończącym się korytarzem zachodniego skrzydła katedry – jedyne miejsce, którego jeszcze nie sprawdziłam, poszukując Remy’ego. Uniosłam lampę, którą zdjęłam z jednego z uchwytów na klatce schodowej. Od migotania jej płomienia na ścianie przechodziły mnie ciarki. Stare belki podłogi skrzypiały mi pod bosymi stopami, a od ich chłodu dreszcz przebiegał mi po plecach.

Chciałam powiadomić Remy’ego, żeby zajrzał do kościoła. Być może nie istniał żaden związek pomiędzy świątynią a moim ojcem, ale coś mi mówiło, że te drobne odkrycia nie bez powodu łączyły się ze sobą. Nie powiedziałabym jednak, że nie da się mnie przekonać do udania się wraz z nim.

– Remy... – szepnęłam, wzdrygając się, gdy nawet mój ściszony głos odbił się echem od ścian. – Remy, jesteś tam?

Na końcu korytarza zatrzymałam się i rozejrzałam po drzwiach. Ponieważ większość z nich znajdowała się po drugiej stronie, było tu ciszej i jakby bardziej osobliwie niż we wschodnim skrzydle.

Westchnęłam i obróciłam się, żeby zawrócić, a wtedy fala grozy oblała mnie na widok stojącej za mną potężnej sylwetki. Wrzasnęłam i upuściłam lampę, którą złapały szybkie dłonie.

Gdy uniósł światło do twarzy, niemal znowu krzyknęłam.

– Jericho, ja... Ja tylko... – Zatkano mnie. Nic dziwnego. Wymknęłam się z mojego pokoju w poszukiwaniu Remy’ego, co w jego mniemaniu było jedną z najgorszych rzeczy, jakie mogłam zrobić. I jeśli podejrzewał, że mogę być zdolna do odejścia z upadłym aniołem, to gniewny wyraz jego twarzy był jedynie początkiem nadciągającego ataku wściekłości.

– Szukasz kogoś? – zapytał.

Nie było sensu kłamać. Moje intencje były całkowicie niewinne, jedynie ich wykonanie wydawało się podejrzan.

– Tak – odparłam rzeczowo, unosząc podbródek. – Muszę przekazać coś Remy’emu.

– A co takiego?

– Sentencję, o której rozmawialiśmy wcześniej. Słyszałam ją już kiedyś. Uważam, że kościół, do którego uczęszczałam za młodu, jest powiązany z Pentacrux. Muszę poinformować o tym Remy’ego. W związku z moim ojcem.

Przez chwilę wpatrywał się we mnie w ciszy, poruszając zuchwą. Widziałam, że jest wkurzony. Naprawdę wkurzony. Drgnięcia jego poznaczonej blizną wargi wydawały się współgrać z przelewającymi się przez niego falami furii.

– Wiem, gdzie go znaleźć – rzekł zaskakująco spokojnym głosem. – Chodź ze mną.

– Chwila. Dlaczego?

Westchnął ze znużeniem i przekrzywił głowę.

– Jeśli nie jesteś zainteresowana, to wróć, proszę, do swojego pokoju.

– Dobrze. Pójdę z tobą. Tylko... nie bądź na mnie zły, okej? Chcę się jedynie upewnić, że mojemu tacie nic nie grozi.

Jericho poprowadził mnie kolejnymi korytarzami, a później w dół klatką schodową, która wydawała się sięgać do trzewi katedry. Chłodne powietrze klejące się do kamiennych ścian na dolnym poziomie świątyni sprawiało, że moje ciało pokryło się gęsią skórką.

– Dlaczego piwnica?

Szybko obejrzał się przez ramię i było to pierwsze spojrzenie, jakie mi rzucił.

– Krypta.

Jasne. Wiedziałam. Byłam już tam kiedyś. W moim koszmarze, gdy znalazłam dwie zakonnice zagrzebane za ścianą.

- Anya mówiła, że nie wolno mi tu schodzić.
- Anya nie rządzi tą katedrą.

Minęliśmy niskie okno na klatce schodowej, ukazujące pomarańczowy blask padający na łagodne zmarszczki na powierzchni morza. Zważywszy ciemność nieba, uznałam, że są to początkowe fazy złowieszczego krwawego księżyca, choć wciąż wydawał się on dość blady. Zatem to prawda. Nadchodziła pentada krwawego księżyca. Dziwne.

Schody się skończyły i ujrzałam łukowe sklepienie wsparte na kolumnach oraz rzędy łukowatych drewnianych drzwi.

Gdy mijaliśmy jedno z nich, włoski na karku stanęły mi dęba, a w głowie zawirowała myśl o ucieczce. „On cię nie skrzywdzi – powiedziałam sobie. – Jest zbyt zadurzony”.

A jednak wiedziałam, jak szybko zadurzenie może zmienić się w coś paskudnego, zwłaszcza gdyby uznał, że planuję odejść.

Zatrzymał się przed drzwiami i znad biodra odpiął kółko ze staromodnymi kluczami.

Cała ta sytuacja wydawała mi się podejrzana. Czy zamknął tu Remy’ego? Za co? I co to by dla mnie oznaczało, gdyby go uwięził? Nie byłoby sensu mówić mu o kościele.

Opuścił lampę i odsunął się na bok.

- Pospiesz się.
- Zamknąłeś go tam? Po co mam mu cokolwiek mówić, jeśli nie może wyjść?
- A ja pytam ciebie: po co odchodzić, jeśli istnieje prawdopodobieństwo, że zostaniesz porwana i złożona w ofierze?

Przepchnęłam się obok niego, sfrustrowana jego nieustępliwymi argumentami.

– Remy! – zawołałam, ale gdy weszłam do pomieszczenia, zatrzymałam się gwałtownie.

Światło z lampy w korytarzu ukazało mały umeblowany pokój z ogromnym łóżkiem o czterech kolumnkach, przykrytym narzutą z czerwonego aksamitu, nad którym wisiały łańcuchy i kajdany. Na sąsiedniej ścianie umieszczono łopatki, bicze i pręty. Widziałam też coś wyglądającego jak kozioł do piłowania drewna z tapicerowaniem od góry – wyraźnie służący do celów seksualnych.

– Co to jest? – zapytałam drżącym głosem.

Słyszac trzaśnięcie drzwi, obróciłam się i zobaczyłam, że Van Croix stawia lampę na małym okrągłym stoliku. Nogi znajdujących się przy nim krzeseł wyposażono w kajdany.

- To? – Uśmiechnął się ironicznie. – Rezultat zbyt wielu kar. Za bardzo je polubiłem.
- Ty... krzywdzisz tu kobiety?
- Nie. – Sięgnął do jednych z kajdan i pociągnął za nie lekko. – Zwykle to wszystko przeznaczone jest dla mnie.

– Zwykle? – Serce podeszło mi do gardła. Przełknęłam ślinę, bo zaschło mi w ustach.

– Nie pozwolę ci odejść, Farryn.

Ekspłodowała we mnie panika. Podbiegłam do drzwi.

– Nie!

Zupełnie jakbym nic nie ważyła, podniósł mnie i przerzucił sobie przez ramię. Zaniósł mnie na łóżko i położył na nim delikatnie.

Wrzeszczałam, wierzęłam i wymachiwałam rękoma.

– Nie możesz mnie tu trzymać wbrew mojej woli!

– Mogę, jeśli jesteś na tyle głupia, żeby narażać się na niebezpieczeństwo.

Niemal bez wysiłku umieścił moje przedramię w obręczy przymocowanej do jednej z kolumnek łóżka.

Zalała mnie nowa fala rozpacz. Wierzgnęłam, ale kopnięcie w jego pierś nie wywarło zupełnie żadnego efektu.

Skuł mi drugi nadgarstek.

Klik.

– Puść mnie! Puszczaj!

Ogarnięta wściekłym szałem, szarpałam się i wiłam w pętach, wrzeszczałam aż do zachrypnięcia.

Przesunął mi palcem po policzku. Na jego twarzy widać było skruchę.

– Powiadają, że jeśli się kogoś kocha, naprawdę kocha, wtedy się tego kogoś uwalnia. – Łagodny dotyk zamienił się w mocny uścisk na moim podbródku. – Ja jestem zdecydowanie bardziej samolubny. Wolę przykuć cię do łóżka na wieczność, zamiast pozwolić, byś opuściła ten świat i pierdoliła się z jakimś byle człowiekiem w innym.

– Jesteś chory psychicznie.

– Owszem, jestem. Nie miej złudzeń, panno Ravenshaw. Jestem nie tylko nierozsądny, ale i nieskłonny do negocjacji.

– Niech ktoś mi pomoże! Pomocy!

– Nikt cię nie usłyszy.

– To przestępstwo. Trzymasz mnie wbrew mojej woli.

Oparł pięści po moich bokach i zawisł nade mną na wyciągniętych ramionach.

– A jak myślisz, czy tutaj kogokolwiek obchodzi, co jest przestępstwem?

– Dlaczego to robisz?

Skupiając wzrok na moich wargach, przesunął po nich kciukiem. Jego dotyk niósł w sobie szmer elektryczności, która łaskotała mi skórę.

– Wydawało mi się, że wcześniej wyraziłem się jasno. Jestem gotów posunąć się do wszystkiego, żeby cię chronić, Farryn. Nawet jeśli oznacza to trzymanie cię tu wbrew twojej woli. – Obliznął wargi i nachylił się, żeby mnie pocałować. – Szczerze uważasz, że mógłbym stać bezczynnie i ryzykować, że znowu cię stracę?

– Zostałabym z tobą.

– Naprawdę? Wiedząc, że twój ojciec może być w niebezpieczeństwie? Dysponując wiedzą o kościele? Bo ja nie potrafiłbym zostać, gdybyś to ty znajdowała się po drugiej stronie.

– Zatem sam mnie tam zabierz. Co się stanie, jeśli tam wrócisz?

– I tak zginiesz. – Ściągnął wargi w wąską linię i wpatrywał się we mnie z furią gorejącą w oku. – I na ognie piekielne, gdybym stracił cię drugi raz, cały Nocny Cień by za to spłonął.

Choć bardzo pragnęłam go nienawidzić, nie potrafiłam. Nawet jeśli jego uczucia wobec mnie były mroczne i podłe, wydawały się niespętane jakimikolwiek zasadami.

– Proszę. Tylko... powiedz Remy'emu o kościele, dobrze?

– Wyślę go, żeby to sprawdził. Obiecuję.

– Jericho, nie obwiniam cię, naprawdę. Może to syndrom sztokholmski, ale pojmuję twoje rozumowanie. Nie musisz jednak mnie tu pętać i zamykać. Nie odejdę.

Znów nachylił się do mnie i chwycił mój podbródek, a jednocześnie podciągnął rąbek mojej koszuli nocnej.

– Kochanie, właśnie okazałaś się na tyle niegodna zaufania, że nie mogę już wierzyć ci na słowo.

Każda zdradziecka komórka w moim ciele budziła się pod jego dotykiem.

– Ludzie są tak kuszącymi stworzeniami. – Poliznął mnie po szyi, nie spiesząc się nad moją rozszalałą tętnicą. – Nie wiem, co takiego kryje się w widoku ciebie spętanej, że mam ochotę pierdolić cię bez ustanku. – Jego szorstki głos i dłonie sprawiały, że przeszedł mnie dreszcz, gdy zsuwał mi majtki. – Moja niebezpieczna mała *tu'nazhja*.

Tu'nazhja. Ptaszek, o którym opowiadał mi kiedyś w lesie.

Chciałam się z nim kłócić, mówić mu, że nie pozwolę mu się dotykać, dopóki nie uwolni mnie z kajdan. Że jestem silną i niezależną kobietą, która potrafi sama podejmować decyzje i nie potrzebuje, żeby mnie pilnował.

Niestety było to kłamstwo.

Choć uważałam się za dość inteligentną, miał rację. Gdybym tylko zyskała okazję, byłam akurat na tyle głupia, żeby odejść. Tajemnica towarzysząca ojcu dręczyła mnie już nazbyt długo, żebym zrezygnowała z poszukiwań. Zaś Jericho zamierzał starannie mnie skuć, żeby powstrzymać mnie przed próbami ucieczki.

Zatraciłam się w jego dotyku i rozłożyłam przed nim uda, rozpościerając klejącą mi się do nóg tkaninę.

Rozluźnił tasiemki mojej sukienki i obciągnął ją na tyle, żeby odsłonić jedną z moich piersi. W chwili, gdy jego wargi zetknęły się z moim sutkiem, całe moje ciało ogarnęła ciepła fala rozkoszy. Uparta, tkwiąca we mnie bestia szarpała się, pragnąc się uwolnić, ale większa, leżąca na mnie bestia przygniatała mnie do podłoża. Wiłam się i szarpałam, uwięziona w jego niewzruszonej klatce, umysł ponaglał mnie do walki, a ciało

błagało, żebym skapitulowała.

Silne dłonie wciąż mnie trzymały.

A jednak nadal się szamotałam, a kipiący we mnie gniew zmagął się z jego językiem i ustami używanymi z niezaprzeczną biegłością, co tworzyło otepiające połączenie pożądania i wstrętu.

– Nienawidzę cię – skłamałam.

– Twoje ciało twierdzi inaczej.

Długie pociągnięcie językiem posłało wyładowanie elektryczne po mojej wrażliwej skórze. Żołądek zacisnął mi się z bólu tętniącego mi pomiędzy nogami. Jęczałam i wiłam się.

Odgłos jego mrocznego chichotu jedynie podsycił moją frustrację.

– Twoja zuchwałość na mnie nie działa, Tu'nazhjo. – Zassał moją skórę i z całej mojej walki zostały jedynie błagalne skamlania.

– Bo nie grasz uczciwie? – W moim głosie niosła się żalсна nuta kapitulacji. Odrzuciłam głowę na poduszkę, krzycząc z intensywnej rozkoszy, od której trzęsły mi się uda.

– Mógłbym spędzić całą wieczność, słuchając tego dźwięku – wydyszał tuż przy moim ciele. – Powiesz mi, co chcę usłyszeć, Farryn.

Moje ciało zostało odwrócone tak, że spętane ręce mi się skrzyżowały. Uniósł moje pośladki za pomocą czegoś wyglądającego jak poduszka-walek, którą wsunął mi pod brzuch. Twarz miałam wciśniętą w materac, a on oparł mi dłoń na potylicy i przekręcił głowę w bok. Bezlitosna tkanina majteczek wbijała mi się w uda, które piekły, gdy rozkładał przed sobą moje nogi.

Jego palec wsuwał się i wysuwał z mojej irytująco wilgotnej szparki.

– Zobacz, jak twoje ciało odpowiada na mój dotyk. Puchniesz, cieknie i drżysz, praktycznie błagasz mnie, żebym cię wypełnił. – Drobne vibracje z jego skóry wlewały się we mnie, a ja ocierałam się o poduszkę, ujeżdżając ją jak zwierzę.

– Nie jesteś w stanie mi się opierać. Nie gdy moim jedynym celem jest zatriumfować nad twoją upartą wolą. A teraz powiedz to.

Przestał pocierać moją lechtaczkę, ale wciąż trzymał na niej palec, pozwalając, by wyładowania elektryczne drażniły nazbyt wrażliwe nerwy. Przez te doznania wykręcało mi żołądek i gwałtowniej poruszałam biodrami, pragnąc spełnienia.

– Proszę, Jericho...

– Powiedz mi, czego chcesz.

– Chcę, żebyś mnie pierdolił.

– Och, daj spokój. Chcesz czegoś więcej, Farryn. Pomyśl o tym, jak dobrze było ci ostatnim razem, i spróbuj ponownie.

– Chcę...

– Powiedz to.

– Chcę twojej spermy.

– Gdzie?

– We mnie.

Od zapachu anyżu w jego oddechu ślina podeszła mi do ust pragnących pocałunku, a on przygryzł mi ucho.

– Tu'nazhjo, zamierzam wypełnić cię stuleciami powstrzymanego napięcia. Aż zaczniesz wylewać się z twojej chętnej cipki i zmoczy łóżko. A ty będziesz rozkoszować się każdą chwilą.

Na dźwięk jego rozporka szarpnęłam się w więzach. Moje ciało ogarniał jednocześnie niepokój i desperacja. Czubek jego kutasa dotknął mojego wejścia i vibracje zatańczyły mi na skórze.

Jęknęłam, gdy pochylił się nade mną, a nieustępliwa poduszka wbiła mi się mocno w brzuch. Jednocześnie wsunął się we mnie i mocno ugryzł mnie w bark. Obydwa doznania zderzyły mi się w głowie w potężnym koktajlu rozkoszy i bólu, który zatrząsała mną aż do szpiku kości. Wciąż trzymając mnie zębami, ujeżdżał mnie od tyłu, a każde pchnięcie niosło w sobie akurat tyle gniewu, żebym miała wrażenie, iż mnie karze.

– Nigdy więcej nie próbuj mi uciekać, Farryn – wycedził, potwierdzając moje podejrzenia. – Znajdę cię. Za każdym jebanym razem.

Czulałam się, jakby pulsowały we mnie splątane nerwy, szczyt ekstazy wydawał się tuż poza moim

zasięgiem. Oparł mi dłoń na karku, przyciskając mnie do materaca. Uderzał we mnie biodrami.

Moje ciało było tak bardzo spięte. Przyduszona materacem, czułam zawroty głowy.

Łaknąc tlenu, chwytałam desperacko powietrze i jęczałam. Jego palce wcisnęły mi się w rowek pomiędzy pośladkami. Nacisnął kciukiem na zakazany pierścień mięśni i zaczął mnie łaskotać delikatnymi ruchami. Ślina ciekła mi z ust i wsiąkała w miękką bawełnę, od której twarz robiła mi się mokra. Wszystkie doznania zderzały się ze sobą, eksplodując mi w głowie, a ja wrzeszczałam w grubą kołdrę. Podobnie jak wcześniej, rozkoszne połączenie gorąca i drobnych wibracji wypełniły mnie tak mocno, że czułam, jak wilgoć sływa mi po skórze ud. Kolejne drgawki kazały mi krzyżeć, zaciskać palce, ocierać się brzuchem o poduszkę, którą miałam pod biodrami. Każdy mięsień w moim ciele wibrował, a gdy on wreszcie puścił moją szyję, pozwalając mi zaczerpnąć tchu, westchnęłam przeciągle z satysfakcją.

Jericho nie wysunął się ze mnie. Pozostał twardy, wciąż miesił soki, które wypełniały moje wnętrza.

Łagodnie kołysanie powiedziało mi, że jeszcze ze mną nie skończył. O, Boże.

– Zaczekaj, proszę... – wychrypiałam.

– Mój apetyt na ciebie jest nienasycony. Chcę więcej. Zawsze chcę więcej. – Wyciągnął spode mnie poduszkę, pozwalając mi przekręcić się na plecy i rozplątać ręce. Kiedy delikatnie pogładził moją twarz, w jego skupionym spojrzeniu widziałam podziw godny królowej. – Leż nieruchomo, Tu'nazhjo. To będzie długa noc.



Miarowy odgłos uderzeń wybudził mnie ze snu. Otworzyłam oczy i dostrzegłam migoczący blask lampy wciąż stojącej na stoliku oraz wiszące z góry kajdany. Ręce miałam ocieźałe i odrętwiałe. Poruszyłam palcami, żeby odzyskać w nich czucie. Dopiero wtedy przypomniałam sobie, gdzie jestem, i jęknęłam. Miejsce obok mnie było puste. Uniosłam głowę, rozglądając się po przyciemnionym pomieszczeniu w poszukiwaniu Jericha.

Dobiegły mnie odgłosy cichych jęków. Miękkie, kobiece – stęknienia dochodziły z drugiej strony drzwi.

– Mmm... Kochanie, tak mi dobrze... Tęskniłam za tobą – głos Evie przebił się przez uderzenia w ścianę.

O rany. Zupełnie jakby nie wystarczyło, że jestem skuta i unieruchomiona, to jeszcze miałam słuchać jej całą noc tuż za drzwiami? Jęknęłam i spojrzałam na kajdany przymocowane do kolumnienek łóżka. Może zdołałabym wspiąć się wyżej i przerzucić łańcuchy od góry, gdyby nie baldachim. Kiedy opuściłam wzrok, znów ujrzałam pustą połowę łóżka, gdzie wcześniej zasnął Jericho.

Odgłosy wydawane przez Evie wzmogły się. Uderzenia stały się głośniejsze, intensywniejsze. Trudniejsze do zignorowania, ale i tak odsunęłam się od nich na tyle, na ile pozwalały mi spętane ręce.

Wreszcie łomotanie ustało, a ja przewróciłam oczami, słysząc, jak Evie szczytuje. Choć Jericho mówił, że z krypty nie wydostają się żadne odgłosy, jej lubieżne wrzaski pewnie obudziłyby umarłego.

Po chwili stuknęły otwierane drzwi i Evie weszła do środka, z rozczochranymi włosami i rozchełstany dekoltem sukienki.

– Nie ten pokój. – Lekkie upokorzenie, jakie czułam, przywiązana do łóżka i bezradna, szybko zgasło, gdy dziewczyna podeszła bliżej i dostrzegłam, co trzyma w ręku.

Zakręciła długim czarnym piórem i przeciągnęła sobie jego czubkiem po twarzy. Należało do Jericha? Czarna zimna wściekłość ścięła mi się w żołądku na tę myśl.

Nie. Nie zrobiłby tego.

Czy mógł być aż tak nienasycony, że poszukał akurat jej?

Nie. Nie ma mowy.

– Proszę, proszę. Wygląda na to, że twój mroczny książę już się tobą znudził – powiedziała, krocząc ku mnie powoli. – Jak myślisz, co mogłam poznać, gdy się z nim pierdoliłam? Jego sekretne komnaty.

– Znudził się? Nie sądzę. I pierdoliłaś. Tak, w czasie przeszłym. Ogarnij się, Evie.

Zachichotała, po czym – ku mojemu przerażeniu – wdrapała się na mnie, podkasując dół sukienki, żebym poczuła na sobie jej wilgoć. Toksyczna mieszanka gniewu i odrazy zawrzała w moim wnętrzu, gdy

dziewczyna ocierała się o mnie biodrami. Ciało zdrząło mi ze złości, od której poczułam gorąco na twarzy; byłam gotowa eksplodować.

– Złaż ze mnie!

– Czujesz to? – wydyszała. – To, co z siebie wystrzelił, wciąż ze mnie wycieka.

– Jesteś obłąkana. Złaż! – Szarpnęłam się pod nią, a ona znowu zachichotała, podnosząc rękę.

Wierzgałam i szamotałam się, aż wreszcie zatriumfowało nade mną zmęczenie i odchyliłam głowę, oddychając ciężko przez nos.

– Widzisz to ustrojstwo tam w rogu? – Wskazała wyściełany kozioł do piłowania drewna i nachyliła się do mojego ucha. – Moje ulubione. On uwielbia, gdy się tam wypinam. – Zakołysała na mnie biodrami, wypuszczając z siebie więcej wilgoci, którą rozsmarowała mi na sukience. – Pierdoli mnie od tyłu. Mmmmm. Mogę tak całą noc. W przeciwieństwie do ciebie. Nigdy nie odmawia sobie mojej ciasnej dupki. O Boże, jakie to kurewsko przyjemne.

– Zostaw mnie. Już.

– Powiedz mi coś, Farryn. Zrobił ci sztuczkę z piórem?

Pięść szoku zacisnęła mi się wokół płuc.

Ledwo byłam w stanie zaczerpnąć tchu po tych słowach. Jericho mówił mi, że nigdy nie pokazał nikomu swojej prawdziwej postaci. Nikomu. Że byłam jedyna.

Mdłości nabrzmiały mi w żołądku, kotłowały się, wzbudzały ból i cichą furię.

Okłamał mnie? Zdradził?

Przez wilgotną zasłonę wpatrywałam się w drzwi, a gdy łza spłynęła mi na policzek, Evie przeciągnęła mi językiem po policzku, żeby ją zlizać.

– Czego chcesz? – spytałam przez zacisnięte zęby, nagle pragnąc znaleźć się jak najdalej od niej, od całego tego miejsca.

– Jego.

– W porządku. – Zdusiłam wściekłość i poczucie krzywdy tkwiące we mnie niczym brzytwy wbite w pierś. – Uwolnij mnie.

– Chcę, żebyś odeszła na zawsze i chcę go dla siebie. Chcę pierdolić się z nim każdej nocy i myśleć o tobie, stęsknionej i samotnej.

Pomimo łez roześmiałam się złośliwym, gorzkim śmiechem, w którym rozbrzmiewała najczarniejsza nienawiść.

– To naprawdę zabawne. Nigdy nie będę taka samotna jak ty, Evie. Wiesz, czym jest Nocny Cień? – Osunęłam się nisko w swoim człowieczeństwie. Tak nisko, że nie było już odwrotu. – Czy wiesz, dlaczego tu jesteś? – Nie dając jej okazji, by odpowiedziała, uniosłam głowę. – Jesteś martwa. Umarłaś, zostawiłaś za sobą gnijącego trupa i nigdy nie zdołasz wrócić.

Brew jej drgnęła, jakbym ją spoliczkowała.

– Jesteś kłamliwą, manipulującą suką.

– Czyżby? Opowiedz mi o swoim życiu. O swoim dzieciństwie. Zdradź mi tyle, ile pamiętasz.

Umknęła wzrokiem i zmarszczyła czoło.

– Podaj mi imię swojej matki. Na pewno je pamiętasz.

Przygryzła wargę, jakby się koncentrowała.

– Nie pamiętasz. Ponieważ wspomnienia całego twojego życia wygasły. Samotniejsza nie zdołasz już się stać.

Silne uderzenie w policzek posłało falę bólu do moich zatok. Evie chwyciła mnie za gardło i ścisnęła tak mocno, że w oczach wezbrały mi łzy. Otworzyłam usta, próbując zaczerpnąć tchu, a wtedy Evie coś do nich wrzuciła. Gdy starałam się nie zakrzusić tym czymś, zacisnęła mi wargi i zakryła usta dłonią.

– Połykaj, suko. – Puściła moją szyję i przykryła mi usta oburącz, nie zostawiając wyboru. Musiałam przełknąć.

Wciągnęłam jak najwięcej powietrza przez nos i wyprężyłam pierś. Gdy już połknęłam nieznaną przedmiot, Evie zdjęła rękę.

– I co? Było tak źle? – Przesunęła mi palcem po skroni, wpatrując się we mnie, podczas gdy wciąż kurczowo łapałam powietrze. – Remy mówi, że mam cię utrzymać przy życiu. Że potrzebuje cię do czegoś. Inaczej chętnie bym cię teraz pocięła.

– O czym ty mówisz?

– On chce cię przehandlować. W zamian za odkupienie.

– Co? – Słabymi, ociężałymi rękami szarpnęłam za kajdany. – Co ty... – Cokolwiek mi podała, zaczęło już mi przenikać do organizmu. Otaczający mnie pokój się poszerzył, skurczył, a następnie znów poszerzył i rozmył; ściany wydawały się przesuwać.

– Słyszałam, że Uniesienie jest dwukrotnie silniejsze, gdy połyka się tabletkę. Będę musiała sama spróbować, gdy Jericho będzie mnie dzisiaj pierdolił.

– Ść mie... – zaświszczałam niewyraźnie, zamykając oczy, by nie widzieć dziwnie przekształcającej się komnaty. – Pszę, Evie. Mżesz go mieć. Biecuję.

– Nie potrzebuję twojego pozwolenia, dziwko. – Podniosła się i zniknęła za drzwiami.

Ciche łkanie wydarło mi się z piersi, gdy efekty działania tego, co mi podała, nabrały mocy.

Kilka minut później Evie wróciła, pchając przed sobą nosze na kółkach, które zaparkowała obok mojego łóżka. Rozpięta kajdany i ręce opadły mi po bokach niczym balast. Bardzo chciałabym się na nią zamachnąć, ale nie byłam w stanie się ruszyć. Ledwo mogłam oddychać, tak ciężkie i bezużyteczne wydawało się moje ciało.

Uniosła mi nogi na nosze, po czym obeszła mnie od drugiej strony i wsunęła mi ręce pod pachy. Pociągnęła, by przerzucić moją górną połowę, a później zajęła się środkiem, aż cała znalazłam się na materacu.

– Na pewno nie wiedziałaś, że w tej katedrze jest szyb dla trupów. – Silnym pchnięciem wправиła nosze w ruch i wytoczyła z komnaty na ciemny korytarz. Kamienne sklepienie przemykało mi przed oczyma, wyostając się i zamazując na zmianę. – Trochę makabryczne, co? Kiedyś właścicielem tego miejsca był Van Croix Senior. Krążyły plotki, że torturował tych, których uważał za największych grzeszników, a później palił ich ciała w jamie.

W jamie. Tam, gdzie wrzucano szczątki zwierząt po nakarmieniu psów.

– Nie jestem pewna, jak często pali się te zwłoki. Wiem tylko, że czasami tam cuchnie. Jak palonym mięsem – paplała dalej, ale mdłości w moim żołądku kotłowały się i bulgotały. Akurat gdy żółć wystrzeliła mi z gardła, Evie zatrzymała wózek i obróciła mi głowę w bok. Wymioty polały mi się z ust i spadły na kamienną posadzkę.

Później, jakby nic się nie stało, ruszyła dalej.

Jej głos stał się białym szumem zagłuszonym przez dudnienie krwi w moich uszach.

Ł-łup.

Ł-łup.

Ł-łup.

Wózek się zatrzymał.

– No cóż, Farryn. Tutaj się rozstaniemy. Przekaż martwym moje pozdrowienia.

Po tych słowach przechyliła moje bezwładne ciało w bok – i spadłam.

Jericho

Kręciłem trzymanym w dłoni drinkiem, czekając, aż Remy przejdzie przez drzwi. Po tym, jak widziałem go całującego Farryn na skraju lasu, każdy mięsień w moim ciele płonął pragnieniem, by go zadusić. Na szczęście dla niego język jej ciała wskazał mi, że nie była zainteresowana – inaczej zginąłby w tej samej chwili, kiedy jego wargi dotknęły jej ust.

Noc wciąż była młoda.

Wreszcie zapukał cicho i wszedł do gabinetu z rozczochranymi włosami i przekrzywioną koszulą. Czerwone obwódki wokół oczu mówiły, że jest niewyspany. I nie tylko.

– Co ci się stało? – zapytałam.

– Byłem dość konkretnie zajęty Evie. – Prychnął i osunął się na fotel naprzeciwko mnie, po czym przejechał dłonią po włosach sterczących mu pod różnymi kątami. – Nie masz chyba nic przeciwko, że ona i ja...

– Nie. – Już od dawna nie chciałem mieć nic wspólnego z Evie. Zwłaszcza odkąd pojawiła się Farryn. Początkowo zrzucałem to na ogólny brak zainteresowania seksem. Na szczęście Farryn dowiodła, że było inaczej. – Wezwałem cię, żeby spytać o zaginioną dziewczynę. Czy wiesz może, co stało się z Danielle z kuchni?

Sposób, w jaki poruszył się niespokojnie w fotelu, zapalił we mnie czerwoną lampkę. Z konfetti i sygnałem alarmowym.

– Uch... No tak, ona i ja... Sam wiesz.

Coś powiedziało mi, że nie to nie jedyny powód jego nagłego niepokoju.

– Nie interesują mnie twoje schadzki z kolejną młodką. Chcę wiedzieć, co się z nią stało.

Odchrząknął i znów poprawił się na siedzeniu.

– Danielle się nie podobało, że kręcę się wokół Evie. Nie zaskoczyłoby mnie, gdyby dokądś uciekła.

– Bo kobiety po prostu padają ci do stóp. – Gorzka nuta w moim tonie na pewno nie była tak zjadliwa, jak wściekłość pulsująca mi w żyłach.

– Cóż, to twoje słowa, nie moje. – Znów prychnął śmiechem i przejechał drżącą dłonią po obiciu fotela. Wyraźnie był nerwowy. Jego blada cera wydawała się jeszcze bardziej blednąc z każdą chwilą.

– Na jakich prochach jesteś?

Znieruchomiał i zmarszczył brwi, jedynie utwierdzając mnie w podejrzeniach.

– Co? Nie. Nie potrzebuję takich gówien.

Nie byłem przekonany, ale wiedziałem, że im dłużej udaję przejętego tym, że wygląda jak wyrwany z Piekła, tym więcej czasu zajmie mi dotarcie do korzeni mojego gniewu: tego jebanego pocałunku.

– Czyli twierdzisz, że nie miałeś absolutnie nic wspólnego ze zniknięciem Danielle.

– Słuchaj, już ci mówiłem. Dałem sobie spokój z porywaniem dusz. Teraz żyję podejsciem „kochaj i porzucaj”.

– Jak romantycznie. – W milczeniu zagryzłem zęby, niczego nie pragnąc bardziej, niż zetrzeć mu ten uśmiezek z twarzy. – Czyli ten pocałunek w lesie... to było nic.

Jeśli było to w ogóle możliwe, jego twarz stała się jeszcze bielsza. Kolejny raz powiercił się na fotelu i odchrząknął.

– Tak. To było... nic. Tylko żart.

Starając się powściągnąć gniew, podniosłem się znad biurka.

– Zamierzam wtajemniczyć cię w drobny sekret, Remy. O którym nigdy jeszcze nikomu nie

powiedziałem.

– Czyżby? – Zachichotał nerwowo, gdy obchodziłem biurko, sunąc po blacie knykciami.

Zatrzymałem się przy jego fotelu i oparłem o biurko.

– Wróciły mi wszystkie wspomnienia.

– Och, to świet...

Zanim zdążył skończyć, wystrzeliłem naprzód i chwyciłem go za gardło. Remy krztusił się, próbując chwycić powietrze, gdy podniosłem go i trzymałem za szyję ponad sobą. Machał stopami i próbował mnie drapać.

– Ona jest moja – warknąłem, zaciskając dłoń na tyle mocno, że kolor jego twarzy zmienił się z białego na niezdrowy odcień czerwieni. – Jeśli jeszcze raz się do niej zbliżysz, odetnę ci głowę i rzucę twoje ścierwo na pożarcie psom, rozumiemy się?

– Tak... – wycharczał, wciąż machając nogami.

Zwolniłem chwyt i jego ciało spadło na podłogę jak sterta mokrych szmat. Wróciłem na swój fotel i poprawiłem mankiety, podczas gdy on świszczał, odzyskując oddech, i próbował wdrapać się znów na siedzisko.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

– Co? – zdołał wykrztusić pomiędzy haustami powietrza.

– Wygląda na to, że Farryn rozpoznała pewną sentencję wypowiedzianą przez kogoś w kościele, do którego uczęszczała. *Dominus vigilans*.

– Pentacrux? – Rozmasował sobie szyję, marszcząc brwi.

– Na to wychodzi. Z tego, co się zorientowałem, to katolicki kościół. Pewnie jedynie fasada. – Zlecając mu to zadanie, sprawiałem, że będzie trzymał się z dala od Farryn, dlatego z zapalem spełniałem jej prośbę. – Zrób to, a zapomnę, że tknąłeś, co moje.

– Oczywiście. Zrobię.

– Dobrze. I jeszcze jedno. Po powrocie masz złożyć raport mnie. Bezpośrednio.



Gdy szedłem ciemnym korytarzem w krypcie, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Mrowił mnie od niego kark. Zatrzymałem się, by skręcić. Miałem wrażenie, jakby coś mnie śledziło.

Ignorując to, szedłem dalej w stronę pokoju, w którym zostawiłem Farryn. W chwili, gdy położyłem dłoń na kłamce, to dziwne uczucie wróciło.

Pchnąłem drzwi i ujrzałem Evie leżącą nago na boku – tam, gdzie niespełna godzinę temu zostawiłem Farryn.

– Cześć, przystojniaku – powiedziała, unosząc kolano, by odsłonić przede mną swoją intymność.

– Gdzie ona jest? – warknąłem, rozglądając się po wnętrzu.

– Zapomnij o niej...

Urwała, gdy doskoczyłem do niej i zacisnąłem jej dłoń na szyi.

– Gdzie. Ona. Jest?

Evie krztusiła się i dławiła, zamierzała się na mnie paznokciami, zupełnie jak Remy przed chwilą.

– Masz do wieczora wynieść się z tej katedry, inaczej, przysięgam na demony piekielne, pošlę to, co zostało z twojej smrodliwej, przegniłej duszy, do najczarniejszych otchłani Ex Ni...

Znowu poczułem mrowienie na karku i skierowałem uwagę na drzwi. Groza zaległa mi w żołądku.

Porzuciłem Evie, pobiegłem korytarzem do okna i przedarłem się przez nie. Powietrze smagało mi twarz, gdy spadałem ku skałom. Moje skrzydła się rozwinęły, rozdierając koszulę, której strzępy zerwał ze mnie wiatr. W oddali dostrzegłem Remy'ego opadającego ku czarnym głębiom morza. W ramionach trzymał Farryn. Ściagało ich stado kruków, ale był zbyt szybki. Wysforował się daleko przed nie.

Nabrałem prędkość w skrzydła i gnałem ku niemu, rozcinając powietrze niczym pocisk.

– Remy! – zawołałem.

Oboje uderzyli w wodę.

Ptaki poderwały się z powrotem w górę.

Przebiłem powierzchnię wody i mknąłem ku nim, wstrzymując oddech. Toń poniżej obracała się niczym wir, którego środek otwierał się na głęboką, czarną otchłań. Remy zanurkował niżej, prosto w tamtym kierunku. Powietrze wyrwało się ze mnie, wznosząc się bąbelkami w górę, gdy patrzyłem, jak znika w czerni wraz z Farryn.

Wyciągnąłem rękę.

Woda znieruchomiała nagle, zamykając wir, zanim zdążyłem tam dotrzeć.

Farryn zniknęła, ot tak.

Farryn

Ogarnęły mnie zawroty głowy, gdy wpatrywałam się w rozmytą scenerię w dole. Wszystko znajdowało się w jakimś abstrakcyjnym stanie poruszających się kształtów i bezładnych głosów. Pęd powietrza napierał mi na klatkę piersiową, uderzając z furją, od której paliło mnie w gardle. Otworzyłam usta, by zaczerpnąć tchu, a widok przede mną wyostrzył się w przyprawiającą o mdłości scenę rozszalałego ruchu ulicznego dziesiątki metrów w dole.

Zdezorientowana, zamachałam rękoma, próbując dosięgnąć jednej z grubych kamiennych kolumn, jakie miałam po bokach, i przechyliłam się ku niej.

Wrzask wyrwał mi się z piersi, gdy straciłam równowagę i spadłam na – zdawałoby się – pewną śmierć.

Coś chwyciło mnie z tyłu i pociągnęło. Pięty zsunęły mi się z szorstkiego kamiennego gzymsu na gładką betonową podłogę. Podniosłam wzrok i ujrzałam za sobą Remy'ego.

– O w mordę. Nie sądziłem, że nam się uda. Kilka dni temu ćwiczyłem z Danielle i cóż... uderzyliśmy w wodę i wyslizgnęła mi się z ramion. Nie jestem pewien, co później się z nią stało.

Choć usłyszałam go wyraźnie, nie zarejestrowałam sensu jego słów, zbyt zdezorientowana tym, co się działo.

Marszcząc brwi, podniosłam się do pozycji siedzącej i ujrzałam koronę kolumn otaczających otwarty dach, na którym wokół stolików z kominkami ustawiono szerokie białe sofy. W tle słychać było muzykę graną przez jakiś big band. Znajomy, ozdobiony iglicami szczyt Willis Tower odznaczał się w oddali na tle przyćmionego nieba, wskazując mi, że jesteśmy w Chicago.

Gdy to sobie uświadomiłam, chłodna świadomość rozlała mi się w klatce piersiowej.

– Przywiodłeś mnie z powrotem.

– Ano. Wróciłaś do swojego świata.

W chwili, gdy wypowiedział te słowa, zlustrowałam się wzrokiem. Miałam na sobie koszulę nocną i szlafrok, które nosiłam w katedrze – i które nagle wydały mi się niesamowicie staroświeckie. Przypomniałam sobie jednak, jak Jericho mówił mi, że Upadli potrafią odwracać czas.

– Cofnęliśmy się w czasie?

– Nie. Nie musiałem tego robić, co jest dziwne. Myślałem, że wrócisz w postaci dryfujących cząsteczek pyłu, jak Garic. – Prychnął, a ja zmierzyłam go wzrokiem. – Ty jednak wróciłaś jako jeden smakowity kawałek świeżego ludzkiego mięsa. Zapewne to dlatego cały czas tak dobrze pachniesz.

W umyśle pojawiły mi się odległe słowa. Wypowiedziane przez Evie. Jeszcze w katedrze.

„On chce cię przehandlować. W zamian za odkupienie”.

Gdy Remy wyciągnął do mnie rękę, odtrąciłam ją i wierzgnęłam, żeby się odsunąć.

– Zamierzasz mnie przehandlować. Ty kłamliwy dupku!

Cofnął dłoń i podrapał się po potylicy.

– No tak, a więc... Słuchaj, to nie jest tak, jak myślisz. Musiałem pójść na układ z Pentacrux, żeby uwolnić twojego ojca, jasne? Dlatego powiedziałem im, że mam ciebie. Ale nie martw się. Tak naprawdę nie zamierzam im pozwolić, żeby cię zabrali. Gdy już się dowiemy, gdzie on jest, zgarniemy go.

– A jak planujesz uciec przed Pentacrux?

– Co? Przed bandą ludzi? Pfff! – Machnął lekceważąco dłonią. – Łatwizna. To jak usuwać szczurowi kleszcze.

Uniosłam głowę i rzuciłam mu spojrzenie pełne dezaprobaty.

– Wiesz, że to wcale nie jest takie proste, prawda?

– No dobra, panno ekspertko od kleszczy, zatem jak iskanie psa z pcheł.

Jęknęłam, pokręciłam głową i podniosłam się na nogi, po czym obciągnęłam nazbyt cienką koszulę nocną.

– Okej, Einsteinie, jak wygląda twój plan?

– Mamy spotkać się w jakimś motelu. Facet „przejmie nad tobą pieczę” – wyjaśnił, palcami zakreślając cudzysłów. – I wypuści twojego tatę. Wtedy sfrunę i ocalę sytuację, a potem bum! Ja zasłużę sobie na odkupienie, ty odzyskasz ojca, a czarny charakter zginie. W naprawdę paskudny sposób.

– Brzmi dość chaotycznie.

– Słuchaj, to najlepsze, co zdążyłem wymyślić, jasne? Facet był dość natarczywy, jeśli mam być szczery.

– Jaki facet?

Remy znowu podrapał się po potylicy i prychnął.

– No tak, nie poznałem jego imienia. Ale nie martw się, będzie tam. Jak już mówiłem, zachowywał się jak niezły dupek.

– Wciąż powtarzasz, żebym się nie martwiła, ale ja właśnie się martwię.

– Za bardzo, księżniczko. – Ponownie machnął dłonią i pokręcił głową. – Serio, raz mu się przyjrzyć, gdy go zobaczę, i będę wiedział o nim wszystko.

– Umiesz czytać ludzi?

W chwili, gdy jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu, uniosłam dłoń.

– Dobra, nie chcę wiedzieć.

– W porządku, koronkowy tyłeczku.

Słyszając jego szydery śmiech, zacisnęłam powieki, oddychając przez nos.

– Miejmy to już z głowy, żebym mogła kontynuować swoje życie.

– Kontynuować życie? Czyli nie chcesz, żebym zabrał cię później z powrotem?

– Dokąd? Do Jericha? Żebym przez wieczność mogła słuchać, jak rucha inne kobiety? – Pokręciłam głową i odwróciłam się, rozglądając za wyjściem. – Dziękuję, postoję.

– Jericho? – Powtórzył Remy, idąc za mną. – Na pewno mówimy o tym samym gościu?

Obejrzałam się przez ramię, przechodząc przez jedno ze szklanych drzwi prowadzących do pustej sali jadalnej w ogromnej ośmiokątnej kopule.

– O tym bzykającym Evie pod drzwiami, za którymi leżałam związana? Tak. Chyba o tym samym.

Remy pokręcił głową, prychnąwszy.

– To nie był Jericho. Wiesz, w sumie zabawna historia. Właśnie wrzuciłem Uniesienie, gdy wpadła do mnie Evie...

– Do ciebie, czyli gdzie? – Wciąż rozglądając się po jadalni, zauważyłam naprzeciwko nas drzwi z symbolem wyjścia. Dziwne, że sala jadalna w wieży była zupełnie pusta i że nie kręcił się tu żaden personel.

– W starej chacie Garica. Tak jakby ją zająłem. Ale wracając do tematu, Evie powiedziała, że Jericho chce natychmiast widzieć się ze mną w swoim gabinecie. No i po drodze zdradziła mi, że zamknęła cię w jakiejś komnacie w krypcie. Planowałem od razu tam pójść i cię wyciągnąć, ale wtedy walnęło mnie to cholerne Uniesienie. – Poprawił sobie coś w kroczu, jakby efekty narkotyku wciąż się utrzymywały. – I, no wiesz, nie chciałem zabierać się za ciebie, więc byłem w pełni przygotowany, żeby zwalić konia, ale Evie zasugerowała szybki numer.

– Po jaką cholere połknąłeś pigułkę, od której robisz się taki napalony? – Pchnęłam drzwi i wreszcie zauważyłam tabliczkę mówiącą, że jadalnia będzie otwarta dopiero od dziewiętnastej. Jeśli oceniać po zanikającym świetle na zewnątrz, ta pora musiała się zbliżać.

– Uch... Ty też to wzięłaś, prawda? Bo jeśli pominąć bolesną erekcję, jest po tym miło. Naprawdę kurewsko miło.

– Wcale nie było mi tak miło, gdy tabletkę wciskała mi do gardła psychopatka, która później wrzuciła mnie do jamy pełnej gnijących zwłok.

– No tak, Evie nie jest zbyt uczynną laską, to na pewno. Ale wróćmy do opowieści. Gdy się pierdoliliśmy, powiedziała mi, że podsłuchiwała ciebie i Jericha, gdy rozmawialiście, i usłyszała, że chcesz, bym sprawdził jakiś kościół. Mówiła też, że zabierze cię do tej jamy, a ja mam pójść na spotkanie z Jerichem, by nie podejrzewał, że coś się dzieje. Później tam właśnie cię znalazłem. Leżącą w jamie.

Zatrzymałam się w połowie pierwszego biegu schodów, co sprawiło, że Remy również stanął. W klatce

piersiowej pulsowało mi coś, czego nie potrafiłam rozszyfrować – ulga lub zażenowanie, że nie zostałam wystawiona.

– Czyli to ty byłeś z Evie za moimi drzwiami?

– Jesteś wściekła?

– Ekstremalnie.

Wzruszył ramionami i wsunął dłonie do kieszeni.

– Nie ty pierwsza, księżniczko.

– Załatwmy to już, dobrze?

– A tak w ogóle, to po cholereę idziemy schodami? – Wskazał swoje plecy. – Skrzydła, pamiętasz?

Duże, silne skrzydła.

– W porządku. – I tak nieszczerze chciałam być widziana w szlafroku.

– Uprawiałaś kiedyś seks w powietrzu? To fajne.

– Nie zmuszaj mnie, żebym ci przywaliła, Remy.



Wylądował na ciemnym polu za motelem Shining Star.

– Znam to miejsce – wyszeptałam. To w tym motelu, jak powiedział mi Hines, zamordowano Alicję Maxson. – Dlaczego tutaj?

– Nie mam pojęcia. Właśnie tu chciał się spotkać. Powiedział, żeby wynająć pokój numer sześć i poczekać tam na niego.

Ciekawość każąca mi się dowiedzieć, kto wyznaczył spotkanie, dręczyła mnie w takim stopniu, że ruszyłam przez pole, zostawiając Remy'ego, żeby sam radził sobie ze swoimi skrzydłami.

– Ej, zaczekaj! – zawołał za mną, a gdy obróciłam się tylko na krótką chwilę, dostrzegłam, jak kręci barkami, nagi od pasa w górę.

Dogonił mnie przed motelem i złapał za rękę. Próbowałam się oswobodzić, ale zacisnął chwyt.

– Powinniśmy wyglądać tak, jakbyśmy wynajmowali tu pokój. No wiesz, żeby się pieprzyć. Zapewne powinniśmy wyglądać na takich, którzy chcą się ze sobą pieprzyć.

Wyrwałam rękę.

– Absolutnie nie chcę się z tobą pieprzyć.

– Naprawdę? Nawet troszeczkę? Czuję się skrzywdzony, księżniczko.

– Przestań. Mnie. Tak. Nazywać.

– Och, dobra. Muszę trzymać się roli. Pozwól mi spróbować jeszcze raz. Czuję się skrzywdzony, moja mała kurewko.

Warknęłam i wysunęłam się przed niego w drodze do recepcji.

Gdy tylko otworzyłam drzwi, recepcjonistka wyglądająca na znudzoną podniosła wzrok. Przyjrzała mi się od góry do dołu, a ja, uświadomiwszy sobie, jak wyglądam, szybko zaciągnęłam mocniej poły szlafroka.

Remy wkroczył za mną i znowu złapał mnie za rękę.

– Cześć. Chcemy pokój, żeby się pierdolić.

Poczułam zalewającą mnie falę upokorzenia i wbiłam mu paznokcie w dłoń, znowu próbując się wyrwać.

Dziewczyna zachichotała i obróciła się, żeby sięgnąć po jeden z kluczy wiszących za nią na ścianie.

– Uch, numer sześć, jeśli można? – dodał Remy.

– Niedawno ktoś tam zmarł. Nie macie z tym problemu?

To musiał być ten sam pokój, w którym znaleziono zamordowaną Alicję. Uznałam za obrzydliwe, że wciąż go wynajmują.

– Nie mamy z tym żadnego problemu. – Remy uniósł nasze złączone dłonie, zakrwawione od krwi utoczonej przez moje paznokcie, i pocałował grzbiet mojej. – Moją małą lisiczkę kręci krew, prawda, słonko?

Jeśli sama nie zabiję Remy'ego po tym wszystkim, będzie to cud.

– O gustach się nie dyskutuje. Wynajmujemy na godziny, więc...

Remy znów spojrzał na recepcjonistkę i nachylił się nad kontuarem. Napiął biceps, skupiając na sobie

uwagę dziewczyny, która przemknęła tam wzrokiem.

– Pewnie nie zechciałabyś wynająć pokoju za darmo, co?

Ściągnęła brwi i uniosła spojrzenie ku jego oczom, jakby chciała go opieprzyć.

Nagle jej wzrok złagodniał i wydawała się przyjemnie... zahipnotyzowana?

– Tak, chyba dla was mogę się zgodzić.

Zmarszczyłam czoło, słysząc chrapliwy ton jej głosu.

– Ktoś już ci kiedyś mówił, że masz piękne oczy? – bezwstydnie flirtował z nią Remy.

Dziewczyna oparła brodę na dłoni i się uśmiechnęła.

– A czy ty nie jesteś słodziutki?

– Okej, no to... dostaniemy ten pokój czy nie? – przerwałam im.

Recepcjonistka rzuciła mi z lekka zirytowane spojrzenie i przesunęła po blacie klucz, który natychmiast zgarnęłam.

– Miłej zabawy – rzuciła z roztargnieniem.

– Dzięki – wymruczał Remy. – Zaufaj mi, mogę całą noc...

Kopnęłam go w nogę i obróciłam się do drzwi. Gdy znalazłam się na zewnątrz, rozejrzałam się po parkingu i zauważyłam dwa zaparkowane samochody. Założyłam, że jeden z nich należy do dziewczyny. Oba pojazdy wydawały się puste, gdy mijaliśmy je w drodze do pokoju.

– Co to było? – rzuciłam przez ramię. – Jakaś sztuczka z zauroczeniem z arsenału upadłych aniołów?

– Zauroczeniem? – Wypowiedział to słowo, jakby zostawiało mu w ustach nieprzyjemny posmak. –

Nie jestem czarodziejem. To po prostu autentyczny seksapil.

Gdy wsuwałam klucz do zamka, Remy odepchnął mnie na bok; nagle wyraźnie spoważniał. Zamiast męczyć się z zamkiem, przeszedł przez drzwi.

Dosłownie.

Wpatrywałam się w nie z ustami otwartymi w szoku. Gdy wysunęłam rękę w ich kierunku, moje knytkie zetknęły się ze stalową powierzchnią i pulsujący ból rozlał mi się do nadgarstka.

– Niech to diabli! – Cofnęłam dłoń i potrząsnęłam nią, żeby przestała piec.

Drzwi się otworzyły, a Remy skinął głową i mrugnął.

– To wszystko dla nas, kochanie.

Jęknąwszy, zamknęłam je za sobą. Zmarszczyłam brwi, gdy rzucił się na łóżko i założył ręce za głowę.

– No to jesteśmy. Równie dobrze moglibyśmy...

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Kolejna taka okazja może ci się nie trafić.

Po raz drugi tego wieczoru obrzuciłam go morderczym spojrzeniem, a potem usiadłam przy małym stoliku.

– W przeciwieństwie do tego, co wydajesz się sądzić, naprawdę lubię Jericha. Bardzo.

– Lubisz? – Remy prychnął śmiechem. – Ten gość spalił dla ciebie całe miasto, a ty go lubisz? Ja lubię owsiankę na śniadanie. Czasami lubię satynę zamiast bawełny. Dwuwarstwowy papier toaletowy zamiast...

– Pojmuję. – Choć nie miałam ochoty na rozmowę z Remym, pozwalała mi ona odwrócić uwagę od nieprzyjemnego uczucia w żołądku mówiącego mi, że cały ten pomysł spotkania się z jakimś przypadkowym facetem w pokoju motelowym, gdzie niedawno zabito kobietę, jest zły. Naprawdę zły. Zdecydowałam się w tym uczestniczyć tylko dlatego, że Remy nie był człowiekiem, dzięki czemu wydawał się dobrym kandydatem na ochroniarza.

– Nie jestem jedną z tych dziewczyn, które zakochują się od pierwszego wejrzenia, okej?

– Zatem jesteś zdecydowanie dziewczyną w moim typie.

– Nigdy nie będę w twoim typie, Remy. Postawmy sprawę jasno. – Zerknęłam przez okno i ujrzałam te same dwa samochody co wcześniej, ale moją uwagę zwrócił ruch. Zmarszczyłam brwi i zauważyłam kota kroczącego pomiędzy pojazdami. Bezwłosego. Z gładką, aksamitną, szarą skórą. Cholernie przypominał Camael.

Niemożliwe.

Kręcąc głową, odchrząknęłam i znów spojrzałam na Remy'ego.

– Tak będzie lepiej. Z Jerichem. Byłby rozczarowany, gdyby dowiedział się, że nie jestem... cóż, że

jestem zwykła. Tak szczerze, to dziwne jest nawet to, że ty w ogóle jesteś mną zainteresowany.

– Auć. Słuchaj, nie wiem, jakie romansidła z pierdoleniem czytywałaś, ale na pewno nie jesteś zwykła. Nie wiem jednak, czy nazwałbym cię zupełnie normalną. Wiesz, widziałem w twoim domu kolekcję kocich figurek. Jeśli mam być szczerzy, to jesteś dość dziwna.

– Okej, zaczęło się miło, a skończyło jak typowa wypowiedź Remy’ego. I tak dla twojej informacji, koty należały do mojej ciotki.

– Teraz to ma sens. Starsza pani, co?

– Yhm.

– Majtki też były jej?

Akurat gdy się odwracałam, żeby obrzucić go trzecim zabójczym spojrzeniem, klamka się poruszyła. Zerwałam się z krzesła i okrążyłam łóżko, by znaleźć się za Remy’em, który też skoczył na równe nogi.

Drzwi otworzyły się i ukazała się w nich wysoka sylwetka. Gdy człowiek wszedł do środka, wyszłam zza Remy’ego, zupełnie osłupiała.

– Detektyw Hines?

– Witaj, Farryn. Miło znowu cię widzieć.

Tchnienie później wyciągnął pistolet i wymierzył nim w Remy’ego. Zanim upadły anioł zdążył zareagować, Hines strzelił mu w pierś.

– Remy! – Rzuciłam się do niego, gdy padł na kolana; wyraz szoku na jego twarzy powiedział mi, że nie przywykł do tego, iż trafia go kula.

– Nie martw się. – Nuta rozbawienia w głosie detektywa sprawiła, że macki strachu rozpełzły mi się po karku. – Było tam akurat tyle niebiańskiej stali, żeby skrzywdzić. Nie zabije cię. Jeszcze.

Położyłam sobie na kolanach głowę Remy’ego, który łąpczywie chwycił powietrze, i znów popatrzyłam na Hinesa.

– Kim ty jesteś, do cholery?

– Jestem zaskoczony, że mnie nie poznajesz, Lustino.

Wspomnienie rozbłysło mi w mózgu. Rudowłosego chłopak. Ciemnobrązowe oczy.

– Drystan? – Nie miałam pojęcia, dlaczego przypuszczałam, że to on, zważywszy, że nigdy go tak naprawdę nie widziałam, ale gość najwyraźniej trącił strunę jakiegoś dawnego wspomnienia.

Jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

– Nie mogę się doczekać, aż nadrobimy zaległości.

Jericho

Pod osłoną nocy balansowałem na gzymsie posiadłości, obserwując, jak zwałisty stary pan Barchiel – czy też biskup Venable, pod którym to mianem go znałem – wchodzi kołyszącym się krokiem do eleganckiego domu. Zapewne pójście tam miało się z celem, ale potrzebowałem odpowiedzi. Gdy krążyłem po swoim gabinecie jak zwierzę zamknięte w klatce, jedynie zapadałem się głębiej w mroczne myśli. Każdy mięsień w moim ciele drżał, a wściekłość wprawiała mnie w wystarczające szaleństwo, żebym był zdolny obdrzeć starca żywcem ze skóry, gdyby spróbował jakichś sztuczek.

Sznyt również obserwował w ciszy, siedząc na moim barku. Sfrunąłem na balkon Barchiela, posyłając kruka w powietrze. Było już późno i spodziewałem się, że starzec wkrótce uda się do łóżka, zatem wślizgnąłem się przez okno do jego sypialni, przypadłem do ściany przy drzwiach i czekałem.

Minęło zaledwie kilka krótkich minut, gdy klamka ustąpiła i pokój wypełnił odgłos forsownych, dyszących oddechów Barchiela. Starzec pstryknął światło, wciąż najwyraźniej nieświadom mojej obecności, i pokuśtykał w stronę łóżka.

Gdy stęknął, płosząc ptaka, wyszedłem z cienia. Złapałem go od tyłu za podbródek, zadarłem mu głowę i przyłożyłem niebiańską stal do gardła. Dopiero wtedy zauważyłem srebrzystą wytatuowaną obręcz identyfikującą go jako Dojrę. Niewolnika.

– Czego tylko chcesz, przyjacielu, jest twoje. – Głos drżał mu przy tych słowach, a grdyka podskakiwała od przelitykanej z trudem śliny, sprawiając, że obręcz podrygiwała.

– Nie jestem ci przyjacielem.

– Van Croix... – wyszeptał.

– Pamiętasz moje nazwisko. Jak słodko.

– Tak, oczywiście.

– Jak to możliwe?

– Po mojej przedwczesnej śmierci zesłano mnie do Piekielnych Ziem, gdzie zostałem uczyniony Dojrą przez dość... nierozsądnego demona imieniem Ahsrik. Moja kara polegała na tym, że zachowałem wszystkie wspomnienia. Nawet z tych urzekających ostatnich chwil mojego czasu na ziemi. – Uciekł wzrokiem, jakby wciąż czuł ból wywołany moją klingą wgryzającą się w jego ciało.

Z tego, co wiedziałem, ludzie o najczarniejszych duszach kończyli w Piekielnych Ziemiach, gdzie piętnowano ich jako Dojrów służących tamtejszym demonom wysokiej rangi, żeby spełniali wszystkie ich najbardziej sadystyczne pragnienia. Gdyby Barchiel spróbował zdjąć obręcz z szyi albo nie wrócił do swojego pana, jeśli zostałby wezwany, tatuaż zapadłby mu się pod skórę i wił niczym wąż w jego ciele, pochłaniając go od środka. Stanowiło to jedną z najboleśniejszych metod zadawania śmierci.

– Ale nie żywię względem ciebie wrogich myśli – dodał.

Puściłem go, pozwoliłem mu się obrócić i wskazałem, żeby usiadł na łóżku.

– Dlaczego się przede mną nie ujawniłeś?

– Nie miałem powodu, żeby szukać zemsty. W zasadzie to powinienem ci podziękować. Dzięki tobie odnalazłem życie wieczne. – Uniósł dłonie i uśmiechnął się w sposób, który zwrócił moją uwagę na jego wciąż drżące wargi. – Ziemska kraina była wyłącznie stanem przejściowym.

– A jednak wciąż wierzysz, że zostałeś wybrany przez Boga.

– Jest tu wiele dusz. Już dawno porzuciłem myśl, że każda z nich jest godna jego łaski. Nie martw się zatem. Nie kieruję się tu dodatkowymi intencjami.

– Nie martwiłem się. Nie jestem już chłopcem, którym bez trudu manipulowałeś. Mógłbym postać cię

do Ex Nihilo równie łatwo, jak do Piekielnych Ziem.

– Po to tutaj przyszedłeś? Żeby dokonać zemsty w życiu pozagrobowym?

– Nie. – Przesuwałem tam i z powrotem palcem po płaskiej powierzchni klingi, przypominając sobie chwile tuż zanim opuściłem katedrę, gdy trzymałem to samo ostrze przy własnym gardle. Gdy czułem miazdzący ciężar osamotnienia. Bólu. Szaleństwa. Moje odbicie w klindze pokazywało osobę krocząca po bardzo cienkim lodzie. Który może pęknąć przy najlżejszym nacisku. – Jestem tu, bo chcę znać zamiary Pentacrux. To ty powiedziałaś mi, że pewnego dnia Lustina się odrodzi.

– Tak. I odrodziła się. Nie poczułeś jej obecności w dniu, w którym przybyła?

Gdy na niego spojrzałem, odwrócił wzrok.

– A ty dlaczego ją poczułeś?

– Bo to ja odebrałem jej życie, zatem jestem z nią jakoś dziwnie powiązany. Być może Święty Ojciec karze mnie w tak tajemniczy sposób za to, że zbrukałem swoją duszę.

Prychnąłem na te słowa i wróciłem do bawienia się ostrzem.

– Ale przecież Wybrańcy nie trafiają do Nocnego Cienia, prawda? I na pewno nie rozpoczynają swojej podróży w Piekielnych Ziemiach.

– Wciąż mam wiele do odpokutowania.

– Co planują z nią zrobić? – Samo zwerbalizowanie tego pytania sprawiło, że wezbrała we mnie śmiertelna agresja.

– To noc krwawego księżyca. Ale zamiast ją zabijać, tym razem zdecydowali się na skuteczniejszy sposób wyrządzenia ci krzywdy.

– Jaki?

– Drystan zamierza ją zapłodnić.

Wściekłość szarpnęła mi trzewia na brzmienie jego imienia.

– Wydawało mi się, że Drystan używa sobie w Ex Nihilo.

– Tak było. Wrócił.

– Jak?

– Kilka dni przed tym, jak moje ziemskie życie dobiegło końca, miałem sen. Bardzo realistyczny sen o chłopcu. Kochałem się z nim na łóżku z miękkich piór. Gdy leżeliśmy po tym, co zrobiliśmy w grzechu, wyszeptał coś do mnie. Powiedział, że został ograbiony ze swojej śmiertelności przez upadłego anioła Virgila, którego, jak przypuszczam, posłałeś do Ex Nihilo. Tego samego miejsca, w którym uwięziony był Drystan. We śnie opętał moje ciało i skłonił mnie do zapisania szeregu symboli w języku, którego nie rozumiałem. Składających się na jego sigil, jak później się dowiedziałem. Sposób powrotu z piekielnej pustki, do której został zesłany. Z Niebytu. – Jego oczy przybrały nieobecny wyraz, gdy wpatrywał się w coś za mną. – Gdy się obudziłem, sigil zapisany przeze mnie we śnie był wryty na skale u podstawy góry Helios, gdzie leżałem, choć nie potrafiłem sobie przypomnieć, jak się tam dostałem.

– Drystan. – Po wypowiedzeniu tego imienia został mi na języku gorzko-kwaśny posmak. – Zatem wrócił.

– Ktoś musiałby zinterpretować symbole, żeby tak się stało.

Ojciec Farryn. To dlatego go potrzebowali. Być może pierwotnie nie wiedzieli, że jego córka jest wcieleniem Lustiny.

Przynajmniej do niedawna.

– A Drystan? Co pragnie osiągnąć, zapładniając Lustinę?

– To, czego pragnął zawsze. Zemstę. Gdy jej klątwa zostanie złamana, stracisz ją na zawsze.

– Jak? Tylko anioł może złamać jej klątwę.

– Tak, zgadza się. To jego własna klątwa doprowadziła go do dziewczyny. Jak rozumiem, stracił skrzydła, a jego moc jest słaba. Zamierza zatem przekazać ją Strażnikowi w zamian za ochronę.

Gdy to usłyszałem, wyprostowałem gwałtownie grzbiet.

– Komu? – warknąłem.

– Obawiam się, że nie zostałem dopuszczony do tej informacji. Tak czy owak, stracimy ją. Nieważne, czy złamią jej klątwę, nie zamierzają ci jej zwracać.

Zacisnąłem mocno dłoń na rękojeści miecza i zmusiłem się do zachowania spokoju. Do zduszenia ochoty, żeby głęboko rozplątać starcowi gardło. Zagryzłem zęby z taką siłą, że w zuchwie eksplodowała mi

iskra bólu.

Wróciła do mnie po stuleciach oczekiwania. Stuleciach pragnienia. Jakże łatwo prześlizgnęła mi się przez palce, niczym piaski czasu, które tak długo trzymały ją z dala ode mnie. Zaś gdybym spróbował do niej wrócić, te same moce, które uwięziły mnie w Nocnym Cieniu, bez problemu zakończyłyby jej życie.

Osunałem się na fotel przy kominku, naprzeciwko łóżka Barchiela.

– Zatem jest dla mnie stracona.

– Czy teraz widzisz, dlaczego nie mogę zabić cię w zemście? Nie mógłbym zadać ci gorszego bólu. – Barchiel westchnął, wstał i przeszedł na drugą stronę pokoju, gdzie nalał sobie coś z karafki stojącej na stoliku. Wychylił trunek, po czym nalał kolejną porcję do innego naczynia. – Wypijmy za zemstę.

– Nie zamierzam z tobą pić.

– Och, daj spokój, stary przyjacielu. W tym wszystkim kryje się jedna dobra rzecz.

– A co to takiego?

– Drystan wciąż może pragnąć cię zabić. Bardziej niż czegokolwiek innego. A jeśli tak, to może użyć dziewczyny, żeby cię odnaleźć.

Nie wątpiłem w jego nienawiść. Ale nie był głupi. Gdyby wystąpił przeciwko mnie, działałby na własną zgubę.

– Kochałeś go. Dlaczego?

– Nie wiem. Dlaczego jedni nas przyciągają, a inni nie? Zawsze uważałem go za uroczo posłusznego. W przeciwieństwie do ciebie.

– Nie chciałem, żeby manipulował mną zboczony staruch. I przypuszczam, że to ty zorganizowałeś śmierć Virgila.

– Tak. Sam skierowałem do ciebie Tartysa. Wiedziałem, że nie zdołasz się oprzeć. I nie rozczarowałeś mnie.

Zerwałem się na nogi i znowu przycisnąłem mu klingę do gardła.

– Mógłbym z łatwością posłać cię za nim.

Barchiel ostrożnie odstawił naczynie z alkoholem na stolik, nawet na chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Przekażę ci drobny podarunek w zamian za twoją łaskę.

– Lepiej, żeby był wart konieczności spoglądania w twoją twarz przez wieczność.

– Istnieje droga powrotu do ziemskiej krainy. Ale wymaga ona pewnej dość skromnej ofiary.

– Jakiej konkretnie? – Uniosłem ostrze i patrzyłem, jak grdyka mężczyzny podskakuje pod stałą, która rozciąłaby mu gardło gładko niczym masło.

– Twoich skrzydeł.

Farryn

– **Szkoda, że on cię nie zabił** – wycedziłam, gdy Drystan pchnął mnie pistoletem, kierując mnie w dół klatki schodowej prowadzącej do czegoś, co wyglądało jak piwnica starego katolickiego kościoła.

Szło za nami trzech innych mężczyzn w białych sutannach z symbolami Pentacrux wyszytymi złotem. Kaptury zasłaniały im twarze, trudno więc było mi stwierdzić, czy są ludźmi, ale żaden z nich nie okazywał choćby odrobiny współczucia, gdy ciągnęli mnie do świątyni, a ja wrzeszczałam i wierzgałam nogami. Poruszali się jak typowi akolici w filmach grozy: powoli, w ciszy, ze zdecydowaniem. Jeden z nich niósł miecz. Inny miał bat o kilku rzemieniach, wyglądający jak rekwizyt z rekonstrukcji średniowiecznej.

– Tak. Zdecydowanie powinien był mnie zabić. Zostałby wcześniej wygnany, a ty i tak byś zginęła.

– A mój ojciec?

Na półpiętrze zmusił mnie do zejścia kolejnym ciągiem schodów. Wchodziliśmy coraz głębiej w trzewia kościoła.

– Jakież było moje zaskoczenie, gdy odkryłem, że jest jedynym śmiertelnikiem mogącym sprowadzić mnie z powrotem z Ex Nihilo. To było przeznaczenie, nie sądzisz? Przez wszystkie te lata Jericho myślał, że jest ci pisane, żeby z nim być. Ale to ja byłam twoim przeznaczeniem. Tu. Teraz.

Ta odrażająca myśl wpełza mi pod skórę niczym robaki.

– Jak? W jaki sposób mój ojciec sprowadził cię z powrotem?

– Niewielu jest gotowych spędzić całe życie na wpatrywaniu się w małe symbole, które nie mają w zasadzie żadnego znaczenia dla was, śmiertelników. Ale twój ojciec? Miał obsesję na punkcie tego znamionka na twojej ręce, prawda? Nie potrafił zostawić go w spokoju. A gdy umarła twoja matka, mógł myśleć już tylko o nim.

Moja matka.

Nigdy w pełni nie zaakceptowałam, że jej śmierć nastąpiła po prostu w wyniku jakiegoś cholernego wypadku, a jego słowa przywiodły mi do głowy nieprzyjemną myśl.

– Ten piorun, który uderzył w samochód. To ty zabiłaś moją matkę?

Schody zakończyły się długim korytarzem z jarzeniówkami migoczącymi na suficie. Drystan włókł się za mną, trzej mężczyźni zamykali pochód, ja zaś parłam przed siebie, nie mając pojęcia, dokąd chce mnie zaprowadzić.

– Nie. Gdy to wszystko się stało, wciąż tkwiłem w Ex Nihilo. Śmierć twojej matki była karą dla twojego ojca. – Słyszac jego westchnienie, obejrzałam się przez ramię akurat w chwili, gdy wskazywał palcem w górę. – Siłom wyższym nieszczególnie się podoba, gdy wy, śmiertelnicy, bawicie się rzeczami, których do końca nie rozumiecie.

– Siłom wyższym? Twierdzisz, że aniołowie zabrali moją matkę?

– Tak. Stanowiła drobną konsekwencję jego geniuszu.

Zacisnęłam mocno pięści u boków i musiałam przełknąć narastający we mnie gniew, przypominając sobie, że to on jest silniejszy i gdyby zechciał, mógłby zgnieść mnie jak pchłę. Nawet jeśli rany zadane przez jej śmierć już dawno się zaleczyły, ból wciąż odzywał mi się w piersi. To, że została zamordowana, było losem gorszym niż boskie wytłumaczenia, jakie ojciec wymyślał przez lata.

– Skąd... skąd wiesz, że ją zabrali?

– Mam swoje źródła.

– Źródła? Czy nie jesteś cambionem?

– I? No jasne. – Z tyłu dobiegło mnie echo jego szyderczego chichotu. – Wciąż żyjesz w tej śmiertelniczej fantazji każącej myśleć, że istnieje jakiś wyraźny podział pomiędzy aniołami a demonami. Pozwól, że cię oświecę. Aniołowie potrafią być równie okrutni jak demony. Tyle że ukrywają to pod

płaszczkiem większego dobra.

– Dlaczego ona? Dlaczego nie...

– Ty? Twój ojciec? Bo tak zostało zapisane w losie. W tym wszystkim służycie określönemu celowi. No i... powiedzmy jedynie, że nie tylko ja chcę ujrzeć upadek Jericha.

– Co to znaczy? – Obejrzawszy się za siebie, ujrzałam błysk uniesionej brwi i wygięte usta.

– Mógłbym ci powiedzieć, ale wtedy musiałbym cię zabić.

Korytarz wiódł do pozbawionej okna ściany, a drzwi po obu stronach złowieszco kojarzyły się z więzieniem. I kto, do diabła, szukałby mnie w podziemiach kościoła, gdyby rzeczywiście Drystan chciał mnie tu zamknąć?

Gdy się rozglądałam, nie widziałam nic oprócz długiego betonowego korytarza, nagich białych ścian i od czasu do czasu drzwi. Absolutnie żadnych szans na ucieczkę, chyba że skoczyłabym do któregoś z bocznych pokojów, ale kto wiedział, co się w nich mieści? Potrzebowałam pomocy Remy'ego. Może również znajdował się w piwnicy. Upadły anioł był dla mnie jedyną nadzieją na uwolnienie się od tego świra.

– W jaki sposób mój ojciec sprowadził cię z powrotem? – spytałam, próbując skłonić go do dalszego mówienia. – Skąd w ogóle wiedział, że ma to zrobić?

– Wygląda na to, że moje prawdziwe imię zostało wyryte w kamieniu opatrzonym symbolem Pentacrux, znalezionym przez jakiegoś rumuńskiego archeologa. Jako że twój ojciec posiadał pewną wiedzę na temat Pentacrux, archeolog zadzwonił do niego i poprosił o tłumaczenie. Czekałem stulecia, aż ktoś złamie kod. Aż wypowie moje prawdziwe imię, dzięki czemu uwolni mnie z niebytu. I tak się stało. Twój ojciec był geniuszem.

Zaparło mi dech.

– Był? Czyli... nie żyje?

– Uciekł do Nocnego Cienia w taki sam sposób jak ty, więc owszem. Jest w zasadzie martwy tu, w krainie śmiertelników, ale uwięziony tam.

Choć serce bolało mnie na myśl, że zginął, zapuszczając się do Nocnego Cienia, pocieszała mnie odrobinka nadziei, że mógłby wrócić poprzez odwrócenie czasu.

– Skąd to wiesz? Że on tam jest?

– Wyćwierkał mi to mały ptaszek.

– Kto?

– Cassiel. Trzeba go było trochę do tego ponamawiać. Po tym, jak twój ojciec odwiedził Jericha w Nocnym Cieniu i został odprawiony, Cassiel go odszukał. Twój ojciec wspomniał Jerichowi o Pentacrux i zaintrygowało to Cassiela. Przecież wszyscy Upadli nienawidzą Pentacrux. Wygląda na to, że twój ojciec zbiegł do Nocnego Cienia z tłumaczeniem bardzo ważnego fragmentu. Ten przebiegły mały gnojek wyrwał je ze swoich pamiętników. Tyle lat drań wgapiał się w symbole i nieświadomie odkrył przekład Omni na kawałku pieprzonej gumy balonowej.

Przypomniałam sobie, że widziałam w dzienniku miejsce po wyrwanych stronach.

– Czym jest Omni?

– To moc aniołów. Można powiedzieć, że nieśmiertelne paliwo. I jedyna rzecz, jaka może w pełni przywrócić mi skrzydła.

– Skąd mój ojciec w ogóle wiedział, co to jest? Co takiego tłumaczył?

– Przypuszczam, że nie w pełni rozumie, na co się natknął. Ale nie tylko ja go ściagałem z tego powodu.

– Nie wiem, gdzie on jest. Nie kłamałam, gdy mówiłam ci, że nie widziałam go od piętnastu lat. Jeśli właśnie dlatego mnie porwał, to masz cholernego pecha.

– Tak. Okazałaś się zupełnie bezwartościowa. Dla mnie. Teraz będę musiał sam wybrać się do Nocnego Cienia.

– W takim razie po co tu jestem? Czego, do cholery, ode mnie chcesz?

– Nie chodzi o to, czego ja od ciebie chcę. Ale dojdziemy do tego za chwilę.

Elementy łamigłówki, dlaczego Hines mnie odnalazł i czego szukał, zaczęły składać się w mojej głowie w niepokojący obrazek.

– To byłeś ty, prawda? Ty przemieniłeś Cassiela w bezskrzydłego stwora. W alatum.

– Tak. To jak wyrwanie skrzydełek muchom. – Dłoń chwyciła mnie za bark i zatrzymała przed stalowymi drzwiami.

– Gdzie jest Remy?

– Zabawne, że o to pytasz. Właśnie do tego zmierzałem. – Otworzył drzwi prowadzące do małego ciemnego pokoju i pstryknął światło. Na środku umieszczono coś wyglądającego jak krucyfiks. Rozciągnięto na nim nagiego Remy'ego, twarzą do drewna, do którego przybito go za dłonie. Z sufitu zwisały łańcuchy zakończone cienkimi hakami, które umocowano do jego naciągniętych czarnych skrzydeł. Anioł jęczał i wił się, jakby przeżywał niewyobrażalny ból.

Rzuciłam się do niego, ale zamarłam, gdy poczułam przy skroni lufę pistoletu.

– Proszę, oszczędź go.

W chwili, gdy wypowiedziałam te słowa, Remy obejrzał się na mnie przez ramię. Na jego twarzy wyraźnie malowało się upokorzenie.

– Obawiam się, że nie mogę tego zrobić. Widzisz, potrzebuję go.

– Do czego?

– Wyjaśnię to za moment. Na razie usiądź. – Drystan pchnął mnie mocno w stronę krzesła, na którym niechętnie usiadłam. Przeciągnął mi ręce za plecy i skuł kajdankami. – Czy to cię kręci, Farryn?

To pytanie sprawiło, że wykrzywiłam wargi w wyrazie odrazy.

– Nic, co jest związane z tobą, mnie nie kręci. – Wpatrywałam się w Remy'ego, w krew sączącą się z jego dłoni, zapewne po tym, jak próbował uwolnić je z gwoździ.

Drystan wszedł w moje pole widzenia i ujął mój podbródek. Wstręt kazał mi odwrócić się od niego, ale wbił mi palce w twarz. Kiedy wysunął długi, rozwidlony język i przeciągnął mi nim po policzku, wydałam z siebie warkot odrazy.

– Sam chętnie bym cię wziął siłą, skoro Jericho tkwi w swojej klatce jak zwierzę i absolutnie nic nie może zrobić. Ale zawarłem układ.

– Jaki układ? O czym ty mówisz, do diabła?

– Niestety w moim stanie nie mogę tak po prostu wrócić do Nocnego Cienia. Upadli mieliby nade mną bardzo... niesprawiedliwą przewagę.

Prychnęłam, słysząc to.

– Innymi słowy, jesteś tam słaby.

Palce wbiły mi się głębiej w policzki i w mojej zuchwie eksplodował ból.

– Uważaj, dziewczyno. Nie musisz być zupełnie nietknięta, kiedy będę cię przekazywał. – Gdy mnie puścił, znowu poczułam ból, tym razem pulsujący, i poruszyłam szczęką, bezskutecznie próbując go zdusić.

– Przekazywał mnie komu?

– Jak już wspominałem, nie tylko ja chcę skrzywdzić Jericha w jak najboleśniej sposób. Żeby przerwać klątwę, musisz zostać zapłodniona przez anioła. I tak się składa, że jeden z nich jest gotów zaoferować mi ochronę w zamian za ciebie, dzięki czemu będę mógł przejść do Nocnego Cienia i wytropić twojego ojca. Zamierza wziąć cię dogłębnie siłą i choć przyznaję, jestem zazdrosny, myśl, że Jericho straci cię na zawsze, jest niczym muzyka dla mojej duszy.

– Kim on jest? Ten anioł?

Drystan nachylił się do mnie.

– Nie powiem ci tego – wyszeptał.

– A co, jeśli już noszę w sobie dziecko Jericha?

Zachichotał i pokręcił głową.

– Niemożliwe. Twoje fizyczne ciało rozmyło się w atmosferze, gdy weszłaś do Nocnego Cienia. To dlatego Remy musiał odwrócić czas, żeby z tobą wrócić.

Co za ignorant. Nie wiedział. Remy najwyraźniej nie zdradził mu, że wcale nie odwróciliśmy czasu. Uznałam jego ignorancję za drobne zwycięstwo i musiałam zapanować nad każdym mięśniem twarzy, żeby nie pokazać po sobie, iż dysponuję nad nim tą drobną przewagą. Istotniejszą nawet niż możliwość, że nie noszę w sobie dziecka Jericha.

– Skoro mowa o Remy... Kontynuujmy, dobrze? – Ze ściany Drystan zdjął długi srebrny miecz o złowieszczym połysku. Uniósł go i obrócił nim z makabryczną fascynacją. – Poznałem bardzo skuteczny sposób pozwalający przekląć stal. Kto wiedział, że jedna prosta mikstura może wywołać pradawną infekcję, która zamienia te groźne anioły w bezmyślne, warczące bestie?

– Błagam cię, Drystanie. Oddam ci się dobrowolnie. Bez walki. Tylko proszę, wypuść go.

Remy zatrząsał się na krzyżu, próbując zerwać dłonie z gwoździ, i krzyknął z frustracją. Obejrzał się na mnie przez ramię błagalnym wzrokiem, od którego pękło mi serce.

– Przepraszam. Proszę, wybacz mi...

Szarpnęłam się w kajdanach, desperacko próbując się wyrwać, ale na próżno. Nie ustąpiły. Łzy stanęły mi w oczach, gdy patrzyłam, jak Drystan unosi miecz.

– Remy – wyszeptałam.

Płynnym zamachem Drystan odciął jedno ze skrzydeł, które zawisło na haku. Przenikliwy wrzask uderzył mnie w uszy. Zamknęłam oczy i sama krzyknęłam, gdy Drystan zamierzył się na drugie skrzydło. Całe ciało trzęsło mi się ze strachu i szoku, obrzydliwy chłód ogarniał mnie i miażdżył mi płuca.

Kolejny ryk bólu odbił mi się echem w czaszce. Żałowałam, że nie mam wolnych dłoni, żeby móc się przed nim osłonić.

Gdy otworzyłam oczy, Remy zwisał beładnie na gwoździach. Dwa krwawe kikuty widniały tam, gdzie jeszcze niedawno rozciągały się jego skrzydła.

Łzy płynęły mi po policzkach, gdy obserwowałam, jak szarpie się na gwoździach. Jego ciało nabrało chorowitego, szarego odcienia. Jasne włosy wypadają mu kępami, zsuwając się po plecach na podłogę. Odcięte skrzydła trzepotały szyderczo na łańcuchach, brocząc jego krwią.

Mdłości podeszły mi do gardła i pochyliłam się do przodu, żeby wyrzucić z siebie wymioty.

– Ludzie są tak odrażającymi istotami. – Drystan chwycił jedno ze skrzydeł i zahustął nim mocno tak, że wpadło na Remy'ego. Gdy drżący anioł się wzdrygnął, jego oprawca zachichotał.

Kolejne łzy stanęły mi w oczach.

– Płaczesz z jego powodu. Ale to tacy jak on równie okrutnie obcięli moje skrzydła. Wykrwawiałem się całymi dniami. Doszło do zakażenia. Umierałem. Zrobili sobie z tego zabawę. Sztychili ze mnie. Aż wreszcie posłali mnie w wieczną ciszę. Do Ex Nihilo. – Okrążył moje krzesło, uważając, żeby nie wdepnąć w kałużę na podłodze. – Nie mogę powiedzieć, żeby to było litościwe albo nie. Przynajmniej jednak nie musiałem już słuchać ich śmiechu i kpin. I mogli to zrobić tylko dlatego, że Jericho oddał mnie im. Ten tchórz nie miał nawet jaj, żeby mnie odpowiednio zabić.

– Mam nadzieję, że teraz je ma. Że cię znajdzie i że spłoniesz.

– Nie sądzę. Nawet Jericho nie jest na tyle głupi, żeby opuścić Nocny Cień i zaryzykować ściągnięcie na siebie gniewu Niebios.

– Dlaczego? Dlaczego teraz? Miałeś cała lata, żeby po mnie przyjść.

– Lata, tak. Mogłem wykraść cię już dawno temu. – Odciągnął gniewnie wargę i warknął. – Gdyby nie ta paskudna baba, ta bestia.

– Baba?

– Nelle.

Gdy usłyszałam jej imię, poczułam dezorientowanie.

– Ciotka Nelle?

– Ciotka? Raczej nie. Była nefilimem. Jednym z najstarszych, jacy kroczą po ziemi. Uważasz za zbieg okoliczności, że twój ojciec nalegał, by to ona się tobą zaopiekowała?

Czy tak uważałam? Zanim z nią zamieszkałam, nigdy nie zetknęłam się z ciotką Nelle. Ojciec ani razu nie wspominał o niej, gdy dorastałam. W zasadzie nie potrafiłam przypomnieć sobie choćby najmniejszej wzmianki, że tych dwoje było w ogóle rodzeństwem.

Tak wiele nowych pytań wirowało mi w głowie.

– Ona... Ale ona umarła. Czy nefilimowie nie są nieśmiertelni?

– Są. Ale nieśmiertelność pociąga za sobą cenę. Podlegasz wtedy tym, którzy są potężniejsi. I mogą zerwać nieśmiertelność z twojego ciała jak starą, podartą koszulę.

– Czyli zaczekałeś, aż ona umrze.

– Sądzisz, że cokolwiek w tej sprawie działo się przypadkowo? – Znów zaczął chodzić wokół mnie, założywszy ręce za plecami. – Twoje przejście do Nocnego Cienia. Powrót tutaj. Schwytanie przeze mnie. To było przeznaczenie, Farryn. Wszystko, od samego początku, stanowiło efekt bardzo starannego pociągania za sznurki, by każda chwila zgrywała się idealnie z resztą. Jesteś pionkiem w skomplikowanej grze służącej przetestowaniu wartości Jericha.

– Czyjej grze? Strażników? Jeśli to prawda, w takim razie twoim losem jest umrzeć. Dlaczego bierzesz

w niej udział?

– Bo, jak już mówiłem, nie tylko ja dążę do upadku Jericha.

Drzwi otworzyły się i zobaczyłam znajomego mężczyznę, z laską oraz mlecznobiałymi oczyma. Kapłan, któremu się spowiadałam, odkąd byłam dzieckiem. Który nawet celebrował pogrzeb cioci Nelle, na litość boską.

– Ojciec Bane? – spytałam, niekoniecznie tym zaskoczona, skoro znałam już znaczenie wypowiedzianej przez niego sentencji Pentacrux.

Ignorując mnie, wszedł głębiej do pomieszczenia. W jednej dłoni trzymał jakąś ozdobną złotą misę, a drugą stukał laską o kamienną podłogę.

Moją uwagę przykuł dźwięk, jakby szelest, i popatrzyłam znowu na Drystana. Z jego pleców rozpościerały się dwa niedołączne skrzydła. Jedno z nich miało porozdzierane pióra, a koniec drugiego zupełnie był ich pozbawiony, dało się tam dostrzec jedynie skórę i kości. Wytężyłam wzrok, przyglądając się. Skóra była dziwnie pozszywana, kości wystawały. Zupełnie jakby skrzydła poskładano z elementów.

– O mój Boże. – Groza zaległa mi w brzuchu, gdy uświadomiłam sobie, z czego powstały jego skrzydła. – Ludzkie części ciała...

– Niesamowite, prawda? Nigdy nie przypuszczałem, że znowu poczuję się kompletny.

Sam jego widok sprawiał, że czułam na skórze nieprzyjemne wrażenie, zupełnie jakby oblażło mnie tysiąc karaluchów.

– Morderstwa... brakujące części. Alicia Maxson i zakonnice. To byłeś ty.

– Tak. Oczywiście skrzydła są tylko tymczasowe, dopóki moje w pełni nie odrosną.

– Myślałam, że cambiony nie mają skrzydeł.

– Większość ich nie ma. Mój ojciec był bardzo rzadkim i wyjątkowym rodzajem demona. Dalgothem. Niewiele istot okazuje się silniejszych od anioła. Matka Jericha nie miała przeciwko niemu szans.

Ojciec Bane wsunął dłoń do misy i zaczerpniętą z niej substancją posmarował odsłonięte fragmenty skóry na skrzydłach Drystana. Następnie obrócił się do wciąż wiszących skrzydeł Remy'ego i zaczął po kolei wrywać z nich pióra, a następnie wbijać je w lśniącą skórę.

Usłyszałam warkot. Odwróciłam się i ujrzałam, że Remy już w pełni przemienił się w tę samą demoniczną istotę, jaką widziałam w labiryncie. Alatum.

Mroczna, przerażająca panika wezbrała mi w piersi. Odchyliłam głowę w tył, a łzy spłynęły mi po policzkach.

– Proszę... – błagałam. – Proszę, pomóż mi.

Drystan zachichotał i wyprostował jedno z piór, które kapłan wcisnął krzywo.

– On nie ma zamiaru cię ratować. Przeklęci nie są warci zbawienia.

Farryn

Leżałam rozciągnięta na okrągłej betonowej płycie wystającej nad podłogę. Wryto w niej sigil i rozpoznawałam go jako ten, który oznacza archanioły. Jego krawędzie wciskały mi się w plecy. Byłam przywiązana za wszystkie cztery kończyny.

Po spętaniu mnie Drystan wyciągnął powarkującą, demoniczną postać Remy'ego z pomieszczenia, zostawiając mnie na łaskę księdza i trzech mężczyzn w sutannach, którzy ustawili się tak, jakby pełnili straż. Nie wiedziałam, przeciwko czemu, ale prawdopodobieństwo, że jeden z nich nagle wykaże się rycerskością i mnie uwolni, wydawało się niewielkie.

Gdy tak leżałam, moje myśli pomknęły ku Jerichowi. Jakże desperacko pragnął mnie chronić. Jakże żałowałam, że nie znajduję się bezpieczna w Katedrze Czarnej Wody. Jakże całkowicie osamotniona się czułam, gdy drgawki wstrząsały moim ciałem. Otepiający szok sprawił, że oddychałam nierówno, przerażona, co się ze mną stanie.

– Dokąd zabraliście Remy'ego? Co z nim zrobicie? – zapytałam.

– Jego lojalność zostanie sprawdzona w sposób możliwy wyłącznie w bolesnych okolicznościach. – Gdy tylko ojciec Bane wypowiedział te słowa, korytarzem poniósł się ryk cierpienia, od którego stężyły mi mięśnie.

– Torturujecie go? Obcięcie skrzydeł wam nie wystarczyło?

– To nie są tortury, tylko test wiary. Jeśli go zaliczy, będzie mógł dołączyć do naszej armii. Stanie się częścią naszej sprawy.

– Jakiej sprawy? Co, do diabła, jest na tyle ważne, że poddajecie kogoś torturom?

– Nie kogoś. Coś. Piekielną istotę karmiącą się tym samym grzechem, który ją stworzył. Zło czai się wszędzie na tym świecie, dziecko. Bez nas nie miałby kto bronić Jego świętego imienia.

Kolejny wrzask bólu przebił się przez drzwi. Chciałam zakryć oczy, osłonić je przed dźwiękiem nieszczęścia Remy'ego, ale związane dłonie nie pozwalały mi na to. Serce dudniło mi tak, jakby między żebrami tkwiło uwięzione stado nosorożców. Pociły mi się dłonie. Mdłości wzbierały w żołądku. Atak paniki.

– Proszę, ojcze. Wypuść mnie. Błagam cię. Proszę, żebyś mnie wypuścił.

– Ćśśś. – Ksiądz przesunął palcem po mojej odsłoniętej skórze, tam, gdzie szlafrok zsunął mi się z ramienia. – Nie lękaj się – wychrypiał. – Wzięcie siłą jest naszym najpiękniejszym darem dla Świętego Ojca.

– Uznaj mnie za szaloną, ale nie sądzę, żeby Święty jebany Ojciec cenił sobie religijne porno.

Ostre uderzenie w policzek odrzuciło mi głowę na bok i poczułam pieczenie na skórze.

– Ty bluźniercza cudzołożnico! Powinno ci się wyrwać język za tak obraźliwe słowa.

– Żebyś mógł go dodać do swojej kolekcji części ciała? – Roześmiałam się bez cienia humoru i pokręciłam głową. – Wiesz w ogóle, kim jest Hines?

– Jest lojalnym uczniem. Wieloletnim członkiem Pentacrux.

– Uwaga, spojler: jest pieprzonym demonem! Wydawało ci się, że przyklejasz pióra do cholernej piniaty? Ten facet ma rozdwojony język, na litość!

– Jesteś niegodziwym dzieckiem. Przeklęty! – Położył mi chłodną, pomarszczoną dłoń na brzuchu, a ja się wzdrygnęłam. – Ale nie lękaj się, bo gdy twoja dusza zostanie przekazana, klątwa się przełamie. Pożądana cię bestia znowu zapadnie w sen.

– Ta bestia zupełnie by się tobą nie przejęła, gdybyś zostawił mnie w spokoju. Od wieków guzik go obchodziliście, dupki. Pomagacie jedynie Hinesowi w zemście.

– To coś więcej niż zemsta, dziewczyno. Święty Ojciec powierzył nam walkę ze złem, które pragnie brukać najczystsze dusze. Nie zezwala na reinkarnację, która jest domeną czarownic i demonów. Tkwiące w tobie zło należy wygnać.

Gdy mówił, czaił się za nim cień, a ja uniosłam głowę, zastanawiając się, czy rzeczywiście coś tam ujrzałam. Na pewno nie mógł należeć do Drystana, bo poruszał się tak, jakby nie chciał zostać zauważony. Przekrzywiłam szyję, aby obejrzeć się za siebie, i przesunęłam wzrok na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stało na straży trzech żołnierzy Pentacrux. Teraz dwóch z nich leżało na podłodze w kałużach czegoś, co zapewne było krwią. Poczułam w trzewiach panikę. Dokąd udał się trzeci? I jeśli założyć, że to on zabił pozostałych dwóch, czy kolejną osobą na jego liście celów był ojciec Bane, czy ja?

– A zatem... co się stanie, jeśli nie zajdę w ciążę? – To pytanie miało służyć odwróceniu jego uwagi, by ojciec Bane nie zorientował się, że coś dzieje się z boku. Niemniej oboje zupełnie przegapiliśmy zabójstwo dwóch wartowników, więc nawet wyczulone pozostałe zmysły ślepego kapłana nie pozwoliły mu zorientować się, co się dzieje. Cienista sylwetka znowu się pojawiła.

Jericho?

To niemożliwe. Choć bardzo chciałabym go teraz ujrzeć, wiedziałam, że nie zaryzykowałby przechodzenia na tę stronę. Zwłaszcza gdyby sądził, że może przez to narazić moje życie. Być może miałam zaburzenia percepcji, ale cień i tak wydawał się mniejszy niż zapamiętana przeze mnie postura Jericha.

– Zайдiesz. Tak jest zapisane w prorocत्वach – paplał dalej ojciec Bane, wyraźnie nieświadomy zbliżającego się napastnika, którego następny cel wciąż był nieznanym.

– Taa, jasne, powodzenia. Czasami mam problemy, żeby zająć do sklepu.

Gdy postać podeszła bliżej, wiedziałam już, że na pewno nie jest to Jericho, tylko dziwny mężczyzna z bliznami na twarzy i oczyma czarnymi jak obsydian. Przerażającymi oczyma. Uniósł jakiś cholerny cep i moja wcześniejsza panika przerodziła się w pełnowymiarową histerię.

Sparaliżowało mi mięśnie.

Przyspieszył mi puls.

Oddech stał się raptowniejszy.

– Co cię tak zdenerwowało, dziewczyno? Słyszę, że dyszysz jak mały królik.

Nieznajomy uniósł rozdwojoną broń i jedno tchnienie później wbił ją z ohydny trzaskiem w czaszkę ojca Bane'a. Zanim zdążyłam w ogóle zarejestrować to, co zobaczyłam, sięgnął starcowi do ust, wyrwał mu język i odrzucił na bok.

Wyrwał mu język.

Strumyczki krwi popłynęły po jego twarzy, a potem kapłan przewrócił się na podłogę.

Zachłysnęłam się z otwartymi ustami. Krzyk uwiązał mi w gardle, pomiędzy warg wy dostał mi się jedynie forsowny pisk.

Kolejne uderzenia broni były zakłócone przez wilgotne odgłosy ciała i krwi. Następny cios obryzgał mi policzek i gwałtownie odchyliłam głowę na bok, by wymruć z oczu kropelki. Wszystko to wydawało się trwać kilka minut, zanim w pomieszczeniu znowu zapadła cisza.

Ogarnięta szokiem, wpatrywałam się w mężczyznę, który przyglądał się krwawej miazdze, jaka zapewne została z księdza, i cieszyłam się, że sama tego nie widzę. Krew i skrawki mięsa pokrywały białą sutannę, kojarzącą mi się teraz z rzeźnickim fartuchem.

Szloch wyrwał mi się z piersi – bynajmniej nie z żalu za duchownym, tylko z powodu grozy, która trzymała mnie w tak silnym ścisku, że ledwo mogłam odetchnąć.

– Miałem dziesięć lat – oznajmił nieznajomy dziwnie nieobecny głosem. – Dziesięć lat, gdy on i inni zrobili to, co zrobili.

Po wyjątkowo długiej i przerażającej pauzie odetchnęłam drżąco.

– P-p-przykro mi. Za to, co się stało.

Stał z sutanny strzępki mięsa i skierował na mnie uwagę.

– Przysłał mnie anioł. Zostałem tu wezwany.

– Anioł?

– Powiedział, żebym zabił tych, którzy mnie skrzywdzili. – Znów spojrzał na podłogę i jego popękane wargi wykrzywiły się w uśmiechu, który jednak szybko zgasł, gdy nieznajomy ponownie na mnie popatrzył.

– Widziałaś to wszystko. Nie powinnaś była widzieć. Teraz ciebie też muszę zabić.

Wezbrała we mnie panika i ogarnęło mnie wcześniejsze chłodne otępienie. Kręcąc szaleńczo głową, szarpałam się w więzach.

– Nie musisz... nie musisz tego robić.

- Anioł tak mi kazał. Mówił, żebym go zabił.
- Ja ci w-w-wierzę. Ale... nikomu nie powiem!
- Przykro mi. – Uniósł wysoko cep.
- O Boże... – Zacisnęłam mocno powieki, szykując się na ból pierwszego ciosu.

Słyszając ostre stęknienie, otworzyłam oczy i ujrzałam, że mężczyznę ogarnęły drgawki. Jego twarz, kończyny, całe ciało. Głowa trzęsła mu się nienaturalnie szybko. Ten przerażający widok sprawił, że zaczęłam się miotać w więzach, pragnąc się uwolnić.

Cep wypadł mu z garści i z brzękiem uderzył o podłogę, a nieznajomy runął na kolana, wciąż ogarnięty konwulsjami.

Chciałam krzyczeć, ale do kogo? Do Drystana? Wrzaski Remy'ego wciąż rozbrzmiewające w tle nie tylko zwiększały grozę okoliczności, lecz także zapewniały, że ten dupek i tak by mnie nie usłyszał.

Nieznajomy zacisnął powieki i wciąż potrząsał głową w takim tempie, że mi się zamazywała. Gdy znowu otworzył oczy, straszliwa czerń ustąpiła miejsca błękitowi, a na twarzy pojawił się wyraz zdezorientowania. Podniósł ramiona, zakręcił nimi, a następnie przyjrzał się sobie. Gdy jego spojrzenie znów skrzyżowało się z moim, szarpnęłam się w tył z cichym krzykiem.

- Farryn?
- T-t-trzymaj się z dala ode mnie. – Szarpałam więzy, pragnąc się oswobodzić.
- To Jericho. To ja, Farryn.

Jericho?

- Kłamiesz. – To nie mógł być on. Nie zaryzykowałby przyjścia po mnie. – To jakaś sztuczka.
- To żadna sztuczka. Przejąłem jego ciało. Kurwa mać, to równie wygodne jak noszenie jutowych bokserów w gorący dzień.

Ten komentarz sprawił, że znieruchomiałam i wydałam z siebie nerwowy śmiech.

On tymczasem zabrał się do uwalniania mi rąk.

– Gdzie jest Drystan?

To był on. To naprawdę był on!

Szaleńczy, niedowierzający chichot wyrwał mi się z ust.

– Ja... ja... ja nie wiem. Zaciągnął dokądś Remy'ego. – Dopiero wtedy zorientowałam się, że wrzaski Upadłego ucichły.

– Nie mamy wiele czasu. Musimy zwabić go do Nocnego Cienia, żebym mógł go odpowiednio zabić.

On naprawdę tu jest!

Nawet jeśli nie wyglądał jak Jericho, jego manieryzmy mówiły mi, że to on. W myślach zmusiłam się do przetrwania jego słów, które wirowały w chaosie panującym w mojej głowie.

– Dlaczego nie możesz zrobić tego tutaj?

– W tym ciebie można mnie śmiertelnie zranić. – Gdy już zdjął ze mnie wszystkie więzy, podniósł mnie z kamiennej płyty.

– Śmiertelnie zranić?

– Był to jedyny sposób pozwalający mi przejść tak, żebym nie został odkryty. Jeśli nie wrócę, pozostanę śmiertelnikiem. I nigdy nie będę zdolny pokonać Drystana, nawet osłabionego.

Gdy prowadził mnie do drzwi, przyciągnęłam go do siebie, lecz znów znieruchomiałam na widok obcej, zakrwawionej i poznaczonej bliznami twarzy. Ochota, żeby go pocałować, oklapła niczym balon, z którego spuszczone powietrze. Ograniczyłam się do cmoknięcia go w policzek.

– Cześć – powiedziałam drżącym głosem.

– To znowu ten twój urok?

– Taa. Kiepska chwila, wiem. Po prostu... już tu świruję.

– Widzę. – Przyciągnął mnie blisko i wyjrzał przez drzwi na korytarz. – A tak w ogóle to przepraszam – rzekł cicho, oglądając się na mnie. – Za tego zdegenerowanego łajdaka, który niemal rozbił ci czaszkę.

– To ty jesteś tym aniołem, który go przysłał? – spytałam szeptem, nie chcąc zdradzać Drystanowi, że uciekliśmy.

– Tak. Nie pamiętałem o nim, dopóki nie dowiedziałem się, że aby przechodzić pomiędzy krainami, potrzebuję ciała. Był pedofilem zabójcą, któremu pozwoliłem odejść, ale jakiś czas temu nazaczyłem go

swoim symbolem, więc mogłem go dość łatwo wezwać. – Zerknął na mnie przez ramię i wyprowadził mnie na ciemny korytarz. – Widzisz, co się dzieje, gdy okazuję litość?

– W sumie to zaczynam lubić twoją bezlitosną naturę. Zatem dokąd musimy iść, żeby móc wrócić? I czy nie potrzebuję kwiatu wilczej jagody czy czegoś?

– Nie. Gdy już przejdziemy, to ciało się rozpadnie, a moje zostanie odtworzone. Znow będę miał skrzydła i będę mógł cię osłonić. Ale musimy dostać się do najwyższego punktu w kościele.

– Do najwyższego? Dlaczego?

– Przechodzenie pomiędzy krainami to nie do końca spacer po parku.

Zatrzymaliśmy się, słysząc warczenie. Jericho znieruchomiał w pół kroku. Przekrzywił głowę i zajrzał do sąsiedniego pokoju, a ja ścisnęłam mu rękę, wbijając paznokcie w skórę. Pstryknął światło, ukazując wielką jamę na środku pomieszczenia. Niósł się z niej smród zgnilizny i rozkładu, a gdy zajrzeliśmy do środka, dostrzegłam, że dziura sięga w niezgłębiony mrok, w którym setki alatum łązi po sobie, szarpiąc pazurami ściany, by nas dosięgnąć.

Jericho wyciągnął mnie za sobą na korytarz, lecz głos z tyłu sprawił, że znow się zatrzymaliśmy.

– Sprytnie, bracie. W przebraniu, żeby Strażnicy nie wykryli twojej obecności. – Obróciliśmy się i zobaczyliśmy Drystana stojącego w korytarzu z rozłożonymi makabrycznymi skrzydłami. – Co sądzisz o mojej armii, Jericho? Robi wrażenie, prawda?

– Co ty zrobiłeś, do diabła? – zapytał Jericho głosem, w którym rozbrzmiewała odraza.

– To, co musiałem, po tym jak obcięto mi skrzydła. Przyznaję, nie dorównuję twoim urodą, ale się nadadzą, nie uważasz?

Za jego plecami stało kilku mężczyzn ubranych w wojskowe kamizelki z czarnej skóry z sigilem Pentacrux. Strój wyraźnie odróżniał ich od akolitów. Każdy z nich był wyposażony w broń – część miała sztylety, inni miecze i młoty.

Wszystkim tym mogli śmiertelnie zranić Jericha.

– Wydaje mi się, że ukradłeś coś, co należy do mnie. – Drystan na chwilę przesunął na mnie wzrok.

– Nie pozwolę ci jej zatrzymać – wycedził Jericho. – Ani tobie, ani Strażnikom.

Drystan rozciągnął wargi w uśmiechu.

– Wkrótce przybędą. I jestem przekonany, że z przyjemnością wymierzą ci karę. Chyba że ja zabiję cię pierwszy.

– Zabicie mnie nie przywróci ci skrzydeł.

Mroczny śmiech Drystana poniósł się echem po korytarzu.

– Nie, nie przywróci. Ale poczuję się dzięki temu naprawdę dobrze.

Gdy rzucił się ku nam, Jericho obrócił się na pięcie. Wpadliśmy na klatkę schodową i pędem pokonywaliśmy kolejne ciągi schodów.

W uszach dudnił mi szum krwi, nie usłyszałam zbliżających się kroków, dopóki po klatce schodowej nie poniósł się brzęk metalu. Obróciłam się i zobaczyłam, że Jericho zamachnął się cepem na czaszkę żołnierza Pentacrux, a po uwolnieniu broni kopnięciem przerzucił wroga przez barierkę, posyłając go w rozciągającą się w dole ciemność. Drugi napastnik rzucił się na nas, a za nim trzeci. Jericho starł się z obydwoma w brzęku stali, który skończył się dla żołnierzy makabrycznie. Czwarty wyłonił się ze schodów i zdołał ciąć Jericha w bok. Ten wydał z siebie warkot bólu, na brzmienie którego ogarnęła mnie panika, a następnie zamachnął się cepem na mniej doświadczonego żołnierza, z łatwością pozbawiając go głowy. Podniósł miecz powalonego przeciwnika, teraz wyposażony już w dwie sztuki broni. Piąty wróg zbliżał się ku nam, lecz szybko zmienił kierunek i ruszył znowu w dół schodów.

Zerknęłam na krew przesączającą się przez sutannę w miejscu, gdzie Jericho został trafiony.

– Jak się czujesz?

– Dobrze.

Szturchnięciem w plecy ponaglił mnie, żebym szła dalej. Dopiero gdy znaleźliśmy się trzy ciągi schodów wyżej, po klatce schodowej poniosło się echo warkotów. Wyjrzałam za barierkę i dostrzegłam demoniczne stwory wdrapujące się za nami.

– O mój Boże!

Pędziłam najszybciej jak mogłam w głupiej koszuli nocnej i szlafroku, próbując nie potknąć się o tkaninę majtającą mi wokół kostek. Jericho złapał mnie za rękę i podnosił za każdym razem, gdy gubiłam

krok. Dotarliśmy do podwójnych drzwi i wypadliśmy na dach kościoła. Jericho wsunął długą rękojeść cepa pomiędzy uchwyty drzwi, blokując je w ten sposób przed zbliżającymi się istotami.

Obróciłam się i ujrzałam żołnierza Pentacrux biegnącego na mnie. Instynktownie podniosłam garść żwiru, żeby rzucić mu nim w twarz. Gdy uniósł dłoń, żeby osłonić się przed lecącymi kamykami, Jericho rozplątał mu brzuch klingą. Żołnierz zdążył się jednak zamachnąć i gorąca struga bólu przemknęła mi po rękę w miejscu zranienia.

– Ach, cholera! – Odskokczyłam w tył, a Jericho rzucił się naprzód.

Zgrzyt metalu rozbrzmiał mi w uszach, gdy się ze sobą starli. Żołnierz, choć bardziej biegły niż jego wcześniejsi kompani, i tak nie mógł przebić się przez bezbłędne zasłony Jericha, który nawet jako śmiertelnik był znacznie zwinniejszy w walce i miał szybszy refleks.

Niedaleko od nich dostrzegłam Drystana. Jego marnie wyglądające skrzydła wydawały się z trudem utrzymywać go w powietrzu.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś, czego mogłabym użyć do obrony, ale niczego nie zauważyłam. Oprócz żwiru.

Okrzyk, który szybko przeszedł w mokry charkot, skierował moją uwagę z powrotem na Jericha i żołnierza, który padł na kolana z czubkiem miecza wbitym w gardło. Upuścił broń, którą Jericho podniósł, gdy już oswobodził swój oręż.

Huk dobiegający z tyłu szarpnął mi nerwami. Obróciłam się i ujrzałam, że drzwi uginają się pod naporem, a ich uchwyty wyginają się wokół rękojeści cepa.

– O Boże, Jericho, oni tu idą.

Kątem oka dostrzegłam jakiś błysk i szybko obróciłam się do Drystana. Zwęglona smuga przyczerniła żwir niedaleko od nas. Zerknęłam na Jericha.

– Myślałam, że on jest cambionem. Umie też manipulować błyskawicami?

– Wcześniej nie umiał. Nie wiem, jak zyskał tę zdolność, ale nie ma skrzydeł, żeby rozproszyć całą tę energię.

Gdy tylko to powiedział, zauważyłam, że skrzydła Drystana wyraźnie się przypaliły. Użyta do ich konstrukcji ludzka skóra nie była przystosowana do tego, by znieść temperaturę ładunku.

– Odważysz się skoczyć, bracie? – zakpił Drystan, po czym posłał ku nam piorun.

Mocne pchnięcie przewróciło mnie na podłogę. Usłyszałam ryk bólu i gdy przekreśliłam się na plecy, zobaczyłam, że Jericho został trafiony w bok. Pod porwaną sutanną, tam gdzie tkanina się spaliła, widniał pasek oparzonego ciała.

– W ciele śmiertelnika nie jest tak fajnie, co? – Rozbawienie słyszalne w głosie Drystana zwiększało ogarniającą mnie grozę, a gdy drzwi rozwarły się i warczące stwory zaczęły skradać się ku nam, ledwo byłam w stanie oddychać.

Jericho jęknął i podniósł się, zaciskając dłoń na ranie.

– Nigdy nie umiałeś dobrze celować – wychrypiał.

Uderzył w niego kolejny ładunek, tym razem w lewy bark, przewracając go. Znowu rozległ się okrzyk bólu, a ja rzuciłam się do niego, chcąc osłonić go swoim ciałem.

– Zaczekaj! Proszę, nie krzywdź go. – Łzy stanęły mi w oczach. Wyciągnęłam dłoń, gdy stwory zbliżyły się do nas. Oburącz podniosłam miecz, zaskoczona jego nieporęcznym ciężarem. Gdy skoczyłam naprzód i zamachnęłam się nim niezgrabnie, ostrze przecięło jedną z podchodzących istot, którą sekundę później ogarnęły płomienie.

Chętnie rozkoszowałabym się tą nieprawdopodobną chwilą czystego szczęścia, tylko że wrogowie nadal napierali.

Ich warkot się nasilił, wzbudzając we mnie kolejny atak trwogi.

– Może zabawniej będzie patrzeć, jak rozdierają was oboje na strzępy. Nie mogę się zdecydować.

Znowu się zamachnęłam i ciężar miecza pozbawił mnie równowagi. Jericho jęknął z bólu i nachylił się do przodu, uwalniając mnie od broni. Jakże łatwo trzymał ją przed sobą, choć nie dysponował swoją zwyczajową siłą, zupełnie jakby miecz nic nie ważył. Jeden z wrogów wyrwał się z kręgu i pomknął ku nam. Jericho się zamachnął, wydając z siebie stęknienie, ale stworzenie uchyliło się przed ciosem. Znowu skoczyło, omijając spowolnione Jericha, i skierowało się prosto na mnie.

Wyciągnęłam rękę i wypowiedziałam pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy:

– *Ca'ligo an a tua!* – Żar rozgorzał mi na policzkach, a nedorzeczna sentencja zabrzmiała równie dziwnie w moich ustach jak wtedy, gdy wygłaszała ją ciotka Nelle, próbując odpędzić ode mnie nocne koszmary.

W każdym innych okolicznościach poczułabym zażenowanie, że w ogóle taki pomysł przyszedł mi do głowy.

Tyle że stwór zamarł w miejscu i tylko kłapał zębami oraz próbował drapać pazurami.

– Ojacie! – Wybuchnęłam śmiechem. – Zadziałało! Nie mogę uwierzyć, że zadziałało!

– Mówisz caelicolańskim? – W głosie Jericha słychać było równie silne zdumienie, jakie sama czułam.

– Nie. Co to jest? Nie mam pojęcia, co właśnie powiedziałam.

– Język nefilimów.

Miało to sens, zważywszy, co powiedział mi o ciotce Drystan. W innym czasie i innym miejscu być może mogłabym się nieco wystraszyć na myśl o tym, co tak naprawdę odpędzała.

Ale gdy drugie stworzenie pomknęło naprzód, odsunęłam od siebie te myśli i powtórzyłam wcześniejsze słowa, a wróg zatrzymał się ze sparaliżowanymi kończynami.

– Co to jest? – spytał Drystan z wyrzutem.

Wzięłam Jericha pod rękę i trzymałam dłoń przed sobą, gdy wycofywaliśmy się na skraj budynku.

Dwie następne istoty rzuciły się ku nam, ale gdy tylko otworzyłam usta, Drystan puścił na nas kolejną błyskawicę. Tym razem nie wypowiedziałam sentencji na głos, a w chwili, gdy stwory skoczyły na nas, upadły na podłogę, porażone ładunkiem elektrycznym przeznaczonym dla Jericha i mnie.

Jeszcze jeden alatum zaszarżował na nas, lecz zatrzymał się jak wryty, gdy Jericho zamachnął się mieczem i gładko ściał mu głowę. Coraz więcej wrogów zbliżało się ku nam, a on wziął mnie za rękę. Krzyknęłam cicho, gdy pociągnął mnie na skraj dachu.

Wrzask zamarł mi w gardle, gdy Drystan wyciągnął dłoń i chwycił mnie za nogę. Wisiałam w powietrzu pomiędzy nim a Jerichem trzymającym moją dłoń. Ciężar sprawiał, że rozrywało mi kończyny. Krzyknęłam z bólu. Zaraz miałam rozszczępić się na dwoje.

Jeden z alatum wskoczył Drystanowi na plecy; od impetu jego lądowania ścisnęło mi żołądek. Chwył Drystana osłabł i ponad mną zagrzemiał dźwięk przekleństwa.

Nagle napór ustąpił. Zaczęłam spadać niczym wór kamieni w kierunku kościelnego parkingu. Żołądek podszedł mi do gardła i otworzyłam usta do krzyku, który jednak nie był w stanie wydostać się z moich ust. Spadaliśmy, spadaliśmy, aż nagle w górze rozbłysło światło, po czym świat ogarnęła ciemność.

Uderzyło we mnie ogromne gorąco i zadrżałam, czując się tak, jakby ogarniały mnie płomienie.

Wrzeszczałam tak głośno, że ochrypłam. Nagle ciemność ustąpiła i usłyszałam świst skrzydeł Jericha. Jego skrzydeł!

Wokół nas przetaczał się warkot, gdy bezskrzydłe stwory spadały ku temu, co nie było już kościelnym parkingiem, tylko lasem, zamachując się na nas pazurami. Kolejny piorun pomknął ku nam z góry, a skrzydła Jericha rozświetliły się, wprowadzając mnie w intensywne vibracje.

Lecieliśmy nad czubkami drzew i otwartymi polami, a gdy odważyłam się otworzyć oczy, ujrzałam demony próbujące dogonić nas na ziemi.

Stado kruków pomknęło ku nim, a stwory opędały się od nich, tylko nieznacznie spowolnione. Jericho skierował się raptownie ku gruntowi, sprawiając, że poczułam w piersi nieprzyjemne mrowienie, po czym postawił mnie na polanie.

Demony zaszarżowały na nas, warcząc i sycząc.

Wyciągnął ręce, a małe wylądowania zatańczyły mu na piórach. Cisnął błyskawicą w nadciągające bestie i wokół nas rozległo się ich skrzeczenie. Przybiegły kolejne, a wtedy Jericho wyzwolił następny ładunek, roztrzając je na wszystkie strony. Ściółka leśna zajęła się ogniem i wkrótce podniosła się ściana płomieni.

Drystan wylądował poza obszarem pożogi, podniósł się na nogi i ruszył w naszą stronę. Jericho porwał mnie w ramiona i znowu się wzniosł. Zanim się zorientowałam, znaleźliśmy się na urwisku, niedaleko Katedry Czarnej Wody. Znowu postawił mnie na ziemi i zaraz potem ugodziły go pioruny. Ledwo widziałam w ciemności, gdy wystrzeliwał w niebo niczym mroczna strzała.

Cerber i dwa pozostałe psy podbiegły do mnie, gdy obserwowałam srebrzyste błyskawice rozświetlające chmury. Ponad mną szalała burza.

Słyszając warczenie psów, skierowałam uwagę na jedno z demonicznym stworzeń skradające się do

mnie. Strach ścisnął mi gardło. Psy nadal warczały na zagrożenie, a sierść na grzbiecie stanęła im dęba.

Niezrażony, demon podszedł bliżej i wyciągnął kościstą rękę, sprawiając, że pilnujące mnie z obu stron zwierzęta wpadły w szal wściekłego ujadania. W jednej łapie stwór trzymał przedmiot, który rozpoznałam. Kawałek metalu, którym Garic zakończył swoje życie.

W piersi rozkwitł mi ból.

– Remy?

Psy nadal warczały, ale gdy Cerber przysiadł, szykując się do skoku, przytrzymałam go za obrozę.

– Nie. Zostań.

Wykonał moje polecenie, choć wciąż jeżył się na grzbiecie.

Remy warczał i syczał, lecz nie wydawał się zagrożeniem. Miałam wrażenie, jakby próbował mi coś przekazać.

– Proszę... Chcę cię zrozumieć.

Inna istota przemknęła obok niego, a gdy rzuciła się na mnie, złapał ją, szarpnął i przycisnął do ziemi. Rozerwał ją kłami i szponami, aż została z niej jedynie masa zakrwawionego mięsa. Kiedy Remy znowu obrócił się do mnie z pyskiem ociekającym krwią, krzyknęłam cicho i cofnęłam się o krok.

Psy ponownie się szarpnęły, lecz kilku kolejnych alatum pędziło właśnie ku nam, zrezygnowały więc z atakowania Remy'ego i zabrały się za tamtych. Stałam jak sparaliżowana w tej kakofonii wściekłego ujadania, przesuając wzrokiem pomiędzy walczącymi a Remyem.

Pod skórę wpełzło mi paskudne wrażenie osamotnienia. Alatum wycofali się do lasu, a psy pomknęły za nimi, zostawiając mnie całkiem odsłoniętą.

Remy podszedł chwiejnie bliżej, jak zwierzę, a ja ostro wciągnęłam powietrze i odskoczyłam.

Wysunął ku mnie kawałek metalu o niezwykłym kształcie.

W oczach demona, czarnych niczym węgiel, widniał wyłącznie smutek.

Łzy zamgliły mi jego widok, ale skinęłam głową i wyciągałam rękę, aż położył mi przedmiot na dłoni.

Odchylił głowę w geście poddania. Zamknęłam oczy, odetchnęłam głęboko i przeciągnęłam mu metalem po gardle.

Ledwie tchnienie później stanął w płomieniach, które wkrótce pochłonęły całe jego ciało. Miałam tylko nadzieję, że miejsce, do którego go posłałam, jest spokojniejsze niż los, jaki by go czekał w innej sytuacji.

Po chwili coś spadło z nieba i wylądowało za szczątkami Remy'ego z okropnym hukiem, od którego zatrzęsała się ziemia.

Serce podeszło mi do gardła. Podbiegłam tam, modląc się w duchu, bym nie natknęła się na Jericha.

Gdy się zbliżyłam, dostrzegłam osłabioną sylwetkę Drystana, pełznącego po ziemi, kaszlącego i świszczącego. Jego skrzydła oznaczone były otworami, a jedno z nich spaliło się w takim stopniu, że zostały z niego tylko połączone kości. Jego próby zaczerpnięcia powietrza akcentowane były pustym grzechotem każdego oddechu.

Jericho wylądował za nim i zaczął podchodzić bliżej. Zacisnął pięści i zgarbił ramiona. Nawet w mroku widziałam wściekłość płonąca w nim niczym ogień.

Przebiegłam obok Drystana i podałam Jerichowi kawałek metalu, który wciąż ścisnęłam w dłoni.

Zbliżył się do osłabionego brata, nadal pełznącego w stronę urwiska, być może próbującego uciec do krainy śmiertelników. Zatrzymał cambiona, stawiając mu stopę na plecach, a później chwycił Drystana za włosy i odciągnął mu głowę w tył.

– Powiniennem był zabić cię wtedy, przed laty. To moja matka namówiła mnie, żebym cię oszczędził. To ona okazała ci łaskę. Nie ja.

– Proszę... jedyne, czego chcę... to jej... ojciec. – Każde wypowiedane przez Drystana słowo było przerywane przez bulgoczący odgłos w jego gardle. – Żeby odzyskać... skrzydła. Puść mnie. Błagam cię... Bracie.

– Nie jesteś mi bratem – wycedził Jericho, odciągając głowę Drystana jeszcze mocniej w tył.

– To nie... koniec. – Grdyka podskoczyła mu od forsownego przełknięcia. – Strażnicy... przybędą. Po ciebie. I... ukarzą cię.

– Coś w tym nowego? – Ledwie tchnienie później Jericho przeciągnął ostrym końcem metalu po gardle Drystana. Gdy krew polała się z rany, puścił go i odsunął się na bok. Drystan wił się i trzymał za gardło w desperackich próbach złapania tchu, który nie mógł już go uratować. – Wracasz do Ex Nihilo, bracie.

W chwili, gdy wypowiedział te słowa, ciało Drystana stanęło w płomieniach. Po niespełna minucie został z niego jedynie popiół.

Nie spuszczać oczu z prochów, ominęłam je i stanęłam obok Jericha. Wsunęłam palce w jego dłoń i pozwoliłam, żeby kojący dotyk jego ciepłej skóry uspokoił moje nerwy.

– Sprytnie odepchnęłaś tamtych alatum. Nigdy wcześniej nie słyszałem tej sentencji. – Gdy uniósł moją rękę do ust, jego głos niósł w sobie znużenie walką.

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową na wspomnienie ciotki Nelle siedzącej w nogach mojego łóżka i rozrzucającej te słowa po pokoju, jakby skrapiała go wodą święconą.

– To było lekarstwo cioci na dręczące mnie koszmary. Zaczynam jednak myśleć, że mogła odpędzać coś więcej niż tylko niechciane sny. Dotąd zawsze uważałam, że wymyśliła sobie to zdanie.

– Zdecydowanie nie. Nie posługuję się biegle tym językiem, ale rozumiem go. – Jericho przyciągnął mnie do pocałunku. Powoli, delikatnie ujął moją twarz, żeby już po chwili całować mnie w sposób niosący w sobie setki obietnic. – Cześć – powiedział, gdy się odsunął.

Ciepło wezbrało mi w piersi. Znowu go pocałowałam i uśmiechnęłam się tuż przy jego wargach.

– Cześć.

Gdy zerknęłam w górę, ujrzałam na niebie krwistoczerwony księżyc rzucający karmazynowy poblask na czarne morze. Cały ten widok, jeszcze z sylwetką katedry w tle, zapierał mi dech. Po raz pierwszy od przybycia do tej dziwnej krainy poczułam się jak w domu.

W domu.

Właśnie wtedy to sobie uświadomiłam.

Proroctwo.

Powinłam była umrzeć tej nocy.

Skrawek czerni na skraju księżyca powiedział mi, że wkrótce minie zaćmienie.

W głowie rozbrzmiały mi słowa Jericha sprzed kilku dni.

„Istnieje tylko jeden sposób na złamanie klątwy”.

Dziwne doznanie rozkwitło mi w klatce piersiowej.

Byłam w ciąży?

Zdezorientowana, położyłam dłoń na brzuchu i obróciłam się do Jericha.

Jego wargi wykrzywiły się w zaskoczonym uśmiechu. Przesuwał wzrokiem pomiędzy moją dłonią a twarzą.

Żadne z nas nic nie mówiło. Być może oboje byliśmy w szoku. W końcu wyrwał się ze mnie śmiech przez łzy, a gdy przeszła przeze mnie fala nerwowego podekscytowania, zadrżałam.

– Dziecko? – wyszeptałam. Szczerze mówiąc, nie chciałam go. Nigdy nie marzyłam o dzieciach ani o ciąży. Nagle jednak wszystko nabrało nowego znaczenia. Wcześniejszy mrok przyjął kształt przenikliwych czarnych oczu i miękkich czarnych włosów. Dziecko Jericha. We mnie. W moim ciele. Znowu roześmiałam się przez łzy czystego zaskoczenia i zarzuciłam mu ręce na szyję.

– Jesteś moją wiecznością – wyszeptał.

„Ktoś się zbliża!”

Głosy dobiegające z góry skierowały moją uwagę na krążące nad nami ptaki.

Zmarszczyłam czoło, zdjęłam rękę z jego szyi i wbiłam wzrok w niebo.

Ostre stęknienie sprawiło, że znów spojrzałam na Jericha. Uśmiech na jego twarzy przeszedł w coś, co gdyby było w stanie ku mnie sięgnąć, uderzyłoby mnie w serce, zadając nienaprawialne obrażenia. Przez łzy zamazujące mi widok dostrzegłam, że ze środka piersi wystaje mu czubek miecza.

Rozległ się szarpący nerwami świst. A po nim kolejny.

Po obu jego stronach upadły na ziemię wspaniałe obcięte skrzydła.

Nabrzmiała we mnie panika.

Świat poruszał się jak w zwolnionym tempie. Tyk. Tyk. Tyk. Niczym zegar na dzwonnicy.

Nie byłam w stanie oddychać. Moje gardło domagało się choć jednego haustu powietrza, ale płuca pozostawały ściśnięte.

Zmartwiałam.

Oddychaj. Oddychaj!

Za jego plecami stał napastnik. Mężczyzna, którego pamiętałam tylko jak przez mgłę.

Przesunęłam spojrzenie na Jericha. Szukałam w nim pocieszenia. Nadziei. Bezpieczeństwa i spokoju, których nauczyłam się po nim oczekiwać.

On jednak opadł na kolana, a gdy się we mnie wpatrywał, dostrzegłam w jego oku coś, czego nigdy nie widziałam w tym groźnym mężczyźnie. Coś, od czego w głębi żołądka zaległa mi gęsta, czarna groza.

Strach.

Ledwie sekundę później odchylił głowę w tył i zamknął odsłonięte oko.

Jego ciało stanęło w płomieniach.

Nie. Nie! Nie!

Wyrwał się ze mnie straszliwy, pełen cierpienia krzyk, gdy patrzyłam, jak pochłania go ogień.

– Jericho! Proszę! Nie! – Płomień liznął mi dłoń, gdy ją wyciągnęłam. W nie więcej niż trzydzieści sekund mój świat rozpadł się w pył.

Nie. Moja głowa nie chciała tego zaakceptować. Nie. To tylko koszmar. Obudź się, Farryn. Obudź się!

Ale nie potrafiłam. Nie potrafiłam się z tego obudzić.

Zimny strach rozpełzał mi się w piersi. Wszystkie mięśnie mi drżały. Każda komórka ciała piekła.

Nie. Wypierałam to, potrząsając głową. Nie. Nie on. Nie on. Nie mógł umrzeć. Nie po tym, jak udało nam się przetrwać. Nie po tym, jak zwyciężyliśmy.

Ogarniała mnie panika. Rzeczywistość czaiła się wokół mnie, pragnąc wciągnąć mnie pod powierzchnię i utopić. Nie patrz na to, upierała się moja głowa. Ale nie potrafiłam odwrócić wzroku od kupki popiołów, wszystkiego, co po nim zostało, a ból rozdzierał mnie niczym drut kolczasty.

Padłam na kolana.

Nie!

Straszliwy odgłos nieszczęścia wydarł mi się z piersi. Każda spędzona z nim chwila przemknęła mi przed oczyma – wspomnienia Lustiny połączone z moimi.

Uśmiech na jego wargach, gdy uleczył ptaszka.

Nieustający zachwyt w jego oczach, gdy przyłapywałam go na tym, że na mnie patrzy.

Morski błękit jego spojrzenia, obiecującego nieograniczone możliwości.

Ciepło jego skóry, gdy ujmował moją dłoń.

Wszystko to zniknęło. Zostało wymazane.

Ból wykręcał mi żołądek, z zacieklą determinacją rozrywał i rozciągał wnętrzności. Przycisnęłam tam dłoń i odchyliłam głowę w tył, a po skroniach płynęły mi łzy.

Zbyt wiele. Zbyt wiele bólu!

„Pamiętaj, gdy ból stanie się zbyt silny...” – powiedział mi kiedyś.

Zimna woda. Krwawy księżyc. Dłoń zakrywająca mi twarz, uciszająca mnie.

– Litości! – zawołałam. – Litości!

Ptaki wciąż krążące w górze rozproszyły się w eksplozji skrzydeł i krakań. Świat wokół mnie znieruchomiał. Wyciągnęłam rękę ku rozwiewającemu się pyłowi i ścisnęłam go w dłoni.

Odszedł.

Coś innego rosło we mnie, niczym potwór wyrywający się z głębin.

Wściekłość. Czysta. Surowa. Brutalna.

Podniosłam miecz leżący na ziemi obok prochów Jericha, lecz gdy rzuciłam się na jego zabójcę z morderczym okrzykiem bojowym, poczułam w kostce ostre ukłucie, które sprawiło, że się potknęłam i wypuściłam broń. Sięgający aż do kości ból pomknął w górę mojej nogi niczym fala rozgrzanych igieł. Podniosłam wzrok i ujrzałam, że mężczyzna trzyma rozłożone dłonie, jak gdyby wypuścił z nich niewidzialną kulę.

– Lustino, posłuchaj mnie. – Głos, który się do mnie odezwał, był znajomy. Równie przerażający jak mężczyzna, do którego należał.

Biskup Venable.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś?! Dlaczego?! – Gdy podniosłam się na nogi, poczułam ból i ponownie się przewróciłam.

– Sam tak wybrał. – Jego słowa uderzyły mnie w pierś niczym ciężki kamień i zaparły mi dech. – Ceną za ocalenie ciebie było oddanie skrzydeł. Dla Strażnika to w zasadzie równoznaczne ze zrzeczeniem się nieśmiertelności.

Z oczyma pełnymi łez pokręciłam głową w gniewie i niedowierzaniu. Irracjonalnym gniewie. Gniewie wypalającym mi wnętrze.

– Nie. Kłamiesz. Nie zrobiłby tego. Kłamiesz!

– Dam ci jedną okazję, byś mogła wrócić do swojego świata. Był to jego jedyny warunek. Na szczęście dla ciebie jesteśmy związani zasadami tego świata, inaczej spotkałby cię taki sam los co wcześniej. U stóp góry znajdziesz prom. – Z kieszeni wyciągnął monetę, tę samą, którą Jericho pokazywał mi jako metodę powrotu, po czym rzucił ją na ziemię tuż poza moim zasięgiem. – Zapłać przewoźnikowi i zostaniesz bezpiecznie zabrana do swojego świata. Zostań tutaj, a dopilnuję, żeby ścigano cię przez wieczność.

Marszcząc brwi, wpatrywałam się w leżący na ziemi pieniążek. Uniosłam go i ujrzałam po jednej stronie twarz demona, po drugiej anioła.

– Wygląda na to, że klątwa została złamana. Na razie. Gratulacje. Ale gdybyś urodziła córkę, przeniesie się na nią.

– Dlaczego to robisz? – Byłabym gotowa błagać, żeby skazał mnie na ten sam los, ale miałam pewność, że noszę w sobie istnienie. Dziecko Jericha. – Dlaczego mnie w ogóle wypuszczasz?

– Bo nawet w życiu pozagrobowym nie jesteśmy wolni od kary za gniew – powiedział, zanim odwrócił się ode mnie.

Farryn

Otaczał mnie szarpiący ból, gdy czekałam w kolejce do promu, wpatrując się w skraj pomostu, w spokojną czarną wodę wyglądającą jak szkło. Jak w zwierciadle widziałam w niej płomienie, straszliwie jaskrawe płomienie sięgające ku mnie.

Łzy zamazały aż nazbyt realistyczną iluzję, a gdy zacisnęłam powieki i odwróciłam się, spłynęły mi po policzkach. Paraliżujący ból rozrywał mi serce, płuca miałam ciężkie od duszących tchnień rzeczywistości.

On odszedł.

Kiedy znów spojrzałam na wodę, tym razem zobaczyłam jedynie swoje odbicie. Przygnębenie widoczne na mojej twarzy, równie wyraźne, jak gdybym wpatrywała się w lustro. Odetchnęłam z rozpaczą i mój umysł odpłynął w wizje tego, jaki spokój ogarnąłby mnie, gdybym zanurzyła się pod tę ciemną powierzchnię. Wypuściła wstrzymywane powietrze.

Odpuściła sobie to wszystko.

Wyłoniło się wspomnienie.

Leżę w lodowatej wodzie. Wpatruję się w krwistoczerwony księżyc. Mrok. Spokój.

Nieliczne czekające wraz ze mną osoby – czy to ludzie, czy jakieś inne istoty – poruszyły się, gdy w oddali pojawił się prom przedzierający się przez zalegającą na wodzie mgłę.

Podeszłam bliżej krawędzi pomostu.

Bliżej.

Woda wydawała się spokojna i zachęcająca. Pod czarną jak smoła powierzchnią nie widać było głębi.

Odpuść.

Wysunęłam palce stóp za krawędź. Drżałam na całym ciele.

Nie rób tego, Tu’Nahjo.

Ten piękny, głęboki głos, który tak kochałam, sprawił, że się zatrzymałam.

Rozejrzałam się, lecz nie dostrzegłam po nim żadnego śladu, jedynie garstkę tych, którzy zebrali się na końcu pomostu, żeby wsiąść na nadpływający prom. Zmarszczyłam czoło i znów spojrzałam na wodę. Zaparło mi dech, gdy ujrzałam w jej odbiciu jego przystojną twarz. Jakby stał za mną.

– Jericho? – wyszeptałam, ale gdy się obróciłam, znów nikogo nie dostrzegłam.

Przeszła przeze mnie fala zażenowania. Położyłam dłoń na brzuchu, a oczy piekły mnie od wstrzymywania łez. Co ja właśnie niemal zrobiłam? Jeśli żyło we mnie dziecko, stanowiło jedyne, co mi po nim pozostało. Mdłości zakreśliły mi się w żołądku i odsunęłam się od krawędzi.

W dłoni ścisnęłam monetę otrzymaną od Barchiela i gdy rozwarłam palce, wróciły do mnie wspomnienia Jericha turlającego ją po knykciach. Jego chytrego, kpiącego uśmiešku, gdy mi ją pokazywał. Pragnęłam zachować pieniążek na zawsze, ale nadszedł czas.

Czas powrotu.

Przeszłam na koniec pomostu, gdzie wielki, zwalisty mężczyzna ubrany w długą czarną szatę z kapturem wyciągnął do mnie dłoń. Upuściłam na nią monetę i czekałam, gdy się jej przyglądał. Przygryzł ją zębami, jakby sprawdzał jej autentyczność. Następnie szarpnięciem głowy wskazał, żebym wsiadła na małą łódź.

Było na niej sześć ławek, z których cztery zostały już zajęte przez innych pasażerów. Starsza kobieta przyjrzała mi się od góry do dołu, a ja otuliłam się ciasniej szatą, żeby osłonić się przed chłodnym powietrzem – i przed jej spojrzeniem. Pochyliłam głowę i usiadłam za nieznajomą.

Gdy przewoźnik odcumowywał łódź od pomostu, znów obróciłam się ku wodzie, a wtedy coś na ławce obok przykuło mój wzrok. Zmarszczyłam brwi i przyjrzałam się uważniej. Serce podeszło mi do gardła, gdy uniosłam książkę.

Baron i córka czarownicy.

Szybko się rozejrzałam, zauważając, że inni pasażerowie najwyraźniej nie zwracają na mnie uwagi. Niektórzy wpatrywali się w wodę, inni pod swoje nogi. Gdy drżącą dłonią otworzyłam okładkę, coś wysunęło się pomiędzy stron, z brzękiem spadając na pokład.

Moneta.

Uniosłam ją, żeby sprawdzić, czy to ta sama, którą dopiero co dałam przewoźnikowi. Gdy zerknęłam na niego, odwrócił się i zaczął odpływać od pomostu.

Kiedy łódź ruszyła, przycisnęłam książkę do piersi.

Farryn

Trzy miesiące później...

Siedziałam zgarbiona nad biurkiem w dawnym gabinecie ciotki Nelle i przeglądałam kolejne strony dzienników ojca. Studiowałam je od tygodni, szukając w jego notatkach sposobów na przywrócenie duszy z Ex Nihilo. Według słów Drystana to właśnie mój ojciec sprowadził go z powrotem z niebytu. Każdy z dzienników przetrząsnęłam już jednak przynajmniej kilkanaście razy i jedynym, czego się dowiedziałam, było to, że symbol wypalony na mojej ręce jest sigilem wykradzonym z pradawnego języka pri'scuciańskiego. W swoich zapiskach ojciec wspominał, że Pentacrux zagarnął go przed stuleciami, ale jego znaczenie wciąż pozostawało dla mnie tajemnicą.

Musiałam wrócić. Wciąż dręczyła mnie groźba, że Barchiel by mnie tam odnalazł, że polowały na mnie, do tego wykazałabym się głupotą, narażając swoje nienarodzone dziecko na ryzyko. Ale nie miałam pod ręką dość informacji, żeby sprowadzić Jericha z powrotem. Ojciec poświęcił życie studiom nad tym tematem, a ja nie miałam tyle czasu. W odwrotnej sytuacji Jericho nigdy nie dałby za wygraną, nigdy nie pogodziłby się z taką ostatecznością, zatem ja nie zamierzałam zrezygnować z niego.

Ojciec niewątpliwie mógłby mi pomóc, ale jeśli stracił wszystkie wspomnienia, czego się spodziewałam, byłaby to bardzo rzeczywista przeszkoda. Nawet gdyby mnie rozpoznał, nie gwarantowałoby to, że pamiętał wyniki pracy całego swego życia. Przynajmniej wiedziałam jednak, że przebywa w Nocnym Cieniu.

Odłożyłam dziennik na bok i pośpiesznie opuściłam gabinet, żeby się ubrać.

Musiałam zobaczyć się z Xhiphasem.



Stałam w zamglonym zaułku i uniosłam dłoń, żeby zapukać w ciężkie, żelazne drzwi, gdy nagle te same się otworzyły.

Stał w nich Xhiphas, unosząc brew.

– No proszę, proszę. Kto to wrócił.

– Powinnam ci za to podziękować?

– Jestem raczej ciekaw, jak udało ci się to osiągnąć.

– Nie wątpię. Zatem przekażę ci moje sekrety, jeśli ty przekażesz mi swoje.

– Aż tak zaciekawiony nie jestem. – Pchnął drzwi, żeby je zamknąć, ale napałam na nie od drugiej strony.

– Proszę, Xhiphasie. Nie przyszedłam tu z pretensjami. Potrzebuję twojej pomocy.

– A mnie to nie obchodzi. – Zatrzasnął drzwi z głośnym hukiem, który poniósł się echem po uliczce i po pustych otchłaniach mojego serca.

Zabębniłam w drzwi. Odczekałam. Zadudniłam ponownie. I znowu poczekałam.

Stałam tak jeszcze kilka minut. Potem zaczęłam krążyć w kółko, a niepokój wirował mi w trzewiach niczym huragan. Czulałam się jak wariatka, gdy tak sterczałam w pustym zaułku, błagając go, żeby mnie wpuścił.

Kolejny raz zapukałam. Znowu bez odpowiedzi.

Wymykała mi się okazja. Czułam się zagubiona i zapadałam się coraz głębiej.

Padłam na kolana.

I w końcu pękłam.

Wczepiłam palce we włosy, walcząc z ochotą, żeby rozplakać się na jego progu. Wiedziałam, że jestem szalona, nawet jeżeli przez ostatnich kilka miesięcy próbowałam przekonywać samą siebie, że tak nie jest.

Nie miałam jednak pojęcia, co innego zrobić. Dokąd pójść. Powrót Jericha, nawet jeśli mógł się okazać niemożliwy, zależał ode mnie.

Znalazłam się w najczarniejszej otchłani, a jedyny promyk światła został zgaszony, gdy zatrzęsnęły się tamte drzwi.

Oparłam czoło o chłodny metal i zamknęłam oczy.

– Proszę, Xhiphiasie... – wyszeptałam, pewna, że mnie nie usłyszysz. – Jeśli on do mnie nie wróci, nie wiem, co zrobić. Dziecko rosnące we mnie jest jego.

Mijały sekundy.

Głośne stuknięcie zasygnalizowało otwieranie zamka.

Odsunęłam się akurat w chwili, gdy drzwi się otworzyły. Xhiphias stanął w nich tak jak wcześniej, mrużąc oczy.

– Czyje?

– Van Croixa.

– I jeszcze jesteś w ciąży z Van Croixem? – Niedowierzenie w jego głosie powiedziało mi, że Xhiphias nie spodziewał się mojego powrotu, nie mówiąc już o dziecku.

– Tak.

Zdezorientowanie przemknęło przez jego twarz.

– I on wie o tym dziecku?

– Tak.

Westchnął, skrzyżował ręce i pogładził się po brodzie, wpatrując się we mnie.

– Sama wyglądasz jak Śmierć. – Ściągnął wargi, przyglądając mi się jeszcze przez chwilę, po czym odsunął się na bok. – Wejź.

Wkroczyłam za nim do środka, a on poprowadził mnie do poduszek rozłożonych wokół paleniska. Ciepło wydawało się przyjemne, ale nie było w stanie odgonić chłodu uparcie towarzyszącego mi od miesięcy. Usiadłam na jednej z poduch i patrzyłam, jak przygotowuje fajkę. W końcu zapalił, po czym usiadł po drugiej stronie paleniska.

– Muszę wrócić.

Szybko spuścił wzrok na mój brzuch i pyknął z fajki.

– Nie sądzę, żeby to było rozsądne.

– Nawet jeśli dziecko jest w połowie Strażnikiem?

Uniósł brew i przestał pykać.

– Nosisz w sobie Strażnika?

Choć wahałam się z odpowiedzią, nie znając stosunku pomiędzy demonami a Strażnikami, udzieliłam jej, żeby podtrzymać jego zainteresowanie:

– Tak.

– Interesujące. – Wrócił do palenia, opierając się o jedną z poduszek za sobą. – Zatem nie mam pojęcia. Nigdy nie znałem nikogo, kto nosiłby w sobie Strażnika.

– Ale czy istnieje możliwość, że dziecku stanie się krzywda?

– Zazwyczaj nikt nie przeżywa przejścia. Ty wydajesz się wyjątkiem.

Podciągnęłam rękaw i pokazałam mu piętno na ręce, podobnie jak wcześniej.

– Mój ojciec bez ustanku badał ten symbol. Chcę wiedzieć, co on oznacza.

– Już raz ci mówiłem, nie chcę mieć nic wspólnego...

– Proszę. Powiedz mi po prostu tyle, ile możesz.

Przewrócił oczami i prychnął.

– Dobrze. To pradawny pri'scuciański sigil.

– Tak. Tyle już wiem. Pentacrux ukradli ten symbol, prawda?

– Przypuszczam, że tak to się odbyło.

– Co oznacza? Czy na coś się przekłada?

Przekrzywił głowę i zmrużył oczy, patrząc na mnie.

– Zadajesz bardzo niebezpieczne pytania, panno Ravenshaw.

– Potrzebuję odpowiedzi.

– Obawiam się, że wyczerpałaś już wszystkie moje odpowiedzi. Nie chcę mieć nic wspólnego z tym symbolem ani z tym, co oznacza.

Wyciągnęłam monetę, która wypadła z książki na promie. Choć czułam ból na myśl, że miałabym mu ją przekazać, byłam gotowa oddać wszystko, o co by poprosił, jeśli tylko zdoła mi pomóc. Nie miałam pojęcia, ile wart jest pieniądz, ale gdy Xhiphiasowi rozbłyły oczy i wyprostował się na poduszce, rozkwitł we mnie cień nadziei.

– Potrzebuję. Odpowiedzi.

– Znasz w ogóle jej wartość?

– Nieszczególnie.

– Musiałbym całymi stuleciami niewolić dusze, żeby zarobić taką monetę.

– Daj mi to, czego chcę, a będzie twoja.

Pokręcił głową, wskazując w górę.

– Gdyby oni się dowiedzieli, że odpowiedziałem na któreś z twoich pytań, jako następny wylądowałbym w Ex Nihilo.

– Kim są oni?

– Siły wyższe. Niebiańscy.

– Strażnicy.

– Tak.

– Wypadłam z ich łask. Powiedz mi, co znaczy ten symbol.

Przejechał dłonią po czole i jęknął.

– Tworzenie z nicości. To symbol samego Ex Nihilo. Pochodzi z *Sigiliuz de'tei*, pri'scuciańskiego grymuaru, ale jest jednym z najmniej znanych. To bardzo niebezpieczna magia.

– Zatem to prawda! Rzeczywiście pozwala przywrócić kogoś z Ex Nihilo.

– Tak. Może ożywiać pradawne duchy i przywoływać tych, którzy znajdują się w Ex Nihilo. W niewłaściwych rękach może stanowić najgroźniejszą broń przeciwko ludzkości.

– Jak? – Podniosłam się na kolana, a podniecenie dudniło mi we krwi. Od miesięcy żyłam sama ze swoją rozpaczą, nie miałam absolutnie nikogo oprócz Camael, z kim mogłabym porozmawiać. A przynajmniej nikogo, kto nie spoglądałby na mnie tak, jakbym powinna trafić do ośrodka zamkniętego. – Jak mogę kogoś sprowadzić z powrotem?

– Tego nie wiem. Jego tłumaczenie jest zabronione dla takich jak ja.

– Nie zdradzę nikomu, że mi pomogłeś. Proszę.

– Niczego nie ukrywam, panno Ravenshaw. Naprawdę nie znam tłumaczenia. Tylko anioł mógłby odczytać i zrozumieć prawdziwe znaczenie sigilu.

– Ale mojemu ojcu to się udało. Sprowadził kogoś.

– A niektórzy ludzie przełożyli wszystko z języka enochiańskiego. Nie obowiązują ich te sama prawa. Ale demonom tego nie wolno. Odczytanie tych słów na głos przypieczętowałoby mój los. Musisz znaleźć anioła, który ci je przetłumaczy.

Rozczarowanie obecne w jego głosie odczułam niczym ciężar, który zaległ mi na barkach.

– Znaleźć anioła? Gdzie?

– Wkrótce zrodzisz Strażnika. Pewnego dnia to dziecko będzie mogło dokonać dla ciebie przekładu. Znajomość języka jest dla nich wrodzona. Oczywiście może to trochę zająć. Większość zrodzonych naturalnie osiąga moc dopiero na późniejszym etapie życia. Niektórzy tak naprawdę dopiero w okresie dorosłości.

– Nie mam tyle czasu! A mojemu ojcu dokonanie tłumaczenia zajęło całe życie. – Wczepiłam palce we włosy i zaczęłam nabierać długie, spokojne oddechy, zdecydowana zachować opanowanie.

– Czy to ojciec nazaczył ci tym sigilem?

– Nie. – Nie patrzyłam na niego, tylko w przestrzeń. – Najwyraźniej jestem reinkarnacją dziewczyny żyjącej przed stuleciami. Przekłętej. Przynajmniej dawniej. Wygląda na to, że moja ciąża przełamała klątwę.

– A ta wcześniejsza dziewczyna?

– Zginęła. Miało to związek z prorocstwem o krwawym księżycu. Szczerze mówiąc, nie rozumiem go do końca.

Pyknął z fajki, przybierając zadumany wyraz twarzy.

– Jeśli dziewczyna była przeklęta, całkiem możliwe, że wcześniej anioł złamał klątwę u jej matki.

– Z tego, co rozumiem, tak właśnie było. Czy to oznacza, że Lustina była półaniołem?

– Musiałaby być.

– Jericho nigdy o tym nie wspominał. Mówił mi tylko, że matka Lustiny była nosicielką klątwy.

– Być może. Jak już mówiłem, dziewczyna jeszcze nie osiągnęła wtedy mocy.

– Ale z tego, co wiem, moja matka nie była przeklęta. Nie zmarła w krwawy księżyc.

– Nie każde pokolenie podlega przekleństwu. Jako że jesteś odrodzona, klątwa przebudziła się w tobie na nowo. Ona miała na imię Lustina? Jej babka też mogła nie być przeklęta. Oczywiście tylko zgaduję. Ale wydaje się całkiem możliwe, że ojciec Lustiny był aniołem.

Pierwsze igły bólu wbiły mi się w czaszkę. Nie ogarniałam w pełni tej łamigłówki.

– Czyli co to wszystko oznacza?

– To oznacza, że dysponujesz niewielką i odległą więzią z jej ojcem. Być może mógłby ci pomóc. Z pewnością to lepsze, niż żebyś narażała życie swoje i dziecka, przechodząc z powrotem do Nocnego Cienia. Kto wie, co by się wydarzyło teraz, gdy klątwa jest złamana? Twoje fizyczne ciało mogłoby nie przeżyć następnym razem.

– Jak? Czy mam go wezwać?

– Nie radzę. Anioły mogą się wtedy zdenerwować. Nie lubią, gdy zakłóca się ich egzystencję, zmuszając do rozmowy z niedouczonymi śmiertelnikami. Ale jeśli poznasz jego imię, mogę go dla ciebie znaleźć.

– Jak?

– Tak się składa, że mam zwierciadło wróżebne.

– Prosisz mnie, żebym wysledziła imię wyrodnego anielskiego tatusia Lustiny? Nie jestem pewna, czy coś może być bardziej niemożliwe.

Wzruszył ramionami, pyknął z fajki i wypuścił dym.

– Zacząłbym od imienia matki Lustiny.

– Ta kobieta żyła kilka wieków temu. Przecież go nie wygoogluję. Skąd, do diabła, mam je wziąć?

– Jesteś Lustiną, prawda?

Farryn

Minął tydzień od mojej wizyty u Xhiphiasa. Każdego dnia siadałam przy komputerze i szukałam informacji w internecie. Jakiegoś strzępka, który doprowadzi mnie do imienia matki Lustiny. Oczywiście niczego nie udało mi się znaleźć na temat samego miasta Praeepsia, oprócz dyskusji, czy w ogóle istniało. Artykuły, w których o nim wspomniano, mówiły też o Atlantydzie i innych niesławnych zaginionych miejscach.

Próbowałam medytacji, modlitwy, czegokolwiek, żeby tylko ustalić jej imię. Skłonić je do wyjścia ze wspomnień sięgających stulecia przed moimi narodzinami.

Nic.

Od tygodni niewiele sypiałam. Kładłam głowę na złożonych rękach, pozwalając oczom odpocząć po wielu godzinach wpatrywania się w ekran, ale błysk niebieskich tęczywek przemykający przez mój umysł sprawiał, że prostowałam się gwałtownie.

Działo się to za każdym razem, gdy opadały mi powieki. Widziałam go. Widziałam jego przeproszącą i zrezygnowaną twarz tuż przed tym, jak płomienie ogarnęły jego ciało.

Monitor komputera zamazywał mi się za zasłoną łez. Dziwne, że ciągle płynęły, skoro płakałam już od miesiący.

Jego widok tkwił jak zapętłony w mojej głowie, dręczył mnie wciąż tym samym okropnym końcem. Nadal czułam gorąco. I zapach płonącego ciała.

„Lustina!” – rozbrzmiał głos w moim uchu.

Zaskoczona tym dźwiękiem, rozejrzałam się po ciemnym pokoju, ale nie znalazłam nic poza Camael wciąż śpiącą w swoim zwyczajowym miejscu – na siedzisku pod oknem pomiędzy dwoma regałami z książkami.

– Lustino! Zobaczymy się znowu, moje słodkie dziecko! Zobaczę się z tobą w następnym życiu.

Płomienie. Krzyki. Wyciągające się ręce.

Tym razem widziałam nie Jericha, tylko kobietę o ognistorudych włosach.

Odważyłam się zamknąć oczy i pozwoliłam umysłowi wpłynąć w nieproszone rewiry myśli.

Skwierczenie ciała. Rude włosy stające w ogniu. Znów krzyki.

– Matko! – zawołałam nieświadomie i otworzyłam oczy.

Matko?

Widziałam już gdzieś kobietę z wizji. Jej twarz. Te włosy. Były znajome.

Gdzie to było?

Ogień. Rude włosy. Książki.

Księgarnia! Dziwna kobieta, która dała mi książkę. Ta, której imienia nie rozpoznała sprzedawczyni.

Jak ono brzmiało? Pukałam się palcem w skroń, zacisnęłam powieki, próbowałam przypomnieć sobie podane przez nią miano.

Miała je na końcu języka...

Catriona...

– Catriona – wyszeptałam.

I wtedy pojawiło się nowe wspomnienie.

Taniec na klepisku. Ujmuję ją za rękę. Śmiech.

– *Damo Lustino, czy wyświadczyłabyś mi ten zaszczyt i zatańczyła ze mną?*

– *Ależ oczywiście, damo Catriono. – Zachichotałam i ujęłam jej dłoń, a ona wirowała ze mną, aż straciłam równowagę od zawrotów głowy i poturlałam się na podłogę. Znow śmiech. – Czy naprawdę byłaś córką hrabiego, matko?*

– *Byłam. Hrabiego Kildare.*

Catriona. Córka hrabiego Kildare.

Wpisałam to imię w okienko wyszukiwarki. Jediną rzeczą, jaka wyskoczyła, był artykuł napisany przez historyczkę z Irlandii. Tekst ten wydawał się przedstawiać Catrionę jako zbuntowaną młodą kobietę, arystokratkę, bardziej dziką niż wyrafinowaną, która skrytykowała plan powieszenia dwóch niesławnych przestępców i podburzała innych przeciwko temu pomysłowi. W noc poprzedzającą egzekucję tajemniczo zniknęła wraz z jednym z przestępców, co uznano za jedno z najwcześniejszych zapisanych w kronikach porwań. Oczywiście niepotwierdzone, ponieważ nigdy jej nie znaleziono.

Gdy sprawdziłam datę publikacji, okazało się, że artykuł napisano na początku lat sześćdziesiątych. Czując grozę zalegającą mi ciężko w żołądku, wklepałam do wyszukiwarki nazwisko autorki. Czy wciąż żyła? Pamiętała w ogóle, że napisała tę przekłętą pracę? Trafiłam już w tyle rozczarowujących ślepych zaułków. Czy zniosę kolejny?

Wstrzymując oddech, kliknęłam przycisk wyszukiwania.



Dłonie mi się trzęsły, gdy podawałam Xhiphiasowi kartkę z imieniem anioła. Zupełnie jakby nie wystarczyło, że sprowadził mnie do upiornej piwnicy pod opuszczonym budynkiem, gdzie najwyraźniej trzymał zwierciadło wróżebne, to jeszcze każdy nerw w moim ciele sprawiał wrażenie podłączonego do prądu.

– Skąd je masz?

– Od historyczki z Irlandii. Najwyraźniej Catriona była ofiarą słynnego porwania sprzed stuleci. Młodą arystokratkę wykradł przestępca, którego próbowała uratować przed śmiercią.

– Porywacz jest aniołem?

– Nie jestem pewna. To jedyne powiązane z nią imię, które pojawiało się przed jej zniknięciem.

Xhiphias rozwinął świstek, na którym zapisałam imię pochodzące ze spisu osób skazanych przez króla na powieszenie.

– Ceallach O’Ruairc? Niełatwo to wymówić.

– Czy anioły zachowują imiona na całe życie?

– Zwykle nie w przypadku ich ziemskich imion. Ale jeśli kiedyś należało do niego i używał go, wciąż powinno zadziałać. – Prychnął i odsłonił obsydianowoczarne lustro oprawione w ozdobną złotą ramę. W świetle świec, które pozapalał w pomieszczeniu, dawało jedynie słabe odbicie. Na pewno nie chciałabym natknąć się na nie sama w ciemnej komnacie.

– Jesteś gotowa? – zapytał tuż obok mnie, jeszcze bardziej podrażniając moje nerwy.

Skinęłam szaleńczo i zatarłam spocone, zimne dłonie.

Zamknął oczy i obrócił się do lustra. Odchylił głowę w tył i wypowiedział po cichu melodyjne słowa, których nie zrozumiałam. Pyknął przeciągle z fajki trzymanej w dłoni i wydmuchnął dym w kierunku zwierciadła.

– Ceallach O’Ruairc.

Później usłyszałam kolejne obce słowa. Dym wydawał się wtapiać w czerń szkła, tworząc mgliste odbicie.

Znowu wypowiedział imię.

Dym w zwierciadle rozwiął się, ukazując wzburzone morze i statek. Załoga krzątała się przy wyciąganiu klatek do połowu, a fale uderzały o kadłub, kołysząc nim na niespokojnych wodach. Lustro zawęziło widok na wysokim i krzepkim mężczyźnie, który chodził po łodzi, tak jakby sztorm w ogóle mu nie przeszkadzał. Wyciągnął pustą klatkę i rzucił ją na stertę za sobą.

– Gabriel! – zawołał ktoś na pokładzie, a mężczyzna obrócił się i podszedł, żeby pomóc komuś, kto miał najwyraźniej kłopoty z równowagą. Znacznie niższy mężczyzna chwiał się, sięgając po jedną z lin, a gdy zarzuciło nim do przodu, za burtę, zakryłam dłonią usta, żeby zdusić krzyk. Osobnik imieniem Gabriel doskoczył do niego i chwycił go za stopę, zanim tamten znalazł się za daleko, po czym wciągnął na pokład.

– Wygląda na to, że obecnie jest znany jako Gabriel – powiedział Xhiphias obok mnie. – A jakie nosi nazwisko?

Scena zasnęła się dymem, powlekając lustro mglistą bielą, po czym znowu pojaśniała, ukazując artykuł z gazety. *Miejskowy mężczyzna ratuje marynarza podczas burzy*. Nie było zdjęcia, jedynie krótki tekst u dołu pierwszej strony. Jako bohater wymieniony został Gabriel Angelus.

Data pochodziła sprzed dwóch dni. „Tempest Cove Gazette”.

Puls mi przyspieszył, gdy możliwość zobaczenia się z Jerichem stała się bardziej namacalna niż jeszcze przed tygodniem.

– Mamy pewność, że to on?

– A zostało ci coś innego, Farryn? Czy też raczej: nawet jeśli nie, to co masz do stracenia?

Farryn

Deszcz uderzał w moją twarz, gdy wpatrywałam się w rozchwierutany szyld z napisem „The Shoal”. Przejechałam całą drogę z Chicago na małą rybacką wysepkę na wybrzeżu Massachusetts nazywaną Tempest Cove. Ponad szesnaście godzin samej jazdy. Miałam tylko nadzieję, że podróż nie okaże się stratą czasu.

Drzwi zaskrzypiały, gdy je pchnęłam. Dobiegła mnie woń smażonej ryby i zwietrzałego piwa. Gdy zdjęłam kaptur kurtki przeciwdeszczowej, kilka twarzy przy barze obróciło się ku mnie. Zignorowałam je, spuściłam wzrok i przesłam do jednego z boksów na tyłach, gdzie nikt nie siedział.

W ostatnich miesiącach zaczęłam ostrożniej podchodzić do ludzi, a szczególnie nerwowa stawałam się w miejscach publicznych i w tłumie. Wcisnęłam się do boksu, po czym poświęciłam chwilę, by uspokoić oddech, i przycisnęłam dłoń do brzucha, który jeszcze nie za bardzo się uwidaczniał.

– Oddychaj – wyszeptalam.

– Mogę coś ci podać, słonko? – Otworzyłam oczy i ujrzałam starszą kobietę stojącą przy mnie z papierosem zatknętym za ucho. Gdy tylko nawiązałam z nią kontakt wzrokowy, jej twarz się rozpromieniła. – Niemożliwe! – Jej komentarz sprawił, że się skuliłam, a nagle zainteresowanie uruchomiło we mnie dzwonki alarmowe. – Ojej, nie mogę przestać myśleć o tym, jak bardzo przypominasz mi moją siostrzenicę! – Obróciła się i kiwnęła do jednego z mężczyzn siedzących przy barze. – Mac, czy ona nie wygląda jak Isa?

– Zupełnie jak ona – zgodził się tamten, po czym podniósł piwo do ust.

Kobieta machnęła lekceważąco dłonią i pokręciła głową.

– Ach, nawet nie spojrział. Ale naprawdę wyglądasz jak ona. To komplement. – Nachyliła się tak blisko, że wzbudziło to mój niepokój, i obniżyła głos: – Ona jest właściwie jak arystokratka. Mieszka w zamku niczym jakaś księżniczka. Ale ludziom tutaj nie za bardzo podoba się jej książę. – Westchnęła i cofnęła łopatkę. – To co mogę ci podać?

Przez chwilę się zastanawiałam.

– Uhm... czy mogę poprosić wodę?

– Wodę? – Prychnęła śmiechem i wskazała okno. – Ten deszcz ci nie wystarczy? – Klepnęła mnie lekko w bark, na co napięły mi się mięśnie. Chyba zauważyła tę reakcję, bo dodała: – Tylko żartuję, słonko. Jesteś trochę nerwowa, co? Przyniosę ci wodę, jasne. A może chcesz coś zjeść? – Zerknęła na mój brzuch, po czym wróciła wzrokiem do mojej twarzy.

– Ja... potrzebna mi chwila. Żeby zdecydować. Co zjeść. – Prawdę mówiąc, w ostatnich miesiącach nie miałam szczególnego apetytu, co zapewne nie było dobre dla dziecka. Takie przyjemności jak jedzenie, zakupy czy życie wydawały mi się bezcelowe. Zupełnie jakby otaczający mnie świat nie zauważył, co stracił, gdy Jericho zniknął. Nie potrafiłam rozwikłać tajemnicy, jak mógł dalej normalnie funkcjonować.

– Jasne. Na pewno wszystko w porządku?

„Spytaj ją” – ponaglił mnie wewnętrzny głos.

– Ja... tak naprawdę to kogoś szukam. Zna pani może Gabriela Angelusa?

– Och tak! Gabe cały czas tu przychodzi! – Przekrzywiła szyję i zmarszczyła czoło. – Ale jeszcze go nie ma. Dziwne. – Znów spuściła wzrok na mój brzuch, na którym wciąż opierałam dłoń, i uniosła brew. – Wy dwoje chyba nie macie ze sobą nic wspólnego... nie, nieważne. – Uniosła ręce i pokręciła głową. – Nie moja sprawa. Zupełnie. Isa cały czas mi mówi, że powinnam dać sobie spokój z plotkami.

Z grzeczności zmusiłam się do uśmiechu.

– Czy może mi pani dać znać, jeśli wejdzie?

– Pewnie. Przyniosę ci wodę. – Uśmiechnęła się, mrugnęła i odeszła, zaraz jednak zawróciła. – Och! Jestem Midge. W razie gdybyś jednak zechciała coś zjeść.

– Midge. – Znow nieznacznie się uśmiechnęłam, choć tym razem wymagało to ode mnie więcej wysiłku. – Mam... cię po prostu zawołać?

– Ano! Tak to robimy tu, w The Shoal. – Zachichotała i ruszyła w stronę baru.

Siedziałam sama w boksie, zastanawiając się, czy nie popełniłam błędu. Kto, do diabła, jedzie tyle godzin tylko po to, żeby spotkać się z zupełnie nieznanym człowiekiem?

Z zewnątrz wpadł podmuch wiatru, mierzwiąc mi włosy, i poczułam coś dziwnego na skórze. Obróciłam się i ujrzałam wysokiego, krępego mężczyznę w czarnej czapce rybackiej i płaszczu bosmance z czarnej wełny. Choć miał zarośniętą i ogorzałą twarz, wydawał się przystojny w szorstki sposób i najwyraźniej był w znacznie lepszej formie od pozostałych mężczyzn w barze, o czym świadczyła jego solidna postura. Przeszedł prosto do jednego z boksów w pobliżu mojego.

Midge wróciła z wodą i nachyliła się do mnie.

– To właśnie Gabriel – wyszeptwała, wskazując na niego. – Nazywamy go Starym Wilkiem, nie do końca z powodu jego wieku. Nie jest zbyt przyjazny. Uważaj na siebie.

– Dziękuję.

Oparłam dłonie na stole i odetchnęłam głęboko. Dla Jericha.

Poczułam lekkie poruszenie w brzuchu i znow opuściłam tam dłoń. Każda książka na temat ciąży, jaką czytałam, mówiła mi, że nie czuję ruchów dziecka jeszcze przez kilka miesięcy, ale być może w przypadku Strażnika było inaczej. Ponieważ zawsze tak się działo, gdy o nim myślałam. Jedyną rzeczą, która ostatnio potrafiła wywołać szczerzy uśmiech na mojej twarzy, była świadomość, że dziedzictwo Jericha rośnie we mnie. Że on we mnie żyje.

Wstałam od stołu i nerwowym krokiem przeszłam wzdłuż rzędu boksów, aż znalazłam się przy tym, gdzie siedział odwrócony do mnie plecami mężczyzna. Gdy tkwił w stosunkowo małej przestrzeni, wydawał się jeszcze większy. Choć przepełniał mnie lęk, wcisnęłam się na ławę naprzeciwko niego, a on odchylił się w tył i spojrzał na mnie tak, jakbym postradała zmysły.

Może właśnie tak było.

– Zgubiłaś się? – Jego głos był tak ochryply, jak spodziewałam się po rybaku.

Problem w tym, że nie był rybakiem. Tylko liczącym setki lat aniołem przebranym za istotę ludzką. Potężniejszym niż burza wisząca nad morzem.

Oraz ojcem Lustiny.

– Myślę, że... możemy mieć wspólnego... przyjaciela.

Zmarszczył brwi i podrapał się po uchu.

– Przyszedł tu po pieniądze? Bo ja nic nie mam. Możesz wrócić i powiedzieć Mike'owi...

– Nie znam żadnego Mike'a – powiedziałam z nutą niecierpliwości. – I nie chcę pieniędzy.

– To czego chcesz?

Znow odetchnęłam głęboko i przełknęłam gulę, która podeszła mi do gardła.

– No? – ponaglił. – O co chodzi? Nie mam czasu.

– Wiem, że nie jesteś rybakiem – rzekłam cicho i rozejrzałam się po lokalu, czując ulgę, że nikt najwyraźniej nie zwraca na nas uwagi. – Wiem, że nie urodziłeś się w tych czasach. I wiem, że gdybym teraz zerwała ci koszulę z grzbietu, wyrosłyby ci skrzydła dwa razy szersze niż ten boks.

Przez chwilę przyglądał mi się czujnie. Miałam przy tym wrażenie narastającego zagrożenia i puls mi przyspieszył, gdy czekałam z niepewnością na jego reakcję.

I wtedy w małym barze rozbrzmiał wybuch śmiechu. Wzdrygnęłam się, a gdy znowu się rozejrzałam, zobaczyłam, że miejscowi się w nas wpatrują.

– Coś brałaś, kochanie? – spytał Gabriel.

– Nie. Nic nie brałam. Czy imię Catriona coś ci mówi?

Przenikliwie oczy się zmrużyły. Mężczyzna przesunął językiem po zębach.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Farryn Ravenshaw. Jestem odrodzoną Lustiną. Córką Catriony.

– Lustiną – powtórzył, jakby smakował to imię na języku. – Nie znam żadnej Lustiny.

– Znałeś jej matkę. Widzisz, skontaktowałam się z historyczką. Ekspertką od małej miejscowości w Irlandii, gdzie urodziła się Catriona. Ma parę interesujących zapisków. W tym spis imion. Przestępców, których miano powiesić na rozkaz króla. Tak się składa, że znalazłeś się na tej liście.

Jego wargi drgnęły tak, jakby chciał się uśmiechnąć.

– Nieźle. O jak odległej przeszłości mowa? Stulecia? Na pewno nie jesteś na jakichś ciężkich prochach?

Midge podeszła do stolika i postawiła przed nim piwo oraz bułkę z homarem. Sama czegoś takiego nigdy bym nie zjadła. Przesunęła na mnie wzrok i uniosła brwi, jakby milcząco pytała, czy wszystko w porządku.

Ściągnęłam wargi i skinęłam głową, a wtedy wycofała się w stronę baru.

– Słuchaj, długo tu jechałam – odezwałam się, gdy znów zostaliśmy sami. – Potrzebuję twojej pomocy.

Gabriel prychnął i podniósł kanapkę, żeby odgryźć pokąsany kęs.

– Przepraszam, ale nie zajmuję się działalnością dobroczynną – odpowiedział z pełnymi ustami.

Wtedy sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam kartkę, na której narysowałam symbol Pentacrux. Położyłam ją płasko na stoliku.

– Potrzebuję tłumaczenia tego sigilu.

Uniósł brew, spojrzał na rysunek i zmarszczył czoło. Pokręcił głową i przesunął kartkę w moją stronę.

– Nie.

– To nie będzie miało dla ciebie żadnego znaczenia, wiem. Ale ktoś, kogo znam, jest uwięziony w Ex Nihilo. Mój ojciec przetłumaczył ten kod wiele lat temu. Zajęło mu to dekady, a ja nie mam tyle czasu. – Położyłam dłonie na brzuchu, przyciągając tam jego wzrok. – Wiele by to dla mnie znaczyło, gdybyś jedynie powiedział mi, co się za tym kryje. W odpowiednim języku.

– Posłuchaj, chyba nie usłyszałaś mnie za pierwszym razem...

– Proszę. – Zdusiłam łzy i odchrząknęłam. – Od miesięcy nie zdołałam dłużej pospać bez wrażenia, że w moim pokoju roi się od istot, które chcą mnie dopaść. Widziałam rzeczy, jakich nie powinien oglądać żaden człowiek. W jakie nie uwierzyłaby większość osób z mojego rodzaju. Pytałeś, czy coś brałam? Odpowiedź brzmi: tak. Wzięłam na siebie wielki ciężar. I obawiam się, że pewnego dnia mnie on zmiażdży.

– Nie jesteś pierwszą kobietą, która urodzi nieślubne dziecko.

– Mówi to ktoś, kto obarczył inną kobietę swoim dzieckiem. Przeklętym.

Wzruszył ramionami, podniósł piwo i wysączył je jednym haustem.

– *C'est la vie*, rozumiesz?

– On jest Strażnikiem. Nie powinien znajdować się w Ex Nihilo.

Ugryzł kolejny kęs bułki, ale zaraz przestał przeżuwać. Wpatrywał się w dal nieobecny wzrokiem, jakby coś rozważał.

– Mimo to nikogo się stamtąd nie sprowadza. Niezależnie od wszystkiego. Trafia się tam z konkretnego powodu.

– Tak, jego powodem było moje życie. – Osunęłam się z powrotem na ławę, starając się nie rozkleić. Wymsknęło mi się gniewne prychnięcie. Coraz wyraźniej uświadamiałam sobie beznadziejność swoich wysiłków. – Nie zdołam nic powiedzieć ani zrobić, żeby przekonać cię do przetłumaczenia tego dla mnie?

– Może laskę? – Widząc wyraz odrazy na mojej twarzy, parsknął śmiechem. – Żartuję. No, chyba że miałybyś ochotę.

– Nie miałabym.

– Taa, i tak pewnie byś mnie ugryzła.

Rozejrzałam się po barze, a potem znów spojrzałam na niego.

– Czyli będziesz po prostu dalej wiodł takie życie. Ukrywasz się?

– Polowanie na dusze nie wygląda już tak jak kiedyś, cukiereczku. Kiedyś niektórzy potrafili równać całe miasta z ziemią. A zysk? – Pokręcił głową i gwizdnął. – Phi! Obecnie? Raz na jakiś czas dostaje się seryjnych zabójców. Zdarzają się masowe zabójstwa, ale o nie wszyscy walczą. Nie opłaca się.

– A gdybym podała ci imię. Kogoś, kto może być tego wart.

– Zależy, jakie to imię.

– Biskup Venable. Ten sam, który spalił Catrionę żywcem.

Jego wzrok się wyostriżył, zęby przygryzły wargę. Pociągnął nosem.

– Gdzie?

– Powiem ci, gdzie go znajdziesz, jeśli zgodzisz się przetłumaczyć to dla mnie.

– Wiesz, co to znaczy, prawda? Co się stanie, jeśli to zrobisz?

Wiedziałam. Xhiphias wyraźnie podkreślił kilka razy, zanim zdecydowałam się tu udać, jaką zapłacę za to cenę. Że jeśli sprowadzę Jericha z Ex Nihilo, w zasadzie popełnię akt zdrady przeciwko Niebiosom. Potępię swoją duszę i stanę się cambionem.

– Wciąż uważasz, że ci się to opłaca? – spytał Gabriel.

– A czy tobie opłaca się schwytanie zabójcy Catriony?

Brew mu drgnęła, jakby ta perspektywa go ekscytowała.

– Pokaż mi tę kartkę.

Obróciłam świstek w jego stronę, a on przykrył go dłonią.

– Gdyby ktoś pytał, jak to przetłumaczyłaś, lepiej nie wspominaj o mnie.

– Masz moje słowo.

– Musisz być kompletnie szaloną damulką, skoro decydujesz się jebać Niebiosą. Chyba naprawdę go kochasz.

Zduśliłam napływające do oczu łzy i skinęłam głową.

– Kochałam go całą wieczność.

Farryn

Sny sprawiły, że poderwałam się gwałtownie z cichym okrzykiem. Rozejrzałam się po ciemnej sypialni, ale dostrzegłam jedynie puste krzesło i zasłony powiewające na wietrze wpadającym przez otwarte okno.

Minęło kilka dni, odkąd odprawiłam rytuał przetłumaczony dla mnie przez Gabriela.

Popełniłam błąd?

Okłamał mnie?

Możliwość powrotu Jericha była jedyną rzeczą, jaka pozwalała mi tak długo trwać bez załamania się. Nie miałam innego planu. Nie poświęcałam myśli temu, co zrobię, jeśli to nie zadziała, bo musiało zadziałać. Musiało okazać się prawdziwe. Alternatywa kompletnie mnie przerażała.

Moją uwagę przykuł ruch za oknem. Coś czarnego drgnęło tak nagle, że zastanowiłam się, czy to nie znowu demony. Zimny, paraliżujący strach trzymał mnie w swoich szponach, dopóki Camael nie wskoczyła na łóżko i nie usiadła w jego nogach, miaucząc. Nie tak, jakby wyczuwała zagrożenie, tylko jakby się ze mną witała.

Zdenerwowana, wygrzebałam się z pościeli i podreptałam do okna. Odsunęłam zasłonę w samą porę, by dostrzec czarnego kruka wlatującego w noc.

– Sznyt... – wyszeptalam.

Nadzieja rozkwitła mi w piersi. Nie chciałam jej. Tak naprawdę głowa przekonywała mnie, żebym ją stłumiła. Miałam za sobą już tak wiele nocy, które skończyły się rozczarowaniem. Teraz było jednak inaczej. Widok ptaka stanowił znak. Liczyłam na to, że dobry. Obróciłam się na pięcie, przemknęłam przez pokój, żeby zgarnąć szlafrok, i pstryknęłam światło.

Nic. Nic pod łóżkiem, gdy pochyliłam się, żeby pod nie zajrzeć.

Kiedy sięgałam do klamki drzwi, zamknęłam oczy, nasłuchując jakichkolwiek odgłosów. Proszę.

Wyszłam na pusty korytarz i przeszukałam odchodzące od niego pokoje, schowki, łazienki. Zaglądałam pod łóżka i biurka. Każde pomieszczenie, w którym nie trafiałam na dowody obecności Jericha, przenikało moje serce bólem.

Obeszłam barierkę i zbiegłam po schodach na parter.

Nic w saloniku.

Nic w dawnym gabinecie ciotki Nelle.

I nic w salonie.

Nic. Nic. Nic.

Łzy nabiegły mi do oczu. Pokręciłam głową, przekonana, że widziałam Sznytę.

Nagle moją uwagę przykuł dźwięk. Dzwonki wietrzne, które zawiesiłam w przedsionku, żeby ostrzegały mnie przed obcymi. Napinając z niepokoju mięśnie, szybko skierowałam się do kuchni, zdając sobie sprawę, że jeśli to intruz, nie mam żadnej broni.

Gdy zbliżyłam się do drzwi, dostrzegłam ciemną sylwetkę i zatrzymałam się gwałtownie. Drżącą dłonią stłumiłam okrzyk szoku, po czym sięgnęłam do włącznika światła.

Wstrzymałam oddech.

Pstryknęłam światło.

Jericho opierał się o blat, nagi, obejmujący się rękoma, drżący. Srebrzyste tatuaże iskrzyły i migotały, jakby się poruszały. Opaska, którą zwykle zakrywał uszkodzone oko, zniknęła, i widać było makabrycznie zaszyty oczodół.

Przez chwilę nie byłam w stanie się poruszyć. Zaczerpnąć tchu. W klatce piersiowej czułam taki nacisk, że bałam się, by nie eksplodowała. Zamknęłam oczy, modląc się, żeby wciąż tam był, gdy znowu je otworzę.

I ku mojej absolutnej radości był.

Tylko że coś wydawało się nie w porządku.

– Jericho? – Gdy podeszłam do niego, odsunął się i wtedy dojrzałam wyraźnie, że jest w szoku.

Drgawki się nasiliły, jego skóra stała się bledsza.

Przewrócił się na podłogę, a ja doskoczyłam do niego i wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jego barku.

Wyładowanie elektryczne przemknęło pomiędzy moimi opuszkami i odskoczyłam, cofając dłoń.

– Cholera... – Jasne błyskawice tańczyły po nim, gdy leżał. – Jericho!

Tak bardzo pragnęłam go przytulić, ale nie mogłam. Zamiast tego trzymałam dłonie ponad jego ciałem, czując się beużyteczna.

Wrócił do mnie, a ja nawet nie byłam w stanie go dotknąć.

Dyszając ciężko w panice, wpatrywałam się w jego dłoń, dygoczącą niekontrolowanie przy jego twarzy. Położyłam sobie palce na brzuchu i zamknęłam oczy.

Proszę, nie skrzywdź dziecka.

Odważyłam się znowu go dotknąć.

Przetoczył się przeze mnie ból, ale ścisnęłam jego palce i nie puszczałam ich.

Dziecko poruszyło się w moim brzuchu. A gdy zmniejszyłam uścisk, zamierzając puścić, ból zelżał.

Zostały jedynie niewygasające drgawki.

Jericho otworzył oko, które było bardziej niebieskie niż wcześniej. Jaskrawoniebieskie, zaś źrenica zmniejszyła się tak mocno, że niemal w ogóle nie było jej widać. Gdy uniósł brew, zaczęłam się modlić, żeby oznaczało to, że mnie rozpoznał.

Jego skóra wydawała się zimna. Tak zimna, że zastanawiałam się, czy jest w nim choć odrobina ciepła.

– Musimy cię rozgrzać – wyszeptałam, ciągnąc go za rękę.

Z pewnym oporem usiadł, a później pozwolił, żebym pomogła mu wstać na nogi. Poprowadziłam go z kuchni na piętro. Drewniane schody skrzypiały pod jego ciężarem, a gdy się potknął, potrzebowałam całej swojej siły, żeby powstrzymać go przed upadkiem.

Wreszcie dotarliśmy do małej łazienki, która stała się jeszcze ciasniejsza, gdy wszedł do środka, blokując mnie pomiędzy staroświecką wanną z prysznicem a drzwiami. Odkręciłam wodę i pozwoliłam jej lecieć, aż para wzniosła się ponad zasłonkę, a później wyregulowałam temperaturę, żeby się nie oparzył.

Wzięłam go za rękę i pomogłam mu wejść do wody. W chwili, gdy poczuł na sobie strumień, wciągnął gwałtownie powietrze, napiął mięśnie i stał jak skamieniały, jakby nie mógł się ruszyć. Tańczyły po nim iskry elektryczności, a szczeliny na plecach, które pozostały mu po skrzydłach, rozszerzały się i kurczyły przy każdym oddechu niczym skrzela. Skupiłam się na doznaniu jego skóry pod dłonią. Na namacalności jego ciała. Przeszła przeze mnie fala emocji, a jego sylwetka rozmasała się za zasłoną łez.

Ogarnij się, Farryn.

To był on. Tutaj. Pod moim jebanym prysznicem z żółknącymi kafelkami i lekkim zapachem wybielacza po niedawnym sprzątaniu.

Zbłąkane kropelki wody pryskały mi na twarz, mieszając się z łzami spływającymi po moich policzkach. Ostrożnie rozcierałam mu plecy, by jego skóra wchłaniała ciepło prysznica, lecz przerwałam, widząc błysk na jego lewym boku. Oparzenie w miejscu, gdzie w noc jego śmierci ugodziła go błyskawica Drystana, zaczęło zalecać się na moich oczach. Krawędzie rany zbiegły się, zamykając bez śladu. Gdy przesunęłam palcem po gładkiej powierzchni, aż musiałam się zastanowić, czy w ogóle coś tam wcześniej było. Inne liczne blizny rozrzucone pod i pomiędzy tatuażami na jego plecach musiały zostać zadane przez coś, co nie pozwoliło im się uleczyć.

Było ich tak wiele.

Gdy już go umyłam, a jego skóra wydawała się cieplejsza, zakręciłam wodę i zgarnęłam ręcznik z pobliskiej półki. Zostawiłam Jericha w ciepłocie zaparowanej łazienki, by sprawdzić, czy w pudłach należących do mojego ojca znajdzie się coś, co by na niego pasowało, choć były na to małe szanse.

Przerzuciłam zawartość nieotwartych dotąd kartonów, pachnących nieco naftaliną, i zdołałam wygrzebać starą koszulkę uniwersytetu Yale oraz parę szarych spodni dresowych, które zapewne okażą się za duże dla wąskiej talii Jericha. Na szczęście można je było ściągnąć sznurkiem.

Gdy wróciłam do łazienki, drzwi stały otworem, a w środku nikogo nie było. Skłamałabym, mówiąc, że nie poczułam paniki, ale gdy udałam się do swojej sypialni, zobaczyłem, że Jericho stoi na środku

z ręcznikiem owiniętym wokół bioder, a jego ciało lśni od wilgoci skapującej z włosów.

– Ja... przyniosłam ci coś do ubrania. – Położyłam rzeczy na krześle, zauważając, że lekko drżą mi dłonie. – Pewnie nie będą pasować, ale... Hej, jesteś głodny?

Uporczywe milczenie kazało mi się zastanawiać, czy w ogóle potrafi wciąż jeszcze mówić. Obrócił się do mnie, a jego oko nadal wydawało się jaśniejsze, niż zapamiętałam. Gdy przesuwiał po mnie wzrokiem, pierś unosiła mu się i opadała od krótkich oddechów. Zupełnie jakby przyglądał mi się pierwszy raz, na jego twarzy pojawiła się panika wskazująca mi, że nie ufa temu, co widzi. Ściągnął brwi w zdezorientowaniu i przez chwilę miał nieobecne spojrzenie, jakby jakieś wspomnienie przykuło jego uwagę. W jego oku pojawiło się coś mroczniejszego i dopiero gdy podszedł bliżej, uświadomiłam sobie, że rozszerzyła mu się źrenica, sprawiając, że wyglądał dziko. Zwierzęco.

– Moje skrzydła. Nie mogę przywołać skrzydeł. – Ten głos. Ten piękny, głęboki, gardłowy głos. Jakże za nim tęskniłam.

– Uhm... Chyba nie. Zostały odcięte. Tamtej nocy. – Głos zadrżał mi na ostatnim słowie. Tak wyraźnie to sobie przypominałam, że oczy zapiekły mnie, grożąc kolejnymi łzami.

Stał zamysłony. Zadumany. Nieodgadniony wyraz jego twarzy rodził w moim umyśle milion pytań.

– Jericho? – Kręciłam nerwowo palcami, nie wiedząc, co powiedzieć ani zrobić. Pragnęłam mu pomóc, ale nie miałam pojęcia, co czuje. Szok? Złość z powodu skrzydeł? Ulgę, że wrócił?

Zanim zdążyłam się przygotować, skoczył ku mnie niemożliwie szybko i docisnął mnie do ściany. Szaleńcze, zdesperowane, ciepłe wargi odszukały moje gardło, a gdy musnął zębami mój obojczyk, od natłoku doznań zakręciło mi się w głowie. Przesunął nosem wzdłuż mojej szyi, wachając mnie. Wczepił szorstkie palce w moje włosy, jakby się bał, że mu ucieknę. Zagarnął moje wargi. Ani delikatnie, ani słodko – całował mnie tak, jakby był rozgniewany. Brutalnie. Karząc mnie.

Nie wiedziałam, co się dzieje. I wcale nie przejmowałam się tym, że jest zły.

Całowałam go z taką samą mściwą mocą. Chwycałam jego wargę zębami i przygryzałam. Wbiłam mu paznokcie w skórę głowy.

Rąbek koszuli nocnej łaskotał mnie w nogi, gdy zadzierał mi ją do brzucha. Palce wcisnęły się pod skraj majtek. Zerwał je ze mnie bezwzględnie i odrzucił na bok. Jego barki zgarbiły się pod moimi dłońmi, mięśnie dygotały z napięcia. Zrzucił z siebie ręcznik i przycisnął swój członek do mojej nagiej płci, jakby mi w ten sposób groził. Przesuwiał jego zakończeniem po mojej szparce w górę i w dół, drżąc z czegoś, co, jak się domyślałam, mogło być wstrzymywaną wściekłością. W stosunku do mnie?

Ładunki tańczące przy każdym powolnym, dręczącym przeciągnięciu na jego członku w cudowny sposób wywoływały mrowienie mojego nazbyt wrażliwego ciała. Słaba i upojona pożądaniem, przywarłam pośladkami do ściany, pragnąc poczuć go w sobie.

Szturchnięcie jego koniuszkiem okazało się jedynym ostrzeżeniem, zanim wbił się we mnie mocno, a ja wydałam z siebie głośne jęknięcie. Mogłam mu przypomnieć, że noszę w sobie jego dziecko, żeby był delikatniejszy, łagodniejszy. Ale nie chciałam delikatniej ani łagodniej. Świat mógł traktować mnie tak, jakbym była słaba, krucha i wrażliwa, ale niech będę przeklęta, jeśli i jemu na to pozwolę. Bo ja również byłam zła. Zła na czas, jaki na niego straciłam. Zła na łzy, które wypłakałam. Na troski, bezsenne noce, beznadzieję i ból. Gdy wjeżdżał we mnie bez zahamowań, wbiłam mu palce w ciało i wgryzałam się mocno w jego bark. Podobnie jak wstęgi i stal, ja byłam giętka, on sztywny.

Warknął, chwycił moją szyję zębami i wbił się jeszcze głębiej. Tak głęboko, że mogłam przysiąc, iż się przeze mnie przedrze.

Och, Boże, bolało, ale nie przejmowałam się tym. Chciałam tego. Chciałam jego. Nawet jeśli musiałam wziąć na siebie jego furię i wściekłość, zupełnie mnie to w tym momencie nie obchodziło. Tęskniłam za nim. Za jego dotykiem. Jego zapachem. Za wszystkim.

Wcisnął twarz w moją szyję, otoczył mnie rękoma tak mocno, że ledwo mogłam odetchnąć, i pierdolił mnie pod ścianą jak jeleń podczas rui.

Nie potrzebowałam wiele, by nawilżyć swoim podnieceniem każdy jego ruch. Musiałam być chora, skoro pozwalałam, żeby brał mnie w taki sposób.

Skoro mi się to podobało.

A podobało się. Rozkoszowałam się każdym centymetrem, który chciał mi dawać.

Zacisnął mi dłoń na szyi na tyle mocno, że rozchyliłam wargi.

– Kto to przetłumaczył? – Wywarczał te słowa, wciąż się we mnie wbijając.

Był w błędzie, jeśli sądził, że podam mu imię.

– Nikt...

– Kto. To. Kurwa. Przetłumaczył? – Ścisnął mocniej, jedną dłoń trzymał mi na gardle, drugą zarzucił sobie moje udo na biodro. Pełnia jego kutasa zatopionego głęboko w moim wnętrzu w połączeniu z otępiającym niedostatkim tlenu składała się na wspaniałe toksyczną mieszaninę.

– To nie ma... – Oddech rwał mi się w piersi przy bezlitosnych pchnięciach jego bioder. – Znaczenia... – Kolejne pchnięcie. – Już teraz.

Gdy jęknęłam, zadygotał we mnie i przyspieszył tempa.

– Kurwa. Kurwa! – Puścił moją szyję, otoczył się w pasie moimi nogami i przyciskał mnie do ściany, wbijając się we mnie z zacieklą determinacją. – Uparciuch – wycedził.

Odchyliłam głowę w tył, skupiając się na iskierkach elektryczności ogrzewających mnie od środka, na intensywnych wibracjach łaskoczących moje jestestwo. Czułam się delirycznie dobrze. Przygryzając wargę, oparłam potylicę o ścianę i znowu jęknęłam. Uda dygotały mi wokół niego, zaciskając się mocno. Wpadłam w bezmyślną, wspaniałą rozkosz, moje ciało poddawało się każdemu jego kaprysowi. Gdy wbijałam mu palce pod łopatki, czułam, jak jego mięśnie naprężają się pod moimi opuszkami. Elektryczność musiała wsączać się we mnie z miejsc, gdzie dawniej miał skrzydła, i ładunki wzmacniały mój zmysł dotyku.

Chwycił mój nadgarstek i przycisnął go mocno do ściany. Jego gorący oddech muskał mi skórę. Uwięziona w nim złość wlewała się we mnie z każdym pchnięciem, aż ścisnęło mi żołądek i zrobiłam się zupełnie mokra.

Szarpnęłam się, gdy ogarnął mnie orgazm. Rozbijały się we mnie kolejne fale spełnienia. Jericho spał się i zadrzał, a później pociągnął mnie tak silnie za włosy, że bałam się, iż mi je wyrwie. Gorące strumienie spermy wystrzeliły we mnie, by zaraz spłynąć mi po udzie.

Pozostał bez ruchu w moim wnętrzu. Jedyne oddychał. Głęboko i ciężko, dając świadectwo temu, że oboje wciąż jesteśmy jak najbardziej żywi.

– Powiedz mi, że nie zrobiłem ci krzywdy. – Choć miał chrapliwy, rozwlekły głos, wyraźnie słychać w nim było skruchy. – Kurwa mać, jeśli cię skrzywdziłam, to...

– Nie skrzywdziłeś mnie. – Jakby cokolwiek mogło mi teraz zagrozić. To, co w tym momencie czułam, było dalekie od bólu. Czułam ulgę. Taką ulgę, która kazała mi osunąć się na niego.

Wsunął mi dłoń we włosy i ścisnął, odchylając mi głowę do pocałunku. Zwykłego pocałunku, a jednak w żołądku zatrzepotało mi tak, jakby wystrzelił we mnie z armaty wypełnionej motylami.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Odpowiedź była całkiem prosta, ale jego pytanie sprawiło, że ogarnęły mnie sprzeczne emocje. Nie wiedziałam, co czuć. Chciałam być twarda i powiedzieć mu, żeby szedł do diabła, skoro zadaje tak głupie pytania, ale oboje już przez to przeszliśmy.

– Jak to dlaczego?

– Skazałaś swoją duszę, żeby sprowadzić mnie z powrotem.

– A ty nie zrobiłbyś tego samego?

Uniósł głowę znad mojej szyi, warknął i chwycił mnie pod brodę.

– Wiesz, że bym zrobił. Ale tu chodzi o ciebie. Nie o mnie. – Gdy ze mnie wyszedł, poczułam, jak chłód rozłączenia mrozi mi skórę. Intymność i dotyk, za którymi tęskniłam, zostały mi wyrwane, jakby porwała je zimowa burza. Rąbek koszuli nocnej opadł mi na nogi. Jericho ujął swój odsłonięty członek, skinął na mój brzuch i zmarszczył brwi. – W chwili, gdy to dziecko się urodzi, staniesz się cambionem. I będą na ciebie polować.

Coś zimnego i mrocznego poruszyło się we mnie. Gorycz, na którą nie było w tym momencie miejsca, ale nie potrafiłam jej przełknąć. Nie potrafiłam jej zdusić. Zbyt wiele wstrzymywanych myśli ścierało się jednocześnie w mojej głowie.

– Polowano na mnie przez całe życie. I wiesz co? Nie tylko ty możesz złożyć się w ofierze.

Przeciągnął dłonią po twarzy, kierując moją uwagę na mięśnie swoich ramion. Jak bardzo chciałam, jak bardzo potrzebowałam, żeby mnie nimi otoczył. Pragnęłam poczuć ich uspokajające objęcia.

– Ja wybrałem swój los.

– Tak słyszałam. Cóż, ja też swój wybrałam. – Widząc to irytujące, nieugięte spojrzenie, które

najwyraźniej doprowadził do perfekcji nawet po śmierci, pokręciłam głową. – Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co wycierpiałeś od tamtej nocy. Nie chcę myśleć o samotności, strachu, beznadziei. Ale ja też cierpiałam. I choć w moim przypadku odbywało się to w świetle dnia, w ciągłym otoczeniu hałasu i życia, nie było wcale mniej wyniszczające.

Wzdrygnął się, zupełnie jakbym uświadomiła mu coś, z czego nie zdawał sobie dotąd sprawy.

– Przez tak wiele nocy wracał do mnie w snach wyraz twojej twarzy tuż przed tym, zanim pochłonęły cię płomienie. – Nie mogłam znieść tego, że oczy pieką mnie od łez, że ryzykuję poddanie się emocjom, gdy kipią we mnie złość i frustracja. – Budziłam się z krzykiem i szukałam cię w ciemności. Szukałam zapewnienia, że był to jedynie koszmar. I każdej nocy od miesięcy stawałam w obliczu paraliżującej rzeczywistości, że naprawdę cię nie ma. – Nawet gdy wpatrywałam się w niego, stojącego na środku mojej sypialni, czułam, jak ogarnia mnie ten sam lęk co wcześniej, strach, który stał się równie nieodłączną częścią mojego życia jak oddychanie. – Każdego dnia na nowo przeżywałam tamtą chwilę na urwisku. Każdego dnia czułam na skórze żar tych płomieni i wykręcający wnętrze zapach twojego płonącego ciała. – Pękałam. W końcu zalałam się łzami i nieważne, jak szybko je ocierałam, płynęły następne. – Zatem nie pytaj mnie dlaczego! Skazałabym swoją duszę po tysiącokroć, gdyby tylko oznaczało to twój powrót!

Miesiące rozpaczy sprawiły, że z piersi wyrwał mi się szloch. Gdy z powodu bólu poczułam, że słabną mi kolana, Jericho wyciągnął ręce i wziął mnie w ramiona. Po raz pierwszy od dawna czułam się nieważka. Jego ciepło i siła, które oplakiwałam zbyt wiele czasu, w jakiś sposób przesączały mi się pod skórę. To jakbym wyszła znowu na światło słoneczne po godzinach, dniach, miesiącach zupełnej ciemności. Ścisnęłam go mocniej i moje ciało, dotąd drżące, teraz zaczęło się w pełni telepać. Nie z zimna, tylko ze strachu. Duszącego strachu, że on znowu może w każdej chwili wyslizgnąć mi się z rąk, jeśli nie będę go tuliła jak dziecko.

Kiedys, niedawno, zastanawiałam się, co byłabym gotowa dla kogoś poświęcić. Co byłabym gotowa oddać w zamian za jedną chwilę. Pomijając życie, które teraz w sobie nosiłam, odpowiedź brzmiała: wszystko.

Tyle lat desperacko próbowałam zrozumieć obsesję ojca, jego ból, jego cierpienie po śmierci matki, i teraz wreszcie w pełni je pojmowałam. Potrzeba było życia Jericha, patrzenia, jak umyka z niego ono na moich oczach, żebym uświadomiła sobie, jak bardzo go kocham. I jak absolutnie wyniszczające i wrażliwe może być serce.

– Nie miałam innego wyboru. – Napięłam szczęki, uparta i niewzruszona w swoim postanowieniu. W końcu to swoją duszę skazałam na potępienie. Nie jego. – Oddałam moją duszę, ty oddałeś skrzydła i umarłeś. Moim zdaniem jesteśmy kwita.

Wsunął palec pod moją brodę. Uniósł moją twarz ku swojej, a mój gniewny grymas rozmył się, gdy wpatrywałam się w zaciekle, niebieskie jak zima oko.

– Nigdy nie chciałem zostawić cię samej, Farryn. Oddanie skrzydeł było jedynym sposobem, żebym mógł do ciebie dotrzeć.

– Wiem, dlaczego to zrobiłeś. Ale nie zamierzałam zaakceptować, że odszedłeś. Powtarzałam sobie, że z czasem robi się łatwiej, ale dni stawały się tylko coraz mroczniejsze. I w końcu nie potrafiłam już dostrzegać światła. Żyłam w galaktyce pozbawionej gwiazd, dryfowałam w absolutnie czarnej, zimnej pustce z nadzieją, że znów odnajdę życie. Zatem nie bądź na mnie zły. Proszę. – Podniosłam rękę, żeby ująć jego twarz, ale się zawahałam.

Chwycił moją dłoń i przyłożył ją sobie do policzka, na chwilę zamykając oko.

– Nie jestem w stanie powiedzieć ci, jak bardzo tęskniłem za twoim dotykiem. – Opuścił moje palce do swoich warg i pocałował je. – Żadne piekło nie jest gorsze niż brak ciebie.

Położył mi dłoń na brzuchu, na jego wciąż płaskiej powierzchni kryjącej jego dziecko. Zupełnie jakby wyczuło jego obecność, kopnęło, a Jericho uśmiechnął się i na ten widok cały mój świat stanął w płomieniach.

– W jakiś sposób cię poznało – rzekłam z uśmiechem. – Spodziewałam się, że jeszcze przez kilka miesięcy nie będę czuła jego ruchów, a jednak czuję wszystko. Zwłaszcza gdy myślę lub mówię o tobie.

Opadł przede mną na kolana, wcisnął twarz w moją koszulę nocną i pocałował mnie w brzuch.

– Hej, maleństwo. Wygląda na to, że sporo ci się urosło przez ostatnich kilka miesięcy. Szkoda, że nie możesz zobaczyć, jak piękna jest teraz twoja matka. Jak absolutnie olśniewająca. – Uniósł wzrok do moich oczu, a później znów skupił się na brzuchu. – Posłuchaj mojego głosu. Zapamiętaj go. Bo gdy się spotkamy, chcę, żebyś wiedziało, że to twój ojciec spogląda na ciebie z zachwytem. – Znowu pocałował mnie w brzuch i przycisnął do siebie.

W klatce piersiowej pulsował mi ból, a w oczach znowu wezbrały łzy. Czy można czuć zbyt wiele miłości? Umrzeć z wewnętrznego nacisku na pierś tak wielkiego, tak wszechogarniającego? Zupełnie jakby moje serce zostało na nowo zszyte grubszymi szwami. Znowu czułam, że we mnie bije. Silniej niż wcześniej.

Jericho podniósł się na nogi, wziął mnie w ramiona i zaniósł na łóżko, gdzie oparł mnie o poduszki. Delikatną dłonią ujął mnie pod brodę i pocałował z tą rozpaloną do białości namiętnością, od której robiłam się w środku miękka i słaba.

Wspiął się na łóżko za mną i przytulił mnie do siebie. Przez chwilę świat znowu wydawał się cały, nawet jeśli żadne z nas już nigdy całe nie będzie. Na razie pęknięcia w moim sercu się zasklepiły, a ból złagodniał. Niemniej, pomimo zadowolenia i błogości, pod tym wszystkim wciąż utrzymywał się ponury podtekst. Nie zapomniałam, jak wiele straciliśmy, jak wiele zmieniło się w tak krótkim czasie. Jak łatwo można odebrać życie. Zdusić je.

Każda chwila z nim była darem. Każda sekunda, która nie kończyła się przerażającym krzykiem i pustym pokojem, stanowiła błogosławieństwo, którego już nigdy nie będę brała za pewnik. Wtuliłam się w niego, wdychałam zapach jego skóry i słuchałam miarowego, uspokajającego bicia jego serca. Dźwięku, za którym tak tęskniłam.

– Będą tu na ciebie polować. – Lekko niczym piórkiem muskał palcami mój kręgosłup. – Strażnicy. Gdy staniesz się cambionem, nie będą mieli powodu, żeby pozwolić ci dalej żyć. Przyjdą też po mnie.

– To miał na myśli Drystan. Gdy mówił, że to nie koniec.

– Tak. Zakpiłem z nich, wracając z Ex Nihilo. – Wciąż pieścił moje plecy, ale zmarszczył brwi w zamyśleniu. – Nie zapomną o tym. Ale ja znajdę sposób. Lukę pozwalającą odkupić twoją duszę.

– Jak?

– Odszukam demona, który zostanie jej właścicielem, gdy się przemienisz.

– Demona, który zostanie jej właścicielem? Jak... właścicielem niewolników?

– Tak. I w zależności od tego, kto nim będzie, może to okazać się gorsze niż samo Piekło. Z nim i Strażnikami będzie mnóstwo popieprzonej roboty.

– Już się nie boję po tym, przez co przeszliśmy w ostatnich miesiącach.

Ze znużonym uśmiechem ujął mój policzek.

– Moja niebezpieczna mała Tu'nazhja. – Jego uśmiech zgasł, wyparty przez poważniejszą minę. – Choć Pentacrux byli niemałym zagrożeniem, obawiam się, że bledną w porównaniu ze Strażnikami.

– Nie żałuję tego, co zrobiłam. Nigdy nie będę żałowała mojej miłości do ciebie. – Przesunęłam kciukiem po jego dolnej wardze i patrzyłam, jak go całuje. – Drystan mówił, że komuś z nich na tobie zależy. To dlatego mnie porwali. Żeby przekazać mnie temu komuś i w ten sposób cię skrzywdzić.

– Nigdy cię nie dostaną, dopóki oddycham. Jeśli przyjdą, zginą co do jednego.

– Mimo że nie masz skrzydeł?

– Została mi większość mocy. Wciąż czuję płynącą przeze mnie energię. Jest słaba, ale gdy się wyleczę, stanie się silniejsza.

– Nie stracę cię znowu. Ani dla nich, ani dla nikogo. – Podparłam się na łokciu, wpatrując w niego. – Wróćmy. Do Nocnego Cienia. Znajdziemy mojego ojca. Z tego, co mówił Drystan, to on przetłumaczył Omni. Może przywrócić ci skrzydła.

– Byłabyś gotowa opuścić to miejsce? Swoje dom? Swoje życie?

– To nie jest mój dom. A moje życie jest przy tobie.

– Nawet jeśli zdołamy go odnaleźć, szansa, że twój ojciec pamięta cały swój dorobek, jest niewielka. – Gdy się ode mnie odwrócił, przycisnęłam mu dłoń do policzka i obróciłam jego twarz z powrotem do mnie.

– Czy tylko Upadły może odwrócić czas i sprowadzić go z powrotem?

– Ja również to potrafię. Ale nie wiem, co to oznacza dla ciebie i dla mnie. Jeśli twój ojciec wróci do chwili, zanim odnalazł mnie w Nocnym Cieniu, może dojść do tego, że wszystko, co zdarzyło się pomiędzy nami, zostanie zniweczone. Zbyt wiele rzeczy było powiązanych z jego obecnością tam. To właśnie dlatego sama szukałaś Nocnego Cienia.

Położyłam sobie dłoń na brzuchu i zmarszczyłam brwi.

– Wszystko zostałoby zniweczone?

Nakrył moją dłoń.

– Tak.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić czegoś takiego. Tak wiele zdarzyło się w tak krótkim czasie. Czułam młodości na myśl o tym, że gdyby Drystan zdołał odszukać mojego ojca jako pierwszy, mógłby znaleźć sposób, by z nim wrócić. I wszystko wymazać.

– Nawet jeśli nie odwrócimy czasu i nie sprowadzimy go, lepiej go odszukać, niż siedzieć tutaj bezczynnie i czekać, aż tamci nas dopadną.

Jericho prychnął i odsunął mi z twarzy kosmyk włosów, zakładając go za ucho.

– Na pewno tam byłoby łatwiej cię chronić. Zapewnić bezpieczeństwo tobie i dziecku.

– Czy przejście może zrobić mu krzywdę?

– Nie. Ochronię was oboje.

– Nie potrzebujesz do tego skrzydeł?

– To nie same skrzydła zapewniały ci ochronę, tylko płynący przez nie prąd.

– Chcesz powiedzieć, że elektryczność zabezpieczy mnie przed rozproszeniem się w powietrzu?

Jego wargi wykrzywiły się w uśmiechu.

– Chodzi o coś więcej niż elektryczność, kochanie. To *vitaeilim*. Krew aniołów. – Podobnie jak przed chwilą, jego uśmiech spoważniał. – Bez skrzydeł będę jednak potrzebował innej metody przenikania pomiędzy płaszczyznami.

– Czyli?

– Wody. Choć twoje ciało pozostanie nietknięte, istnieje prawdopodobieństwo, że gdybyś spanikowała, możesz utonąć.

– Nic nie może być proste, prawda? – Przesunęłam dłonią po włosach, wzdychając z irytacją, a potem pokręciłam głową. – Nieważne. I tak to zrobię. Wolę to, niż czekać, aż mnie dopadną. Wrócimy i znajdziemy mojego ojca.

Wyciągnął rękę i chwycił mnie za kark, po czym mocno go ścisnął.

– Po prostu musisz mi zaufać. Zaufać, że nigdy bym cię nie skrzywdził.

– Zawsze.

Kącik jego ust znów wykrzywił się w uśmiechu.

– Zatem zabiorę cię do domu. – Otoczył mnie ramionami, wciągnął na siebie i posadził na swoim twardym brzuchu. – Na bogów, jesteś obrazem perfekcji.

Uśmiechnęłam się, czując, jak ciepło wypływa mi na policzki.

– Chyba musisz przeddefiniować znaczenie perfekcji.

– Nie, mała Tu'nazhjo. To ty musisz przeddefiniować jej znaczenie. – Przyciągnął mnie za rękę, przycisnął do siebie i otoczył ciepłym uściskiem. A potem złapał mnie za włosy i całował tak, że brakowało mi tchu, trzymał mnie tak mocno, że nie mogłam się ruszyć. – Nie mogę znów być bez ciebie – wydyszał tuż przed tym, jak zatopił zęby w mojej szyi i na nowo wciągnął mnie w przestrzeń, w której mogłam go już tylko pragnąć.

Trzymając jedną dłoń na mojej szyi, drugą ujął obolałą pierś. Silna, dogłębna pieśczoła wyzwalała we mnie fale ekstazy i wyprężyłam się ku niemu, domagając się więcej.

– Kryje się we mnie przemoc, Farryn. Toksyczna trucizna, która potrzebuje ujścia. Jesteś ostrzem dla moich żył. Spokojem dla burzy, która nigdy nie przestaje szaleć. Zawsze byłaś. – Pocałował miejsce, które dopiero co ugryzł. – Boję się, co by się ze mną stało przez te skłonności do przemocy, gdyby nie ty. Jesteś jedynym, co mnie uspokaja.

– I donikąd się nie wybieram.

– Nie. Nie wybierasz się. – Wplótł mi palce we włosy, a drugą ręką złapał mnie za tyłek i naparł na mnie swoim znowu twardym członkiem. – Będziemy wzajemnie żerować na swoich ranach. Będziemy się pieprzyć, dopóki nie zniknie cały ból. Dopiero wtedy uwolnimy się od niego.

Pijana z pożądania, zamknęłam oczy i odchyliłam głowę w tył, delektując się obrazem, jaki zasiał w moim umyśle.

Gdy znowu uniosłam powieki, oddech nagle uwiązał mi w gardle, bo ujrzałam ładunki elektryczne tańczące mu po niebieskim oku.

– Nawet jeśli nie zdołam odzyskać skrzydeł i nigdy nie stanę się znowu w pełni cały, to gdy przyjdą po nas, będę o ciebie walczył. Będę walczył aż do ostatniego tchu i raz za razem oddam wszystko dla ciebie. Wyłącznie dla ciebie – oznajmił głosem tak zdecydowanym, że nie pozostawiał miejsca na wątpliwości.

Łzy znowu podeszły mi do oczu.

– Nie pozwoliłabym ci.

Gdy jedna spłynęła mi na policzek, starł ją kciukiem.

– Moja miłość do ciebie nigdy nie zgaśnie. Nawet gdy ten nędzny świat przestanie istnieć, a słońce umrze, ustępując niekończącej się ciemności. Moje życie i moja dusza są twoje na wieczność.

– A moje życie i dusza są twoje. – Przycisnęłam wargi do jego warg, przypieczętowując w sercu przysięgę. – Ta miłość przetrwała stulecia. Nieważne, co się wydarzy ani kto próbuje nas rozdzielić, będziemy w tym razem.

Podziękowania

Ze wszystkich książek, które dotąd napisałam, ta okazała się chyba największym wyzwaniem, opartym na tak wielu rzeczach, które działy się w prawdziwym życiu. Pierwszy szkic był absolutną katastrofą – bardzo precyzyjnym odbiciem tego, jak przez wiele miesięcy musiało wyglądać wnętrze mojej głowy. Wiele osób pomogło mi, zarówno bezpośrednio, jak i pośrednio, we wprowadzeniu tej opowieści z powrotem na właściwe tory, i chciałabym wykorzystać tę okazję, żeby im podziękować.

Przede wszystkim, jak zawsze, dziękuję mojemu mężowi i córkom, którzy świetnie zapoznali się ze wszystkimi pobliskimi restauracjami oferującymi dostawę bez kontaktu osobistego. Gdy dni robocze przeciągały się w noc robocze, to wy utrzymywaliście wszystko na właściwym kursie. Nie zdołałabym napisać tej książki bez waszego wsparcia i cierpliwości. Kocham was.

Dziękuję moim rodzicom i rodzeństwu, którzy wciąż dodają mi otuchy i wspierają w tym szalonym zajęciu. Kocham was wszystkich.

Dziękuję mojej wieloletniej redaktorce i przyjaciółce Julie Belfield. Gdy wysłałam ci pierwszy szkic, a ty odesłałaś tekst pokreślony na czerwono, zastanawiałam się, czy nie porzucić tego pomysłu. Ale to dzięki twoim słowom zachęty i pocieszającym wiadomościom, które pojawiły się później, zachowałam się jak duża dziewczynka i zabrałam się do pracy nad posprzątaniem bałaganu. Jestem dumna z tego, czym stała się ta książka, i dziękuję ci za szczerość oraz elastyczność godną świętej. Dziękuję ci, że przy mnie trwałaś i pomogłaś mi utrzymać koncentrację. Jesteś najlepsza.

Dziękuję mojej wyjątkowej alfacytelniczce i przyjaciele Dianie Dykes, która również z własnej woli wskoczyła w tę niebezpieczną strefę, gdy tylko się ona narodziła. Ta książka stała się lepsza dzięki twoim szczerym komentarzom, które często niełatwo przekazywać, gdy termin goni termin, a ja wpadam w panikę. Włożyłaś swoje serce w każdą sugestię sprawiającą, że ta powieść zaczęła lśnić i stała się jedną z moich ulubionych historii. Dziękuję ci, że pozwoliłaś mi wykorzystać swój mózg i że wymieniałaś się ze mną pomysłami.

Okładka okazała się wszystkim, co tylko mogłam sobie wymarzyć, a to dzięki niesamowitemu talentowi Hang Le, która wspaniale wplotła w swój projekt tak wiele elementów tej opowieści. Symbologia w tle, kwiaty, płomienie. Mówiłam ci, że chcę czegoś romantycznie upiornego, ale to, co zrobiłaś, mnie powaliło.

Dziękuję Lanie i Kelly, moim nieustraszonym betacytelniczkom, za to, że zaryzykowałyście z rękopisem i skoczyłyście z nim z urwiska, choć nie miałyście pojęcia, na czym wylądujecie. Wasze komentarze i słowa zachęty znaczą dla mnie bardzo wiele.

Wielki uścisk i podziękowania dla wszystkich z ekipy ARC, którzy czytali wczesną wersję tej powieści i przekazali swoje opinie, by inni mogli ją odkryć.

Dziękuję moim Vigilante Vixens, na których wsparcie zawsze mogę liczyć i dzięki którym dysponuję bezpiecznym, przyjemnym miejscem, jeśli chcę gawędzić o książkach lub dzielić się różnymi rzeczami z pisarskiego życia. Dziękuję, że mi kibicowałyście i pocieszałyście, kiedy przygniatał mnie ciężar wątpliwości. Wyrazy miłości dla was wszystkich.

Dziękuję blogerom, bookstagramerom, booktokerom i czytelnikom, którzy zaryzykowali z moimi książkami. Bez was są to jedynie opowieści w mojej głowie i na papierze, ale wy sprawiacie, że ożywają, czytając je. Wasze miłe wiadomości, recenzje i filmy mają dla mnie ogromne znaczenie. Dopóki tylko będziecie czytać, nie przestanę pisać.

o autorce

Keri Lake jest autorką mrocznych romansów specjalizującą się w tematyce zmagania demonów i zemsty oraz w okrutnych zwrotach akcji. Jej opowieści są naturalistyczne, występują w nich antybohaterowie przekraczający granicę pomiędzy dobrem a złem i zadziorne bohaterki, przed którymi ci pierwsi padają na kolana. Gdy nie pisze, lubi spędzać czas z mężem, córkami i swoim zbuntowanym labradorem (który za cholerę nie aportuje). Napędza ją mocna kawa i muzyka alternatywna. Uwielbia dobre czerwone wino i jest nieco uzależniona od gorzkiej czekolady.